

**GRAHAM MASTERTON**

# **WYZNAWCY PŁOMIENIA**

**(PRZEŁOŻYL: JANUSZ WOJDECKI)**

**SCAN-DAL**

*Zespół Opery San Diego*  
*wspólnie z firmą Mander Promotions*  
*ma zaszczyt zaprosić*  
*na Wieczór Galowy*  
*poświęcony Operowym Hołdom dla Ryszarda Wagnera*  
*Teatr Miejski San Diego, Second Avenue przy A Street 21 czerwca, godzina 21.00*  
*strój wieczorowy*

## ROZDZIAŁ 1

Gdyby Bob Tuggey bodaj przez moment przypuścił, że dziewczyna w czerwonej kowbojskiej koszuli w kratę i z jasnoczerwonym kanistrem w ręku szła przez parking w zamiarze spalenia się żywcem, byłby w jednej chwili rzucił łopatkę do nakładania hamburgerów, przeskoczył przez kontuar i wybiegł z restauracji tak szybko, jak tylko pozwoliłaby mu na to lekkopółciężka budowa ciała.

Zajmował miejsce przy oknie w kuchni, był więc prawdopodobnie pierwszą osobą u McDonalda z Rosecrans Street, która ją dostrzegła. I jak na ironię - prawdopodobnie jedyną, która dysponowała dostatecznym doświadczeniem, by zdać sobie sprawę, iż coś jest z nią nie w porządku, mimo że uśmiechała się i wymachiwała kanistrem tak, jak gdyby to był koszyczek polnych kwiatków.

Wiele lat temu Bob Tuggey pracował jako niższy urzędnik w biurze Williama Truehearta, zastępcy szefa misji dyplomatycznej w Wietnamie Południowym. Późnym wieczorem pewnego czerwcowego dnia 1963 roku, kiedy to kupiwszy u swego krawca w Cholon pół tuzina sportowych koszul wracał samochodem do ambasady, w identyczny sposób wymachując kanistrem zaszedł mu drogę buddyjski mnich. A-tisket, a-tasket.

Nieco dalej jego valiant natrafił na przeszkodę w postaci przesuwającego się ulicą długiego konwoju wojskowego i podczas gdy Bob siedział w samochodzie, paląc papierosa i słuchając zespołu Peter, Paul and Mary, w odległości niespełna trzydziestu metrów mnich wszedł na krawężnik, skropił sobie obficie głowę mieniącą się wszystkimi kolorami tęczy benzyną i zapalił zapalkę.

*Odpowiedź zna wiatr, wiejący poprzez świat...*

Bob nigdy nie zapomniał delikatnego odgłosu wybuchu zapalanej benzyny, wirujących płatków tłącej się szaty i malującego się na stopniowo czerniejącej twarzy mnicha spokoju. Słysząc było wrzaski, odgłosy kłótni, dzwonki rowerów, lecz nikt nie zawołał o pomoc. Bob wyskoczył z samochodu, ciągnąc za sobą z zamiarem zduszenia ognia turystyczny koc, lecz trzech inni mnisi wytrwale odpychali go kościstymi dłońmi, póki ich brat, w dalszym ciągu płonąc, nie runął na ziemię już poza zasięgiem wszelkiej pomocy, chyba że tej pochodzącej od Buddy.

Bob zgiął się wpół przy krawężniku i pod przydymionym nieboskłonem zwymiotował rozbełtanymi kawałkami kurczęcia i skórkami od pomidorów. Po dziś dzień *Odpowiedź zna wiatr* przyprawiało go o skurcz żołądka.

Kiedy dziewczyna ukazała się w zasięgu wzroku Boba, być może i odezwał się w jego pamięci jakiś malutki dzwoneczek. Lecz z pewnością nie było w niej nic takiego, co mogłoby mu nasunąć skojarzenie z protestującym mnichem buddyjskim. Była filigranową blondynką, a jej zaczesane do tyłu włosy przywodziły mu na pamięć Doris Day. Do kowbojskiej koszuli nosiła szeroki pas z garbowanej skóry i dopasowane levisy.

- Cztery ćwierćfuntowce zamawiam - zawołała Sally, Inianowłosa kierowniczką.

Bob zerwał papierowe opakowania i wepchnął hamburgery do grilla. Za oknem dziewczyna znajdowała się już w połowie parkingu, w dalszym ciągu wymachując kanistrem, a za nią tańczył jej skulony cień. Słońce przez krótką chwilę błysnęło w czerwonej emalii.

Bob miał nadwagę i zaawansowaną łysinę. Był zdecydowanie najstarszym pracownikiem McDonalda z Rosecrans Street. Gdy lewym okiem spoglądał w kierunku zachodnim, prawe patrzyło na północ - północny zachód. Lecz cała młodzież przepadała za nim i nazywała Wujciem Tugiem. W przyszłym tygodniu kończył pięćdziesiąt jeden lat i uroczystość tę miał obchodzić samotnie. Po tym jak William Trueheart opuścił Sajgon, Bob obsuwał się z jednego szczebla rządowej kariery urzędniczej na drugi, z jednego szarego biura do drugiego, od jednej do drugiej czarnej kawy. Zaczął pić, z reguły butelkę ricarda dziennie, czasem więcej. Dni pełne mlecznobiałych obłoków i smaku anyżu. Pewnego deszczowego popołudnia we Francji w ciasnym mieszkaniu w Domaine de la Ronce spróbował popełnić samobójstwo, odkręcając kurek. Bo i cóż było warte życie bez żadnych widoków na przyszłość, bez pieniędzy i bez czyjś towarzystwa, nie licząc podpalanego boksera o zaślinionym pysku, który nie potrafił się powstrzymać od gryzienia mebli.

Uratował Boba jedynie smród gazu, który (w połączeniu z żołądkiem pełnym ricarda) przyprawił go o niezdolny zawrót głowy i mdłości. Wyszedł na chwilę z domu odetchnąć świeżym powietrzem. Absurdalne - w samym środku popełniania samobójstwa, ale nie miał ochoty umierać odczuwając mdłości. Gdy go nie było w domu, gaz w kuchni wybuchnął, przyprawiając psa o głuchotę. Konsjerżka była wściekła i całymi godzinami chodziła za nim z wrzaskiem.

- Ty idioto! Wydaje ci się, że wysadzić własne mieszkanie w powietrze to taki świetny dowcip?

- Że co? - odpowiadał za każdym razem. On również ogłuchł, ale tylko chwilowo. Dziewczyna w dalszym ciągu posuwała się w kierunku drugiego końca parkingu. Drzenie rozgrzanego powietrza sprawiało, iż wyglądało to tak, jak gdyby stąpała po tafli przejrzystego jak kryształ jeziora. Na dworze było przeszło pięćdziesiąt stopni, co w San Diego nie zdarzało się często. Kierowała się na drugi kraniec parkingu, niosąc w ręku coś, co było bez wątpienia

kanistrem, a sądząc z tego, jak powoli się kołysało, kanistrem wypełnionym benzyną. Ale dokąd go niosła? Po tamtej stronie parkingu nie parkował ani jeden samochód, również żadnego pojazdu nie było widać na szosie.

Bob odwrócił na drugą stronę ćwierćfuntowce i przyjął dwa specjalne zamówienia na cheeseburgery.

- Sally... są filety! - zawołał Gino, który pracował obok niego i cały składał się z imponującej grdyki i przyszytych brzytwą czarnych baczaków.

Dziewczyna zaś przestąpiła przez rząd kolczastych krzewów, oddzielających jedną część parkingu od drugiej.

- Wujciu Tug, gdzie są te ćwierćfuntowce? - zwróciła się doń Sally.

Bob opuścił wzrok. Były już prawie gotowe.

- Trzy kanapki z kurczakiem zamawiam - zawołała Marianna.

- Są big maki - powiedział Gino.

- Dwa cheeseburgery zamawiam - rzekł Doyle.

Bob znów podniósł oczy i ujrzał, że dziewczyna wciąż się oddala. Była teraz prawdopodobnie jakieś sto pięćdziesiąt metrów od restauracji. Nie miał pojęcia, czemu wciąż jej się przygląda, lecz znalazła się teraz wraz ze swoim kanistrem, zwalniając kroku i rozglądając się, w takiej odległości od jakiegokolwiek zaparkowanego pojazdu, jak gdyby zgubiła drogę lub uznała, że znalazła się wreszcie we właściwym miejscu.

Skwierczenie ćwierćfuntowców odwróciło na chwilę uwagę Boba. Wyciągnął je z grilla i wsadził do przygotowanych bułeczek.

- Cztery maki zamawiam! - zawołała Sally.

Bob postawił na stole metalową tackę z ćwierćfuntowcami i czyniąc to ujrzał, jak dziewczyna siada po turecku na betonie. Zmarszczył brwi, próbując z wysiłkiem dostosować wzrok do odległości. Jego oczy nie widziały już dobrze z daleka. Idąc do kina albo na stadion Jacka Murphy'ego obejrzeć mecz Padresów, zawsze zabierał ze sobą okulary. Lecz gdy dziewczyna, odkręcając kanister, odwróciła się nieco bokiem, w jednej chwili pojął znaczenie tego gestu i dopiero wtedy zadrżał ze zgrozy, kojarząc w myśli zdecydowany, płynny marsz w nieokreślonym bliżej kierunku, a-tisket, a-tasket, z kołyszącą się czerwoną blaszanką i dostojną pozycją siedzącą oraz przerażającym spokojem, z jakim odkręcała nakrętkę. Słyszał pryskanie tłuszczu spod cheeseburgerów i paplaninę skautek. Lecz przed oczyma miał obraz płonącego buddyjskiego mnicha.

- Chryste Panie! - rzekł.

- Wujku Tug? - pytająco zmarszczył brwi Gino.

- Dwa filety zamawiam! - zawołała Sally.

Upuścił łąpatkę. Z brzękiem odbiła się od grilla i spadła na podłogę.

- Hej, Wujciu Tug... - rozpoczęła Sally.

Lecz Bob torował już sobie drogę pomiędzy Ginem a Tedem, zawadziwszy po drodze udem o krawędź kontuaru. Coś za nim wołali, lecz głosy ich zlały się w jego uszach w jeden nierozpoznawalny bełkot.

- Wwwwujjjiuuu Tttuuggg...!

Zerwał ze ściany jaskrawoczerwoną gaśnicę. „Do gaszenia tłuszczów”. O Boże! Jego bark zderzył się z drzwiami wyjścia awaryjnego na zapleczu kuchni i Bob wypadł wprost na panujący na dworze upał, w mcdonaldowskiej czapce na głowie i powiewającym fartuchu, ściskając w dłoniach gaśnicę, niczym gracz w rugby zbliżający się do bramki.

Okrzyknął restaurację, niezgrabnie przeskakując w biegu nisko zawieszony łańcuch. „O Boże, proszę, nie pozwól jej, o Boże, proszę, nie pozwól!”

Tenisówki głośno klapały po rozgrzanym asfalcie. Wzrok mu się zaćmił. U c h h! - dyszał. Nadwaga, brak kondycji. Uhhh!Uhhh! Uhhh! Usłyszał cichą eksplozję, niemal niedosłyszalne p u f f! oraz krzyk kobiety. Ujrzał pomarańczowy płomień, kołyszający się w podmuchach łagodnego wiatru niczym płonąca flaga. Serce wyskakiwało mu z piersi, rozżarzone powietrze parzyło płuca. Lecz w następnej chwili już wpadał z traskiem pomiędzy wysuszone na wiór krzaki, oddzielające dwie części parkingu, i oto była i ona, siedząc dokładnie naprzeciwko niego, cała w płomieniach.

W dalszym ciągu nogi miała skrzyżowane po turecku, lecz tułów utrzymywał się sztywno w pionie. Zgarbiła plecy i rękoma objęła z całej siły uda. Mocno zacisnęła powieki - nikt nie ma dostatecznie silnej woli, by spalić się z otwartymi oczyma. Jej blond włosy zdążyły już szernieć, tysiące koniuszków tliło się pomarańczowym blaskiem niczym płonąca miotła. Musiała większą część benzyny wylać na siebie z przodu, gdyż całe jej łono stanowiło gniazdo huczących płomieni.

- Trzymaj się! - wrzasnął na nią Bob, choć nie miał pojęcia po co. Łupnął gaśnicą o beton, aż zaczęła tryskać pianą. Skierował strumień prosto na jej twarz, potem na nogi i nie przestawał polewać ją pianą, póki nie został zdławiony ostatni płomyk. Pozostała tylko piana, para, oleisty dym i przytłaczający swąd palonego ciała.

Z pasażu handlowego biegło w jego kierunku pięć czy sześć osób. Jakies dzieci płakały, a kobieta krzyczała:

- O Boże, o Boże!

- Wezwijcie pogotowie! - ryknął Bob o krok od hysterii. Ślina pryskała mu z ust. -

Wezwijcie pieprzone pogotowie!

Ciężko dysząc i słaniając się na nogach, odwrócił się, by popatrzeć na dziewczynę. W dalszym ciągu zachowywała pozycję siedzącą, choć włosy miała zupełnie spalone, a twarz uczernioną jak wędrowny komediant. Drżała pod wpływem szoku i bólu. Skóra na grzbietach jej dłoni była przepalona na wylot i widać było nagie kości.

- Już dobrze - powiedział do niej Bob. Miał dość rozsądku, by jej nie dotykać. - Tylko siedź spokojnie, staraj się nie poruszać. Karetka jest w drodze.

- Ty sukinsynu! - wyszeptała. - Ty sukinsynu! Dlaczego nie dałeś mi spłonąć?

- Wszystko w porządku - pocieszył ją. - Nic ci nie będzie. Czy chcesz się położyć?

Wokół zaczął się już zbierać szemrzący tłumek ciekawskich. Bob usłyszał, jak jakiś nastolatek mówi:

- W mordę, koleś, popatrz no tylko na nią!

- Idźcie sobie stąd, proszę - zażądał Bob, zataczając łuk sztywnym ramieniem. W oczach miał łzy. - Ta kobieta cierpi. Może byście tak sobie stąd poszli?

Nikt się nie ruszył. Ktoś nawet przyklęknął i zaczął robić zdjęcia. Gdy zaś Bob spojrział za siebie na dziewczynę, ta rozciągnęła spękane szkarłatne wargi w grymasie nienawiści. Wpatrywała się w niego takim wzrokiem, jak gdyby chciała go przekląć.

- Sukinsyn! - powtórzyła. Potem zakasłała raz i drugi i nagle zwymiotowała sobie na gors, który pokrył się krwią, poczerniałymi skrawkami płuc i nie spalonymi resztkami benzyny. Dygocząc przewróciła się na bok, po czym już leżała spokojnie. Bob nigdy nie miał zapomnieć odgłosu, jaki wydała jej bezwłosa czaszka uderzając o beton.

Dziwacznie ugiąwszy kolana, położył gaśnicę na ziemi. *Nad brzegami rzek Babilonu złożyłem moją gaśnicę.* W oddali słychać było zawodzenie syreny. Nie wiedział, co robić. Nie miał pojęcia, co wprawia go w gorszy nastrój: to, że próbował ją uratować i mu się nie udało, czy to, że w ogóle próbował ją uratować. Nikt nigdy przedtem nie patrzył na niego z taką wrogością, nikt a nikt. Gdyby wzrok mógł zabijać, byłby leżał w tej chwili obok niej, spalony i martwy tak samo jak ona - i tak samo jego duszę unosiłby wiatr wiejący poprzez świat, niczym obłok dymu.

## ROZDZIAŁ 2

- Czy przyrządzał pan kiedyś grunion, panie Denman? - spytał Waldo.

Lloyd przełknął łyk wina i popatrzył znad swego zagraconego sekretarzyka.

- Grunion? Nie, nigdy mi nawet nie przyszło do głowy, by jeść takie małe rybki. A bo co?

- Och, nic. Tyle że sezon na grunion kończy się trzydziestego sierpnia. Zastanawiałem się, czy nie powinienem wziąć dzieciaków na połów. Kłopot w tym, że nie wiem, co robić z grunion, kiedy już się je złapie.

- Pytałeś Louisa?

- Louis mówi, że nie ma pojęcia.

Lloyd rozparł się wygodnie w fotelu kapitańskim.

- Hm... Pamiętasz Charlesa Kuerbisa? Tego agenta od handlu nieruchomościami? Był zawsze pierwszy na plaży, kiedy pojawiały się ławice grunion. Zapytałem go kiedyś, w jaki sposób się je gotuje. Powiedział, że nie wie... daje je swojej żonie. Cokolwiek z nimi robi, zawsze są świetne. Zatem zapytałem jego żonę, ona zaś powiedziała, że karmi nimi kota, idzie do sklepu i kupuje jakąś przyzwoitą rybę.

- Może zabiorę je zamiast tego do oceanarium - poddał się Waldo.

- Czy nie zabierałeś ich do oceanarium zeszłym razem?

- Pewnie, i poprzednim razem, i jeszcze poprzednim.

Nie pamiętam, żebym od trzech lat odwiedził dzieci i nie wrócił do domu przemoknięty. Dzieciaki zawsze lubią siedzieć z przodu. Czuł pan kiedyś, jak jedzie orce z paszczy, panie Denman?

- Pewnie - zażartował Lloyd. - Halibutosis. - Przetasował stertę rachunków i nabił je na szpikulec. - Dość na ciebie spojrzeć, by raz na zawsze dać sobie spokój z małżeństwem, wiesz?

Waldo potrząsnął głową.

- Niech pan nie bierze sobie mojego przypadku do serca, panie Denman. Jest tylko jedna kobieta na świecie równie paskudna, co moja Tusha, i jest nią moja Tusha. Celia jest wprost stworzona dla pana i pan dobrze o tym wie. Jest bystra, ładna i ma klasę. Świetnie się zna na muzyce. Nie tak jak Tusha. Tusha uważa, że Pavarotti to taki gatunek sera, rozumie pan, coś jak ricotta. Ponadto pan jej nie widział na własne oczy... jest paskudna.

- To czemużeś, u diabła ciężkiego, się z nią ożenił, skoro uważasz, że jest paskudna?



- O nie, niech mnie pan źle nie zrozumie. Od zewnątrz wygląda wspaniale. Długie rzęsy, cudowny uśmiech. Duże niebieskie oczy. Tylko od wewnątrz jest paskudna. Ma doprawdy paskudne wnętrze.

Lloyd wstał i trzymając w ręku pusty kieliszek przeszedł z biura do baru. Wyjął z lodówki butelkę San Pasqual Chenin Blanc i nalał sobie hojną miarkę. Pozwalał sobie tylko na dwa kieliszki wina w ciągu całego popołudnia: w przeciwnym razie, nim jeszcze nastawała pora wieczornego otwarcia restauracji, wszystko zaczynało się robić cokolwiek nierealne.

Spojrzał na zegarek, corum z dukatowego złota, który dostał w kwietniu od Celi na urodziny. Waldo, maître d'hotel, zawsze wcześniej przychodził do pracy, ponieważ w gruncie rzeczy nie miał dokąd pójść. Zwykle rozmawiali, wypijali na spółkę butelkę wina albo grali w szachy. Reszta obsługi dojeżdżała pojedynczo lub parami przez najbliższe pół godziny, by przygotować się do otwarcia o szóstej trzydzieści.

Lloyd przemierzył wzdłuż i wszerz dwudziestosześć-stolikową restaurację, sprawdzając oddzielnie każde nakrycie. Świeże orchidee, błyszcząca zastawa od Lauffera, serwetki z łososiowego lnu złożone na kształt chryzantemy. Niemało restauracji dopuszczało, by obsługa kelnerska wychodziła na przerwę poobiednią nie nakrywając na nowo stołów, lecz Lloyd nalegał, by w porze kiedy personel wracał na nocną zmianę, lokal sprawiał na nim równie zachęcające wrażenie, co na klientach.

Dla Lloyda miejsce to miało wciąż swój magiczny urok. Po przepracowaniu jedenastu lat jako rzeczoznawca ubezpieczeniowy w San Diego Marine Trust, szacujący wartość jachtów bogaczy, w restauracji tej znalazł wszystko, czego kiedykolwiek pragnął. Wolność, niezależność, ciężką, lecz dobrze płatną pracę, rozrywkę. Baza Rybna Denmana była bezpretensjonalną, acz stylową restauracją dań morskich, o ścianach wyłożonych wiktoriańską boazerią, z dębowym parkietem, mahoniowymi skrzydłami wentylatorów na suficie oraz zewnętrznym balkonem z widokiem na zatoczkę La Jolla.

Tygodnik „San Diego” zdążył już skomplementować Lloyda za jego płyty północno-zachodniego łososia z rusztu, podwędzane w dymie olchowym, jego mahimahi w polewie oraz danie firmowe, przysmak Bazy Rybnej Denmana, który stanowiły filety z homara, krewetki, małże, udka krabów i grzyby w gorącej francuskiej brioszce podawane do zupy rybnej.

Podszedł do rozsuwanych szklanych drzwi prowadzących na balkon i otworzył je. Ciepły słonawy wiatr wiał znad wody, a mewy unosiły się z krzykiem nad stromym urwiskiem z piaskowca. Oparł się o drewnianą barierkę i głęboko odetchnął wieczornym powietrzem. To było właśnie to. Marzenie się spełniło. Wszystko było tak pocieszenie

idyliczne, iż czasami uśmiechał się sam do siebie z bezwstydnym zadowoleniem.

Oto miał wszystko - a w każdym razie prawie wszystko. Własną restaurację w modnym i dochodowym punkcie, dziewczynę, która kochała się w nim na zabój i pragnęła go poślubić, białe BMW 5 z uzyskanym na specjalne zamówienie numerem rejestracyjnym RYBKA, położony niedaleko uniwersytetu dom za pięćset sześćdziesiąt osiem tysięcy dolarów, z podgrzewanym basenem, drzewkiem oliwnym oraz czymś, co sprzedawca nieruchomości nazwał „możliwością widoku” na Północne Wybrzeże. Rzeczywisty widok kosztowałby go trzydzieści tysięcy więcej, panorama zaś była jak na razie poza jego finansowym zasięgiem.

Ale pomyślcie tylko: jego ojciec był listonoszem, matka dorabiała szyciem, a on - proszę!

W gruncie rzeczy Lloyd nie wyglądał na restauratora. Był bardzo wysoki i szczupły, na głowie sterczał mu wiecheć szpakowatej czupryny, a ponadto odznaczał się wąskim i wydatnym nosem, który sprawiał, iż matka określała jego wygląd jako „dumny”, ojciec zaś nazywał go „człowiekiem-otwieraczem do konserw”. Lecz dzisiaj, gdy zbliżały się jego czterdzieste urodziny, wraz ze swą jasną opalenizną, równowagą psychiczną oraz ogólnie dobrymi stosunkami ze światem sprawiał wrażenie jednocześnie niefrasobliwego i dystyngowanego. Celia zawsze mówiła, że gdyby Basil Rathbone miał poczucie humoru i mieszkał w Kalifornii, nazywałby się Lloyd Denman.

Odwrócił się i jał się przyglądać, jak Waldo wykłada księgę rezerwacji na dębowym pulpicie przy drzwiach frontowych. Waldo miał włosy przylizane do tyłu, przystrzyżony wąsik a la Flap i przepasany był szeroką ciemnozieloną szarfą, dzięki której wyglądał jak przewiązana wstążką wielkanocna pisanka. Do klientów zwracał się z niewiarygodnie wprost przesadzonym akcentem francuskim: „Phroszę tędy, monsieur... najmocniej przephraszam, madame”, lecz w rzeczywistości nazywał się Waldo Slonimsky i był Litwinem, jedynym pozostałym przy życiu spośród całej rodziny. Czasami Lloyd, spojrzawszy nań, potrafił dojrzeć w jego twarzy wyraźny obraz pulchnego osieroconego siedmiolatka, który został sprowadzony do Ameryki tuż przed wybuchem wojny. Waldo ożenił się, miał dzieci, rozwiódł się i spotykał z kilkoma kobietami o takiej samej jak on posturze. „Lecz - myślał Lloyd - gdy straci się na zawsze osoby, które kochało się najmocniej, czyż kiedykolwiek można przestać być samotnym?”

- Waldo! - zawołał. - Pozwól no tutaj!

Waldo wyszedł na balkon, obciążając na sobie szarfę.

- Pan czegoś sobie życzy, panie Denman? Lloyd skinął głową.

- Owszem. Chcę, żebyś przerwał na kilka minut pracę i przyszedł tutaj popatrzeć na

zatoczkę.

Waldo przyglądał się Lloydowi badawczo, najwyraźniej spięty, bez wątpienia niepokojąc się, czy zrobił wszystko co należało do jego obowiązków. Sprawdzić jadłospisy, uzupełnić karty win, zadzwonić po zastępstwo dla dwóch kelnerek, ponieważ zarówno Angie, jak i Kay zameldowały się telefonicznie jako chore. „Chore, niech je chudy byk - jeśli wybaczy mi pan, że mówię po litewsku - pewnie poszły na surfing”.

Lloyd powiedział z zachętą:

- Odpręż się, rozejrzyj dookoła. Co sądzisz o zatoczce dziś wieczorem?

Waldo rzucił na nią szybkie spojrzenie.

- Dziś wieczorem? To ładna zatoczka.

- I tylko tyle? Zaledwie ładna?

Waldo zdobył się na jeszcze jedno spojrzenie.

- Dziś wieczorem to cholernie ładna zatoczka. Lloyd roześmiał się i położył mu rękę na ramieniu.

- Wiesz, Waldo, jaki jest z tobą kłopot?

- Jaki? - zapytał niepewnie Waldo. - Jaki kłopot?

- Nigdy nie zatrzymasz się nawet na chwilę, żeby pomyśleć, jaki z ciebie szczęściarz.

Waldo najoczywiście w świecie nie rozumiał, co Lloyd chce mu przez to powiedzieć. Wzruszył ramionami, zmiął w dłoniach ścierkę, której zawsze używał do wycierania odcisków palców z widelców i noży.

- Robię co mogę, panie Denman. Dobrze pan wie.

- Pewnie, Waldo, pewnie, że wiem. Ale zamknij tylko oczy, napełnij płuca tym wspaniałym powietrzem Pacyfiku i pozwól odprężyć się mięśniom. Może i masz swoje kłopoty z Tushą, ale też i dwoje wspaniałych dzieci, własne mieszkanie i samochód, który jest na dodatek na chodzie, a do tego całą furę ludzi, którzy cię lubią.

- Cóż, to bardzo miłe z pana strony, panie Denman. Dziękuję panu bardzo.

- Waldo... - rozpoczął Lloyd ściskając go za ramię. Ale zdał sobie sprawę, iż nie ma sensu dalej przekonywać. Wprawilby go tylko po prostu w jeszcze większe zakłopotanie.

Waldo podszedł do barierki i popatrzył na ocean. Teraz, gdy zachodziło słońce, La Jolla wraz ze wszystkimi swymi tłoczącymi się restauracjami, sklepikami pełnymi pamiątek i wypranymi z koloru domami mieszkalnymi była pokryta grubą kleistą powłoką bursztynowego światła. Mewy w dalszym ciągu kołując krzyczały wniebogłosy i Waldo przypatrywał im się podnosząc do góry podwójny podbródek.

- Wie pan, moja rodzina mieszkała kiedyś w Falandze nad Bałtykiem - powiedział. -

Teraz wydaje się to takie dawne i odległe. Mój dziadek zwykł zabierać mnie na spacer brzegiem morza. To śmieszne, nie sądzi pan, panie Denman? Widzę go teraz tak samo wyraźnie jak kiedyś. Nosił zawsze długi płaszcz z szarej wełny i staroświecki czarny filcowy kapelusz.

- Nie ma w tym nic śmiesznego - odparł z uśmiechem Lloyd. - Niemal stanął mi przed oczami jak żywy.

Waldo z wolna potrząsnął głową.

- Dziadek mówił mi zawsze, że kiedy umieramy, nasze dusze zamieniają się w mewy. Unoszą się i opadają. To dlatego mewy mają takie smutne głosy. Bez ustanku szukają swoich opuszczonych bliskich.

- Zgrabna historyjka - powiedział Lloyd. Waldo wytarł oczy dłonią.

- Kiedyś w nią wierzyłem. Chyba nawet jeszcze w nią wierzę. Być może nad brzegiem Bałtyku mój dziadek wciąż unosi się i opada, szukając chłopca, którego kiedyś zabierał na spacer. - Wzruszył ramionami i wreszcie powiedział: - Lepiej już wróć. Jest jeszcze mnóstwo do zrobienia.

Gdy zawracał do środka, Lloyd zauważył, jak wykładanymi dębiną frontowymi drzwiami wchodzi do restauracji dwóch mężczyzn w tanich garniturach i z niepewną miną staje w gąszczu doniczkowych roślin. Z całą pewnością nie przypominali codziennych klientów Bazy Rybnej, ale nie wyglądali też na inspektorów sanitarnych. Jeden z nich miał błyszczące oczy, zapadnięte policzki i był nie ogolony. Drugi był pękaty, miał pogniecione ubranie, zdumiony wyraz twarzy i niesforny kosmyk brunatnych włosów na głowie. Razem sprawiali wrażenie, jak gdyby Jackie Gleason spotkał Jima Belushiego.

Nie ogolony podszedł do Walda i coś doń powiedział. Ten przytaknął, po czym potrząsnął głową. Nie ogolony rzekł coś jeszcze, potem odwrócił się i skierował w stronę balkonu. Obaj mężczyźni, lawirując między stolikami, podeszli wreszcie z rękami w kieszeniach do właściciela.

- Czy pan Lloyd Denman? - zapytał nie ogolony zacinając się nieznacznie.

- We własnej osobie. Czym mogę panom służyć? Mężczyzna wyjął z kieszeni złotą odznakę.

- Jestem sierżant David Houk z komendy policji w San Diego. A to jest, proszę pana, detektyw Ned Gable.

- Nie chodzi chyba o nie zapłacone mandaty za parkowanie, prawda? - z żartobliwym przestraczeniem zapytał Lloyd. - Cały ich stos zalega mi w samochodzie. Wiecie, panowie, jak to jest. Praca, praca i nic tylko praca.

- Nie, proszę pana. Chcielibyśmy tylko zadać panu kilka pytań.

Lloyd widział, iż czują się nieswojo.

- O co chodzi? - zapytał. - Co się stało? Sierżant Houk odchrząknął.

- Zdarzył się wypadek, panie Denman - powiedział. - W mieście, przy Rosecrans Street.

- Wypadek? Jaki wypadek?

- Zginęła w płomieniach kobieta. Przed samym wejściem do restauracji McDonalda, proszę pana.

- No cóż, to straszne.

- Tak, proszę pana.

Lloyd czekał cierpliwie. Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

- Zatem zginęła w płomieniach kobieta. Co to ma wspólnego ze mną?

- Czy zna pan panią Celię Williams? - zapytał detektyw Gable.

Lloyd był zaskoczony.

- Oczywiście, że znam panią Celię Williams. To moja narzeczona. Teraz jednak znajduje się w San Francisco, gdzie ma cykl wykładów na temat muzyki.

- Jest w San Francisco? - spytał Houk, spoglądając na Gable'a z nie ukrywanym zdziwieniem.

- Oczywiście. Wyjechała pod koniec tygodnia. Nie spodziewam się jej wcześniej niż w sobotę wieczorem. Dzwoniła do mnie zeszłej nocy... zaraz... to musiała być dwunasta, w pół do pierwszej.

Sierżant Houk rozmasował wydatny nie ogolony podbródek.

- Panie Denman... Nie wiem, jak panu to powiedzieć. Ale według naszych wiadomości kobietą, która dzisiaj zginęła w płomieniach przed wejściem do McDonalda, była pani Celia Williams.

Lloyd przypatrywał mu się przez chwilę i wreszcie wybuchnął śmiechem. Sam pomysł, że Celia mogła znaleźć się dziś przed McDonaldem na Rosecrans Street, zaledwie sześć czy siedem mil od La Jolla, był w tak oczywisty sposób absurdalny, że nawet na chwilę nie wytrącił go z równowagi.

- To niemożliwe, sierżancie. To zupełnie niemożliwe. Celia jest w San Francisco. Dziś po południu miała wykład w Ośrodku Sztuki Wykonawczej.

- Czy rozmawiał pan z nią dzisiaj? - zapytał detektyw Gable, pociągnąwszy nosem i wytarłszy go wierzchem dłoni.

- Nie, jeszcze nie. Zwykle dzwoni do mnie około północy, kiedy w restauracji robi się

pusto.

- Czy dzisiejszej nocy spodziewa się pan jej telefonu?

- Oczywiście, że się spodziewam. To moja narzeczona. Na początku września mamy zamiar się pobrać.

Sierżant Houk sięgnął do kieszeni pomiętego garnituru i wyjął z niej przezroczystą plastikową kopertę. Podniósł ją do góry, tak by Lloyd mógł zobaczyć, co jest w środku.

Biały portfelik na karty kredytowe, solidnie zwęglony z jednego końca, oraz złota bransoletka z amuletami.

- Panie Denman, czy rozpoznaje pan któryś z tych dwóch przedmiotów?

Lloyd zawisł wzrokiem na jego ustach.

- Ona jest w San Francisco. Jeśli wątpicie w moje słowo, możecie do niej zadzwonić. Zatrzymała się w hotelu Miyako. Proszę - oto numer!

Drobny skurcz paniki. Zapinka portfela była ze złota, zaokrąglona, w kształcie chińskiego symbolu yin i yang, taka sama jak zapinka portfelika Celi. I mimo że nie przyglądał się z bliska amuletom, zauważył, iż bransoletka w uderzający sposób przypomina te, którą podarował Celi, kiedy się do niego wprowadziła... i do której co miesiąc dokładał nowy amulet. Klucz sopranowy - na pamiątkę dnia, kiedy obroniła prace doktorską z muzykologii, domek - kiedy zamieszkali oboje pod numerem 3337 przy North Torrey, oraz serduszko - kiedy jej się oświadczył.

- Panie Denman - powiedział sierżant Houk z przyprawiającą o rozpacz zawodową delikatnością - czy nie zechciałby pan spocząć i przyjrzeć się tym przedmiotom? Portfel zawiera polisę ubezpieczeniową i karty kredytowe należące do Celi Jane Williams, a także wizytówki z adresem tej restauracji oraz dwie fotografie mężczyzny, którego teraz rozpoznaje jako pana.

Lloyd rozejrzał się machinalnie dookoła, wreszcie przysunął sobie bambusowe krzeselko i usiadł. Sierżant Houk podał mu portfel, a potem bransoletkę z amuletami. Detektyw Gable odkaszlnął w zakłopotaniu i pociągnął nosem.

„To nie może być prawda - myślał Lloyd - coś się pomyliło, coś się poplątało. To nie ja, tylko ktoś inny. Albo może jeszcze się nie obudziłem i to tylko sen. Ale przecież czuję podmuchy wiatru. Słyszę krzyk mew. A tam stoi Waldo, przyglądając mi się z pobladałą twarzą przez szybę z przydymionego szkła, Waldo zaś nie patrzyłby na mnie takim wzrokiem, tak lękliwie i żałośnie, gdyby to się nie działo naprawdę”.

Otworzył portfel. Zajrzał do środka. Wytlaczony znak firmowy głosił: F. David, Del Mar. Wiedział już, że portfel należał do niej. Był razem z nią w centrum handlowym na

Flower Hill, kiedy go kupiła. Nie musiał patrzeć na karty kredytowe, lecz zrobił to. Sears, Exxon, American Express. Niezbędna poza domem.

- Gdzie to zostało znalezione? - udało mu się zadać pytanie pozbawionymi czucia wargami.

- Przedmioty te znalezione przy zwłokach białej kobiety rasy kaukaskiej, wieku lat około dwudziestu dziewięciu, na parkingu przylegającym do restauracji McDonalda przy Rosecrans Street, o godzinie jedenastej trzydzieści dziś rano - odparł Houk.

- Miała włosy blond - dodał Gable, usilnie starając się być pomocny i sympatyczny - niebieskie oczy i była bardzo ładna. Na sobie miała czerwoną koszulę w kratę i błękitne levisy.

Lloyd nie podnosił wzroku, tylko raz za razem pocierał kciukiem biały grzbiet skórzanego portfela, jak gdyby spodziewając się, iż pojawi się na nim tajna wiadomość.

- Czerwoną koszulę w kratę? - zapytał.

- Właśnie. Czerwoną koszulę w kratę i levisy.

- Przed McDonaldem na Rosecrans?

- Dokładnie tak, proszę pana.

- Nic nie rozumiem - powiedział Lloyd i istotnie nie rozumiał. Tak dalece był pewien tego, iż Celia jest w San Francisco, że gotów był w tej chwili dzwonić do Ośrodka Sztuki Wykonawczej, choćby nawet miał ją wyciągnąć w połowie wykładu na temat odczytywania partytur operowych. Po prostu poprosił ją do telefonu i zapytał: „Jesteś tam, w San Francisco, nieprawdaż?” I usłyszeć, jak odpowiada: „Ależ tak! Oczywiście, że jestem!”

- Jak pan to powiedział? Zginęła w płomieniach? Nie żyje?

Sierżant Houk wciągnął policzki, tak iż wydawały się jeszcze bardziej zapadnięte.

- Przykro mi, panie Denman, ale naprawdę wszystko na to wskazuje. To znaczy, wciąż istnieje możliwość, że to nie jest pani Williams. Ktoś mógł pańskiej narzeczonej ukraść portfel. Lecz ja bym na to nie liczył.

- O czym pan mówi, u diabła? - zaprotestował Lloyd. - Odleciała stąd w niedzielę po południu! Sam osobiście odprowadziłem ją do samolotu! Miała wygłosić pięć wykładów na temat Wagnera i jego techniki operowej i zaraz potem jechać prosto do domu! Nie ma żadnych powodów, by wracała do San Diego przed sobotą, ja przynajmniej nie widzę ani jednego. Poza tym z pewnością by do mnie zadzwoniła.

- No cóż, musiał być jakiś motyw - łagodnie rzekł sierżant Houk. - Szkopuł w tym, że nie wiemy jeszcze, jaki.

Detektyw Gable dodał:

- Czy nie znajdowała się ostatnio w stanie silnego podniecenia nerwowego? Może bała się, że nie podoła tym wykładom, albo coś w tym rodzaju? Niektórzy ludzie załamują się bez żadnego ostrzeżenia, po prostu trzask-prask i następną rzeczą, której się o nich dowiadujemy, jest to, że zostawili rodzinę oraz przyjaciół i wachają kwiatki od spodu.

Lloyd z wolna potrząsnął głową. Kwiatki od spodu? Nie potrafił doszukać się żadnego sensu w tym, co do niego mówili. To, że Celia nie żyje, było zupełnie nie do wiary. W niedzielę rano leżeli obok siebie w łóżku, z dzbankiem świeżo naparzonej kawy i niedzielną gazetą w zasięgu ręki, a przez ażurowe żaluzje zaglądało do środka słońce. Oparła się na łokciu, z dłonią zanurzoną w gęstwą splątanych blond włosów, i powiedziała do niego:

- Będziemy mieć dzieci, prawda?

On zaś dokończył lektury Cahina & Hobbesa, pochylił się do przodu i pocałował ją w czoło.

- Oczywiście, że będziemy mieli dzieci. Chłopaka podobnego do mnie i dziewczynkę podobną do ciebie.

Uśmiechnęła się z rezerwą.

- Dziękuję uprzejmie, jedno dziecko wystarczy.

- Tylko jedno? Ja chciałbym całą dynastię!

- Jedno w zupełności wystarczy. Wiesz, mieć dziecko to zupełnie to samo, co żyć wiecznie.

Lecz nie było jej pisane urodzić dziecka, nikt jej nie dał tej szansy. Oto umarła, umarła śmiercią, jaką trudno sobie wyobrazić, jeśli w ogóle można. Ani wiecznego życia, ani niczego.

Łzy pociekły Lloydowi po policzkach, on zaś nie wiedział nawet, że płacze.

- Kiedy to się stało? - zapytał próbując sobie przypomnieć, czy nie doświadczył w ciągu dnia jakiegoś niespotykanego uczucia. Wrażenia jakiegoś chłodu, nagłego poczucia straty. Ale w porze lunchu oddawał się gorączkowej aktywności, większą część popołudnia spędził zaś nad księgami rachunkowymi. Nie przypominał sobie niczego poza szaleńczą harówką i zastanawianiem się, w jaki sposób ograniczyć wydatki na pralnię. Ah Kim podniósł właśnie cenę o dwa centy na obrusie.

- Wygląda na to, że oblała się benzyną - powiedział Houk. - Coś w rodzaju rytualnego samobójstwa. Jednemu z kucharzy od McDonalda udało się dobiec do niej z gaśnicą, ale już było za późno.

- Zginęła z własnej ręki?

- Przykro mi, panie Denman, na to właśnie wygląda.



- Nawet nie wiem, co tam robiła - zaprotestował Lloyd. - To znaczy... na miłość boską, co ona tam robiła? Nie była zmartwiona ani przygnębiona.

- Przykro mi, panie Denman, doprawdy nie mamy pojęcia. Nie wiemy nawet, jak się tam dostała. Nigdzie w pobliżu nie było żadnego prywatnego środka lokomocji, którego obecności nie dałoby się wytłumaczyć. Nikt też nie widział kobiety z kanistrem benzyny w ręku jadącej autobusem.

Lloyd wyciągnął chusteczkę i otarł oczy.

- Boże, Boże, co za okropna strata. Nie mam wprost słów, by wyrazić, jak... - Przerwał. Gardło miał zbyt mocno ściśnięte i wydawało się, że wargi odmówiły mu posłuszeństwa. Popelniła samobójstwo, dokonała samo-spalenia i nawet nie zadała sobie trudu, by mu powiedzieć, dlaczego. To bolało. Nawet nie poprosiła go o pomoc.

Sierżant Houk czekał przez długą chwilę. Pojawiły się obie kelnerki i Lloyd widział, jak z zaniepokojeniem rozmawiają z Waldem, wyglądając co chwila na balkon. Z wahaniem machnął ręką w ich kierunku, lecz prawdopodobnie nie zrozumiały, o co mu chodzi, albo też były zbyt przygnębione, gdyż nie odpowiedziały mu tym samym.

Sierżant Houk spojrział na nie przez ramię, potem zaś ostrożnie wyjął Lloydowi z rąk portfel i bransoletkę.

- Otrzyma pan te rzeczy z powrotem tak szybko, jak to tylko będzie możliwe, panie Denman. Tymczasem chciałbym pana o coś poprosić. Nie będzie to łatwe, ale trzeba, żeby jutro ktoś pojechał do miasta zidentyfikować w kostnicy pozostałe szczątki.

„Pozostałe szczątki - pomyślał Lloyd. - Cóż za beznadziejne, sprzeczne ze sobą słowa. Kiedy dusza opuszcza ciało, nie pozostaje nic. Nic oprócz wspomnień, oprócz zbiorowiska przedmiotów. Ubrania, fotografie, głos, który przemawia raz za razem z kasety wideo, powtarzany bez końca uśmiech”.

- Będziemy musieli zadać panu jeszcze kilka pytań - powiedział sierżant Houk. - Usiłujemy odtworzyć cały przebieg zdarzenia minuta po minucie.

Lloyd skinął głową.

- W porządku, rozumiem.

Detektyw Gable położył mu współczująco rękę na ramieniu.

- Dobrze się pan czuje? Może odwiedzić pana do domu lub dokądkolwiek?

- Nie... dziękuję - odparł Lloyd. - Muszę się zająć restauracją.

Obaj policjanci pozostawili go samego na balkonie i poszli zamienić kilka słów z Waldem. W największym skrócie brzmiały one:

- Mieście na niego oko, jest jeszcze w szoku.

Potem odjechali. Lloyd przez długi czas siedział w samotności, nieświadomy tego, że restauracja nie napelnia się gośćmi, że nikt nie wchodzi do środka. Waldo umieścił na zewnątrz pośpiesznie nakreślony kredą napis: ZAMKNIĘTE Z POWODU ŻAŁOBY, Suzie zaś wydzwaniła do klientów, którzy zamówili stół, przepaszając i odwołując rezerwacje oraz obiecując następnym razem koktajle na koszt firmy.

Lloyd wstał i przechylił się przez otaczającą balkon barierkę. Ocean pod jego stopami lśnił jak roztopiona cyna, z wolna marszcząc powierzchnię. Mewy zataczały w powietrzu kręgi i krzyczały wniebogłosy. Lloyd zastanawiał się, czy któraś z nich nie jest aby Celią, krążącą nad zatoczką La Jolla w poszukiwaniu jego osoby.

Waldo wyszedł na zewnątrz i stanął w pewnym oddaleniu za jego plecami.

- Dobrze się pan czuje, panie Denman? - zapytał wreszcie. - Może się pan czegoś napije?

Lloyd potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję.

- Chce pan, żebym odwiózł pana do domu?

- Nie wiem. Czuję się taki nierzeczywisty. Wydaje mi się, że jestem tutaj, a jednocześnie wcale mnie tu nie ma. Potrafisz to zrozumieć?

Waldo podszedł bliżej i ścisnął Lloyda za ramię.

- To piękny wieczór, panie Denman. I piękna jest dzisiaj zatoka. Czy wie pan, co mówi się na Litwie, kiedy ludzie umierają w taki dzień jak dzisiejszy? Mówi się, że Pan Bóg tak bardzo ich kochał, iż zapalił w niebie wszystkie latarnie, by nie zabłądzili po drodze.

### ROZDZIAŁ 3

Kilka minut po ósmej Lloyd wracał własnym samochodem do North Torrey. Nastawił radio, lecz nadawano właśnie *Un bel di vedremo* z *Madame Butterfly*, co okazało się ponad jego siły - była to ulubiona aria Celi. Pozostałą drogę do domu przebył ze łzami spływającymi po policzkach.

Kiedy skręcał na podjazd, ponad drzwiami werandy paliła się latarnia i jarzyły się światła w salonie, lecz tylko dzięki temu, iż zadziałał wyłącznik czasowy. Nikt na niego nie czekał i nie będzie czekać już nigdy.

Zaparkował przed domem białe BMW i zgasił silnik. Przez trzy lub cztery minuty siedział za kierownicą, nie mogąc się zdecydować, czy rzeczywiście ma ochotę wejść do środka. Celi już nie było wśród żywych, lecz jej rzeczy wciąż jeszcze się tam znajdują; jej ręcznik wisi nadal w łazience. Jej zdjęcie będzie uśmiechać się do niego z nocnego stolika. I, najboleśniej ze wszystkiego, wciąż jeszcze będzie mógł wyczuć jej zapach. Czerwoną Kantatę od Giorgia z Beverly Hills.

Otworzył schowek na rękawiczki, by wyjąć pilota do zdalnego otwierania bramy, i pierwsze, na co się natknął, to okulary przeciwsłoneczne i szminka, leżące tam, gdzie je ostatnim razem wrzuciła. Otworzył szminkę. Czerwona Kantata.

Wieczne cienie zaczynały gęstnieć. Powietrze było gorące, ciężkie, unosił się w nim mocny zapach eukaliptusa i sosny. Niebo nad głową wyglądało, jakby Pan Bóg roztrzepał je z dżemem porzeczkowym, tak jak matka Lloyda zwykła roztrzepywać mu mleko, kiedy byli mały. *Wolę czarną porzeczkę od każdego innego dżemu* - zaśpiewał jakiś głos w głębi jego umysłu.

Wreszcie Lloyd wysiadł z samochodu, zatrzasnął drzwi i ze straszliwą niechęcią zrodzoną z prawdziwej rozpaczki skierował się w stronę parterowego domu w kształcie litery „L”. Zza krzaków paproci mrugał porozumiewawczo ocean - była to owa słynna „możliwość widoku” na Północne Wybrzeże, za którą tyle zapłacili i z której tak lubili żartować. Rozważali nawet pomysł zmiany nazwy willi na Dom z Możliwością Widoku.

Otworzył frontowe drzwi i wszedł do środka. Wewnątrz panowała tak senna cisza, że ledwie oparł się pokusie, by zawołać: „Celia? Jesteś tu?”

Buty zaskrzypiały mu w przedpokoju, gdzie położono parkiet z rozjaśnionego i wypolerowanego dębu, za to potem w zupełnej ciszy przemaszerował po podłodze salonu, która była pokryta grubą warstwą kremowej wykładziny. Stał w samym środku salonu i

rozejrzał się, jak gdyby nie było go tu przez całe lata. W powietrzu unosił się mocny zapach dębiny i nowych dywanów. *Wolę czarną porzeczkę od każdego innego...*

Salon pomalowany był na biało i umeblowany z gustowną skromnością. Celia zawsze była zwolenniczką prostych mebli i wolnej przestrzeni. Gdybyż tylko Lloyd wiedział, jakimi skomplikowanymi drogami chodziły jej myśli. Znajdowały się tu dwie kanapy z różowo-niebieskim obiciem z lśniącej bawełnianej tkaniny, dwa fotele w stylu Ludwika XV i stolicek do kawy ze stojącą na nim rzeźbą z drewna wyrzuconego przez morze, a także schludnie ułożony stosik „Nowin Operowych” i „Muzykalnej Ameryki”.

Na ścianach wisiały utrzymane w żywych tonach oleje miejscowych malarzy. Widoczek Presidio w migoczącym świetle, z charakterystyczną kopułą i białymi ścianami. Zaraz obok portret Meksykanki stojącej w wejściu do chaty z cegły adobe i sprzedającej z koszyka owoce. Portret nosił tytuł *Kto kupi moje cytryny?*

Lecz optycznym i emocjonalnym punktem ciężkości salonu - w gruncie rzeczy optycznym i emocjonalnym punktem ciężkości całego domu - był śnieżnobiały fortepian Celi firmy Yamaha, który Lloyd podarował jej, gdy tylko się tu przeprowadzili. Fortepian miał symbolizować niezmiennosc uczuć i trwałość zobowiązań. Ich własny dom; związek, który przetrwać ma wszelkie burze.

- Tak czy inaczej - powiedział jej Lloyd - można wynieść się z domu i pójść gdzie oczy poniosą z jedną walizką w rękę, ale trudno jest pójść gdzie oczy poniosą razem z fortepianem. „Zginęła w płomieniach”.

Lloyd podszedł do fortepianu i zagrał dwie lub trzy smętne nuty. Wszystkie te lata, przez które Celia ćwiczyła. Wszystkie te lata, które poświęciła Wagnerowi, Verdiemu i Pucciniemu. Palce śmigające po klawiaturze. Oczy zamknięte, głos dźwięczący w wysokich oktavach. „Zginęła w płomieniach”. Zagrał trzy początkowe akordy Evergreen, jako że nigdy nie nauczył się grać żadnej operowej melodii: *Miłość miękka jak wygodny fotel...* Wtem urwał, zatrzasnął pokrywę klawiatury i przekręcił kluczyk. Od tej pory fortepian miał pozostać niemy. Nikt inny go nigdy nie dotknął.

Na fortepianie, starannie zaaranżowana, stała należąca do Celi kolekcja marynarskiego rękodzieła z Nantucket, Salem oraz Nabrzeża Barbarzyńców. Niektóre okazy sięgały aż 1720 roku, lecz jej ulubionym eksponatem zawsze był liczący sobie dwadzieścia tysięcy lat fragment skamieniałego kła mamuta, przepięknie rzeźbiony przez Bonniego Schul-te'a, jednego z najznakomitszych marynarzy-rzemieślników w całym kraju.

Lloyd obiecał Celi następne dzieło Schul-te'a na urodziny. Teraz zaś jedyną rzeźbą, jakiej potrzebowała, był własny nagrobek.

Lloyd nie mógł uwierzyć, że ich wspólne życie skończyło się, nim jeszcze zdążyło się zacząć. Co gorsza, z nikim nie mógł się podzielić rozpaczą. Oboje rodzice Celi nie żyli, a chociaż wspominała coś o starszej siostrze w Denver, Lloyd nie miał pojęcia, gdzie ona mieszka ani jak brzmi jej nazwisko po mężu, ani w jaki sposób mogłby się z nią skontaktować.

Z karafki ze rżniętego szkła, stojącej na hiszpańskiej komódce pokrytej czarną laką, nalał sobie pełną szklaneczkę whisky. Drżały mu ręce i karafka dzwoniła o brzeg szklanki. Z drinkiem w dłoni udał się do sypialni i popatrzył na wielkie dębowe łożo. U wezglowia na ścianie wisiało stylizowane malowidło, przedstawiające parkę kalifornijskich przepiórek trącających się dzióbkami. Celia mówiła, że to ich wspólny portret podczas pocałunku w następnym wcieleniu.

- Chciałabyś powrócić na świat jako przepiórka? - zapytał ją wówczas.

Uśmiechnęła się.

- Lepiej powrócić jako przepiórka niż nie powrócić wcale.

Pod wpływem impulsu zadzwonił do hotelu Miyako w San Francisco.

- Chciałbym mówić z panią Williams. Pauza, potem zaś uprzejmie:

- Żadna pani Williams nie jest tu zameldowana, proszę pana.

- Może już wyjechała. A czy była wczoraj albo przedwczoraj?

- Nie, proszę pana. Nikogo o nazwisku Williams.

- A może Denman? Jest ktoś o nazwisku Denman?

- Nie, proszę pana. Denbigh, owszem, ale nie Denman. Marszcząc brwi ze zdziwienia Lloyd odwiesił słuchawkę.

Zeszłej nocy Celia mówiła mu przez telefon, że dzwoni z Miyako; był tego całkiem pewny. Wspominała nawet o japońskim posiłku, który zamówiła sobie do pokoju - krewetkach *teriyaki*. Tymczasem wcale jej tam nie było, chyba że zameldowała się pod zupełnie innym nazwiskiem. Najwyraźniej go oszukiwała. Ale dlaczego?

Wypił whisky duszkiem i powiedział sobie: „Może fortepian to było mimo wszystko za mało, by ją utrzymać. Może znalazła sobie nowego kochanka”.

Począł przemierzać salon z kąta w kąt, oddając się gorączkowym rozmyśleniom. Kochanek? To nie miało sensu. Celia zawsze mówiła mu prawdę, nawet gdyby miała się ona okazać bolesna. Celia nigdy nie znalazłaby sobie innego mężczyzny, nie uprzedziwszy go o tym. Nie mogłaby. Oprócz tego wydawała się szczęśliwa aż do upojenia. We wrześniu mieli się pobrać: rozmawiali nawet o tym, ile chcieliby mieć dzieci i jakie będą ich imiona. Chłopcu

miało być Joseph, a dziewczynce Tershia.

Gdyby zaś rzeczywiście znalazła sobie kogoś innego - naprawdę się w kimś zakochała - czemu miałyby szukać śmierci w płomieniach?

Przekartkował książkę telefoniczną i znalazł nazwisko Sylvii Cuddy, najlepszej przyjaciółki Celi z Opery San Diego - okulary od najmłodniejszego optyka, zmysłowe różowe wargi, dziko splątana fryzura. Wystukał numer środkowym palcem i wcisnął słuchawkę pod brodę czekając, aż Sylvia odbierze telefon.

- Sylvia? Tu Lloyd.

- Cześć, co za niespodzianka! W czym mogę ci pomóc? Lloyd zauważył, iż nie jest w stanie przełknąć śliny.

Jakby mu ktoś do gardła nakładł żwiru.

- Sylvio... obawiam się, że mam naprawdę złe wiadomości.

Słyszał, jak załamującym się głosem mówi, że Celia nie żyje. Słyszał, jak Sylvia temu zaprzecza. Słyszał swój własny głos mówiący, że to prawda. Jest mu niewymownie przykro, ale to prawda. Nawet nie wiedział, czy sam w to wierzy. Być może padł ofiarą surrealistycznej pomyłki, jak w którymś z tych filmów, kiedy to zamiast swojej odbierasz z przechowalni cudzą walizkę, otwierasz ją i *voilà!* Nie ma pizamy, nie ma brudnych skarpetek, nie ma maszynki do golenia, jest tylko czysta heroina w celofanowych torebeczkach wartości czterech milionów dolarów.

- Sylvio... próbuję ustalić, kto mógł się widzieć z Celią ostatni... nim wyjechała z San Francisco.

Pełna wahania pauza.

- Z San Francisco? O czym ty mówisz?

- Miała w San Francisco wygłosić cykl wykładów o operze, czyż nie tak? Dwutygodniowy angaż w Ośrodku Sztuki Wykonawczej.

- Cóż, być może miała jakieś wykłady, Lloyd, ale nie dla nas. Mnie nigdy nie mówiła o czymś takim.

- Kiedy po raz ostatni z nią rozmawiałaś? - spytał Lloyd.

- No cóż, zaledwie wczoraj rano. Powiedziała mi, że dzwoni z domu.

- Masz na myśli stąd? Z La Jolla? Co ci mówiła?

- Nie bardzo sobie przypominam... - wyznała Sylvia. - Nic ważnego w gruncie rzeczy. Podała mi przepis na tarantino cielece, który zawsze próbowałam od niej wydobyć. Potem mówiła coś o tym, jaka jest podniecona czekając ją przyszłością. No i skończyła rozmowę.

- Czy nie powiedziała czegoś niecodziennego? Czegoś, co by cię uderzyło?

Sylvia myślała o tym przez chwilę.

- Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że cała ta rozmowa była w jakiś sposób dziwna - ot, tak zadzwonić ni z tego, ni z owego, po to tylko, żeby dać mi przepis. I jeszcze sposób, w jaki na zakończenie rzekła: „No to żegnaj, Sylvio”. To brzmiało jakoś tak ostatecznie. Powiedziałam jej: „Mówisz tak, jakbyś się wybierała w jakąś podróż”. Lecz nie odezwała się ani słowem.

Lloyd powoli odłożył słuchawkę na miejsce. Im więcej dowiadywał się na temat ostatnich chwil Celi, tym bardziej wydawały się one tajemnicze i niepokojące. Wyobrażał sobie, iż oboje z Celią dzielili się z sobą całym swoim życiem. Swoją przyjaźnią, swoją namiętnością, swymi ambicjami, swymi najskrytszymi myślami. Teraz poczuł, że maska opadła i jego oczom ukazała się zupełnie inna Celia. Celia, którą otaczał krąg tajemnicy. Celia, która go okłamywała, tak jak okłamywała również swoją najlepszą przyjaciółkę.

Ujrzał, jak przez otwarte drzwi do sypialni śmieje się z niego fotografia Celi, ta którą zrobił na rynku w Rancho Santa Fe.

„Z czegoż to się pani śmieje, wielmożna pani? - pomyślał. - Cóż to za pomysł iść dzisiaj na ten parking, oblać się benzyną i podpalić?”

Poszedł do sypialni, wziął do ręki fotografię i przyjrzał się jej z bliska, próbując stwierdzić, czy czegoś nie zdradzi mu wyraz jej twarzy.

„Przede wszystkim, Celio, dlaczego nie powiedziałaś mi, że coś cię gnębi? Dlaczego nie poprosiłaś mnie o pomoc?”

„Może i poprosiła” - pomyślał. Może to on nie potrafił zrozumieć.

Stwierdzenie to okazało się tak bolesne, że niemal nie do wytrzymania, i Lloyd wydał z siebie rozpaczliwe łkanie, które paliło go w krtani.

Wysączył do reszty whisky, trzymając karafkę do góry dnem, póki ostatnia kropelka nie spadła do szklanki. Wówczas niezdarnie ściągnął spodnie, stękając i sapiąc omotał się duńską kołdrą z kaczego puchu i starał się zasnąć.

„Ona nie żyje, jej już nie ma, ale ty musisz zasnąć. Jeśli nie uśniesz, nie będziesz w stanie zatroszczyć się o restaurację ani o Walda, ani o wszystkich innych, którzy są od ciebie uzależnieni”.

Wkrótce pod kołdrą zrobiło się gorąco nie do wytrzymania, zatem odkrył się i położył na wznak w poprzek łóżka, czując się bardziej pijany niż kiedykolwiek w życiu. Materac kołysał się i pływał, jak gdyby zdrzynał na ocean za linię przyładka Loma. Zdawało mu się, iż głowę ma bez reszty wypełnioną groźącymi eksplozją oparami whisky.

- Celia? - zapytał na głos, zdając sobie sprawę, że jej tam nie ma, lecz będąc dostatecznie pijany, by zanegować istnienie realnego świata. - Celio, Kocham cię, na miłość boską! Nie wiesz o tym? Celio!

Celia nie odpowiadała, Celii już nie było, spłonęła na parkingu przy Rosecrans. Jutro na własne oczy zobaczy jej ciało i może wówczas będzie gotów to zaakceptować. Spał z otwartymi ustami i śniło mu się, że toczy spór z handlarzami nieruchomości.

„Mówiliście, że będzie w pokoju ta wnęka. To nie jest wnęka, to grób”.

Potem przyśniła mu się kuchnia w restauracji. Louis mieszał w kotle zupę rybną, nieświadomy obecności ogromnych homarów, które pęzały wszędzie po podłodze, podnosiły się i klekotały, czarnobłękitne i lśniące, z wolna poruszając wyciągniętymi w jego stronę szczypcami. Zakołysały się drzwi wejściowe. Iii - aaa, iii - aaa! Ktoś przemknął mu za plecami, ratując się ucieczką. Wypadł na korytarz. Restauracja stała w płomieniach. Wszędzie wokół biegały z krzykiem nagie kobiety z płonącymi włosami, Iiiiiiiiiiiii!

Otworzył oczy. Był jeszcze pijany, lecz miał świadomość, że słyszał jakiś hałas. Leżał bez ruchu, nasłuchując w napięciu. Skrzypnięcie, szelest, bezgłośny szept, niby powiew przeciągu powstały przy otwarciu drzwi. Przysłuchiwał się z jeszcze większą uwagą.

Coś upadło z hałasem i potoczyło się po podłodze. Potem dał się słyszeć ogłuszający łoskot. Lloyd w jednej chwili wyskoczył z łóżka i chwiejnie wytoczył się z sypialni, objając się boleśnie o framugę.

„Cholera, ależ to boli”. Powiedział to niemal na głos. Zatrzymał się, zatoczył, omal nie tracąc równowagi, i cały zamienił się w słuch.

W domu panowała cisza. Był jednak pewien, iż wyczuwa jakieś poruszenie. Z całą pewnością słyszał czyjś oddech. Powinien być teraz sam w domu, skoro Celia odeszła, a jednak bez wątpienia ktoś tu jeszcze był.

Hal Pinkerton, najbliższy sąsiad, zawsze namawiał go do kupna broni. Teraz nie mógł odzalaować, iż go nie posłuchał. Wyobraźnia podsuwała mu obraz dwumetrowego i przeszło stukilowego narkomana z błyszczącym od potu umięśnionym torsem, z nożem a la Rambo czającego się w salonie, nie opodal wnęki, która bardziej była podobna do grobu.

Po omacku poszukał na ścianie kontaktu. Zapalił światło. Mrużąc oczy odkrył, iż znajduje się sam w pustym salonie. Nikogo. Tylko malowana twarz Meksykanki i jej nie sprzedane cytryny. Tylko dywan, podłoga i meble.

Jednakże kiedy spojrzał w kierunku fortepianu, zdał sobie sprawę, iż coś się zmieniło. Zniknęła cała kolekcja marynarskiego rękodzieła. Dwadzieścia lub trzydzieści kawałków rzeźbionego fiszbinu, które Celia artystycznie i z wielką pieczołowitością poustawiała na



wieku fortepianu. Teraz wierzch instrumentu świecił pustką.

Lloyd podszedł do fortepianu i położył dłonie płasko na wieku. Zimne, błyszczące i białe jak sama śmierć. Chińczycy zawsze twierdzili, że śmierć jest biała. Rozejrzał się, lecz wyglądało na to, że nie brakuje niczego więcej. Któż, u diabła, podjąłby ryzyko włamania do domu mieszkalnego dla dwóch tuzinów wyrzeźbionych figurek?

Poszedł do kuchni. Tylne drzwi były otwarte na oścież i do środka napływał chłód nocy. W powietrzu unosił się zapach oceanu. Ostrożnie wysunął nieco jedną z kuchennych szuflad i wyjął z niej największy nóż rzeźnicki. Boso stąpając po nagich ceglach, wyszedł na tylny ganek i natężył wzrok w ciemności.

Przez okamgnienie zdawało mu się, że widzi coś pod drzewem awokada po drugiej stronie patia. Jakiś blady kształt, który ledwie mignął.

Nie było ku temu żadnego racjonalnego powodu, lecz nagle ogarnął Lloyda okropny strach.

„Nie bądź śmieszny. Kimkolwiek byli, już sobie poszli. Najpewniej jakiś nabuzowany szczeniak, szukający pieniędzy na prochy”.

- Jest tam kto? - zawołał.

Lecz w gruncie rzeczy nie spodziewał się odpowiedzi. Cóż niby włamywacz miał odpowiedzieć? - „To ja, nic się nie bój. Właśnie się do ciebie włamuję”.

Wydało mu się, iż słyszy nikły szmer w zaroślach pod płotem, ale nie był pewny.

- Ty tam, do ciebie mówię! - krzyknął ostro. - Lepiej nie próbuj drugi raz włamywać się do tego domu! Nie rób tego, jeśli nie chcesz, żebym ci łeb strącił z karku! Mam tu największą dubeltówkę, jaką kiedykolwiek w życiu widziałeś, i nie boję się z niej zrobić użytku!

Odczekał jeszcze minutę, ale nie było już dalszych hałasów; nic nie wskazywało na to, by ktoś krył się za drzewem awokada czy czał się w zaroślach.

„Bądźmy szczerzy, do tej pory są już pewnie w połowie drogi do Leukadii”.

Wszedł z powrotem do kuchni i zamknął za sobą drzwi. Odczuwał lekkie dreszcze, i to nie tylko z zimna. I właśnie wówczas, odwracając się od drzwi, zdał sobie sprawę, że intruz dostał się do domu bez sforsowania zamka. Żadna szybka nie była stłuczona, nie widać było śladów manipulowania śrubokrętem. Ponownie otworzył drzwi. Po drugiej ich stronie tkwił jeszcze w zamku zapasowy klucz.

Zapasowy klucz, który zawsze trzymali schowany w drugim końcu patia, głęboko zagrzebany w donicy z sycylijskiej terakoty.

Zapasowy klucz, o którym wiedział tylko on i Celia.

„Chryste Panie, to śmieszne! Ktoś musiał widzieć, jak go tam wkładaliśmy. Zapewne ogrodnik Pinkertonów. Ciągłe przesiaduje na drabinie przycinając pnącza. Czyściciel basenów. Lub ktokolwiek inny. Albo też jest to jedna z tych kryjówek, które tępi i naiwni właściciele domów uważają za nie do odkrycia, a które doświadczony złodziej potrafi zlokalizować w ciągu kilku minut”.

Celia nie żyje. Celia już nigdy nie wróci. O świcie zaś, o mój Boże, będzie musiał zidentyfikować jej zwłoki. Będzie musiał stanąć przy jej spalonych szczątkach i powiedzieć: „Tak, to kobieta, którą kochałem”.

Nie miał pojęcia, jak wyglądają spalone zwłoki, i sama myśl o tym napawała go przerażeniem.

Zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku, pociągając jeszcze dla pewności za klamkę. Potem wrócił do salonu, odczuwając suchość w ustach, mdłości i inne skutki wczorajszego pijaństwa. Podszedł do hiszpańskiego biurka, nalał sobie pełną szklankę wody sodowej i wypił duszkiem trzy hausty.

Pijąc, przypadkowo spojrzął na podłogę za jedną z sof. Ku jego zdumieniu cała kolekcja Celi leżała rozsypana na dywanie. Gdy przedtem szedł do kuchni, była poza zasięgiem jego wzroku. Ale oto znalazła się, wszystkie dwadzieścia czy trzydzieści eksponatów. To musiał być ten ogłuszający hałas, który usłyszał. Wyglądało to zupełnie tak, jak gdyby ktoś zmiotł wszystko z wieka fortepianu jednym niecierpliwym ruchem ręki.

Lloyd ukląkł na dywanie i dokładnie zbadał fiszbinowe figurki, z uwagą obracając je w rękę. Szkunery, nabrzeża portowe, syreny, burze na morzu - wszystko oddane z pedantyczną dbałością o szczegół. Dlaczego ktoś miałby odczuwać ochotę, by zrzucić te wszystkie małe arcydzieła na podłogę? To nie miało żadnego sensu. Chyba że intruz był całkiem szalony albo otumaniony prochami. Albo zły, że nie udało mu się znaleźć niczego, co przedstawiałoby jakąś większą wartość - ani nawet czegoś, co udałoby się korzystnie opylić.

Lloyd podniósł się z podłogi. To idiotyczne. To zupełny kretynizm. Wtem jego wzrok padł na najcenniejszy okaz kolekcji Celi, fragment skamieniałego kła mamuta sprzed dwudziestu tysięcy lat, ułożony z widoczną dbałością na poduszce kanapy.

Nie śpiesząc się wziął go do ręki. To wszystko było dla niego zupełnie niezrozumiałe. Jakież włamywacz mógłby wiedzieć, że ten akurat okaz był wart dwadzieścia razy tyle co wszystkie pozostałe, stojące obok niego kawałki fiszbinu? W jaki sposób udało mu się w ciemnościach odróżnić go od dwudziestu czy trzydziestu innych? I co jeszcze dziwniejsze - jeśli potrafił wybrać go spośród wszystkich pozostałych, to musiał znać jego wartość. Dlaczego zatem nie włożył go do kieszeni i nie zabrał ze sobą?

Lloyd nie potrafił znaleźć na to pytanie logicznej odpowiedzi. Był zbyt skacowany, zbyt zszokowany i w gruncie rzeczy nie miał ochoty się dowiedzieć, iż odpowiedź bynajmniej nie musi być logiczna.

Wypił do dna wodę sodową. Potem pogasił światła i przez ciągnącą się niczym godzina chwilę stał bez ruchu w ciemnościach. Wyczerpany, nawiedzany wspomnieniami i pozbawiony nadziei. „Celio” - pomyślał albo powiedział. Albo i to, i to.

Usłyszał, jak wenecki zegar w holu pedantycznie wybija trzecią. Uno, due, tre. Po raz ostatni rozejrzał się bez entuzjazmu po pokoju i skierował się z powrotem do łóżka. Rzucił się na wznak na pościel jak rażony gromem. Celia nie cierpiała, kiedy tak robił.

W myślach usłyszał słowa napisane przez Allena Ginsberga. *A ty odeszłaś, Śmierć zezwoliła, Śmierć okazała łaskę, skończyłaś z epoką, Bogiem, drogą przez to wszystko, z tobą samą wreszcie - Czysta - wróciłaś w Dziecięcy mrok sprzed Narodzin, przed nas wszystkich - przed świat - Tam pozostań. Już żadnych dla ciebie cierpień. Wiem, dokąd odeszłaś, jest dobrze*<sup>1</sup>.

Pomyślał, że już pewnie nie zaśnie, ale po półgodzinie same zamknęły mu się oczy, oddech stał się głęboki i chrapliwy, po czym z wolna pochłonęła go noc.

Śniło mu się, że przez blisko godzinę, przyciśnięta do szyby, tkwiła za oknem sypialni twarz szara jak marmur, przyglądając mu się z najdziwniejszym w świecie wyrazem żalu i pożądania. Być może była tam rzeczywiście; być może nie był to wcale sen. Cokolwiek jednak to było, rozwiało się wraz z nocnym mrokiem i nim nastał świt, nie było już w ogrodzie nikogo.

---

<sup>1</sup> Fragment poematu Kaddysz w przekładzie Bogdana Barana (Utwory poetyckie, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984).

## ROZDZIAŁ 4

Poculi w powietrzu swąd spalenizny już z odległości pięciu lub sześciu kilometrów, na długo przedtem, nim autobus znalazł się w zasięgu ich wzroku. Potem zaczęli napotykać niesione z rzadka przez wiatr kłęby brudno-białego dymu.

Gdyby nie byli tacy głodni i tacy zmęczeni, prawdopodobnie natychmiast zdaliby sobie sprawę, że to swąd palonego ciała.

Tymczasem Ric opuścił szybę w oknie patrolowego samochodu, dwa lub trzy razy wciągnął nosem powietrze i skinął głową z aprobatą.

- Dasz wiarę? - rzucił. - Pieką coś nad ogniskiem.

- O tak, z pewnością - odburknął sierżant Jim Griglak nie wyjmując z ust cygara. - Pięćdziesiąt pięć stopni w cieniu, środek pustyni, dwadzieścia po trzeciej po południu i ktoś piecze coś nad ogniskiem?

- Daj spokój, tylko powąchaj: to zapach ogniska - zapewnił go Ric. - Zadnie żeberka jagnięcia, przypieczone z wierzchu, kruchutkie w środku. Porządnie oszroniony dzbanek mrożonego margaritas. Sałatka z jaj, awokada i szczypiorku, do tego chrupiące *tacos*, podlane sosem *salsa* i skropione odrobiną *cilantro*.

- Muñoz, przyjacielu, ty masz halucynacje - odparował sierżant. - Jeśli cokolwiek smaży się tam na ruszcie, to tylko pieczona opona. - Wyjął cygaro z ust i strącił szary słupek popiołu na podłogę. - Komuś zagrzał się silnik albo strzeliła guma. A teraz czy nie zechciałbyś zamknąć okna, zanim upiecze nas ten skubany upał? Ric podkreślił szybę.

- W każdym razie pachnie jak *barbecue* - nie dał się przekonać.

Jim Griglak, garbiąc masywne ramiona, w dalszym ciągu prowadził z tą samą jednostajną osiemdziesiątką na liczniku, a jego ogromne dłonie obejmowały kierownicę, jak gdyby znajdował się w dzieciennym samochodziku z wesołego miasteczka. Porośnięte kolczastą roślinnością kremowe wzgórza pustyni Anza-Borrego promieniowały żarem, autostrada zaś wciąż wspinała się ze zbocza na zbocze, wyginając się w górę i w dół niczym porzucona skóra gigantycznego pustynnego węża.

Wjechali na szczyt wzgórza i przed ich oczyma pojawiła się następna dolina. Pustynna i gorąca jak piec chlebowy, tak samo jak poprzednia i jeszcze poprzednia. Niebo było takie błękitne, iż wydawało się źle dopasowane do linii horyzontu, jak na krzywo wydrukowanej układance obrazkowej. Poczęli zjeżdżać i poprzednia dolina zniknęła im sprzed oczu.

- Cały ten interes z *barbecue* to moim zdaniem nabieranie gości. - Griglak pociągnął

nosem. - Mogę upiec sobie jedzenie nad ogniem, kiedy tylko mam na to ochotę. Wszystko, czego do tego potrzebuję, to kanister bezołowiowej i zapalka. Po co komu gałazki *mesquite* po siedem dolców za torebkę i fartuch za piętnaście dolarów ze świńskim obrazkiem?

- To nie jest kwestia samego przygrzania mięsa - zaproponował Ric. - Cała rzecz w dodatkach. Powinieneś spróbować kurczaka z chili i pomidorami albo wieprzowiny z *teriyaki*. Może jeszcze jagnięciny z limoną i jogurtem.

Jim Griglak potrząsnął głową i począł pracowicie zapalać cygaro, które akurat uznało za stosowne zgasnąć bez żadnego powodu, jeśli nie brać pod uwagę jego niskiej ceny.

- Muñoz - powiedział - za dużo oglądasz tych pedalskich programów o gotowaniu. Szkoda, że nie byłeś w zeszłym roku na *barbecue* u Norma Foxa. Norm miał gacie od góry do dołu upaprane tymi nowomodnymi dodatkami, a co takiego dostaliśmy do jedzenia? Hamburgery węglowe, kurczęta à la węgiel, krewetki w sosie węglowym i kiełbaski zwęglone. *Barbecue*? To było skubane krematorium.

Ric nie pozwolił Jimowi Griglakowi wytrącić się z równowagi. Jim był potężny - mierzył metr dziewięćdziesiąt wzrostu bez - rzadko kiedy pastowanych - butów, ważyłby zaś pewnie ponad sto trzydzieści kilo, gdyby jego waga łażeniowa nie pozwoliła sobie już wcześniej odmówić posłuszeństwa. Miał piegi od częstego przebywania na słońcu, odznaczał się powolnością i nieco melancholijną mądrością, lecz był jednym z najlepszych sierżantów, z jakimi Ric kiedykolwiek pracował. Któregoś dnia jednym strzałem trafił uzbrojonego handlarza heroiną prosto między oczy, nim Ric zdążył w ogóle wyjąć z kabury swą 375-tkę. Innym zaś razem partner oglądał go w czasie pościgu za nielegalnym meksykańskim imigrantem, poruszającego się z całą gracją i majestatem szarżującego nosorożca. Nawet sam Meksykanin nie oparł się pokusie zatrzymania się i obejrzenia niepowtarzalnego spektaklu, jaki stanowił pędzący ku niemu niczym błyskawica Jim Griglak - wielka falująca góra baloników czekoladowych i cheeseburgerów z szynką.

Ric doskonale zdawał sobie sprawę, iż Jim - na zasadach wzajemności - uważał go za niepoprawnego szpanera, *yuppie* w przebraniu stróża prawa. Był jednym z przedstawicieli nowego pokolenia dobrze ułożonych i nastawionych na szybkie zrobienie kariery funkcjonariuszy Patrolu Drogowego, którzy zawsze nosili okulary przeciwsłoneczne, pili importowane piwo i chodzili strzyc się i przycinać wąsy do zakładu Czas i Przestrzeń w La Jolla. Mimo to pomiędzy Rickiem a Jimem panowało ostrożne zawieszenie broni, rozejm, który od czasu do czasu graniczył ze szczerą przyjaźnią. Bo i też nie musieli ze sobą rywalizować. Zanim bowiem Ric osiągnąłby starszeństwo pozwalające na ubieganie się o awans, Jim - dawno już oddawszy odznakę i powiesiwszy broń na kołku - przeszedłby na

zasłużony odpoczynek i schronił się do swego domku myśliwskiego w puszczy Cuyamaca, gdzie mieszkałby wraz z kudłatym kundlem wabiącym się Akron, księżycem i hektarami wonnej manzanity.

- Wie pan co, sierzancie? - odrzekł Ric. - Powinien pan wpaść kiedyś do mnie. Ja panu pokażę, jak się robi *barbecue*. Z tym się trzeba urodzić. Nigdy jeszcze żaden Jankes nie umiał piec *barbecue*.

- Ten dym robi się cholernie gęsty - przerwał mu Jim. - Cholera, jak się na taki mówi? - Klepnął się dłonią w udo, próbując wygrzebać słowo z pamięci. - Z a w i e s i s t y. - Był zagorzałym, acz niezbyt utalentowanym czytelnikiem rubryki *Wzbogać swój słownik*.

- No cóż, oto cała filozofia udanego *barbecue* - powiedział doń Ric. - Gałązki mesquite trzeba przez cały czas skrapiać...

Urwał tak nagle, jak gdyby ktoś wyłączył radio. Wjechali na szczyt kolejnego wzgórza i oto przed nimi, oblana słońcem i obsypana pyłem, otworzyła się jeszcze jedna dolina. Nie dalej zaś niż sto metrów na północ od szosy, pośród kolczastych zarośli, dymił poczerńiały szkielet spalonego autobusu.

- Wielkie nieba - wyszeptał Jim. Nie musiał dodawać, że w środku są ludzie, ponieważ obaj ujrzeli ich, gdy tylko znaleźli się na grzbiecie wzniesienia. Ludzie spaleni żywcem, może tuzin, a może więcej. A oni na przestrzeni ostatnich pięciu kilometrów przekomarzali się na temat hamburgerów, pieczonych żeberek i kebabu z kurczaka. Z powodu zapachu. Z powodu tych palących się ludzi.

- O Matko Boska! - powiedział szeptem Ric. - Spraw, żeby tak się nie stało!

Gdy schodzili ze wzgórza, widać było, że metalowy szkielet autobusu w dalszym ciągu obsypany jest pączkami drobnych pomarańczowych płomyków, jak gdyby ktoś udekorował go nagietkami, i że wciąż jeszcze tlą się opony.

Gończy popołudniowy wiatr wiał z południowego zachodu i zawieszał w powietrzu wzdłuż całej doliny postrzępione kłęby brunatnego dymu.

- O Matko Boska! - powtórzył Ric. - Spraw, żeby tak się nie stało!

Jim podniósł do ust nadajnik i powiedział rzeczowo, jak gdyby zamawiał obiad w budce z koreańskim jedzeniem:

- Jeden - cztery - sześć, tu jeden - cztery - sześć. Doris, mówi Jim Griglak. Zgłaszam wypadek drogowy z wieloma ofiarami w ludziach na autostradzie 78, około dwudziestu pięciu kilometrów na północ od Borrego Springs. Będą mi potrzebne helikoptery, wozy strażackie i karetki pogotowia, przynajmniej dziesięć karetek, powtarzam - dziesięć, mamy dużą liczbę ofiar, oraz wsparcie. Będziemy w kontakcie, okay?

- Spraw, żeby tak się nie stało! - szeptał Ric, nie tyle do Jima, co pod adresem Najświętszej Marii Panny, gdy wóz podskakując zjechał z autostrady i poprzez kolczaste zarośla popędził w stronę spalonego autobusu, zostawiając za sobą piętrzącą się wysoko smugę kurzu.

- Stało się, a jakże - zapewnił go Jim. Po raz ostatni pociągnął wygasłe cygaro i wyrzucił niedopałek przez okno. Regulamin przeciwpożarowy zakazywał palenia na pogorzeliisku. - Możesz się modlić, ile tylko chcesz, Muñoz, ale to i tak się stało.

Zarzucając tyłem, samochód zatrzymał się w odległości dziesięciu metrów od autobusu. Wysiedli i Ric próbował wyciągnąć gaśnicę, Jim jednak zawołał z drugiej strony wozu:

- Odłóż to, Muñoz. Wszyscy nie żyją. Lepiej zostawić wszystko tak, jak jest.

Ric skinął głową i rzuciwszy mu pełne dziwnego skrępowania: „Dobra”, posłusznie odstawił gaśnicę na miejsce. Zdjął okulary przeciwsłoneczne i w ślad za Jimem zbliżył się do autobusu, spoglądając nań jakby ukradkiem i natychmiast odwracając głowę. Przetykał ślinę i rozpaczliwie pragnął nie patrzeć, lecz wiedział, iż musi to zrobić. Nie miał pojęcia, w jaki sposób Jimowi udawało się zachowywać taki cholerny spokój. Ric służył w kalifornijskim Patroli Drogowym już sześć i pół roku i tak jak wszyscy funkcjonariusze zdążył się napatrzeć na różne okropności. Okrwawione, prawie nie do rozpoznania dzieci, wyrzucone siłą bezwładności przez przednią szybę, bo rodzicom nie chciało się ich przypiąć pasami. Irracjonalnie pogodni mężczyźni, od piersi w dół sprasowani na placek, lecz nie przestający dowcipkować i domagający się papierosa. Kobiety leżące na jezdni i wrzeszczące, by pomóc im wstać, ponieważ mają oderwane obie ręce.

Widował ludzi schwytych w pułapkę za przyciemnionymi nietłukącymi się szybami, palących się żywcem i błagających go o pomoc, wołających do niego: „Ratunku! Ratunku!” - do których jednak nie można było dotrzeć z powodu panującego żaru. Ale czegoś takiego nigdy jeszcze nie widział.

Być może to cisza podziałała na niego w ten sposób. Zazwyczaj wokół zawodziły syreny, rozbrzmiewał gwar uliczny i zewsząd dochodziły okrzyki tłumu. Tu na pustyni nie było niczego oprócz ciepłych podmuchów miękkiej bryzy oraz ping-tikk-ping wolno stygnącego metalu. Od czasu do czasu któraś z opon zajmowała się płomieniem, lecz w przeważającej części ogień już wygasł.

A może sprawił to przypominający przypaloną wieprzowinę zapach spalonego ludzkiego mięsa. Powietrze było nasycone swądem do tego stopnia, że nie można było oddychać.

„Chryste Panie - pomyślał Ric w cichości ducha - wdycham umarłych. Naprawdę nimi

oddycham”.

Autobus wyglądał na zwykły dziesięciokołowy general motors. Większa część farby spłonęła, a to, co zostało z aluminiowego szkieletu, było okopcone na czarno, lecz Ric mógł odróżnić wypisaną czerwonymi literami na burcie nazwę: Wypożyczalnia Autobusów Balboa.

Poczerniałe zwłoki kierowcy wciąż tkwiły na swoim miejscu, spalonymi dłońmi ściskając zwęgloną kierownicę. Pobieżne oględziny wskazywały ponadto na obecność dwunastu pasażerów, mężczyzn i kobiet. Wszyscy nie żyli, co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości, choć ogień nie wszystkich potraktował jednakowo. Siedzący po lewej stronie autobusu zamienili się w niewielkie prążynki w kształcie małpek; ich zbrązowiałe zęby szczyrzyły się spośród czarnych płatów obierającej się skóry, ich małe piąstki podnosiły się przed nimi, jak gdyby wszyscy grali na bębenkach, lecz nagle zostały im odebrane pałeczki.

Siedzący po prawej, zwłaszcza ci z tyłu, nie byli tak bardzo zwęgleni, jedna z Latynosek zaś, lat około dwudziestu czterech, na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie nietkniętej. Dopiero gdy Ric obszedł autobus od tyłu, ujrzał, że jej czarne włosy były z jednej strony całkowicie spalone, a zgrabna sukienka plażowa w kwiatki zetliła się od lewego kolana aż po lewe ramię. Ujrzał jej przepalone białe majteczki i to sprawiło, iż poczuł się jak hiena cmentarna.

Po drugiej stronie autobusu spotkali się z Jimem. Ric wyjął chusteczkę, złożył w kształcie trójkąta i przycisnął do nosa i ust.

- Nie ma co, ładne mi *barbecue* - stwierdził Jim, choć bynajmniej nie było mu do śmiechu.

- Jak myślisz, co, u diabła, się tutaj stało? - zapytał go Ric niepewnie. - Nie sądzisz, że mógł eksplodować zbiornik z benzyną albo coś w tym rodzaju?

Jim stęknął i pochylił się w przysiadzie, badając podwozie autobusu.

- Żadnych oznak eksplozji. Nic nie zostało rozerwane ani pocięte. Zbiornik paliwa jest nietknięty, bagaże są spalone, ale nie porozrywane na strzępy. Ten samochodzik po prostu zajął się ogniem i tyle.

Powstał i wytarł pot z czoła tłustą purpurową ręką.

- To się zdarza, jak sądzę, szczególnie przy silniku benzynowym. Ale rzadko się to spotyka przy dieslach.

Z ukosa spojrzął na ślady opon, które autobus pozostawił na piasku po zjechaniu z autostrady.

- Żadnych oznak udziału jakiegokolwiek innego pojazdu. Kierowca podążył prosto tutaj, bez zbaczania z drogi i poślizgów. Trudno twierdzić na pewno, ale nie wygląda na to,



by wpadł w panikę.

- Cały jego cholerny autobus stał w ogniu, a on nie wpadł w panikę? To nie ma sensu.

Jim sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął rulonik zielonych landrynek. Poczęstował jedną Rica, lecz ten potrząsnął przecząco głową.

- Nikt nie wpadł w panikę - zauważył wypychając sobie landrynką policzek. - Popatrz no tylko na nich; wszyscy siedzą na swoich miejscach, żadnego zwału trupów przy drzwiach, koło wyjść awaryjnych - w ogóle nikogo.

Ric przespacerował się z powrotem wzdłuż burty autobusu i popatrzył na dziewczynę w różowej plażówce w kwiatki. Nienaruszona strona jej twarzy miała wygląd latynoski i uderzająco piękny, prawe oko zaś było otwarte i spoglądało na niego, czy też w każdym razie w jego kierunku. Niezwykłe było w tym wszystkim to, iż sprawiała wrażenie, jakby się uśmiechała. Wyglądała na szczęśliwą.

„Z ciebie, młoda damo, też jest cholerna zagadka - pomyślał Ric. - Jak można się uśmiechać, gdy nogi ma się w płomieniach? To znaczy, o mój Boże - jakże to musiało boleć”.

Jim podszedł, stanął obok niego i również przyglądał się dziewczynie.

- Uśmiecha się - rzekł Ric z nerwowym chichotem.

- Nie - landrynka zagrzechotała Jimowi między zębami - to od gorąca. Żar sprawia, że mięśnie twarzy się kurczą, tak samo jak befsztyk na patelni. Widziałem raz faceta, który spalił się w ciężarówce. Utknął i nie mógł się wydostać. Wyglądał, jak gdyby boki zrywał ze śmiechu. Aż miałem ochotę zawołać: „Co w tym takiego, kurczę, śmiesznego?”

Wrócili do wozu patrolowego. Ric raz czy dwa razy obejrzał się za siebie. Dziewczyna w dalszym ciągu spoglądała nań bez wyrazu swoim jedynym pozostałym orzechowym okiem.

Jim sięgnął ręką do samochodu i wyciągnął nadajnik.

- Doris? Tu Jim Griglak. Słuchaj, powiedz koronerowi, że mamy ich trzynastu. Tak jest, piekarski tuzin. Właśnie, a i upieczeni wszyscy jak trzeba.

Teraz musieli czekać. Oparli się o wóz patrolowy i stali w migotliwym upale popołudnia, przyglądając się, jak opony autobusu zamieniają się pod wpływem żaru w ażurowe obręcze stalowego drutu, a wokół konstrukcji ramy dogasają resztki płomieni. Z oddali dochodziło rozlegające się echem laker-flaker-flaker nadlatujących z zachodu helikopterów.

- Czy orientujesz się, na cośmy się tu natknęli, Ric? - zapytał Jim, zdejmując cielsko z maski samochodu. Nigdy do tej pory nie zwrócił się do niego po imieniu.

Ric potrząsnął głową, świadomy tego, iż Jim ma zamiar powiedzieć mu coś na serio.

- Natknęliśmy się, ni mniej, ni więcej, tylko na masowe morderstwo.

- Uważasz, że dokonano tego z premedytacją?

- Daj spokój, Muñoz, zrób użytek z szarych komórek. To nie był wypadek drogowy, na miłość boską. Nie potrzeba Sherlocka Holmesa, żeby się tego domyślić. To rzeź. Wchodzą w grę narkotyki albo sekta religijna, a może obie te rzeczy naraz. Może santaria. Musiałeś o tym słyszeć. Świece, rózańce, gipsowe Matki Boskie, ofiarne kurczęta i chłopcy z pistoletami maszynowymi, którzy dopadną cię, jeśli lalki *voodoo* zawiodą. Kimkolwiek byli sprawcy, nie przyszli w szczególnie przyjaznych zamiarach.

W rozgoryczeniu potrząsnął głową.

- Jednego tylko nie mogę zrozumieć. Dlaczego, skubańcy, wszyscy mają taki zadowolony wyraz twarzy?

- To z pewnością niezwykle - zgodził się Ric.

- Niezwykle? Ja bym to raczej określił: nie z tej ziemi. Co to znaczy? Tylko pomyśl; cały autobus ludzi pozwala wywieźć się na pustkowie. Bardzo ładnie, bardzo teatralnie. Potem z uśmiechem szczęścia na twarzy wszyscy dają spalić się żywcem, nie podjąwszy nawet najlichszej próby ucieczki. Jest to, mój przyjacielu, coś, co ja osobiście określam mianem problemu, bez którego z przyjemnością bym się obszedł.

Wciąż jeszcze czekali na pojawienie się pierwszych helikopterów, gdy Ric zauważył, iż na szczycie grani coś się przemieszcza, jakiś brunatny kształt, zapewne pies albo kojot. Skinął na Jima Griglaka.

- Zauważyłeś? - zapytał. Griglak przysłonił oczy dłonią.

- Nie widzę nic takiego.

- Na szczycie grani... tam, na lewo.

Przed oczami mignęło im coś na kształt barku, a potem ręki.

- Cholera, ktoś jest tam na górze! - wykrzyknął Jim Griglak, a potem na cały głos wrzasnął: - Hej, ty! Ty, tam na górze! Zejdź na dół! Słyszysz mnie? Masz zaraz zejść tutaj!

Ciemny zarys głowy wychylił się nad linię horyzontu i zaraz się schował.

- Niech to cholera! - zaklął Jim. - A niech to wszyscy diabli! - Podciągnął pas z bronią i potoczył się dookoła spalonego autobusu w górę po stoku. Ric pobiegł za nim, lecz Jim, nie odwracając głowy, gestem nakazał mu, by się nie ruszał z miejsca.

- Ty zostań tutaj i pilnuj autobusu. Ja złapię tego sukinsyna.

Ric obserwował, jak wspina się na pokryte piachem, olśniewające bielą w spiekocie skały. Ramiona pracowały mu niczym tłoki, spodnie powiewały, kabury przytroczone do pasa objęły się przy każdym kroku o uda, niemniej wdrapał się na szczyt grani z zadziwiającą zwinnością i zniknął z pola widzenia.

Ric odwrócił głowę. Widać już było pierwszy helikopter; zbliżał się lecąc szybko tuż ponad pustynnymi wzgórzami, a w owiewce kabiny odbijała się błyszcząca gwiazda światła słonecznego.

Ric zmrużył oczy, skrzywił się i rozejrzył z grymasem głębokiej niepewności.

Helikopter właśnie lądował, podmuchem wirnika rozpędzając dym i rozrzucając na wszystkie strony piasek i poczerniałe skrawki tkanin. Włosy na wpół spalonej latynoskiej dziewczyny powiewały jej nad głową niczym strachowi na wróble. Wyglądało na to, iż się śmieje. Burza płatków popiołu buchnęła nagle z twarzy kierowcy autobusu, by zaraz zostać wessana przez podmuch.

Kiedy śmigła helikoptera z gwizdem przecinanego powietrza zwalniały, by stanąć w bezruchu, na szczycie grani pojawił się Jim. Na pierwszy rzut oka wydawało się, iż jest sam, lecz gdy przesunął się w dół, Ric ujrzał, że popycha przed sobą indiańskiego chłopca lat około dwunastu. Chłopiec schodził ze stoku tyłem niczym krab, czepiając się każdej napotkanej skały. Miał długie włosy, tłuste i czarne, okrągłe staroświeckie okulary z przyciemnionymi szklami oraz czerwoną przepaskę na czole. Ubrany był w wyświechtaną koszulkę a la Elvis Presley i żółto-fioletowe bermudy.

- Halo, sierżancie! - zawołał Ric.

- Zobacz, co znalazłem - odrzyknął Jim. Kuksańcem wskazał chłopcu drogę na dół i dookoła wraku autobusu.

Dwóch młodych i szczupłych funkcjonariuszy Patrolu Drogowego wygramoliło się z helikoptera i poczęło z wolna iść w ich kierunku, przyglądając się autobusowi z niedowierzaniem.

- Jezu Chryste - powiedział jeden z nich, ocierając pot z czoła chustą. - Co tu, u diabła, się stało?

- Miałem nadzieję, że ten tu Geronimo będzie nam mógł opowiedzieć - odparł Jim. - Jak ci na imię, synu? Czy byłeś tu, kiedy przyjechał ten autobus?

- Pewnie, że byłem, człowieku - odparł. Przez cały czas kiwał i obracał głowę, jak gdyby był na prochach.

- Widziałeś, co się stało?

- Nic a nic, człowieku. Nic nie widziałem.

- Autobus się palił, a ty byłeś przy tym i nic nie widziałeś?

- No właśnie mówię, że nie widziałem, człowieku.

- Na miłość boską - rzekł ostro Jim - przestaniesz wreszcie mówić do mnie „człowieku”?

- Przepraszam, człowieku.

- Jak ci na imię, synu?

- Tony. - Znów to machinalne kiwanie głową.

- Co za Tony?

- Tony Express.

- Jak proszę? Kogo ty chcesz zrobić w konia?

- Nikogo nie chcę zrobić w konia, człowieku. Tak na mnie mówią wszyscy. To zdaje się ma być dowcipne<sup>2</sup>. Moje indiańskie imię brzmi Chłopiec-Który-Popatrzył-w-Słońce.

- Chłopiec-Który-Popatrzył-w-Słońce, he? - powiedział Ric. - A to ci dopiero imię.

- Gdzie mieszkasz, Tony? - zapytał Jim. - I przede wszystkim, co tutaj robisz?

- Mieszkam tutaj, człowieku - odpowiedział mu Tony. - Zaraz za szczytem grani. Mój dziadek prowadzi kiosk z indiańskimi pamiątkami koło stacji benzynowej 76.

- A czy byłeś tutaj w momencie, kiedy zapalił się autobus? - zapytał jeden z przybyłych helikopterem funkcjonariuszy, z zapalem żując niskokaloryczną gumę.

Tony skinął głową.

- Pewnie. Byłem na samym szczycie grani.

- A więc jak to się stało, że nic nie zauważyłeś? Tony zdjął ciemne okulary. Pod spodem jego oczy były białe jak mleko i ślepe jak kule bilardowe.

- Taki się urodziłem, człowieku - wyjaśnił. - Chłopiec-Który-Popatrzył-w-Słońce, kapujesz?

- A niech to szlag! - zaklął Jim Griglak. Stał oparłszy pięści na biodrach i raz za razem potrząsał głową, jak gdyby nigdy nie miał zamiaru przestać. - Jezu Chryste! To skubane szczęście Griglaków!

- Posłuchaj, Tony - rzekł Ric - nawet jeśli nic nie mogłeś zobaczyć, to może coś usłyszałeś? Głosy, kroki? W ogóle cokolwiek?

- Daj spokój, Muñoz, po co to wszystko? - zaoponował Jim.

- To ty daj spokój - odpowiedział mu Ric. - Niewidomi mają podobno niezwykle wyczulony zmysł słuchu. Słyszą te tam gwizdki pasterskie i tak dalej.

- Nie słyszałem żadnych gwizdków pasterskich, człowieku - odparł Tony. Założył z powrotem okulary i stał zdrapując łuszczącą się skórę na łokciach i spoglądając w przestrzeń.

- A nie mówiłem? - poskarżył się Jim. - Skubane szczęście Griglaków.

W powietrzu krążyły dwa następne helikoptery i ledwie było słyhać, co kto mówi. Lecz nagle Tony powiedział:

---

<sup>2</sup> Tony Express - od Pony Express, historycznej poczty konnej z epoki Dzikiego Zachodu.

- Słyszałem, jak autobus zjechał z szosy. I słyszałem, jak ktoś rozmawiał.
  - Słyszałeś, jak ktoś rozmawiał? O czym mówili?
  - Byłem daleko na skałach. Nie słyszałem za dobrze.
  - To był mężczyzna czy kobieta? - zapytał Ric.
  - To był facet. Głos miał jakiś taki stary, człowieku, wiesz, o co mi chodzi? Taki skrzeczący. On coś mówił, ale nie mogłem zrozumieć co.
  - Nic do ciebie me doszło? W ogóle nic? - zapytał Ric podnosząc głos, by przekrzyczeć warkot helikopterów.
  - Nic a nic - odparł Tony. - Może tylko jedno. Ciągle wykrzykiwał „June, już!”. Na cały głos. „June, już!”.
  - „June, już!”? Nie wiesz przypadkiem, co to mogłoby oznaczać?
  - Nie wiem, człowieku. Jakiś stary facet stoi na pustyni i wrzeszczy „June, już!” i skąd niby mam wiedzieć, co on przez to rozumie?
  - To było, zanim zapalił się autobus czy potem? - zapytał żując gumę funkcjonariusz.
  - To było przedtem i jeszcze w trakcie. Tak jakby, kiedy jeszcze się paliło, on to powtarzał. „June, już!”
  - A jak to się stało, że ten stary cię nie zauważył? - chciał wiedzieć Jim.
  - Byłem na skałach, człowieku, kawałek dalej na górze. Mój dziadek chciał, żebym popilnował sklepu, rozumiecie, ale mnie się nie chciało pilnować sklepu i wyszedłem posłuchać walkmana, człowieku, i sobie zapalić. Z początku jak usłyszałem autobus, to pomyślałem, że może warto się pokazać. Czasami frajerzy dają pieniądze, żeby pozwolić się sfotografować.
  - Ale nie pokazałeś się? - zapytał go Ric.
- Tony Express zawahał się. Wreszcie odparł:
- Nie.
  - Czemu? - Ric spróbował wziąć go pod włos. - Czy dlatego, że coś usłyszałeś? Coś, co któryś z nich powiedział?
  - Ja tam nie wiem, człowieku. Po prostu miałem takie dziwne uczucie, że dzieje się coś niesamowitego.
  - Chryste, ta dzisiejsza elokwentna młodzież - powiedział Jim. Potem zaś dodał: - W porządku, Tony, na razie to wystarczy. Ktoś będzie chciał z tobą później porozmawiać. Mieszkasz tuż przy stacji benzynowej, to jest gdzie?
  - Oryginalne Pamiątki Pechanga Indianina Jacka.
  - Pewnie, made in Taiwan.

- Pomóc ci wrócić do domu? Tony Express potrząsnął głową.  
- Może jestem ślepy, człowieku, ale nie jestem głupi.  
- Założę się, że wpadniesz do pierwszego z brzegu arroyo i potłuczysz sobie dupę - zrewanżował się Jim Griglak.

Ale wszyscy wiedzieli, że to nieprawda. Przyglądali się, jak bez wahania wspina się z powrotem na grań i znika z pola widzenia. Przemykająca się czarna sylwetka, a potem już nic oprócz szafirowego nieba.

- Popatrzcie tylko, jak chodzi - rzekł, wyraźnie pod wrażeniem, jeden z funkcjonariuszy. - Ślepy, a popatrzcie tylko, jak chodzi.

- Wszyscy oni są tacy sami - odparł agresywnie Jim. - Głusi i niemi, kulawi i ślepi. Wszystkim im się wydaje, że sam Pan Bóg ich nam zesłał na Ziemię. Gdyby tylko wiedzieli, jaki jest z nimi w rzeczywistości krzyż pański.

Funkcjonariusze Patrolu Drogowego zamienili między sobą krótkie, wymowne spojrzenia. Cała policja wiedziała, że Jim Griglak jest człowiekiem trudnym, pełnym uprzedzeń i wrednym jak stado skunksów. Wiedziano także powszechnie, iż nie warto się z nim spierać; chyba że ktoś pragnie miesiącami znosić agresywne wycieczki, sarkazm i niewybredne dowcipy. Był chodzącym paradoksem, lecz być może trzeba być chodzącym paradoksem, by stać się naprawdę dobrym policjantem. Być może łagodna odmiana.

## ROZDZIAŁ 5

Niemal w tej samej chwili, gdy pierwszy helikopter Patrolu Drogowego wylądował w sąsiedztwie spalonego autobusu, Lloyd wyszedł z prosektorium kwatery głównej policji San Diego. W pierwszej chwili skierował kroki w stronę BMW, zaparkowanego obok trzech błękitno-białych wozów patrolowych z wypisaną na drzwiach dewizą „Służyć i chronić”, lecz wnet zmienił zamiar. Był zbyt wstrząśnięty, by myśleć o prowadzeniu samochodu. Musiał iść pieszo. Przeszedł przez ulicę i z koszulą przylepioną do pleców oraz oczyma piekącymi od potu i łez począł maszerować na północ wzdłuż Embarcadero.

Nigdy przedtem nie widział zwłok. Nawet tchnących wiecznym spokojem, nie oszpeconych i przygotowanych kosmetycznie. Tymczasem zwłoki Celi, poczerńnięte i cuchnące benzyną, były w okropnym stanie. Jej ściętna napięły się pod wpływem żaru ofiarnego płomienia, co sprawiło, iż w szarozielonym pokrowcu na zwłoki była skulona niczym jakiś ogromny i straszny embrion. Jednak gdy tylko zaczęto rozpinać zamek, wiedział, że to ona. Rozpoznał ją; rozpoznał. Skinął głową z rozpaczą, przełknął ślinę, odwrócił się i począł mrugać załzawionymi oczyma, podczas gdy usta napełniły mu się nagle gorącym sokiem pomarańczowym, który pił na śniadanie. Sierżant Houk wziął go za łokieć i wyprowadził na korytarz.

- Chciałbym tylko, żeby pan wiedział, iż wszystkim nam jest szalenie przykro z tego powodu, panie Denman.

Lloyd zaniemówił. „Przykro”? Czymże było to słowo w odniesieniu do tak potwornego ciosu zadanego całemu jego istnieniu: jego szczęściu, zdrowiu psychicznemu i wszystkim zamierzeniom na przyszłość? Czuł się tak, jak gdyby jedyne, co był w stanie zrobić, to iść, iść i iść pod piekącym słońcem poranka, póki zrozpaczony i wyczerpany nie zwali się wreszcie na ziemię, gdzie nie będzie musiał skupiać uwagi na niczym większym od kilku ziarenek piasku.

Jak zwykle w letni poranek, przystań była zatłoczona zwiedzającymi. Lloyd poruszał się w tłumie niczym niedoszły topielec wychodzący na plażę. Potrącił ramieniem tęgą kobietę w różowej koszulce z komiksowym wizerunkiem trzech supermęskich amatorów surfingów i podpisem: „San Diego - Nie dla szpanerów”.

- Przepraszam pana - warknęła na niego.

Minął drewniany kadłub „Gwiazdy Indii”, jednego z zabytkowych statków żaglowych przycumowanych przy Embarcadero. Podmuch wiatru owiał go mocnym aromatem

smołowanego drewna, wiórków kokosowych i cukrowej waty. Obszedł tłumy japońskich turystów, rojących się wokół trapu i bez końca fotografujących się nawzajem. Wtedy właśnie usłyszał, jak ktoś woła go po imieniu.

- Lloyd! Lloyd! - Głos cichutki niczym brzęczenie trzmiela w zakręconym słoiku. Nikły i rozpaczliwy.

Rozejrzał się, potem popatrzył do góry wzdłuż burty statku. Turyści paradowali po górnych pokładach, rozmawiając, pokazując coś sobie nawzajem i rozglądając się w sposób, który nagle wydał się Lloydowi szczególnie dziwny; jak gdyby spodziewali się, że za chwilę zajdzie jakieś doniosłe wydarzenie. Ale jakie? Burza magnetyczna? Wynurzenie się węża morskiego? Lądowanie latającego talerza?

W powietrzu czuło się dziwne napięcie. Nie mógł tego zrozumieć. Może przyczyna leży w nim samym? Przypominało mu to nastrój filmów fantastyczno-naukowych z lat pięćdziesiątych *Oni i Ta wyspa Ziemia*.

Miał właśnie zamiar podjąć dalszą wędrowkę wzdłuż Embarcadero, gdy wysoko na pokładzie, w pobliżu dziobu „Gwiazdy Indii”, mignęła mu przed oczyma dziewczęca postać. Miała żółtą jedwabną chustkę na głowie, okulary przeciwsłoneczne i prochowiec z podniesionym kołnierzem. Uwagę Lloyd przyciągnęła nie tylko niestosowność tego stroju w gorący dzień czerwcowy. Było w tym jeszcze coś innego. Coś, co wydawało się w niej nieznośnie znajome. Coś, co w sposobie, w jaki odwracała głowę, przypominało mu Celię.

Zawahał się. To oczywiście nie mogła być Celia. Dopiero co widział ją leżącą ze śmiertelnymi oparzeniami w policyjnej kostnicy San Diego. Zarazem jednak nie potrafił odejść nie przyjrawszy się dziewczynie z bliska. Tylko po to, by mieć absolutną pewność.

„Absolutną pewność czego, Lloyd? Tego, że nie masz halucynacji? Że nie zaczynasz do reszty wariować? Czy też może absolutną pewność tego, iż rzeczy nie mogą przedstawiać się inaczej, niż się przedstawiają, że życie nie może mieć innego zakończenia, inaczej się przejawiać i dążyć ku innym celom?”

Przypomniał sobie, jak dziadek powiedział mu po pogrzebie babki:

- Umarli nie nawiedzają tego świata, to są tylko wspomnienia, które po sobie pozostawili.

Z przepaszającą miną przepychając się przez tłum, Lloyd utorował sobie drogę do trapu. Zapłacił za wstęp i z niecierpliwością czekał, aż ucharakteryzowany wilk morski w historycznym marynarskim kapeluszu poda mu bilet życząc udanego dnia.

- I niech pan nie zapomni obejrzeć wystawy wielorybnictwa. Harpuny i marynarskie rękodzieło.



Marynarskie rękodzieło. To było właśnie to - marynarskie rękodzieło! Że też wcześniej o tym nie pomyślał! Pognał do przodu poprzez światło i cień, poprzez krzyżujący się wzór takielunku.

Przedni pokład był pusty, nie licząc rodziny składającej się z ojca, matki i córki, wszyscy troje w lustrzanych okularach przeciwsłonecznych. Oparci o reling, odwrócili głowy i popatrzyli na zbliżającego się Lloyda, ów zaś ujrzał samego siebie przemierzającego pokład w sześciu miniaturowych odbiciach ich błyszczących, pozbawionych wyrazu szkielek. Wrócił do cienia. Obok niego przeszedł mężczyzna o włosach piaskowego koloru, mówiąc do swojej żony:

- Dobrze wiesz, że nie ma z tego żadnego cholernego pożytku, nigdy nie było żadnego cholernego pożytku i nigdy nie będzie żadnego cholernego pożytku.

Wydało mu się, iż po drugiej stronie sterówki mignęły poły prochowca. Począł z jeszcze większym pośpiechem przepychać się przez zatłoczony pokład. Deski odzywały się echem pod podeszwami jego białych mokasynów od Gucciego.

- Lloyd! - usłyszał jej szept. - Lloyd!

A może był to tylko świst wiatru w takielunku lub uderzenie fali o burtę przepływającej motorówki? Albo krzyk mewy stroszącej w porannym słońcu pióra?

Dwa razy przeszukał górny pokład, lecz po dziewczynie w żółtej chustce na głowie nie zostało ani śladu. Przez chwilę wahał się, spoglądając w jedną i drugą stronę i przygryzając wargę. Wreszcie powoli zsunął się na dolny pokład, gdzie było ciemniej i chłodniej. W podświetlonych gablotach wystawiono tu na widok publiczny mapy, węzły i kompasy razem z antycznymi rzeźbami i marynarskim rękodziełem. Dolny pokład był niemal tak samo zatłoczony jak górny i Lloyd zmuszony był torować sobie drogę pośród tłumu turystów, powtarzając jak litanię: „Przepraszam, dziękuję bardzo; przepraszam, dziękuję bardzo” - nim osiągnął ladę z pamiątkami.

Tam zatrzymał się, wyciągnął jak najwyżej szyję i miejsce koło miejsca zbadał uważnie wzrokiem całe otoczenie. Dziewczyna za ladą przyglądała mu się przez chwilę. Była piegowatą blondynką, ubraną w marynarską koszulkę w paski i czapkę z daszkiem ozdobioną pozłacaną odznaką „Gwiazdy Indii”.

- Czym mogę służyć, proszę pana? - spytała. Odwrócił się.

- Szukam dziewczyny.

- Jakiejś konkretnej dziewczyny czy wszystko jedno jakiej?

Lloyd był zbyt zaaferowany, by się poznać na żarcie.

- Miała na sobie prochowiec, chustkę na głowie i ciemne okulary.

Dziewczyna za ladą otwarła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Miała na sobie prochowiec? Lloyd rozglądał się dalej.

- Prochowiec i żółtą chustkę na głowie. Dziewczyna przyjrzała mu się z uwagą.

- Czy na pewno pan się dobrze czuje?

- Jak najlepiej.

- Cóż, niech się pan nie obrazi, ale wygląda pan na zupełnie wytrąconego z równowagi.

Lloyd popatrzył na nią krzywo. Nie bardzo wiedział, jak ma się zachować.

- Proszę - powiedział sięgając do tylnej kieszeni spodni i wyjmując portfel - oto moja wizytówka... gdyby pani kiedykolwiek zobaczyła dziewczynę, która tak wygląda... gdyby kiedyś coś tu kupowała... proszę mnie łaskawie zawiadomić. Może nawet spisać jej nazwisko z karty kredytowej.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, a potem skinęła głową.

Jednakże w tej samej chwili Lloydowi wydało się, iż dojrzał żółtą chustkę; ognik jaskrawy i ulotny niczym słońceznik za ogrodzeniem dziedzińca, miotany podmuchami burzy. W jednej chwili utorował sobie drogę przez tłum otaczający ladę z pamiątkami i runął w stronę wyjścia.

„Cholera jasna, to znowu ona! Ta sama chustka, ten sam prochowiec, już schodzi z pochylni!”

Z trudem przecisnął się obok czarnego żołnierza piechoty morskiej o wielkim i twardym brzuchu, potem musiał przebijać się przez błyskający okularami i trzaskający aparatami fotograficznymi tłum rozszczebiotanych Japończyków. Już prawie dopadał trapu, gdy uprzedziła go cherlawa staruszka, chwytając upstrzoną piegami dłonią poręcz i udaremniając mu pogoń równie skutecznie co policyjna blokada. Nie miał innego wyjścia, jak podążać cierpliwie za nią, gdy powoli i z wysiłkiem postępowała w dół kładki; tymczasem dziewczyna tak bardzo podobna do Celi zniknęła w rojowisku turystów na Embarcadero.

Pomyślał, że zginęła mu na dobre. Lecz w następnej chwili słońceznikowa chustka błysnęła wśród tłumu. Dziewczyna podeszła do krawężnika i miała właśnie przejść przez ulicę.

- Celia! - wrzasnął w ślad za nią. - Celia! - Choć przecież to nie mogła być Celia; choć przecież cały ten pościg był czystym szaleństwem, spowodowanym niczym innym jak wyczerpaniem, histerią i rujnującym zdrowie zmartwieniem.

Lecz gdy już-już miała przejść przez ulicę, odwróciła się i popatrzyła na niego - i mimo że twarz zakrywały jej czarne okulary, przekonał się z drżeniem, które osadziło go w miejscu i sprawiło, iż zapomniał, co to znaczy biec, zapomniał, w jaki sposób wprawia się w ruch

łydki, przekonał się, że to była Celia.

- Celia! - rzekł na głos. Ludzie wpadali na niego i popychali go, śmiejąc się, jak gdyby wszyscy poza nim brali udział w wyreżyserowanym dowcipie. - Celia! - krzyknął tak głośno, że aż zadzwoniło mu w uszach.

Twarze odwróciły się w jego kierunku. Ktoś powiedział:

- Co on, głupi czy jak?

W następnej chwili już pędził po chodniku, zderzając się i wpadając na przechodniów, a przez cały czas ów żółty ogień tańczył mu, nieosiągalny, przed oczyma.

Chciał przebiec przez jezdnię, lecz tuż przed nim wyrosła furgonetka pocztowa, hamująca z piskiem opon i trzaskiem zamykających się dwu par rozsuwanych drzwiczek. Czarny kierowca z oburzeniem spiorunował go klaksonem.

- Co jest, do cholery, spieszysz się do nieba, idioto? Lloyd podniósł w geście przeprosin obie ręce. Furgonetka odjechała, lecz nim odsłoniła mu widok na drugą stronę ulicy, po zwodniczym ogniku chustki nie było już ani śladu. Szybko rozejrzał się na prawo i na lewo i z wahaniem postąpił dwa kroki w kierunku, gdzie ujrzał wśród tłumów tańczący żółty promyk. Lecz okazał się on dziecinnym balonikiem, kobieta w prochowcu zaś zniknęła na dobre.

Poczuł się tak, jak gdyby za chwilę miał się osunąć na kolana na chodnik, ogłuszony i pozbawiony mowy prostą niekonsekwencją faktów. Był absolutnie pewny, że kobieta w prochowcu była Celią. Ale jak to możliwe, kiedy Celia leży martwa, strawiona przez ogień, w kostnicy policyjnej San Diego?

W dalszym ciągu stał przy krawężniku, kiedy zahamowała przed nim zakurzona riviéra. Wysiadł z niej sierżant Houk w przeпоconej koszuli i wąskim brązowym krawacie.

- Panie Denman? Miałem nadzieję, że pana dogonię. Niech pan nie zapomni zabrać tej swojej limuzyny. Nasz kapitan od samego rana nie może od niej oderwać oczu. Zdaje się, że ma na ten wóz chrapkę.

Lloyd zdjął okulary przeciwsłoneczne.

- Przepraszam. Właśnie miałem po nią wrócić. Musiałem tylko trochę się przejść, to wszystko. Zacerpnąć świeżego powietrza.

- To zrozumiałe - rzekł sierżant Houk pociągając nosem. - To, co musiał pan dzisiaj zrobić... no cóż, nie ma się co oszukiwać, nie było to łatwe.

- Wie pan co... - odparł Lloyd. - Celia tak bardzo kochała życie. Cieszyła się wszystkim, co robiła od rana do wieczora. Była taka cholernie szczęśliwa. Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego miałaby...

Sierżant Houk znów pociągnął nosem i rozejrzał się.

- Nie ma tu siana ani żadnych pyłków. Zaczynam się poważnie zastanawiać, czy nie mam uczulenia na turystów.

- Zadzwoń do Miyako - rzekł Lloyd. - Nigdy tam nawet nie była. Z tego, co się dowiedziałem, to cały ten cykl wykładów był kłamstwem.

- Wiemy o tym - przytaknął sierżant Houk. - Tylko jednego nie udało nam się do tej pory ustalić: kiedy i w jaki sposób wróciła z San Francisco do San Diego; no i po co. Jedyne, co wiemy, to to, że nie wykorzystwała biletu powrotnego na samolot.

Popatrzył na Lloyda z ukosa, mrużąc oczy przed słońcem.

- Nie pogniewa się pan, że zapytam... choć może jeszcze nie czas na to... czy nie było w jej życiu jakichś bliskich, przyjaciół... mężczyzn? To znaczy, nie licząc pana?

Lloyd potrząsnął głową i nieomal parsknął śmiechem.

- Nie - wyrecytował. - Nie miała żadnych bliskich przyjaciół. O ile pod słowem „bliskich” rozumie pan to, co ja myślę, że pan rozumie.

- A pan? Czy nie pojawiły się w pana życiu jakieś przyjaciółki? Nic, co by ją mogło wprowadzić z równowagi? Widzi pan, proszę wybaczyć, że pytam, ale wszystkie te samobójstwa prawie bez wyjątku mają za przyczynę albo jakieś zwariowane motywy natury politycznej, jak na przykład inwazja Stanów Zjednoczonych na Górną Bałkanię, lub uratowanie przed zagładą gatunku papuzki białonóżki, albo dotyczą sfery życia uczuciowego.

Przerwał, by odchrząknąć, i po chwili powiedział:

- Ludzie, którzy zamieniają się w pochodnie... no cóż, widywałem palących się ludzi, osobiście wolałbym odejść w inny sposób. Nie, proszę pana, uprzejmie dziękuję. Lecz rozmawiałem dziś rano z naszą panią psycholog i ona powiedziała mi, że czynią to po to, by się w jakimś sensie oczyścić. Niemal tak, jak gdyby chcieli się pozbyć tych wszystkich zarazków, od których, jak uważają, roimy się my wszyscy.

- Nie bardzo to rozumiem - przyznał Lloyd, choć w gruncie rzeczy tylko udawał, że słucha.

- No cóż, chciałbym, żeby to dało panu do myślenia, panie Denman, ponieważ wszelkie poszlaki dotyczące stanu umysłu pańskiej narzeczonej mogłyby się okazać pomocne.

- W porządku, pomyślę nad tym. Sierżant Houk obdarzył go uśmiechem.

- Podwieźć pana z powrotem na komendę? Dopiero co zreperowali mi klimatyzację. To jak siedzenie w jakimś cholernym igloo.

Lloyd w otępieniu przyjął zaproszenie. W środku samochód sierżanta Houka pachniał

sosnowym odświeżaczem powietrza i zastarzałym dymem papierosowym, a na tablicy rozdzielczej przyklejona była nalepka głosząca: „Pierdzenie surowo wzbronione”. Tapicerka z beżowej skóry nosiła liczne ślady przypalenia papierosem. Na lusterku wstecznym kołysała się naga plastikowa laleczka z pomalowanymi na czerwono sutkami: pamiątka z Tijuany. Sierżant Houk wystawił rękę za okno i w absolutnie zabroniony sposób zawrócił z piskiem opon.

Co do klimatyzacji, miał rację. We wnętrzu riviery odczuwało się przejmujący chłód: taki jak w kostnicy, gdzie pokazano mu zwłoki Celi. Tak przejmujący, że Lloyd począł mieć dreszcze.

Sierżant Houk prowadził z dłonią ulokowaną niedbale na kierownicy.

- Zabawna sprawa z tymi samobójcami. Najczęściej zostawiają listy. Lecz nawet gdy jest inaczej, najbliżsi i najdrożsi prawie zawsze odnajdują przyczynę. Kiedy tylko miną skutki pierwszego szoku, odkrywają prawdziwe oblicza ukochanych osób i zaczynają analizować. I nagle... ciach, rozumieją, co i dlaczego się stało. Z początku jednak trudno jest zaakceptować fakt, że ktoś, kogo kochaliśmy, nie kochał nas dostatecznie mocno, by chcieć z nami żyć dalej. To znaczy, żyć dalej na tym samym co my świecie. Spakować manatki i uciec do mamusi to jedna sprawa. Spalić się żywcem, no cóż, to już coś zupełnie innego.

- O, tak - zgodził się tępo Lloyd.

Przez minutę lub dwie jechali w zupełnym milczeniu. Wreszcie sierżant Houk rozpoczął:

- Wie pan, moim zdaniem... - Wtem w pół słowa przerwał mu komunikator radiowy.

- Trzy-dziewięć, trzy-dziewięć.

Houk podniósł do ust nadajnik, który do tej pory leżał porzucony na siedzeniu pod niechlujnym stosem gazet, papierków od baloników i złożonych na pół nakazów sądowych.

- Trzy-dziewięć, słucham.

Aparat zatrzeszczał w momencie połączenia z innym rozmówcą.

- Dave? Tu porucznik Pratt. Słuchaj, właśnie otrzymaliśmy pilny komunikat od policji z Parku Stanowego Pustyni Anza-Borrego.

- Doprawdy? - spytał sierżant Houk. - Czego to tym razem dusza jęczy?

- Około pół godziny temu dwaj funkcjonariusze Patrolu Drogowego dwadzieścia pięć kilometrów na północ od Borrego Springs zlokalizowali spalony autobus.

Sierżant Houk nie odpowiedział, tylko odwrócił się w stronę Lloyd'a i rzekł:

- I tak jest zawsze, wie pan? Spalony autobus na środku pustyni, a komu oni o tym mówią? Mnie. Postawię własny tyłek przeciwko befsztykowi burrito, że będzie to taka

paskudna robota, że własnego psa człowiek by do niej nie zagnał.

Jakby go słyszał, porucznik Pratt powiedział:

- Policja stanowa zgłosiła prośbę o pomoc w sprawdzeniu firmy wynajmującej autobusy. Wypożyczalnia Autobusów Balboa, Mark Street 2339.

- Znam tę firmę - beznamiętnie odparł sierżant Houk. - Prowadzi ją facet o nazwisku Dan Browder. Akurat naprzeciwko hotelu Playa.

- Proszę także o pomoc w sprawdzaniu tożsamości ofiar.

- Ofiar? Ilu ofiar?

- Trzynastu. Wszystkie śmiertelne.

- Trzyście? Jezusie!

Nastąpiła długa pauza. Czekali pod znakiem przejścia dla pieszych, podczas gdy przed nimi defilował długi wąż meksykańskich dzieci. Sierżant Houk pociągnął nosem i kichnął.

- A nie mówiłem panu? Turyści! Jestem uczulony. Głos z odbiornika powiedział:

- Sierżancie? Jesteście tam jeszcze?

- Jeszcze jestem, poruczniku.

- Chcę, żebyście sprawdzili wypożyczalnię autobusów. Potem pojedziecie do Borrego Springs, skontaktujecie się z Patrolem Drogowym oraz policją stanową i zobaczycie, czy możecie w czymś pomóc. Pytajcie o sierżanta Jima Grigłaka.

Sierżant Houk pociągnął nosem.

- Nie możesz kazać Rollinsowi, żeby to zrobił? Ja mam roboty po uszy.

Porucznik Pratt zignorował go.

- Dave, chcę, żebyśmy mieli przy tym swojego człowieka. Nie przyszły jeszcze wszystkie szczegóły, lecz możliwe są dwa sposoby interpretacji tego, co tam zaszło, i oba to potencjalny dynamit. Wszystkie ofiary zostały spalone żywcem i pobieżne oględziny wskazują, że to nie był wypadek. Mogło to być masowe morderstwo na tle narkotyków, coś w rodzaju zabójstwa z zemsty na dużą skalę, i tu się kłania Kolumbia. Jednakże sądząc po tym, jak wyglądały zwłoki, istnieje chyba jeszcze większe prawdopodobieństwo, że było to zbiorowe samobójstwo.

- Daj pan spokój, poruczniku - odparł sierżant Houk, potrząsając głową z niedowierzaniem. - Mogę jeszcze przełknąć masowe morderstwo. Ale żeby trzyście osób z własnej i nieprzymuszonej woli wybrało śmierć w płomieniach?

- Nie jestem pewien, sierżancie. Jak na razie, to wszystko, co wiemy. Pasażerowie ponieśli śmierć w płomieniach i okoliczności wydają się wskazywać, że mamy do czynienia z masowym morderstwem albo zbiorowym samobójstwem. Dalsze informacje na miejscu.

- W porządku, i tak miałem zamiar wracać. Sierżant Houk rzucił nadajnik z powrotem na siedzenie.

- O Jezu. Może zaśpiewamy razem *Nie chcę podpalić tego świata?*

Popatrzył na Lloyda i nagle zdał sobie sprawę, co takiego powiedział.

- Przepraszam. To było zupełnie nie na miejscu. Przykro mi. Jeszcze raz przepraszam.

Lloydowi zaschło w ustach i miał dreszcze z zimna i wyczerpania.

- Czy uważa pan, że to może mieć jakiś związek?

- Co pan ma na myśli?

- Czy uważa pan, że może być jakiś związek pomiędzy śmiercią Celi i ludzi w tym autobusie?

Sierżant Houk wytarł nos zmiętym kawałkiem chusteczki higienicznej.

- Coś panu powiem, panie Denman. Od tej pory, ile razy włączy pan telewizor lub za każdym razem, kiedy otworzy pan gazetę, zobaczy pan raport o czyjejś samobójczej śmierci w płomieniach. To się zdarza codziennie, tylko dotąd po prostu nie zwracał pan na to uwagi. Samobójcy pewnego typu uważają, iż należy rozstawać się z życiem w ten właśnie sposób. Tak naprawdę to nikt nie wie dlaczego. Nie istnieje żaden związek. To się zdarza codziennie.

Przed komendą policji Houk skręcił i zaparkował pod kątem tuż koło schodów.

- Sześć tygodni temu badałem sprawę samobójstwa we Florida Canyon, które miało dokładnie taki sam przebieg jak zgon pańskiej narzeczonej. Okoliczności były identyczne, nawet kanister miał czerwony kolor. Jedyna różnica to fakt, że tam nikt nie dotarł do samobójcy z gaśnicą. Niech mi pan wierzy, nie zostało nic prócz popiołu. Dwa tygodnie zajęło nam zidentyfikowanie ofiary - sprzedawcy od Searsa. Żadnego związku z pańską narzeczoną poza sposobem zejścia.

Lloyd wysiadł rozdygotany z lodowato zimnego samochodu wprost na rozpaloną śródmiejską ulicę.

- Niech się pan tym tak nie przejmuje - powiedział doń sierżant Houk przechylając się przez przednie siedzenie. - Niech się pan rzuci w wir pracy. Wielu ludzi uważa, że to pomaga.

- Dziękuję za radę - odparł Lloyd, choć sierżant Houk pozostał głuchy na wyczuwalny w głosie rozmówcy sarkazm.

- A gdyby panu coś przyszło do głowy... jakkolwiek ewentualny powód, dla którego pani Williams mogłaby chcieć odebrać sobie życie... nawet jeśli by to nie było nic poważniejszego niż napięcie przedmiesiączkowe, zadzwoni pan do mnie, dobrze?

- Z pewnością - odparł Lloyd.

Przeszedł przez oślepiająco biały parking. Miał świadomość, iż sierżant Houk mu się

przypatruje. Otworzył drzwi BMW, usiadł za kierownicą i przez chwilę siedział z zamkniętymi oczyma, powtarzając słowa z *Kaddyszu* Allena Ginsberga.

*Tam pozostań. Już żadnych dla ciebie cierpień. Wiem, dokąd odeszłaś, jest dobrze.*

Nie widział dziewczyny w czarnym prochowcu stojącej po przeciwnej stronie Broadwayu i przyglądającej mu się bez ruchu, podczas gdy jej żółta chustka powiewała w nadpływających z przystani ciepłych podmuchach wiatru, a w szklach ciemnych okularów odbijały się dwa oślepiające punkciki światła.



## ROZDZIAŁ 6

Gdy zjawił się z powrotem na North Torrey, zdziwił go i zdenerwował widok metalicznej czerwieni lincolna continentala zaparkowanego przed domem. Wjechał na krawężnik, wysiadł z BMW i na przełaj przez trawnik ostrożnie zbliżył się do lincolna, dzwoniąc trzymanymi w dłoni kluczami.

Gdy podszedł bliżej, ujrzał za kierownicą łysiejącego mężczyznę lat około sześćdziesięciu pięciu. Obok niego siedziała tleniona blondynka w purpurowo-białej bluzce, obwieszona większą liczbą złotych naszyjników, wisiorów i broszek niż Nefretete. Lloyd zapukał w szybę. Na jego widok oboje rozplnęli się w uśmiechach.

- Cześć! Pan na pewno jest Otto - przywitał go siwowłosy mężczyzna opuszczając boczną szybę. Nie przestając się uśmiechać, wyciągnął rękę na powitanie.

- Przykro mi, proszę pana - odparł Lloyd - ale chyba pomyliliście adres. Tutaj jest North Torrey 3337.

Mężczyzna zmarszczył brwi i wyciągnął z futerału okulary w grubej oprawce. Z kieszeni koszuli wyłowił porządnie złożony list i dokładnie go zbadał.

- Zgadza się. Takiego właśnie adresu szukamy. North Torrey 3337.

- No cóż, obawiam się, że nie mieszka tu żaden Otto. I zgodnie z moimi wiadomościami, nigdy nie mieszkał.

- O, przepraszam - odpowiedział mężczyzna. -

W gruncie rzeczy to nie o Ottona nam chodzi. Poszukujemy Celi - Celi Williams.

- Jesteście jej przyjaciółmi?

Mężczyzna roześmiał się, a do rozmowy włączyła się kobieta.

- Można by to tak nazwać. Nie wie pan przypadkiem, gdzie możemy ją spotkać? Od rana jesteśmy w drodze z San Clemente, a tu czekamy już blisko godzinę.

Lloyd przejechał dłonią po karku.

- Obawiam się, że mam dla was bardzo przykrą wiadomość.

- Chyba mi pan nie powie, że wyjechała poprowadzić jeden ze swoich cykli wykładów? - zaprotestowała kobieta. - Och, Wayne... mówiłam, żeby najpierw zatelefonować.

- Gdybyśmy zadzwonili, to co to byłaby za niespodzianka? - zaproponował mężczyzna.

- Na miłość boską, to by nam zaoszczędziło dwóch godzin tłuczenia się po autostradzie.

Kobieta uśmiechnęła się i zapytała:

- Nie wie pan przypadkiem, jak długo jej nie będzie?

- Proszę pani - powiedział Lloyd, nie mogąc dać sobie rady z uciskiem w krtani i łzami napływającymi do oczu. - Bardzo mi przykro, ale muszę pani powiedzieć, że Celia wczoraj zmarła.

Oboje, mężczyzna i kobieta, popatrzyli na niego z otwartymi ustami. Wreszcie mężczyźnie udało się wykrztusić:

- Zmarła?

- Jak to tak... zmarła? - spytała kobieta. Lloyd wyciągnął chusteczkę i wytarł oczy.

- Przykro mi. Zdarzył się wypadek; zginęła w płomieniach. Nikt tak naprawdę nie wie, co się właściwie stało.

- O mój Boże! - powiedziała kobieta. Twarz jej stała się równie biała jak włosy. - O mój Boże, powiedz mi, że to nieprawda.

Mężczyzna wysiadł z samochodu i stanął obok Lloyd. Przy dobrze rozwiniętej klatce piersiowej oraz potężnej głowie był dosyć niskiego wzrostu, lecz jak na swój wiek jeszcze całkiem przystojny.

- Drogi panie - powiedział - nie wiem nawet, kim pan jest. Wygląda na to, że Celia nie o wszystkim nam opowiadała. Przepraszam.

Lloyd podał mu rękę.

- Lloyd Denman. Mieliśmy z Celią zamiar się pobrać. Ten dom to jest... no cóż, to była nasza wspólna własność.

- To dla nas szok - odparł mężczyzna. - Nawet nie wiedzieliśmy, że Celia się z kimś spotyka, a co dopiero mówić o ślubie. Jestem Wayne Williams... a to moja żona, Vela.

- Nie wejdziecie do środka? - zaprosił ich Lloyd. - Właśnie wracam z kostnicy. Muszę się czegoś napić.

- Dziękuję - odparł Wayne. Obszedł samochód i otworzył drzwi Veli. - Mówi pan... w płomieniach? Jak do tego doszło? Czy to był wypadek samochodowy?

- Wejdźmy do środka, wszystko wam powiem - odrzekł Lloyd.

Wprowadził ich do domu. Potrącając się nawzajem, obydwójce zaczęli rozglądać się po pomalowanym na biało salonie niczym turyści z prowincji w eleganckiej galerii sztuki w La Jolla.

- Obrazek z cytrynami - powiedziała nagle Vela. - Kiedyś należał do mnie. *Kto kupi moje cytryny?*

- Usiądźcie, proszę - powiedział Lloyd. - Drinka? A może napijecie się kawy?

- Nie ma pan dietetycznej wody sodowej? - poprosił Wayne.

- Ja dziękuję - powiedziała Vela.

- Bardzo proszę, siadajcie - nalegał Lloyd wychodząc do kuchni, lecz oni w dalszym ciągu stali.

- Prawdę mówiąc, wolelibyśmy się dowiedzieć, co się właściwie stało - rzekł Wayne.

Lloyd wrócił z puszką dietetycznej 7-Up, zerwał wieczko, napełnił szklanę z grubym denkiem i podał ją Wayne'owi. Potem nalał sobie dużą whisky.

- Wygląda na to, iż odebrała sobie życie - rzekł.

- Co takiego? - zapytała Vela.

- Wygląda na to, że popełniła samobójstwo.

- Ależ dlaczego? Była taka szczęśliwa. Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak rozradowanej. Jej kariera w operze rozwijała się tak wspaniale... miała tylu przyjaciół. I zamierzała wyjść za mąż, o czym w ogóle nie wiedzieliśmy. Czemuż, na miłość boską, miałaby popełnić samobójstwo?

Lloyd przyglądał się wzorom na dywanie.

- Przykro mi. Nie mam zielonego pojęcia.

- Nie zostawiła jakiegoś listu? - zapytał Wayne drżącym głosem.

- Niczego. Ani jednej poszlaki. Policja prosiła mnie, bym zastanowił się nad jakimś powodem, dla którego mogłaby to zrobić, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

Veli trzęsa się głowa od łkania, a jej pomarszczone palce o polakierowanych paznokciach szarpały się nawzajem w udęce.

- Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę. Po prostu nie mogę uwierzyć.

- Może państwu przyjdzie do głowy jakiś powód - rzekł Lloyd. - Najwidoczniej świetnie ją znaliście.

Zmięta powierzchowność Wayne'a rozprostowała się nagle.

- Jak proszę? Oczywiście, że znaliśmy ją świetnie. Sądziłem, że pan się domyślił. Jesteśmy jej rodzicami.

Lloyd popatrzył w osłupieniu na Wayne'a, potem na Velę i z powrotem na Wayne'a.

- Jesteście jej rodzicami? Prawdziwymi rodzicami? Mnie powiedziała, że oboje jej rodzice nie żyją.

Wayne wreszcie usiadł i objął ramieniem trzęsące się plecy Veli.

- Lloyd - rzekł - nie mam pojęcia, co, u diaska, się tutaj działo. Ale cokolwiek to było, sądzę, że Vela potrzebuje natychmiast lekarza. Z jej sercem nie jest najlepiej i mogłoby nie wytrzymać jeszcze jednego szoku.

Lloyd skinął głową.

- Zadzwońię po doktora Meyera. To jeden z lekarzy uniwersyteckich. Prawdopodobnie będzie mógł przyjść natychmiast.

- O, moje kochanie, moje małe kochanie - zanosila się łkaniem Vela. - Och, Wayne, co my teraz zrobimy?

Doktor Meyer pojawil się w okularach przeciwsłonecznych i golfowych butach. Podal Veli lekki środek uspokajający.

- Wróce tu jutro rano tylko po to, żeby sprawdzic, jak się czuje - zapewnil Lloyda, wsiadając do lśniącego jak węgiel saville'a. - Gdyby mnie pan potrzebował dziś wieczorem, będę rozgrywał partyjkę z Billem Manzo w Szepczących Palmach. Terapia golfowa. - Obnażył zęby w uśmiechu.

Vela popołudnie spędzila w gościnnej sypialni. Lloyd zaś z Wayneem zostali z salonie, by porozmawiac.

Większa część tego, co Celia opowiedzila Lloydowi o swoim zyciu, okazala się prawdą, niemniej od czasu do czasu trafiały się niewytłumaczalne niezgodności, z których najpoważniejszą było jej niemal fanatyczne zainteresowanie religią i zyciem po śmierci. Nigdy nie rozmawiała z Lloydem o religii, a kiedy ją zapytał, czy wierzy w Boga, roześmiala się i odparła:

- W czyjzego Boga? Bo na pewno nie mojego, kochanie! Jako że Vela była zbyt zszokowana i zmartwiona, by wiec ją jeszcze tej nocy do San Clemente, Wayne przestawil się z dietetycznej 7-Up na whisky. Zapalil przy tym cygaro i zzuł buty. Lloydowi zwykle przeszkadzaly cygara, nie mówiac już o skarpetach starych ludzi, lecz owego wieczora nie miał nic przeciwko temu. Przynajmniej nie będzie musiał spędzic nocy sam w domu, mając za cale towarzystwo niemą, przywodzącą wspomnienia fotografię Celi.

- Zaczęła się interesowac religią na serio, kiedy zmarła jej babka - rzekł Wayne. - Stalo się to, gdy Celia miała lat... och, mniejsza z tym, piętnaście albo szesnaście. Zdaje się, że szesnaście. Uwielbiala swoją babkę. Były sobie bardzo bliskie, świetnie się rozumiały i przepadały za sobą. Dobraly się w korcu maku. Vela była nawet czasem zazdrosna, choć zupełnie bez powodu. Lecz kiedy babka w końcu odeszła, Celia przeżyła to bardzo ciężko. Wydaje mi się, że nie mogła w to uwierzyc, rozumie pan? Ciagle pytala: „Dlaczego babcia nie mogła życ wiecznie?” Powtarzala to i mówila: „Ja mam zamiar życ wiecznie. Mam zamiar życ wiecznie i zawsze”. Powtarzala to tak często, że aż weszło mi w zwyczaj przekomarzac się z nią na ten temat. Ale ona zawsze była śmiertelnie poważna i nie dawala

się sprowokować. Nazywałem ją „nieśmiertelną Celią” albo „wieczną dziewczyną”. Uśmiechała się tylko i nie odzywała się ani słowem.

Przerwał i zwiesił głowę. Wreszcie pociągnął potężny łyk whisky i przepłukał nią zęby.

- Dlatego tak trudno mi uwierzyć, że odebrała sobie życie.

- Domyślam się - zasugerował Lloyd - iż mogła dojść do wniosku, że śmierć jest sposobem na wieczne życie. Zna pan... *Nigdy się nie zestarzeją jak my, którzyśmy zostali.*

Wayne postawił na stole pustą szklanę.

- Nie mam pojęcia. W tym w ogóle nie ma ani za grosz sensu. A już szczytem wszystkiego jest to, iż powiedziała panu, że nie ma rodziców. Co to niby ma znaczyć - miała wyjść za mąż, nie zapraszając nas na ślub?

- Nie wiem, panie Williams. Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

Przez pięć lub dziesięć minut siedzieli pogrążeni w pełnym rozpaczycy milczeniu. Wreszcie Lloyd zagadnął:

- Powiedział pan, że miała obsesję na punkcie religii. Mnie nie wspomniała o niej ani słowem. Przynajmniej nie w tym sensie. Dyskutowaliśmy o Bogu. Rozmawialiśmy o naszej wierze - jak będziemy wychowywać dzieci i tak dalej. Lecz na tym koniec. Nie było w tym nic niezwykłego, nic, co by kogoś mogło zdziwić. Nie wie pan przypadkiem, co to była za religia? Nie zapisała się chyba do jakiejś sekty albo czegoś w tym rodzaju? Czegoś na kształt moonnitów? Albo bhagwanów?

Wayne skrzywił się.

- Nie jestem tego taki pewien. Zaczęło się od kościoła episkopalnego w San Clemente. Chodziła na spotkania biblijne, wieczorki kościelne i inne tego rodzaju imprezy. Następnie około trzech miesięcy po tym, jak dostała pracę w Operze San Diego, spotkała tego Ottona, faceta, za którego wziąłem pana. Zawsze wyrażała się o nim tak, jak gdyby cały świat kręcił się wokół jego du... no, wie pan, była o nim bardzo dobrego zdania. Otóż Otto prowadził takie kółko zainteresowań, gdzie nawiązywano łączność z zaświatami i inne tego rodzaju pierdoły, jeśli wybaczy mi pan, że mówię po francusku.

- Niech się pan nie krępuje. - Lloyd wstał i nalał po następnym dużym drinku. - Nie zna pan przypadkiem nazwy tego kółka? Gdzie jest ich siedziba? Czym się zajmują?

Wayne potrząsnął głową.

- Celia opowiadała nam tylko, jak wspaniale się czuje w ich towarzystwie, jacy to oni są wspaniali i jaki wspaniały jest Otto. Uważała go za ósmy cud świata. Za samego Pana Boga, praktycznie rzecz biorąc.

- Nigdy pan go nie widział?

- Byliśmy tu tylko raz, zobaczyć operę. Mnie osobiście cała ta opera ani ziębi, ani grzeje. Nie wiem, skąd się u Celi wzięło to zainteresowanie. A już szczególnie dla tego cholernego Wagnera. Odkąd spotkała Ottona, było już tylko Wagner to i Wagner tamto, i kiedy przyjeżdżała do domu na weekend, zaraz zaczynała puszczać sobie co głośniejsze kawałki z tymi wrzeszczącymi babami. Wychodziłem wtedy z psem na spacer. O mój Boże, wielki mi Wagner! To brzmiało tak, jakby ktoś zrzucił bombę atomową na wieczorek towarzyski klubu napuszonych panius. - Wayne przerwał, odchrząknął i po chwili powiedział: - *Cyrulik sewilski* to coś bardziej w moim stylu. *W stary dobry letni czas*. - Jego oczy zalśniły łzami.

Lloyd zatonął na powrót w oparciu sofy, obracając szklaneczkę w ręku. Wayne pytał cygaro i wypuszczał kółka dymu aż pod sufit. Był już zupełnie pijany, za co prawdopodobnie mógł tylko być wdzięczny. Śmierć córki nie zwali się całym ciężarem na jego barki wcześniej niż dopiero jutro rano, razem z kaczem wielkości ciężarówki wyładowanej cementem.

Dwadzieścia minut później Wayne'owi zamknęły się oczy i zasnął. Lloyd odczekał jeszcze kilka chwil, by pozwolić mu zapaść w głębszy sen. Potem cicho podszedł i wyjął mu spomiędzy nieruchomych palców na wpół wypalone cygaro.

Poszedł do kuchni i zadzwonił do Sylvii Cuddy. Czekając, aż Sylvia podniesie słuchawkę, włączył przenośny telewizorek, stojący obok półeczki z przyprawami, i z dźwiękiem ściszonej do minimum obejrzał reklamę gumy do żucia Wrigleya.

Sylvia odebrała telefon. W tle słychać było operę Verdiego puszczoną na cały regulator.

- Sylvia? Mówi Lloyd.

- Och, Lloyd! Czekałam, kiedy się odezwiesz! Właśnie miałam wychodzić.

- W takim razie nie przeszkadzam.

- Wcale nie przeszkadzasz. Poczekaj, niech to tylko przyciszę. Nie słyszę własnych myśli. Leonard Katzmann zabiera mnie do Maria na kolację, jak gdybym nie miała dość opery jak na jeden dzień. Albo dość Leonarda, jeśli już o to chodzi. Jak się czujesz, mój skarbie? To musiało być dla ciebie straszne przeżycie.

Straszne? Jak można oddać słowami przeraźliwą grozę tych rozdziawionych nozdrzy, tych ściągniętych skurczem warg, tych zetlących włosów? Tej pięknej twarzy, która przemieniła się w poczerniałą maskę śmierci *voodoo*?

- No cóż - odparł starając się nadać słowom rzeczowy ton - szczerze mówiąc, nie było to łatwe. To była najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek musiałem zrobić w życiu.

- Lloyd, mój kochany, tak mi przykro. Nawet nie wiesz, jak bardzo ci wszyscy współczujemy.

- Dziękuję, Sylvio. Posłuchaj... Jutro porozmawiam z tobą o pogrzebie i wszystkich tego rodzaju sprawach. Lekarz sądowy jeszcze nie zezwolił na przekazanie zwłok przedsiębiorcy pogrzebowemu. Okazuje się, że istnieje przepis, iż w przypadku samobójstwa zawsze należy przeprowadzić sekcję zwłok.

- Nie ma pośpiechu, Lloyd. Jeśli chcesz, jutro wpadnę.

- Oczywiście. Byłoby świetnie. Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chciałbym cię zapytać.

- Pytaj, o cokolwiek zechcesz.

- A zatem... nie znasz może przypadkiem kogoś z opery o imieniu Otto?

Nastąpiła pauza.

- Otto? Nie znam takiego. Nie masz jego nazwiska?

- Otto to wszystko, co wiem. Być może to niezupełnie członek zespołu operowego, lecz tylko przyjaźni się z kilkoma spośród nich. Jest związany z jakimś zgromadzeniem religijnym...

- Nie powiem, bym kiedykolwiek słyszała o jakimś Ottonie. Ale jeśli ci na tym zależy, popytam wśród znajomych. Może Don go zna. - Zawahała się i po chwili dodała: - Czy to chodzi o ciebie, Lloyd? Znam wspaniałego kapłana, do którego mógłbyś się zwrócić, księdza Bernarda.

- Nie, to tylko... tylko ktoś, o kim kiedyś wspomniała mi Celia. Sądzę, że powinienem powiadomić go, co się stało.

- Och, z pewnością. Cóż, popytam. Nie wiesz o nim nic bliższego?

- Tylko tyle, że Celia uważała go za coś pośredniego pomiędzy Jezusem Chrystusem a Robertem Redfordem.

- Doprawdy? No cóż, wiedząc, jaka była wybredna, muszę przyznać, iż wygląda na mężczyznę, którego chciałabym dostać w swoje ręce. Popytam się, dobrze? Dobranoc, Lloyd, i uważaj na siebie.

Lloyd odłożył słuchawkę na widelki, kiedy w telewizji rozpoczęli nadawanie wieczornych wiadomości. W następnej chwili ujrzał niestabilny, filmowany z ręki obraz poczerńiałego spalonego autobusu, stojącego gdzieś na pustyni. Tego samego autobusu, który miał zbadać sierżant Houk. Lloyd wcisnął przycisk pilota i usłyszał głos reportera w pół zdania.

- ...dzisiejszego ranka przez dwu funkcjonariuszy Patrołu Drogowego podczas rutynowego objazdu Parku Stanowego Pustyni Anza-Borrego...

Lloyd obserwował, jak kamery telewizyjne krążą wokół wraku autobusu.

- ...jedynym dotychczas świadkiem jest niewidomy indiański chłopiec, który

utrzymuje, iż w pobliżu autobusu bezpośrednio przed jego spalaniem słyszał głosy, ale...

Kamera odjechała do tyłu, by pokazać trzy karetki zaparkowane na poboczu autostrady oraz rząderek ułożonych na ziemi pokrowców na zwłoki.

- Zaledwie dwie ofiary - mówił reporter - doczekały się jak na razie pozytywnej identyfikacji. Pierwszą z nich jest pan Ronald Kershow, sprzedawca dywanów z Escondido. Druga to pani Marianna Gomes, scenograf Opery San Diego...

Lloyd spoglądał na ekran telewizora z uczuciem strachu i podniecenia. A więc nie ma żadnego związku pomiędzy śmiercią tych wszystkich ludzi ze spalonego autobusu w Parku Stanowym Pustyni Anza-Borrego a samobójstwem Celi na Rosecrans Street, czyż nie tak, sierżancie Houk? Lecz jak pan sądzi, jakie jest prawdopodobieństwo, by dwie kobiety z zespołu Opery San Diego zginęły przypadkowo w płomieniach w ciągu dwóch następujących po sobie dni? Miliard do jednego?

Lloyd spotkał kiedyś Mariannę Gomes. Przypominał sobie żywą ciemnoskórą dziewczynę w czerwonej bluzce z falbankami. Czerwone wargi, czarne oczy, biodra, które kołysały się w niemym rytmie salsy. W żadnym razie nie typ samobójczyni - nie bardziej niż Celia.

Pamiętał również, co powiedziała mu o Mariannie Celia: „Jest taka bystra i utalentowana, a przy tym ma szalone poczucie humoru”.

Kilka razy, gdy Celia późno wróciła do domu, mówiła mu, że razem z Marianną „były czymś zajęte” i że „straciły poczucie czasu”.

Czy tym właśnie były razem zajęte? Wspólnym samobójstwem w płomieniach?

Lloyd dokończył drinka. Jego umysł rozbrzmiewał zgiełkiem obrazów, przypuszczeń, urywków zapamiętanych rozmów. „Pracowałyśmy nad tym pomysłem wspólnie z Marianną... zdaje się, że trochę się to przeciągnęło...”

Był teraz w stanie przywołać Celię z pamięci, ubraną w kożuszek, odwracającą się od drzwi z kluczem w ręku.

„Zastanawialiśmy się, ile można by zrobić, gdyby mieć przed sobą całą wieczność”.

Kiedy to powiedziała? Pamiętał jak dziś, że użyła tych właśnie słów. „Całą wieczność”.

A może Celia wraz z Marianną brały udział w religijnych dysputach z tym tajemniczym Ottonem? A może razem z nim opracowywały plan samobójstwa? Przecież - pomyślcie tylko - w jaki sposób Celi udało się dostać z kanistrem na Rosecrans Street, jeśli nie miała kogoś, kto by ją tam zabrał? Nie widziano jej w autobusie, żaden taksówkarz nie zgłosił, że ją podwoził, a w okolicy nie było ani jednego samochodu, którego obecności nie można by wytłumaczyć.



Lloyd raz jeszcze podniósł słuchawkę i powtórnie wykręcił numer Sylvii, lecz widocznie już wyszła na kolację do Maria. Wrócił do salonu, by zabrać butelkę whisky. Przedtem nie chciało mu się nawet napełnić karafki. Wayne w dalszym ciągu drzemał z głową odrzuconą do tyłu i otwartymi ustami, mrużąc jak kot.

Lloyd otworzył szufladę biurka i wyjął gruby żółty notatnik formatu A4. Fioletowym atramentem, śmiało pochyłymi literami napisał na karcie tytułowej: Celia Jane Williams, pod spodem zaś postawił datę czternastego czerwca, dnia jej śmierci.

Nie miał żadnych namacalnych dowodów, nic, na czym mógłby się oprzeć, oprócz przypuszczeń i obaw. Lecz był już teraz pewien, iż decyzja Celi, by poszukać w płomieniach śmierci, nie została bynajmniej podjęta spontanicznie ani pochopnie, pod wpływem chwili. Planowała samobójstwo, może od tygodni, a może i od miesięcy.

Czy Otto wraz ze swym religijnym zgromadzeniem mieli z tym cokolwiek wspólnego, jeszcze nie wiedział. Lecz zdecydowany był tego dociec.

Otto - napisał w swym notatniku, potem zaś dorysował obu literom „o” oczy i uśmiech. Życzę miłego dnia.

Nie został wychowany na wojownika, w każdym razie nie w sensie fizycznym. Jego ojciec zawsze utrzymywał, że tylko szaleńcy żądają oka za oko. Normalnemu człowiekowi bardziej przystoi zrobić wszystko, by utrzymać się przy życiu, niż próbować uczynić innym to, co oni mu uczynili. Teraz jednak Lloyd, jak jeszcze nigdy dotąd, poczuł się ogarnięty żądzą zemsty. Było to niemal tak, jakby sam rozgorzał płomieniem. Z trudnością przychodziło mu usiedzieć w jednym miejscu, z niecierpliwości ledwie oddychał. Miał zamiar dowiedzieć się, kto odebrał mu Celię, bez względu na to, ile mu to zajmie czasu oraz ile będzie kosztowało, i wyrównać z tym kimś rachunki.

## ROZDZIAŁ 7

Gdy następnego ranka Lloyd zajechał do Bazy Rybnej Denmana, La Jolla okryta była szaroperłową mgłą Pacyfiku. Przed wejściem parkował już jasnoniebieski cutlass supreme Walda, a za wiktoriańską fasadą z palmami i secesyjnymi obramowaniami okien można było dojrzeć zapalone w sali restauracyjnej światła. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Waldo?

Waldo siedział przy jednym ze stolików i układał menu. Za oknem La Jolla była niewidoczna, jak gdyby świat się kończył tuż za barierą balkonu.

- Panie Denman, jak się pan miewa? Nie musi pan jeszcze wracać do restauracji. Wszystko jest w zupełnym porządku. Idzie nam jak po maśle.

Wstał i uścisnęli się nawzajem nieco niezgrabnie zarówno z powodu wystającego brzucha Walda, jak i jego przywiązania do należącego protokołu. Dla Walda Lloyd nigdy nie mógłby stać się „Lloydem”, nawet gdyby mieli prowadzić razem Bazę Rybną jeszcze jako dwaj dziewięćdziesięciolatekowie. Pierwsza zasada wzajemnych stosunków pracownik - pracodawca, jaką wyznawał Waldo, głosiła, iż jeżeli ktoś dał ci pracę, winieneś tego kogoś szanować. Jeżeli zaś nie potrafisz, pozostaje ci tylko poszukać sobie innej pracy.

- Był pan w kostnicy? - zapytał delikatnie Waldo. - Widział ją pan?

Lloyd skinął głową.

- Owszem. Spotkałem też jej rodziców. Waldo zmarszczył brwi ze zdziwienia.

- A nie mówił pan, że nie ma rodziców?

- No cóż, owszem, tak właśnie mówiłem, ale okazuje się, że miała. Wczoraj wieczorem przyjechali z San Clemente i zostali na noc. Pożegnałem się z nimi pół godziny temu. Bardzo się tym wszystkim przejęli.

- Nie tylko oni, panie Denman. Wszyscy tu jesteśmy bardzo zmartwieni.

Lloyd przeszedł do kuchni, gdzie wielki miedziany rondel zupy rybnej bulgotał na ogniu. Podniósł pokrywkę i powąchał.

- Co za zapach! Nadejdzie jeszcze taki czas, że Marcel Perrin będzie brać lekcje u Louisa. Czy udało mu się kupić błękitka?

- Dopiero co pojechał po niego na przystań. Chciał też przywieźć więcej abalonów.

Lloyd rozejrzał się, po czym powiedział:

- Potrzebuję trochę urlopu, Waldo. Chciałbym, żebyś na jakiś czas objął tu rządy.

- Oczywiście, panie Denman. Może pan na mnie liczyć. Jak pan sądzi, ile będzie pan

potrzebował czasu?

- Nie wiem, to mogą być dwa dni i może być tydzień. Wyniknął pewien problem, którym muszę się zająć. Postaram się być w kontakcie, lecz gdybyś miał jakieś kłopoty, możesz zawsze zadzwonić do mojego radcy prawnego, Dana Tabaresa. Jest w książce telefonicznej. Tabares Oldenkamp Tabares.

Waldo przyglądał się niepewnie Lloydowi.

- Powie mi pan, co się stało, panie Denman? Może mógłbym na coś się przydać?

Lloyd uściśnął twardą i pękatą dłoń Walda.

- Innym razem, amigo. To coś, z czym muszę sam się uporać. Zapłacę ci dwieście dolarów na tydzień więcej, w porządku? I będziesz w pełni upoważniony do podpisywania czeków.

- Panie Denman, nie ofiarowywałem się z pomocą dla pieniędzy.

- Oczywiście, że nie. Ale będziesz miał teraz większą odpowiedzialność, a większa odpowiedzialność oznacza dodatkową zapłatę. W porządku?

- No cóż, świetnie, panie Denman, jeżeli pan sobie tak życzy.

Lloyd przeszedł do biura. Zabrał swój filofax, zapasowy pęk kluczy i kasetę z sekretarki automatycznej. Potem podszedł do małego stolika, gdzie przechowywał książeczki czekowe firmy. Ktoś zastawił go blisko tuzinem starych beżowych kubków, których już przestali używać, odkąd Lloyd kupił nowy zestaw u Yilleroya i Boche'a. Otworzył zamek i uchylił blat zaledwie o centymetr do góry, by móc wyciągnąć książeczkę nie przestawiając kubków.

Właśnie udało mu się uchwycić dwoma palcami jedną z książeczek, gdy wtem kubki ześlizgnęły się i potoczyły po podłodze.

- A niech to szlag! - zaklął.

- Wszystko w porządku, panie Denman? - zapytał Waldo zaglądając przez drzwi.

- Jak najbardziej... Ja tylko...

Popatrzył na beżowe kubki i nagle przywiodły mu one coś na pamięć: figurki Celi na dywanie. Dlaczego kolekcja była rozrzucona w taki sposób? Nie dlatego, że ktoś zmiotł ją ręką z pokrywy fortepianu. Gdyby ów ktoś to zrobił, figurki rozsypałyby się na dużo większej powierzchni. Nie zsunęły się z fortepianu wszystkie razem na jeden stos, tak samo jak te kubki. Ponieważ ktoś zrobił z fortepianem to samo, co on właśnie zrobił z pulpitem. Podniósł blat, by wyjąć coś, co było w środku.

Pośpiesznie przekazał Waldowi ostatnie polecenia i natychmiast opuścił Bazę Rybną. Chciał jak najprędzej znaleźć się w domu i zobaczyć, czego szukał jego nocny gość.

Za dnia dom wydawał się jeszcze spokojniejszy i bardziej opustoszały niż nocą. Lloyd wniósł do środka wszystkie wzięte z biura dokumenty i położył na blacie w kuchni. Potem skierował kroki do salonu i podszedł do fortepianu.

Natężył słuch. Nic poza odgłosami owadów z dziedzińca i naszeptywaniem spryskiwaczy trawnika. Nic poza miarowym kapaniem z kranu w łazience.

To było niczym życie, skapujące kropla po kropli. Kap, kap, kap, wszystko w kanał.

Ostrożnie zaczął zdejmować kolekcję z pokrywy fortepianu i układać na poduszkach jednej z kanap. Czyniąc to, miał przez cały czas wrażenie, iż przez otwarte drzwi sypialni przygląda mu się fotografia Celi. Nuże, Celio, dowiedz... póki czas, naszej miłości.

Dzwonek telefonu sprawił, iż przez skórę przeszło mu mrowie. Zdjął dwie ostatnie marynarskie rzeźby i podszedł do aparatu.

- Lloyd? Tu Sylvia.

- Och, cześć, Sylvio. Domyślam się, że słyszałaś już o Mariannie.

- Czy to nie straszne? I do tego zaledwie w jeden dzień po Celi.

- Była doprawdy świetną dziewczyną.

- Wróciłam od Maria - powiedziała Sylvia - i zobaczyłam to w nocnych wiadomościach. Byłam po prostu zdruzgotana. Nie sądzisz chyba, że zachodzi tu jakiś związek, co?

- O to samo pytałem policje, ale oni naprawdę nie wiedzą. Sądzę, iż istnieje całkiem spore prawdopodobieństwo takiego związku. Jak na zbieg okoliczności, ta sprawa posunęła się zbyt daleko: dwie kobiety z tego samego zespołu operowego giną w płomieniach w przeciągu zaledwie dwóch dni.

- Nie wiem, Lloyd. Marianna właściwie nie zginęła z własnej ręki. Rozumiesz, to nie jest tak, jak gdyby brała z Celi przykład. Obok siebie miała dwanaście innych osób, a żadna z nich nie miała nic wspólnego z Operą San Diego.

- No cóż, przypuszczam, że policja natrafi na coś nowego - powiedział Lloyd z ostrożnością.

- I ja tak sądzę - zgodziła się Sylvia. - To taka straszna śmierć.

- Naprawdę musze już wyjść - rzekł Lloyd spoglądając na pustą pokrywę białego fortepianu. - Nie mówiłaś, że masz zamiar wpaść do mnie dzisiaj?

- Istotnie... to jest, jeśli w dalszym ciągu masz ochotę, bym wpadła.

- A może pójdziemy napić się do lokalu? Chciałbym z tobą pomówić. Przyjadę po ciebie o wpół do siódmej.

- Świetnie.

Lloyd odłożył słuchawkę i wrócił do fortepianu. Delikatnie uchylił pokrywę i zajął do ciemnego wnętrza. Fortepiany zawsze pachniały w środku tak samo: woskiem, żywicą i filcowymi tłumikami - prawie jak w kościele. Podniósł pokrywę i założył podpórkę.

Na pierwszy rzut oka w środku niczego nie było. Kłopot w tym, że nie wiedział, czego powinien szukać. Może klucza? Albo zwitka banknotów? Listu? Zamszowego woreczka wypchanego diamentami?

Ani też nie miał pojęcia, czy jego nocnemu gościowi udało się znaleźć to, czego szukał. Było całkiem możliwe, że już to zabrał ze sobą - a wówczas Lloyd nigdy nie miałby się dowiedzieć, co to było.

I wciąż jeszcze pozostawało pytanie, kto to ukrył, dlaczego i jak to się stało, że włamywacz wiedział, czego szukać i gdzie się to znajduje.

Gdy tak zaglądał we wszystkie zakamarki fortepianu, w głowie jak w kalejdoskopie zmieniały mu się wszelkiego rodzaju wymyślone na chybił trafił, nie dokończone teorie. Może jakiś handlarz narkotyków używał składu fortepianów jako fasady dla sprzedaży heroiny i część jej zapasu ukrył we wnętrzu instrumentu, który najmniej wyglądał na to, by go ktoś zechciał kupić. Może rama fortepianu została odlana z czystego złota przez gang Brink-Mata w celu przeszmuglowania go do Europy. Może jakiś szpieg używał fortepianu jako skrzynki do przekazywania informacji wykradzonych Marynarce Stanów Zjednoczonych.

Może...

Przechylił głowę w bok i dostrzegł przymocowaną taśmą klejącą we wnętrzu fortepianu jasnobrązową kopertę. Ostrożnie odczepił taśmę i wyciągnął kopertę uważając, by trzymać ją za sam rożek. Mimo wszystko mogą być na niej odciski palców jakiegoś rosyjskiego agenta i co powiedziałoby FBI, gdyby je zatarł? Widział dostatecznie wiele odcinków Niezwykłej misji, by znać prawidłową procedurę. „Wiadomość ta ulegnie samozniszczeniu w ciągu dziesięciu sekund”.

Położył kopertę na biurku i otworzył ją. Wewnątrz znajdował się plik pożółkłych papierów. Wysypał je i ostrożnie rozpostarł w wachlarz. Przed poznaniem Celi nie wiedziałby, co z nimi począć, teraz jednak na pierwszy rzut oka rozpoznał w nich operowe libretto. Musiała to być całkiem spora opera, skoro strony nosiły kolejne numery od 125 do 137.

Było także kilka stron nutowego rękopisu, zapisanych cieniutkim i pryskającym atramentem piórem, mocno podkreślonych i z wieloma naniesionymi poprawkami. Na ostatniej stronie znajdował się dopisek ołówkiem: „Wagner Junius, styczeń 1883”.

Lloyd znów usiadł na krześle i z zakłopotaniem wpatrzył się w te wszystkie wyblakłe

kartki papieru. Z wyglądu mogły być nawet fragmentem oryginalnej partytury Wagnera - choć Lloyd nie miał pojęcia, jaki był jego charakter pisma. Jeśli tak, zapewne przedstawiały sobą niemałą wartość. Ale dlaczego Celia ukryła je wewnątrz fortepianu? Dlaczego nie złożyła ich w bankowym sejfie? I kto oprócz niej wiedział, że są tu schowane?

Przekartkował libretto raz i drugi. Nic z niego nie rozumiał, gdyż napisane było po niemiecku, do tego charakterem pisma, który i tak ledwie mógł odcyfrować.

Może powinien pokazać je policji. Celia nigdy mu o nim nie wspominała. Może jej wielki sekret polegał na tym, że je ukradła. Wiedział, że zawsze miała bzika na punkcie wagnerianów. Może prawowity właściciel zabił ją z zemsty. Pomimo że wielu świadków potwierdziło to w lokalnych wiadomościach, Lloydowi w dalszym ciągu trudno było uwierzyć, by Celia istotnie oblała się benzyną i podpaliła. Może ktoś ją do tego zmusił - na przykład trzymając na muszce. Ktoś stojący w dostatecznej odległości, by nie zostać zauważony, kiedy benzyna buchnęła płomieniem.

Wagner Junius, styczeń 1883. Wstał zza biurka i podszedł do półki z książkami, skąd wyjął Richarda Wagnera Hansa von Kiela. Pośliniwszy palce, przekartkował książkę. Znalazł wreszcie indeks oper Wagnera. Die Feen; Holender tułacz; Tannhduser; Zmierzch bogów, Lohengrin i wreszcie Parsifal, który został napisany w 1882, rok przed śmiercią kompozytora na zawał serca. Żadnej wzmianki o operze zatytułowanej Junius.

Lloyd przejrzał listę uwertur oraz utworów na chór i orkiestrę. Zygryd, uwertura do Fausta, ale żadnego Juniusa. Zamknął książkę i usiadł, podparłszy się pod brodę, zatopiony w myślach.

Czy to możliwe, by Celia sfalszowała tę operę po to, by zabawić się cudzym kosztem albo dorobić sobie trochę na boku, a teraz ktoś niechętny tego rodzaju oszustwom przyłapał ją na tym? Umiała cudownie improwizować Wagnerowską muzykę. Na przyjęciach potrafiła wyśpiewywać całe zwrotki rzekomo pochodzące z Pierścienia Nibelunga. Wymyśliła nawet swoją własną postać z oper Wagnerowskich, Gromoskóra, i pewnego razu przez dwadzieścia minut dyskutowała z dyrektorem artystycznym Opery San Diego, Tito Caporosso, na jej temat, nim zorientował się, że padł ofiarą żartu.

Sporadycznie słyszało się o morderstwach w świecie sztuki, zwykle po tym, jak fałszerze usiłowali oszukać na miliony dolarów handlarzy i domy aukcyjne. Lecz czy istniała również muzyczna mafia? Ludzie, którzy spaliliby cię żywcem za to, że im sprzedałeś sfalszowaną operę? Nie wydawało się to zbyt prawdopodobne. W gruncie rzeczy koń by się z tego uśmieł.

Lloyd poszukał zapasowej plastikowej koperty na płytę i włożył do niej karty

nutowego manuskryptu. Pierwszym posunięciem będzie zabranie ich dziś do Sylvii. Jeśli chodzi o zaginione rękopisy wielkich kompozytorów, uchodziła ona za eksperta, jej wiedza o Wagnerze zaś była niemal tak encyklopedyczna jak Celi. W 1972 roku Sylvia odnalazła dziewięć uprzednio nie znanych suit fortepianowych Debussy'ego, napisanych po jego wizycie na festiwalu w Bayreuth w 1889 roku - kompozycji, w których silnie zaznaczał się wpływ Wagnera.

Jeśli ktokolwiek miał wiedzieć coś o Juniusu, to tylko Sylvia.

Lloyd zaczął odczuwać głód. Nie był w stanie zjeść porządnego posiłku, odkąd po raz pierwszy usłyszał o Celi. Kiedy miał już za sobą okropną identyfikację jej zwłok, zaczęło mu burczeć w żołądku. Postanowił pojechać do włoskiej restauracji Michelangela na Rosecrans i uraczyć się talerzem ich spaghetti alla vongole.

Był jeszcze inny powód, dla którego chciał się udać na Rosecrans: pragnął na własne oczy zobaczyć miejsce, gdzie zginęła Celia.

Zadzwoił do Walda, by sprawdzić, co słyhać w Bazie Rybnej.

- Niech się pan o nic nie martwi, panie Denman. W porze lunchu wszystkie stoliki zarezerwowane, to samo na wieczór. Żadnych problemów.

W dalszym ciągu rozmawiał z Waldem, gdy wydało mu się, iż zauważył cień przesuwający się bezszelestnie po kuchennej podłodze. Na sekundę przerwał rozmowę, wpatrując się w otwór rozwartych na oścież drzwi kuchennych. Wreszcie rzekł:

- W porządku, Waldo, wielkie dzięki. Zadzwoię później, dobrze?

- Jak pan sobie życzy, panie Denman.

Lloyd delikatnie odłożył na miejsce słuchawkę i czekał. Wydało mu się, że słyszy szcęk zwalnianej sprężyny klamki tylnych drzwi. Ktoś ją próbował przekręcić. Ktoś nieskończenie cierpliwy, kto usiłował otworzyć tylne drzwi tak, by on tego nie słyszał. Tym razem jednak nie mieli szczęścia. Nie tylko zamknął drzwi na klucz, ale również je zarygłował u góry i u dołu. Nikt nie byłby w stanie wdrzeć się do kuchni, nie wyważając ich z futryny.

Bezszelestnie przesunął się przez salon i stanął w drzwiach kuchennych. Przez chwilę nie mógł się zdecydować, choć pierś nabrzmiwała mu oczekiwaniem.

„Przypuścmy, że za tylnymi drzwiami ktoś stoi i próbuje wtargnąć do środka? Albo jeszcze gorzej, przypuścmy, że to...”

W drugim, kontrolowanym wydechu wypuścił powietrze.

„Nie bądź śmieszny. Celia nie żyje. Oglądałeś jej zwłoki, widziałeś je na własne oczy. Oddali ci jej bransoletkę z amuletami, oddali portmonetkę”.

Wkroczył do kuchni i nie zwlekając skierował się w stronę tylnego wejścia. Przez ułamek sekundy miał wrażenie, iż widzi uskakującą ciemną postać. Usłyszał pospieszne szuranie stóp na wyłożonej cegłami powierzchni dziedzińca.

- Chodź tu w tej chwili! - wrzasnął. - Jeżeli uciekniesz, zaraz zawołam gliny!

Z wściekłością przekręcił klucz w zamku i klnąc odsuwał rygle z powrotem. Prawie wcale ich nie używał i chodziły tak ciężko, że na metalowej krawędzi odbił sobie rękę. Z trzaskiem otworzył drzwi na oścież, zdając sobie sprawę ze swojej lekkomyślności i wiedząc, jakie to szaleństwo. Przekonany był jednak, że przez mgnienie oka widział powiewający trójkąt żółtej chustki oraz brunatny kontur, który mógłby równie dobrze okazać się prochowcem.

Wypadł na podwórko, wprawiając w popłoch parkę kalifornijskich przepiórek. Na zewnątrz nie było nikogo. Ani żółtej chustki, ani prochowca. Co więcej, na środku trawnika migotał w słońcu spryskiwacz i jeśli ktokolwiek miałby uciekać przez ogród, musiałby przejść na przelaj przez zraszany obszar.

Na pokrytej srebrzystymi kropelkami wilgoci murawie nie było widać żadnych śladów; żadnych oznak, by ktoś tędy przebiegał. Lecz w kierunku płotu przesunął się obłok z wolna rozwiewającego się dymu, niczym rozpełzający się kształt ducha. W końcu dym podniósł się do góry i raptownie uleciał z wiatrem. Nie - nie dym, lecz para, jak gdyby ktoś przebiegł pod spryskiwaczem, wywijając nad głową młynka rozpalonym do czerwoności pogrzebaczem.



## ROZDZIAŁ 8

Jego apetyt nie był aż tak wielki, jak sobie to wyobrażał, i większa część spaghetti pozostała na talerzu. Gino był tak tym dotknięty, że aż wyszedł z kuchni popatrzeć nań swoimi krowimi oczyma.

- Czy coś jest nie tak? Może mam ci przyrządzić odrobinę mojego rognoncini di agnello saltati con cipolla?

- Chyba żartujesz - odpowiedział Lloyd. - Gino, to było wspaniałe. Takie spaghetti podają tylko w niebie. Po prostu chyba przeliczyłem się z siłami.

- Czyż nie ty jesteś człowiekiem, który powiedział: „Marnować pożywienie to marnować samo życie?”

- Owszem, ale jestem też człowiekiem, który powiedział: „Nigdy nie jedz więcej, niż potrafisz udźwignąć”.

Gino przysiadł się do jego stolika i pstryknął palcami na kelnera, by przyniósł im dwie szklanki verdicchio.

- Przekomarzasz się ze mną, Lloyd, stroisz sobie żarty - rzekł, kładąc mu rękę na ramieniu. - Ale musi ci jej bardzo brakować. Cóż to była za dama! I jaka elegancka kobieta!

- No cóż, owszem - powiedział Lloyd i spuścił wzrok. Ze wszystkich sił starał się nie myśleć o tej Celi, którą pamiętał, lecz skoncentrować się na tej, której najwyraźniej nigdy nie miał okazji poznać. Celi tajemniczej, Celi, która udawała, że nie ma rodziców. Celi, która tak obsesyjnie wierzyła w życie wieczne. Celi, która zapisała się do zgromadzenia religijnego Ottona i która wybrała samobójczą śmierć w płomieniach nie dalej niż pięć przecznic od miejsca, w którym się właśnie znajdował.

- Co teraz poczniesz? - spytał go Gino. - Może powinieneś wziąć sobie trochę wolnego?

Lloyd skinął głową.

- Dwa, może trzy dni. Ale nie mogę trzymać się za długo z dala od roboty. Sam wiesz, jak to jest. Jeśli bierzesz sobie za dużo wolnego, tracisz ochotę do pracy.

- Ejże... jeśli będziesz się nudzić, przyjdź tutaj, a pokażę ci, jak przyrządzić insalatina tenera con la panceteta.

- Cóż to takiego, u diabła? Brzmi jak wskazówka dla turystów, którą drogą najbliższą do Watykanu.

Gino wychylił do dna kieliszek i pokiwał głową.

- Smażona sałata. Jest świetna. Ale nie mogę ci wytłumaczyć, jak się ją robi; musiałbym ci pokazać.

Właśnie wtedy Gina odwołano do kuchni, by ubił nieco *coste di biete saltate*, i Lloyd musiał dokończyć wino samotnie. Był zadowolony, że nie potrzebuje nic mówić. Przyzywał na pomoc całą swoją odwagę, by pozwoliła mu odwiedzić miejsce, gdzie zginęła Celia. Musiał tam pójść. Nie chodziło mu o żadne śledztwo - to była pielgrzymka. Musiał wiedzieć, gdzie to dokładnie się stało, by zacząć nad tym wszystkim panować i wreszcie coś zrozumieć. Wprost nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jaki ból muszą odczuwać wojenne wdowy, wiedząc, że ich mężowie polegli, a nie wiedząc dokładnie gdzie. Wydawało mu się wówczas, że miejsce, w którym człowiek umiera, jest może nawet ważniejsze niż to, w którym się rodzi.

Stał na parkingu naprzeciwko McDonalda ze zwieszonymi po bokach ramionami, przyglądając się okopconemu sadzą krawężnikowi. Niektóre z pobliskich krzaków również były osmalone, dzięki czemu Lloyd mógł sam ocenić, z jaką wściekłością szalał tu ogień. Żałował, że nie wziął ze sobą kwiatów. Celia tak zawsze lubiła lilie.

„Cóż to za miejsce na śmierć! Jałowe i publiczne, wypełnione hałasem ruchu ulicznego”. W żaden sposób nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego wybrała takie ponure otoczenie.

Spróbował zmówić modlitwę. Miał nadzieję, że jej dusza spoczywa w spokoju. Miał nadzieję, że nie cierpiała. Miał nadzieję, że ona mu wybaczy, iż nie rozumiał, że cierpiała tak bardzo, iż zapragnęła umrzeć.

*I nadejdzie dzień, że z pewnością spotkamy się znowu. Amen.*

Wracał do samochodu, gdy bocznymi drzwiami wyszedł z McDonalda jeden z kucharzy i począł spieszenie iść w jego kierunku. Człowiek wielkiej tuszy, o szokująco zezowatych oczach.

- Proszę pana! - wołał. - Proszę pana!

Lloyd poczekał na niego. Miał ponad pięćdziesiąt lat, siwe włosy i był cały spocony. Towarzyszył mu zapach hamburgerów.

- Przepraszam, że panu zawracam głowę - powiedział wycierając dłonie o fartuch. - Ale nie mogłem nie zauważyć, jak pan stał w tamtym miejscu.

- Nie jestem jednym z tych łowców sensacji, jeśli tak pan myśli - rzekł Lloyd. - Kobieta, która zginęła w płomieniach... no cóż, była moją narzeczoną.

- Czegoś takiego właśnie się spodziewałem. No i widziałem BMW. Zwykła hiena cmentarna raczej nie przyjechałaby takim wozem, żeby się pogapić.

Wyciągnął rękę.

- Bob Tuggey. Większość ludzi nazywa mnie Wujcio Tug.

- Lloyd Denman.

- Byłem tu, kiedy to się stało - powiedział Bob. - Próbowałem ją powstrzymać. To było straszne.

- To pan przybiegł z gaśnicą? Bob spuścił wzrok i kiwnął głową.

- Próbowałem, niech mi pan wierzy, ale po prostu nie byłem dość szybki. Piętnaście sekund wcześniej i być może mógłbym ją uratować.

Lloyd zerknął z powrotem w kierunku spalonych krzewów.

- Doceniam to, co pan uczynił.

- Widziałem, jak szła przez parking wymachując kanistrem. Powinienem być od razu odgadnąć, co chciała zrobić.

Lloyd potrząsnął głową.

- Nie sędzę, by ktokolwiek był w stanie odgadnąć jej zamiary.

- Byłem w Sajgonie - powiedział Bob. - Widziałem, jak jeden z tych mnichów oblał się benzyną i podpalił. Ta młoda pani usiadła ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, dokładnie tak samo, jak zrobił to ten mnich, i wówczas już wiedziałem na pewno, co zamierza uczynić. Po prostu nie byłem dość szybki.

- Cóż, tak czy owak, dziękuję - odezwał się Lloyd.

- Zaraz, niech pan posłucha... - powiedział Bob, sięgając do kieszeni koszuli. - Po tym wszystkim znalazłem coś w krzakach. Miałem zamiar zanieść to wczoraj na policję, ale zabrakło mi czasu. Musiało należeć do niej, a więc myślę, że najlepiej będzie dać to od razu panu.

Między kciukiem a palcem wskazującym trzymał odbarwiony przez ogień, maleńki złoty amulet. Wisiorek miał pęknięte oczko, jak gdyby został zerwany z łańcuszka lub bransoletki. Jednak Lloyd nigdy nie widział go u Celi. Wszystkie jej amulety były przylutowane przez jubilera; raczej mało prawdopodobne, by mogły odpaść. Z pewnością nie dostała go od niego, a nigdy nie wspominała, by sobie coś takiego kupiła.

- Nie widziałem tego nigdy przedtem. - Zmarszczył brwi, trzymając go płasko na dłoni.

- Musiał należeć do kogoś innego.

Amulet miał kształt koła, w które wkomponowano jaszczurkę z wygiętą w bok głową, podobnie wygięte były łapy i ogon.

- Jest pan tego pewien? - spytał Bob. - Znalazłem go dokładnie tam, gdzie to się stało, tego samego popołudnia. Zachowałem specjalnie, by oddać.

- Mogę pokazać to jej matce; zobaczymy, może ona to pozna.

- W porządku - zgodził się Bob.

- Chce pan pokwitowanie? - zapytał Lloyd. Bob obdarzył go szerokim uśmiechem.

- Niech pan sobie tym nie zawraca głowy. I tak białym BMW z numerem rejestracyjnym RYBKA nie ucieknie pan daleko.

- Też tak uważam. Niech pan posłucha, panie Tuggey... prowadzę Bazę Rybną Denmana nad zatoczką La Jolla. Oto... oto moja wizytówka. Może przyjdzie pan kiedyś wypić jednego na koszt firmy?

- Dzięki. Chętnie skorzystam.

Podali sobie ręce. Bob wrócił do McDonalda, a Lloyd powędrował do samochodu, trzymając amulet w mocno zaciśniętej pięści, jak gdyby bał się, że może mu wyslizgnąć się z ręki. Otworzył samochód, lecz gdy już miał zamiar wsiadać, ujrzał po przeciwnej stronie Rosecrans czerwony neon obwieszczający, iż wykonuje się tam kserokopie. Zabrał z siedzenia stronicę libretta, powtórnie zamknął samochód i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Gdy Bob pojawił się z powrotem w kuchni, kierowniczka Sally zawołała do niego:

- Wujciu Tug? Dopiero co był do ciebie telefon.

- Doprawdy? Któż to był tym razem? Chyba nie znów prezydent z prośbą o poradę w sprawach Środkowego Wschodu? Wolałbym, żeby sformułował własną doktrynę polityczną i, na miłość boską, dajcie mi wszyscy spokój.

- To była dziewczyna. W dodatku bardzo seksowna. Bob popatrzył na Sally znad grilla.

- Dziewczyna?

- Pewnie. Autentycznie wulgarna i wyzywająca. Wiesz, co chcę przez to powiedzieć?

- Do mnie?

- No, może niezupełnie do ciebie. Chciała się dowiedzieć, czy ktoś nie znalazł złotego amuletu. Musiała zgubić go na parkingu.

Bob w rozgoryczeniu odłożył łopatkę.

- Czy uwierzysz, że dosłownie przed chwilą oddałem go temu facetowi, co stoi na zewnątrz? Hm, stał na zewnątrz. Teraz już sobie pojechał.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Powiedział, że ta dziewczyna, co się spaliła, to była jego narzeczoną. Byłem pewien, że amulet musiał należeć do niej.

- Ta dziewczyna, która telefonowała, z pewnością była żywa.

- No a ten facet nie rozpoznał amuletu. Nietrudno zgadnąć, że on mimo wszystko nie

należał do jego narzeczonej. Niech to szlag!

- Nie wiesz, kto to był? - zapytała Sally.

- Pewnie, że wiem. Ma restaurację rybną w La Jolla. Zdaje się, że będę musiał zadzwonić i odzyskać amulet.

- Powiedziałam tej dziewczynie, że go masz. Mówiła, że później wpadnie go odebrać.

- Opisała go?

- Owszem, coś w rodzaju jaszczurki wpisanej w okrąg, tak powiedziała.

Bob skinął głową. Wyszedł z kuchni na korytarz i podniósł słuchawkę automatu. Wystukał numer Bazy Rybnej Denmana i czekał, aż odezwie się sygnał.

Telefon odebrał Waldo. Bob wyjaśnił, co się stało, lecz usłyszał, że „Monsieur Denman nie przyjdzie do restaurant aujourd'hui. Bić może juthro”.

- Proszę mu tylko powiedzieć, że złoty amulet nie należał do jego narzeczonej i że czekam na telefon.

-- Avec plaisir, monsieur.

Bob odłożył słuchawkę i powrócił do big maków, filetów rybnych i ćwierćfuntowców. Szybko zleciało popołudnie: jego zmiana miała się skończyć o siódmej trzydziści. Na wieczór zaplanował sobie kręgle w towarzystwie Stana Kostolowicza, innego wysadzonego z siodła gryziopórka z dalekowschodnich ambasad lat sześćdziesiątych.

Jednakże nie zauważył, że gdy zaczęło się ściemniać, przed restauracją zaparkował wielki, czterodrzwiowy mercedes. Srebrzystoszary samochód o przydymionych szybach pozostał na parkingu, chociaż nikt do niego nie wsiadł ani zeń nie wysiadł. Ktokolwiek znajdował się w środku, najwidoczniej zdecydowany był tam pozostać i pograć się w oczekiwaniu.

Lloyd zjawił się przed blokiem Sylvii Cuddy nieco ponad dziesięć minut za wcześnie i Sylvia nie była jeszcze gotowa. Wszedł po wyłożonych kafelkami schodach na pierwsze piętro.

- Przepraszam za ten rozgardiasz - powiedziała Sylvia wpuszczając go do środka. Pocałowała Lloyda w policzek.

Podobnie jak mieszkania wielu jego znajomych, nawet dobrze prosperujących muzyków, restauratorów i projektantów wnętrz, apartament Sylvii był malutki. Ceny nieruchomości w San Diego ogromnie wzrosły i nawet na ciasne, dwupokojowe mieszkanie stać było jedynie najzamożniejszych.

Wystarczyło pozostawić otwartą jedną szufladę albo upuścić na podłogę gazetę, i już

całe wnętrze przypominało graciarnię.

„Rozgardiasz” oznaczał u Sylvii filiżankę do kawy stojącą w kącie kuchennym oraz otwartą teczkę z rysunkami do Mefistofelesa, zbliżającej się premiery Opery San Diego.

- Siadaj - powiedziała. - W lodówce jest wino. I woda mineralna. I świeżo wyciśnięty sok z ananasa. Jest nawet trochę nadziewanych oliwek. I odrobina konfitury truskawkowej.

Lloyd nalał sobie kieliszek ochłodzonego chardonnay i wyszedł na maleńki balkon wyłożony czerwonym drewnem. Balkonik był zabudowany do poziomu piersi, by zapewnić Sylvii dodatkową odrobinę prywatności i przy okazji zamaskować widok na wieże ciśnień, magazyny i dachy okolicznych domów. Jeśli się nie patrzyło przez krawędź, widać było tylko Wzgórze Bankera i złocącą się w oddali zatokę Coronado.

- Dokonałeś tu prawdziwych cudów - rzekł do niej, odwracając się plecami do parapetu. - Uważam, że te ciemnozielone tapety są świetne, podobnie jak i draperie.

- Muszę mieć draperie, gdyż nie mam miejsca na szafy - zawołała w odpowiedzi. - Wiesz, jaka jestem zmęczona mieszkaniem w tym domku dla liliputów. Jest tu tak cholernie ciasno, że z deski do prasowania mogę skakać na głowę prosto do toalety.

Wyszła na balkon i stanęła obok niego. Była niska, niewiele więcej ponad metr sześćdziesiąt wzrostu. Miała dziko splątane i zaczesane do tyłu tycjanowskie włosy, okulary a la Paloma Picasso nadające jej sowy wygląd, wargi pulchne jak poduszeczki z różowego jedwabiu i ogromne krągłe piersi, które niczym dwa dorodne melony okrywała karmazynowo-zielona bluzka w kwiatki od Andre Lauga.

- Wiesz, co Celia mówiła zawsze o tej bluzce? - spytała Sylvia. - Że jest jak ktoś wołający w dżungli. Czy to nie cała ona?

- Byłem dziś obejrzyć to miejsce - rzekł Lloyd. - Miejsce jej śmierci.

Sylvia nic nie odpowiedziała czekając, co powie Lloyd.

- Zwykły parking, to wszystko - kontynuował. - Betonowy parking. Co za okropne miejsce do umierania.

- Każde miejsce jest okropne do umierania - odpowiedziała Sylvia biorąc go za rękę. - No, chodźmy poszukać, gdzie dają prawdziwe drinki.

Wyszli z mieszkania i pojechali na Harbor Island Drive, do Latarni Toma Hama. Restauracja Toma Hama, oprócz jedzenia i alkoholu, oferowała też inne atrakcje. Mieściła się mianowicie w najprawdziwszej, figurującej w spisie Straży Przybrzeżnej latarni morskiej i z jej okien rozciągał się malowniczy widok na zatokę. Było już całkiem ciemno, tylko na horyzoncie dogasał ostatni pomarańczowy promyk. Poprosili o stolik przy oknie, by widzieć odbijające się w wodzie światła centrum San Diego. Sylvia zamówiła koktajl kahlua z lodem,

lecz Lloyd pozostał wierny whisky. Bywają takie chwile, kiedy jedynie whisky odnosi jakiś skutek.

- Powiedziałaś, że między samobójstwem Celi i śmiercią Marianny mógł istnieć jakiś związek - rzekła Sylvia.

- Nie wiem, nie mam na to żadnego dowodu. Wydaje mi się, że zbyt wiele tego jak na przypadkowy zbieg okoliczności, to wszystko.

- Takie zbiegi okoliczności się zdarzają.

- Cóż, z pewnością... lecz mam w związku z tym dość niesamowite odczucia. To jeden z powodów, dla których chciałbym porozmawiać o tym całym Ottonie.

- Obawiam się, że niewiele udało mi się o nim dowiedzieć. Don nic o nim nie słyszał, lecz jestem pewna, że Joe North czasem chodził na niego popatrzeć razem z Celią i Marianną. Pojutrze wraca do teatru. Wówczas z nim porozmawiam.

- Dzięki - odparł Lloyd. Potem zaś dodał: - Nie wiesz przypadkiem, jaką operę pisał Wagner przed śmiercią?

- Dość szczególne pytanie.

- Od pewnego czasu dzieją się dość szczególne rzeczy. Sylvia spojrzała nań ze zdziwieniem.

- Słuchaj, przeszedłeś wielki wstrząs. Czy jesteś aby pewien, że czujesz się dobrze?

- Prawdę powiedziawszy, niczego nie jestem całkiem pewien. Ale powiedz mi, jaka była ostatnia opera Wagnera.

- Cóż - powiedziała - ostatnią operą, którą napisał, był Parsifal z 1882 roku. W 1883 Wagner wyjechał do Wenecji i zmarł na atak serca.

- Nie napisał żadnej opery w 1883?

Sylvia zdjęła okulary. Oczy miała rozbiegane i odrobinę wylupiające, za to błyszczące odcieniem najlepszej czekolady.

- Lloyd, mogłabym mówić o Wagnerze aż do piania kogutów. Pozostaje jednakże pytanie, czy ma to czemukolwiek służyć.

- Nie wiem. Lecz wewnątrz fortepianu Celi znalazłem ten oto manuskrypt.

Sięgnął pod stół i wydobył plastikową kopertę.

- To prawdopodobnie albo falsyfikat, albo nieporozumienie. Nie jestem pewien, czy jedno, czy drugie. Lecz wygląda to jak fragment Wagnerowskiego libretta do opery pod tytułem Junius. Datowane jest na rok 1883.

- Daj mi to zobaczyć - rzekła Sylvia.

Wzięła do rąk kopertę, wysunęła jedną z kart manuskryptu i przyjrzała jej się z bliska.

Lloyd poczuł się nieswojo, jak gdyby padł ofiarą starannie wyreżyserowanego dowcipu.

- Co ty o tym myślisz? - zadał jej wreszcie pytanie.

- To nie jest żaden kawał? - zapytała, nagle robiąc się podejrzliwa.

Lecz widząc wyraz jego twarzy, zdała sobie sprawę, że jest śmiertelnie poważny; a i żarty nie trzymałyby się go w takiej chwili. Poddała stronicę uważnym oględzinom, jedną po drugiej odwracając na wszystkie strony i układając na stole.

- Jeśli to oryginał... - powiedziała. - Nie do wiary! Nie wiesz przypadkiem, gdzie Celia mogła to odkryć?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Nigdy mi o tym nie wspominała. To było przyklepione taśmą we wnętrzu fortepianu.

- Oczywiście nie można stwierdzić, czy to oryginał - powiedziała Sylvia - póki papieru i atramentu nie podda się odpowiednim analizom. Ale jeżeli to oryginał, to staniesz się bogatym człowiekiem, zwłaszcza jeżeli uda ci się zlokalizować także resztę opery.

Przyjrzała się jednej ze stron z bliska.

- To z pewnością wygląda na charakter pisma Wagnera.

- A jeżeli to jest jego charakter pisma?

- Ależ Lloyd, pomyśl tylko! Jeśli to oryginalna partytura nieznannej opery napisanej przez Ryszarda Wagnera w ostatnim roku jego życia i jeżeli potrafisz udowodnić, że należy ona do ciebie, to jesteś urządzony do końca życia. Możesz wycofać się z interesów. W tej chwili przychodzą mi do głowy co najmniej trzy wydawnictwa muzyczne, które zapłaciłyby ci za to miliony.

- Prawdę powiedziawszy - rzekł Lloyd - to nie pieniądze interesują mnie w tym wszystkim najbardziej. Wolałbym wiedzieć, w jaki sposób zdobyła to Celia, dlaczego to ukryła i czy wie o tym ktoś jeszcze. Najwidoczniej nigdy z tobą o tym nie mówiła... ale ktoś włamał się do domu tej nocy, kiedy zmarła, i wydaje mi się, iż szukał właśnie tego. Jeśli jest to warte miliony, to w takim razie mogłoby stanowić motyw morderstwa, którego padła ofiarą.

- Nic mi nie mówiłeś, że ktoś się do ciebie włamał! To straszne! Co na to policja?

- Zupełnie nic - przyznał Lloyd. - Nawet nie została powiadomiona.

- A to dlaczego? - zapytała Sylvia.

- Właściwie nie wiem... chyba nie czułem potrzeby.

- Lecz jeśli uważasz, że mogła zostać zamordowana...

- Och, wcale tak nie uważam. To znaczy, raczej przemawia do mnie wersja, iż rzeczywiście popełniła samobójstwo. Pragnę tylko wiedzieć dlaczego... i czy ktoś jej nie



pomógł wprowadzić się w samobójczy nastrój.

- Czy jesteś całkowicie pewien, że właśnie tego chcesz się dowiedzieć? - zapytała go Sylvia. Trudno byłoby zanegować zarówno jej dobroć, jak mądrość.

Lloyd skinął głową.

- Wiem, do czego pijesz. Za tym wszystkim może ukrywać się inny mężczyzna. Lecz uwierz mi, Sylvio, nawet najgorsza prawda lepsza jest niż niewiedza.

Podeszła obsługująca ich kelnerka i zapytała, czy podać jeszcze jeden koktajl.

- Nie, nie - odpowiedziała Sylvia. - Dwa to moja ostateczna granica. Inaczej zaczynam śpiewać i tańczyć po stołach.

- Poprosimy tylko o rachunek - rzekł Lloyd.

Lecz w tej samej chwili po drugiej stronie baru, w boksie za przepierzeniem, ujrzał kobietę, która tak bardzo przypominała Celię, że aż zadrżał, zupełnie jak gdyby ktoś nieoczekiwanie położył mu zimną rękę na krzyżu. Siedziała głęboko w cieniu i miała ciemne okulary, a czarna chusta okrywała jej głowę na kształt turbanu. Lecz mała latarenka z czerwonym kloszem stojąca przed nią na stole dawała dostatecznie dużo światła, by ukazać jej twarz, i jeśli to nie była Celia, to z pewnością jej dokładny sobowtór. Nie mógł od niej oderwać oczu, jednak jej szkła były zbyt ciemne, by się zorientować, czy i ona go zauważyła.

Sylvia dotknęła jego dłoni. Potem zaś - gdy nie udało jej się zwrócić na siebie jego uwagi - obejrzała się, by zobaczyć, czemu też on się przygląda.

- Czy coś przegapiłam? - spytała. - To do mnie podobne. Któregoś wieczora wybraliśmy się z Donem na kolację i do restauracji wszedł Robin Williams. Oczywiście nawet go nie zauważyłam.

- Ta kobieta z przeciwka... w samym rogu boksu.

- Wybacz, ale muszę założyć szkła. Która kobieta?

- Ta w ciemnych okularach i chustce na głowie. Tam... w samym rogu.

Lecz gdy zabierał się do wyjaśniania Sylvii, którą kobietę ma na myśli, do baru napłynął tłumek złożony z pięciu lub sześciu roześmianych biznesmenów, zasłaniając im widok. Lloyd przechylił się w prawo i w lewo, rozpaczliwie usiłując nie stracić kobiety z oczu, lecz w następnej chwili do biznesmenów przyłączyły się ich żony i przez dwie lub trzy minuty nie widział w ogóle drugiego końca sali.

- Lloyd, co, u diabła ciężkiego, się dzieje? - zapytała go Sylvia.

Chwycił ją za rękę.

- To brzmi zupełnie idiotycznie, ale ciągle widuję Celię. Albo kobiety, które są do niej podobne. Widziałem jedną zaraz potem, jak wyszedłem z kostnicy. Próbowałem iść za nią,

ale zniknęła w tłumie.

- A teraz tam znajduje się następna kobieta podobna do Celi?

- Nie inaczej. To niesamowite. Nosi ciemne okulary, ale wygląda zupełnie jak ona.

Sylvia delikatnie ścisnęła Lloyda za rękę.

- Lloyd... Lloyd, kochanie.

Rzucił jej szybkie spojrzenie i już w następnej chwili znowu wypatrywał kobiety z boku naprzeciwko.

- Lloyd, tylko niepotrzebnie się dręczysz. Celia nie żyje.

- Ale to podobieństwo jest zupełnie niesamowite.

- Lloyd, ona nie żyje. Zmarli nie powracają, by wysiadywać naprzeciw nas w koktajlbarach. Po prostu przenosisz swoją rozpacz na postać obcej kobiety, która jest nieco podobna do Celi. To przypomina zjawisko powidoku. Doświadczyłam tego samego, kiedy umarł mój ojciec.

Wydałam cztery tysiące dolarów na wizyty u dwóch psychoanalityków, by dojść do siebie.

Tłumek biznesmenów oddalił się wreszcie, w dalszym ciągu hałaśliwie się śmiejąc.

- Tam... - rzekł Lloyd. Lecz gdy ostatni mężczyzna z przyprawiającą o wściekłość powolnością zszedł im z pola widzenia, ujrzeni, iż miejsce w boksie jest puste. Kobieta już sobie poszła.

Sylvia popatrzyła na Lloyda z troską w oczach.

- Och, Lloyd. Zdaję sobie sprawę, jak strasznie musisz cierpieć.

Lloyd wstał i rozejrzał się w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów bytności kobiety. Frontowe drzwi zamknęły się powoli, jak gdyby ktoś dopiero co nimi wychodził, i wydało mu się, iż za przydymioną szybą dostrzega szczupłą, ciemną postać oraz kawałek kobiecej łydki, lecz w następnej chwili nie było tam już nic prócz ciemności i lustrzanego odbicia mężczyzny zapalającego papierosa.

Odwiózł Sywlię do domu i pomógł jej wysiąść z samochodu. Znad przystani wiał chłodny wiatr. Sylvia zadrżała.

- Nie musisz odprowadzać mnie aż pod drzwi - powiedziała. - Wracaj bezpiecznie do domu i weź sobie dwie tabletki nytolu. Kiedy się trochę prześpisz, od razu poczujesz się lepiej.

Lloyd pocałował ją i przycisnął do piersi.

- Dziękuję, Sylvio. Jesteś prawdziwym, gwarantowanym aniołem.

- Słuchaj... - odezwała się Sylvia. - Nie masz nic przeciwko temu, bym zatrzymała tę partyturę? Oliver Drexler przychodzi jutro na próbę. Mogę mu ją pokazać. Jestem pewna, że z największą przyjemnością rzuci na to okiem.

- Nic a nic - odparł Lloyd i sięgnął do samochodu po plastikową kopertę. - Tylko pilnuj jej dobrze. Może jeszcze stanowić dowód rzeczowy.

- Och, w porządku, będę na nią uważać. Nikt mi jej nie zabierze, chyba że po moim trupie!

Patrzyła, jak Lloyd zawraca samochód, i pomachała mu na odjezdnym do La Jolla. Otworzyła ciężkie drzwi z jasnej dębiny i weszła do domu.

Wdrapując się po wykładanych kafelkami schodach, cichutko zanuciła Pace, pace, mio Dio z La forza del destino Verdiego. Martwiła się o Lloyda. Widać było jak na dłoni, iż nie potrafi stawić czoła tragicznej rzeczywistości samobójstwa Celi. Było to oczywiście zupełnie zrozumiałe. Nagła śmierć ukochanej, na dodatek w tak ponurych i zagadkowych okolicznościach, była niewątpliwie wystarczającą przyczyną, by doprowadzić go do stanu półobłąkania. Próbując z tak wielką zaciekleścią skoncentrować się na odnalezieniu przyczyn samobójstwa, umysł Lloyda jedynie bronił się przed skutkami szoku.

Halucynacje były prawdopodobnie symptomem tego samego mechanizmu obronnego.

Sylvia otworzyła drzwi mieszkania i weszła do środka. Żałowała, iż w żaden sposób nie może pomóc Lloydowi zapomnieć o Celi. Lecz Celia była taka ładna, taka utalentowana i tak pełna życia, że nikt nigdy nie będzie w stanie zająć jej miejsca. Sylvii również jej brakowało. Dopiero dzisiaj zdała sobie sprawę, jak bardzo. Usłyszała od Dona, że Exxon nosi się z zamiarem przeznaczenia pewnej kwoty pieniędzy na wystawienie Wesela Figara. Już miała powiedzieć: „Poczekaj, niech tylko Celia się o tym dowie”, kiedy odczuła niemal fizyczny ból, iż nigdy już jej nie zobaczy.

Podeszła do lodówki i wyjęła butelkę białego wina. Zazwyczaj nigdy tyle nie piła, lecz dzisiaj miała ochotę na coś, co pomogłoby jej zasnąć. Zrzuciła z nóg pantofelki i boso przeszła z kuchni do maleńkiego saloniku, w jednej ręce trzymając kieliszek wina, a w drugiej libretto. Usiadła w ulubionym fotelu i położyła nogi na stoliczku do kawy.

Zakładając, że są autentyczne, kartki libretta stanowiły jedno z największych odkryć muzycznych stulecia. Nawet gdyby Lloydowi nie udało się odnaleźć dalszego ciągu opery, wciąż jeszcze byłyby warte fortunę. Nie radziła sobie zbyt dobrze z czytaniem po niemiecku - a już szczególnie z pajęczym pismem Wagnera - niemniej udało jej się odcyfrować z grubsza sens.

*Junius*

*Wyznaję, iż dałem posłuch  
Jego słodkim i kuszącym słowom  
I że oddaję ci się dobrowolnie  
Duszą i ciałem.*

Oraz:

*Po wieleset tysięcy razy dobranoć,  
Najukochańsza Weroniko.  
Niewinnie wtrącony do więzienia,  
Niewinnie torturowany,  
Niewinnie muszę umierać.*

Przekartkowała zapisane nutami stronice i zanuciła cichutko kilka taktów. Jak na Wagnera, partytura była niezwykle monotonna, choć miała w sobie całą teutońską krzepkość *Walkirii* i *Złota Renu*. Poczęła wybijać takt na oparciu fotela. Muzyka brzmiała nieomal jak barbarzyńska pieśń wojenna, jaką Goci czy Wizygoci mogli byli śpiewać wybierając się na wyprawę wojenną.

W dalszym ciągu nuciła i wybijała takt, gdy odniosła wrażenie, że jest obserwowana. Zanim obudowała balkon wysoką balustradą, zdarzało jej się to często i było to uczucie, które szczególnie wytrącało ją z równowagi. Przedstawiała sobie w wyobraźni, iż z okna któregoś z okolicznych domów ktoś szpieguje ją za pomocą lornetki. Jej ówczesny psychoanalityk twierdził, że cierpi na łagodną formę paranoi.

Lecz dziś wieczorem uczucie było inne. Nie miała wrażenia, iż ktoś jej się przygląda z bardzo daleka, lecz z bardzo bliska. Nieomal tak, jak gdyby stał jej za plecami, a na ramieniu czuła jego oddech.

Przestała nucić, przestała wybijać takt i prędko rozejrzała się. Na próżno. W pokoju nie było nikogo. Jednakże budynek wydawał się nienormalnie spokojny. Z innych mieszkań nie słychać było odgłosów telewizji ani dźwięków muzyki, nikt nie wchodził po wykładanych kafelkami schodach.

Na lotnisku Lindbergha wystartował z hukiem silników odrzutowiec. Rozsuwane drzwi na balkon zadygotały. Przez chwile, gdy samolot kołował nad oceanem, cały świat Sylvii pogrążył się w ogłuszającym hałasie. Zerknęła w kierunku balkonu i tam ku swojemu

ogromnemu przerażeniu ujrzała odwróconą tyłem ciemną postać. Kobieta w prochowcu, z głową owiniętą chustką na kształt turbanu.

Ostrożnie, z duszą na ramieniu, Sylvia odstawiła kieliszek, odłożyła stronicę Wagnerowskiego libretta, zdjęła nogi ze stoliczka i wstała. Rozejrzała się za czymś, co mogłoby jej posłużyć do obrony, i zdecydowała się na stojącą przy biurku parasolkę. W końcu to tylko kobieta, przy tym nie wyglądająca nawet na specjalnie dużą ani silną. Sądząc zaś po sposobie, w jaki stała na balkonie obrócona plecami do saloniku, trudno było odnieść wrażenie, iż ma zamiar posunąć się do przemocy i gwałtu.

Mimo wszystko sama obecność za oknem saloniku obcej osoby, traktującej balkon niczym swój własny, kryła w sobie groźbę potężniejszą, niż Sylvia byłaby w stanie przypuścić.

Mocno ujęła lewą ręką parasolkę, dla uspokojenia nerwów odetchnęła głęboko i odsunęła drzwi na balkon.

- Witam - wykrztusiła przez zaschnięte gardło. - Może byłaby pani łaskawa powiedzieć mi, co, do cholery, robi pani na moim balkonie?

Przez dłuższy czas kobieta w czerni nie odzywała się, przyglądając się jarzącym światłom centrum San Diego i Coronado. Horyzont przecięła błyskawica, rozwidlona niczym języczek węża.

- To jest mieszkanie prywatne - powiedziała kategorycznie Sylvia. - Jeśli pani w tej chwili stąd nie wyjdzie, dzwonię po portiera, a on dzwoni na policję.

Wreszcie kobieta odwróciła się. Szkła jej okularów były tak idealnie czarne, iż sprawiała wrażenie, jak gdyby zamiast oczu miała wywiercone w twarzy dwa okrągłe otworki. Cerę miała niezwykle bladą, z nieomal szarawym połyskiem, bardzo gładką.

- Cześć, Sylvio - odparła kobieta z nikłym uśmiechem. - Podobno masz coś, co należy do mnie.

Sylvia rozpoznała ten głos w jednej chwili. Dreszcz zgrozy przebiegł jej przez ramiona, jak gdyby lodowate stonogi ścigały się ku jej nadgarstkom. To była Celia. To musiała być Celia. A przecież ona nie żyła, zginęła w płomieniach. W prasie San Diego były nawet fotografie płonącej Celi, choć Sylvia nie była w stanie ich oglądać. Mignęły jej tylko przed oczyma płomienie, pochylona czarna głowa, kolana, które wystawały z płomieni niczym pogrzebacze.

Sylvia otworzyła usta, lecz zaraz je zamknęła, nie wypowiedziawszy ani słowa. Celia, z rękami w kieszeniach prochowca, nie ruszała się z miejsca, obserwując ją z nikłym śladem uśmiechu na wargach. Oczy miała ukryte za dwoma krążkami, czarnymi jak kartka papieru,

którą piraci z Wyspy skarbów wycięli z Biblii, by zrobić z niej czarną plamę.

- To w taki sposób witasz swoją najlepszą przyjaciółkę? - przemówiła głosem kwaśnym jak ocet. - A zatem masz coś, co należy do mnie. Coś, czego potrzebuję. Byłabym ci głęboko wdzięczna, gdybyś mi to oddała.

- Ty nie żyjesz - syknęła na nią Sylvia. - To tylko moja wyobraźnia. Ty nie żyjesz.

Miała wrażenie, jakby jej stopy i kostki wypuściły zimne, opatrzone przyssawkami macki, które owinęły się wokół balkonu i pozbawiły ją możliwości ruchu. Celia zbliżała się, rozum podpowiadał jej uciekaj, ona zaś nie mogła się cofnąć nawet na krok. Uciekaj, ona nie żyje! Uciekaj!

- Jechałam za wami aż do latarni - rzekła Celia. Nie zdjęła okularów ani nie uśmiechnęła się. Wyglądała zupełnie jak dawna Celia, lecz było w niej coś nowego, obezwładniająco obcego. - Potem przyjechałam tutaj. Oczywiście wciąż jeszcze mam ten klucz, który dostałam od ciebie.

Przerwała, a po chwili dodała:

- Lloyd dał ci moją muzykę, czyż nie tak?

- Ty nie żyjesz - wypowiedziała Sylvia bez tchu. Głos jej brzmiał tak, jak gdyby sama sobie mówiła coś na ucho: intymnie, tajemniczo, w poczuciu beznadziejności. Nigdy w życiu nie czuła się taka przerażona. Nie mogła się zmusić do poruszenia małym palcem, nie mówiąc już o podniesieniu parasolki do ciosu. Celia podeszła tak blisko, że Sylvii bez trudu udałoby się musnąć wargami jej gładki szary policzek, gdyby mięśnie nadal nie odmawiały jej posłuszeństwa. W niemej panice zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie się w stanie poruszać.

- Czekałam, aż się położysz do łóżka - powiedziała Celia. - Miałam nadzieję, że mnie nie zobaczysz.

Sylvii wreszcie udało się uczynić jeden drobny krok w tył, a po nim drugi.

- Ty... nie żyjesz - powtórzyła. Nie przychodziło jej do głowy nic innego.

Celia ominąwszy ją, weszła do saloniku. Poruszała się niezwykle cicho, tak że słychać było tylko szelest prochowca. Gdy przechodziła obok, Celia poczuła od niej dziwny zapach. Wyraźny swąd gorąca, niczym od przypalonej deski do prasowania.

Odwróciła się i przyglądała się z zafascynowaniem i zgrozą, jak Celia pochyla się nad Wagnerowskim librettem. Nie zdejmując czarnych rękawiczek, szybko przekartkowała rękopis, jakby chciała się upewnić, czy nie brak którejs karkki.

- Bardzo źle się stało, że Lloyd ci to dał - zauważyła nie podnosząc wzroku.

- Przykro mi, chciałam to tylko pożyczyć, z czystej ciekawości - odparła Sylvia. Po

czym rzekła: - Zatem żyjesz? Nic ci nie jest? Czy rzeczywiście chciałaś się podpalić? A może to był w ogóle ktoś inny?

Celia zebrała wszystkie kartki do kupy i wyprostowała się.

- Czy wyglądam na martwą? Jestem bardziej żywa niż kiedykolwiek przedtem.

- Nie rozumiem. W ogóle nie wydajesz się sobą. Celia o mały włos nie uśmiechnęła się.

- Wprost przeciwnie, kochana. Nareszcie rozkwitam.

- Czy powiesz Lloydowi, że nic ci się nie stało? Jest do tego stopnia wytrącony z równowagi, że o mało nie zwariuje.

- Nie mogę. Jeszcze nie teraz. Ale zrobię to, kiedy tylko będzie można. Uwierz mi. Tęsknię za nim tak samo jak on za mną.

Sylvia weszła z powrotem do saloniku i niepewnie zdołała usiąść na poręczy sofy.

- Celio... musisz mi wszystko powiedzieć! Co się z tobą stało? Gdzie byłaś? Jeśli nie ty się spaliłaś, to kto? Czyje ciało Lloyd musiał zidentyfikować? I jeśli się nie spaliłaś, to czemu przysporzyłaś wszystkim tyle bólesci?

Celia, nic nie mówiąc, przez dłuższy czas przyglądała jej się przez swe czarne jak smoła okulary. Sylvia mówiła dalej:

- Kochamy cię, Celio. Zależy nam na tobie. Jeśli coś jest nie tak...

Celia wahała się jeszcze przez chwilę i wreszcie powiedziała:

- Prawda jest taka, Sylvio, że dano mi szansę, jaka trafia się tylko raz w życiu. Skorzystałam z niej; nie było innego wyjścia.

- Szansę? Jaką szansę?

- Posłuchaj - powiedziała Celia - bardzo mi przykro z powodu bólu, jaki sprawiłam tobie i wszystkim innym. Ale nie miałam wyboru. To musiało się odbyć w tajemnicy. Nikogo nie można było o tym uprzedzić. I dopóki ostateczny cel nie zostanie osiągnięty, wszystko musi pozostać w sekrecie.

- Ale co to za sekret? - dopytywała się Sylvia.

- Życie, Sylvio. Tym sekretem jest życie.

- Nie rozumiem.

Celia powiedziała tak, jakby cytowała z pamięci:

- Jest tylko jedna droga do wiecznego życia, a jest nią chrzest ognia.

- Celio - nalegała Sylvia. W dalszym ciągu się bała, ale przy okazji zaczynała ogarniać ją złość. Widziała katusze, które z powodu rzekomej śmierci Celi cierpiał Lloyd. Sama doświadczyła podobnej rozpaczki. Bynajmniej nie uważała tego za zabawne, że oto pojawia

się ona bez śladu skruchy, bez jednego słowa przeprosin, do tego zachowując się w najdziwniejszy i najbardziej arogancki sposób, jaki można sobie wyobrazić.

Z drugiej strony (i tutaj należało zachować ostrożność) niewykluczone, iż Celia przeżyła jakiś rodzaj załamania nerwowego. Zawsze była błyskotliwą osobowością, artystką tryskającą pomysłami, lecz żyjącą w stanie ustawicznego napięcia, i z łatwością mogło się zdarzyć, iż nikt się nie zorientował, że przechodzi kryzys. Zdarzały się takie wypadki. Pamiętała zniknięcie Giorgiego Butone'a w przeddzień premiery Miłości do trzech pomarańczy Prokofiewa, w której miał zaśpiewać partię Truffaldina. Dyrektor muzyczny znalazł go trzy dni potem zupełnym przypadkiem na dziecinnej huśtawce w Balboa Park, brudnego, nie ogolonego i wyśpiewującego Tam-tam-tam-tam z Muppetów.

- Celio... - rzekła Sylvia. - Być może powinnam cię odwiedzić z powrotem do domu. Winna to jesteś Lloydowi, jeśli już nie komu innemu.

Celia potrząsnęła głową.

- Jeszcze nie nadszedł czas. Musimy poczekać do przesilenia.

- Przesilenia? Co tu ma w ogóle do rzeczy jakieś przesilenie? Czy zastanowiłaś się, jak on to przyjmie?

- Czy zastanowiłam się, jak on to przyjmie? Co takiego przyjmie? - padły słowa pełne martwoty, wymówione z martwością.

- To, że nie umarłaś, oczywiście. Celia odparła niemal z żalem:

- Miałam wielką nadzieję, że mu nie powiesz.

- Jakżebym mogła mu nie powiedzieć?

- Nawet gdybym cię błagała na wszystko?

- Celio, Lloyd przeszedł piekło sądząc, iż popełniłaś samobójstwo. Nie możesz pozwolić, by cierpiał choć minutę dłużej.

Celia odwróciła się.

- Celio? Słuchasz mnie, Celio? - zapytała Sylvia.

Lecz Celia najwidoczniej zamyśliła się nad czymś głęboko, gdyż zdawała się nic nie słyszeć.

- Celio, muszę powiedzieć Lloydowi. Po prostu muszę. Celia popatrzyła na nią ponownie. Gdy przemówiła, jej spokojny i opanowany głos brzmiał rzeczowo i chłodno.

- Wiesz co, Sylvio? Ogień ma dwie właściwości. Zdolność niszczenia i zdolność odtwarzania. Czy wiesz, dlaczego Niemcy palili zwłoki wszystkich tych niewinnych ludzi, których pomordowali?

Sylvia poczuła się zbita z tropu.



- Nie wiem, o czym ty mówisz.

- Strażnicy w obozach koncentracyjnych nie mieli pojęcia, dlaczego muszą to robić - mówiła Celia. - Ani oficerowie SS. Lecz na górze stanowiło to doktrynę polityczną. Gdy rasy niższe poddaje się eksterminacji, muszą one zostać spalone.

- Celio... - zaprotestowała Sylvia. - Cóż to ma, u diabła, wspólnego z...

- Wszystko! - ucięła Celia, jej głos zaś zmienił się w cichy, lecz groźny pomruk. - Jeśli twoje ciało zostaje spalone, twoja dusza zostanie potępiona. Niemcy byli zdecydowani skazać na męki Żydów, Polaków, Rosjan, Litwinów, homoseksualistów, kaleki i chorych psychicznie nie tylko na tym świecie, lecz i na przyszłym, zawsze i po wieczne czasy, aż do końca świata.

- Celio, ty jesteś chora - powiedziała Sylvia. - Dlaczego nie pozwolisz, bym zadzwoniła po Lloyda albo po twojego lekarza?

- Nie! - wrzasnęła Celia. - Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Ogień może cię skazać na wieczne potępienie, ale i może cię zbawić! Jeśli podczas spalania twojego ciała zostaną dopełnione odpowiednie obrzędy i podczas następnej zmiany pór roku dokonane będą odpowiednie ofiary, twoja dusza nie zostanie potępiona, lecz zbawiona. Zbawiona! I nie na miesiąc ani na rok, ani na dziesięć lat, ani nawet na okres całego ludzkiego życia. Twoja dusza zostanie zbawiona na całą wieczność!

Sylvia zadrżała.

- Czy próbujesz mi przez to powiedzieć, że naprawdę się podpaliłaś?

Celia triumfująco skinęła głową.

- Czy chcesz przez to rzec, że to, co tutaj widzę... to tylko twoja dusza?

- Sylvio, jestem salamandrą. Wiecznotrwałym bytem uczynionym z ognia, dymu oraz ludzkiej duszy. Stworzeniem doskonale czystym, o niezrównanym umyśle i niezniszczalnym ciele. Najwyższą rasą, odwiecznym przeznaczeniem gatunku ludzkiego.

- Salamandrą?

- Tak to się nazywa. Tym właśnie jesteśmy.

- My... to znaczy kto? Czy Marianna jest również jedną z tych... salamander?

Celia okrążyła pokój, póki nie stanęła całkiem blisko.

- Marianna i wielu innych.

- A więc ten autobus...?

- Właśnie! Spalony rozmyślnie. Spalony z radością. Czas prawie już nadszedł!

Sylvia spojrzała na nią nerwowo.

- Celio... trudno mi w to wszystko uwierzyć.

- Mnie również było trudno, gdy usłyszałam o tym po raz pierwszy - odparła Celia. - W

gruncie rzeczy nie dałam temu wiary. Lecz potem spotkałam się z Ottonem oraz z Helmwige i natychmiast zrozumiałam.

- Co teraz zrobisz? - zapytała ją Sylvia. - Gdzie mieszkasz?

- U Ottona i Helmwige - odpowiedziała Celia.

- I nie porozmawiasz z Lloydem?

- Jeszcze nie teraz. Nie przed przesileniem. Nie powinien mnie oglądać. Nie jestem jeszcze... hm, nie jestem zrównoważona. To znaczy fizycznie, nie psychicznie.

- Nie napijesz się czegoś? - zaproponowała Sylvia. - Mnie samej przydałby się jeden głębszy.

- Wystarczy szklanka wody.

- To wszystko? Nic więcej?

Sylvia wstała, okrążyła Celię i podeszła do narożnego stolika, gdzie trzymała drinki. Nalała sobie jeden kahlua, po czym powiedziała do Celi:

- Idę tylko do kuchni... po wodę dla ciebie. I kilka kostek lodu.

Celia stała odwrócona do niej plecami, wertując Wagnerowskie libretto. Na znak zgody nieznacznie skinęła głową.

- Wiesz co...? Powiedziałam Lloydowi, że to libretto musi być warte fortunę - zawołała Sylvia, otwierając lodówkę i grzechocząc pojemnikiem na lód. - A niech to szlag! Ten lód nie chce wcale wyjść! Muszę go wstawić pod kran z ciepłą wodą!

- Mieliśmy szczęście, że je znaleźliśmy - odezwała się Celia. - Faktem jest, że mamy już prawie całe. Wszystkie liczące się fragmenty.

- Chcesz przez to powiedzieć, że istnieje cała opera? - Sylvia z hałasem upuściła do zlewu pojemnik z lodem i odkręciła do oporu kurek. Potem szybko znalazła się w drugim końcu kuchni i podniosła słuchawkę. Powstrzymując oddech wystukała numer Lloyd'a, modląc się ze wszystkich sił, by zdążył już dojechać do domu.

„Proszę cię, Lloyd, nie zachodź tylko po drodze do restauracji. Proszę cię, bądź tylko w domu!” Celia mówiła dalej:

- Wagner napisał ją w 1883. Kiedy umarł, nie była jeszcze całkiem skończona. Wziął ją ze sobą do Wenecji, po jego zawale zaś zniknęła. Niewielu ludzi o niej wiedziało. Wdowa po kompozytorze, Cosima, wspomina o operze w swych dziennikach, lecz nie wymienia tytułu.

Och, doprawdy? - rzekła Sylvia. - Niech szlag trafi lód! Coś, zdaje się, jest nie tak z termostatem czy czymś tam.

W mieszkaniu Lloyd'a odezwał się sygnał. „Proszę cię, tylko tam bądź, Lloyd! Proszę, bądź tam, na miłość boską!”

- W rzeczy samej Otto był pierwszą osobą, która zaczęła jej poszukiwać na serio - kontynuowała Celia. - To było w 1938 roku, kiedy przy władzy był Hitler. Otto otrzymał jego osobistą zgodę na poszukiwanie Juniusa oraz tyle pieniędzy z funduszy partii nazistowskiej, ile mu tylko było potrzeba. Mussolini zaś gotów był oczywiście okazać mu wszelką pomoc. Lloyd odebrał telefon.

- Tu Lloyd Denman.

- Lloyd?" - szepnęła do słuchawki Sylvia, ściśle osłaniając dłonią mikrofon. - Lloyd, tu Sylvia.

- Przykro mi, ale w ogóle pani nie słyszę - odparł. - Dopiero co wszedłem... nie zdążyłem zamknąć drzwi. Może pani chwileczkę poczekać?

- Lloyd, na miłość boską, to ja, Sylvia! Celia mówiła:

- Otto otrzymał do dyspozycji zespół pięciu historyków muzyki. Przetrasnęli całą Wenecję... sprawdzając wszystkie możliwe tropy. Zabrało im to trzy lata. Lecz w końcu znaleźli ją w 1941 roku. Została ukryta przez katolickiego księdza, przed którym Wagner wypowiadał się na łożu śmierci.

- Lloyd! - błagała Sylvia.

Słyszała, jak zamyka drzwi frontowe. Słyszała jego kroki w holu. Z piskiem i hurgotem podniósł słuchawkę i powiedział:

- Najmocniej przepraszam. Po prostu nie mogłem... Sylvia z wolna opuściła słuchawkę. Chciała krzyknąć Lloydowi: „Celia jest tutaj! Celia żyje!”, lecz w płucach zabrakło jej tchu. Celia stała w drzwiach kuchennych, przyglądając jej się zza nieprzeniknionej czerni okularów. Bez słowa podeszła do Sylvii, wyjęła jej z ręki słuchawkę i odłożyła. Odezwał się cichy głos Lloyd'a:

- Halo! Halo! Kto mówi? Halo!

- Czy to Lloyd? - zapytała Celia.

Sylvia, ogarnięta niemową, skinęła głową. Nie miała pojęcia, dlaczego jest taka przerażona. Może to wina ciemnych okularów Celi. A może obawa, że mogłaby je zdjąć.

- Celio, on musi się dowiedzieć. Nie możesz...

Celia uniosła do ust palec w czarnej rękawiczce.

- Obiecałaś mi, Sylvio. Obiecałaś, że nic nie powiesz.

- Celio, to szaleństwo. Nie wiem, co za bzdury nakładł ci do głowy ten Otto, ale doprawdy uważam, że to wszystko posunęło się już zbyt daleko...

- Sylvio! Obiecałaś!

Kierując się impulsem, Sylvia wyciągnęła rękę i zerwała Celi z twarzy okulary. Była

przygotowana niemal na wszystko - rany, oparzenia, ślepotę. Jednak gdy ujrzała oczy Celi, zaczęła krzyczeć i krzyczeć, i nie mogła przestać. Były nie mniej czarne i puste niż jej okulary, niczym otwory w szarej, pozbawionej znaków szczególnych skórze twarzy. Nadawały jej wyraz zupełnej martwoty. Oblicze Celi wyglądało jak pośmiertna maska, jak przedmiot, który się poruszał, choć nie powinien.

Celia schwyciła Sylwię za nadgarstek i wydobyla okulary z jej zaciśniętej kurczowo dłoni.

- Przestań wrzeszczeć! - rozkazała. - W tej chwili przestań wrzeszczeć!

- Ach! Ach! Ach! - Sylvia, drżąc ze zgrozy, zanosiła się od krzyku.

- Przestań! - wrzasnęła na nią Celia. - Przestań! Zamknij się!

- O Boże, to wszystko nieprawda! O Boże, ty nie jesteś prawdziwa! - krzyczała Sylvia.

- To tylko koszmar! Odejdź! Idź sobie!

Celia chwyciła za kłapy bluzki Sylvii i potrząsnęła nią tak mocno, że wypadł jej jeden z kolczyków.

- Zamknij się! Zamknij się, ty historyczko!

Lecz Sylvia krzyczała i bełkotała, opadłszy na kolana, jak gdyby w mózgu spaliły się jej bezpieczniki i nic już nie mogło jej zatrzymać. Zobaczyć Celię przy życiu, gdy uważano ją za umarłą, było wystarczająco przerażającym przeżyciem. Lecz widzieć ją martwą, a jednocześnie w oczywisty sposób żywą - to było więcej, niż umysł mógł przyjąć do wiadomości.

Celia zawahała się, obejrzała za siebie. Na klatce schodowej słychać było kroki, po czym odezwał się dzwonek.

- Pani Cuddy? - zawołał męski głos. - Pani Cuddy, czy wszystko u pani w porządku?

Celia podniosła prawą dłoń. odpięła guziczek i ściągnawszy rękawiczkę, rzuciła ją na podłogę. Potem w ten sam sposób odkryła lewą dłoń. Ręce miała równie blade, gładkie i poszarzałe, jak cerę na twarzy. Zręcznie rozpięła prochowiec aż do samego dołu i wysunęła się z niego. Pod spodem była zupełnie naga, jeśli nie liczyć ciasno zawiniętego czarnego turbanu, czarnych pantofli na wysokim obcasie i szerokiego pasa z czarnej skóry, mocno opinającego talię. Jej ciało miało ten sam odcień perłowej szarości, która błyszcziała w półmroku kuchni Sylvii niczym wypolerowane aluminium lub skóra niemowlęcia martwego od trzech dni.

Chwyciła Sylwię za obie ręce.

- Dalej, Sylvio - powiedziała pojednawczo - dalej, wstawaj!

Sylvia wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczyma.

- Jesteś naga. Jesteś martwa. Odejdź!

- Dalej, Sylvio, wstajemy!

- Pani Cuddy! - powtórzył męski głos. - To ja, portier Ramone. Pani Cuddy? Czy wszystko w porządku?

- W jak największym porządku. Dziękuję, Ramone! - zawołała Celia, całkiem nieźle naśladowując bostonski akcent Sylvii, która stała z kolanami lekko zgiętymi, jak gdyby nie miała siły się wyprostować.

- Co teraz ze mną zrobisz? - zapytała urywanym głosem. - Co teraz chcesz ze mną zrobić? Proszę cię! Nikomu nie powiem! Obiecuję ci, Celio! Obiecuję!

Celia przycisnęła Sylwię do siebie, otaczając ją ramionami i przyciskając jej policzek do swojej piersi.

Z wolna, nieledwie zmysłowo, poczęła gładzić Sylwię po głowie.

- Jesteś gorąca - wymamrotała Sylvia. - Myślałam, że zmarli powinni być zimni.

- Ach, ale ja nie umarłam - odpowiedziała Celia, wciąż głaszcząc raz za razem jej włosy. - Jestem wyjątkowo żywa. Jestem tak bardzo żywa, że nigdy nie umrę.

- Celio, jesteś taka gorąca. Nie przyciskaj się do mnie. Nie mogę tego wytrzymać.

Bładoszare palce nadal gładziły jej włosy, aż do pierwszej smużki dymu z wierzchołka czaszki. Dał się wyczuć powiew zapachu spalenizny.

- Celio, proszę cię! Sprawiasz mi ból! Jesteś taka gorąca!

Ale powieki Celii zamknęły się nad jej pustymi oczodołami, jak gdyby wcale nie miała zamiaru słuchać, i w dalszym ciągu gładziła jej włosy, głęboko i zmysłowo przebiegając palcami w jej lokach. Następna smużka dymu; cichy trzask przypalonych koniuszków włosów.

- Sylvio, moje kochanie, ja nigdy nie umrę; ani Marianna, ani David, ani Leonard, ani Carmen, ani Julie, ani ktokolwiek z nas. Jesteśmy teraz oczyszczeni, każde z nas. Salamandry! I znajdzie się wielu innych, których trzeba będzie oczyścić, całe tysiące.

Jej palce gładziły wciąż i gładziły. Sylvia próbowała się wyzwolić, lecz Celia tylko wzmocniła uścisk. Jej ramiona były teraz takie gorące, że jedwabna bluzka Sylvii zaczęła się tlić, a kwiecisty materiał spódnicy jął się kurczyć. Z włosów Sylvii dobywał się dym, wypełniając kuchnię ostrym, szczypiącym w oczy fetorem. Nagle krzyknęła z bólu, gdy na jej głowie buchnęły płomienie. Celia natychmiast zacisnęła jej usta dłonią, a palce miała tak gorące, że wargi Sylvii zaskwierczały niczym surowe mięso wrzucone na rozgrzaną do czerwoności patelnię.

Sylvia skręcała się, wiła i rzucała w agonii, lecz nie mogła się uwolnić. Temperatura

ciała Celi podniosła się tak wysoko, że bluzka i spódnica Sylvii przepaliły się na wylot, jej naskórek zaś przywarł do piersi, bioder i ud Celi, tak że obie kobiety były praktycznie przyspawane do siebie.

Sylvia zaczerpnęła przegrzanego powietrza, które spaliło jej włoski w nozdrzach i wpadło do płuc niczym płonąca benzyna. Oparzyła się przedtem tylko raz w życiu, sześć lub siedem lat temu, kiedy upuściła sobie na stopę rondel pełen wrzątku. Wówczas wydawało jej się, iż kona z bólu. Lecz teraz zrozumiała, że to, co czuła wtedy, było zwyczajnym bólem, prawdziwe zaś konanie jest czymś tak intensywnym, że aż niemożliwym do opisanie w kategoriach fizycznych. Było to doświadczenie duchowe tak dojmujące, że aż piękne, i tak doniosłe w skutkach dla jej centralnego układu nerwowego, iż poczuła się, jak gdyby odkryła wreszcie, co to znaczy być w pełni istotą ludzką.

W rozżarzonych ramionach Celi pojęła, że Bóg obdarzył swoje dzieci zdolnością znoszenia cierpień tak wielkich, iż śmierć wydaje się przy nich ulgą i błogosławieństwem. Na tym właśnie polegało to straszliwe piękno.

Nie była w stanie głośno krzyżeć. Lecz wewnątrz swego umysłu krzyczała i krzyczała, nawet gdy zatraciła już zdolność myślenia.

Celia przyciskała ją do siebie coraz mocniej, pieszcząc jej ramiona i plecy. Gdziekolwiek dotarły jej ręce, pozostawiały za sobą pobrużdzone, pokrywające się pęcherzami ślady. Skóra płatami odchodziła Sylvii z pleców, aż wyglądała, jak gdyby miała na sobie baletową spódniczkę z przysmażonego mięsa.

Uniosła pokrytą pęcherzami twarz ku Celi, która otwarła swe czarne, puste oczodoły. I mimo że nie mogła mówić, zakomunikowała jej za pomocą wszystkich wysychających od żaru nerwów swego ciała: „Zabij mnie, proszę cię, zabij! Nie każ mi więcej cierpieć!”

Celia popatrzyła na nią straszliwymi czarnymi jamami, po czym zakryła znowu oczodoły. W tej właśnie chwili Sylvia buchnęła płomieniem. Jej płuca rozděły się i rozpadły na kawałki, a krew i tkanki trysnęły z ust. Płaty płonących mięśni oderwały się od jej ramion; nogi ugięły się pod nią niczym pod zwęglonym krzesłem; jelita wypadły z hukiem przez roztrzaskane biodra; jej czaszka eksplodowała.

Cała kuchnia zasłana była żarzącym się popiołem oraz kawałami pokurzonego ciała.

Szczałki Sylvii dopalały się na kuchennej podłodze, wydzielając coraz więcej blasku i ciepła. Celia stała i przypatrywała się im, naga i niewzruszona, póki ceramiczne płytki podłogi nie poczęły jedna po drugiej pękać z trzaskiem, przypominającym prażoną kukurydzę.

Choć dym zaczynał powoli uchodzić przez otwarte drzwi balkonowe, wypełniał jeszcze

całe mieszkanie. Celia, spięta, zdenerwowana i zła na siebie, z wolna chodziła z kąta w kąt, jak gdyby nie miała ochoty stąd odejść. Co jakiś czas powracała do kuchni, by popatrzeć na ostatnie dogorywające płomienie. To niewiarygodne, że oprócz odrobiny ciepła nic więcej nie potrzeba, by zredukować żywą istotę ludzką do wymiarów małej kupki oleistego popiołu, którą w najlepsze trawi ogień.

Celia zastanawiała się, czy czuje żal, czy też smutek. Nie była pewna. Było jej przykro, że Sylvia odeszła, jednakże sama była sobie winna, Otto zaś zawsze powtarzał, iż wszyscy musimy przyjąć do wiadomości konsekwencje naszych czynów, choćby nawet miały się one okazać nie wiadomo jak bolesne. W pewnym sensie czuła, iż wybawiła Sylwię od czegoś daleko gorszego, aczkolwiek wiedziała, że jej dusza będzie cierpieć i cierpieć przez całą wieczność.

Podeszła do antycznego lustra wiszącego opodal drzwi wejściowych i przyjrzała się sobie. Wiedziała, jak bardzo się zmieniła. Wyglądała tak samo, lecz wewnątrz była kimś zupełnie innym. Została oczyszczona. Całkowicie. Nigdy już nie będą miały nad nią władzy kłamstwa ani pozory, ani złamane obietnice. Nigdy już nie ulegnie jakiegokolwiek słabości. Należała do garstki wybrańców, garstki prawdziwie wiecznotrwałych.

Puste oczodoły, które tak przeraziły Sylwię, były symbolem wszystkiego, czym się teraz stała. Ktoś kiedyś powiedział: „Oczy są oknami duszy”. Nie potrzebowała okien. Cała była duchem, cała była duszą, która w dymie jej osobistej ofiary stała się ciałem. Nie potrzebowała oczu.

Przykryła dłońmi swe małe nagie piersi. Skórę miała już chłodną, pożar minął. Pomyślała o Lloydzie i sutki stwardniały jej pomiędzy palcami. Wiedziała, jak wiele sprawiła mu bólu. Wiedziała od samego początku, że będzie cierpiał. Lecz gdy nadejdzie czas, znów będą razem, doskonali i całkowicie spełnieni, ich namiętność zaś trwać będzie po wsze czasy.

- Moja droga, ty nigdy nie umrzesz - powiedział Otto, z nikłym uśmiechem na twarzy ściskając obie jej dłonie.

Sięgnęła ręką w dół i kciukiem oraz palcem wskazującym przesunęła po bujnym kędzierzawym runie rosnącym jej między nogami. Przyjrzała się sobie w lustrze. Zawsze podniecała się bardzo łatwo. Nie miała pojęcia, jak mocno zatęskni za miłością z Lloydem, a przecież dopiero trzy dni nie byli razem. Wspaniale będzie po przesileniu wziąć go z powrotem w ramiona.

W tej właśnie chwili zadzwonił telefon. Wahala się przez chwilę albo dwie, po czym wróciła do wypełnionej dymem kuchni i podniosła słuchawkę.

- Sylvia? - odezwał się czyjś głos. - Czy to ty, Sylvio? „Lloyd” - pomyślała, zamykając

oczy. Nieomal uległa pokusie, by odpowiedzieć, mimo iż wiedziała, że jej tego nie wolno.

- Sylvio... Jakies pięć minut temu był do mnie telefon. Myślałem, że to może ty.

Nic nie odpowiedziała, tylko położyła sobie słuchawkę na wargach i pocałowała ją wolno i przeciągle.

- Sylvia? - słyszała, jak on mówi.

Przycisnęła słuchawkę do piersi, dotykając sutkami ot-worków, z których wydobywał się głos.

- Lloyd... - zamruczała.

- Sylvio... Słyszysz mnie? Nie możesz mówić? Mam jeszcze raz zadzwonić? Czy dobrze mnie słyszysz?

Teraz masowała się słuchawką po brzuchu i pomiędzy nogami. Wolniutko krążyła nią i krążyła wokół sromu, aż plastik stał się błyszczący i śliski.

- Kto tam jest? - zadał pytanie Lloyd wprost w jej połyskujące ciało.

- Twoja kochanka - odparła i zaraz się roześmiała. Lecz przez cały czas łyzy płynęły jej z pustych oczodołów.

W końcu w ciszy zadymionego mieszkania Sylvii usłyszała trzask i sygnał, świadczące o tym, iż Lloyd przerwał połączenie.

Schwyciła słuchawkę lewą ręką i wrzasnęła do niej z wściekłością. Spomiędzy jej palców zaczął się wydobywać błękitny dymek, słuchawka zaś jęła topić się i wyginać. Wrzeszczała i wrzeszczała z lęku, frustracji oraz szewskiej pasji, aż telefon wybuchnął płomieniem, stopiony plastik zaś kapał i spływał jej na nadgarstek, a potem opadał, jarząc się, na kafelki podłogi. Dym wystrzelił z jej ust oraz uszu i przez chwilę pomyślała, iż posunęła się za daleko i sama wybuchnie płomieniem.

Wreszcie odrzuciła tłący się węzeł polistyrenu, przyczepiony jednym końcem do skręconego kabla telefonicznego, i uklękła na podłodze, trzęsąc się z emocji.

Od samego początku wiedziała, że nie obejdzie się bez cierpień. Rozumiała, iż czeka ją los wszystkich prekursorów - odmienność, niebezpieczeństwa i niezrozumienie ze strony przyjaciół i ukochanych.

Ale nie była przygotowana na to, iż będzie jej z tym tak nieswojo, ani też na nawiedzające ją gigantyczne przyływy złości. Była nieśmiertelna. Po wieczne czasy cały świat stał przed nią otworem. Lecz cóż takiego utraciła? Co utraciła na zawsze?

Wstała, podniosła z podłogi prochowiec i zarzuciła go na ramiona. Następnie założyła z powrotem ciemne okulary. Dałaby wszystko, by tego wieczora zobaczyć się z Lloydem. Wiedziała jednak, iż jeśli chodzi o dochowanie tajemnicy, nie może mu zaufać, a przede



wszystkim nie może zaufać sobie samej.

Wzięła Wagnerowskie libretto i zamknawszy za sobą drzwi, wyszła z mieszkania.

## ROZDZIAŁ 9

- No, chłopcy i dziewczęta, jeśli chodzi o mnie, to byłoby na tyle!

Bob Tuggey wrzucił fartuch do kosza na brudy, zmiażdżył w kulkę papierową czapeczkę i z ulgą zdjął z wieszaka swą starą skórzaną kurtkę. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął pogniecioną paczkę lucky strike'ów i umieścił jednego w kąciку ust. Miał go właśnie zapalić, gdy wpadła Sally.

- Ciuś-ciuś, Wujciu Tug - rzekła w przelocie. - Żadnego palenia w kuchni, na korytarzu, w umywalniach ani w miejscach przeznaczonych na odpoczynek personelu. Co więcej, naczelny lekarz stanu Kalifornia ustalił, iż palenie papierosów jest szkodliwe dla twego wizerunku psychicznego.

- Z ciebie jest prawdziwa wiedźma - odciął się. - Poza tym ja nie mam wizerunku psychicznego. Sprzedałem go w Paryżu około dwudziestu lat temu za talerz cynaderek cielęcych, butelkę rully i paczkę gauloise'ów.

- Jak na wizerunek psychiczny, to dosyć tanio. Wujcio Tug objął Sally ramieniem i cmoknął ją siarczyście w policzek.

- W owych czasach, moja kochana, bardziej interesowała nas miłość i pokój oraz zastanawianie się, o co właściwie walczymy.

- Wiem, wiem. Come on Baby Light My Fire i tak dalej.

- Do jutra, czarownico.

Bob wykrzywił się w uśmiechu i wyszedł z budynku. Zrobił dwa lub trzy kroki w kierunku parkingu, po czym zatrzymał się, by zapalić papierosa. Miał nadzieję, że Stan Kostolowicz zdoła bez kłopotów urwać się na dzisiejszy wieczór. Jego synowa potrafiła być czasem niezłym ziółkiem. Kłopot w tym, że nie lubiła, jak Stan pije. Kiedy wypił, zawsze w środku nocy wstawał, spuszczał wodę w toalecie, robił sobie kanapki z polską kiełbasą, wypijał mleko z kartonu i wprowadzał nieporządek do jej idealnie sprzątniętej kuchni.

Bob był zdania, iż bardzo wiele dobrego da się powiedzieć o życiu samotnym. Wychodzisz, kiedy ci się żywnie podoba, i wracasz, kiedy ci się żywnie podoba. Możesz palić w kibelku. Możesz jeść frytki w łóżku i nikt się nie skarży na okruszki. Możesz pierdnąć, kiedy tylko ci przyjdzie ochota, i nikt nie zmarszczy nosa ani nie zacznie rozpylać po całym pokoju lawendowego odświeżacza.

Postawił kołnierz i ruszył na przelaj przez parking. Jego jasnoniebieski pontiac grand prix '69 z podartym rozkładanym dachem zaparkowany był przy wyjeździe. Z zamiarem

zreperowania dachu nosił się już od lat czterech. W dalszym ciągu podobał mu się ten samochód. Był stary, lecz nie należał do najsłabszych i, jak lubił to powtarzać każdemu, kto zechciał go słuchać, miał najdłuższą maskę silnika w całej historii firmy General Motors.

Nawet nie spojrzał w kierunku mercedesa z przyciemnionymi szybami. Nie dotarł do niego delikatny trzask zamykanych drzwi samochodu. Nie odwrócił się nawet wtedy, gdy usłyszał za plecami zbliżające się kroki.

Dopiero kiedy głos kobiecy zawołał: - Pan jest Bob Tuggey, czy tak? - zatrzymał się i niespiesznie odwrócił, mrużąc jedno oko z powodu papierosowego dymu.

- A kto chciałby wiedzieć? - odrzekł.

Ten, kto chciał wiedzieć, okazał się niezmiernie wysoką i potężnie zbudowaną kobietą w krótkiej czarnej sukience bez rękawów. Oczy miała koloru zielonych winogron. Włosy szczesane były bez litości z szerokiego bladego czoła. Nos miała krótki i prosty, szczękami zaś mogłaby z powodzeniem łupać orzechy. Na nogach miała czarne siatkowe rajstopy i czarne pantofle na wysokim obcasie. Wziąwszy wszystko razem, wyglądała niczym postać dominująca z ulubionego koszmaru masochisty.

Nie opodał, z rękoma w kieszeniach, stał szczupły mężczyzna o zboliałym wyrazie twarzy, w luźnym szarym garniturze i kapeluszu z szerokim rondem. Był wyższy od kobiety, lecz podczas gdy ona tryskała siłami witalnymi i nadmiarem ciała, on był kruchy i przywiędły; wyglądał zaś, jak gdyby miał się rozlecieć na kawałki przy pierwszym zdrowym klepinięciu w plecy.

Twarz miał pociągłą i owalną, obdarzoną okazałym perkatym nosem, któremu towarzyszyły zapadnięte policzki, poprzecinane siateczką suchych zmarszczek, oraz oczy przelewające się w twarzy, jak gdyby nie mógł się zdecydować, jakie wrażenie ma sprawiać ani jakie zdradzać uczucia. Buty miał równie perkate co nos: staroświeckie kamasze na fleki, dzieło dawno minionych szewskich pokoleń.

- Pan jest Bob Tuggey, czy tak? - powtórzyła kobieta, nie odpowiadając na pytanie. Mówiła z leciuteńkim akcentem, szwedzkim, niemieckim albo coś w tym rodzaju. Bob mówił po wietnamsku niczym rodowity mieszkaniec Sajgonu, po francusku nie gorzej od przeciętnego Belga, ale nie znał żadnego z tych gardłowych nordyckich języków.

Kobieta podeszła bliżej. Miała przynajmniej metr osiemdziesiąt osiem wzrostu i piersi jak balony. Poruszała się jednak z gracją sportowca. Z bliska pachniała skórą, dymem cygara i chanel numer 5.

- Pan posiada coś, co należy do nas - oznajmiła Bobowi.

Ten z nienaganną uprzejmością wyjął z ust przyklepionego w kąciku papierosa i

wydmuchnął dym na bok.

- Ja posiadam coś, co należy do was? W jaki sposób pani sobie to wykalkulowała? Nie posiadam nawet niczego, co należałoby do mnie.

Szczupły mężczyzna w szarym garniturze uchylił kapelusza, ukazując miękką wyściółkę krótko ostrzyżonych siwych włosów.

- Otto Mander, do pańskich usług, drogi panie. A to jest Helmwigie von Koettlitz. Nie mamy zamiaru pana niepokoić. Lecz oczywiście będziemy nalegać na zwrot naszej własności.

- Jakiej własności? - dopytywał się Bob. - Nie mam niczego, co należałoby do was.

- Chodzi, zdaje się, o niewielki amulet - powiedział Otto.

Bob zerknął na kobietę o imieniu Helmwigie.

- Czy to pani dzwoniła dziś do restauracji? Nie uśmiechnęła się.

- A skąd niby znam pańskie nazwisko?

- Cóż... naprawdę mi przykro - powiedział Bob. - Ale podniosłem ten amulet z myślą, iż należał do kobiety, która się tu spaliła kilka dni temu. Może o tym słyszeliście?

- Owszem - odparł Otto - słyszeliśmy o tym. Pozostaje jednak pytanie, co zrobił pan z amuletem?

- Doprawdy mi przykro. Nastąpiła pomyłka. Dałem go narzeczonemu tej kobiety.

- Co takiego? - zapytała Helmwigie surowym głosem.

- Mówiłem już, że to była pomyłka. Facet nie miał pojęcia, czy to jej amulet, czy też nie. Nie widział go nigdy przedtem. Wziął go na wszelki wypadek.

- Rozumiem - orzekł Otto, jak gdyby w rzeczywistości wcale nie słuchał. Zwabiona blaskiem jarzeniówek oświetlających parking, przeleciała mu nad głową ćma. Zdając się wcale nie patrzeć w jej kierunku, schwycił ją ręką w powietrzu. Potem otworzył dłoń i przyjrzał się owadowi z uwagą.

- Niezły refleks - uśmiechnął się doń Bob.

Otto popatrzył na niego spojrzeniem tak pozbawionym treści, jak gdyby powiedział coś po czesku. Potem wsadził trzepoczącą jeszcze skrzydełkami ćmę do ust, wyssał, pozuł przez chwilę i połknął.

Boba wytrąciło to z równowagi.

- Prawdziwe skaranie z tymi ćmami, co? - zażartował. - Dobrze, że przynajmniej mają w sobie dużo protein. - Roześmiał się ostro i krótko, po czym odstaąpił krok w tył. - Słuchajcie, jutro będę dzwonił do tego faceta. Odbiorę dla was ten amulet, nawet gdybym miał po niego pojechać osobiście do La Jolla.

- Proszę sobie tym nie zaprzętać głowy. - Otto podniósł rękę na znak sprzeciwu. - To

nie będzie konieczne. Sami pojedziemy się z nim zobaczyć.

- No cóż, jeśli nie jest to dla was kłopot...

- Wierz mi, Bob - Helmwige rzekła doń głębokim, operowym głosem - że nie będzie z tym żadnych kłopotów.

Bob chwilę jeszcze czekał. Jednak nie wyglądało na to, by Otto albo Helmwige mieli mu coś więcej do powiedzenia, toteż wzruszył ramionami i powiedział:

- W takim razie, dobranoc. Chyba że macie jeszcze coś do mnie?

- Chwileczkę! - rzekł Otto. - Zanim pan sobie pójdzie... czy mogę się do pana zwrócić ze zgoła bezczelnym żądaniem?

- Nie wiem - odparł ostrożnie Bob. - Zależy, o co chodzi.

- Nie powie pan o nas nikomu ani słowa.

Bob podejrzliwie i z wolna zaciągnął się papierosem.

- Czemu miałbym to zrobić? Wszystko mi jedno, czyj to amulet, o ile wróci on do swojego właściciela.

- Ale nie powie pan ani słowa?

- Słuchaj pan - powiedział mu Bob - to wolny kraj. Jeśli będę miał ochotę, to powiem. Jeśli nie, to nie.

- Helmwige? - poddał Otto. Helmwige uśmiechnęła się.

- Nie było żadnego amuletu. Możemy się na to zgodzić, nicht wahr? Że nie było żadnego amuletu?

Coś mówiło Bobowi, iż ta wymiana zdań wyszła już poza ramy możliwej do zaakceptowania ekscentryczności. Poczłł niebezpieczeństwo; w identyczny sposób wyczuwał je w Sajgonie. „Unikaj jak ognia szajbusów - powiedział mu raz William Trueheart. - Od wesela do żądzy mordu to dla nich tylko jeden kroczek”.

- Pewnie - przytaknął, wyjmując z ust papierosa. - Pewnie, możemy się na to zgodzić.

Otto zbliżył się do niego. Wiatr niósł odeń woń mlecznych holenderskich cygar, lawendy i śmierci. Otto polizał duży palec, zdjął z kołnierzyka koszuli Boba małego pajęczka i zgryzł go w zębach. „Owodzi kawior - pomyślał Tuggey. - Ich drobne czarne ciała... tak samo robią pop!, kiedy się je gryzie”.

- Słuchajcie - niepewnie powiedział Bob. - Nie mam pojęcia, o co tu, do cholery, chodzi.

- I wcale mieć nie musisz - nalegała Helmwige. - Jedyne, co trzeba zrobić, to nie mówić nikomu ani słowa. Czy to doprawdy tak trudno zapamiętać?

- A co jest takiego cholernie ważnego z tym pierścieniem, że mam o nim zapomnieć?

Jeśli mam już zapomnieć, to niech przynajmniej wiem o czym.

- Bob - odparł Otto z głębokim, środkowoeuropejskim ukłonem. - Ta sprawa w ogóle pana nie dotyczy. Lepiej będzie, jeśli pan przyjmie do wiadomości, że są na tym świecie rzeczy niedostępne panu i jemu podobnym. Niech pan robi, co doń należy. Nikomu ani słówka. Jest pan mrówką i tyle.

Bob po długiej szycie przy smażeniu hamburgerów był już zmęczony i skłonny do irytacji.

- Czekaj pan - rzucił. - Kogo niby nazywa pan mrówką?

- Jest pan aż tak wyczulony na punkcie przyziemnych realiów swego istnienia? Ależ jest pan mrówką. To bynajmniej nie mój osobisty pogląd. To fakt.

- Nie jestem żadną pierdoloną mrówką. Helmwige podeszła z drugiej strony i stanęła naprzeciw niego. Nieznacznie potrząsnęła głową.

- Masz nie odzywać się do Herr Mandera w ten sposób.

- Przepraszam, paniusiu, ale mogę się do niego odzywać, jak mi się podoba. A jeśli się spodziewacie, że będę trzymał buzię na kłódkę co do tego amuletu, co do was albo co do tej komedii, którą tu teraz odgrywacie, to jeszcze czeka was niespodzianka. I to jaka!

Podniósł do góry dwa palce, w których trzymał papierosa, i szyderczo zsalutował.

- Cóż, jeszcze się zobaczymy - rzekł Otto z uśmiechem cienkim jak pergamin.

- Nie, o ile zobaczę was pierwszy - odparł Bob. Obszedł dookoła Helmwige i ruszył w kierunku samochodu. „Jezu Chryste - pomyślał w duchu - szajbusy to nie jest dobre określenie dla tych dwojga. To król i królowa świrów we własnej osobie”.

Był w połowie drogi do samochodu, gdy wtem poczuł, iż podeszwy butów zaczynają się robić gorące. Nie tym gorącem, które powstaje na skutek spocenia i zmęczenia się staniem przez cały dzień przy kuchni, lecz prawdziwym żarem, jak przy chodzeniu po plaży w środku lata.

Nieomal podskoczył i przyspieszył kroku. Było dziś ciepło, to prawda, lecz nie aż tak, by rozgrzać beton parkingu do podobnej temperatury. Czuł, że stopy zaczynają parzyć go żywym ogniem.

Zerknął za siebie. Otto i Helmwige w dalszym ciągu stali tam, gdzie ich pozostawił, jedynie mężczyzna osłonił sobie oczy kościstymi dłońmi.

Nagle stopy zabolaly Boba tak bardzo, że począł krzyczeć na głos i przeskakiwać z nogi na nogę.

- O Jezu! Palę się! - wrzeszczał. - O Jezu! Co wyście ze mną zrobili?

Padł na ziemię i szarpnął za sznurówki znoszonych tenisówek. Dziurkami oraz

bocznymi otworkami wentylacyjnymi wydobywał się dym. Jego stopy paliły się naprawdę!

Ciężko dysząc z bólu i wysiłku, ściągnął tenisówki i dymiące odrzucił w drugi koniec parkingu. Boże słodki, ta cała Helmwige nieźle mu dołożyła! Nawet skarpetki były przepalone! Lecz nim zdążył wstać, obie stopy zajęły mu się prawdziwym ogniem, rozblyskując i sycząc niczym świece woskowe.

Zaryczał z bólu i spróbował stłumić ogień gołymi rękami. Lecz w następnej chwili również i one zajęły się płomieniem i poczęły buzować z nie mniejszą wściekłością.

- Pomocy! - wrzeszczał Bob. - Palę się! Pomocy! Lecz Otto i Helmwige nawet nie drgnęli. Otto pozostał z dłońmi przyłożonymi do oczu, jak gdyby rozmyślał na jakiś błahy temat, powiedzmy, jaki prezent urodzinowy wybrać dla siostrzeńca albo co zjeść na lunch. Helmwige najzwyczajniej przyglądała się z ramionami skrzyżowanymi na piersiach - nie tyle bez litości, co raczej bez specjalnego zainteresowania, jak gdyby palących się ludzi widywała codziennie.

Bob usiłował podnieść się na kolana widząc, jak ręce trawi mu żywy ogień. Z początku ból w tłących się palcach rąk i nóg był nie do zniesienia, lecz później stracił w nich czucie, ból zaś opasał mu nadgarstki i kostki. Nie zdawał sobie sprawy, iż ogień wypalił zakończenia nerwów, a oparzenia dłoni i stóp sięgają szóstego stopnia, co oznacza całkowite zniszczenie tkanki.

„Nie mają zamiaru mi pomóc - pomyślał z wszechogarniającym bezwładem. - Będą tam stać i przyglądać się, jak płonę”.

Na kolanach powłókł się dalej. Język ognia, oderwawszy się od płonących stóp, polizał mu plecy i nagle jego spodnie oraz tył skórzanej kurtki zajęły się płomieniem. „Mój tyłek, o Boże, mój tyłek się pali”.

Widział swego pontiaca zaparkowanego w odległości zaledwie pięciu metrów. Malowane farbą zderzaki, postrzępiony materiał dachu. Pod siedzeniem była gaśnica, gdyby udało mu się tylko...

Gorejąc włókł się na kolanach w stronę samochodu. Penitent pełen żaru, człowiek, który pochyla się w płomieniach w stronę swojego Boga. Nagle pojął, iż odkąd ujrzał w Sajgonie palącego się mnicha, przez cały czas pisane mu było umrzeć w ten właśnie sposób. Była to jedna z owych krętych dróg przeznaczenia, na którą musiał wstąpić w momencie, gdy na drodze do Cholon wyskoczył z samochodu i próbował powstrzymać mnicha przed dokonaniem tego, co tamten uważał za słuszne.

Na Rosecrans Street, w odległości zaledwie dziesięciu metrów, w jedną i drugą stronę śmigały samochody i autobusy. O czym myśleli ich pasażerowie widząc na parkingu

płonącego człowieka, nie śmiał nawet zgadywać, nikt w każdym razie się nie zatrzymał. „Popatrz, Morton, tam się ktoś pali!” „Nie zwracaj uwagi, kochanie, to nikt z naszych znajomych”.

Plecy Boba paliły się teraz wściekłym ogniem, a języki płomieni sięgały mu pomiędzy nogi. Zatoczył się na kolanach do przodu. Zdawało mu się, że przestało go boleć, nie miał pojęcia dlaczego. Było to niczym klęczenie w podmuchach bardzo gorącego wiatru, tylko tyle. Nieomal zabawne.

Udało mu się dotrzeć do samochodu i pomagając sobie łokciem podciągnąć się do poziomu drzwi. „Gaśnica, gdzie jest gaśnica, zaraz ją wyciągnę i wszystko jeszcze będzie dobrze”. Szerniałą dłonią chwycił za klamkę. „Dzięki Ci, Panie Boże, że zamki są wyłamane - żadną miarą nie zdołałbym przekręcić kluczyka”. Pociągnął do siebie i drzwi się otwały, lecz zarazem z głuchym, bolesnym zgrzytnięciem odpadła i ręka, jak gdyby palce były pręcikami z węgla drzewnego.

Z bolesnym zdumieniem podniósł do góry żarzący się kikut nadgarstka. Zrozumiał wówczas, iż jest już martwy, i że znalazł się w punkcie, w którym niemożliwa stała się jakakolwiek pomoc albo próba leczenia. Sprawiało to w pewnym sensie ogromną ulgę, gdyż usuwało ciężące przez całe życie brzemie troski o własne ciało, konieczność czynienia wysiłków, by przeżyć. Koniec z zamartwianiem się o bezpieczną jazdę, z umiarem w picciu i rzucaniem palenia.

Bob Tuggey spróbował wrzasnąć, wydając z siebie coś w rodzaju buntowniczego wycia, które miało pokazać Ottonowi i Helmwige, że nie dba o to ani cholery i że na odchodnym rzuca im jeszcze wyzwanie. Lecz do płuc wpadł mu jedynie ogień. Zakrztusił się płomieniem i upadł w przód na siedzenie samochodu, nie wydawszy ani jednego dźwięku. Jego ciało, płonąc, wpadło w szaleńcze drgawki, lecz było to zapewne spowodowane kurczeniem się mięśni.

Winyłowe siedzenia niemal w jednej chwili zajęły się płomieniem. Podsycany ciepłą oceaniczną bryzą ogień wkrótce zaczął szaleć wewnątrz wozu. Po Bobie Tuggeyu pozostały teraz jedynie nogi, wystające z otwartych drzwi samochodu.

Gdy tylko pojazd zapalił się, zaraz ktoś zadzwonił po straż pożarną i z oddali poczęło dochodzić wycie i zawodzenie syren. W tej samej chwili, gdy pierwszy wóz straży pożarnej wjechał na parking, pontiac wybuchnął, wyrzucając w powietrze ogromną kulę oślepiająco białego płomienia, daleko jaśniejszego i daleko bardziej rozjuszonego, niż mogło to spowodować pięćdziesiąt litrów benzyny.

Płonące fragmenty samochodu potoczyły się po parkingu. Nawet blok silnika turlał się i



turlał niczym monstrualna kadź tryskająca ogniem. Skrawki płonącej materii pochwycił nagły podmuch silnego wiatru i począł nimi kręcić w kółko.

W samym jądrze tej ognistej burzy stał Otto,- z wolna odejmując dłonie od oczu, oraz Helmwige, która najwyraźniej znudzona patrzyła już na co innego.

- Pojedziemy dziś wieczorem do La Jolla? - spytała przyglądając się swoim paznokciom.

- Och... jutro rano w zupełności wystarczy - odparł Otto. - Jeśli liebling Celii uwierzył, że amulet należy do niej, będzie on u niego całkiem bezpieczny.

- Bist du mude, meine kleine Taube? - zagruchała Helmwige, a jej różowe wargi załśniły w świetle palącego się samochodu Boba. - Nie jesteś zmęczony, mój gołąbku?

Otto nic nie odpowiedział, tylko nadal stał wpatrując się w rozżarzone pogorzeliśko stali, gumy i tapicerki, jego twarz zaś raz po raz rozjaśniała się w czerwonym świetle migających kogutów straży pożarnej. Zwabiona blaskiem pożaru, w ciemności zatrzepotała ćma. Bez chwili wahania Otto schwycił ją w powietrzu i dwoma palcami rozgniół na wysuniętym języku. Potem z wolna począł wysysać, przyciskając językiem do podniebienia.

Bez żadnego szczególnego powodu pomyślał o Gretchen.

Pamięć Gretchen prześladowała go w dalszym ciągu, tak jak żadnej spośród jego ofiar. To przez ten jej smutek, przez jej słodką naiwność. Mała Gretchen, która tak bardzo mu ufała, która wierzyła w każde jego słowo.

Śmierć Gretchen nie miała nic wspólnego z ogniem; to był chłód, ciemność i ciasno skręcony drut. Ale wszystko to stało się dawno temu, nim jeszcze nadeszła wojna, nim nastąpiła Helmwige, nim przyszła kolej na Amerykę.

Helmwige westchnęła zrezygnowana i jęła przechadzać się tam i z powrotem. W odróżnieniu od Ottona nie widziała w śmierci niczego interesującego. Jak można interesować się śmiercią wiedząc, że będzie się żyło wiecznie?

## ROZDZIAŁ 10

Po wyjściu spod prysznic, Lloyd narzucił na siebie biały turecki płaszcz kąpielowy z grubego frotte i usiadł w salonie ze szklaneczką whisky w dłoni oraz wszystkimi dziennikami San Diego z ostatnich trzech dni. Do tej pory jeszcze ich nie przeglądał. Wiedział, że w niektórych znajdzie przerażające fotografie Celi u progu śmierci, siedzącej pośród płomieni i dymu, i nie był w stanie nawet pomyśleć o oglądaniu ostatnich dziesięciu sekund jej życia, gdy nie było już żadnego sposobu, by cofnąć wskazówki zegara i pospieszyć na ratunek.

Przy tym obawiał się, że zobaczy, jak bardzo cierpiała.

Jednakże lęk zwyciężyło wreszcie zainteresowanie pochodzeniem amuletu znalezionego przez Boba Tuggeya. Chciał zobaczyć, czy ten amulet widniał na zdjęciach w gazetach.

Cały czas, marszcząc z uporem brwi, obracał go w palcach. Był odbarwiony przez ogień, a więc w najgorszym razie musiał znajdować się niedaleko niej. Ogniwo zaś miał pęknięte, jak gdyby został przypadkowo zerwany lub ukręcony. Lecz czemu miałaby w ogóle nosić go przy bransoletce razem z symbolami wszystkich ważniejszych faktów, jakie zaszły w jej życiu?

Być może miał jakieś specjalne znaczenie, lecz Lloyd nie domyślał się, jakie. Jaszczurka wpisana w okrąg? Cóż to takiego się ostatnio zdarzyło, co byłoby choć pośrednio związane z jaszczurkami?

Z kompaktu dochodziły dźwięki Lunatyczki Belliniego. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś Celia śpiewała z towarzyszeniem tej płyty, wymachując na wszystkie strony kieliszkiem szampana, tak że wino lało się po całym parkiecie.

- Celio - rzekł, choć wiedział, że nigdy mu już nie odpowie. Niech to szlag, dlaczego nie powiedziała, że coś jest nie tak? Dlaczego nawet nie zostawiła mu listu?

Podniósł ze stołu i powoli rozpostarł „San Diego Tribune”. Śmierć kobiety w płomieniach na parkingu przy Rosecrans Street. Przejęci zgrozą klienci McDonalda świadkami niewątpliwego samobójstwa. Wpatrywał się w fotografię z uczuciem rosnącego otępienia. Zdjęcie w „Timesie” było poruszone, lecz Lloyd mimo to rozpoznał twarz Celi. Ręce trzymała na kolanach. Ciężko było odróżnić jakiegokolwiek szczegóły, lecz wokół prawego nadgarstka widniała cienka biała linia, która prawie na pewno była bransoletką. Niestety, nie mógł dostrzec żadnego amuletu.

Zbadał zdjęcie ze strony tytułowej „San Diego County Post”. Musiało być wykonane

kilka sekund później, gdyż Celia leżała już na ziemi, lecz jeszcze wyraźniej ukazywało, iż miała bransoletkę na ręku. Sięgnąwszy po szkło powiększające, Lloyd poddał fotografię drobiazgowym oględzinom. Doszedł do wniosku, że może odróżnić złoty klucz sopranowy, który jej podarował, jednak amuletu z jaszczurką nie było ani śladu.

Ponownie raz i drugi przewertował wszystkie fotografie, lecz żadna z nich nie była dostatecznie wyraźna, by mógł powiedzieć, czy Celia miała przy sobie akurat ten amulet, czy też nie. Może dostała go od kogoś z tej swojej sekty religijnej - i dlatego trzymała go przed nim w sekrecie. Zdecydował się odwiedzić jutro Teatr Miejski i zobaczyć, czego też uda mu się dowiedzieć o owym tajemniczym Ottonie i jego zagadkowych zwolennikach.

Na pierwszej stronie wczorajszej „Tribune” widniało również zdjęcie spalonego autobusu z Anza-Borrego, lecz w zamieszczonym obok reportażu nie było niczego, o czym by już nie wiedział.

Lunaticzka dobiegła końca. Lloyd odłożył gazety na stół i wstał, by założyć następną płytę. Nie mógł znieść panującej w domu absolutnej ciszy. Przez cały czas wyobrażał sobie, że słyszy, jak Celia krząta się w kuchni lub w łazience, w nocy zaś bał się popatrzeć w lustro toaletki, by nie zobaczyć jej tam poprawiającej w płomieniach makijaż.

Nastawił Traviatę i podszedł z powrotem do sofy. Stojąc widział jednocześnie fotografie w obu gazetach i wtedy właśnie uderzyło go w nich coś dziwnego. Wpierw przyjrzał się jednemu, potem zaś drugiemu dziennikowi, marszcząc ze zdziwienia brwi. Wyciągnął szkło powiększające. To szaleństwo, niemniej dowód był nie do podważenia. I zbyt wiele zaszło tu zbiegów okoliczności, by można złożyć to na karb przypadku.

W tle fotografii z Celią stało dwadzieścia do trzydziestu osób, w większości dzieci. Od reszty odstawały jednak wyglądem dwie postacie wysokiego wzrostu: mężczyzna w garniturze i kapeluszu z szerokim rondem oraz blondynka przykrywająca dłonią usta.

Ta sama dwójka pojawiała się również na fotografii spalonego autobusu. Stali w dość dużej odległości obok samochodu wyglądającego na wielkiego czterodrzwiowego mercedesa. Było tam także kilku innych gapiów: trzech mężczyzn, najprawdopodobniej kierowców ciężarówek, oraz kobieta z psem na smyczy. Lecz co do tej dwójki nie mogło być żadnych wątpliwości. Mężczyzna w miękkim, szerokoskrzydłym kapeluszu i kobieta z włosami jasnoblonde.

Dla Lloyda był to niepodważalny dowód, iż śmierć Celi miała jakiś związek z pożarem autobusu i tych dwoje wiedziało, jaki. Co tam, do cholery, oni mogą nawet wiedzieć, dlaczego Celia popełniła samobójstwo.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer Sylvii. Owego wieczora próbował się już do niej

dodzwonić dwa lub trzy razy, gdyż miał dwa bardzo szczególne telefony: jeden od kobiety, która głosem nieco przypominała Sylvię, lecz nie chciała mówić inaczej jak tylko szeptem; oraz drugi od kogoś, kto wydawał jedynie odgłosy pocałunków. Za każdym razem dzwonił do Sylvii, jednak numer był stale zajęty. Wiedział, iż nic jej się nie stało - w końcu widział ją wchodzącą do domu - lecz chętnie powiedziałby jej o parze niezwykle gapiów, których fascynacja śmiercią w płomieniach zdawała się sięgać daleko poza najgorsze ekscesy ludzkiej próżności.

Telefon Sylvii wciąż nie odpowiadał. Odłożył słuchawkę i dla odmiany wystukał numer sierżanta Houka.

- Czy to sierżant Houk?

- Houk pojechał właśnie na wezwanie. Mówi detektyw Gable. Czym mogę panu służyć?

- Och... tu mówi Lloyd Denman z Bazy Rybnej Denmana, pamięta pan? To właśnie moja narieczona...

- Oczywiście, panie Denman. Doskonale pana pamiętam. Co mógłbym dla pana zrobić?

- Czy sierżanta Houka długo nie będzie?

- Nie... nie wydaje mi się. Góra trzydzieści minut. Chce pan, żeby do pana oddzwonił?

- Owszem... byłbym bardzo zobowiązany.

Odłożył słuchawkę i usiadł z rękoma zaplecionymi na karku. Sierżant Houk został przydzielony policji stanowej do pomocy w oględzinach ofiar ze spalonego autobusu i niewykluczone, iż ma już informacje, które mogłyby Lloydowi pomóc w odnalezieniu owej dwójki gapiów. Być może znajdowali się jeszcze na miejscu wypadku, kiedy autobus się dopalał, a wówczas policja powinna mieć ich nazwiska i adresy.

Zastanawiał się, co powinien zrobić, gdyby udało mu się ustalić, kim byli.

Nie mógł się też zdecydować, jak powinien się zachować, gdyby udało mu się ustalić, że są w jakiś sposób odpowiedzialni za śmierć Celi.

Czy donieść o tym sierżantowi Houkowi, czy też może wziąć prawo w swoje ręce? Gdyby sam wymierzył sprawiedliwość, ponieśliby pewną i nieuniknioną karę.

Ciągle jeszcze sączył whisky rozmyślając, gdy zadzwonił telefon. Z pośpiechem podniósł słuchawkę.

- Denman - rzekł.

- Pan Denman? Tu sierżant Houk. Pan do mnie podobno dzwonił.

- To prawda, sierżancie, dzwoniłem.

- Zatem wie pan o wszystkim?

- O wszystkim? O czym mianowicie?

- O przyjaciółce pańskiej narzeczonej, pani Cuddy.

- Sylvii? Jadłem kolację z Sylwią dziś wieczorem. Nic jej się nie przytrafiło złego, mam nadzieję? Próbowałem się do niej dodzwonić, lecz numer nie odpowiada.

- W takim razie o niczym pan nie wie.

- No cóż, może pan mnie oświeci - powiedział Lloyd. Nastąpiła przerwa. Brzmiało to tak, jak gdyby sierżant Houk zasłonił dłonią słuchawkę i odpowiadał na pytanie zadane mu przez kogoś w jego biurze, gdyż zakończył słowami:

- Pewnie, niech zaraz robią sekcję. - Potem rzekł: - Przepraszam, panie Denman, ale dziś wieczorem jesteśmy tu trochę zajęci. Obawiam się, że mam dla pana złe wiadomości. Około dwóch godzin temu w mieszkaniu pani Cuddy wybuchł groźny pożar i z wielkim żalem muszę pana powiadomić, że nie udało jej się ująć z życiem.

Lloyd musiał oblizać usta. Sprawiały wrażenie wyschniętych jak chitynowy pancerz owada.

- Chce mi pan przez to powiedzieć, że ona nie żyje?

- Przykro mi, panie Denman. Doprawdy bardzo mi przykro.

- Boże Wszechmogący. Najpierw Celia, potem wszyscy pasażerowie autobusu. Teraz jeszcze Sylvia.

- W dalszym ciągu nic nie sugeruje istnienia jakiegokolwiek związku - powiedział sierżant Houk z towarzyszeniem odgłosów przypominających siorbanie gorącej kawy. - Jednakże, jako że jest pan jedną z osób, które ostatnie widziały panią Cuddy przy życiu, chciałbym do pana wpaść i zadać kilka rutynowych pytań. Wie pan, jak to wygląda.

- Sierżancie... - rozpoczął Lloyd i przez chwilę odczuwał pokusę, by opowiedzieć mu o gapiach. Coś jednak go przed tym powstrzymało, coś kazało mu, przynajmniej na razie, zatrzymać to przy sobie. Miał wrażenie, iż pod tym, co się zdarzyło, kryje się jakaś tajemnica, której logiczny umysł detektywa nie będzie w stanie dostrzec.

- Oczywiście, sierżancie - dokończył. - Chętnie pomogę. - Wziął głęboki oddech i dorzucił: - Ten pożar w mieszkaniu Sylvii... z jakiej przyczyny powstał?

- Trudno powiedzieć. Została z niej dosłownie tylko garstka popiołu. Inspektorzy straży pożarnej przebąkiwali nawet coś o samozapłonie.

- Myślałem, że samozapłon to tylko legenda - powiedział Lloyd. Głos mu drżał.

- Nie widział pan jeszcze mieszkania pani Cuddy. Jedyne, co się spaliło, to ona i jej telefon. Zupełnie nic poza tym. Daliśmy to również do rozpracowania fachowcom z Pacific

Bell. Ktoś wystąpił z teorią, iż mogła zostać porażona przez piorun błędzący, zstępujący po przewodzie telefonicznym. W tym czasie w okolicy było kilka burz elektrycznych.

- Czy byli jacyś świadkowie? - zapytał Lloyd ostrożnie.

- Ani jednego - odpowiedział sierżant Houk. - Portier twierdzi, że słyszał jakieś hałasy, śmiechy albo krzyki, które skończyły się, kiedy poszedł na górę. Pomyślał więc tylko, że pani Cuddy świetnie się bawi, pan wie, co mam na myśli. Nikt nie widział, by oprócz niej ktokolwiek wchodził do budynku ani z niego wychodził. Na drzwiach zaś z całą pewnością nie było żadnych śladów włamania, aczkolwiek nie były zamknięte na łańcuch.

- Czy mogę jeszcze się na coś przydać? - spytał Lloyd.

- Niech pan tylko zachowa spokój, panie Denman, to wszystko. Zachowa spokój i będzie w kontakcie.

- A zatem, jak pan sobie życzy - zgodził się Lloyd i odłożył słuchawkę.

„Sylvia, spalona na śmierć! Mój Boże!” Przełknął jednym haustem whisky i cały drżąc, usiadł skulony na sofie. To było niczym pożar lasu, pustoszący jego życie i trawiący ogniem każdego, kogo znał i kochał. Jak to możliwe, by Sylvia mogła spłonąć? Garstka popiołu, powiedział sierżant Houk. Tylko garstka popiołu.

Po chwili wrócił do przeglądania czasopism, ponownie rozkładając je i czytając wszystkie artykuły ze sztucznie wyęzoną uwagą. W sprawie śmierci Celi reporter przeprowadził rozmowy z trzema świadkami. Jednym był Bob Tuggey, którego Lloyd już poznał. Wśród pozostałych znajdował się dwudziestopięcioletni sprzedawca ze stacji benzynowej (który raczej nie nosiłby garnituru i miękkiego filcowego kapelusza), trzydziestodwuletnia opiekunka do dzieci nazwiskiem Maria Salazar (która raczej nie byłaby blondynką z gazety) oraz sześćdziesięciosześcioletni ogrodnik o nieprawdopodobnym nazwisku Dań Kań.

Lloyd przeszedł do reportażu o spalonym autobusie, by zobaczyć, czy aby nazwiska świadków nie zgadzają się z nazwiskami obecnych przy śmierci Celi. Artykuł stwierdzał: „...jedynym świadkiem pożaru autobusu był dwunastoletni Indianin Pechanga nazywany „Tony Express”, od urodzenia niewidomy. „Tony” zeznał funkcjonariuszom Patrolu Drogowego, że słyszał, jak podczas pożaru męski głos wykrzykuje słowa, które brzmiały jak „June, już!”

Nie licząc przypuszczenia, że mężczyzna ów był w podeszłym wieku, świadek nie był w stanie wskazać żadnych śladów akcentu ani innych cech charakterystycznych głosu, które mogłyby stanowić punkt wyjścia dla detektywów.

Lloyd raz jeszcze przyjrzał się fotografii mężczyzny i kobiety, którzy patrzyli na śmierć

Celii. Twarz mężczyzny ukryta była w cieniu szerokiego randa kapelusza, lecz przygarbiona postawa i pochyłe ramiona kazały Lloydowi dać mu jakieś sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć lat - może nawet więcej.

Lecz „June, już!”? Cóż to mogło oznaczać? Może podłożył pod autobus ogień dlatego, że znajdujący się w nim ludzie mogli go zidentyfikować? „June, już!”? „J u n e, już!”?

Wiedziony ową nadzwyczajną mocą, która czasami staje się natchnieniem ludzkiego umysłu - mocą, dzięki której dodając dwa do dwóch otrzymujemy w wyniku siedem i pół - Lloyd przesunął wzrok znad blatu stolika, z miejsca gdzie leżały rozpostarte gazety, ku kserokopiom Wagnerowskiego libretta. Imię, które przyciągnęło jego uwagę, wyglądało, jakby w ostatniej chwili nabazgrano je ołówkiem. Junius. Wymawiane w fonetyce angielskiej Dżunius. Tak samo jak „June, już!”

Siedział, wpatrując się w libretto i doznając uczucia chłodu i podniecenia, nie mając przy tym pojęcia, co robić dalej, w razie gdyby zakłęcie przyszło. Zbyt ładnie się to układało, by miało się okazać prawdziwe, niczym hasło w krzyżówce, które ma odpowiednią liczbę liter i zgadza się z wyrazami poprzecznymi, a potem zamiast „bonito” okazuje się „banitą”.

Czy to doprawdy możliwe, by jakiś starszy pan przyglądał się, jak płonie autobus z trzynaściorgiem pasażerów w środku, wykrzykując słowo „Junius!”? Tytuł tej samej opery, w poszukiwaniu której ktoś włamał się do jego domu? Tej samej opery, którą...

Zamknął oczy w przyływie bolesnej świadomości: tej samej opery, którą miała Sylvia Cuddy, w chwili gdy została spalona w swoim mieszkaniu.

Nalał sobie następną pokąsną porcję whisky i jał przechadzać się po salonie, z głową trzeszczącą od pomysłów. Mógłby opowiedzieć sierżantowi Houkowi o wszystkich swoich przypuszczeniach. Ale do czego sprowadzały się one w gruncie rzeczy”? Czy sierżant Houk pójdzie ich tropem? A jeśli nie pójdzie, to czy podejmie jakieś środki, by powstrzymać przed tym Lloydem? Zdawał sobie sprawę, jak bardzo policyjni wywiadowcy nie lubią amatorów... nawet licencjonowanych prywatnych detektywów.

Tak czy owak, do czego w istocie sprowadzały się jego odkrycia? Do przypadkowej zbieżności twarzy na dwóch gazetowych fotografiach... przypadkowego zbiegu okoliczności, jaki stanowiła śmierć w płomieniach trzech członkiń zespołu Opery San Diego w przeciągu tyłuż dni... i fonetycznego podobieństwa pomiędzy słowami „June, już!” a „Junius”.

Nic takiego, co jakkolwiek rutynowany detektyw nazwałby poszlaką.

Lecz Lloyd był tak wstrząśnięty i zbolący, narósł w nim taki gniew wobec kogoś, kto odpowiadał za spalenie się Celii, że gotów był podążyć za jakimkolwiek śladem, choćby nie wiadomo jak przypadkowym lub opartym na zbiegu okoliczności. Pragnął tylko dowiedzieć

się w końcu, kto i dlaczego to zrobił, i sprawić, by ten ktoś cierpiał równie głęboko i rozpaczliwie, jak cierpiał on sam, jak cierpiała Celia, jak cierpiała Marianna, a teraz również i Sylvia, której śmierć przyprawiła go o taki ból, że nie mógł nawet płakać.

Jutro odnajdzie tego całego Ottona, choćby tylko po to, by wyeliminować jego osobę z dalszego śledztwa. Potem pojedzie na pustynię i poszuka indiańskiego chłopca zwanego Tony Express. Zdecydowany był spróbować wszystkiego po kolei. Mógł temu poświęcić dużo więcej czasu niż sierżant Houk, a także miał znacznie silniejszą motywację, by odkryć prawdę.

Poszedł do kuchni, nasypał sobie całą górę kawy i włączył ekspres. Od tej chwili pragnął zachować trzeźwość. Żadnych łez, żadnego użalania się nad sobą. Nic, oprócz zemsty.

Ekspres zaczął perkotać, gdy zadzwonił telefon.

- Pan Denman? Tu Waldo. Przyjęliśmy ostatnie zamówienia; pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć, iż wszystko jest w najzupełniejszym porządku.

- Dziękuję, Waldo, jestem ci bardzo wdzięczny.

- Ta bouillabaisse według nowego przepisu nie odniosła specjalnego sukcesu. Louis uważa, że należy coś zmienić w sposobie, w jaki ją się serwuje. Za dużo w niej śmieci, by można ją było podać komuś, kto wystroił się na kolację w lokalu. Za dużo muszli, za dużo ości.

- W porządku - powiedział Lloyd prawie nie słuchając. - Powiedz mu, żeby nad tym popracował.

- Och... jeszcze jedno. Dzwonił jakiś człowiek, żeby panu powiedzieć, że amulet nie należał do pani Williams. Powiedział, że jego nazwisko brzmi... jedną chwileczkę, proszę... Już mam. Wujek Tug. Zna pan tego wujka Tuga?

- Pewnie, że znam - marszcząc brwi odparł Lloyd.

- Powiedział, że amulet nie należał do pani Williams i żeby do niego zadzwonić.

- Zatem świetnie, zadzwonię. Dzięki, Waldo. Coś jeszcze?

- Wszystko przebiega gładko, panie Denman. Niech się pan o nic nie martwi.

Lloyd poszedł do saloniku i znalazł książkę telefoniczną San Diego. Przewertował ją w poszukiwaniu McDonalda z Rosecrans Street i wystukał numer. Długo nikt nie odpowiadał i gdy wreszcie dziewczęcy głos zapytał: - McDonald, czym mogę służyć? - słychać w nim było rozpacz spowodowaną jakimś nieszczęściem. Lloyd był pewien, że w tle zawodziły syreny.

- Chciałbym się skontaktować z jednym z waszych kucharzy - rzekł Lloyd. - Facetem, który każe do siebie mówić Wujcio Tug.



Wydawało się, iż dziewczyna nie może wydobyć z siebie głosu. Lloyd usłyszał następne syreny i czyjeś nawoływania.

- Co to, czy wszystko u was w porządku? - zapytał. - Sądząc po odgłosach, macie tam jakąś panikę.

- To Wujcio Tug. - Dziewczyna zaniosła się łkaniem. - W jego samochodzie wybuchł pożar.

- Co takiego? - zapytał Lloyd. - Wybuchł pożar? Nic mu się chyba nie stało?

Ze sposobu, w jaki dziewczyna zaczęła szlochać, poznał natychmiast, że na pewno coś mu się stało, a nawet jeszcze gorzej - że nie żyje.

Dziewczyna nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa. Lloyd nie wiedział, że to Sally, kierowniczką Boba, lecz łatwo było poznać, iż to ktoś bardzo przywiązany do Wujcia Tuga.

W słuchawce odezwał się głos jakiegoś młodzieńca.

- Przykro mi, proszę pana, ale mamy tu w tej chwili niezły kocioł. Wybuchł samochód i zabiło jednego z kucharzy. Przepraszam. Może mógłby pan zadzwonić później.

Lloydowi nie pozostało nic innego, jak odwiesić słuchawkę i usiadłszy na sofie, zastanowić się, co, u licha, się dzieje. Jeszcze jeden pożar? Jeszcze jedna śmierć w płomieniach? To zaczynało wyglądać na coś dużo poważniejszego niż seria nieszczęśliwych zbiegów okoliczności. To zaczynało wyglądać, jak gdyby ktoś otworzył ogniste wrota piekieł i widłami nakładał ludzi do środka niczym sam Lucyfer.

Traviata dobiegła dramatycznego końca i nagle nastąpiła cisza. Lloyd poczuł się bardzo samotny, a także niełicho przestraszony. Przestraszony własną wyobraźnią, przestraszony ogniem i przestraszony myślą, że oto być może po Ziemi przechadzają się tajemniczy ludzie i dzieją się rzeczy dalece wykraczające poza jego zdolność pojmowania, i to nawet dziś wieczór, w najzwyczajszej w świecie i dobrze mu znajomej północnej dzielnicy San Diego, podczas gdy grają cykady, znad oceanu dochodzą łagodne podmuchy bryzy, a księżyc wstaje zza gór niczym okrzyk bladego strachu.

Joe North spotkał się z nim w muzeum techniki w parku Balboa. Było jedno z owych rozpalonych do białości popołudni, gdy wszystkie drzewa i budynki wydają się gubić swój kolor i nawet niebo staje się białe. Lloyd zapłacił wstęp za nich obu i wkroczyli do głównego holu.

Przez chwilę stali przyglądając się małemu grubaskowi, który z taką zawziętością pedałował na rowerze podłączonym do dynama, że aż poczerwieniał na twarzy, próbując wytworzyć dostateczną ilość elektryczności, by zaświeciły się światła przedstawionego w

przekroju forda fairlane'a.

- Nieźle ci idzie, malutki - powiedział Joe, poklepując chłopca po plecach. - Co byś powiedział na pracę przy oświetleniu Teatru Miejskiego?

Chłopiec popatrzył na niego jak na wariata. Jego czarnoskóry przyjaciel zawołał przez cały hol:

- Uważaj, człowieku. Pedał!

Joe przyjrzał się Lloydowi, a potem poddał oględzinom własne ubranie. Był pomocnikiem scenografa Opery San Diego i na takiego wyglądał: szczupły neohippis, ubrany w białe spodnie i pstrą czerwoną koszulę. Miał wydatny nos, pod którym widniał wyskubany wąsik.

- Słuchaj, czy my wyglądamy na pedałów? - spytał Lloyd.

Lloyd wzruszył ramionami.

- Nawet gdybyśmy nimi byli, i tak bym nie poleciał na tego wstrętnego bachora.

Weszli po schodach na podest i usiedli twarzą w twarz po obu stronach ekranu z pleksiglasu. Gdyby Lloyd miał ochotę pokręcić gałkami po swojej stronie ekranu, mógłby stopniowo nakładać na rysy twarzy Joego własne odbicie, aż Joe zamieniłby się w niego. North mógł zrobić to samo.

- Opowiedz mi o Ottonie - poprosił Lloyd.

- Hm, Otto... - odparł Joe. - Co ja takiego mogę o nim powiedzieć? Bardzo dziwny facet. Wielka charyzma, co do tego nie ma dwóch zdań. Jeden z tych ludzi, na których nie można nie zwrócić uwagi.

- Jak on wygląda? - spytał Lloyd.

- Koło sześćdziesiątki... nie, prawdopodobnie jeszcze starszy. Wygląda na bardzo zasuszonego, rozumiesz? Jakby ktoś ziarnko pieprzu zostawił na słońcu.

- Ale skąd się tu wziął? W jaki sposób zdołał się przyczepić do opery?

Joe odchrząknął, kaszląc przy tym donośnie.

- Sądziłem, że zdążyłeś go już poznać. Skoro Celia tak dobrze go znała... To właśnie ona przedstawiła go wszystkim członkom zespołu. Przyproceedziła go na próbę przedstawienia galowego - kiedy to było, w kwietniu zeszłego roku? Powiedziała, że prowadzi coś w rodzaju grupy odrodzenia duchowego... dwa razy w tygodniu.

Lloyd pokręcił gałkami znajdującymi się pod ekranem i stopniowo jego twarz wtopiła się w oblicze Joe Northa. Efekt był niepokojący, jak gdyby zniknęła cała jego osobowość. Jak gdyby popatrzył do lustra i ujrzał w nim kogoś zupełnie innego.

- Otto zebrał nas wszystkich wokół siebie na scenie - mówił Joe. - Była z nim ta

kobieta... O rany, nie widziałeś w życiu takiej baby. Walkiria z krwi i kości. Nie mówiła zbyt wiele, ale miało się w jej obecności uczucie, że jeśli w przeciągu trzech sekund nie uda ci się położyć jej na łopatki, do końca życia będzie patrzyła na ciebie jak na pokarm dla psów.

Lloyd wyprostował się na siedzeniu.

- Jakie miała nazwisko? Wiesz, jak się nazywała?

Joe potrząsnął głową.

- Słyszałem je, owszem. Ale było jakieś takie niemieckie i nie mogłem go zapamiętać. Coś jak Hełm, zdaje się. Hełm-figa, coś w tym rodzaju.

- O czym mówił Otto? - zapytał Lloyd.

Na pleksiglasowym ekranie twarz Joego poczęła z wolna ustępować miejsca twarzy Lloyd'a. Spomiędzy nieruchomych warg Lloyd'a dobiegł głos Joego.

- Mówił, że przez całe życie cierpimy z powodu całkowicie mylnego pojęcia na temat tego, o co naprawdę w naszym życiu chodzi, rozumiesz? Powiedział, że wszyscy udajemy, iż wierzymy, że mamy dusze i że nasze dusze będą żyły wiecznie, ale to nieprawda - przynajmniej dopóty, dopóki tkwimy w tych podlegających rozkładowi ciałach.

Joe zawahał się, a potem gwałtownie wyrzucił z siebie:

- Człowieku, on naprawdę umiał do nas trafić. Wiesz co? Sprawił, iż zrozumieliśmy, że już w tej samej sekundzie, w której się rodzimy, nasze ciało zaczyna umierać. Jesteśmy tak niewiarygodnie delikatni, rozumiesz? Możemy się utopić, możemy wypaść przez okno. Jakiś szajbnięty terrorysta może wysadzić samolot, którym lecimy. Pierwszy lepszy gówniarz prowadzący taksówkę może nas przejechać na środku ulicy. Słyszałeś o kobiecie, która napisała Przemineło z wiatrem! Jakiś taksówkarz potracił ją na ulicy. Otto naprawdę potrafił sprawić, że zaczynałeś się zastanawiać, jaki to wszystko ma sens? Gdzie w tym logika? Po co w ogóle się rodzić, jeśli jedyne, co cię czeka u kresu tego wszystkiego, to śmierć? „Na miłość boską, mogą cię zabić zarazki - oto co mówił Otto. - Coś, czego nawet nie możesz zobaczyć. Możesz być najlepszą, najbardziej filantropijnie nastawioną osobą w całym wszechświecie, możesz być geniuszem, możesz być Einsteinem. Ale wystarczy kilka zarazków i cały ten geniusz jest już stracony na zawsze. Cała twoja dobroć, cały twój talent, ciach - i już ich nie ma!”

Lloyd wstał, podszedł do balustrady półpiętra i rozejrzał się po wielkim holu muzeum techniki. Joe po chwili stanął obok niego.

- Niektórzy mówią - rzekł Lloyd - że gdyby nie było śmierci, cóż warte byłoby życie?

Joe przytaknął:

- Koniec końcem, powiedziałem mu dokładnie to samo. Dla mnie jego poglądy były za

bardzo, no, jak im tam... fanatyczne, zdaje się. I totalitarne. Nigdy nie lubiłem, żeby ktoś rozkazywał mi, co mam robić. Nawet moja mama. Ale przez chwilę, na samym początku... no cóż, zdaje się przekonał mnie, że mógłbym żyć wiecznie. A całe mnóstwo innych wierzy mu dalej.

- Ile osób dołączyło do grupy? - spytał go Lloyd.

- Z samej opery? Nie wiem. Może pięć, może sześć, a może więcej. Ja poszedłem tylko na dwa pierwsze spotkania, ale jak już mówiłem, Otto był dla mnie zbyt totalitarny. To nie były grupy dyskusyjne. To były grupy typu Otto-ci-powie-jak-to-było-naprawdę. Mówił, że północnoeuropejscy poganie odkryli tajemnicę wiecznego życia na setki lat przed Chrystusem, wiesz? Lecz gdy zostali podbici przez Rzymian i przemieszali się z innymi, niższymi rasami, sekret najwidoczniej zaginął.

Był niewiarygodnym rasistą. To znaczy słuchało się go jak Adolfa Hitlera. Lecz miał zawsze w zanadru dla każdego członka grupy obietnicę życia wiecznego i nikt nie ośmielał się jego słów kwestionować. Mówił, że narodzi się nowa rasa panów, prawdziwa rasa panów; błyskotliwa, czysta i całkowicie dominująca nad innymi. Członkowie jej mają zapanować nad całym światem, i to bez potrzeby uciekania się do postrachu czy przemocy. A wszystko to dzięki temu, że mają być nieśmiertelni. Nie będą umierać.

Joe wyciągnął opakowanie bananowej gumy do żucia i rozwinął jedną.

- Wtedy właśnie powiedziałem im do widzenia. Mogę sobie pozwalać na dzikie skoki wyobraźni, szczególnie kiedy nie narzucam jej żadnych ograniczeń, ale żaden pomarszczony staruch w niedzielnym garniturze nie zmusi mnie, bym uwierzył, że będę żył wiecznie.

Lloyd zapytał:

- Czy Otto wytłumaczył wam, w jaki sposób macie sobie zyskać wieczne życie?

- Ani mru-mru, przynajmniej nie mnie. Nie zabawiłem dość długo, by doczekać się tego kawałka. Ale było całe i mnóstwo szamaństwa na temat różnych sekretnych hymnów, specjalnych obrzędów i czegoś, co nazywali salamandrami.

- Salamandry? A co to takiego?

- Zabij mnie, a nie wiem.

- Ale Marianna zabawiła dłużej, co? - zapytał Lloyd. - Czy nie mówiła kiedyś o tym, co oni robią?

- Mówiłem ci, ani pary z ust. Wszyscy ludzie, którzy zostali w grupie, nie mówili na ten temat ani słówka. To był jakiś straszliwy sekret. Kilka razy pytałem Mariannę, ale odpowiadała mi tylko: „Poczekaj, a zobaczysz”. To ja na to: „Co takiego zobaczę?”, ale nic więcej nie chciała powiedzieć, tylko „Poczekaj, a zobaczysz”.

- Czy uczestniczenie w zebraniach grupy Ottona w jakiś sposób ją odmieniło?

Joe skinął głową twierdząco.

- Odmieniło każdego, kto na nie chodził. I bynajmniej nie na gorsze. To znaczy, nikt nie wpadł przez to w depresję, nikt nie stracił radości życia ani nic w tym rodzaju. W gruncie rzeczy Marianna była jak skowronek, cały czas coś nuciła i tryskała wesołością.

- Ale? - zapytał Lloyd.

Joe rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Kto mówił o jakimś ale?

- Ty sam. Słyszałem to w twoim głosie.

- Cóż, pewnie, że było jakieś ale. A polegało na tym, że Marianna przestała utrzymywać z kimkolwiek łączność. Widzisz ten ekran z pleksiglasu? Odkąd zaczęła chodzić na te spotkania, zawsze miałem uczucie, że rozmawia się z nią przez taflę z pleksiglasu. Zero kontaktu.

- Gdzie odbywały się zebrania? - spytał Lloyd. Joe skinął głową.

- Otto wynajął dom na Paseo Delicias w okolicach Rancho Santa Fe. No, mnie się w każdym razie wydaje, że go tylko wynajął. Kawał drogi od szosy, na prawdziwym odludziu. Jednak nie jest to jedna z tych naprawdę drogich posiadłości w Rancho Santa Fe. Sprawia wrażenie solidnie zapuszczonej. Spotykaliśmy się w czymś w rodzaju przebudowanego garażu. Cały podjazd był zawsze szczelnie zastawiony mercedesami - cztery albo pięć sztuk, jeden z nich wyglądał całkiem jak wóz sztabowy marszałka Rommla albo coś w tym rodzaju. Czasami grupa spotykała się w innych miejscach, sądząc po tym, co mi mówiła Marianna; ale przeważnie chodzili właśnie tam.

Lloyd począł kolistym ruchem z wolna pocierać czoło. Wreszcie rzekł:

- Nie wiesz przypadkiem, o co temu facetowi mogło naprawdę chodzić? To znaczy, najwyraźniej próbował sprzedać pomysł na wieczny żywot. Całe to gadanie o ciele rozkładającym się wraz z uwięzioną w nim duszą. Ale jaki miał w tym wszystkim interes? Czy kazał sobie płacić za te zebrania? Czy robił to dla pieniędzy? Albo dla czegoś innego?

Joe z wolna potrząsnął głową.

- I tu mnie masz na widelcu. Nigdy nie chciał od nas ani grosza.

- I rzeczywiście oferował nieśmiertelność?

- Tak przynajmniej mówił. Ale jak mi się zdaje, ten towar nie jest żadną nowością. Kiedy o tym pomyśleć, to co innego sprzedają wszyscy kaznodzieje telewizyjni? Co innego obiecuje ci każdy uzdrowiciel? Wieczny żywot, o to właśnie w tym wszystkim chodzi.

Joe popatrzył na Lloyd'a spod zmrużonych powiek i podniósł do góry palec.

- Uczynił jedną jedyną obietnicę, rozumiesz, tego dnia, gdy przemawiał do nas na scenie. Powiedział: „Ktokolwiek z was uzna za stosowne pójść w moje ślady, ten będzie żył przez całą wieczność i jeden dzień, obiecuję”. I nie rzekł tak po prostu „obiecuję”, jak gdyby sprzedawał szczotki albo coś takiego. Powiedział „obiecuję”, jak gdyby to była żelazna gwarancja.

- I Marianna mu uwierzyła? Tak jak musiała mu wierzyć Celia?

- Tak sądzę. Dalej chodziła na spotkania.

- Jestem po prostu zdumiony - powiedział Lloyd - że Celia nigdy mi o tym nie wspomniała. Ani słowem.

- Może uważała, że ci się to nie spodoba?

- I miała całkowitą słuszność. Ale tobie nie podobało się to również, nieprawdaż, a jednak nie było to żadną przeszkodą dla Marianny?

- Daj spokój, Lloyd, Marianna nie miała zostać w przyszłości moją żoną. Byliśmy jedynie dobrymi przyjaciółmi, którzy od czasu do czasu sypiali ze sobą. Dziś razem, jutro osobno, znasz tego rodzaju układy. Choćbym chciał, nie mógłbym jej niczego zakazać.

- To z powodu tej grupy - rzekł Lloyd - nie ma co do tego dwóch zdań. I z powodu Ottona. Wstąpiły do grupy i on zrobił im wodę z mózgu. Tak samo jak bhagwanie, tak samo jak moonnici, tak samo jak wszystkie te zwariowane religie. Obiecał im życie wieczne, a one mu uwierzyły. Jak można było zachować się aż tak głupio?

Pracownik muzeum przyglądał im się podejrzliwie kątem oka.

- Chodźmy już stąd - zaproponował Joe. Opuścili muzeum techniki i poszli spacerem na przełaj przez spalone słońcem trawniki parku Balboa.

- Jest jeszcze coś... - powiedział Joe - coś, co mi nie daje spokoju.

Doszli do miejsca, gdzie Lloyd zaparkował samochód. Przekręcił klucz w zamku, lecz z otwarciem drzwi czekał, aż Joe wyniszczy, co mu leży na sercu.

- Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, czy też nie, ale dwa lub trzy tygodnie, nim Otto pojawił się na scenie, spędziliśmy razem weekend w Gospodzie Marzeń w Santa Cruz. Marianna nigdy przedtem nie widziała drewnianego molo. Tak czy owak, sprawdzała sobie w łazience piersi i nagle powiedziała, że wyczuwa jakiś guzek.

- Czy to nie był rak?

- Nigdy się nie miałem dowiedzieć. Kazałem jej iść do lekarza i poszła, ale potem nie wspomniała już o tym ani słowem. Cały czas pytałem ją, co ma zamiar z tym zrobić, ona zaś za każdym razem odpowiadała mi tylko tyle, że rozmawiała z Celią i że ona jej to załatwi.

Lloyd otarł pot z czoła grzbietem dłoni.

- Celia zawsze opowiadała mi o Mariannie, lecz z całą pewnością nigdy nie wspominała, że ma ona guza na piersi.

- Hm... a czemu niby miałyby ci o tym mówić? - powiedział Joe. - To w końcu babskie sprawy, chyba się ze mną zgodzisz.

- Daj spokój, Joe. Mówiliśmy sobie z Celią o wszystkim. A jeśli twoja najlepsza przyjaciółka znajduje sobie guza na piersi, nie jest to chyba niegodne wzmianki, nieprawdaż? Zwłaszcza że to ona miała tę sprawę załatwić. A zresztą tak czy owak... w jaki, u diabła, sposób mogła ją załatwić?

- Zabij mnie, a nie wiem - odparł Joe. - Ale odkąd na scenie pojawił się Otto, nie wspominała już o tym więcej, gdy zaś ją sam zapytałem, powiedziała: „Już w porządku; wszystko załatwione”. Przerwał i po chwili dodał: - I z całym szacunkiem dla ciebie, Lloyd, Celia z pewnością nie mówiła ci wszystkiego, nie sądzisz? Niejedno musiała zachować w tajemnicy.

Lloyd skinął głową i otworzył samochód.

- Podwieźć cię z powrotem do teatru? Joe potrząsnął głową.

- Chciałbym chwilę pospacerować.

- W porządku - powiedział Lloyd. - Rozumiem. Ostatnio sam dużo spaceruję. Spaceruję i rozmyślam.

Odjechał sprzed muzeum techniki i skierował się na północ. Joe przyglądał się, jak odjeżdża, a potem poszedł na przelaj przez trawnik, by znaleźć się w cieniu drzew.

Po drugiej stronie ulicy stała przypatrując mu się kobieta. Pomimo upału ubrana była w prochowiec, a głowę miała szczelnie owiniętą białą jedwabną chustką. Oczy skrywała za okularami przeciwsłonecznymi. Joe rzucił jej przelotne spojrzenie, lecz w rozgrzanym powietrzu unoszącym się znad betonowego chodnika jej obraz drgał i falował, uniemożliwiając rozpoznanie. Po chwili kobieta ruszyła jego śladem, trzymając się przynajmniej pięćdziesiąt metrów w tyle, lecz ani na chwilę nie spuszczała z niego wzroku.

## ROZDZIAŁ 11

Lloyd znalazł się nie opodal domu na Paseo Drive kilka minut po dwunastej. W gardle mu zaschło i oddałby wszystko za szklankę zimnego piwa, lecz odnalezienie Ottona było ważniejszą sprawą niż ugaszenie pragnienia.

Joe powiedział mu, że dom znajduje się dwa zakręty przed wjazdem do właściwego miasta Rancho Santa Fe. Nietrudno było go znaleźć. Lloyd wjechał na górę dróżką wijącą się wśród cytrynowych gajów oraz kęp obsypanych kwiatami krzewów i znalazł dom na wysokości ostrego zakrętu w lewo, ukryty w gęstwinie opuncji. Przejechał obok i zaparkował samochód jakieś sto metrów dalej w cieniu smutnie wlokących się po ziemi gałęzi drzew eukaliptusowych.

Wysiadł z samochodu i założył okulary przeciwsłoneczne. W górach było bardzo gorąco i spokojnie. Przyjeżdżał tutaj na lunch w dni, kiedy wybrzeże było całe zasnuwane mgłą, i zawsze zastawał czyste niebo. W poszyciu skryła się przed nim pędem jaszczurka. W powietrzu unosił się mocny zapach nawilżającego powietrza eukaliptusa.

Buty chrzęściły mu na kurzącej się szlacie.

„A zatem, jak mam to zamiar rozegrać? Co zrobię, jeśli zadzwonię do drzwi frontowych, a on akurat będzie w domu i otworzy? Cóż, u diabła, mu powiem? A jeśli on rzeczywiście miał coś wspólnego ze śmiercią Celii? I Marianny również? I Sylvii? I biednego Boba Tuggeya?”

Znalazł się na podjeździe. Wznosił się on ku domowi pod ostrym kątem i stały na nim zaparkowane trzy wielkie mercedesy: staroświecki samochód wycieczkowy z otwartym dachem, czarna pękata limuzyna z lat pięćdziesiątych i biały wóz sportowy 350SL z sześćdziesiątego któregoś roku. Wszystkie auta były brudne od kurzu i pyłków nasiennych oraz upstrzone odchodami ptaków.

Sam dom był równie zaniedbany. Kiedyś mógł uchodzić za bardzo elegancki budynek z malowanej na biało cegły suszonej na słońcu, z długą frontową werandą i łukowatym portalem w stylu meksykańskim. Teraz na jego dachu piętrzyła się gruba pokrywa zeschniętych pnączy, farba oblażała, a dwa spośród prowadzących na ganek stopni przegniły i zapadły się.

Lloyd zauważył, że garaż został przebudowany na „ośrodek naukowy”. Była to boczna oficyna o płaskim dachu i drzwiach z wyblakłego na słońcu drewna, zbudowana z pobielonych wapnem bloków żużla. Nie mógł sobie jakoś wyobrazić, by Celia z własnej woli zjawiła się w takim miejscu. Zawsze była taka wyczulona na punkcie schludności we



wszystkim, co jej dotyczyło: ubraniach, fryzurach, aż po najdrobniejszą plamkę na dywanie w saloniku.

Z jeszcze większą trudnością przychodziło mu uwierzyć, że mogła nabrać się na banialuki o rasie panów i nieśmiertelności, które wygłaszał Otto. Łatwo poddawała się nastrojom, owszem, podobnie jak znakomita większość błyskotliwych muzyków. Lecz nigdy nie była naiwna ani przesądna, a już w żadnym razie nie była rasistką.

Stał przy wjeździe na podjazd przez blisko pięć minut, nie mogąc zdecydować się na wejście do środka.

Do podjęcia decyzji skłonił go w końcu przejeżdżający drogą wóz patrolowy. Kiedy jego kierowca zwolnił na zakręcie i popatrzył nań podejrzliwie przez pomarańczowe szkła okularów, Lloyd z uśmiechem skinął mu głową i wszedł na podjazd, usiłując stworzyć wrażenie, że ma wszelkie prawo to uczynić. Skrywszy się za opuncjami usłyszał, jak kierowca nie bez wahania rusza w dalszą drogę.

Wdrapał się na zapadnięte schody i stanął przed drzwiami. Wyglądały, jak gdyby w przeciągu ostatnich dwudziestu lat ani razu nie były malowane. Niegdyś farba miała prawdopodobnie kolor ciemnej zieleni, teraz poodłaziła i zblakła. Jediną rzeczą, która wyglądała na nową, była wielka kołatka z brązu w kształcie jaszczurki, lecz nawet ona wyblakła na słońcu, nie czyszczona.

Przez kilka chwil nasłuchiwał, po czym dwa razy zastukał. Dźwięk zabrzmiał matowo, bez żadnego pogłosu, jak gdyby uderzył laską w wieko trumny. Czekał i czekał, lecz nikt nie odpowiadał; nie odezwał się żaden dźwięk. Zakołatał ponownie, tym razem znacznie głośniej. Znowu ten dziwny matowy ton, jak gdyby kołatkę słychać było tylko na zewnątrz budynku.

Odstąpił kilka kroków i zawołał:

- Jest tu kto? Panie Otto?

Pod granatową koszulką polo plecy spływały mu potem. Jeszcze raz spróbował zastukać i kilka razy zawołał, lecz było całkiem oczywiste, że nie ma nikogo w domu, a jeśli nawet ktoś jest, to ani mu się śni podchodzić do drzwi.

Zdjął okulary przeciwsłoneczne i zajął przez jedno z pokrytych kurzem okien. Jako że było jeszcze wczesne popołudnie, słońce dopiero co przechyliło się na tyły domu i mógł odróżnić jedynie pękata sylwetkę zaokrąglonego fotela, podręczny stolik i błyszczące na ścianie lustro oplecione grzywą promieni słonecznych w stylu lat trzydziestych. W wystroju tego wnętrza było coś, co nie dawało mu spokoju. Pokój był najwyraźniej stylizowany na trzecią dekadę. Lecz nie chciało mu się wierzyć, by ktokolwiek zadał sobie tyle trudu i poniósł tak wielkie koszty po to, by odtworzyć pokój z lat trzydziestych, który wyglądał tak

strasznie ponuro.

Wyglądało niemal, jak gdyby pokój był pozostawiony sobie przez pięćdziesiąt lat.

Stąpając ostrożnie po deskach werandy, Lloyd zakradł się do kolejnego okna. Jeszcze jeden salonik, nieco mniejszy, z biurkiem z ciemnego dębu stojącym przy tylnej ścianie. I tu wszystkie meble pochodziły z lat trzydziestych... krzesło z giętej sklejki, taki sam stół i plastikowe radio Yolksemp-fanger w rodzaju produkowanych tanim kosztem przez rząd niemiecki w latach trzydziestych celem możliwie najszerszego rozprzestrzeniania przekazów propagandowych. Nad biurkiem wisiał na ścianie duży, oprawiony w ramki rysunek tego samego symbolu, jaki widniał na amulecie, który dał mu Bob Tuggey: jaszczurki z łebkiem wygiętym w jedną stronę, a ogonem w drugą.

Lloyd przetarł zakurzoną szybę brzegiem dłoni, lecz niewiele więcej mógł dostrzec. Pokoje były umeblowane wyjątkowo przygnębiająco, lecz w czasach, gdy piętnastoletnie dzieciaki uganiają się po ulicach z naładowanymi pistoletami maszynowymi, posiadanie przygnębiającego pokoju trudno uznać za przestępstwo wagi państwowej.

Obszedł narożnik domu, odsuwając na bok płataninę pnączy, która częściowo obsunęła się z dachu, zabierając ze sobą po drodze dwa lub trzy tuziny dachówek. Jedyne okno, którego mógł dosięgnąć, był niewielki podnoszony lufcik tuż przy kominie, a i tak Lloyd musiał wspiąć się na palce, żeby zajrzeć do środka.

Zobaczył trzeci pokój, o wiele większy niż dwa pozostałe i wypełniony słońcem. Pod ścianą z lewej stało czarne pianino Bechsteina, przykryte z wierzchu ciemnoczerwoną aksamitną materią. Wierzch instrumentu zastawiony był oprawionymi w ramki czarno-białymi fotografiami, Lloyd jednak nie mógł dojrzeć, kogo one przedstawiały. W pokoju znajdowało się kilka wielkich, pękatych foteli, pokrytych brunatnym materiałem bawełnianym w modernistyczne prostokąty art deco. Obok jednego z foteli stała wysoka chromowana popielniczka, z której wystawał rozgnieciony niedopałek cygara.

Gdy jednak Lloyd wykręcił szyję, by rzucić okiem na drugą stronę pokoju, poczuł dreszcz zdumienia i przestachu. Ze spuszczoną głową klęczał tam na dywanie młody blondyn. Bardzo dobrze umięśniony, z potężną klatką piersiową i wąskimi biodrami oraz, sądząc z tego, co Lloydowi udało się zobaczyć, wyjątkowo przystojny, o ile oczywiście ktoś gustuje w rzeźbionych profilach, prostych nosach i głęboko osadzonych oczach. Atlety. Więcej niż atleta - kulturysta. Typ, który Celia półzartem nazwałaby INURMI: Nadmiernie Umięśniony i Rozwinięty Młody Imbecyl.

Lloyd przyglądał się mężczyźnie z podziwem, pilnując się, by nie wykonywać żadnych zbędnych ruchów, które mogłyby zwrócić jego uwagę. Mężczyzna był zupełnie nagi, a jego

nadgarstki i kostki zakuto z tyłu w błyszczące pierścienie, które z kolei przyłączone były łańcuchem do przytwierdzonej do podłogi obręczy.

Lloyd początkowo zaniepokoił się, że mężczyzna popatrzy w górę i zobaczy go, ale ten niestrudzenie trzymał głowę pochyloną, jak gdyby wpatrywał się w kominek i samym wysiłkiem woli usiłował zmusić godziny do szybszego biegu.

„Cóż, u diabła, robi tam ten przykuty do podłogi facet? Może został porwany? Może Otto trzyma go jako zakładnika? A może sam się w ten sposób skrępował. Słyszało się o jeszcze dziwniejszych zbrodniach”.

Był niewątpliwie w świetnej kondycji fizycznej, a więc nie mógł być tu przykuty na stałe. Włosy miał równiutkie jak pokład lotniskowca, na pewno więc był ostatnio u fryzjera. Włosy łonowe miał tak samo jasne jak te na głowie, ogromny członek zaś, który zwisał mu aż do połowy uda, nie był obrzezany, napletek jednak został odwinięty tak, by odsłonić żołądź.

Lloyd przyglądał mu się, stojąc na palcach, tak długo, jak tylko mógł wytrzymać, aż wreszcie mięśnie łydek poczęły mu dygotać z wysiłku. Wówczas ostrożnie oddalił się od okna i wrócił tą samą drogą na werandę. Zastanawiał się, czy nie zastukać do drzwi raz jeszcze, i nawet ujął dłonią jaszczurkę, lecz opuścił ją z powrotem bez jednego stuknięcia. Jaki z tego pożytek, jeśli jedyny lokator, którego udało mu się spostrzec, nie jest w stanie ruszyć się z miejsca na odległość większą niż pięć centymetrów?

Zszedł z podjazdu i wrócił do samochodu. Odczuwał wielką pokusę, by z miejsca zatelefonować do sierżanta Houka. W końcu Otto musiał popełnić jakieś przestępstwo, choćby przez sam fakt trzymania tego młodego człowieka w kajdanach. Jeśli był winny w tej jednej sprawie, wówczas śmiało mógł być winien każdego innego przestępstwa. Czyż Ustawa Lindbergha nie mówiła, że kidnaperów można wysyłać do komory gazowej? Czy też może tylko czytał o tym w książce Josepha Wambaugh'a Pole cebulowe i wszystko pokręcił?

Wrócił do domu, puszczać sobie w samochodzie kasetę z Cyganerią. W końcu zdecydował się nie kontaktować z sierżantem Houkiem, przynajmniej jeszcze nie teraz. Najpierw chciał porozmawiać z Ottonem osobiście, twarzą w twarz i zadać mu kilka starannie obmyślonych pytań na temat Celi. Gdyby skontaktował się z sierżantem Houkiem, na zawsze straciłby tę szansę. Pragnął zapytać Ottona, w jaki, do cholery, sposób taka piękna i inteligentna dziewczyna jak Celia mogła dać się otumanić całej tej nędznej gadaninie o czystości rasowej, dominującym gatunku ludzkim i nieśmiertelności.

Potem chciał zadać mu pytanie, jakim prawem zburzył ich wzajemną miłość i szczęście - nieważne, był czy nie był bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć Celi.

A wreszcie chciał go zapytać, z jakiego rodzaju stworzeniem właściwie ma do

czynienia, boskim czy diabelskim.

Z samochodu zadzwonił do restauracji. Minęła dobra chwila, nim Waldo odebrał telefon. Był sam środek pory lunchu i w Bazie Rybnej panowała atmosfera gorączkowej aktywności. Gdy podnosił słuchawkę, głos miał podekscytowany, lecz pogodny.

- Wszystko idzie świetnie, panie Denman, niech mi pan wierzy. Na ten lunch poszło już piętnaście homarów i dziesięć dań specjalnych.

- To wspaniale. Zjrzę do was później. Tymczasem wyruszam na pustynię.

- Jedzie pan na pustynię? Po co?

- Niewielkie poszukiwania, to wszystko. Żadnych wiadomości? Nikt nie dzwonił?

Waldo odkasznął.

- Dwoje ludzi było się z panem zobaczyć. Powiedzieli, że ich pan oczekuje.

- Nikogo nie oczekiwałem.

- Hmm... nic pan nie mówił, że będzie dzisiaj w restauracji, zatem sądziłem, iż pan nie przyjdzie.

- Kim oni byli? Czy zostawili nazwiska?

- Starszy pan i kobieta. I to jaka! Choć na mój gust nieco zbyt potężna.

Starszy pan i kobieta. Lloyd poczuł bolesny chłód niepokoju, chwytający go niczym nerwoból.

- Nie zostawili nazwisk? - powtórzył.

- Powiedzieli, że bym się o to nie martwił. Że tak czy inaczej pana znajdą.

- Ten starszy gość... - zapytał Lloyd - miał może na sobie kapelusz i garnitur?

- I owszem, kapelusz i garnitur. A kobieta była cała ubrana w czarną skórę. Wyglądała jak motocyklistka, pan rozumie? A może jak dziwka. Dziwka lub motocyklistka, jedno z dwojga. Chyba że była to autorka przewodników po restauracjach. - Waldo uznał to za bardzo zabawne i wybuchnął śmiechem, który zakończył się napadem kaszlu.

Lloyd odłożył słuchawkę. Sytuacja zaczęła się rozwijać w zupełnie nowym i bardzo niepokojącym kierunku. On poszukiwał Ottona, a jednocześnie wyglądało na to, że sam jest poszukiwany. Kiedy odwiedził dom na Paseo Delicias, Ottona nie było tam właśnie dlatego, że udał się z wizytą do Bazy Rybnej.

Tylko czego chciał Otto?

Była na to tylko jedna odpowiedź. Amuletu z jaszczurką. Taką samą jak ta, którą Lloyd widział w domu Ottona na ścianie. Wujcio Tug dzwonił, żeby poinformować, iż amulet nie należał do Celi, a mógł się tego dowiedzieć jedynie stąd, że ktoś przyszedł jaszczurkę

odebrać.

Ktoś zjawia się po jaszczurkę i Wujcio Tug umiera w płomieniach. Tak samo ktoś przychodzi po libretto Wagnera i Sylvia umiera w płomieniach.

Lloyd zaczynał nabierać pewności, że za tymi pożarami kryje się Otto - nie jakiś tam szajbnięty kaznodzieja i rasista, lecz niezwykle niebezpieczny osobnik. Psychopatyczny morderca ze skłonnościami do ślepej przemocy był już wystarczająco przerażający; ale psychopatyczny morderca z *idée fixe* na punkcie stworzenia lepszego świata był jeszcze straszniejszy.

Lloyd zatrzymał się na stacji benzynowej w Escondido i niska, grubiotka paniusia w baseballowej czapeczce nałożonej tyłem do przodu napełniła mu bak BMW.

- Ładny wóz - powiedziała.

- I mnie się podoba - zgodził się Lloyd.

- Mój stary nie kupiłby niemieckiego samochodu, choćby mu za to dawali wszystkie skarby świata - zauważyła.

- Doprawdy?

Wytarła smużkę smaru z koniuszka nosa.

- Służył podczas wojny w Czwartej Dywizji Pancерnej. Wyzwolili kilka obozów koncentracyjnych.

Lloyd wręczył jej swoją kartę kredytową.

- W takim razie przyznaję, że ma ku temu słuszne powody.

- Nie napije się nawet piwa z browaru w Milwaukee, bo boi się, że robią je Niemcy.

Droga na pustynię Anza-Borrego okazała się długą, przyjemną i odprężającą przejażdżką. Szosa wiała się pośród gajów i szczytów górskich oraz zacisznych osiedli Ramony i Santa Ysabel. Lloyd zrobił w Julian postój na piwo i cheeseburgera, by zaraz potem przekroczyć skraj porośniętej zakurzoną kolczastą roślinnością pustyni.

Po drodze nastawił wybraną przypadkowo taśmę z hałaśliwym rock'n'rollem z czasów Woodstock: Country Joe and the Fish, The Doors, Captain Beefheart and his Magic Band. Przywiodło mu to na pamięć wspomnienia ze szkoły handlowej: kosmate bokobrody, poszerzane u dołu dzinsy, dziewczęta w minispódniczkach z łańcuszkami wokół bioder i długimi lśniącymi włosami. Jego pierwszy samochód (volkswagen garbus z wymalowanym na drzwiach symbolem pokoju). Jego pierwszy skręt (do Rygi). Całonocne przesiadywanie ze skrzyżowanymi nogami w wytapetowanym plakatami mieszkaniu kolegi przy tanim winie i rozmowach o Sensie Istnienia oraz Byciu Sobą, Człowieku i jak to oni wszyscy wyjadą sobie

razem do Londynu i zobaczą, jakie tam to jest życie.

Sensu Istnienia przestał szukać już dawno temu. Odkąd zaczął pracować, nie miał na to za bardzo czasu. Co do Bycia Sobą, to odkrył, jakie to niewiarygodnie łatwe, gdy tylko zaprzestał prób Bycia Kimś Innym (na przykład Paulem Newmanem z Cool Hand Luke albo George'em Peppardem z The Carpetbaggers). Nigdy nie udało mu się dotrzeć do Londynu, lecz obawiał się, że skoro era Swingujących Lat Sześćdziesiątych dawno już się skończyła, Londyn prawdopodobnie niewiele będzie się różnił od każdego innego miasta, wszędzie te same restauracje Burger King i samochód za samochodem - a życie tam nie jest lepsze niż w Indianapolis, Pittsburghu czy San Francisco.

Przypomnił sobie, jak to po raz pierwszy zobaczył Celię na owym pamiętnym obiedzie dobroczynnym w zajeździe Rancho Bernardo. Wyszła z drzwi restauracji El Bizcocho i słońce zabłysło w jej włosach niczym znak zesłany z nieba. Oto i ta, która ci jest przeznaczona, Lloyd, oto i ona; nawet puścimy ci na nią światełko, żeby nie było żadnej pomyłki.

Poczuł skurcz w gardle i pociągnął nosem. Tęsknił za nią, o Boże, jak za nią tęsknił. W schowku na rękawiczki znalazł papierową chusteczkę i głośno wydmuchał nos.

Do tej pory martwił się, że nie będzie łatwo znaleźć miejsce, gdzie spalił się autobus, lecz oto wjechał na grzbiet wzniesienia i już było widać poczerniały szkielet, jakieś pięćdziesiąt metrów po jego lewej stronie, bardziej jak wykonany węglem szkic autobusu niż prawdziwy autobus.

Wrak był wzruszająco udekorowany mnóstwem białych wstążeczek, powiązanych w powiewające na wietrze kokardy - hołd złożony przez krewnych i przejezdnych automobilistów ludziom, którzy w nim zginęli. Stał teraz koło niego zaparkowany samotny samochód, odkryty czerwony camarro.

Lloyd odsunął do tyłu dach BMW i powoli pojechał na przelaj przez zarośla. Zaparkował niedaleko camarro i wysiadł. Wiatr zwiewał biały pył z jego opon i miękko gwizdał na antenie radiowej. Lloyd podszedł do autobusu i stanął wpatrując się w niego, w ten najsmutniejszy ze wszystkich nagrobków, jakie kiedykolwiek widział.

Gdy tak stał, zza autobusu wyszła młoda kobieta. Była wysoka, ciemnowłosa i miała na sobie krótką czarną sukienkę. Podeszła do niego.

- Cześć - rzekła. - Pan jest krewnym?

Lloyd potrząsnął głową.

- Tylko przyjacielem.

- Co za tragedia - powiedziała młoda kobieta. Nosila szerokie okulary

przeciwsłoneczne i Lloydowi trudno byłoby powiedzieć coś na temat jej urody. Lecz miała wysoko osadzone kości policzkowe i mocny zarys szczęki, ów rasowy wygląd cechujący tak wiele dzieci przystojnych kalifornijskich rodziców. Miała duże piersi, lecz bardzo wąskie biodra i to, co parający się polityką przyjaciel Lloyd'a nazwał kiedyś nogami Komisji Kongresowej - co innymi słowy miało oznaczać, iż ciągnęły się i ciągnęły, i człowiek miał wrażenie, że nigdy się nie skończą.

- Nie wydaje mi się - powiedziała nieobecnym głosem - bym pragnęła to zobaczyć. Ale w końcu musiałam. To było tak jak z oglądaniem zwłok Mike'a. Wydawało mi się, że nie zdołam tego wytrzymać. Ale wytrzymałam i przynajmniej nie będę mieć koszmarów usiłując wyobrazić sobie, jak on wyglądał, ze świadomością, że nigdy się tego nie dowiem.

- Mike? - zapytał Lloyd.

- Mike Kerwin, mój mąż. Jestem Kathleen Kerwin. Podali sobie ręce.

- Lloyd Denman. Proszę przyjąć moje kondolencje. To musiał być dla pani straszny wstrząs.

Skuliła ramiona, by pokazać, jaka czuje się bezbronna.

- Pracowałam w swoim sklepie, gdy weszło dwóch policjantów i powiedziało, że on nie żyje. Nie mogłam tego zrozumieć. Nie wiem nawet, skąd wziął się w tej okolicy.

- Skąd się wziął? - podjął Lloyd. - W tym autobusie była moja przyjaciółka... hm, to jest przyjaciółka mojej narzeczonej... hm, przyjaciółka mojej zmarłej narzeczonej. Pracowała w zespole Opery San Diego. Tak samo nikt nie ma pojęcia, co tu, do cholery, robiła.

- Cały czas wygadują na ten temat w telewizji różne rzeczy - powiedziała Kathleen. - A to że podejrzewa się masowe zabójstwo dokonane przez kolumbijskie gangi. A to że to zbiorowy akt samobójczy. Lecz Mike nie miał nic wspólnego z narkotykami. Był kierownikiem w San Diego Federal. I był taki szczęśliwy...

- Nie ma pani nic przeciwko temu, żebyśmy porozmawiali o tym? - zaproponował Lloyd. - Próbuję na własną rękę prowadzić małe śledztwo, usiłując wykryć, co się właściwie stało. Może pani mogłaby mi pomóc.

- No cóż, oczywiście - odrzekła. - Czy jest pan prywatnym detektywem albo kimś w tym rodzaju?

- Ależ skąd. Prowadzę restaurację rybną. Niemal udało jej się uśmiechnąć.

- Chciałby pan porozmawiać teraz czy później? Bardzo tu gorąco.

- Prawdę mówiąc, przyjechałem tu w poszukiwaniu pewnego indiańskiego chłopca - rzekł Lloyd. - W gazetach napisali, że był jedynym świadkiem pożaru. Zastanawiałem się, czy istnieje jakaś szansa, że dostarczy mi jakiejś poszlaki, która pomogłaby mi dowiedzieć się,

kto to zrobił.

Kathleen rozejrzała się dookoła, jakby spodziewała się zobaczyć stojącego w pobliżu indiańskiego chłopca.

- Czy nie rozmawiała z nim policja?

- Och, pewnie, że rozmawiała. Ale nie mam zbytnej pewności, czy zadawano mu odpowiednie pytania. Na mój gust, to dzieje się tu coś więcej niż widać na pierwszy rzut oka. Chcę przez to powiedzieć, że cała ta sprawa ma kilka bardzo dziwnych aspektów. Na przykład pani mąż. Pani wie, że nie był handlarzem heroiną ani potencjalnym samobójcą. Marianna, ta dziewczyna z opery, również, nie ma co do tego dwóch zdań. Skąd się w takim razie wzięli oboje tutaj, w stojącym na pustyni autobusie, sprowadzając na siebie śmierć w płomieniach?

- Policja powiedziała mi, że żadne z nich nawet nie próbowało uciekać - rzekła Kathleen bezbarwnym głosem.

- No cóż, to prawda, nikt nie uciekał. Po prostu siedzieli i przyglądali się, jak płoną.

Na chwilę zapanowała cisza wśród rozpalonej jak piec pustyni. Tylko podmuchy wiatru wzdychały w poczeriałym od sadzy wraku autobusu i poruszały białymi wstążeczkami.

- Pomyślałem, że pojedę kawałek drogą i zobaczę, czy nie uda mi się wpaść na ślad tego indiańskiego chłopca - powiedział Lloyd. - Może pojechałaby pani ze mną? Na pewno nie mieszka daleko; jest niewidomy.

Kathleen spojrzała ze zdumieniem na Lloyda.

- Ależ jeśli jest niewidomy...?

- On nic nie widział, on tylko słyszał. Może słyszał coś więcej, trzeba tylko, żeby sobie przypomniał. Tak czy owak, warto spróbować.

- W takim razie w porządku - zgodziła się Kathleen. - Ale muszę jeszcze coś zrobić. To potrwa tylko chwilę.

- Bardzo proszę - powiedział Lloyd.

Podczas gdy czekał, poszła do swojego samochodu, otworzyła bagażnik, wyjęła wieniec z białych jedwabnych wstążek i takich samych kwiatów. Przez środek napisane były słowa: „Michael Kerwin, Mój Ukochany Mąż. Niechaj żyje na wieki”. Podeszła do autobusu i przywiązała go na przedzie. Potem opuściła na chwilę głowę w niemym pożegnaniu.

Przejechali nie więcej niż półtorej mili, gdy po lewej natknęli się na odchodzącą pod kątem ostrym drogę. Wyblakły na słońcu drogowskaz pokazywał, że w kierunku północno-



zachodnim znajduje się „benzyna, żywność oraz indiański fax-radiotelefon”. Lloyd skręcił i Kathleen w camarro poszła jego śladem.

Jechali grzbietem pasma porozrzucanych szeroko pagórków, czasami zniżając się aż do poziomu cienistych arroyo, by zaraz potem powrócić do góry na słońce. Przebywszy jakieś trzy kilometry, ujrzeli w oddali stację benzynową ze stojącym tuż obok niewielkim budynkiem przypominającym stodołę, za którym mieściła się kolekcja zdezelowanych przyczep i wozów campingowych. Szyld głosił: „Wypożyczalnia przyczep”. W górze kręciły się wiatraki trzech pomp wodnych, dookoła zaś włóczyły się bezpańskie psy.

Zbliżając się, minęli wielką, ręcznie malowaną tablicę, reklamującą „Oryginalne Pamiątki Pechanga Indianina Jacka. Piwo Hot Dogi Koce Paciorki. Turkusowa Bizuteria. Wypożyczalnia wideo”.

Zatrzymali się przed budynkiem podobnym do stodoły, którego podwójne wrota były otwarte na oścież i niczym przydrożna kapliczka obwieszone pióropuszcami, siodłami, kocami w jaskrawych kolorach, fajkami pokoju, lassami, kowbojskimi spodniami i wszelkiego rodzaju śmieciem sprzedawanym jako pamiątki przez Indian. Zardzewiały automat do coca-coli podrygiwał z hałasem u wejścia, a nieco dalej, uwiązany na długim łańcuchu, jak gdyby mógł spróbować ucieczki, stał na jednej nodze staroświecki automat z gumą do żucia, do połowy wypełniony wyblakłymi na słońcu kuleczkami.

Chłopiec w ciemnych okularach, o czarnych włosach sięgających ramion, którego nie można było jeszcze nazwać nastolatkiem, siedział na bujanym fotelu przy wejściu, paląc papierosa i słuchając z walkmana Prince'a. Od hałasu wydawanego przez When Doves Cry musiały pękać mu bębny w uszach, gdyż Lloyd usłyszał muzykę już z odległości trzech metrów.

- Poszukuję chłopca zwanego Tony Express - powiedział Lloyd.

Chłopak skrzywił się, nie zdejmując z uszu słuchawek.

- Zdaje się, że cię nie słyszy - zasugerowała Kathleen. Lloyd zrobił krok do przodu, podniósł lewą słuchawkę i wrzasnął mu do ucha:

- Poszukuję chłopca zwanego Tony Express! Chłopak zdjął słuchawki i z pretensją potarł ucho.

- Cholera, człowieku, może jestem ślepy, ale z pewnością nie głuchy.

- Przepraszam - powiedział doń Lloyd. - Ty pewnie jesteś Tony Express!

- Nawet jeżeli tak, to co ci do tego?

- To, że właśnie ciebie szukam.

- No cóż, człowieku, w takim razie mnie znalazłeś. Czego chcesz?

- Pomocy w pewnej sprawie, to wszystko.

- A jakże! A może byś tak kupił parę naprawdę zgrabnych mokasynów, gwarantowana ręczna robota? Albo przybory do fajki wykonane z prawdziwej kości, albo drewnianą kołyskę? Te kołyski wyglądają ekstra, rozumiesz, możesz je wypełnić kompozycją z suchych liści i powiesić w kuchni na ścianie. Całą ich kupę sprzedałem firmie Cannell & Chaffin.

- Cannell & Chaffin, dekoratorzy wnętrz. - Lloyd popatrzył na Kathleen ze zdumieniem. - Wierzy pani temu chłopakowi? - spytał ją. - To ci dopiero przedsiębiorczy Pechanga.

- Trzeba być na fali, człowieku - odparł Tony Express. - Może lalkę tańca słońca?

Pomacał z jednej strony fotela i podniósł długi kij udekorowany skórą i futrem, ogonami wiewiórczymi i paciorkami. Na jego końcu wymalowane było niewielkie, wykrzywione złością oblicze.

- Do czego to służy? - zapytała Kathleen.

- Zapewnia ci zemstę, jeśli ją odpowiednio poprosisz.

- Kto tu coś mówił o zemście? - powiedział Lloyd. Tony Express wybuchnął wysokim, załamującym się śmiechem.

- Nikt nic nie mówił o zemście, człowieku. Bo nie musiał. Nie przyszliście tu, żeby coś kupić, co to, to nie, bo zaraz zaczęlibyście mnie pytać, po ile koce albo czy przyjmuję karty VISA, albo występować z tekstem: „Popatrz, kochanie, na tę wspaniałą koszulę tańca deszczu; mogłabym ją zakładać do gry w golfa”.

- Zapatrujesz się na ten świat dość sceptycznie, nieprawdaż? - zapytał go Lloyd, już w następnej chwili żałując użycia słowa zapatrujesz.

- Co to znaczy „sceptycznie”?

- Gorzko, bez złudzeń - wyjaśnił Lloyd. Tony Express uśmiechnął się.

- To dlatego, że go nie widzę, człowieku. Nie widzę jego barw i nie widzę jego fałszywie kolorowego oblicza. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co to jest kolor.

- A więc co to miało znaczyć z tą zemstą?

- To ty mnie powinieneś powiedzieć, człowieku. To ty przybyłeś jej tu szukać. Nie chcesz nic kupić, a więc z pewnością chcesz porozmawiać. A kto przyjeżdża taki kawał drogi aż tu, do Zadupia Górnego, zagranicznym samochodem po to tylko, żeby porozmawiać z jakimś ślepym indiańskim chłopakiem o pogodzie albo o tym, jak trudno znaleźć w dzisiejszych czasach dobrego pracownika? Daj spokój, człowieku, bądź poważny. Przyjechałeś tu porozmawiać o jednym jedynym wydarzeniu, które zaszło tu w ciągu ostatnich dwudziestu lat, człowieku, o pożarze tego autobusu i o śmierci tych ludzi.

- Mógłbym być policjantem - zasugerował Lloyd.

- E, tam - odparł Tony Express. - Nie jesteś gliną, bo gliniarze nie jeżdżą zagranicznymi samochodami ani nie używają drogiej wody po goleniu. Musisz być zatem inspektorem ubezpieczeniowym albo krewnym któregoś ze zmarłych. A skoro nie przedstawiłeś się zaraz po przyjeździe: „Słuchajcie, nazywam się Buc-Bucwiński i reprezentuję Towarzystwo Ubezpieczeniowe Czeka, Tatka & Latka sp. z o.o.”, sądzę, że jesteś krewnym. A kiedy ktoś zostanie zabity, czegoż to krewni pragną ponad wszystko, a szczególnie w naszym judeochrześcijańskim społeczeństwie? Pragną zemsty. Masz tu lalkę tańca słońca, trzydzieści sześć dolców plus podatek.

Lloyd potrząsnął głową i rzekł do Kathleen:

- Ten facet jest taki ostry, że jeszcze kiedyś się zarżnie. Jak to się stało, że wiesz, co to „judeochrześcijański”, a nie wiesz, co to „sceptycznie”?

Tony Express popukał się palcem po nosie.

- „Judeochrześcijański” było w telewizji, człowieku. Ten oto dzielny wojownik zawsze był dobry w słuchaniu.

A kiedy potrafisz słuchać... kiedy naprawdę potrafisz słuchać... możesz powiedzieć, co się dzieje, dokładnie i ze szczegółami. Nikt ci nie wciśnie ciemnoty do oczu, człowieku, bo nie masz oczu, do których mógłby ją wcisnąć. Słyszałem silnik twojego samochodu, człowieku, i powiem ci, że to zagraniczna maszyna, sześciocyndrowa i górno-zaworowa, a gdybyś go zostawił jeszcze przez chwilę na chodzie, byłbym ci powiedział, jakie masz naklejki na zderzakach. W gruncie rzeczy mogę ci powiedzieć już teraz; masz nalepkę z napisem: „Chrońcie wieloryby”.

- Jeżeli o to chodzi, to napis brzmi: „Nie hamuję na widok niewidomych mądrali” - zaripostował Lloyd.

Tony Express wykrzywił wargi.

- No dobra, człowieku, przepraszam. Znowu za dużo trzaskam dziobem. To mi się czasami zdarza. Albo miewam humory i nie odzywam się tygodniami do nikogo, albo dostaję takiego słowotoku. Problem w tym, że za dużo czasu spędzam samotnie. Zdaje się, że jestem również jak na swój wiek nadmiernie wykształcony. Przez cały dzień słucham radia, a przez większą część nocy... telewizji. Co innego mam do roboty? Nauczyciel mówi, że jestem błyskotliwy, ale krnąbrny.

- Masz naprawdę dwanaście lat? - zapytał go Lloyd. Tony Ekspress skinął głową.

- Skończone, idzie mi na trzynasty.

- W takim razie jesteś za młody na papierosy. Czy twój ojciec pozwala ci palić?

- Ojciec wyjechał w interesach. Innymi słowy... unika spotkania z glinami. Opiekuje się mną dziadek. John Tępy Nóż. Mieszka w tej starej przyczepie na tyłach koło płotu.

- Masz coś przeciwko temu - rzekł Lloyd - bym ci zadał kilka pytań na temat dnia, w którym spłonął autobus?

- Nie ma sprawy; ile na tym można zarobić? Dziesiątaka?

- W porządku.

Kathleen zdążyła już przycupnąć na balustradzie przed sklepem. Lloyd przyciągnął pustą baryłkę i usiadł.

- W gazecie było napisane, że słyszałeś czyjś głos w czasie pożaru.

- Tak było - zgodził się Tony Express. - Cały czas powtarzał „June, już!” i „June, już!”

- A czy możliwe jest, że nie mówił „June, już”, tylko „Junius”?

Tony Express nieznacznie przechylił głowę.

- Powiedz to jeszcze raz, człowieku.

- Junius. Junius, tak jak jakieś imię.

- Jeszcze raz, człowieku.

Lloyd powtórzył to sześć lub siedem razy. Wreszcie Tony Express podniósł do góry rękę z obgryzionymi paznokciami na znak, że ma już przestać.

- No i? - zapytał Lloyd.

- Masz rację - powiedział Tony Express. - To był „Junius”. Powiedziałem „June, już!” dlatego, że nigdy przedtem nie słyszałem imienia Junius.

- Jesteś tego pewny?

- Absolutnie. Zeznałbym to pod przysięgą.

- A teraz... to może być trudniejsze... - mówił Lloyd - czy mógłbyś sobie przypomnieć, czy powiedział coś jeszcze? Jakieś niewyraźne słowa? A może zaśpiewał? Czy powiedział coś w obcym języku?

Tony Express zastanowił się, a potem z wolna potrząsnął głową.

- Nie wydaje mi się, człowieku. Tyle było różnych hałasów, kiedy ten autobus płonął. Huki, trzaski. Zupełnie jakbyś wsadził głowę w miskę płatków ryżowych.

Lloyd aż zachnął się, rozczarowany.

- A więc nic takiego nie miało miejsca?

- Hmm... tylko jedno. Ale nie mam pewności, człowieku. Co do tego, to bałbym się przysiąc.

- Powiedz mi tak czy owak.

- Gdy autobus już przez dobrą chwilę się palił, zdawało mi się, że słyszę trąbienie albo

coś w tym rodzaju. Prawdopodobnie, rozumiesz, kierowca przewrócił się na klakson, albo stopiły się przewody sygnału dźwiękowego.

- Jeszcze jedno - poprosił Lloyd. - Gdybyś znowu usłyszał głos tego mężczyzny, co mówił „Junius”, jak sądzisz, mógłbyś go zidentyfikować? Potrafiłbyś wskazać go pośród innych i powiedzieć: „Tak, to jest właśnie ten facet”? Tony Express ani na chwilę się nie zawahał.

- W każdej chwili. Kiedy tylko chcesz.

- Wydaje się, że jesteś bardzo pewny siebie w tej sprawie - wtrąciła Kathleen.

- Mam pamięć fonograficzną - odparł Tony Express. - Potrafię zapamiętywać dźwięki z absolutną dokładnością. Mój nauczyciel mówi, że to niesamowite. Nie bardzo wiem, co w tym takiego niesamowitego, zwłaszcza że nie widzę. Mam również nos potwornie wyczulony na zapachy. Wczoraj wieczorem jadłem czosnek.

- Co takiego? - zachnął się Lloyd.

- To był tylko żart, człowieku. Lecz jeśli znajdziesz tego frajera, potrafię go odróżnić wśród innych.

- Świetnie - odpowiedział Lloyd. - To wspaniale. Tutaj masz swojego dziesiątaka, a tu jest jeszcze jeden, żeby temu pierwszemu nie było smutno. Jak uważasz, gdyby udało mi się kiedyś odnaleźć tego faceta, mogę do ciebie zadzwonić i poprosić o zidentyfikowanie jego głosu?

- Jasna sprawa. Myślisz, że to on podpalił autobus?

- Nie mam całkowitej pewności, ale wszystko zaczyna na to wskazywać. Oto... oto moja wizytówka. To restauracja w La Jolla. Przez większość czasu mnie tam nie będzie, ale jeśli zapytasz o Walda, on ci we wszystkim pomoże.

- Waldo, ehm - powiedział z widocznym sceptycyzmem Tony Express. - Jak w tych filmach z panem Magoo?

- Właśnie, jak u pana Magoo.

- Wiesz, jaki kłopot miał pan Magoo, co, człowieku? - zapytał Tony Express. - Patrzył i patrzył, i ciągle nie mógł zobaczyć.

## ROZDZIAŁ 12

Joe North wrócił do swego mieszkania nad restauracją Uśmiech Sashimi przy West Washington Street krótko po siódmej. By dostać się do drzwi wejściowych, musiał przepchnąć się przez rozgadany i nieskory do pomocy rząddek przyszłych konsumentów, którzy już stali na ulicy, oczekując na wolny stolik. Uśmiech Sashimi był jedną z najtańszych i najpopularniejszych japońskich restauracji na całym Hillcrest, choć po trwającej miesiąc feccie, jaka miała miejsce po otwarciu, Joe niemal się tam nie pokazywał.

Marianna zawsze robiła na ten temat ryzykowne dowcipy.

- Masz za dużo tempura-mentu - lubiła się z nim drażnić.

Zamknął za sobą drzwi na ulicę (pomalowane na czerwono, by pasowały do barw restauracji) i wspiął się wąską klatką schodową na pierwsze piętro. Światło było zepsute i musiał wymacywać sobie drogę w ciemnościach, niosąc ciężką siatkę z zakupami przewieszoną przez rękę.

Wcale się nie zdziwił, że nie było światła. Wysłał już imię i nazwisko właściciela domu, pana Pulsa, do Księgi rekordów Guinnessa jako najbardziej skąpego sukinsyna na całym bożym świecie. Pan Puls uważał, że skoro w umowie najmu nie jest specjalnie zaznaczone, że lokator ma prawo widzieć, dokąd chodzi, w takim razie on nie jest prawnie zobowiązany do dostarczania żarówek.

- A gdyby pan miał krótki wzrok, to musiałbym panu kupić okulary? - zawsze wykrzykiwał.

Na piętrze Joe po omacku szukał drogi, póki nie znalazł drzwi. Musiał sobie postawić torbę z zakupami na stopach, by z wielkim trudem wyciągnąć klucz i wsadzić go do zamka.

Wciągnął powietrze nosem. Uznał, że na schodach panuje jakiś dziwny zapach, niby spalenizny. Był przyzwyczajony do woni sukiyaki i teriyaki, raz nawet cała kuchnia na dole stanęła w płomieniach. Z mieszkania Joego wszystkie te wrzaski, hałasy i trzaskanie drzwiami brzmiały niczym zatonięcie pancernika „Musashi” w zatoce Leyte, w budynku zaś jeszcze przez całe tygodnie śmierdziało przypalonym puree z fasoli.

Ale ten zapach był inny. Przywodził na myśl przegrzane kaloryfery albo saunę. Ten zapach był suchy. Nie oleisty, nie dymny. Joe nie potrafił go nijak określić. Niczego podobnego nigdy w życiu nie wąchał.

Wszedł do środka i zapalił światło. Drzwi zamknął za sobą kopnięciem. Mieszkał nad Uśmiechem Sashimi, kiedy jeszcze była to meksykańska restauracja Siete Mares, a przecież

był w końcu zastępcą asystenta scenografa Teatru Miejskiego. Cały czas powtarzał sobie, że powinien przeprowadzić się w przyzwoitsze miejsce, gdzieś wyżej na wybrzeżu, ale jakoś nigdy nie było na to czasu. Ani pieniędzy. Nawet tu za kawalerkę, prysznic i kuchnię tak małą, że musiał wychodzić do przedpokoju, kiedy chciał otworzyć drzwi od piekarnika, płacił więcej niż jego matka w Minnesocie za cały dom z trzema sypialniami.

Tylem wepchnął się do kuchni i postawił na blacie zakupy. Mrożona lasagne, duża torba chrupek serowych, tuzin jabłek, nitki do czyszczenia zębów o smaku cynamonowym, program telewizyjny i butelka chianti. Miał zatem wszystko, czego potrzebował do życia, a może zaledwie wszystko, co potrzebne jest do życia w samotności?

Rozerwał opakowanie lasagne i wstawił ją do kuchenki mikrofalowej, by się rozmroziła. W dalszym ciągu wyczuwał ten dziwny zapach przegrzania. Może kucharze z dołu zostawili coś przez przypadek zbyt długo nad ogniem? Może to olej napędowy z bazy marynarki albo paliwo samolotowe z lotniska?

Trzaskając kuchennymi szufladami przebijał się przez ławicę przyborów kuchennych, póki nie znalazł otwieracza. Odkorkował butelkę chianti i nastawiając lewą ręką kuchenkę mikrofalową, prawą nalał sobie spory kieliszek. Pod nosem nucił murmurando urywki z Madame Butterfly.

Wchodząc do pokoju i zapalając światło, w dalszym ciągu mruczał.

Upuścił kieliszek z winem na dywan. Słyszał, jak upada na ziemię i toczy się po podłodze, lecz nawet nie spróbował go pochwycić ani popatrzeć pod nogi.

Na brzegu łóżka, całkowicie wyprostowana, trzymając ręce na kolanach, siedziała Marianna. Na tle krzykliwej czerwieni i żółci meksykańskiego koca, którym przykryte było łóżko, wyglądała bezbarwnie i surowo. Włosy miała wsunięte pod czarny берет. Nosila okulary przeciwsłoneczne, prochowiec z czarnym paskiem i czarne pończochy. Twarz miała szarą jak popiół.

- O Jezu - powiedział Joe. - O Jezu, mam zwidy. Odwrócił się do tyłu i wszedł z powrotem prosto do kuchni. Popatrzył na górną połowę twarzy w lusterku opartym o wierzchołek kalendarza Uśmiechu Sashimi na rok 1991. Górna połowa twarzy odpowiedziała mu spojrzeniem weneckiej maski karnawałowej. Pustym, odświętnym i zupełnie niekomunikatywnym w swoim okrucieństwie.

- Widziałem Mariannę siedzącą na łóżku - powiedział patrząc sobie w oczy. Te wpatrywały się weń i nawet nie mrugnęły.

- Marianna nie żyje, a ja dopiero co wszedłem do drugiego pokoju i ona tam siedziała na brzegu łóżka, przyglądając mi się zza ciemnych okularów.

Dygotał. Nigdy jeszcze, od czasu kiedy to w drugim roku pobytu w San Diego złapał wirusa grypy hongkong i o mało nie umarł, nie miał takich strasznych dreszczy.

- Ona tam była! - wrzasnął do lustra, waląc pięścią w blat kuchenny tak silnie, że nitki do czyszczenia zębów spadły na ziemię. - Wszedłem do pokoju i ona tam była! Ukrył twarz w dłoniach. Śmierć Marianny wstrząsnęła nim i wytrąciła go z równowagi. Mimo że nie zawsze układało się między nimi najlepiej, miał ciągle świadomość, że Marianna jest na miejscu, że w każdej chwili może do niej zadzwonić, złożyć jej niespodziewaną wizytę, nawet gdyby miała kazać mu się wynosić. Dopiero wtedy, gdy bezpowrotnie zeszała z tego świata, był w stanie docenić siłę uczuć, które wobec niej żywił. Podobnie nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo będzie ci brakowało zęba, póki dentysta nie wyrwie go i nie zostaniesz z dziurą w dziąśle wielką jak wieża Eiffla, i nie będziesz mógł przez miesiąc jeść pizzy.

- Nic ci cię nie przyśniło, Joe - powiedział łagodny głos.

- Widzicie, a teraz słyszę głosy - powiedział sam do siebie Joe opuszczając ręce. - To tylko szok, prawda? Przez cały czas nie dopuszczałem myśli o szoku. Ale gdy teraz porozmawiałem o tym z Lloydem, tama pękła. To już nie żaden szok. Po prostu mam zwidy i słyszę głosy.

- Joe - powiedział głos, ubawiony.

Szttywno pokręcił szyją. Marianna stała w drzwiach, w swych nieprzeniknionych okularach, berecie wciśniętym na bakier i z rękami w kieszeniach prochowca.

- Ty naprawdę istniejesz - powiedział. Uśmiechnęła się i zrobiła krok do środka. Znowu poczuł zapach gorąca; suchego, metalicznego żaru.

- Oczywiście, że istnieję naprawdę, Joe. Jestem teraz prawdziwsza, niż byłam kiedykolwiek przedtem.

- No to... ehem... doskonale! Co to takiego ma znaczyć... prawdziwsza?

- Czy nigdy mnie nie kochałeś? - spytała Marianna. - Nie pamiętasz tych czasów, kiedy jeździliśmy do Meksyku? Tańczyliśmy w Tijuana Tilly's? Objadaliśmy się mixiotel? Śmiaaliśmy się i piliśmy razem? Pamiętasz tę noc w Popotla?

- Umarłaś w tym autobusie - odrzekł jej Joe. Odwróciła głowę.

- Spaliłam się, Joe, ale nie umarłam.

- Wszyscy w tym autobusie poumierali, Marianno. Z tobą włącznie. Doświadczam teraz pewnego rodzaju omamów, spowodowanych przez opóźnione działanie szoku. Słyszysz mnie, Joe? Masz halucynacje.

- Nie, Joe - powiedziała Marianna. - Ja istnieję. Ja istnieję naprawdę i będę istnieć wiecznie.



Przypatrzył się jej. Pomimo swego wrodzonego sceptycyzmu zaczynał wierzyć, że nie - ona nie umarła, i że tak - naprawdę istniała. Z wolna wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

- Czuję cię - powiedział bardziej jednak do siebie niż do niej.

- Owszem, czujesz mnie. Jestem prawdziwa.

- I wieczna?

- Tak.

- A więc Otto mówił nam wyłącznie prawdę?

- Tak, Joe. Otto mówił nam wyłącznie prawdę.

Joe podłożył dłoń pod brodę i oparł łokieć na blacie kuchennym, jak gdyby nie wiedział, co na to odrzec.

- Powiedziałaś Lloydowi o Ottonie? - zapytała Marianna. W dalszym ciągu czuł od niej żar. Żar, żar i żar. Zupełnie jakby stał koło elektrycznego kominka.

- Nie wierzę w to - zaprotestował Joe. - Nie jesteś prawdziwa. To niemożliwe.

- Joe, wszystko stało się łatwe, skoro tylko raz skoczyłam na głęboką wodę. Skoro tylko raz okazałam wiarę. Jestem teraz czysta, Joe, oczyszczona. Nic oprócz duszy i dymu.

Joe powiedział:

- Chyba zwariuję. Posłuchaj... zamierzam zaraz stąd wyjść. W porządku? Mam zamiar wyjść na chwilę z tego mieszkania i jeśli jesteś prawdziwa, będziesz tu jeszcze, kiedy wrócę. Lecz jeśli nie jesteś... cóż, nie bardzo wiem, co wtedy. Będę musiał się nad tym zastanowić. Kirsty McLaren twierdzi, że ma bardzo dobrego psychoanalityka.

- Joe - rzekła Marianna. - Jestem prawdziwa.

- Pewnie, że jesteś. Pewnie, że prawdziwa. Tak samo jak Kaczor Duffy jest prawdziwy i Batman jest prawdziwy, i Struś Pędziwiatr. Są na pewno prawdziwi: można ich zobaczyć w telewizji.

- Joe... - robiąc krok do przodu rozpoczęła Marianna. Joe zacisnął pięści i ryknął na nią niczym rozzłoszczony dwulatek:

- Niech to szlag, Marianno! Boję się! Ty mnie przerażasz! Ty nie żyjesz, ale przecież tu jesteś!

- Cśśś, Joe, w porządku. Wszystko idzie świetnie. Jestem duszą i dymem i czuję się absolutnie świetnie.

- Zadzwońię do Lloyd'a.

- Nie, Joe, nie dzwoń do Lloyd'a.

- Jezus, Marianno, to obłąd. Będę musiał zadzwonić do Lloyd'a.

- Powiedziałaś Lloydowi o Ottonie?

- Oczywiście, że powiedziałem. A co ty myślałaś? Zapach nasilił się jeszcze bardziej. Joemu było tak gorąco, że pot zalewał mu czoło i piekł go w oczy. Przez cały czas cofał się przed Marianną, ona zaś okrążała go i przysuwała się bliżej, okrążała i przysuwała, aż Joego nawiedziło przeczucie, że nigdy się od niej nie uwolni.

- Kiedy opuszczałeś grupę, Joe - powiedziała Marianna - Otto kazał ci obiecać, że nikomu nie powiesz. Nie pamiętasz? Złożyłeś przysięgę.

- To nie była żadna przysięga.

- Położyłeś rękę na Księdze Salamandry i przyrzekłeś nikomu nie mówić.

Joe odpowiedział urywanym śmiechem.

- Posłuchaj, daj spokój. Księga Salamandry to niezupełnie to samo co Biblia.

- Owszem, niezupełnie. Jest potężniejsza niż Biblia. Biblia stwierdza jedynie, że w życiu zdarzają się cuda, Księga Salamandry mówi, czym są te cuda i w jaki sposób można je osiągnąć.

- Gówno prawda. Marianna potrząsnęła głową.

- Nie bluźnij, Joe. Zdążyłeś już złamać uroczystą przysięgę. Nie bluźnij na dodatek.

- Może dla ciebie to bluźnierstwo, dla mnie to bzdury.

Wyciągnął rękę do telefonu, lecz Marianna chcąc go powstrzymać, chwyciła go za nadgarstek. Rozległo się ostre skwierczenie palących się włosków oraz przypiekanej skóry i Joe wydał z siebie ryk bólu:

- Aaaaachhhh! Chryste! Aaaaachhh! Wyrwał rękę z uścisku i podniósł do góry. Palce Marianny wypaliły wokół jego nadgarstka pięć szkarłatnych pasków. W miejscach tych skóra zakwitała już rojem pęcherzy.

Wstrząśnięty, sztywnym, powolnym krokiem ruszył do kuchni i odkręcił do oporu kran. Trzymał nadgarstek pod zimnym strumieniem, póki przyprawiające o utratę zmysłów pieczenie nie zelżało do poziomu tępego bólu. Marianna podeszła i przyglądając się stała obok niego. Jej szara twarz była zupełnie pozbawiona emocji. Nie dało się odgadnąć, czy jest zadowolona, czy też jej przykro.

- Wynoś się stąd, do cholery! - powiedział Joe roztrzęsionym głosem.

- Musisz dochować przysięgi, Joe. Nikomu ani słowa. W przeciwnym wypadku wszyscy znajdziemy się w niebezpieczeństwie.

- Niebezpieczeństwie? Jakim niebezpieczeństwie? Chryste, w jak sposób mnie tak poparzyłaś?

Marianna znów wyciągnęła do niego rękę, lecz zdążył się cofnąć.

- Tylko z daleka ode mnie, zgoda? Tylko nie podchodź. Lecz Marianna przez cały czas

przysuwała się coraz bliżej, teraz zaś z wolna odpięła górny guzik prochowca. Joe wycofał się na drugi koniec kuchni, ani na chwilę nie odrywając od niej wzroku. Na oślep wymacał ręką blat, a potem uchwyt szuflady. Gdy Marianna odpinała drugi guzik, a w ślad za nim trzeci, zdołał otworzyć szufadę i zaczął w niej grzebać w poszukiwaniu kuchennego noża.

- Joe... o ile przyrzekniesz, że dochowasz przysięgi... wszystko będzie dobrze. Ale musisz przyrzec.

Odpięła ostatni guzik prochowca i jednym ruchem ramion zrzuciła płaszcz na ziemię. Pod spodem była naga, a jej skóra lśniła perłową szarością. Drobne piersi o ciemnych sutkach były takie same, jak je Joe zapamiętał. Tak samo krągły brzuch i ciężkie uda. Emanował z niej jednak matowy podskórny blask, który kojarzył mu się wyłącznie ze śmiercią. Jako chłopiec Joe widział wyciągniętego z Cahokia Canal we Wschodnim St. Louis topielca i jego skóra świeciła tą samą przygaszoną zgnilizną.

W taliu Marianna ściągnięta była szerokim czarnym pasem tak mocno, że jej ciało wylewało się spod niego dołem i górą. Sprzączka miała kształt jaszczurki wpisanej w okrąg.

- Joe, nie pocałujesz mnie tak jak dawniej? Nie przytulisz się do mnie?

- Tylko się, kurwa, nie zbliżaj - ostrzegł ją Joe. Jego palce zacisnęły się na najostrzejszym z noży do obierania warzyw i poczuł, jak kaleczy mu on rękę. Uchwycił go za rękoność, wyciągnął z szuflady i począł zataczać nim łuki przed twarzą Marianny. Krew z poparzonego nadgarstka spływała mu po palcach i skapywała na ziemię.

- Nie pokochasz się ze mną, Joe? - podchodząc bliżej wabiła go Marianna. Włożyła sobie rękę pomiędzy nogi i poczęła gładzić się zmysłowo, mruczając przy tym jak kotka. - Pamiętasz te noce w Tijuana, Joe? Nawet nie zmrużyliśmy oka. Pokochaj się ze mną, Joe, chodź się ze mną pokochać.

Joe ze zgrozą i zafascynowaniem przyglądał się, jak coraz głębiej i głębiej wpycha sobie dłoń pomiędzy nogi. Jedną ręką rozchyliła sobie wargi sromowe, a palec wskazujący drugiej wsunęła aż po nasadę do środka i poczęła wykonywać nim okrężne ruchy. Zamknęła oczy, odrzuciła głowę do tyłu.

- Chodź do mnie, Joe - zagruchała - tak bardzo cię pragnę... chodź do mnie, Joe, tak cię kocham.

Joe zawahał się tylko na sekundę. Zaraz potem uskoczył w prawo, nadziewając się na krawędź lodówki, i przez drzwi kuchenne rzucił się do przedpokoju.

Reakcja Marianny była natychmiastowa. Gdy wpadł na lodówkę, wpiła się dłonią w jego ramię, gdy zaś pokonywał drogę do drzwi, wskoczyła mu na plecy. W jednej chwili

Joe poczuł się tak, jak gdyby grzbiet oblano mu płonąca benzyna. Zawył z bólu i

zachwiał się pod niespodziewanym ciężarem. Koszula zatliła się, po czym buchnęła płomieniem. Zgiął się ze stęknieniem i spróbował strząsnąć Mariannę, uderzając o ścianę, ale przywarła zbyt mocno, jej nogi zaś paliły mu boki, dzinsy, skórę i ciało, podczas gdy ręce, niczym rozgrzane do białości żelazo, wytrawiały mu piętno na ramionach.

Sięgając ręką za siebie, począł jak szalony dźgać ją nożem do obierania warzyw. Lecz zdawało się, że nie ma tam nic, w co można by utrafić. Pomimo wydzielanego żaru, pomimo wagi, robiła wrażenie całkowicie niematerialnej. Jak dym. Jak duch. Jak w ogóle nic.

- Marianna! - zaryczał. Ubranie miał w płomieniach, a włosy kurczyły mu się od ognia.

Lecz ona wrzasnęła:

- Bawimy się! Zgadnij, kto to! Zgadnij, kim ja jestem!

- O Boże! - zawołał Joe padając na kolana. - O Boże, Marianno, ty mnie parzysz!

- Baw się ze mną, Joe! Zgadnij, kto to? Zgadnij, kto to? - I zasłoniła mu dłońmi oczy.

Spod palców Marianny uniósł się dym. Powieki i kości policzkowe Joego ustąpiły pod naciskiem rozżarzonych opuszek, po czym zagotowały się jego oczy. Pomimo niewyobrażalnego bólu Joe poczuł, jak pękają mu gałki oczne, i usłyszał ostre skwierczenie ciała szklistej soczewki. Nie był już w stanie krzyczeć. Ból był zbyt wielki. Jego mózg nie potrafił przyjąć do wiadomości zgrozy oślepienia, zajmowała go w tej chwili tylko jedna kwestia - jak przeżyć?

Raz i drugi wściekle dźgnął nożem. Ona jednak obaliła go na wznak i przycisnęła do podłogi.

Wszystkie jego myśli dotyczyły przenikającego bólu. Obmywał go jak fala przyływu stężonego kwasu solnego. Dygotał obsypując ją gradem ciosów, ona jednak naciskała nań coraz mocniej i wreszcie nadszedł moment, kiedy zrozumiał, że wszelki opór jest daremny, że i tak umrze.

W tej samej chwili uwolnił się od wszelkiego bólu. Najwidoczniej mózg zdecydował, że wszelkie ostrzeżenia są zbędne. Joe pogodził się ze śmiercią; ból nie był już potrzebny.

Leżał nieruchomo, jeszcze nie umarły, lecz zadziwiająco spokojny; spokojny jak nieboszczyk, spokojny jak ktoś, kto nie ma już żadnego wyboru.

Nawet nie drgnął, kiedy Marianna wyciągnęła rękę i rozpięła mu dzinsy palcami, które wypalały w tkaninie dziury.

- Złamałeś przysięgę, Joe - wyśpiewywała. - Złamałeś przysięgę.

Rozpalonymi dłońmi wydoberła mu z dzinsów członek i wyciągnęła go w pozycji pionowej. Skurczył się i pokrył pęcherzami. Ciałka jamiste zaskwierczały, a z cewki moczowej wydoberł się dym. Wszędzie wokół włosy łonowe płonęły niczym setki

miniaturowych lontów. Po chwili Marianna trzymała w ręku coś, co przypominało wyglądem świecę ognistą. Joe przeżywał ostatnie płomienne sekundy swej męskości.

W jakiś czas potem wydało mu się, że słyszy czyjś śpiew. Było to Bei mir bist du schön.

- Proszę, pozwól mi wytłumaczyć, bei mir bist du schön znaczy, że jesteś nadzwyczajna... pozwolę sobie wyjaśnić raz jeszcze... oznacza to, że jesteś najpiękniejsza na świecie...

Marianna zdjęła ciemne okulary i popatrzyła nań pustymi oczodołami. Potem pocałowała go, jego usta zaś zajęły się żywym ogniem i umarł.

## ROZDZIAŁ 13

Kathleen mieszkała w Escondido. Kiedy zginął jej mąż, przyleciała do niej na jakiś czas starsza siostra z Tucson. Lloydowi udało się jednak namówić Kathleen, by przyjechała do La Jolla i zjadła z nim kolację w Bazie Rybnej.

- Nie powie mi pani przecież, że nic nas ze sobą nie łączy - rzekł.

- Ale nie mam co na siebie włożyć. Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- W Bazie Rybnej nie obowiązuje strój wieczorowy. Chyba że ktoś ma ochotę tak się ubrać. Nawiasem mówiąc, tak jak teraz wygląda pani świetnie.

Waldo był zachwycony widząc Lloyda. Potrząsał jego dłonią, jak gdyby chciał zassać nie dającą się uruchomić pompę.

- Przyszedł pan na kolację, panie Denman? Ależ oczywiście! Niech pan tylko popatrzy, jacy jesteśmy zajęci! Sala aż trzeszczy w szwach! I tak jest w tym tygodniu co wieczór.

- Może powinienem brać sobie więcej urlopu - poddał Lloyd, gdy Waldo ceremonialnie poprowadził ich do stolika dla specjalnych gości, przy oknie z widokiem na zatoczkę, i zapalił świece.

- Panie Denman, brakuje nam pana - odparł Waldo. - Ciężko pracujemy i udaje nam się zapelnąć restaurację. Ale ona należy do pana. To pan ją sobie wymarzył, prawda? Pan tchnął w nią ducha. Wie pan, co mówił mi mój dziadek, gdyśmy spacerowali po plaży? Człowiekowi można wszystko odebrać. Rodzinę, pieniądze, stroje, nawet godność. Ale nikt nie odbierze mu jego pomysłów. - Głos opadł mu złowieszczo. - Chyba że jest gotów go zabić. Lloyd poklepał Walda po plecach.

- Po Platonie ten oto człowiek jest największym na świecie filozofem - powiedział do Kathleen. - A także największym na świecie pochlebcą. Niech się pani strzeże! W ten właśnie sposób osiąga wszystko, czego tylko zapragnie.

Siedzieli naprzeciw siebie w przytulnym blasku świec. Kathleen pomimo zmęczenia wyglądała uroczo. Miała wydatne kości policzkowe i duże orzechowe oczy. Widniała w nich mieszanina determinacji i delikatności, którą Lloyd uznał za bardzo pociągającą. Należała do tych kobiet, które gdy dzieje się źle, płaczą, lecz w następnej chwili ocierają łzy i obiecują sobie, że już nigdy nic im nie sprawi takiej przykrości.

Nil illegitimae carborundum. Nie daj się zetrzeć na proch sukinsynom.

- Kiedy jest się tak długo zamężną, zapomina się, co to znaczy żyć samotnie - powiedziała Kathleen.

Lloyd przytaknął.

- Oficjalnie nie byliśmy z Celią małżeństwem, lecz sądzę, że można by nas nazwać małżeństwem w obliczu Pana Boga. Nigdy nie miałem zamiaru spędzić życia u boku kogoś innego.

- Tom tak za nim tęskni - rzekła Kathleen.

- Tom?

- Nasz syn. Jedynak.

- Jest mi naprawdę przykro - powiedział Lloyd. - Proszę... oto i pierwsze danie.

Rozpoczęli od cocquilles St. Jacques w lekkim sosie marengo. Gdy jedli, Louis przyszedł z kuchni zapytać, jak im smakuje. Był szczupłym, drobniutkim Francuzem z Marsylii, z zapadniętą klatką piersiową, woskowej bladości twarzą i ograniczoną znajomością angielskiego. Lecz gotować umiał wyśmienicie, przyprawiał zaś swe dzieła z taką precyzją, z jaką pianista uderza w klawisze. Był chodzącym zaprzeczeniem teorii Paula Prudhomme'a, że każdy kucharz ważący mniej niż sto pięćdziesiąt kilogramów jest do niczego.

- Louis, to jest niezrównane - odparł Lloyd. Louis skromnie potrząsnął głową.

- Może nie aż niezrównane, monsieur... Ale dokładnie takie jak być powinno.

Gdy już poszedł z powrotem do kuchni, Lloyd potrząsnął głową i uśmiechnął się.

- Czy pani to słyszała? „Takie jak być powinno”. Ten człowiek nie uznaje kompromisów. Widywałem, jak wyrzucał do śmieci homary tylko dlatego, że nie podobał mu się kolor ich skorupki.

- Wie pan, że mnie pan zaskoczył - odrzekła Kathleen. - Nie wygląda pan na człowieka, który chciałby otworzyć restaurację.

Lloyd wzruszył ramionami.

- To był zupełny przypadek, jak sądzę. Miałem powyżej uszu ubezpieczeń, potrzebowałem swobody. Myślałem o otwarciu własnej firmy, produkującej doczepne silniki do łodzi... w rzeczy samej miałem do tego lepsze kwalifikacje niż do czego innego. Potrafię taki silnik złożyć i rozłożyć z zamkniętymi oczyma. Ale pomyślałem sobie, gdzie w tym jakaś klasa, gdzie prestiż? Co to za przyjemność?

- Ale prowadzenie restauracji to taka ciężka praca.

- Pani chyba żartuje? To nie żadna praca. To całkowite i dogłębne dobrowolne niewolnictwo od świtu aż do nocy. A klienci i tak nie są zadowoleni.

Świadomość, że są tu razem z powodu żałoby, nie opuszczała ich do końca przystawek. Lecz przy halibucie na kwaśno zdali sobie sprawę, że łączy ich dużo więcej niż nagła śmierć ukochanej osoby. Oboje lubili teatr, muzykę i sporty wodne. Oboje przepadali za Marią

Callas, Robbiem Robertsonem i Woodym Allenem.

- Jesteś nadzwyczajny - powiedziała mu Kathleen, gdy opuścili Bazę Rybną i odetchnęli ciepłym powietrzem nocy. - Trudno się dobrze bawić w takich okolicznościach, ale rzeczywiście bawiłam się świetnie.

- Świat nie przestanie się kręcić, choćby nie wiadomo co się zdarzyło - odpowiedział jej Lloyd. - A teraz może odwiezę panią do domu? Swój samochód może tu pani zostawić na parkingu, a jutro każę któremuś z kelnerów, żeby go odprowadził.

- Aż do Escondido? Daj spokój, Lloyd, jest pan zmęczony. Mogę wziąć taksówkę.

- Cóż... jeśli to nie zabrzmi zbyt obcesowo, to może najpierw wejdzie pani do mnie czegoś się napić, a później zadecyduje, na co ma ochotę.

Ujęła go za rękę.

- To wcale nie brzmi zbyt obcesowo. W rzeczy samej zaproszenie jest bardzo kuszące.

Z powietrzem wdychał woń jej perfum, Ombre Rose, w świetle latarni drobne niteczki jej włosów zyskały dodatkowy połysk. W jakiś sposób zwykła czarna sukienka czyniła ją jeszcze bardziej ponętą. Nie ma co udawać: Kathleen bardzo mu przypadła do gustu.

Wsiedli do BMW i Lloyd wyprowadził samochód z parkingu.

- Nie mogę wyjść z podziwu nad pańską tablicą rejestracyjną - rzekła Kathleen.

- Co, RYBKA? Nie wiem. Mnie ten dowcip już trochę się znudził.

Długimi serpentynami zjeżdżali w dół szosą, która powinna doprowadzić do North Torrey. Było nieco mglisto, nadchodziła oceaniczna nocna mgła i palące się wokół światełka były zamazane i rozmyte.

- Wie pan, co Mike zawsze mi powtarzał? - odezwała się Kathleen.

Lloyd rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Proszę mówić dalej. Co zawsze pani powtarzał Mike?

- Opowiadał, że kiedy zmarł jego dziadek, pojechał daleko na północ, aż do Eureka, a nawet jeszcze dalej. Powiedział, że to było najważniejsze doświadczenie duchowe w całym jego życiu. Stał zimą nad brzegiem morza daleko na północy i słyszał, jak jego dziadek przemawia do niego głosem donośnym jak dzwon. Mówił, że dziadek powiedział mu, iż nikt nie umiera, póki nie zostanie całkiem zapomniany, póki wszyscy ci, którzy go pamiętają, również nie umrą.

- Wydaje mi się, że to prawda - powiedział Lloyd. - Sądzę, że dzięki temu odrobinę łatwiej to znieść.

- No cóż, może i tak - odparła Kathleen. - Ja jednak uważam, że czułabym się lepiej, gdyby Mike odszedł na dobre. Zniknął, rozumie pan, o co mi chodzi? Tak jakby go nigdy nie



było. Mój Boże, Lloyd, jeszcze tydzień temu był żywy. Trzymał mnie w ramionach. A teraz nie zostało nic. Nie! Doprawdy, trudno mi się z tym pogodzić.

- Czy Mike należał może do jakiejś sekty religijnej? - zapytał Lloyd.

Kathleen popatrzyła nań uważnie.

- Mike? Pan żartuje! On i religia! Dlaczego pan o to pyta?

- Nie wiem, po prostu pytam - asekurować się odpowiedział Lloyd. Nie chciał jej mówić zbyt wiele o Ottonie, jeszcze nie teraz.

- Dwa razy w tygodniu chadzał wieczorem na kręgle - z własnej inicjatywy powiedziała Kathleen.

- Czy wie pani dokąd? Przyglądała mu się z uwagą.

- Nie, nie wiem dokąd. Chodził wraz z całą paczką kolegów z biura. Mówi pan tak, jakby to było coś bardzo ważnego.

- Owszem, to może być ważne.

- W takim razie co pan przez to próbuje powiedzieć? Czy on zrobił coś złego? Zamieszany był w jakieś ciemne sprawy, czy coś w tym rodzaju? Ależ, Lloyd, nie może pan trzymać mnie w niepewności!

Lloyd skręcił w stronę North Torrey. Twarz oświetlały mu mijane uliczne latarnie - na przemian jasno, ciemno, jasno, ciemno.

- Wygląda na to, że Celia i Marianna razem uczęszczały na spotkania sekty religijnej, prowadzonej przez niejakiego Ottona. Jak się wydaje, zaoferował on im wieczny żywot.

Kathleen zmarszczyła gniewnie brwi.

- Wieczny żywot? Czy pan to mówi poważnie?

- Mam na ten temat dokładnie takie same jak pani odczucia - odrzekł Lloyd. - Jednak wygląda na to, że uwierzyło w to niemało ludzi. Dość w każdym razie, by wypełnić cały jeden autobus.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zażądała odpowiedzi Kathleen. - Mike był zawsze taki zrównoważony. Nigdy by się nie zainteresował życiem wiecznym ani niczym podobnym. Nie był nawet przesądny. Nie bał się wysypania soli ani stłuczonego lustra, ani nawet gdy drogę przebiegł mu czarny kot.

- Nie miał nic wspólnego z narkotykami? Kathleen z wielkim zdecydowaniem potrząsnęła głową.

- Nienawidził narkotyków. Nie palił ani nie pił. Zbudowany był jak Sylvester Stallone. Co rano przed śniadaniem przebiegał trzy mile i głosował na demokratów.

Lloyd skręcił na podjazd swego domu i zgasił silnik BMW.

- Przepraszam, Kathleen. Zdaje się, że nie powinienem zabawiać się w detektywa. Jedyne, co udaje mi się osiągnąć, to sprawianie ludziom przykrości.

Kathleen położyła mu rękę na ramieniu.

- Był pan wspaniały. Naprawdę. Bynajmniej nie próbuję panu prawić komplementów. Zaczynałam już wątpić, czy mam jeszcze przed sobą jakąkolwiek przyszłość po śmierci Mike'a, czy jest jeszcze sens żyć dalej. Wie pan, że jestem pełna podziwu dla tego, czego usiłuje pan dokonać? Nawet jeśli dojdzie pan do wniosku, że Celia odebrała sobie życie z powodu depresji albo napięcia przedmiesiączkowego, albo Bóg wie czego jeszcze. Przynajmniej się pan nie poddaje. Szuka pan odpowiedzi. Nie rezygnuje pan z walki. A na tym właśnie polega sens życia, nieprawdaż? Na tym i na niczym innym.

Wysiedli z samochodu i Lloyd poprowadził Kathleen w stronę domu.

- Czy czuje pan swąd spalenizny? Widzi pan dym? Lloyd wciągnął nosem powietrze. Nie można się było pomylić. Powietrze miało kwaśny smak spalenizny, a zbliżywszy się do domu, ujrzał unoszącą się nad podwórkiem niebieskawą zasłonę dymu.

„Wielki Boże! - pomyślał. - Spalili mi dom!” Przekręcił klucz w zamku i odwracając się przez ramię do Kathleen, powiedział:

- Niech się pani nie zbliża!

- Pali się jeszcze! - zawołała Kathleen, gorączkowo wskazując ręką okna tylnej sypialni.

Refleksy płomieni tańczyły w szybach okien sąsiedniego domu. Lloyd zawahał się na chwilę. Jeśli otworzy drzwi wejściowe, może podsycić ogień potężnym zastrzykiem tlenu. Z drugiej strony, jeśli miał rozpocząć gaszenie, musiał się dostać do środka. Choćby nie wiem jak szybko straż pożarna dotarła na North Torrey, i tak zanim uda jej się podłączyć pierwszą sikawkę, z jego drogiego domu zostaną już tylko zgliszcza.

- Niech pani wezwie straż! - wrzasnął do Kathleen.

- Co?

- Niech pani wezwie straż! I to już! Telefon jest w samochodzie!

- Nie wchodzi pan chyba do środka? - odkrzyknęła Kathleen. - Przecież tak nie można!

- Proszę tylko zadzwonić po straż, dobrze?

Wahał się jedynie przez sekundę. Potem przekręcił klucz, ramieniem wyważył drzwi frontowe i wywinął kozła na podłodze w holu. Usłyszał, jak ogień ryknął niczym dziki zwierz, i poczuł ból oparzenia na twarzy. Zwinąwszy się w kłębek u podnóża schodów i nakrywszy głowę rękoma, odczekał, aż ogień nieco przycichnie, potem wstał i szybko się rozejrzał.

Salon był splądrowany - szuflady pootwierane, a wszystkie gabloty porozbijane. Kolekcja Celi leżała rozsypana po całym dywanie. Powietrze było gęste od dymu i Lloyd począł kasłać i spluwać, by uwolnić od niego płuca. Potem zanurkował do kuchni.

Tam sprawa przedstawiała się identycznie. Na podłodze leżało tyle sztućców, iż wyglądało, jak gdyby rybacy opróżnili kosze pełne sardynek. Porozbijane były wszystkie słoje z kawą, ryżem, ciasteczkami, solą. Nawet palniki powyrywano z kuchenki.

„Szukali tego amuletu w kształcie jaszczurki - pomyślał Lloyd. - Tak im na nim zależało, iż przeoczyli fakt, że dla mnie był bez wartości. Przynajmniej do tej pory. Bo teraz już ma wartość”.

Jednym skokiem przesadził salon. Drzwi do sypialni stały otwarte na oścież, sam pokój zaś był jednym wielkim morzem ognia. Widział płonący nocny stolik i fotografię Celi zwiijającą się i kurczącą w płomieniach. Widział jęzory ognia wydostające się spod łóżka. Panował taki żar, że nie mógł zbliżyć się do niego bardziej niż na dwa metry, a i to zasłaniając ręką oczy. Nie miał w domu gaśnicy, ale wydało mu się, że dwa lub trzy wiadra wody mogą ugasić płomienie. Pospieszył z powrotem do kuchni, odkręcił kran i z niecierpliwością czekał, aż cebrzyk z czerwonego plastyku napełni się wodą.

Wreszcie wrócił do sypialni, balansując w pośpiechu miską i rozlewając wodę, lecz gdy zbliżył się do oplecionego wieńcem płomieni wejścia do sypialni, zdał sobie sprawę, iż to, na co się porywa, jest całkowitą stratą czasu. Łóżko stało w płomieniach, potężne języki ognia z rykiem sięgały sufitu, a szerniałe strzępy pościeli unosiła w powietrze jak ognista zawierucha. Gorąco panowało ogromne; gdy Lloyd tylko się zbliżył, momentalnie żar wysuszył wilgoć na gałkach jego oczu, gdy zaś chlusnął wodą z cebrzyka, ta w okamgnieniu wyparowała i zniknęła wraz z niewielkim obłoczkiem pary. Równie dobrze mógł próbować gasić pożar splunięciem.

Rzucił w kąt plastikową miednicę i pospieszył do biurka, gdzie chował rachunki, dzienniki i albumy fotograficzne, które dostał od matki. Jeśli już nie mógł uratować niczego innego, ocali przynajmniej to.

Wygrzebawszy w kieszeni klucze, próbował trafić nimi w dziurkę, by dopiero po chwili zdać sobie sprawę, że biurko nie było zamknięte. Ktoś go tutaj uprzedził. Ktoś, kto miał klucz. Otworzył biurko i ujrzał, że wszystko zostało przeszukane i odgarnięte na bok: dzienniki, fotografie, akta, papiery, paszporty i książeczki czekowe.

Nie miał jednak czasu tym się przejmować. Wepchnął najważniejsze papiery do dwóch wielkich kopert i z pełnymi naręczami jął się posuwać do wyjścia z salonu. W sypialni paliło się teraz tak wściekle, że wypełzały z niej długie jęzory ognia, stojący zaś obok drzwi

sekretarzyk wypuszczał już ogniste pędy. Było tylko kwestią minut, by cały dom stanął w płomieniach.

Lloyd dotarł już prawie do holu, gdy usłyszał, że ktoś go woła.

- Lloyd! Poczekaj! Lloyd!

W pierwszej chwili pomyślał, że to Kathleen, i wrzasnął:

- Nic mi nie jest, Kathleen! Już wychodzę!

Oslonił oczy przed żarem. Salon napełniał się dymem i ledwie mógł oddychać. W pierwszej chwili nic nie zauważył. Kasłał, kasłał i jeszcze raz kasłał. Później począł rozróżniać kształty postaci stojącej w drzwiach sypialni. Przetarł oczy palcami, próbując skupić wzrok. Postać falowała w płomieniach, lecz nawet nie próbowała się poruszyć - jak gdyby ogień nic dla niej nie znaczył, jak gdyby płomień niewiele różnił się od confetti, kwiatów lub czystej wody.

- Lloyd, poczekaj!

„To nie może być prawdą” - pomyślał. Lecz ze straszliwą pewnością wiedział, że to prawda. Nie potrzeba oglądać czyjejś twarzy z bliska, żeby się zorientować, kto to taki. Wystarczy jedynie zarys sylwetki, choćby najbardziej szkicowy. Stojąca zaś w płomieniach postać była tą samą, która uciekała przed nim na pokładzie „Gwiazdy Indii”, tą samą, która siedziała w latarni Toma Hama.

Celia, i to bez dwóch zdań. Celia, która dokonała samospalenia, lecz żyła i była nieśmiertelna.

Na sekundę wychynęła z płomieni. Wspinały się do góry po jej nagim szarym ciele, błędziły po twarzy. Włosy stały jej dęba w potokach ognia. Przyglądała się Lloydowi czarnymi, nieprzeniknionymi oczyma.

- Lloyd, potrzebuję tego amuletu. Jeśli go nie będę miała, umrę.

Spoglądał na nią ze zgrozą. Języki ognia lizały jej piersi, lecz nie porafiły ich strawić. Dotykały jej twarzy. Najbardziej ze wszystkiego zafascynował i przeraził Lloyd sposób, w jaki płomień zaglądały do wnętrza jej oczodołów.

- Muszę mieć ten amulet, Lloyd! Muszę! Każde z nas ma tylko jeden taki talizman. Są niezmiernie cenne, Lloyd, nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo! Wykonano je z metalu pochodzącego z czary, w której Piłat umywał ręce! Nie wiedziałeś o tym? Z tej samej czary! Proszę cię, Lloyd!

Lloyd wahał się jeszcze przez sekundę, zahipnotyzowany pojawieniem się Celi, potem jednak usłyszał nadciągające wycie syren strażackich i moment wahania prysnął. Rzucił się do wyjścia z salonu i poprzez hol wybiegł prosto w objęcia nocy.

Kathleen czekała nań na chodniku, a błyszczący wóz straży pożarnej, błyskając światłami i trąbiąc, właśnie wyjeżdżał zza rogu.

- Nic ci się nie stało, Lloyd? - zapytała drżąc.

- Ależ nie, skądże. Próbowałem gasić, ale za bardzo się już zajęło.

- Na wszelki wypadek odjechałam kawałek dalej twoim samochodem.

- Dziękuję.

Poprawiając rzemień hełmu, bez pośpiechu podszedł do Lloyd'a strażak.

- Czy to pan jest właścicielem posesji? Lloyd kiwnął głową.

- Czy ktoś jest w środku?

Lloyd pomyślał o Celi, stojącej w drzwiach i spoglądającej nań pustymi oczodołami, całej w płomieniach.

- Nie. W środku nie ma nikogo.

- Żadnych zwierząt domowych?

- Żadnych.

- W jaki sposób doszło do zaproszenia ognia? - zapytał strażak.

Pierwsza sikawka była już podłączona do hydrantu po drugiej stronie ulicy i dwaj inni strażacy zbliżali się do budynku pod osłoną tryskającej pod ciśnieniem wodnej kurzawy.

- Nie mam pojęcia. Dopiero co wróciliśmy po kolacji do domu. Wygląda to tak, jakby wszystko zajęło się od sypialni, lecz Bóg jeden wie, w jaki sposób.

- Komendancie! - zawołał jeden ze strażaków. - Dach od podwórka się wali!

- W porządku! - odkrzyknął oficer. Potem zwrócił się do Lloyd'a: - Porozmawiam z panem później. Najpierw opanujmy ten fajerwerk.

Lloyd i Kathleen stali przyglądając się, jak strażacy siekierami wyrąbują sobie dostęp na tyły budynku i pompują do kuchni galony wody. Lloyd pod wpływem szoku przyglądał się temu wszystkiemu obojętnie. Z trudnością przychodziło mu uwierzyć, że to, co widzi na własne oczy, dzieje się naprawdę. Najpierw ogień zabrał mu Celię, a teraz dom. Miał ochotę spakować się i zostawić wszystko własnemu losowi. Może nawet wyruszając na północ, tak jak zrobił to mąż Kathleen.

Sąsiedzi w większości powychodzili z domów, by obserwować pożar. Rog Kazowski przyszedł zapytać Lloyd'a, czy nie ma ochoty wstąpić na drinka.

- Dziękuję za zaproszenie, Rog. Ale chyba jeszcze postoję i popatrzę, jak się pali.

- Mam nadzieję, że jesteś odpowiednio ubezpieczony - powiedział Rog, a odbłaski pożaru tańczyły mu na błyszczącej łysinie. - Gdybyś miał jakieś problemy, daj mi znać.

Lloyd począł rozglądać się na wszystkie strony i gdy tak patrzył, ujrzał stojące w gronie

sąsiadów dwie nieznajome sylwetki. W pulsującym blasku alarmowych świateł wozów strażackich trudno je było wyróżnić w tłumie, lecz im dłużej się im przypatrywał, tym większą miał pewność, że znalazł mężczyznę i kobietę, których poszukiwał. Z chłodnym mrowieniem podniecenia i trwogi rozpoznał Ottona i jego postawną fräulein. Hełm czy Wigwam, czy jak tam jeszcze.

Nie miał całkowitej pewności, ale było bardzo prawdopodobne, że oni obserwują go również.

- Kathleen - zasugerował - wydaje mi się, że dobrze byłoby się stąd ulotnić.

- Co proszę?

- Widzisz, nie mam specjalnej ochoty przyglądać się, jak z mojego domu pozostają same fundamenty.

Kathleen ujęła go za rękę.

- Hm, pewnie, że nie. Chciałbyś pójść do mnie?

- To byłoby świetnie.

Począł z powrotem przepychać się przez tłum gapiów, upewniając się przy tym, że ich odejścia nie widzi komendant straży. Dopiero co przyjechał też wóz policyjny i ostatnią rzeczą, której pragnął, było udzielanie odpowiedzi na całą masę rutynowych pytań funkcjonariuszy. Rzucił okiem przez ramię w kierunku stojącego po drugiej stronie ulicy Ottona i jego towarzyszki, a czyniąc to ujrzał na obrzeżu tłumu przesuwaną się postać w ciemnych okularach i czarnym turbanie. Bez dwóch zdań, Celia. Lub istota o ziemistej karnacji skóry i pustych oczodołach, która przybrała kształt Celi.

Mocniej ścisnął Kathleen za rękę i pociągnął do samochodu.

- Poczekaj! To boli! - wykrzyknęła.

- Szybko, wsiadaj - powiedział. - Zobaczyli nas.

- Kto nas zobaczył? O czym ty mówisz?

Otto odłączył się od reszty tłumu i zmierzał prosto i bez wahania w ich stronę. Wysoka Niemka poszła w ślad za nim, mimo że Celia pozostała na swoim miejscu.

- Wolalabym - rzekła Kathleen - byś mi powiedział, co tu się dzieje!

- Nie ma na to czasu - odparł Lloyd, zatrzasnął drzwi i uruchomił silnik. Gdy to czynił, Otto nagle stanął w miejscu, nie dalej niż dwadzieścia metrów od nich, i podniósł dłonie do czoła. Wyglądał, jak gdyby osłaniał oczy przed blaskiem. Lloyd zwolnił hamulec ręczny i na wstecznym biegu wykręcił BMW na drugą stronę ulicy.

- Lloyd! - wykrzyknęła Kathleen.

Wrzucił dwójkę i samochód tym razem zarzucił do przodu. Gdy jednak zbliżyli się do

Ottona, Lloyd poczuł, jak obciągnięta skórą kierownica rozgrzewa się pod jego dłońmi. Otto nie uczynił najmniejszego wysiłku, by się odsunąć, gdy z piskiem opon zawrócili mu tuż przed nosem, jednak w tej samej chwili buchnęła płomieniem kierownica.

- Aaaach! - wrzasnął Lloyd, próbując koniuszkami palców utrzymać kontrolę nad wpadającym w poślizg samochodem.

Skórzany pokrowiec na kierownicy płonął i pasma czarnej od ognia skóry spadały mu na uda. Dłonie miał poparzone, a palce całe w pęcherzach, lecz pomimo bólu i paniki udało mu się utrzymać nad samochodem resztki kontroli.

- Masz! - powiedziała Kathleen i ściągnęła swój robiony na drutach szal, by Lloyd mógł użyć go do stłumienia płomieni. Owinął go wokół kierownicy i zdołał je częściowo zdusić.

Z piskiem opon skręcili na główną szosę tuż przy wjeździe na uniwersytet. Lloyd zęby miał zaciśnięte z bólu i oczy wypełnione łzami.

- Pod moim siedzeniem - udało mu się powiedzieć. - Gaśnica!

- Na miłość boską, nie możesz się zatrzymać?

Lloyd popatrzył we wsteczne lusterko. Ogromny srebrny mercedes wytoczył się właśnie z North Torrey, najwyraźniej ruszając za nimi w pościg. Ledwie zmieścił się przed nadjeżdżającą furgonetką i Lloyd usłyszał pełne oburzenia trąbienie.

Kathleen odczepiła gaśnicę i kilkoma strumieniami piany ugasiła płomienie dogorywające na kierownicy.

- Wystarczy - powiedział Lloyd. - Już dosyć.

- Czemu się nie zatrzymasz? - Kathleen gorączkowo dopominała się odpowiedzi. - Kim był ten mężczyzna? Skąd się na miły Bóg wziął ogień na kierownicy? Czy nie mógłbyś z łaski swojej powiedzieć mi wreszcie, o co tu chodzi?

Lloyd zerknął znów do lusterka.

- Widzisz tego mercedesa? Jesteśmy ścigani. Kathleen odwróciła się na siedzeniu.

- Jesteś pewien? Dlaczego?

- To ten człowiek, którego widziałas tam na ulicy. O ile wiem, nazywa się Otto. To przywódca tej sekty religijnej, o której ci wspominałem.

- Ale czego on chce?

- Tego, jak sądzę - odpowiedział Lloyd i wyciągnął z kieszeni amulet w kształcie jaszczurki. - Nie bardzo wiem jaki, ale to jest jakiś symbol. Taki sam symbol widnieje na ścianie jego domu. - Zachodził w głowę, w jaki sposób powiedzieć jej o tym, że widział Celię, oraz co ona mówiła mu o amulecie. Każde z nas ma tylko jeden taki talizman. Są

niezmiernie cenne, Lloyd, nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo! Wykonano je z metalu pochodzącego z czary, w której Pilat umywał ręce! Kathleen przyjrzała się ze wszystkich stron amuletowi.

- Dlaczego mu tak strasznie na nim zależy?

- Sam chciałbym to wiedzieć. Niemniej znaleziono go na parkingu, tam gdzie spaliła się Celia. Jeśli przejrzyś fotografie w gazetach, zobaczysz, że Otto był tam obecny i stoi gdzieś w tle. Widać go również na zdjęciach spalonego autobusu. Co więcej, wygląda na to, że ktokolwiek wykaże najlżejszy bodaj cień zainteresowania Ottonem i tymi pożarami, sam kończy w płomieniach.

Kathleen ponownie obejrzała się za siebie.

- Powoli nas doganiają. Twoje ręce! Czy nic ci nie jest? Lloyd skrzywił się i skinął głową. Oparzenia paliły jak ogień i jak mógł, starał się o nich nie myśleć. „Ból? Jaki ból? Ten ból nie należy do mnie”.

- Nie mogę tego zrozumieć - rzekła Kathleen. - Skąd wziął się ogień na kierownicy?

- Ja również tego nie pojmuję. Sądzę jednak, że sprawił to Otto. Być może potrafi samą myślą zapalać na odległość przedmioty. Widziałas może ten film o dziewczynce, która umiała w podobny sposób sprowadzać ogień? Może mamy tu do czynienia z tym samym zjawiskiem? Przypomina to rozpalanie ognia za pomocy soczewki powiększającej... całą energię umysłu koncentruje się w jednym punkcie, który rozgrzewa się, a potem pufff! wybucha płomieniem.

Mercedes jechał z włączonymi długimi światłami mniej niż trzy długości samochodu za nimi i Lloyd, by nie zostać oślepiiony, musiał przestawić lusterko.

- Jest jeszcze coś - powiedział, gdy pokonywali długą serpentynę opadającą na lewo w kierunku oceanu. Musiał to z siebie wyrzucić, obojętne, czy Kathleen miała mu uwierzyć, czy też nie. - Dziś wieczorem widziałem w domu Celię.

- Co widziałeś?

- Możesz mi wierzyć, Kathleen, wiem, że to brzmi idiotycznie, ale ona tam była. Albo jej duch. Lub jakaś zjawa. Stała w sypialni, która była w płomieniach, a one w ogóle jej nie dotykały, nawet jej nie parzyły!

- Lloyd... - łagodnie powiedziała Kathleen. - Zastanów się, czy przypadkiem śmierć Celi nie wytrąciła cię z równowagi bardziej, niż ci się wydaje?

Lloyd potrząsnął głową.

- Klnę się na Boga, Kathleen, to nie jest sprawa bujnej wyobraźni. A jeśli zaczynam wariować, to w jaki sposób zapaliła się kierownica? To wszystko jest częścią jednego i tego



samego piekielnego spisku. Jakąś rolę odgrywa w nim amulet... i to niebagatelną. Celia powiedziała mi, że został wykonany z metalu pochodzącego z czary, w której umywał ręce Poncjusz Piłat. Mówiła, że każde z nich ma tylko jeden taki amulet.

- Powiedziała to dziś wieczorem stojąc pośród płomieni?

- Nie inaczej. Jeśli chcesz, możesz mnie uznać za wariata. Nie będę miał do ciebie pretensji. Ale to wszystko się ze sobą łączy... amulet, śmierć Celi, pożar autobusu. Również śmierć Mike'a.

- Już ci mówiłam... Mike nie należał do żadnej sekty religijnej.

- Powinnaś raczej powiedzieć, że nie przyznał ci się, iż należy. Ale tak samo nie przyznała mi się i Celia, moja jedyna miłość, kobieta, z którą miałem zamiar dzielić życie. Nie powiedziała mi nawet, że jej najlepsza przyjaciółka ma raka.

- Że jej najlepsza przyjaciółka ma raka?

- Właśnie. Marianna, ta, która spłonęła w autobusie razem z Mikiem.

Pędzili nadbrzeżną autostradą na północ. Samotny i zimny w ciemnościach Pacyfik pokrywał się grzywaczami i nawet mewy - dusze umarłych, wcielenia tych, co odeszli - poszukały sobie na tę noc schronienia.

- Wiesz co? - powiedziała Kathleen. - Jakieś trzy miesiące temu Mike był na badaniach i kiedy odebrał wyniki, przez dwa tygodnie był dziwnie przygaszony.

- Powiedział ci, co mu jest?

- Nie. Cały czas twierdził, że wszystko świetnie. Ale zdawałam sobie sprawę, że coś jest nie tak. W końcu powiedział, że ma kłopoty w pracy, to wszystko.

Lloyd szybko spojrzął za siebie. Mercedes w dalszym ciągu był blisko, lecz nie próbował przyspieszać. Wyglądało na to, że nie ma zamiaru ich wyprzedzać, tylko podążać za nimi. Z drugiej jednak strony jechali teraz przez Del Mar, dobrze oświetlony, zabudowany odcinek szosy, z obu stron otoczony domkami letniskowymi, barami, hotelami, chińskimi restauracjami oraz księgarniami, i gdyby Otto spróbował czegoś nazbyt katastrofalnego w skutkach, miałby dziesiątki świadków.

- Patrz... - rzekła Kathleen - tam jest całonocna drogeria. Wejdźmy kupić coś na twoje ręce.

Lloyd znów zerknął za siebie.

- W porządku... prawdopodobnie będą się tu od nas trzymać z daleka.

Zjechał do krawężnika pod otwartą przez całą dobę drogerią. Mając Ottona tuż za plecami, musiał liczyć się z pewnym ryzykiem, zwłaszcza nie wiedząc, czy ów potrafi zapalać przedmioty na tak daleki dystans. Jeśli mógł podpalić kierownicę w rękach Lloyd'a, to

nie było powodu, dla którego nie miałyby podpalić również jego samego. Lecz poparzone dłonie sprawiały, iż Lloyd cierpiał jak potępieniec, oboje zaś z Kathleen potrzebowali kilku chwil na złapanie oddechu.

Weszli do drogerii dokładnie w chwili, gdy mercedes z przyciemnionymi szybami zaparkował jakieś dwadzieścia metrów za nimi i z silnikiem na chodzie pozostał przy krawężniku. Lloyd zatrzymał się w progu rzęście oświetlonej drogerii i zmierzył mercedesa długim, skupionym spojrzeniem, lecz nie było sposobu dowiedzieć się, jaki wywarło to efekt na jego pasażerach. Ukryci w samochodzie sprawiali wrażenie równie pozbawionych zdolności widzenia co Celia, jeżeli owa płonąca postać na progu sypialni rzeczywiście nią była.

Lloyd zaczynał zdawać sobie sprawę, że już nie dostrzega różnicy pomiędzy żywymi i umarłymi.

## ROZDZIAŁ 14

Z ojcowską troską, która bardziej niż sam ból przywiodła Lloyda na krawędź płaczu, aptekarz posmarował mu dłonie kremem antyseptycznym i zabandażował.

— Doprawdy miał pan szczęście, wszystkie są powierzchowne — rzekł, zdejmując okulary w ciężkiej szylkretowej oprawie i rozmasowując palcami głębokie wgniecenia po obu stronach nosa. — Kłopot w tym, że powierzchowne oparzenia są najbardziej bolesne. Moja matka zawsze przykładła na nie kurzy smalec. Oparzelina goiła się świetnie, tyle że potem całymi dniami włóczyła się za mną połowa kotów z sąsiedztwa. Niech pan weźmie dwie pastylki tylenolu teraz, a dwie następne przed pójściem do łóżka i nie prowadzi dziś samochodu.

Mieli właśnie podejść do kasy, gdy drzwi drogerii otworzyły się i do środka wkroczył szczupły starszy pan w kapeluszu z szerokim rondem i szarym garniturze. W ślad za nim postępową wysoka kobieta o ciasno splecionych blond warkoczach. Czarny skórzany płaszcz, długi aż do samej ziemi, miała nie zapięty i widać było, że pod spodem nosi coś, co wyglądało na obcisły kostium kąpielowy z czarnej skóry. Obydwoje czekali przy stojaku z gazetami, wertując egzemplarze „Sunset” i *Przepisy na barbecue*, póki Lloyd i Kathleen nie skierowali się w stronę wyjścia. Wówczas kobieta zrobiła krok naprzód, zastępując im drogę.

— Panie Denman — powiedziała z silnym niemieckim akcentem. — Pan ma coś, co należy do mnie.

Lloyd zawahał się, czując, jak serce poczyna mu szybciej pracować.

— Nie bardzo rozumiem, jak to możliwe — odparł. — Nawet pani nie znam.

Mężczyzna odłożył gazetę z powrotem na stojak i postąpił krok w przód, robiąc minę, która nadała mu wygląd świńskiego pęcherza rozpiętego na drucianym wieszaku do garniturów.

— Niech mi wolno będzie się przedstawić. Otto Mander, mój drogi panie. A to Helmwige von Koettlitz.

Hełm albo Wigwam czy coś w tym rodzaju. Helmwige.

— Cóż, miło mi państwa poznać — rzekł Lloyd. — Ale jeśli szukacie frajera, to nie macie szczęścia.

Otto wydał z siebie suche, opanowane kasznięcie.

— Bynajmniej nie szukamy frajera, panie Denman, i pan o tym dobrze wie. Tropił mnie pan z równą gorliwością, co ja pana. Teraz zaś ma pan coś, co należy do nas, i byłbym wdzięczny, gdyby pan to zwrócił, nie zmuszając nas do uciekania się do jakiegokolwiek nieprzyjemnej konfrontacji.

— Czy Celia jest w samochodzie? — zapytał Lloyd.

— Nie rozumiem, panie Denman. Byłem przekonany, że pańska narieczona nie żyje.

— Co pan powie? Widziałem ją dziś wieczorem.

— Lloyd... — wtrąciła Kathleen — chciałabym już stąd wyjść.

— W porządku — odparł. — Jeżeli ten pan zgodzi się odpowiedzieć na kilka pytań.

— Oczywiście. — Otto skinął głową. Jego oczy błędziły nieobecnie po sklepie, jak gdyby prowadziły nieustanną kontrolę, ustawicznie czegoś szukając. — Przed nikim nic nie ukrywam, panie Denman, i nie uczyniłem niczego takiego, czego bym musiał się wstydzić. Odpowiem na wszelkie pytania, jakie uzna pan za stosowne mi zadać, tak wyczerpująco i otwarcie, jak tylko będę potrafił. Jednakże najpierw proszę o amulet.

Lloyd potrząsnął głową.

— Najpierw pytania, później amulet.

— Zmuszony jestem nalegać, by oddał mi pan amulet, panie Denman, i żeby pan to zrobił w tej chwili.

— Przypuśćmy, że go mam. I co w nim takiego cholernie ważnego?

Helmwige postąpiła krok naprzód i stanęła tak blisko Lloyd, że piersią oparła się o jego ramię, a na policzku poczuł jej oddech.

— Panie Denman, dla pana ten amulet nie ma żadne go ziemskiego zastosowania, dla nas jednak ma znaczenie zasadnicze.

— Chce pani powiedzieć — zasadnicze dla Celi?

— Pańska narzeczona niestety nie żyje. Osobiście zidentyfikował pan jej zwłoki.

Zaniepokojona Kathleen błagała:

— Proszę cię, Lloyd, chodźmy już stąd. Lloyd jednak odrzekł:

— Widziałem się z nią dziś wieczór. Nie uda się wam przekonać mnie, że to nieprawda.

Ona w jakiś sposób żyje. Śledziła mnie.

Otto zasznurował wargi.

— To halucynacja, mój drogi panie. Żywi to żywi, a martwi to martwi. Nie istnieje żaden stan przejściowy.

— Nie tego uczy pan na zebraniach swej grupy.

Otto w jednej chwili skupił wzrok na twarzy Lloyda, jak gdyby miał zamiar wypalić mu w czole dziurę. Lecz oczy mówiły jedno, a usta drugie.

— Jest pan dżentelmenem, panie Denman. Człowiekiem honoru. Powinien pan zrozumieć, że amulet nie należy do pana. Bardzo ważne jest, byśmy go mieli.

— Czy Celia żyje? — zapytał go Lloyd.

Otto nic nie odpowiedział, wpatrywał się weń jedynie wciąż tym samym zapalającym wzrokiem.

— Wyrobił pan sobie o nas fałszywe pojęcie, panie Denman — rzekła Helmwige. — Oddajemy cześć naszym symbolom, ale nie paramy się czarnoksięstwem.

— Widziałem ją na własne oczy, panno von...

— Koettlitz — podpowiedziała Helmwige. — Lecz to oczywiście niemożliwe. Pańska narzeczona, obawiamy się, odeszła bezpowrotnie.

— Ona żyje — powtórzył Lloyd.

Otto znów upodobił się do rozpiętego na drucie pęcherza.

— W takim razie jest pan pewnie miłośnikiem Goethego? *Und so lang du das nicht hast dieses: Stirb und werde! Bist du nur ein trüber Gast auf der dunkeln Erde.*

Wykrzywiając się w dalszym ciągu, powiedział:

— Co znaczy: „Tak długo, jak nie uda ci się zrozumieć tej prawdy, że śmierć cię odmieni, pozostaniesz jedynie nieszczęsnym gościem na tej ponurej planecie”.

— Wierzę, że Celia w dalszym ciągu żyje — powtórzył Lloyd. — Nie wiem dlaczego ani nie wiem w jaki sposób. Być może całkiem znikowałem. Wiem jednak, że ona jeszcze żyje i wiem, że wy wiecie i dlaczego, i w jaki sposób.

— Proszę, proszę! Ależ wszyscy mamy prawo do własnych fantazji i odchyień od normy — odparł Otto. Jego śmiech mógł orzech kokosowy wysuszyć na wiór. — Nalegam

jednak na zwrot amuletu.

— Bo w przeciwnym razie? — Lloyd rzucił mu wyzwanie.

— Lloyd, chodźmy już, proszę — powiedziała Kathleen. — Wcale mi się to nie podoba.

— Bo w przeciwnym razie? — powtórzył stanowczym głosem Otto. — Chce pan wiedzieć, co w przeciwnym razie? Cóż, powiem panu tyle: jeśli kategorycznie odmówi pan zwrotu amuletu, będzie pan płonął i płonął, póki nie wygrzebię amuletu z pańskich prochów.

Lloyd zadygotał z bólu i gniewu. Sam nigdy nie nazwałby się człowiekiem odważnym, jednak jego zabandażowane dłonie i spalony dom, śmierć albo i nie śmierć Celi, spalenie Sylvii i spalenie Marianny, spalenie męża Kathleen — wszystko to sprawiło, iż przekroczył ową umowną granicę, którą jego przyjaciel, prawnik Dan Tabares, nazywał linią MTWD. Gdy raz już przekroczyłeś linię MTWD, cokolwiek by się zdarzyło, ty po prostu Masz To W Dupie.

— Zejdź mi z drogi, staruchu! — rozkazał Ottonowi.

— Ejże! Nie zwracaj się do pana Mandera bez należytego szacunku! — wtrąciła się Helmwige, nacierając do przodu ramieniem.

Lloyd próbował zachować spokój, lecz nie było to łatwe.

— Zejdź mi z drogi, słyszysz? — nalegał. — Jeśli nie zejdziesz mi z drogi, to, wierz mi, nie mam zamiaru wołać kierownika ani wzywać policji. Po prostu stłukę cię jak psa, bez względu na twoje osiemdziesiąt lat, a potem zrobię to samo z tą tutaj panną Przecenioną Skórzaną Kanapą.

Otto zadarł do góry brodę w hamowanej furii. Szyja wysunęła mu się spomiędzy brzegów przyżółconego kołnierzyka niczym żółwiowi ze skorupy.

— Nie zachowuje się pan jak człowiek rozsądny, mój drogi panie. Wszystkie pańskie kłopoty zostałyby rozwiązane po prostu przez oddanie amuletu, który w żadnym razie nie jest pańską własnością. Nie ma pan do niego prawa. Jestem pewien, że policja to zrozumie.

— Zejdź mi z drogi — nalegał Lloyd.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Wszyscy nawzajem usiłowali przewidzieć swe reakcje. Wreszcie bez ostrzeżenia Lloyd popchnął Helmwige do tyłu na wystawę lakierów do paznokci. Po podłodze rozsypały się z brzękiem czerwone i różowe buteleczki. Potem wbił Ottonowi łokieć głęboko w zapadniętą klatkę piersiową. Starzec stęknął głucho i złapał się za pierś.

Lloyd chwycił Kathleen za rękę i otworzył drzwi drogerii na oścież. Razem przebiegli przez chodnik, zderzając się po drodze z chłopcem na deskorolce oraz parą w bermudzkich

szortach i baseballowych czapczkach, wskoczyli do BMW i z piskiem opon odbili od krawężnika, zostawiając za sobą na jezdni czarne zygzaki gumy.

Otto wypadł za drzwi i z miejsca przycisnął do czoła obie dłonie.

— *Otto!* — krzyknęła Helmwigie. — *Vorsicht! Er hat den Talisman!*

Lecz wściekłość Ottona była zapiekła niczym ceramiczna mozaika i nic nie było w stanie jej rozproszyć, przynajmniej nie w owej chwili. Ostra ognista strzała pomknęła po czarnej nawierzchni w ślad za samochodem, przez chwilę rozświetlając blaskiem tylny zderzak. Lecz Lloyd jechał już zbyt szybko i BMW z rykiem silnika zniknęło z pola widzenia, nim ogień zdążył się na dobre rozgościć.

— *Scheiss!* — zaklął Otto. Okręcił się na pięcie i sztywno pomaszerował do zaparkowanego mercedesa. Szarpnął drzwi od strony pasażera, jak gdyby chciał je wyrwać z zawiasów. Helmwigie obeszła samochód dookoła i otworzyła drugie drzwi.

— Co teraz? — zapytała.

— Za nimi, oczywiście! — polecił jej Otto. — Dalej, szybko, szybko! Dlaczego stoisz w miejscu, gapiąc się na mnie jak idiotka? Za nimi!

— Mogli gdziekolwiek skręcić — odcięła się Helmwigie.

— Rób, co ci każe! — wrzasnął. — Za nimi! Samochód szarpnął i odbił od krawężnika. Z tylnego siedzenia pochyliła się do przodu postać o ziemistej twarzy.

— Jeśli go złapiecie, nie zrobicie mu krzywdy, prawda? — zapytała.

— Co ty sobie myślisz, że jestem *verrückt*? — odwarknął Otto. — A kim byś była bez swojego talizmanu? Wieczną salamandrą! Żywym ogniem!

Lloyd pędził, kierując się na północ od Del Mar. Niezdarnie i urywanymi ruchami prowadził samochód zabandażowanymi gazą dłońmi. Hamował z poślizgiem, ile razy zdarzyło mu się trafić na czerwone światła, i spoglądając przez ramię, niecierpliwie zwiększał obroty, by wyrwać prosto przed siebie, gdy tylko światła zmieniały się na zielone.

— Mój Boże, Lloyd! — rzekła Kathleen. — Czy jadą za nami?

Lloyd rzucił okiem we wsteczne lusterko.

— Nie widzę ich jeszcze.

— Może dali za wygraną?

— Nie — odrzekł. — Za bardzo potrzebują tego amuletu.

— Ależ oni są straszni! Grozili ci takimi okropnymi rzeczami! Nie możemy wezwać policji?

— Pewnie, że możemy. Ale jak myślisz, co z tym fantem pocnie policja?

— Nie mam pojęcia. Ale oni podpalili twój dom, podpalili twój samochód! Pewien jesteś, że policja nie może ich o nic oskarżyć?

Lloyd potrząsnął głową.

— Kathleen, nie chcę wzywać policji. Jeśli zadzwonię na policję, nigdy nie dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi. Nie pozwolą mi. Poza tym cóż takiego im powiem? „Moja zmarła narzeczona podpałała mój dom, a potem ten zasuszony starszy pan zapalił mi kierownicę w samochodzie z odległości dwudziestu metrów”. Jak sądzisz, czy mi uwierzą?

— Ale oni nam grozili, ścigają nas.

— Powiedz mi tylko — odrzekł Lloyd — jak jechać do twojego domu. Jeszcze nas nie dogonili.

— Lloyd, ja się boję!

— Ja też. Ale wezwanie policji nic nie pomoże. W gruncie rzeczy jeszcze pogorszy sytuację.

Kathleen na moment ucichła. Ale zaraz powiedziała:

— Naprawdę sądzisz, że Celia jeszcze żyje?

— Owszem, zaczynam naprawdę w to wierzyć.

— Nic z tego nie rozumiem — powiedziała Kathleen. Lloyd znów zerknął do wstecznego lusterka.

— Tak jak i ja. Jednak Otto obiecał każdemu, kto przyszedł do jego sekty, że będzie żył wiecznie. Wygląda na to, że mu się udało. W każdym razie w przypadku Celi. Widziałem ją! Nie była taka sama jak przedtem, ale nadal była Celią.

— Ludzie nie mogą umierać, a potem ożywać na nowo. Lloyd potrząsnął głową.

— Nie wiem. Może i w jakiś sposób mogą. Wygląda na to, że ma z tym coś wspólnego śmierć w płomieniach. Być może jeśli się spalisz, będziesz żyć wiecznie.

Kathleen powiedziała zdawkowo, nieobecny głosem:

— Możesz tu skręcić w prawo.

Porzucili drogę nad brzegiem oceanu i rozpoczęli wspinaczkę ku górskim szczytom. Lecz gdy wjechali na pierwsze wysokie wzniesienie za międzystanową, Lloyd przekonał się, że ich tropem podąża pojedyncza para reflektorów, nie nazbyt blisko, lecz wystarczająco, by nie stracić ich z oczu.

— Obejrzyj się — powiedział do Kathleen. — Nie sądzisz, że to oni?

Przysłoniła dłonią oczy.

— Nie jestem pewna, ale chyba tak.

— W takim razie trzymaj się mocno. Tu właśnie odczepimy się od nich na dobre.

Lloyd przycisnął do oporu pedał gazu i BMW wyprysnął naprzód z prędkością ponad stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zaledwie kilka sekund zabrało im dotarcie do następnego skrzyżowania, gdzie Lloyd ostro zahamował i skręcił w prawo, gasząc jednocześnie światła. Potem skręcił w lewo, zjeżdżając zupełnie z drogi, i samochód, podskakując i szarpiąc, począł pokonywać drogę w dół piaszczystego zbocza, z rzadka porośniętego kępami kaktusów. Gdy przejeżdżali przez ciąg kolein skalnych, zawieszenie BMW zaczęło denerwująco stukać, a tłumik raz po raz uderzał o ziemię. Lecz Lloyd już po chwili wcisnął samochód za zasłonę wysokich zarośli i zaparkował.

— W żaden sposób nie mogą nas teraz znaleźć — powiedział do Kathleen. — Dajmy im jeszcze jakieś dziesięć minut, by się zmęczyli szukaniem, i jedziemy do ciebie.

Zaledwie kilka sekund później ujrzeli na głównej autostradzie mijające ich światła. Następnie przejechała ciężarówka i cała procesja samochodów. Lloyd wypuścił z płuc powietrze przez stulone wargi.

— Zastanawiam się, do czego im jest potrzebny ten amulet — powiedziała Kathleen.

— Nie mam pojęcia. Może należy do ich przedmiotów liturgicznych. Otto na ścianie domu ma wymalowany taki sam znak, tylko o wiele większy.

— Ci ludzie są tacy niesamowici. — Kathleen przeszedł dreszcz. — Nie mogę uwierzyć, by Mike chciał z nimi przestawać.

Czekali w milczeniu przez kolejne pięć minut. Wreszcie Lloyd powiedział:

— Myślałem o badaniach twojego męża. Czy jest jakiś sposób, by zapoznać się z ich wynikami?

— Po co?

— Po prostu zgaduję. Marianna podejrzewała u siebie raka piersi, a jeśli twój mąż dowiedział się, że jest z nim bardzo źle... być może to właśnie uczyniło ich o wiele bardziej podatnymi na idee kogoś takiego jak Otto. Poza wszystkim innym obiecał im wieczny żywot.

— Chyba mogłabym zadzwonić do doktora Krantza. Lloyd popatrzył na zegarek. W dalszym ciągu paliły go dłonie, lecz tylenol uśmierzał po części ból.

— To tylko strzał na oślep. Próbuję jednak podążać każdym możliwym tropem.

— Nie uważasz, że...? — rozpoczęła Kathleen.

Lloyd popatrzył na nią z ukosa. Domyślał się, co jej chodzi po głowie i co zamierzała powiedzieć. Wysłuchiwała cierpliwie jego opowieści o ujrzeniu Celi na pokładzie „Gwiazdy Indii” i w latarni morskiej Toma Hama, o włamaniach i ukrytym w pianinie Wagnerowskim libretcie. Lecz trudno było się dziwić, że utrzymując, iż Celia nadal pozostaje żywa, nieco nadwerżył jej wiarę.



Nie bacząc na to potrząsnął głową.

— Nie, nie wydaje mi się, bym zaczynał wariować. Nie jestem przesądny, nie wierzę nawet w astrologię. Nie wierzę również w siły nadprzyrodzone. Ale widziałem Celię i nie był to ani miraż, ani halucynacja, ani złudzenie optyczne. Wszystko ma swoje wytłumaczenie. Nie wiem jeszcze jakie, ale mam zamiar się dowiedzieć i z pewnością się dowiem.

Podniósł do góry amulet.

— W pierwszej kolejności mam zamiar się dowiedzieć, co kryje się za tym. Potem zamierzam pójść z librettem Wagnera do kogoś, kto się trochę zna na muzyce.

— Zatem wszystko w porządku — zgodziła się Kathleen. — Ja zaś zadzwonię do doktora Krantza i zapytam o wyniki badania Mike'a. Lecz jeśli nic z tego nie wyniknie... cóż, nie przepadam za tym, by ścigali mnie ludzie pokroju tego twojego Ottona. To mnie przeraża.

Lloyd podniósł do góry obandażowaną dłoń i przyrzekł uroczyście:

— Jeśli nie dowiemy się niczego sensownego, wówczas sprawa przestaje ciebie dotyczyć. Masz na to moje słowo.

Przechyliła się ze swojego siedzenia i niespodziewanie pocałowała go w policzek.

— Niezły byłeś tam w tej drogerii. Jak na *Zabójczej broni*.

— Pochlebstwami daleko ze mną nie zajedziesz.

— Hm, na początek wystarczyłoby do domu.

Nie było ani śladu mercedesa. Lloyd ostrożnie wyprowadził BMW zza zasłony zarośli i z powrotem na autostradę. Skręcił w prawo i z powrotem wjechał na wijącą się zakosami szosę, która przez Rancho Santa Fe i dalej brzegiem jeziora Hodges powinna doprowadzić w końcu do Escondido. Noc była wyjątkowo czarna, wprost ociekała dziwną atramentową czernią, jak gdyby niepostrzeżenie cały świat zatonął w gigantycznym wycieku ropy.

Rancho Santa Fe było jasno oświetlonym, czyściutkim jak z obrazka miasteczkiem, a jego ulice odznaczały się nienaturalną pustką, jak gdyby wszystkich dorosłych mieszkańców zabrali ze sobą przyjaźnie nastawieni kosmici. Lecz skoro tylko znów wyjechali w góry, z powrotem okryły ich ciemności. Płaszczyna jeziora Hodges rozpościerała się pomiędzy czarnymi zalesionymi brzegami, zdradzając swoją obecność jedynie połyskującą od czasu do czasu na powierzchni iskierką.

Kathleen spróbowała złapać dziennik radiowy, by posłuchać, czy nie było jakichś komunikatów o pożarze domu Lloyda, lecz natrafiła tylko na sześć czy siedem stacji nadających muzykę country i nudny tasiemcowy wywiad na temat szpitala Marynarki Wojennej. Zgasiła radio.

— Co masz zamiar zrobić — zapytała — jeśli okaże się, że Celia wciąż żyje?

— Wolałbym o tym nie myśleć — odparł Lloyd. — Przechodzą mnie ciarki.

— Mimo to wciąż jeszcze ją kochasz, nieprawdaż? W ten sam sposób, w jaki ja wciąż kocham Mike'a?

Lloyd prowadził przez krótką chwilę w milczeniu. Wreszcie odrzekł:

— Kochałem ją taką, jaka była. Lecz taka, jaką widziałem dziś wieczór... no cóż, zupełnie nie przypominała tamtej. Wyglądała naprawdę dziwnie. Skórę miała jakąś taką... czy ja wiem... poszarzałą i chyba nie miała oczu. Była żywa, a jakże. A przynajmniej chodziła, mówiła i rozpoznawała mnie. Ale wyglądała jak martwa. — Odchrząknął. — Przez cały czas próbuję nie dopuszczać do siebie słowa zombie. To brzmi jak z jakiejś idiotycznej kasy wideo dla nastolatków, gdzie zmarli przechadzają się po ulicach.

Kathleen nic na to nie odpowiedziała, przeszedł ją tylko dreszcz, jak gdyby poczuła oddech śmierci.

Skręcili w stronę Escondido. Dom Kathleen stał na południowo-zachodnim przedmieściu, w ustronnym zaułku naprzeciw winnicy Wytwórni Win Braci Altmann. Gdy zbliżali się, dotknęła ramienia Lloyda.

— Lepiej zwolnij — powiedziała. — Wjazd jest pod bardzo ostrym kątem.

Reflektory BMW wyłoniły z mroku skrzynkę na listy z nazwiskiem M. Kerwin, wypisanym srebrnymi odbłaskowymi literami. Świętej pamięci M. Kerwin. Lloyd zwolnił i w ślimaczym tempie wjechał na ostro zakręcający podjazd.

— Lucy i Tom prawdopodobnie nie wrócili jeszcze z Rancho Bernardo — rzekła Kathleen. — Mieli dziś wieczorem odwiedzić moich rodziców. Mama była dla mnie taka dobra.

Lloyd ujrzał piętrowy domek stojący wśród kwiatów i krzewów. Po czym, ku swej zgrozie, zobaczył zaparkowanego pod nim srebrnego mercedesa. Obok stały łatwe do rozpoznania i groźne postacie Ottona i Helmwige. Za nimi zaś jeszcze jedna, dobrze ukryta w cieniu, w płaszczu, czarnym turbanie i ciemnych okularach.

— O Boże, to oni! — wykrztusiła Kathleen głosem ze strachu podniesionym o oktawę wyżej.

Lloyd wrzucił wsteczny bieg i odwrócił się na siedzeniu.

Opony zapiszczały w proteście, gdy wóz cofał się pełnym gazem, zataczając się od jednej krawędzi podjazdu do drugiej, podczas gdy Lloyd za kierownicą usiłował trzymać się linii prostej. Z okropnym hukem uderzyli w niski mur retencyjny tuż przy wyjeździe i Lloyd musiał z powrotem wrzucić jedynekę i dać kawałek do przodu, by uwolnić zderzak od cegieł.

W świetle halogenowych reflektorów Lloyd ujrzał, jak Otto postępuje krok w przód i podnosi rękę do czoła. Jego twarz była nienaturalnie biała, oczy zaś niczym ostrza szpilek świeciły mu złotym blaskiem, martwe i jasne jak oczy węża. Sieknąwszy z bólu, Lloyd popchnął z powrotem dźwignię biegów w położenie wsteczne i począł tyłem objeżdżać zakręt podjazdu, cały czas trąc o ścianę. Dojechali niemal do skrzynki na listy, gdy wszystkie cztery opony BMW wybuchnęły płomieniem. Kathleen zaczęła krzyczeć.

— Trzymaj się! — wrzasnął Lloyd. — Wszystko w porządku! Prawie się nam udało!

Tylny zderzak samochodu uderzył w skrzynkę i zgniótł ją na płask. Wreszcie Lloyd zdołał odwrócić samochód i pomknęli w ciemną noc z oponami sypiącymi iskrami jak ognie sztuczne lub rozgrzane do czerwoności koła lokomotyw linii Union Pacific, zjeżdżające ze zboczy Sierry i za całe zabezpieczenie mające własne hamulce.

— Skąd się dowiedzieli, gdzie mieszkam? — krzyczała Kathleen, gdy z rykiem silnika pędzili w otoczeniu migoczących płomieni. — W jaki sposób znaleźli mój dom?

Lloyda kusiło, by odpowiedzieć: „Być może Mike również wciąż jeszcze żyje. Może to on im powiedział”.

Uznał jednak, że jak na jedną noc Kathleen dość już najadła się strachu. Poza tym myślał teraz przede wszystkim o tym, jak ugasić opony.

Przemknęli obok stojącego na poboczu szosy hydrantu irygacyjnego. Lloyd zahamował z poślizgiem i cofnął BMW, póki nie stanęli tuż przy nim.

— Wsiadaj! — rzucił Kathleen. — Ostrożnie! Nie stój za blisko! I miej oczy otwarte, czy nie nadjeżdża Otto!

Wysiadł z samochodu i począł mocować się z hydrantem. Kilka razy zaklął z bólu, gdy moletowana gałka wpiła mu się w obandażowane dłonie, lecz wreszcie hydrant zadrżał i zadygotał, wylewając na ziemię wodę czerwoną od rdzy niczym krew. Nie dalej niż w odległości metra Lloyd znalazł porzucone kartonowe pudełko po owocach i napełnił je po brzegi. Woda z hałasem tryskała ze wszystkich jego otworów, lecz zostało jej dosyć, by jedną po drugiej oblać wodą płonące opony i ugasić je pośród syku woniejącej spaloną gumą pary.

— W porządku, zabierajmy się stąd! — zawołał. Lecz gdy rzucił na ziemię pudełko i otworzył drzwi, usłyszał nagłący warkot zbliżającego się szybko samochodu i z ciemności opodał wytwórni win wypadł srebrny mercedes o przyciemnionych szybach.

Kathleen pobiegła z powrotem do samochodu, Lloyd zaś wskoczył na siedzenie kierowcy i przekręcił kluczyk w stacyjce. Lecz nim Kathleen zdążyła dopaść drzwi, mercedes zajechał im drogę i stanął ze zgrzytem żwiru pod kołami. Natychmiast z obu stron otworzyły się drzwi i wysiedli Otto i Helmwige. Kobieta okrążyła BMW, kierując się w stronę Kathleen,

podczas gdy Otto, z twarzą ukrytą pod rondem kapelusza, pozostał na miejscu, ręce założywszy na piersi.

— Nie! — krzyknęła Kathleen na widok zbliżającej się Helmwige.

Lloyd obszedł od tyłu samochód i stanął pomiędzy nimi, lecz Helmwige tylko wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— A teraz, już bez żadnych wygłupów, da nam pan ten amulet! — zażądała..

— Nigdy w życiu — odrzekł Lloyd drżącym nieco głosem. — Zabierajcie się stąd do diabła i zostawcie nas w spokoju. Tym razem mam zamiar zadzwonić na policję.

— Och, tak? A co takiego pan tej policji powie?

— Mam zamiar zasugerować, by na początek przeszukali waszą kryjówkę przy Paseo Delicias. Porwanie i pozbawienie wolności to dość poważne przestępstwa, nie sądzicie?

— A więc węszył pan również wokół naszego domu? — w dalszym ciągu uśmiechając się zapytała Helmwige. — Cóż, zgadzam się z panem, porwanie i pozbawienie wolności to bardzo poważne przestępstwa. Ale nie ma takiego prawa, które zabraniałoby okuwać w kajdan kogoś, kto tego pragnie, czyż nie tak? Ten ktoś, gdyby go uwolnić, nie byłby wcale szczęśliwy. Ten ktoś, rozumie pan, jest winny tego, że nie sprostął pokładanym w nim nadziejom. Szczęśliwy jest tylko wówczas, kiedy otrzymuje karę.

— Z pewnością będzie pani mogła powiedzieć to w biurze szeryfa — Lloyd rzucił jej wyzwanie.

— Bez wątpienia. Powiem tam również, że ma pan pewien cenny przedmiot, który należy do nas, i że nie chce go zwrócić.

Lloyd palcami owiniętymi gazą podniósł amulet do góry.

— Pokażcie mi, kogo jeszcze macie ze sobą w samochodzie, i powiedzcie mi, do czego ten amulet jest wam tak strasznie potrzebny, a być może go zwrócę.

Otto zawołał sucho:

— Co on tam mówi?

Helmwige, nie przestając się uśmiechać, odwróciła się do niego.

— Chce zobaczyć naszego pasażera.

— Niech go w takim razie zobaczy. Może to przywróci mu zdrowy rozsądek.

Wielka kosmata ćma przyfrunęła zwabiona światłami mercedesa i trzepocząc skrzydełkami, przylgnęła przez moment do oślepiającej szklanej powierzchni reflektora. Otto płynnym ruchem wyciągnął rękę i nakrył zahipnotyzowanego owada zwiniętą w trąbkę dłonią. Lloyd i Kathleen z obrzydzeniem i fascynacją przyglądali się, jak oblizuje ją, póki skrzydełka nie zlepią się śliną, a potem wkłada do ust niby jakiś owoc. Wreszcie wysysa, a

potem połyka.

— Celio! — zawołała Helmwige. — Dlaczego, kochanie, nie wysiądziesz?

Chociaż Lloyd zdążył już zgadnąć, że była to Celia, mimo to poczuł przeszywający dreszcz strachu. Widział jej spalone zwłoki w policyjnym prosektorium. Widział ją pozbawioną oczu i straszną w płonącej sypialni. Nie miał pojęcia, jakim cudem wciąż chodziła po świecie, chyba że ją poddano jakimś nowo odkrytym zabiegom medycznym lub była albo zombie, albo duchem albo robotem, albo własną siostrą bliźniaczką, albo to on dostał szoku na wieść

O jej śmierci i teraz po prostu majaczył.

Z samochodu wysunęła się zgrabna łydka. Potem długa noga o znajomym kształcie. Wreszcie szczupła kobieta w płaszczu, w chustce zawiązanej niczym turban na głowie i nieprzeniknionych ciemnych okularach. Nie oddalając się od samochodu, z wolna zapięła jedną czarną rękawiczkę, a potem drugą. Jej twarz jaśniała delikatną szarością.

— Cześć, Lloyd! — zawołała. Bez dwóch zdań, był to głos Celi.

Lloyd porwany został tak gwałtownym przyływem emocji, takim kłębowiskiem strachu i tęsknoty, szoku i niewiary, że ledwie był w stanie coś z siebie wykrztusić.

— Celio — powiedział. — Celio, co tu się, do cholery, dzieje? Czy ty naprawdę żyjesz?

— Zostałam zbawiona, Lloyd, oto co naprawdę się stało.

— Czy rzeczywiście sama się podpaliłaś? Lecz Otto przerwał:

— Panie Denman... im mniej wie pan o tym wszystkim, tym lepiej dla pańskiego bezpieczeństwa. Proszę... pan ją zobaczył. Wie pan, że została zbawiona. Proszę nam oddać amulet i zapomnijmy o całej sprawie.

Lloyd powoli i dobitnie potrząsnął głową.

— I tutaj właśnie, przyjacielu, jest pan w błędzie. Ta sprawa nie zostanie zapomniana. Nie ma takiego sposobu, żeby ta przekłeta sprawa została zapomniana. Paliliście i terroryzowaliście ludzi, spaliliście mój dom, zamieniliście we wrak mój samochód. Na miłość boską, spójrzcie tylko na moje ręce! A teraz wyciągacie skądś Celię, którą dawno pogrzebano, i mówicie, że została zbawiona!

— Panie Denman, ona jest zbawiona, niech mi pan wierzy.

— Nie uwierzyłbym wam, choćbyście powiedzieli mi, że w nocy jest ciemno. Chcę wiedzieć, co tu się, u diabła, dzieje?

— Lloyd, kochany, proszę cię — powiedziała Celia. — Nie kłóćmy się teraz. Daj im ten amulet. Inaczej ja nie przeżyję.

— Chcę tylko wiedzieć, co to wszystko ma znaczyć — nalegał Lloyd.

Otto postąpił bliżej, strzepując kurz z klap marynarki.

— Panie Denman, pańska narzeczona znajduje się obecnie w szczególnym stanie, który można by nazwać niestabilnym. Kiedy rok się dopełni, za kilka zaledwie dni, podczas przesilenia letniego, będziemy mogli ustabilizować jej kondycję i wówczas osiągnie pełnię istnienia. Osiągnie wówczas stan doskonałości, w którym dostąpi, ni mniej, ni więcej, tylko nieśmiertelności. Lecz do tego niezbędny jest jej talizman, który zgubiła przypadkiem w dniu samospalenia. Każdy z talizmanów należy tylko i wyłącznie do wyznawcy, który złożył przysięgę na wierność naszej sprawie. Jest bezcenny i nie można go niczym zastąpić. Bez niego pańska narzeczona stawać się będzie coraz bardziej i bardziej lotna, aż pewnego dnia wybuchnie płomieniem i nie zostanie z niej nic oprócz garstki popiołu. Jeśli nie chce pan, by to się stało, proszę nam go teraz zwrócić.

— Celio? — zapytał Lloyd, demonstracyjnie ignorując Ottona.

— On mówi prawdę, Lloyd — odpowiedziała Celia. Głos jej brzmiał jak srebrny dzwoneczek. — To, co ci powiedziałam, jest prawdą... Talizmany wykonane są z czary, w której umył ręce Poncjusz Piłat. Mają one moc całkowitego uwalniania duszy spod praw boskich. Skoro raz doszedłeś do kresu drogi i spaliłeś swe szczątki doczesne, mając przy sobie talizman, to Bóg nie ma już mocy odebrać tego, co dał.

— Ale dlaczego? — chciał wiedzieć Lloyd. — Dlaczego chciałeś się zabić w ten sposób? Byłaś nieszczęśliwa? Było ci źle? Wpadłaś w depresję? Jeśli mnie nie kochałaś, nie musiałaś przecież za mnie wychodzić.

— Kochałam cię wtedy, Kocham cię teraz i zawsze będę cię kochać — odparła Celia.

— Po co się w takim razie podpalałaś? Co chciałaś przez to osiągnąć?

— Dokładnie to, co powiedział ci Otto. Doskonałość.

— Nie rozumiesz, że dla mnie nie mogłaś być już doskonalsza. Za nic w świecie nie zamieniłbym cię na nikogo innego!

Lloyd postąpił krok w jej kierunku i wyciągnął rękę. Nie potrafił powstrzymać łez napływających mu do oczu.

— Powiedz mi tylko, co się z tobą stało! Czy możesz to zrobić? Powiedz mi, o co tu chodzi!

Helmwige wsunęła się pomiędzy nich.

— Ani kroku dalej, panie Denman — powiedziała stanowczo — albo pan pożałuje. Wszyscy tego pożałujemy. Już i tak pańskie wścibstwo kosztowało nas niemało kłopotów.

— Ależ, na miłość boską, ona jest moją narzeczoną! — wrzasnął Lloyd. — To kobieta, którą pragnę poślubić! Pragnąłem poślubić! I w dalszym ciągu pragnę, jeśli powiecie mi, co

się tu, u diabła, dzieje!

Otto zdjął kapelusz i wytarł go w środku złożoną w kostkę chusteczką.

— Dosyć tych zalecanek! Szkoda czasu, panie Denman, moi prawnicy skontaktują się z panem w sprawie wszelkich szkód, jakie mógł pan ponieść z tytułu zniszczenia domu i samochodu.

— Pańscy prawnicy? A do diabła z nimi, ja idę na policję! Dopilnuję, żeby cię zamknęli, ty cholerny maniaku!

Otto przejechał palcami po siwej, wełnistej czuprynie i popatrzył w przeciwną stronę.

— Pójście na policję stanowiłoby poważny błąd, panie Denman. Błąd karygodny. Bylibyśmy zmuszeni przerwać naszą procedurę i odłożyć transformację Celi do następnego przesilenia, które nastąpi za rok. Kto wie, co mogłoby się jej do tego czasu przytrafić.

— Nic z tego nie rozumiem — odparł Lloyd. Otto uśmiechnął się i z powrotem włożył kapelusz.

— Nie, nie sędzę, by pan rozumiał. Lecz też i w rzeczy samej nie ma takiej potrzeby, by pan rozumiał. Prawdopodobnie jest pan organicznie niezdolny do zrozumienia tego faktu. Podobnie jak większość ludzi, którzy zagraniczne samochody i modne fatalaszki stawiają wyżej na liście swoich potrzeb niż siłę ducha i osiągnięcia mające trwałą wartość. Dysponuje pan intelektem nie większym niż pierwszy lepszy karaluch, jaki biega po pańskiej restauracji.

— A teraz niech pan posłucha, panie... — rozpoczął Lloyd z gniewem.

Lecz Celia zawołała:

— Proszę cię, Lloyd! Proszę! Daj tylko Helmwige ten amulet.

Lloyd zawahał się, przenosząc wzrok z Celi na Ottona i z powrotem. Lecz w następnej chwili Helmwige zniecka chwyciła go za nadgarstek i uniosła do góry jego zaciśniętą pięść, w której trzymał amulet. Lloyd stęknął z wysiłku, próbując ściągnąć dłoń z powrotem na dół, lecz nie udało mu się poruszyć jej nawet o centymetr. Helmwige była zdumiewająco silna.

Jednocześnie poczuł, że jej palce zaczynają stawać się coraz gorętsze i gorętsze. Zmarszczył brwi z wysiłku i niedowierzania, lecz w ciągu zaledwie kilku sekund jego skóra poczęła czerwienieć, a brzegi gazowego bandaża się zatliły. Włoski na przegubach wyschły na wiór i spomiędzy palców uniosły się smugi dymu.

— Lloyd, proszę! — błagała go Celia. Lecz Kathleen trzepnęła Helmwige w ramię.

— Puszczaj go! — krzyknęła. — Wszyscy jesteście wariaci! Wariaci i łobuzy! Puszczaj go!

Otto rzucił jej zdawkowe spojrzenie.

— Pogratulować temperamentu, pani Kerwin. Ale to nic nie pomoże.

Lloyd, dopóki mógł, trzymał pięść zaciśniętą, lecz uchwyt palących żywym ogniem palców Helmwige był nie do zniesienia. Zlany potem, posykurając i trzęsąc się z bólu, Lloyd z wolna rozchylił dłoń i odsłonił amulet. Helmwige z miną wybrednego znawcy zabrała go bez słowa i przycisnęła do ust. Metal zasyczał w zetknięciu ze śliną.

— Dziękujemy za pańską cokolwiek niechętną współpracę, panie Denman — powiedział Otto.

Nagle zrobił krok do przodu i w locie schwycił za nogę skaczącą cykadę. Miotła się i próbowała uwolnić, lecz włożył ją do ust, tak że spomiędzy warg wystawała jej tylko główka z czarnymi jak paciorki oczkami, po czym zgryzł w zębach i połknął.

— Lubię, jak na odchodnym po raz ostatni popatrzą sobie na świat — zauważył.

Drżący z bólu i emocji, z poparzonymi rękoma przyciśniętymi do piersi, Lloyd mógł już tylko spoglądać, jak Celia z powrotem wsiada do samochodu, a Otto i Helmwige idą w jej ślady. Starzec gestem dłoni dał znak do odjazdu, po czym zniknęli w ciemnościach nocy. Gdy dojechali do autostrady, na moment zapaliły się światła stopu i po chwili już ich nie było.

Kathleen ze łzami w oczach podeszła do Lloyd'a i objęła go ramionami.

— O Boże, czy nic ci nie jest? To musiało być takie strasznie bolesne.

— Już w porządku — odpowiedział Lloyd. — Jakoś to zniosę. Kolega z roku stracił w Wietnamie obie nogi i też jakoś to zniósł.

— Czy to naprawdę była Celia? — zapytała Kathleen. Lloyd skinął głową.

— Wyglądała tak samo jak ona. Mówiła tak samo jak ona. Mimo wszystko nie pojmuję, jak to możliwe. Zdaje się, już niedługo będę się nadawał do czubków.

— Ależ, Lloyd — nalegała Kathleen — ja widziałam ją również. A więc ona naprawdę istnieje. Tyle że inaczej niż przedtem, tak jak to mówił ten obrzydliwy Otto. Boże, jakież to wstrętne typ! Jest w stanie nietrwałym, tak właśnie powiedział, nieprawdaż?

— Chodźmy zobaczyć, czy uda nam się doprowadzić samochód z powrotem do domu — rzekł Lloyd.

— Co masz zamiar z tym zrobić? — zapytała Kathleen. — Zadzwoisz na policję?

— Jeszcze nie... nie zadzwonię, póki nie dowiem się, o co tu chodzi. Jeśli w jakikolwiek sposób można Celię uratować, to ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnął, jest zaprzepaścić tę szansę.

Kathleen nic nie odrzekła. Cóż można było powiedzieć? Przedstawiono im obojgu dowód, że umarli mogą chodzić po tym świecie, że grób i krematorium bynajmniej nie muszą oznaczać końca, lecz jedynie nowy i pełen tajemnic początek.



## Rozdział 15

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, tkwił jeszcze w głębokim śnie. Otworzył oczy i przez dłuższą chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje, co mu się przydarzyło ani nawet kim jest.

Leżał na kanapie wyściełanej brązowym pluszem, która znajdowała się w dużym salonie urządzonej na modłę rustykalną. Nie opodal na stolyczku ze szklanym blatem stała opróżniona butelka czerwonego wina i trzy nie umyte kieliszki. Na imitującej cegłę ścianie, nad kominkiem w stylu traperskim, wisiało olejne malowidło przedstawiające Indian na koniach wśród burzy śnieżnej. Zatyłowane było *Zima w górach Sangre de Cristo*.

Dzwonek odezwał się znowu. Usiadł i spróbował przetrzeć oczy, lecz okazało się, że ręce ma ciasno owinięte bandażami niczym bokser. Nie miał na sobie nic oprócz gacek. Rozejrzał się i dostrzegł swoją koszulę, porządnie przewieszoną przez oparcie brązowego fotela stojącego naprzeciwko. Dopiero gdy usłyszał głos Kathleen wołający z góry: — Lloyd! Czy mógłbyś z łaski swojej otworzyć drzwi? — przypomniał sobie dokładnie, gdzie się znajduje.

Naciągnął spodnie i ścisnął je w garści, gdyż obandażowanymi palcami nic mógł zapiąć guzika. Za matową taflą szkła w drzwiach widać było chybliwą ciemną sylwetkę mężczyzny w granatowym garniturze. Posługując się dłonią niczym wielkimi szczypcami do homarów, Lloyd otworzył drzwi. Łańcuch pozostawił nie zdjęty.

— Kto tam? — zapytał.

Mężczyzna odwrócił się. Był to sierżant Houk. Nieco dalej, trzymając ręce w kieszeniach i pogwizdując pod nosem, stał detektyw Gable. Na podjeździe obok osmalonego i porysowanego BMW Lloyda stał buick sierżanta Houka, za nim zaś błękitno-biały wóz patrolowy Urzędu Szeryfa Hrabstwa San Diego, z siedzącym za kierownicą młodym zastępcą szeryfa o twarzy bladej, jakby posypanej mąką.

— Nie ma pan nic przeciwko temu, byśmy weszli do środka, czy też może w czymś przeszkadzamy? — zapytał sierżant Houk.

Lloyd opuścił łańcuch.

— Jestem zdumiony, że wiedział pan, gdzie mnie szukać.

— Prawdę mówiąc, nie wiedzieliśmy. Zeszłej nocy nadaliśmy na całe hrabstwo komunikat, że poszukujemy pańskiego samochodu, a ten bystry chłopak, zastępca szeryfa, przypadkiem zauważył go z samego rana przed domem pani Kerwin i zadzwonił po nas. W południowej Kalifornii niewiele jest białych BMW z rejestracją RYBKA. — Przekraczając

próg, popatrzył przez ramię na samochód Lloyda i dodał:

— Ani takich poobijanych. Mam nadzieję, że nie zamierza pan wjechać nim w tym stanie na autostradę?

— Miałem drobny wypadek — odpowiedział Lloyd, usiłując nasadą dłoni przepchnąć guzik od spodni przez dziurkę.

— Widzę, że to nie żarty. Czy to przy tym pokaleczył pan sobie ręce?

— Właśnie, poparzyłem je sobie. To nic poważnego. Kilka pęcherzy i tyle.

Sierżant Houk wszedł do salonu i zmierzył wzrokiem kanapę z wygniecionymi poduszkami i ściągniętym na bok kocem, pustą butelkę po winie i trzy kieliszki.

— Nie wiedziałem, że pan i pani Kerwin jesteście starymi znajomymi — rzucił.

— Bynajmniej. Spotkaliśmy się dopiero wczoraj.

— Nie będzie nietaktem zapytać, w jaki sposób?

— Ależ skąd. Pojechałem na pustynię Anza-Borrego popatrzeć na ten spalony autobus, a pani Kerwin była tam zawiesić wieniec dla uczczenia pamięci swojego męża.

Sierżant Houk kiwnął głową.

— Czy miał pan jakieś szczególne powody, by pojechać obejrzeć ten spalony autobus?

— Celia była członkiem zespołu Opery San Diego tak jak Marianna Gomes. Dziwnym zbiegiem okoliczności wydało mi się to, że obie poniosły śmierć w płomieniach w okresie zaledwie dwu dni jedna po drugiej.

— A zatem pojechał pan popatrzeć na spalony autobus?

— Nie inaczej.

Sierżant Houk stanął na środku salonu z rękoma założonymi na piersiach, udając, że nad czymś myśli.

— Czy mogę pana zapytać, co spodziewał się pan tam znaleźć?

— Nie wiem. Jakąś poszlakę mówiącą o tym, dlaczego Celia miałaby popełnić samobójstwo.

— Och! I znalazł pan? — zapytał sierżant Houk.

— Co mianowicie?

— Czy znalazł pan jakieś poszlaki mówiące o tym, dlaczego Celia miałaby popełnić samobójstwo?

Lloyd nieznacznie pokręcił głową.

— Chyba nie.

— Lecz znalazł pan panią Kerwin. Tak po prostu, przypadkiem?

— Właśnie. Zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. W końcu zaprosiłem ją do La Jolla na

kolację.

— Do swojej restauracji, jak sądzę?

— Istotnie. Skończyliśmy dość wcześnie, jeśli już o tym mowa, zatem skłoniłem ją do pozostawienia samochodu na parkingu i wejścia do mnie na drinka.

Sierżant Houk pociągnął nosem.

— W jakich zamiarach?

— Nie wiem, do czego pan zmierza.

— Zmierzam do tego, panie Denman, by się dowiedzieć, co pan miał na myśli, zapraszając panią Kerwin do siebie do domu. Chciał pan się tylko napić, czy też chodziło panu o coś poważniejszego? Lloyd popatrzył nań z oburzeniem.

— Ma pan źle z głowie czy co? Oboje dopiero co straciliśmy ukochane osoby w najokropniejszy sposób, jaki sobie można tylko wyobrazić. Pan zaś próbuje zasugerować, że zaprosiłem panią Kerwin do siebie po to, żeby ją uwieść?

Sierżant Houk nie dał się zbić z tropu.

— Przepraszam, panie Denman. Po prostu próbowałem ustalić stopień pańskiej zażyłości z panią Kerwin. Z tego, co wiem, to moglibyście być państwo znajomymi jeszcze przed datą pożaru.

— A co to z kolei ma znaczyć?

— To ja pana pytam.

— Chyba nie sugeruje pan, że to ja podpaliłem autobus? Sierżant Houk wzruszył ramionami, jakby chciał rzec:

„No cóż, skoro już pan poruszył ten temat, to owszem, istnieje taka możliwość”.

— Widzi pan, trudno nam teraz dociec, po co w ogóle pan Kerwin jechał tym autobusem. Lub po co którykolwiek z pasażerów nim jechał. Autokar wynajęto na nazwisko Jim Ortal pod pozorem wycieczki Towarzystwa Astronomicznego El Cajon do obserwatorium w Mount Palomar. Oczywiście żadne Towarzystwo Astronomiczne El Cajon nie istnieje, a pod podanym adresem nie figuruje nikt o nazwisku Jim Ortal. Kaucja za autobus i opłata za jednodniowe wypożyczenie plus pełne ubezpieczenie uiszczone zostały z góry gotówką, tak że nie ma numeru konta bankowego ani adresu wystawcy karty kredytowej.

W tej chwili starsza siostra Kathleen, Lucy, zeszła na dół. Ubrana była w czarną suknię, której uwiesił się dziewięcioletni chłopczyk o ciemnych włosach i podkrążonych oczach. Lloyd poznał Lucy i Toma wczoraj późną nocą, kiedy powrócili z odwiedzin u rodziców Kathleen i Lucy na Rancho Bernardo. Kathleen nie powiedziała siostrze ani słowa o

niepożądanego wizycie Ottona i Helmwige, Lloyd zaś wytłumaczył kiepski stan samochodu mówiąc, że źle obliczył zakręt przy wjeździe na podjazd i uderzył w murek ogrodowy, zrywając przy tym w wozie przewód paliwa, które natychmiast się zapaliło. Wyglądało na to, że Lucy mu uwierzyła. Tom zaś uważał, że jeśli ktokolwiek był w stanie dokonać tak spektakularnych spustoszeń jedynie skręciwszy i wjechałszy na cudzy podjazd, musiał być obdarzony mocą praktycznie nadludzką. Nie wspominając już o skasowaniu BMW za sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów!

Lucy była ogromnie podobna do Kathleen, tylko szczuplejsza i przy swej suchej cerze bardziej opalona. Mieszkając przez tyle lat w Arizonie, przyswoiła sobie też powolniejszy sposób mówienia, typowy dla Zachodu.

— Kathleen zejdzie za minutkę — powiedziała. — Ci panowie przyszli w sprawie twojego wypadku?

— Tak jest, proszę pani — uśmiechnął się sierżant Houk. — Przepraszamy za tak wczesne najście.

— To żaden kłopot — odparła Lucy. — Napijecie się, panowie, kawy?

— Chętnie, poproszę bez mleka — rzekł detektyw Gable.

— Dziękujemy, lecz musimy odmówić — powiedział sierżant Houk. — Czas nas trochę pogania.

— A ty, Lloyd? — spytała Lucy.

— Proszę bez mleka, Lucy — odpowiedział. Sierżant Houk sprawił, że poczuł się osaczony, i teraz cieszył się, iż im przerwano. Nie chciał powiedzieć sierżantowi Houkowi nic o Ottonie i Helmwige, jeszcze nie teraz, póki się nie dowie, do czego oni dążą naprawdę i co się stanie, kiedy Celia ulegnie „transformacji”. Zbyt dobrze potrafił sobie wyobrazić policję wpadającą do domu przy Paseo Delicias, aresztującą wszystkich w zasięgu wzroku i skazującą Celię na zawsze na ów dziwny stan ziemistości cery, w którym oglądał ją wczoraj wieczór.

Przez całą noc nawiedzały Lloyda nawracające, pełne płomieni koszmary. Raz za razem zwidywała mu się Celia, to w lustrzanych drzwiach sklepu, to po drugiej stronie ulicy, to na moście, to w deszczu, to znów ukryta za szybą przejeżdżającego samochodu. Pozostając w zgodzie z logiką, nie mógł w żaden sposób uwierzyć, że ona w dalszym ciągu żyje, jakkolwiek by przyjęła kształt i formę. Lecz na własne oczy widział ją na jawie i jedyna rzecz, jaką mógł zrobić, to zmusić się do odrzucenia niewiary, do otwarcia umysłu na wszelkie możliwości, nieważne jak dziwaczne lub groteskowe.

Martwiło go, że Celia wciąż pozostaje w rękach Ottona i Helmwige, lecz koniec

końcem przypuszczał, że nie miała żadnej innej możliwości. Nawet jeśli pierwotnie ponosili odpowiedzialność za jej samospalenie (i Bóg świadkiem, że gdyby to wiedział na pewno, zabiłby ich gołymi rękami), Otto i Helmwige w jakiś sposób doprowadzili do jej zmartwychwstania. Musiał zaufać im, że dokończą rytuału owej „transformacji”, czymkolwiek była. Jeśli to jedyny sposób, by Celia mogła w pełni odzyskać swą tożsamość, nie wolno mu się wtrącać.

Sierżant Houk podszedł do kominka i przyjrzał się malowidłu, przedstawiającemu Indian na śniegu, tak skrupulatnie, jak gdyby był to van Dyck.

— Przyjemny obrazek — zauważył.

— Nie całkiem w moim guście — odrzekł Lloyd.

— Och, tak. Widziałem pańską restaurację. Jest pan bardziej za tymi, jak to ich nazywają, depresjonistami.

— Impresjonistami.

— Wszystko jedno. Dla pana to są może impresje, a mnie przyprawiają o cholerną depresję.

Lloyd rzekł z napięciem:

— Jeśli to pana uspokoi, to do wczoraj nie widziałem pani Kerwin na oczy. Jedynym zaś powodem mojego wyjazdu na pustynię była chęć popatrzenia na ten autobus. To chyba jakieś niezdrowe skłonności.

— No cóż, powiedziałbym, że to wyjaśnia wszystko — odparł sierżant Houk. — Niezdrowe skłonności, panie Denman, tym się pan właśnie odznacza. Ale to bardzo specjalny rodzaj niezdrowych skłonności.

— Wydaje mi się, że nie wiem, o czym pan mówi.

— Panu się wydaje, że nie wie, o czym mówię? — zainteresował się sierżant Houk. Wyciągnął rękę i począł odliczać na palcach. — Pańska narzeczona ponosi śmierć w płomieniach na parkingu McDonalda. Spotyka się pan z Sylwią Cuddy z Opery San Diego, po czym ta w swym mieszkaniu zostaje spalona. Rozmawia pan z Robertem Tuggeyem, kucharzem dań szybkich od McDonalda, i umiera on podczas pożaru swego samochodu w nie wyjaśnionych bliżej okolicznościach na tym samym parkingu, gdzie zginęła pańska narzeczona. Odwiedza pan wrak spalonego autobusu, w którym zamordowano pańską znajomą z Opery San Diego. Tej samej nocy pański dom zostaje poważnie zniszczony przez ogień, pan zaś wraz z wdową po innej ofierze ze spalonego autobusu widziany jest, jak odjeżdża w trakcie pożaru, podczas gdy wewnątrz pańskiego samochodu najwyraźniej stoi w płomieniach. Dzisiejszego ranka ledwie przyjechawszy stwierdzam, że nie tylko wewnątrz

pańskiego wozu zostało zniszczone przez ogień, ale spalone są również opony. Sierżantowi pozostały do odliczania już tylko dwa palce.

— Panie Denman — rzekł — czy nie byłby pan skłonny przyznać, że rozpatrując wszystkie te incydenty, człowiek obdarzony zdolnością logicznego myślenia może nabrać przekonania, że żywi pan niezdrowe skłonności do ognia?

Lloyd otworzył usta, lecz doszedł do wniosku, że cokolwiek by rzekł, tylko pogorszyłby sprawę. Sierżant Houk najwidoczniej całą noc spędził na usiłowaniach zbudowania opartej na poszlakach linii oskarżenia, skierowanej przeciwko niemu.

— Czy ma pan zamiar mnie zaaresztować? — zapytał Lloyd.

— Nie, proszę pana, nie mam zamiaru pana zaaresztować. Chciałem tylko, żeby pan wiedział, jak się ta sprawa przedstawia z naszego punktu widzenia.

— Myślę, że lepiej porozmawiam ze swoim adwokatem — powiedział Lloyd.

— W porządku — sierżant Houk skinął głową. — Ma pan do tego prawo.

— Mimo to — rzekł Lloyd — niech mi wolno będzie powiedzieć, że jakkolwiek by to wyglądało z pańskiego punktu widzenia, jest pan w błędzie. Idzie pan fałszywym tropem. Nie ponoszę odpowiedzialności za którykolwiek z tych zgonów ani którykolwiek z tych pożarów i nim jeszcze ta sprawa się skończy, przyjdzie pan zapukać do moich drzwi, tak jak dzisiejszego ranka, i przeprosi mnie.

— Z przyjemnością — uśmiechnął się sierżant Houk. — Chodźmy już, zdaje się, że wystarczy na dzisiaj.

— Tak jest, sierżancie — powiedział detektyw Gable, nie odrywając oczu od filiżanek z kawą, które Lucy właśnie wносиła do pokoju.

— Już idziecie? — zapytała ich Lucy.

— Sądzę, że mamy już wszystko, co trzeba, dziękuję pani — odparł sierżant Houk.

Lloyd odprowadził ich do drzwi.

— Och, przy okazji — rzekł sierżant Houk, jak gdyby teraz dopiero wpadło mu to do głowy. — Czy wczoraj rano nie odwiedzał pan przypadkiem domu przy Paseo Delicias w Rancho Santa Fe? Kiedy dzisiejszej nocy ogłosiliśmy o poszukiwaniu pańskiego samochodu, zadzwonił do nas funkcjonariusz firmy ochroniarskiej Biała Tarcza i powiedział, że wczoraj rano widział białe BMW z tablicą rejestracyjną RYBKA na Paseo Delicias. Widział również mężczyznę odpowiadającego pańskiemu rysopisowi, jak wchodził na teren posesji w sposób, który zwrócił jego uwagę.

Lloyd poczuł, jak coś zatyka go w piersi. Ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, były odwiedziny sierżanta Houka w domu Ottona.

— Przykro mi, nie mogę panu pomóc — odparł.

— To znaczy, że pana tam nie było?

— To znaczy, że funkcjonariusz tej firmy musiał się pomylić. Powiedziałem panu, gdzie byłem wczoraj. Na Anza–Borrego.

— Cóż... chciałem tylko zapytać. — Sierżant Houk uśmiechnął się. — Czy widział pan już swój dom?

Lloyd potrząsnął głową.

— Planowałem najpierw zadzwonić do sąsiada i dowiedzieć się, jak bardzo został zniszczony.

Sierżant Houk pociągnął nosem.

— Skutki nie są tak poważne, jak mogłyby być, tak przynajmniej powiedział mi komendant straży. Oczywiście zawalił się dach od podwórka i spaliła się kuchnia, lecz szkielet konstrukcji jest w dalszym ciągu bezpieczny. Miał pan szczęście, że strażacy przybyli tak szybko. — Odwrócił się do wyjścia, lecz w następnej chwili zawahał się i powiedział: — Będzie pan na miejscu, nieprawdaż? I zawiadomi mnie pan, gdzie można się z panem skontaktować?

— Czy to znaczy, że jestem podejrzany?

— Znaczy, że nie chcę za każdym razem, kiedy mam ochotę zadać panu kilka pytań, urządzać ogólnokrajowych poszukiwań. Czy to wystarczający powód?

Lloyd skinął głową i zamknął drzwi. Po krótkim namyśle założył jeszcze łańcuch. Kathleen zeszła na dół w dzinsach i prostej białej bluzce.

— O co im chodziło ?

— Tylko kilka pytań — odrzekł Lloyd. — Zdaje się, wbili sobie do głowy, że ja i ty postanowiliśmy spalić ten autobus po to, by podjąć ubezpieczenie z polisy twojego męża i uciec razem do Acapulco.

— Chyba nie mówisz poważnie! Lloyd przełknął kawę.

— Nie całkiem. Ale nie to mnie martwi. My tego nie zrobiliśmy, a on nie może na poparcie swej teorii przytoczyć żadnych dowodów. Martwi mnie tylko to, że się dowiedział, gdzie byłem wczoraj rano.

— Masz na myśli dom Ottona? — spytała Kathleen.

— Właśnie. I jest dostatecznie gorliwy, by chcieć to sprawdzić.

— O Boże! Otto pomyśli, że to ty dałeś mu cynk, nieprawdaż?

— Taka możliwość również mi przyszła do głowy — odrzekł Lloyd. — Otto zaś nie należy do osobników łagodnych i spolegliwych, czyż nie tak? Przy pewnej dozie szczęścia

mógłbym dostać od niego pozwolenie, aby na odchodnym po raz ostatni popatrzeć sobie na świat.

— Co możemy zrobić? — zapytała Kathleen.

Lloyd wzruszył ramionami.

— Nic. Zjeść śniadanie. Nie tracić nadziei.

— *Piove sul bagnato* — powiedziała Kathleen. — Nieszczęścia chodzą parami. — Napotkawszy pytające spojrzenie Lloyda, uśmiechnęła się łagodnie i powiedziała: — Miałam kiedyś chłopca Włocha. Kłopot w tym, że ani mi było w głowie konkurować przez całe życie ze studziesięciokilowym zapaśnikiem.

— Był zapaśnikiem?

— Mówię o jego matce.

Sierżant Houk zaparkował pod zwisającymi gałęziami eukaliptusa na Paseo Delicias i zgasił silnik.

— To ten dom — rzekł do detektywa Gable'a. — Popatrz na te cholerne mercedesy. To wygląda niczym garaż Hitlera.

Za nimi zaparkował samochód zastępcy szeryfa, ów zaś wysiadł, oparł się o dach buicka sierżanta Houka tuż przy otwartym oknie i wyciągnął notatnik.

— Właśnie rozmawiałem z szeryfem przez radio. Właścicielem posesji jest Matt Orwell, producent filmowy, który wynajmuje ją za pośrednictwem firmy Rand i Steward z Rancho Santa Fe. Obecnym podnajemcą jest Salamander Corporation, spółka zarejestrowana w Butte w stanie Montana. Dokumenty wynajmu podpisane zostały w imieniu spółki przez pana J.Ortala.

— Bingo! — szepnął sierżant Houk. — A o co się założymy, że pan J.Ortal okaże się panem L.Denmanem?

— Poważnie myślisz, że to Denman podpalił ten autobus? — zapytał detektyw Gable, zdejmując okulary i zaczepiając je w rozpięciu koszuli. — Moim zdaniem to nie ten typ.

— Typ... posłuchajcie no tylko! — ironizował sierżant Houk. — Czy widziałeś kiedyś choć jednego przestępcę, który by w pełni odpowiadał typowi? Typy są dobre na filmach. Ten cały Denman to piroman. Rozumiesz? Uwielbia patrzeć, jak się coś pali.

— To w dalszym ciągu nie znaczy, że właśnie on podpalił ten autobus — upierał się detektyw Gable.

Sierżant Houk westchnął.

— Pozwól, że ci podpowiem scenariusz, dobrze? Któregoś wieczora Denman spotyka w



swej restauracji panią Kerwin, wszystko bardzo romantycznie, flirtują itp., itd., a w końcu zakochują się w sobie. Daj spokój, to facet do tańca i do różańca, a z niej też jest całkiem dorzeczną babką, jedyne zaś, co wiemy o panu Michaelu Kerwinie na pewno, to że przez większą część tygodnia bywał gdzieś w interesach. Denman i pani Kerwin opracowują wspólnie plan pozbycia się jej męża. Denman pracował kiedyś w ubezpieczeniach, z pewnością zna się na wszystkich kruczkach. Tylko że jego narzeczona zaczyna podejrzewać, iż coś jest nie tak. Być może przypadkowo podnosi słuchawkę i podsłuchuje ich rozmowę, po czym wyjawia Denmanowi tę nieprzyjemną prawdę. Kochankowie postanawiają pozbyć się jej również.

— Mieliby smażyć cały autobus ludzi po to tylko, żeby wykończyć jednego faceta? — zapytał detektyw Gable, bardziej niż kiedykolwiek przypominając Jackiego Gleasona. Włosy rozwichrzyły mu się i skręciły w kędziorki, nad górną wargą zaś wyraźnie widniały kropelki potu.

— Słyszało się o takich rzeczach — rzucił młody zastępca szeryfa, usiłując nadać swemu głosowi brzmienie doświadczonego zawodowca. — Pamiętacie tę sprawę, kiedy facet wysadził w powietrze cały samolot tylko po to, by podjąć ubezpieczenie z polisy swojej matki? Stu Bogu ducha winnych pasażerów, i po co? Żeby pozbyć się jednej osoby. Swoją drogą to ciężki przypadek do rozwiązania: ma się dziesiątki podejrzanych i tyle motywów, ilu było pasażerów.

— Owszem — jadowicie odparł sierżant Houk. — Też byłem na tym filmie.

Detektyw Gable wytarł rękawem czoło.

— Co w takim razie robimy? Wchodzimy do środka czy co?

— Jasne, że wchodzimy do środka — odparł sierżant Houk z przesadną cierpliwością w głosie. — Znasz moją dewizę: „Zajrzyj pod każdy kamień”. Być może Denman tego nie zrobił. Ale być może zrobił. Może jest Ortalem, a może nie jest. Ale siedząc na tyłku, tego się nie dowiemy.

Wysiadł z samochodu i przycesał grzebieniem włosy.

— Chodźmy! — rzekł wreszcie. I poszli.

Pokonali labirynt zaparkowanych ciasno obok siebie mercedesów, przy czym sierżant Houk wszystkimi po kolei się zachwycał.

— Przepiękne, doprawdy przepiękne. Wystarczy je umyć, a będą warte fortunę. Widzicie ten samochód wycieczkowy? Jeden przecinek pięć, i to swobodnie.

— Dość mały silnik jak na samochód tej wielkości — zauważył detektyw Gable.

— Silnik? Kto tu mówi o silniku? Jeden przecinek pięć miliona na aukcji. Jeden taki

sprzedano w salonie aukcyjnym dzieł sztuki Christiego.

Po zapadniętych schodkach wspięli się na werandę.

— Nie mam pojęcia, ile Orwell życzy sobie za tę ruinę, ale to i tak z pewnością zbyt wiele — zauważył sierżant Houk. — Wiecie, jakie są ceny w tej okolicy? Trzy czwarte miliona za dom z trzema sypialniami, a tu taki widok!

Stanęli pod drzwiami. Wisiała na nich ciężka, masywna kołatka w kształcie czarnej jaszczurki, bardziej podobna do przejrzałego i opadającego owocu niż do wykutej z brązu kołatki. Sierżant Houk rozejrzał się po werandzie, przyglądając się połamanym deskom i lepiącym się od brudu szybom.

— To miejsce wygląda mi na zupełnie opuszczone. Szeryfie, nie zakradłbyś się od tyłu? Ale uważaj, co robisz. Niczego nie dotykaj, choćby nawet wyglądało na dowód rzeczowy. Zwłaszcza gdyby wyglądało na dowód rzeczowy. Nie mamy nakazu.

Schwycił za kołatkę i mocno zastukał, płosząc z okapu dachu parkę przepiórek kalifornijskich, które poderwały się z furkotem w jasne poranne niebo.

— Nikogo tu nie ma, sierżancie — zawołał z drugiego końca werandy zastępca szeryfa.

Detektyw Gable popatrzył w lewo i w prawo, jak gdyby miał zamiar przejść przez ulicę.

— Wie pan co, sierżancie, ta sprawa jest absolutnie niesamowita. Najbardziej niesamowita sprawa, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia.

Sierżant Houk potrząsnął głową.

— Ta sprawa nie jest niesamowita. Nie ma w niej w ogóle nic niesamowitego. Sprawca pragnie, byśmy uwierzyli w to, że jest niesamowita, by nas zbić z tropu, i tyle. Kobieta ginie w płomieniach na parkingu. Autobus pełen ludzi pali się na pustyni. Kobieta zostaje spalona w swoim mieszkaniu, kucharz od McDonalda — w swoim samochodzie. Nic w tym niesamowitego, Gable, to tylko śmierć. A śmierć to śmierć, niezależnie od tego, w jaki sposób następuje. Gdyby oni wszyscy zostali zastrzeleni, zasztyletowani lub uduszeni, nie widziałbyś w tym nic niesamowitego.

— No cóż, owszem. Ale w dalszym ciągu uważam, że to niesamowite.

Sierżant Houk ponownie zastukał, lecz drzwi wejściowe pozostały na głucho zamknięte. Zastępca szeryfa wrócił, trzymając kciuki wciśnięte za pas i stukając obcasami po uginających się deskach werandy.

— W porządku, kowboju. Idź sprawdzić od tyłu — polecił mu sierżant Houk.

— Na imię mi Roger — odparł zastępca szeryfa, cokolwiek zirytowany.

— W porządku, Roger. Przepraszam cię, Roger. Idź sprawdzić od tyłu, Roger.

Zastępca szeryfa okrążył garaż i począł nieśmiało torować sobie drogę przez gąszcz

przerośniętych chwastów, lufą rewolweru odsuwając osty. Sierżant Houk przyglądał się jego postępom z wyrazem twarzy człowieka, któremu nauczenie się cierpliwości przyszło z najwyższym trudem.

— W porządku — powiedział wreszcie. — Po raz ostatni zajmijmy się tą kołatką. Załomotał nią siedmiokrotnie z groteskowym hałasem, tak że detektyw Gable za każdym razem aż podskakiwał.

— Jeśli teraz nie zareagują, to znaczy, że albo ich nie ma w domu, albo nie żyją — powiedział sierżant Houk.

Czekali i czekali.

— Nikogo nie ma — rzekł detektyw Gable.

Lecz w tej właśnie chwili drzwi wejściowe niespodziewanie się otwały, w progu zaś stanęła Helmwige, ściśle zawinięta w płaszcz kąpielowy z brunatnego jedwabiu i z głową obwiązaną ręcznikiem.

— Tak? — powiedziała, zupełnie jak gdyby nie słyszała piekielnego walenia w drzwi.

Zaskoczony sierżant Houk aż upuścił na ziemię swoją odznakę. Schylając się po nią ujrzał, iż Helmwige nosi na kostkach nóg ciężkie bransolety ze srebra.

— Przepraszam, że przeszkadzam. Sierżant Houk z Wydziału Policji. Prowadzimy śledztwo w sprawie serii zabójstw w rejonie San Diego. A kim pani jest, jeśli można wiedzieć?

Zatrzepotała ku niemu rękami, na których widniały jeszcze kropelki wilgoci.

— Helmwige von Koettlitz — rzekła, jak gdyby zdumiona, że można tego nie wiedzieć. Potem zaś, nim zdążył zadać następne pytanie, dodała: — A co takiego ja mogę wiedzieć na temat zabójstw?

Sierżant Houk zakasłał.

— Bynajmniej nie sugeruję, iż wie pani coś o nich bezpośrednio. Po prostu mogłaby pani pomóc nam w śledztwie, wyjaśniając kilka marginalnych kwestii.

Helmwige nic się nie odezwała. Sierżant miał poważne wątpliwości, czy w ogóle go zrozumiała.

— Na przykład — brnął dalej — czy zna pani może mężczyznę nazwiskiem Lloyd Denman? Posiada modną restaurację rybną w La Jolla. Wysoki, szczupły, nos raczej orli.

— Garbaty — dodał detektyw Gable, gdy Helmwige w dalszym ciągu nie odpowiadała.

Helmwige, nie odrywając od nich oczu, zawołała:

— *Otto! Kommen Sie hier, bitte!*

Nastąpiła teraz nieco przydługa pauza, podczas której Helmwige obojętnie odpierała

wzrok sierżanta Houka i detektywa Gable'a, nie rzuciwszy im nawet jednego słowa. Otto pojawił się w drzwiach, które zapewne prowadziły do znajdującej się na tyłach domu kuchni. Miał na sobie białą koszulkę bez rękawów i przepastne szorty z szarej bawełny, które sprawiały, że wyglądał na jeszcze szczuplejszego, bledszego i bardziej wysuszonego niż w rzeczywistości. Raz za razem wycierał dłonie w wyszarzały ręczniczek.

— Ci panowie to detektywi — rzekła Helmwige. — Pragnę wiedzieć, czy słyszeliśmy o kimś, kto się nazywa... jak to miało brzmieć, detek tywie?

— Sierżancie — poprawił ją sierżant Houk. — A nazwisko człowieka, o którego pytałem, brzmi Lloyd Denman.

Zimne, żółtoszare oczy Ottona poddały sierżanta Houka i detektywa Gable'a uważnym oględzinom. Wciąż wycierał ręce, jak gdyby miał obsesję na punkcie utrzymywania ich w absolutnej suchości.

— Dlaczego, panowie, zwracacie się z tym akurat do nas?

— Cóż, proszę pana — powiedział sierżant Houk — prowadzimy śledztwo w sprawie pewnej liczby zabójstw... Być może pan o nich słyszał, całe mnóstwo ludzi w San Diego poniosło śmierć w płomieniach... pan Denman zaś jest akurat w tej sprawie podejrzanym.

— Podejrzanym? — zapytał Otto, a potem pokiwał głową.

— Czy pan go zna? — powtórzył detektyw Gable. Otto zacisnął wargi i potrząsnął głową.

— *Nein. Ich könne ihn nicht.* Sierżant Houk otworzył notatnik.

— Przypuszcza się, że odwiedził tę posesję wczoraj rano około jedenastej.

— *Das ist ganz unmöglich.* — odparł Otto.

— Co on takiego powiedział? — sierżant Houk zapytał Helmwige.

— Powiedział, że to niemożliwe.

— Widziano, jak wchodził na teren tej posesji.

— Widział pan tego Denmana?

— Pewnie, że go widziałem — odpowiedział sierżant Houk, mając się na baczności. — Widziałem go około pół godziny temu. I powiem panu coś jeszcze...

Przerwał mu odgłos tłuczonego szkła na tyłach domu, co wyraźnie brzmiało tak, jakby zastępca szeryfa postawił obcas na szybie inspektu do ogórków. Oczy Ottona w jednej chwili otworzyły się szeroko i zaświeciły ogniem.

— Wysłał pan kogoś dookoła domu? — zasyczał w kierunku sierżanta Houka.

— No cóż. owszem bardzo mi przykro, lecz nie spodziewaliśmy się, że ktoś jest w tym domu, i chcieliśmy jedynie sprawdzić, żeby mieć pewność, że...

— Macie nakaz?

— Jako taki nie całkiem, lecz...

— Kto wie, że jesteście tutaj? Kto z waszych przełożonych? Kto z waszych kolegów?

— Proszę pana... nikt nas nie przysłał... przypadkiem stanowi to cześć toczącego się śledztwa, to wszystko... a jeśli ten zastępca szeryfa cokolwiek zniszczył...

Lecz Otto odwrócił się do niego tyłem, otworzył drzwi kuchenne i zniknął.

— Niech pani posłucha... — powiedział sierżant Houk do Helmwige. — Nie mam zamiaru stwarzać tutaj jakichkolwiek kłopotów, ale...

Z ponurą miną kobieta bez słowa zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Sierżant Houk i detektyw Gable zostali na werandzie sami.

— Nie mówiłem ci, że to niesamowita sprawa? — powiedział Gable podciągając spodnie.

— Gdybym miał ten cholerny nakaz, to wpadłbym do środka niczym piętnaście ton podgrzanego gówna — warknął sierżant Houk. — Cholerne Szwaby. Wygląda na to, że tylko dlatego, iż daliśmy im w dupę podczas wojny, uważają, że jesteśmy im winni jakieś przeprosiny.

— Hm, a dlaczegóż mieliby się akurat po nas czegoś takiego spodziewać? — powiedział detektyw Gable. — Przecież w czasie wojny nie było nas nawet na świecie.

— O Boże, daj mi siłę — odciął się sierżant Houk.

W tym właśnie momencie usłyszeli przerażająco wysoki skowyt. W pierwszej chwili wyglądało im to na ptaka albo kojota, który złapał się w pułapkę na króliki. Lecz wkrótce potem odezwał się następny, tym razem bardziej przypominający ryk bólu, po nim zaś nastąpiły krzyki:

— Ratunku! Pomóżcie mi! Aaaaaaa! Ratunku! Sierżant Houk klepnął detektywa Gable'a po ramieniu.

— Dookoła domu! — rzucił. — Biegiem! Ty idziesz z tej strony, ja z tamtej!

Obaj dobyli broni. Detektyw Gable ciężko zeskoczył z werandy i pobiegł dookoła garażu, pokonując po drodze gąszcz chwastów. Sierżant Houk pędem okrążył werandę, przemknął pod ścianą i wściekłym kopnięciem rozbił zasuwę pomalowanej na biało bocznej furtki. Rozwarł ją na oścież, przecisnął się na drugą stronę płotu i galopem przebył sześć albo siedem niskich ceglanych stopni, prowadzących za róg domu. Zawadził nogą o luźno zwinięty wąż ogrodowy, potknął się i lecąc na twarz, w rozpaczliwej próbie odzyskania równowagi dał trzy potężne susy i upadłszy na ścieżkę, zdarł sobie całkiem skórę z dłoni.

Nieomal nieludzkie wycie nadal nie milkło. Wypadłszy z za rogu na niewielkie

podwórko, sierżant Houk ujrzał zastępcę szeryfa pogrążonego w morzu ryczących płomieni i okładającego się po bokach w konwulsyjnych usiłowaniach zduśnięcia ognia. Ramiona podskakiwały mu w górę i w dół niczym u nakręcanej zabawki, ale jedyne, co udawało mu się osiągnąć, to jeszcze bardziej rozdmuchać płomień. Oczy miał mocno zaciśnięte. Uszy płonęły mu żywym ogniem, kurcząc się niby liście rzodkiewki nad kuchennym palnikiem. Ogień tryskał z czubka głowy, wysyłając do góry kolumnę czarnego dymu, która unosiła się ponad dach domu. Z odgłosem upadającego worka cementu rzucił się na ziemię, przetaczając się raz za razem, tak jak strażaków i policjantów uczy się na ćwiczeniach, na wypadek gdyby ich ubrania zajęły się ogniem. Lecz to tylko zdawało się sprawiać, iż płomień buchnął z jeszcze większą wściekłością. Po kilku sekundach dzięki młócki ramionami zastępca szeryfa zatoczył się, usiłując stanąć na nogi, i zawył w ostatecznej agonii.

Detektyw Gable pojawił się z drugiej strony domu, roztrzając ostatnie chwasty. Stał jak wryty i z otwartymi ustami jął przyglądać się zdjęty grozą.

— Marynarka, Gable, na miłość boską! — wrzasnął sierżant Houk. — Zduś ogień marynarką!

Rozpaczliwie rozejrzał się dookoła. W jaki sposób, u diabła, ugasić płonącego człowieka? Na podwórku znajdował się basen, lecz najwyraźniej od dawna stał pusty, o czym świadczyła obłaząca farba i potrzaskane dno zasłane zeschniętymi liśćmi eukaliptusa. Prawie cała pozostała powierzchnia podwórka była pokryta betonem, nie licząc kilku marnych krzewów juki, zarośniętej chwastami rabaty i szklanego inspektu warzywnika, którego nie było widać spod nie skoszonej trawy.

Wąż ogrodowy!

Zastępca szeryfa nadal trzepotał ramionami, nadal tańczył. Detektyw Gable, wyplątawszy się z marynarki, machał nią w jego stronę niczym matador, usiłując dostać się dostatecznie blisko, by móc zduśnić płomień. Sierżant Houk biegiem wrócił po wąż ogrodowy. Kurek nie chciał się przekręcić, lecz uderzony dwukrotnie kolbą rewolweru popuścił.

„Pospiesz się, Jezu Chryste, pospiesz się, bo ten człowiek się pali!”

Przez cały czas zdawał sobie sprawę, że zjawił się grubo za późno, że jego wysiłki niewarte są funta kłaków i że prawdopodobnie lepiej byłoby pozwolić zastępcy szeryfa umrzeć. Lecz został tak wyszkolony, że nie poddawał się podobnym myślom. Jego obowiązkiem było zrobić co w ludzkiej mocy, by uratować życie człowieka.

Szlauch zbutwiał i zesztyniał leżąc latami na słońcu. Był paskudnie poplątany, lecz Houkowi udało się powlec przez podwórze dostatecznie długi odcinek, by dosięgnąć

płonącego człowieka. Wszędzie wokół woda ciurkała na wyschniętą glebę.

Zastępca szeryfa przewrócił się teraz na bok i pośród trawy i potłuczonego szkła trząsał się w agonii. Detektyw Gable klęczał przy nim, rozpaczliwie próbując przykryć go swą marynarką, lecz gdy tylko przesunął ją tak, by zdławić płomienie tańczące wokół twarzy, te ze wzmożoną siłą buchały wokół ud i w kroku.

— O Boże! — zaskomlał Gable, sam mając ręce zaczerwienione i całe w pęcherzach. — On jest jak jedna z tych pieprzonych świeczek, których nie da się zdmuchnąć!

— Roger! — krzyknął sierżant Houk. — Słyszysz mnie, Roger? Już wszystko w porządku! Przygotuj się na szok! Ta woda będzie bardzo zimna!

Nie potrafił powiedzieć, czy zastępca szeryfa zrozumiał go, czy nie. Twarz chłopca poczerniała niczym przypalony befszytk, ugotowane oczy oślepiły, z włosów pozostały tylko kruche czarne kępki. Lecz jakimś sposobem ten człowiek nadal żył, wciąż jeszcze cierpiąc, wciąż jeszcze płonąc, wciąż dygocząc w ostatnich chwilach swojego życia.

Sierżant Houk przekręcił hydrant i polał zastępcę szeryfa wodą.

Detektyw Gable dźwignął się w górę, podstawiając pod dyszę własne poparzone dłonie.

— Tutaj, sierżancie, na miłość boską — prosił — chociaż kilka kropel.

Jednakże w tej samej sekundzie sierżant Houk zauważył ze zgrozą, że strumień wody bynajmniej nie ugasił płonącego człowieka. W rzeczy samej ogień zahuczał z jeszcze większą wściekłością, jak gdyby woda była materiałem palnym. Miał właśnie powiedzieć: „Gable, nie...!” — kiedy łuk wody tryskający z końcówki węża buchnął płomieniem i detektyw Gable został polany ogniem.

Policjant zapiszczał i spróbował odpędzić od siebie płomień ramionami, lecz te w jednej chwili zajęły się ogniem. Wąż niemal natychmiast stał się zbyt gorący, by sierżant Houk mógł go utrzymać w ręku, toteż rzucił go na ziemię. Szlauch zaś pod gwałtownym ciśnieniem wody popęknął do tyłu i do przodu, raz po raz spryskując detektywa Gable’a płynnym ogniem.

Ów padł na ziemię, przetaczając się oraz mlóćąc rękoma i nogami, lecz palił się jeszcze mocniej niż zastępca szeryfa.

— Tato! — krzyczał. — Tatusiu! Na Boga, tato! Teraz sierżant Houk już wiedział, że minął czas trzymania się regulaminu. Uskoczył przed kaskadą ognia z węża, by szybko i ostrożnie podejść do detektywa Gable’a, z mięśniami napiętymi jak struny. Oburącz trzymał służbowy rewolwer.

— Boże, wybac mi — wyrzekł i jeden raz strzelił detektywowi w głowę. Krew i mózg trysnęły na wszystkie strony i ostro zaskwierczały w panującym żarze.

Wówczas sierżant Houk z podniesioną bronią obrócił się i ujrzał stojącego w

kuchennym oknie Ottona, z twarzą białą jak płótno i podniesionymi do oczu suchymi jak szczapy rękoma, jak gdyby wypatrywał czegoś hen na horyzoncie. Helmwige stała nieco dalej w cieniu, lecz nawet nie spojrzała na palącego się na jej podwórku człowieka. Zajęta była podziwianiem swoich paznokci.

Sierżant Houk sztywno wycelował broń w stronę Ottona.

— Stój! — krzyknął. — Nie ruszaj się, sukinsynu! Aresztuję cię!

Lecz natychmiast poczuł przelewającą mu się z hukiem nad głową falę gorąca, jak gdyby tuż przed jego twarzą otwarły się drzwi ogromnego paleniska. Ręce pokryły mu się pęcherzami, rękawy zajęły się ogniem, a rewolwer sam wystrzelił, tłukąc szybę w kuchennym oknie. Instynktownie odrzucił broń ułamek sekundy przedtem, nim eksplodowały naboje pozostałe w komorze, rozsiewając we wszystkich kierunkach odłamki. Jeden z nich ugodził sierżanta Houka głęboko w mięsień lewej łydki.

„Ty sukinsynu! — pomyślał. — Nie uda ci się spalić mnie żywcem!”

W płonącym ubraniu i z dymiącą czupryną pobiegł z powrotem dookoła domu, przeskakując przez szlauch, mknąc jak piorun przez werandę, zeskakując z ganku i jednym susem przesadzając długą, upstrzoną guanem maskę wycieczkowego mercedesa Ottona.

W pierwszej chwili nie zwracał uwagi na ból, lecz kiedy nagle buchnęły mu płomieniem włosy, poczuł na czubku głowy tak nieznośne pieczenie, że aż zawył na cały głos. Uciekać! Trzeba uciekać!

Jego spodnie płonęły, koszula była z tyłu niemal zupełnie spalona. Nylon stopił się ze skórą, wytworzone przez człowieka włókno z człowiekiem, tak iż trudno byłoby oddzielić jedno od drugiego. Buty spadały mu od nóg w płonących płatach, potem podeszwy oderwały się z podwójnym, ostrym hałasem, jak gdyby to jego własna skóra przywarła do asfaltu.

Usłyszał, jak oddycha z potężnym świstem pływaka pokonującego kanał La Manche. Ujrzał przed sobą jezdnię, podskakującą mu w oczach niczym obraz na zdjęciach kręconych z ręki. Dostrzegł kołyszące się drzewa eukaliptusowe, choć nie mógł dosłyszeć ich szelestu. Zobaczył swojego buicka, zaparkowanego i gotowego do drogi. Węchem poczuł ogień i dym oraz jakiś nieopisany odór, który okazał się zapachem jego własnego, przypalonego ciała.

„Ty... niemiecki... sukinsynu... nie... uda... ci... się...”

Dopał do samochodu i jednym szarpnięciem otworzył drzwi od strony kierowcy, przy czym wydało mu się, że palce chcą mu odpaść od ciała.

„Nie... spalisz... mnie... ty...”

Nie miał już marynarki ani koszuli. Jego tors stanowił poczerwieniałą masę, którą w



dalszym ciągu lizały niewielkie, ale silnie buzujące języki ognia. Lecz wciąż miał przy sobie kluczyki od samochodu, które przywarły mu do skóry. Palcami, które nie miały innych zakończeń prócz kości, oderwał kluczyki od pokrytych pęcherzami warstw naskórka, pociągając za nimi jeszcze więcej skóry. Zawył bardziej z rozpacz niż z bólu.

— Nie spalisz mnie, sukinsynu! — wrzasnął.

Wsadził kluczyk w stacyjkę buicka, przy czym drugi jego koniec przebił mu kiść dłoni, utkwivszy dokładnie pomiędzy kośćmi jego palców. Ciągłe krzycząc i buchając płomieniem, Houk obrócił rękę tak, że samochód zapalił. Szarpnął hamulec ręczny i ruszył od krawężnika w chmurze pyłu i liści eukaliptusa. Po przeciwnej stronie Paseo Delicias meksykański ogrodnik grabił trawnik przed domem. Odwrócił się z przerażeniem, gdy buick sierżanta Houka przemknął obok niego na oponach piszczących niczym chór z *Tannhäusera*, z ognistą postacią na miejscu kierowcy. Ogródnik padł na kolana i przeżegnał się.

Wprowadzając buicka w następny zakręt, sierżant Houk wiedział, że jest już po wszystkim. Nogi miał wciąż w płomieniach, skalp cisnął go niczym czepek kąpielowy. Ból był już tak intensywny, że nie wiedział nawet, czy zdolny jest jeszcze go odczuwać, czy już nie. Było to tak, jak gdyby nie palił się, tylko był zżerany przez płomień.

Przed sobą w górze krętej Paseo Delicias ujrzał posuwającą się z trudem ogromną biało-niebieską ciężarówkę. Oryginalne Części Samochodowe General Motors.

„Dzięki Ci, Boże — pomyślał w duchu. — A więc wybaczyłeś mi mimo wszystko”.

Za następnym wzniesieniem ujrzał szczyt zbliżającej się ciężarówki. Z całych sił nacisnął stopą pedał gazu i w szaleńczym pędzie skierował buicka na lewą stronę jezdni.

Ujrzał przesuwające się obok drzewka cytrynowe niczym majaki ze snu. Ujrzał skały, krzaki, skrawek nieba — wszystko to przepływało obok niego, kołysząc się, spokojnie i jakoś zwyczajnie. Przypomniawszy sobie z dzieciństwa karuzelę w Disneylandzie, która unosiła się w górę i w dół, w dół i do góry. Lecz gdzieś na granicy świadomości opony w dalszym ciągu wyśpiewywały swój bezlitosny refren. *Straszny i donośny jest twój gniew! Przybywasz niczym błyskawica!*

Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz już w następnej chwili całą przednią szybę samochodu wypełniła chromowana, masywna osłona chłodnicy zbliżającej się ciężarówki.

Buick i ciężarówka zderzyły się przy wzajemnej prędkości przekraczającej sto kilometrów na godzinę. Przód samochodu sierżanta Houka zanurkował pod przednim zderzakiem ciężarówki i cały buick zniknął pod jej podwoziem, jak gdyby nigdy nie istniał. Kierowca nawet nie miał czasu zatępić.

Jednakże zaledwie w sekundę później, z odgłosem przypominającym zatraśnięcie się

ogromnych wrót, eksplodował zbiornik paliwa buicka. Wybuch rozsadził korpus ciężarówka na dwie równe części i rozesał we wszystkich kierunkach śmiercionośny grad części samochodowych. Wał korbowy firmy Caprice wpadł do szoferki, przebił oparcie fotela kierowcy, by z potwornym zgrzytnięciem wbić się ostatecznie w jego plecy w okolicy lędźwiowej. Zapasowy kapsel na felgę firmy Oldsmobile zaśpiewał w powietrzu i z niezmierną precyzją latającego talerza odciął głowę meksykańskiego ogrodnika, który był świadkiem płomiennego zjazdu sierżanta Houka ze wzgórza. Meksykanin zastygł w bezruchu, trzymając sierp w dłoni, jak gdyby nie umiał się zdecydować, czy ma się przewrócić, czy też nie.

Wreszcie upadł na ziemię i począł polewać nagietki gęstym i lepkiem strumieniem krwi.

Nie przebrzmiały jeszcze echa eksplozji, odbite od dalekich zboczy górskich, ani ostatnie fragmenty strzaskanych części samochodowych nie powróciły z brzękiem na ziemię, kiedy Otto odwrócił się od kuchennego okna i rzucił Helmwigę nikły uśmiech.

— Wiesz, przez to wszystko robię się niecierpliwy. Mam coraz większą ochotę pokazać im, kto tu teraz będzie panem.

— Powinieneś być ostrożniejszy — Helmwigę odparła tonem, który miał mu uświadomić, iż nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia.

— Słyszałaś, co powiedział. Nikt nie wie, że tu przyjechał, ani jego przełożeni, ani koledzy. Przybył tu dlatego, że nasz przyjaciel, Herr Denman, powiedział mu, gdzie ma się udać. Herr Denman, jak widzisz, odznacza się nieprzyzwoitym wprost wścibstwem i najwidoczniej fakt, że trzymamy tutaj Celię, nie wystarczy, by go powstrzymać przed urządzeniem na nas nag onki.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytała Helmwigę bezbarwnym głosem. — Chyba nie chcesz go spalić, co?

— Oczywiście, że nie. W takich ludziach jak Herr Denman leży nasza przyszłość. Świetna rasa! Świetni ojcowie! Bóg jeden wie, jak bardzo będą nam wszyscy potrzebni. Jednakże... on nie potrafi się zachować... Będę zatem zmuszony sprowadzić go tutaj i dopilnować, by nie wyrządził sobie żadnej krzywdy do czasu *der Umgestaltung*, Transformacji. Potem może spłonąć. Ale nie wcześniej. Pamiętaj, co zawsze mi mówił *der Führer*. „Otto — powtarzał — poszukiwanie czystości kosztować będzie życie wielu męczenników. Lecz poszukiwanie czystości to sprawa pierwsza i ostatnia. *Die Reinheit zuerst, die Reinheit letzt. Die Reinheit ist alles*”.

Helmwigę jeszcze ciaśniej owinęła się jedwabnym szlafrokiem i wolnym krokiem

przeszła w drugi koniec salonu. Nagi młodzieniec był tam w dalszym ciągu przykuty łańcuchem, teraz zaś siedział po turecku, podczas gdy jego blada twarz rysowała się na tle kalifornijskiego słońca z niezwykłą ostrością, a pod skórą prężyły się twarde, dobrze wyćwiczone mięśnie. Helmwige przez dłuższy czas stała nad nim, przyglądając mu się z nie ukrywanym podziwem, ale i jawną pogardą.

— Rasa panów — rzekła kiwając głową. — Cóż za żalosny egzemplarz.

Otto podszedł i stanął obok niej z rękoma w kieszeniach szortów.

— Trudno mi się z tobą nie zgodzić. Ale też i trudno byłoby oczekiwać, że ci wszyscy doktorzy zdołają zdobyć się na tak ogromny skok myślowy. Mengele, co za idiota! Lecz nawet najlepsi z nich, Bloss, Hauer i von Horn, nigdy nie zdołali zrozumieć, że rasa panów to nie tylko kwestia genealogii czy doboru, lecz również kwestia żywiołów. Starej, niekwestionowanej mocy ziemi. Oto, co czyni ludzi rasą panów.

Helmwige przejechała ozdobioną czerwonymi szponami dłonią po włosach młodzieńca.

— Lecz sam wiesz, że i tak go lubię.

— Ty go lubisz! — zawarczał Otto. — To nic więcej jak tylko nieudany eksperyment! Rasowa ślepa uliczka! Mój Boże, gdyby tylko *der Führer* nie zmusił mnie do złożenia obietnicy, zniszczyłbym go wiele lat temu, tak jest, a przed nim jego ojca i ojca jego ojca.

— Ale obiecałeś — przypomniała mu Helmwige.

Otto podszedł do barku koktajlowego w stylu lat trzydziestych, znalazł butelkę sznapsa i nalał sobie drinka.

— Owszem, obiecałem — zgodził się. — I popatrz tylko, co z tego wynikło. Istota o doskonałej budowie ciała. Doskonałe mięśnie, doskonały wzrok, doskonały słuch. Szkoda tylko, że jej iloraz inteligencji jest ciut poniżej temperatury pokojowej. Helmwige nie przestawała gładzić krótko ściętych blond włosów młodego człowieka. Ani razu nie podniósł na nią wzroku, nie uśmiechnął się, nie zmarszczył brwi, jakby w ogóle nie dostrzegał jej obecności, póki nie zaczęła samymi koniuszkami paznokci gładzić go po karku, w miejscu gdzie rosną owe drobne i ledwie widoczne włoski. Wówczas jego członek stopniowo nabrzmiał i wyprostował się, jeszcze nie do stanu pełnej erekcji, lecz dość, by jego zgrubienie i powiększenie stało się widoczne.

— Helmwige — upomniał ją Otto, beznamiętnym tonem głosu zdradzając, że nie był zainteresowany ani zazdrosny. Młodzieniec przedstawiał dlań mniejszą wartość niż laboratoryjny szympan. Był po prostu zawalidrogą, któremu trzeba było dawać jeść, udzielać schronienia i wyprowadzać na spacer. Gdyby Helmwige tak za nim nie przepadała, prawdopodobnie spaliłby go już wiele lat temu. Ten wielki gruby kutas płonąłby niczym

gromnica.

Helmwige przejechała paznokciami wzdłuż całego kręgosłupa młodego człowieka. Potem przebiegła dobrze rozwinięte linie mięśni trójgłowych, jego *teres minor* i *teres major* oraz *latissimus dorsi*. Gdy gładziła ramiona, łańcuchy lekko zabrzęczały, penis zaś nabrzmiał jeszcze bardziej, aż napletek sam począł się odwijać, ukazując nagą żołądź o wydatnej krawędzi i głęboko rozwartej szczelinie.

— Powinieneś nadać mu nazwisko — powiedziała Helmwige. — Jak można istnieć bez nazwiska i imienia?

Otto upił z kieliszka sznapsa i przejechał po cienkich wargach koniuszkiem języka.

— On nie potrzebuje nazwiska.

— Jak można żyć bez nazwiska? — zaprotestowała Helmwige. Sprzeczekali się o to więcej razy, niż Otto mógł zliczyć.

— Jedyne, co ma robić, to po prostu żyć — odparował. — Nazwisko nie jest do tego konieczne. Pies może rozumieć po angielsku, ale nawet najmądrzejszemu psu nie kupuje się książek.

Helmwige pogładziła młodzieńca po pośladkach i po bokach ud. Potem poleciała mu tonem całkiem rzeczowym:

— Odwróć się, będziesz mądrym pieskiem.

Szczekając i dzwoniąc łańcuchami, młody człowiek odwrócił się i stanął na czworakach. Nie stracił nic ze swojej niezwyklej urody. Grzbiet wygiął mu się pysznym łukiem, naprężyły mięśnie ud. Nadal się nie odzywał, gotowy do słuchania rozkazów.

— No i popatrz no tylko na niego! — Helmwige błysnęła zębami. — Może wziąć go na smycz i wyjść z nim na spacer?

— Prawdopodobnie któregoś dnia cię zabije — zauważył Otto, opróżniając kieliszek i zaraz nalewając sobie drugi.

— Och, on mnie nie zabije. On mnie kocha! Wprost uwielbia! Tylko ja daję mu to, co lubi!

— Tak ci się tylko wydaje — powiedział Otto. — Ty go upokarzasz. A powinnaś wiedzieć, że nawet masochista ma swoją dumę. — Poklepał się po kieszeniach szortów. — Gdzie są moje papierosy? — zapytał.

— Na stole — odpowiedziała Helmwige.

— To marlboro. Dobrze wiesz, że palę tylko ernte 23. Helmwige roześmiała się ironicznie.

— Palisz też detektywów i różnych innych ludzi.

— Zostaw w spokoju tego chłopca! — uciął Otto. — Przynieś mi papierosy!

— Och, sam sobie znajdź swoje papierosy — odparła Helmwige. — Popatrz no tylko na to.

Długimi czerwonymi paznokciami rozchyliła młodemu człowiekowi pośladki. Następnie z sarkastycznym uśmiechem w oczach, który, jak to dobrze wiedziała, wprawiał Ottona we wściekłość, oblizwała palec wskazujący i wbiła go bez wahania w węzłąstą muskularną różę na siedzeniu młodzieńca. Ów wzdrygnął się, głośno wciągnął powietrze, lecz przyjął zakończony ostrym paznokciem palec bez słowa skargi.

— Zdaje się, że w Ohrdruf byłaś jeszcze gorsza — skomentował Otto.

— W Ohrdruf wszyscy byli gorsi. Strażnicy, więźniowie, wszyscy. Było w tym tyle naszej winy, co i więźniów. Sami sobie zgotowali ten los. Widziałeś kiedyś rasę ludzką o takiej żądzy śmierci? Jak może morderca stać się tym, kim jest, bez pomocy swych ofiar? Wspólnikiem każdego mordercy, mój drogi Ottonie, jest jego ofiara.

Powoli wyciągnęła palec. Następnie objęła dłonią jądra młodzieńca i na przemian ściskając je i masując doprowadziła do tego, że nie mieściły się jej w palcach.

Otto odwrócił wzrok.

— Jesteś odrażająca, moja droga. I zawsze taka byłaś. Przypuszczam, że jedyną cechą, która mi to rekompensuje, jest twój całkowity brak szacunku dla ludzkiego życia, nie wyłączając własnego.

— Odwróć się! — rozkazała Helmwige młodemu człowiekowi, ten zaś podporządkował się bez słowa. Helmwige chwyciła w obydwie dłonie ogromny pożyłkowany pal jego członka i przesunęła nimi w górę i do dołu, badawczo i ze skupieniem spoglądając mu przy tym w oczy.

— A zatem, co to za uczucie? — zapytała go. — Lubisz to? A może nienawidzisz? W gruncie rzeczy sam nie wiesz, co? Jakaż to roślina!

Teraz koniuszek członka stał się błyszczący i śliski. Helmwige poruszała ręką coraz mocniej i szybciej. Na doskonale gładkich policzkach młodzieńca pojawiły się leciutkie rumieńce, mięśnie brzucha stężały, zamknęły się oczy. Wydawało się, iż jego penis, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze się powiększył, szpara zaś rozwarła się niczym skrzela wielkiej ryby chwytającej powietrze.

— Już — rozkazała Helmwige z nieoczekiwaną łagodnością i pochyliła głowę. Jej usta objęły zakończenie członka w tej samej chwili, gdy zadygotał i wytrysnął. Przez blisko pół minuty czekała, trzymając głowę z warkoczami na jego kolanach, i nim wreszcie się podniosła, odciągnęła napletek tak daleko, jak tylko mogła, i ostatnim liźnięciem nadała jego

lśniącej skórze ostateczny połysk.

Wstała i z błyszczącymi wargami zbliżyła się do Ottona. Młody człowiek z ciągle spuszczoną głową i kurczącym się penisem pozostał tam, gdzie był.

— Nie widzisz, Otto, jaki ci składam hołd? — drażniła się Helmwige.

Otto wzdrygnął się i odwrócił w drugą stronę, a jego palce zacisnęły się na kieliszku sznapsa.

— Otto... ty pozostaniesz na zawsze moim prawdziwym mistrzem. Popatrz, co dla ciebie zrobiłam! Oto Mengele wyprodukował tę swoją tak zwaną rasę panów, a ja ją po prostu połknęłam!

Otto nie odwracał się. Minęło kilka chwil; na zewnątrz szosa rozjęczała się syrenami. Helmwige powiedziała:

— Czym jest śmierć, Otto? Gdzie się zaczyna i gdzie się kończy? Załóżmy, że twoja matka połknęłaby spermę twojego ojca tej nocy, kiedy miałeś zostać poczęty? Zabiłaby cię! Umarłbyś, został wydalony i popłynął ze ściekami aż do Bałtyku niczym najmniejszy atom z całego wszechświata.

— Helmwige — powiedział wreszcie Otto, nadal nie chcąc odwrócić twarzy. — Jeśli jeszcze raz dotkniesz tego młodego człowieka, spalę go na twoich oczach. Ostrzegam!

Helmwige uśmiechnęła się.

— Czemu miałabym się tym martwić, Otto? Możesz przestraszyć wielu, wielu ludzi, ale nie potrafisz przestraszyć mnie. Tak czy owak, co to ma za znaczenie, jeśli i tak zamierzasz spalić cały świat?

## Rozdział 16

Lloyd nalewał sobie kolejną filiżankę kawy z ekspresu Kathleen, gdy ujrzał zatrzymującego się przed domem mercedesa. Wsiadł z niego Otto, a w ślad za nim Helmwige. Podeszli do drzwi frontowych i zadzwonili.

— W porządku — powiedział Tom — ja otworzę! Lecz Lloyd zawołał:

— Nie! Zostaw! Nie otwieraj! Kathleen była już w połowie schodów.

— O co chodzi? — zapytała. — Co się stało? Lloyd szybko wszedł na schody i wziął ją za rękę.

— To znowu oni. Otto i ta kobieta.

— Wrócili? Jak myślisz, po co?

— Nie mam pojęcia, ale byłoby lepiej, gdybyś Toma i Lucy trzymała od nich z daleka.

Ponownie zabrzmiał dzwonek. Przez szybę widzieli zniekształconą sylwetkę Ottona. Człowiek ten począł już wzbudzać w Lloydzie rodzaj dręczącego lęku; czegoś podobnego doświadczał człowiek budzący się w środku nocy ze strachem, iż ma raka.

— W porządku — odrzekła Kathleen — to tylko tak na wszelki wypadek. Tom... Ciotka Lucy jest na górze; nie zaniósłbyś jej jeszcze jednej filiżanki kawy?

Gdy Tom ostrożnie wnosił filiżankę na górę, Lloyd podszedł do drzwi i otworzył. Na progu, uśmiechając się chłodno w blasku słońca, ubrany w swój staroświecki szary garnitur i kapelusz z szerokim rondem, stał Otto. Helmwige miała na sobie czarną minispódniczkę i skórzaną kurtkę, która wyglądała, jak gdyby należała niegdyś do samego sędziego Dredda.

— Czego tym razem chcecie? — Lloyd, cały spięty, zapytał Ottona.

Ten zajrzał do domu niczym dentysta do jamy ustnej pacjenta.

— Nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy weszli do środka?

— Owszem, mam bardzo wiele przeciwko temu. Czego chcecie?

Błądzący wzrok Ottona zatrzymał się na komarnicy, drżącej na framudze drzwi w ciepłej porannej bryzie.

— Dał mi pan słowo, panie Denman, że nie powie pan o nas nikomu.

— Dotrzymałem go.

— Och? W takim razie może potrafi pan wytłumaczyć wizytę, jaką złożyli nam dziś rano trzech policjanci, którzy o pana pytali. Wizytę, mógłbym dodać, bardzo nieprzyjemną, zakończoną w najwyższym stopniu pożałowania godną tragedią.

— Tragedią? — zapytał Lloyd. Uświadomił sobie, że jego lewa powieka mimo woli mruga. Był wyczerpany i zestresowany, a przede wszystkim bał się tego, co Otto może

zechcieć z nimi zrobić.

— Miał miejsce pożar i wypadek samochodowy — wyjaśnił Otto, jego oczy zaś w dalszym ciągu wpatrywały się w komarnicę. — Tak jak powiedziałem, w najwyższym stopniu godne pożałowania. Lecz wszyscy wiemy, że praca w policji nie należy do bezpiecznych.

— Pożar? Spaliliście sierżanta Houka?

— Tak się nazywał? Nie powinien pan mu mówić, gdzie nas szukać. To był wielki błąd.

— Nic mu nie mówiłem.

Otto pochylił się ku Lloydowi, a na jego wargach zakwitł nikły, leniwy uśmiezek.

— Och, niech pan da spokój, panie Denman. Czy pan mnie ma za Dummkopf!

— Boże, pan zwariował — westchnął Lloyd.

— Wprost przeciwnie — odparł Otto. — Jestem prawdopodobnie jedynym na całym świecie człowiekiem, który zachował stan całkowitej równowagi umysłu.

— Czego chcecie?

— Ja chcę pana, panie Denman, i chcę panią Kerwin.

— Nie rozumiem.

W tej chwili Lloyd nienawidził go tak bardzo, że najchętniej złapałby go za gardło i udusił. Lecz jak gdyby wyczuwając nagły przypływ wrogości u Lloyd'a, Helmwigie zrobiła krok do przodu i stanęła u boku Ottona z wyrazem groźby na twarzy. Lloyd widywał taki wyraz na obliczach porządkowych podczas koncertów rockowych. Połamia ci kości albo nie połamia, to zależy tylko od ciebie. Niemniej zrobią to, jeśli zajdzie taka potrzeba.

— Panie Denman — jął tłumaczyć Otto — przesilenie letnie wypada w najbliższą środę. Wówczas dopełni się ceremonia naszej Transformacji. Będę mógł przestać martwić się o to, czy naszych przygotowań nie zakłóca natręci. Lecz do tego czasu zmuszony jestem prosić, byście wraz z panią Kerwin zostali moimi gośćmi. Pozwoli to zapobiec rozprzestrzenianiu się fałszywych pogłosek, które mogłyby wrogo nastawić wobec nas okoliczną ludność.

— Oczekuje pan, że po tym, co pan czyni, ktokolwiek będzie do pana nastawiony przyjacielsko? — nastawał Lloyd.

— Oczekuję tylko, by mnie zostawiono w spokoju — odparł Otto.

— Cóż, jeśli pan się spodziewa, że przeniesiemy się do pana, to musi pan być szalony.

Otto nie mógł się oprzeć pokusie, jaką stanowiła dlań komarnica. Nakrył ją dłonią i dyskretnie włożył do ust. Lloyd skrzywił się w grymasie obrzydzenia.

— Nie powinien pan wydawać pochopnych sądów, panie Denman — powiedział doń



Otto. — Istnieją też inne sposoby na życie, nie tylko *nouvelle cuisine* i pogoń za domkiem jednorodzinym z kominkiem z prawdziwej cegły.

— Niech pan nie próbuje ze mnie drwić, Herr Mander — ostrzegł go Lloyd. — A teraz zabierajcie się stąd, do cholery, i żebym was tu więcej nie widział.

Otto podniósł do góry rękę.

— Przyszedłem pana zabrać, panie Denman, wszystko jedno w jaki sposób. Jeśli pan i pani Kerwin nie zgodzicie się zamieszkać u mnie do czasu przesilenia, wówczas, wierzcie mi, spłoniecie również.

— To blef — rzekł Lloyd. Wynoście się stąd, zanim zrobię coś, czego później mógłbym żałować.

Otto popatrzył nań. Niemal w tej samej chwili Lloyd poczuł ostry ból w samym środku czoła i usłyszał skwierczenie przypalanej skóry. Krzyknął i podniósł dłoń do czoła. Otto wypalił mu na skórze niewielki okrągły znaczek.

— Jak pan widzi, to „O” jak Otto — uśmiechnął się. — Jest pan teraz naznaczony, panie Denman, niczym nierozumne zwierzę. Pan do mnie należy. Mógłbym, tak jak tu stoję, panie Denman, spalić pana na popiół. Lecz mam co do pana i pani Kerwin pewne specjalne zamiary... i wolałbym nie czynić panu krzywdy, chyba że nie będę miał innego wyboru... a w każdym razie niezbyt wielką. Choć, jak powiedział kiedyś markiz de Sade, agonia to sprawa względna.

Lloyd postąpił ostrożnie krok w tył. Czoło bolało, jak gdyby wciąż jeszcze dotykał go ogień.

— Chce pan, żebyśmy u pana zamieszkali? W pańskim domu w Rancho Santa Fe?

— Do środy, panie Denman, tylko dla spokoju mego ducha. Nie chciałby pan chyba go naruszyć, prawda, panie Denman?

— Chyba nie — odparł Lloyd. Helmwige roześmiała się.

W tej chwili pojawiła się Kathleen. Otto skłonił się i trzasnął obcasami.

— *Guten Morgen, gnädige Frau.*

— Lloyd? — zapytała Kathleen. — Co tu się dzieje? Co ci się stało w czoło?

Do Rancho Santa Fe jechali przy dźwiękach *Walkirii* ze stereofonicznego odtwarzacza. Wewnątrz samochodu, który przypominał wyściełaną czarną skórą lodówkę, było tak zimno, że Kathleen miała dreszcze. Helmwige prowadziła, Otto siedział z nienagannie zsuniętymi nogami na miejscu dla pasażera i palił papierosa w bursztynowej cygarniczce. Muzyka była zbyt głośna, by prowadzić jakąkolwiek sensowną rozmowę.

Siostrę Kathleen, Lucy, zaskoczyła i zmartwiła jej nagła prośba o zaopiekowanie się

Tomem przez tydzień, Otto i Helmwige zaś najwyraźniej wydali jej się podejrzani. Lecz Kathleen wytłumaczyła, że Otto jest konsultantem stanów depresyjnych wydziału psychiatrii Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego i że chce spędzić z nim kilka dni, by pomógł jej znieść ból po stracie Mike'a.

— A przy tym to dobry znajomy — zapewniła Lucy, gdy Helmwige włożyła ich torby do bagażnika.

— Nigdy nie wspominałaś o nim przedtem — odparła Lucy. — On zaś z pewnością nie wygląda na jakiegokolwiek konsultanta. Ani też na człowieka, z którym mogłabyś się zaprzyjaźnić.

— Różni bywają znajomi — powiedziała Kathleen i pocałowała ją w policzek. — Wrócę w czwartek rano. Opiekuj się Tomem.

— O niego się nie martw.

Dotarli do domu przy Paseo Delicias i skręcili na pochyły podjazd, gdzie zaparkowali obok mercedesa 380SL. Helmwige otworzyła drzwi i posłusznie wysiedli.

— Helmwige wniesie wasze rzeczy do środka — powiedział im Otto. — Proszę za mną... Pokażę wam wasz pokój.

— Gdzie Celia? — zapytał Lloyd rozglądając się. — Jest gdzieś tutaj?

Otto odwrócił się ku niemu z twarzą pomarszczoną jak biały papier toaletowy.

— Wszystko panu wyjaśnię w odpowiedniej chwili, panie Denman. I w odpowiedniej chwili pokażę panu pańską przyszlą małżonkę.

— Pan jest chory — powiedział mu Lloyd.

— Nie pan to będzie oceniał, ale historia. — Otto uśmiechnął się.

— A co z pańskim przyjacielem? — zapytał Lloyd. — Tym facetem w kajdanach?

— A co ma być?

— W dalszym ciągu jest tutaj? Nie jestem pewien, czy pani Kerwin powinna być narażona na jego widok.

— To nikt. On nie jest nawet osobą.

— Co pan rozumie przez „on nie jest nawet osobą”? To czym on jest, do cholery... podwójną porcją jaja na twardo?

Otto zatrzymał się na werandzie i osadził Lloyda spojrzeniem, które mogłoby spalić jezioro.

— Niech pan sobie ze mną nie dowcipkuje, panie Denman. Niech się panu nie zdaje, że ma pan taki przywilej. Dobrowolnie i bardzo nierozsądnie wsadził pan nos w cudze sprawy i teraz płaci pan za swoje wścibstwo. Wiele razy mogłem pana spalić. Niech pan będzie

wdzięczny, że tego nie uczyniłem, ale i liczy się ze słowami. Zawsze mogę jeszcze zmienić zamiar.

Lloyd nic nie odpowiedział. Wyczuł, że za wiele sobie pozwolił wobec Ottona, a to, że nie nosił on broni, nie znaczyło jeszcze, że nie może zabić go z równą łatwością co przy użyciu pistoletu, a w tysiąc razy większych męczarniach. Pozwolił, by Otto zaprowadził go do domu, Kathleen zaś nieco z tyłu poszła ich śladem.

Otto wprowadził ich do salonu. Lloyd ujrzał, że ogniwa łańcucha w dalszym ciągu znajdowały się na podłodze, choć młodzieńca nie było. Od wewnątrz salon jeszcze bardziej niż widziany przez okno przypominał wystawę sztuki stosowanej lat trzydziestych. Tapeta miała kolor brunatny, meble po większej części wykonane były z laminowanej sklejki i chromowanej stali. Na ścianach tuzinami wisiały utrzymane w tonach sepii fotografie przedwojennych Niemiec. Piękne dziewczęta w futrzanych etolach, uśmiechnięci młodzi ludzie, tarasy i ośnieżone szczyty gór.

W rogu stał staroświecki gramofon, a obok niego stos szybkoobrotowych płyt. Na wierzchu leżało nagranie *Die Wacht am Rhein*.

Lloyd popatrzył na narysowaną na ścianie ogromną jaszczurkę.

— Nasz przyjaciel gekon krzyżonogi — zauważył. Otto popatrzył nań zimno.

— To, mój drogi, jest salamandra. Symbol naszej Transformacji.

Kathleen weszła do środka i rozejrzała się. Rzuciła Lloydowi znaczące spojrzenie, lecz oboje wiedzieli, że bezpieczniej się nie odzywać.

Helmwige zaprowadziła ich na górę do pokoi. Oba były malutkie i miały stromy, mansardowy sufit, łóżko w pokoju Lloyd'a zaś okazało się zaledwie rzuconym na podłogę materacem. Z okna miał ograniczony wierzchołkami drzew widok na leżące u dołu zbocza Fairbanks Ranch, lecz od razu zauważył, że ucieczka przez okno nie miała żadnych widoków powodzenia. Pod parapetem znajdowała się krótka pochyłość dachu pokrytego dębowymi krokwiami, niżej zaś pionowy spad aż do poziomu podwórka. Wyjrzał przez okno i zobaczył młodego człowieka, który uprzednio był przykuty łańcuchami w salonie, przekopującego ogródek. Młodzieniec miał na sobie workowate szorty i koszulkę bez rękawów, której grzbiet był mokry od potu. Lloyd'a zastanowiło, czemu pracuje w ogrodzie w oślepiającym popołudniowym żarze. Przynajmniej nie był nagi. Lecz gdy popatrzył po raz drugi, ujrzał, iż młody człowiek w dalszym ciągu ma ograniczoną swobodę ruchów. Długi łańcuch obejmował bowiem jego prawą kostkę. Niezwykle dziwaczne.

— Dozwolone jest wszystko z wyjątkiem wyjazdu — powiedziała Helmwige. — Włos wam z głowy nie spadnie. Wiele można powiedzieć o Ottonie, ale zawsze dotrzymuje danego

słowa.

— Miło to słyszeć — odrzekł Lloyd. — O której jest lunch?

— On opowie wam wszystko dziś wieczór — odparła Helmwige. — Ja go znam. Ciągłe mówi o zachowaniu tajemnicy, lecz bardzo się niecierpliwi, by pokazać całemu światu, co udało mu się osiągnąć. Częścią owych dokonań jest pańska Celia, panie Denman. Nie zdoła się oprzeć pokusie pochwalenia się.

— Najpierw pali ludzi, a potem się tym chwali? Helmwige uśmiechnęła się nieomal przyjaźnie.

— Wciąż pan tego nie pojął, co, panie Denman? Ma pan to pod samym nosem. Może wreszcie powinien pan zobaczyć rzeczy takimi, jakie są naprawdę, a nie takimi, jakie by pan chciał je widzieć.

Powróciła na dół, zostawiając ich samych. Kathleen podeszła do Lloyd'a i przywarła do niego mocno, nie odzywając się ani słowem. Lloyd otoczył ją ramionami.

— Nie martw się... — powiedział — naprawdę nie ma o co. Wszystko będzie dobrze. O ile rozegramy to spokojnie, na luzie i nie stracimy głowy.

— Ale co oni takiego robią? — zapytała Kathleen. — Czy to są szpiecy, czy co? A jeśli to taki wielki sekret, że aż musimy tu siedzieć, dlaczego Otto tak bardzo się chce nim pochwalić?

— I co to takiego, co rzekomo mam pod samym nosem, a czego nie zauważam?

Kathleen potrząsnęła głową.

— To wszystko jest takie dziwne. Czuję się tak, jak gdybym za chwilę miała się obudzić w łóżku obok Mike'a i stwierdzić, że wszystko to nigdy się nie zdarzyło.

Około szóstej po całym domu począł się rozchodzić mocny zapach kapusty. Kilka minut po siódmej do ich drzwi zapukał młody człowiek i poprosił o zejście na posiłek. Miał na sobie te same szorty i koszulkę co w ogrodzie i pachniał potem.

— Lubi pan ogrodnictwo, co? — zapytała Kathleen. — Ja wprost za nim przepadam!

Młodzieniec popatrzył na nią bez wyrazu.

— Widzieliśmy pana w ogrodzie — powiedziała Kathleen, starając się, by jej głos zabrzmiał pogodnie. — Pan kopał, czyż nie tak? Widzieliśmy pana przy kopaniu.

Młody człowiek nadal nic nie mówił.

— Wygląda na to, że światła się palą, ale nikogo nie ma w domu — zauważył Lloyd.

— Czy pan *comprenez anglais!* — spytała Kathleen. — Ale przecież pan poprosił nas na kolację. A może to tylko słowa, których nauczył pana Otto?

— Macie zejść teraz zjeść. To wszystko, co mi wolno powiedzieć.

— Nie wolno panu nawet powiedzieć: „Jak się macie, życzę miłego dnia”?

— Daj spokój, zostaw to, Kathleen — powiedział Lloyd. — Chodźmy już lepiej zjeść.

Młodzieniec zszedł z nimi po schodach i wprowadził do niewielkiej jadalni umeblowanej w odcieniach ciemnego dębu. Otto zasiadł już u szczytu stołu, po swojej lewej ręce mając Helmwigę. Wokół wisiały na ścianach krzykliwe amatorskie malowidła z Bawarii: fioletowe góry, czarne sosny i zieloniutkie jeziora, chociaż na honorowym miejscu wyeksponowana była oprawiona w ramki fotografia mężczyzny o srogim spojrzeniu, prostokątnej twarzy, upstrzonych przez trądzik policzkach i długich krzaczastych bokobrodach.

— Wagner — powiedział natychmiast Lloyd. Tak wiele jego portretów widywał w rozprawach Celi.

Otto przytaknął.

— Owszem, Wagner, któremu zawdzięczamy tak wiele.

— Czy on — Kathleen kiwnięciem głowy wskazała młodzieńca — nie zje razem z nami?

— Nie, nie — odparł Otto mocno zdziwiony. — On z nami nie jada.

Helmwigę podniosła pokrywę ogromnego naczynia żaroodpornego z błękitnej porcelany. W powietrzu rozszedł się mocny zapach kiszzonej kapusty z szynką.

— *Choucroute* — obwieściła Helmwigę. — Sama ją zrobiłam. Kiszona kapusta z wieprzowiną i kluseczkami wątrobianymi.

Nałożyła trzy kopiaste talerze i postawiła je przed Kathleen, Lloydem i sobą. Otto nie jadł nic poza odrobiną suchego chleba, który połamał na małe kawałeczki. „Za dużo owadów między posiłkami” — pomyślał Lloyd, lecz postanowił nie mówić tego głośno. Przyrządzone przez Helmwigę jedzenie było wystarczająco tłuste i nieapetyczne, by jeszcze wspominać Ottona zjadającego muchy.

Kathleen podniosła na końcu widelca ogromny, biały plaster trzęsącego się tłuszczu wieprzowego.

— Przepraszam — powiedziała. — Nie mogę tego zjeść. Jestem na diecie.

Wyraźnie zirytowana Helmwigę zabrała widelec i strząsnęła tłuszcz na własny talerz. Pokroiła go i zjadła ze smakiem, aż sok spływał jej po brodzie.

— Widywałam, jak ludzie zabijali się z powodu takiego jedzenia — rzekła.

Lloyd odłożył widelec.

— Zgaduję, że to musiało być przed nadejściem czasów *nouvelle cuisine* — zauważył.

W rzeczywistości, gdyby tylko mógł jadać ten rodzaj ciężkich posiłków, jakie podtrzymują przy życiu alzackich robotników polowych, prawdopodobnie uznałby kuchnię Helmwige za bardzo dobrą. Spróbował odrobinę kapusty, która okazała się ostra, pikantna i doskonała.

Lloyd i Kathleen przez kilka minut dziobali swoje dania w milczeniu, podczas gdy Helmwige hałaśliwie pożerała mięso i tłuszcz, ziemniaki i kiszoną kapustę. Od czasu do czasu Otto z wybredną miną zjadł kawałek chleba lub pociągnął z kieliszka alzackiego rieslinga, lecz przez większość czasu siedział u szczytu stołu, jak gdyby na coś czekał, sam nie wiedząc na co. Strzelał kolejno palcami w stawach, przeciągał się i wzdychał.

— Kim jest ten młody człowiek? — zapytała Kathleen. Otto zwrócił wzrok w jej kierunku.

— Mówi pani do mnie?

— Owszem. Chciałam wiedzieć, kim jest ten młody człowiek. Ten, który zawołał nas na kolację.

— To nikt — odparł Otto.

— Co pan przez to rozumie? Każdy człowiek kimś jest.

— On nie. Należy do linii genealogicznej, która nigdy nie powinna istnieć. Jest... jak wy to nazywacie?... dziwołogiem, pomyłką.

— Dla mnie wygląda normalnie — powiedziała Kathleen.

— Oczywiście! — Otto uśmiechnął się. — Fizycznie jest bez skazy. Lecz wewnątrz... hm, ktoś może wiedzieć, co dzieje się w jego wnętrzu? Czasami sędzę, że jest geniuszem, czasami że idiotą. Kiedy zapytać go, gdzie mieszka, odpowiada, że w czarnym worku. Potrafi kłaść cegły niczym zawodowy murarz i przeprowadzać w pamięci obliczenia matematyczne, od których większości ludzi zakręciłoby się w głowie. Potem znów, kiedy zabrać go w nocy na dwór, rzuca kamieniami w księżyc, próbując w niego trafić.

— Cóż, to straszne — powiedziała Kathleen. — Jest taki przystojny!

— Rasa panów nie została stworzona wyłącznie dla urody — odrzekł jej Otto.

Wówczas właśnie Lloyd podniósł wzrok znad nie dokończonego dania i spojrzawszy na symbol wpisanej w okrąg salamandry, w końcu zrozumiał to, czego dotąd nie potrafił dostrzec. Rasa panów. Łeb salamandry był wygięty w bok, tak samo nogi. Kiedy popatrzył na nią spod przymrużonych powiek, odkrył, że patrzy ni mniej, ni więcej, tylko na swastykę.

— Pozwólcie mi wytłumaczyć, co takiego robimy — rzekł Otto. — Nie będzie w tym żadnej szkody, jako że zostanieie tutaj, póki nie dopełni się Transformacja.

Helmwige z pełnymi ustami podniosła oczy do góry z politowaniem dla łatwości, z jaką można było przewidzieć poczynania Ottona. Widelcem wskazała talerz Kathleen.

— Mniam! Mniam! — powiedziała, zachęcając ją do zjedzenia wszystkiego.

— W roku 1936 — mówił Otto — gdy tylko został mianowany kanclerzem, Hitler zlecił grupie lekarzy różnych specjalności medycznych zbadanie możliwości stworzenia rasy panów opartej na naturalnej wyższości Aryjczyków. Uczeni ci bezzwłocznie zabrali się do pracy w swych laboratoriach i szpitalach, usiłując dochować się idealnych niemowląt. — Poprawił się na krześle i zaplótł ręce. — *Der Führer* również mnie zaprosił do wzięcia udziału w tym programie. Byłem w owych czasach bardzo młodym studentem filozofii w Bazylei, lecz zdążyłem się już wykazać zainteresowaniem dla idei narodowosocjalistycznych i zwrócić na siebie uwagę Josepha Goebbelsa. To właśnie on polecił mnie Hitlerowi.

Zajmowałem się wówczas zupełnie innymi koncepcjami, nie mającymi nic wspólnego z hodowlą dzieci. Byłem myślicielem, a nie hodowcą. Oprócz tego uważałem hodowlę za proces zbyt powolny i zbyt trudny do kontroli! *Der Führer* pragnął zmienić charakterystykę rasową świata w ciągu dziesięciolecia, a nie czekać na niemożliwe do przewidzenia rezultaty przez kilka stuleci!

Jak wielu pokoleń wymaga wyprodukowanie dzieci, które byłyby piękne, jasnowłose i miały wymaganą objętość mózgowiczaszki? I jaką można mieć gwarancję, że te doskonałe stworzenia wyrosną równie zdolne co urodziwe?

Nie... — rzekł, uśmiechając się i pociągając łyk wina z kieliszka. — Poszukiwałem rasy panów, która nie tylko gwarantowałaby fizyczne piękno i błyskotliwą umysłowość, lecz której przygotowanie byłoby kwestią lat, może miesięcy, a może nawet tygodni! Oznaczało to dobór ludzi, którzy zdążyli już wykazać pożądane cechy charakterystyczne. Nie hodowanie niemowląt, rozumiecie, lecz przekształcanie dorosłych.

Odsunął do tyłu krzesło i powstał.

— Spędziłem całe lata na uniwersytecie w Salzburgu, szukając sposobu. Przebadałem całą historię i wszystkie legendy aż do czasów wikingów w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki. Wreszcie poczęłem napotykać wzmianki o ceremonii Transformacji na terenach pomocnej Jutlandii. Najdzielniejsi i najinteligentniejsi osobnicy spośród wielu społeczności byli tam spalani po to, by nigdy nie umrzeć.

Jeżeli zachowany został odpowiedni rytuał, ogień nie niszczył ich, lecz przekształcał i unieśmiertelniał. Innymi słowy, Duńczycy palili żywcem swoich najlepszych ludzi, by ich na zawsze zachować, by uczynić ich członkami założycielami czystej i nieśmiertelnej rasy. Już przedtem próbowali zachowywać ludzi przed śmiercią poprzez wtrącanie ich do torfowych bagien, lecz bez rezultatu. Odpowiedzią okazał się ogień!

Kathleen popatrzyła przez cały stół na Lloyda, lecz na jej twarzy w miejsce niewiary

pojawiało się zrozumienie. Oboje wystarczająco napatrzyli się na umiejętności Ottona, by wiedzieć, że przynajmniej część tego, co mówił, musiała być prawdą.

— Ponadto w Salzburgu natrafiłem na nie publikowane dzienniki Paracelsusa, szesnastowiecznego alchemika, który dla własnej satysfakcji udowodnił, że istnieje bezpośredni fizyczny i mistyczny związek pomiędzy życiem a ogniem. Zarówno życie, jak i ogień karmią się życiem innych. Lecz jeśli zostaną połączone, tworzą najpierw życie, które jest ogniem, a następnie w chwili pełnej Transformacji ogień, który jest życiem.

To był przełom w mojej pracy! Przeszukałem również biblioteki Lipska, Drezna i Londynu i raz po raz napotykałem wzmianki o życiodajnych własnościach ognia. Odkryłem, że istnieje nordycki rytuał, który sprawia, iż kiedy spala się istotę ludzką, jej dusza łączy się z ogniem tworząc półbyt, który nazywam salamandrą od legendarnej jaszczurki, co kryje się w najgorętszych zakamarkach paleniska kuźni.

Salamandry są wysoce nietrwałe. Mogą być letnie jak ludzkie ciało i gorące jak ogień, zależnie od swego temperamentu. Czasami odczuwają przenikliwy chłód, przez co maskują się szalikami, płaszczami i rękawiczkami. Kiedy indziej jest im nieznośnie gorąco. Gdy stają się zbyt podniecone, potrafią spontanicznie zapłonąć i palić się niczym fosfor. Jak w czasie Nocy Walpurgii!

Zatrzymał się i odchrząknął. Jego żółte oczy węża zdawały się zwrócone nie tylko ku czemuś zupełnie innemu, ale i gdzieś indziej. Ku innemu czasowi, innemu miejscu: gdzie nocą płonęły ognie, łopotały czarno–czerwone chorągwie i głosy ryczały niczym morze.

Helmwige skończyła jeść i poczęła z hałasem zbierać naczynia.

— Ceremonia Transformacji — mówił Otto — musi mieć miejsce w dzień przesilenia letniego, kiedy moce ziemskie są u szczytu sił. Nie mówię tu o magii ani o mistryce! Są to siły natury grawitacyjnej, magnetycznej i psychokinetycznej — siły wymierne, które od milionów lat stoją na straży równowagi planety Ziemi.

Musi zostać odegrana starożytna muzyka i muszą być odśpiewane starożytne słowa. Wówczas salamandry staną się ciałem. I to ciałem nie byle jakim, bo nieśmiertelnym! I ciałem, które w dalszym ciągu dysponuje potęgą ognia!

Lloyd skinął głową w kierunku Helmwige.

— Czy ona...? Otto przytaknął.

— Nieśmiertelna i pobłogosławiona mocą ognia. Poczuleś jej palce na swoim nadgarstku. Lecz jako reproductorka rasy panów nie przedstawia dla mnie żadnej wartości. W czasie wojny była lekarzem obozowym w Ohrdruf i złapała jakąś paskudną semicką zarazę, która pozostawiła ją jałową. Zabiłaby ją, gdyby się nie zgodziła na spalenie.



Lloyd przełknął ślinę, czyniąc wysiłek, by zapanować nad wstrętem, który budził w nim Otto.

— Zatem kiedy ktoś zostanie spalony z towarzyszeniem wszystkich należnych śpiewów, oszukuje swoją, jaką tam tylko ma, chorobę i żyje wiecznie?

Otto uśmiechnął się.

— *Ach so*, panie Denman. Szybko się pan uczy. Bo też — póki prawdziwość tego nie zostałaby jednogłośnie dowiedziona — kogo udałoby się panu namówić na spalenie się żywcem, jeśli nie tych tylko, którzy wiedzą, że są śmiertelnie chorzy?

— Jak Marianna z jej rakiem piersi? — zapytał Lloyd. Otto przytaknął.

— I pani mąż, pani Kerwin. Cierpiał na guz mózgu, który zabiłby go w ciągu sześciu do siedmiu miesięcy.

— To dlatego był taki przygnębiony po badaniach — powiedziała zszokowana Kathleen.

— Doktor Krantz odesłał go bezpośrednio do mnie — rzekł Otto. — W południowej Kalifornii istnieje cała sieć lekarzy pochodzenia niemieckiego, którzy swych pacjentów nie mających szans na wyleczenie odsyłają wprost do mnie. Bo jaki wybór mają przed sobą ci ludzie? Umrzeć dla świata, nie dokonawszy niczego? Czy też zostać nieśmiertelnym i zmienić cały kierunek rozwoju ludzkiej historii? Oto dlaczego zgadzają się na spalenie żywcem. Oto dlaczego zgadzają się zostać salamandrami.

— Lecz Celia nie była chora — zaprotestował Lloyd. — Nigdy nawet nie miała kataru.

Otto roześmiał się.

— Czyż nie potwierdza się, że mąż dowiaduje się o wszystkim ostatni? Lub też, w pańskim przypadku, przyszły mąż. Pańska ukochana Celia, panie Denman, była bardzo chora. Tyle tylko, że rozpaczliwie ukrywała to przed panem. Pan nalegałby, żeby się poddała kuracji. Nigdy nie miałaby możliwości zrobić tego, co zrobiła. Gdzież by w klinice znalazła zapalki i benzynę? Czy też w domu, pod pańskim czujnym okiem?

— Co takiego jej było? — zapytał Lloyd. W ustach miał sucho jak w rozdartym kapokowym materacu.

Otto na moment obejrzał się, jak gdyby nie słyszał, lecz zaraz odwrócił się z powrotem.

— Stwardnienie rozsiane — odpowiedział. — Stopniowe wycieńczenie, stopniowa utrata władzy w mięśniach, nieunikniona wczesna śmierć.

— Nie wierzę ci. Zabiłeś ją!

— Chce pan zobaczyć zapisy doktora Warburga? Mam je wszystkie w swoich aktach. Oczywiście nie jest pan lekarzem, lecz może pan zauważył, że gdy gładził pan podeszwy jej

stóp, jej wielki palec wyginał się do góry, a pozostałe palce rozczapierały się? To odruch Babińskiego. U zdrowych ludzi palce zginają się ku dołowi.

Otto nie mógłby powiedzieć nic bardziej przekonującego. Lloyd wyraźnie pamiętał, jak pewnej miłosnej nocy głaskał jej stopy i zauważył, w jaki sposób palce się rozczapierają. „Jak ty to robisz? — zapytał ją wówczas. — Ja tak nie potrafię”. Uśmiechnęła się wtedy, pocałowała go i rzekła: „Mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiesz”.

Lloyd był wstrząśnięty.

— Miała stwardnienie rozsiane? Czy aby na pewno?

— To zupełnie pewne — powtórzył Otto. — Nigdy nie mogłaby dać panu dzieci, których pan pragnął. Nigdy nie mogłaby być niczym więcej jak żoną-inwalidką. Wasze pożycie małżeńskie byłoby tragedią.

— A zatem się spaliła? Obróciła się w jedną z tych... jak je pan nazywa... salamander?

— Nie inaczej. Tym właśnie jest teraz. Lecz gdy w dzień przesilenia letniego odbędzie się ceremonia naszej Transformacji, ona stanie się ciałem lub czymś w rodzaju ciała. Ogniem przekształconym w życie. Odzyska ją pan, panie Denman, niech się pan nie boi... i to z raz na zawsze usuniętą groźbą choroby!

— A wszyscy ci ludzie w autobusie? — spytał Lloyd. — Czy również byli chorzy?

— Co do jednego. Niektórzy mieli przed sobą lata życia, inni zaledwie tygodnie. Lecz wszyscy podjęli decyzję, że droga salamandry jest ich drogą, i wszyscy byli gotowi znieść mękę śmierci w płomieniach w nadziei na wieczny żywot.

— Oni mieli wiarę, panie Denman. Byli niczym Sydrach, Misach i Abdenago, którzy nie ugięli się przed królem Nabuchodonozorem i wstąpili w gorejące ogniem palenisko. W samej rzeczy, istnieje historyczny dowód, że w szóstym wieku przed Chrystusem Babilończycy mieli rytuał bardzo podobny do rytuału salamandry.

— Dlaczego Celia spaliła się samotnie — zapytał Lloyd spięty — podczas gdy wszyscy inni spłonęli razem w autobusie?

— Celia była impulsywna, panie Denman. Sam pan wie, jaka impulsywna. Odwoziliśmy ją z powrotem do miasta po naszym ostatnim zebraniu, gdy wtem powiedziała: „Teraz. Zróbmy to teraz”. Dyskutowałem z nią. Pytałem, czy aby jest pewna. Lecz ona nalegała. Chciała to zrobić natychmiast.

— I pozwoliliście jej — rzekł Lloyd martwym głosem. Dłoń Ottona leżała płasko rozpostarta na stole. Paznokcie miał kredowej białości i otoczone obwódkami.

— Nie miałem wyboru, panie Denman. Tak wiele potrzeba, zanim dana osoba nabierze odwagi, by się podpalić. Jakie jest na to wyrażenie? Musi ona być „na fazie”. W owej chwili,

jadąc Rosecrans Street, Celia osiągnęła ów punkt szczytowy. Musiała się podpalić tu i teraz, w przeciwnym bowiem razie mogła nie zrobić tego nigdy. Zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, kupiliśmy kanister z benzyną i dalszy ciąg pan zn a.

Lloyd nie wiedział, co odrzec. Celia zebrała całą swoją odwagę, by się podpalić, całą swoją odwagę, by zmienić swoje życie, całą swoją odwagę, by stać się nieśmiertelną. Ale jemu, swemu przyszłemu mężowi, nie zaufała. Nie powiedziała ani słowa. Kto kogo bardziej tu zawiódł? Może on Celię, gdyż nie zorientował się, że jest chora? A może ona jego, gdyż nie zaufała mu i nie poprosiła o pomoc?

Mógłby ją pielęgnować, mógłby jej zapewnić opiekę. Lecz może ona nie chciała, by ją pielęgnował? Może nie chciała, by jej zapewniał opiekę? Może chciała tego, czego chciała zawsze — wolności, niezależności i pogoni za szczęściem, bez względu na wszystko?

Do pokoju weszła Helmwige, niosąc przed sobą ogromną misę z rżniętego szkła, wypełnioną agresywnie różowym deserem.

— Czekaj, czekaj — powiedział jej Otto. — Możemy to zjeść później. Daj mi pokazać panu Denmanowi salamandry, które oczekują przesilenia z tą samą co on niecierpliwością.

— Pewnego pięknego dnia ta twoja próżność doprowadzi cię do zguby — odparła Helmwige.

— A ciebie twoja bezczelność... do spalenia! — wyrębał Otto.

Helmwige wyszczerzyła na niego zęby.

— Pamiętaj, które z nas jest nieśmiertelne, Otto. Jeszcze zatańczę na twoim grobie.

Otto odsunął krzesło i wstał.

— Chodźcie ze mną — powiedział Lloydowi i Kathleen i ruszył ku wyjściu z jadalni.

Wahali się przez chwilę, spoglądając na Helmwige, lecz ona nakładała już sobie na talerz kopiastrą górę deseru i nie wydawała się wcale zainteresowana tym, co oni robią.

Przez kuchnię wydostali się na tyły domu. Słońce dopiero co zaszło i niebo, wysokie i czyste, miało kolor sasanek. Wtem Kathleen wzięła Lloyd'a za rękę. Szczupłe palce, ciepła i miękka skóra. Lloyd poczuł coś, czego nie odczuwał od lat, nawet u boku Celi. Poczucie bycia odpowiedzialnym. Poczucie, że kobieta polega na nim, iż ze wszystkim da sobie radę. W szkole średniej spotykał się kiedyś ze szczupłą szarooką dziewczyną imieniem Jane, przy której czuł się właśnie w ten sposób. Wyszła prawdopodobnie za agenta handlu nieruchomościami albo jednego z tych sprzedawców używanych samochodów, którzy wrzaskliwie reklamują się w telewizji.

Otto przekręcił klucz w tylnych drzwiach garażu, otworzył je na oścież i włączył górne światło.

— Śmiało! Popatrzcie! *Hier schläft die Zukunft!* Lloyd zerknął do środka. Ogromny garaż o niskim suficie miał pobielone ścianki z pustaków. W drugim końcu stał masywny i często używany warsztat z rzędami wiertel i kluczy, profesjonalnym imadłem i prostownikiem do ładowania akumulatorów. Lecz w środku bynajmniej nie było samochodów. Podłoga co do centymetra wypełniona była leżącymi na ziemi ciałami o ziemistych twarzach, martwymi lub uśpionymi. Wszystkie miały na oczach nieprzeniknione ciemne okulary i wszystkie okutane były po samą szyję ciężkimi szarymi kocami. Wyglądało to bardziej na kostnicę dla zmarłych czcicieli słońca niż na sanktuarium ludzi zdecydowanych na wszystko, by wieść wieczny żywot. W powietrzu unosił się zapach gorąca, przywodzący na pamięć miejską saunę lub tłącą się wełnę, i panowała temperatura dużo wyższa od normalnej. Lloyd zauważył na ścianie termostat, którego światelko paliło się czerwono.

— Salamandry — obwieścił Otto. — Połączenie duszy i dymu. Jak na razie jest ich osiemdziesiąt.

— O Boże, Lloyd — powiedziała Kathleen głosem bladym i przezroczystym jak woda w szklance. — To on. To Michael. Ten przy ścianie, mogę przysiąc. O Boże.

Rzuciła się do przodu, lecz Otto chwycił ją za rękę i przytrzymał.

— Niech mi pani wierzy, pani Kerwin, budząc go nie wyświadczy sobie pani przysługi. W tej chwili nie jest to mężczyzna, którego pani знаła. Dopiero gdy przejdzie Transformację, będzie taki jak dawniej i wówczas może go pani zatrzymać sobie na zawsze.

— Nie mogę z nim nawet porozmawiać? Dać mu znać, że tu jestem?

Otto leciutkim potrząśnięciem głowy odpowiedział odmownie.

— Jest zbyt nietrwały. Gdyby panią zobaczył, być może zachowałby spokój. Z drugiej strony jednak mógłby eksplodować. Mógłby odczuwać niechęć, gniew. Trudno powiedzieć. Lecz głównie chodzi o to, że mógłby panią spalić. Równie dobrze jak i wszystkich wokół. Nie mogę ryzykować wybuchu ognia w garażu, kiedy przebywają tu salamandry. Hm, aż strach pomyśleć, nieprawdaż, panie Denman? Jest tu również i Celia, widzi ją pan? Tam, koło drzwi.

Kathleen wyrwała dłoń z ręki Ottona.

— Chcę na niego popatrzeć, to wszystko. To mój mąż.

— Doskonale — zgodził się Otto. — Lecz jeśli pani zakłóci mu spokój i obudzi go, proszę nie winić mnie za to, co się stanie. Kosztowało mnie to wszystko zbyt wiele lat pracy, by teraz jakaś histeryczna Hausfrau miała to zniszczyć.

Kathleen ostrożnie stąpała pomiędzy ciałami spoczywającymi pod przykryciem szarych koców, póki nie dotarła na drugi koniec garażu. Z dłonią na ustach i oczyma pełnymi łez stanęła nad okutym bladolicym mężczyzną.

— Nie ma potrzeby płakać — powiedział Otto do Lloyda. — Michael będzie żył wiecznie, długo potem, jak jej już nie będzie. To raczej on winien nad nią płakać.

Lloyd nie mógł oderwać oczu od Celi. Miała taki ziemisty wygląd. I taki woskowy. Martwy.

— A po Transformacji... — zapytał Ottona — jakie życie będą mogli prowadzić?

— W pewnych sprawach... całkowicie odmienne. W innych... całkiem normalne.

— Co to znaczy?

— To znaczy, panie Denman, że to, co pan tu widzi, to narodziny rasy panów. Ludzie ci i wielu im podobnych wskrzeszą ów ideał świata, który bezskutecznie próbowaliśmy wprowadzić w życie podczas wojny. Wszyscy są ludźmi czystej krwi, wielkich talentów i wysokiej inteligencji. Po Transformacji będą mogli robić wszystko, na co tylko będą mieli ochotę, gdyż poprzez dotyk będą mogli wykorzystywać bezmiar sił natury. Rozgniewani, będą w stanie spalić wszystko, na co tylko im przyjdzie ochota, i wszystkich, których im się spodoba. Będą nietykalni.

— Zatem Celia, gdybym ją rozgniewał, mogłaby mnie spalić?

Otto roześmiał się.

— Mój przyjacielu, mogłaby zmienić cię w kupkę popiołu. Ale nie chcemy, by to zrobiła. Pragniemy, byście wzięli ślub i doczekali się potomstwa.

— Czy ona będzie mogła mieć dzieci?

— O, tak — przytaknął Otto. — Oczywiście, że tak. W gruncie rzeczy będziemy do tego zachęcać. Przyszłość należy do młodych, nieprawdaż? Wyjątkowe dzieci... na pół ludzie, na pół płomienie.

Kathleen powróciła z drugiego końca garażu. Jej twarz bardzo pobladła.

— Pani to również dotyczy, pani Kerwin — uśmiechnął się Otto. — Dzieci, ile tylko dusza zapagnie!

## Rozdział 17

— Pod koniec 1943 roku miałem już całkowitą pewność, że znalazłem to, czego szukam — opowiadał Otto, gdy zasiedli w salonie przy brandy Asbach i papierosach. Powietrze było aż gęste od błękitnawego, zastarzałego dymu. W pokoju robiło się zimno. Otto usiłował wcielić się w rolę jowialnego gospodarza, siedząc w swym ogromnym fotelu z lat trzydziestych i kołysząc nogami, paląc i pijąc jak smok oraz opowiadając im o latach świetności partii narodowosocjalistycznej.

— Cóż to były za czasy w Berlinie! Unter den Linden nocą w 1936! To już nigdy się nie powtórzy!

Kathleen była wyczerpana i siedziała ze spuszczoną głową, nic się nie odzywając. Lloyd był również zmęczony, chciał jednak wysłuchać tego, co miał do powiedzenia Otto. Powoli sączył brandy, by odpędzić senność, i od czasu do czasu spoglądał na Helmwigę, która tak była znudzona tym, co mówił Otto, że zabrała się do dokończenia krzyżówki w „Trybunie San Diego”, pociągając nosem i coś do siebie mamrocząc.

Otto opowiadał:

— Posłyszałem o starożytnej pieśni obrzędowej, która miała moc przemiany płonącego człowieka w salamandrę, lecz choć przeszukałem tysiące książek, nie mogłem jej znaleźć! W obozie koncentracyjnym Ohrdruf wypróbowałem przy pomocy Helmwigę siedemset rozmaitych modlitw nordyckich i hebrajskich, za każdym razem spalając Żyda dla sprawdzenia ich skuteczności, czasami sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu Żydów dziennie! Mijały lata, płonęły tysiące, lecz ciągle bez rezultatu. Żaden z nich nie przeżył, żaden nie stał się salamandrą!

Jednakże w marcu 1939 roku do mojego biura przyszedł stary rabbi i zapytał mnie, czemu palę tych ludzi. Wy tłumaczyłem mu, że poszukuję tajemnej pieśni, która może zapewnić człowiekowi nieśmiertelność poprzez ogień. Błagał, bym przestał palić ludzi. Powiedział, że jeśli tylko tego zaniecham, spróbuje odszukać dla mnie tę pieśń. Hm, cóż warta była taka oferta? Byłem niemieckim oficerem, eksperyment zaś był prowadzony na osobiste polecenie Führera, więc odpowiedziałem: nie.

Jednakże w końcu ten sam rabbi powrócił do mnie. Powiedział, że rozpuścił wieść po obozach i że we Flossenburgu jest pewien młody Żyd, profesor muzykologii, który powie mi wszystko, co chciałbym wiedzieć.

Otto zaproponował Lloydowi jeszcze trochę brandy, lecz ten przykrył dłonią kieliszek. Wystarczająco źle się czuł przebywając z Ottonem w jednym pomieszczeniu, by jeszcze

musieć przyjmować jego gościnność.

Otto mówił:

— Młody profesor był autorem monografii Wagnera i źródeł jego muzyki. Słyszał on, że Wagner miał wyrazić zainteresowanie napisaniem opery opartej na nordyckiej pogrzebowej pieśni ognia, lecz nie był przekonany, czy kiedykolwiek ją skomponował. Wiadomo, że pieśń zaginęła w ósmym wieku w okresie migracji wikingów. Księga Salamandry, zawierająca rany z tekstami wszystkich pieśni, wysłana została morzem z Tollund do Anglii, lecz okręt zatonął podczas zimowego sztormu. Jednakże wrak musiał zostać wyrzucony na brzeg gdzieś na północnym wybrzeżu Niemiec, a księga uratowana. Ponownie pojawiła się w Bawarii w siedemnastym stuleciu.

Niezwykłe okrężną drogą i po dokonaniu wielu wątpliwej czystości transakcji trafiła ona do rąk burmistrza Bambergu, Johanna Juniusa, którego od dłuższego czasu fascynowała alchemia i sekret wiecznego życia. Niezwykłe pomyslną koleją losu miał on już w posiadaniu jedną z obdarzonych największym mistycznym znaczeniem relikwii, podstawową dla badań nad wiecznym żywotem — czarę, w której Poncjusz Piłat umył ręce po osądzeniu Jezusa Chrystusa.

W jaki sposób Junius zdobył czarę, nikt nie wie. Lecz swoją życiodajną mocą ustępuje ona jedynie Świętemu Graalowi. Pierwotnie została odlana z przetopionych amuletów salamander z Tollund, za pomocą których ludność tamtego regionu zyskiwała wieczny żywot. Stamtąd w drodze sprzedaży, kradzieży i wymiany trafiła do Judei, gdzie ostatecznie pojawiła się w 32 roku naszej ery. Członek hebrajskiej starszyny podarował ją rzymskiemu prokuratorowi, Piłat zaś jeszcze bardziej powiększył jej moc, czyniąc z niej symbol ostatecznego odstępstwa.

Junius przetłumaczył nordyckie runy i poprosił miejscowego złotnika o odlanie z fragmentu misy amuletów — a więc tego, czym pierwotnie była. Z początku eksperymentował, poddając działaniu ognia żywe koty i psy. Jak chce legenda, w końcu udało mu się stworzyć kota, którego nikt nie mógł zabić.

Jednakże Juniusa zadenuncjowali sąsiedzi. Został aresztowany i postawiony przed sądem pod zarzutem czarnoksięstwa. Poddano go torturze śruby, imadła i strappado i w końcu oczywiście się przyznał. Wszystko, byle tylko uciec przed dalszym bólem! Został spalony na stosie i wiadomo, że wył i śpiewał, gdy pożerały go płomienie. Być może poczciwym tropicielom czarownic z Bambergu udało się go zabić; być może nie. Lecz legenda głosi, że w kilka tygodni później poczęto widywać go w rozmaitych miastach Bawarii bladego i dziwnie zmienionego na twarz y.

Lloyd nic nie odpowiedział. Niemal niemożliwe wydało mu się prowadzić towarzyską rozmowę z kimś, kto z całym spokojem przyznawał, iż spalił tysiące niewinnych ludzi dla sprawdzenia jakiejś mistycznej teorii, choćby nie wiadomo jak doniosłej. Nie była ona warta ani jednego spośród tych żywotów. Ani jednego. Lecz któż dzisiaj o nich pamiętał?

Otto mówił dalej:

— *Księga Salamandry*, amulety i pozostały fragment czary Piłata, jak również wszystkie notatki Juniusa były zamknięte na raty w Bambergu przez dwieście lat. Lecz w listopadzie 1882 ktoś, nie wiemy kto, je odnalazł. Mógł to być epidemiolog nazwiskiem Giinther Hammer lub astrolog znany tylko jako Stange. Ktokolwiek to był, musiał zaliczać się do fanatycznych wielbicieli Ryszarda Wagnera, gdyż z miejsca wysłał mu to wszystko wraz z długim, nie podpisanym listem, w którym prosił, by Wagner posłużył się tym do zyskania nieśmiertelności.

Ryszard Wagner w ostatnim roku swego życia począł niedomagać. Rozumie pan, słabe serce. W liście ów Hammer lub Stange pisał doń: „Zagraj te melodie, o Mistrzu, a będziesz żył wiecznie”. Nordyckie pieśni wywarły na Wagnerze głębokie wrażenie. Były takie *barbarisch*, takie potężne! Jednak zupełnie opacznie zrozumiał intencje swego dobroczyńcy. Sądził, iż nakłania go się, by przerobił pieśni na operę i w ten sposób zyskał wieczną sławę. Po prostu nigdy mu nie przyszło do głowy, iż naprawdę mógłby żyć wiecznie.

Amulety spodobały mu się, lecz czarę uznał za przedmiot dość ponury i odesłał ją swojemu przyjacielowi Franzowi Lieberowi z Berlina jako spóźniony prezent ślubny.

Ów profesor muzykologii, młody Żyd z obozu koncentracyjnego we Flossenburgu, powiedział mi, że jego zdaniem istnienie opery *Junius* jest jedynie mitem i że całkiem prawdopodobne, iż Wagner nigdy nawet nie zaczął jej pisać. Lecz teraz miałem już trop, którym mogłem podążyć! Korzystając z pomocy pięciu historyków, w prywatnych dziennikach przyjaciół Wagnera odkryłem wzmianki, że w ostatnim roku swojego życia pracował on nad nową operą, którą żartobliwie określał jako swój *Wikingsgesangbuch*. Zabrał ją ze sobą do Wenecji i podczas pracy nad nią zmarł.

Niestety, po śmierci Wagnera pośród jego spuścizny nie znaleziono ani opery, ani *Księgi Salamandry*. Przed długi czas sądziłem, że zaszedłem w ślepią uliczkę i że młody profesor muzykologii miał rację utrzymując, iż opera to tylko legenda. Lecz w przypływie natchnienia odkryłem nazwiska doktora i księdza, którzy odwiedzali Wagnera na łożu śmierci. Księdzem był ojciec Xavier Montini, jezuita i słynny uczony w kwestiach rytuałów pogańskich.

Wówczas, panie Denman, posłużyłem się logiką — swoją umiejętnością dedukcji, a



także żywionym od urodzenia uprzedzeniem do jezuitów! Wywnioskowałem, iż skoro tylko ojciec Montini ujrzał, nad czym pracuje Wagner, wpadł w popłoch i potajemnie wyniósł z jego domu Księgę Salamandry oraz nie dokończoną operę i ukrył je. Poza wszystkim innym, czyż nieśmiertelność nie jest uważana za dziedzinę zastrzeżoną wyłącznie dla Opatrzności boskiej? A Kościół za jej autoryzowany punkt sprzedaży? Ksiądz bynajmniej nie pragnął konkurencji jakiegoś przedchrześcijańskiego szamaństwa z Jutlandii!

Sztab wojskowy Mussoliniego udzielił nam wszelkiej pomocy przy przeczesaniu Wenecji w poszukiwaniu opery i książki. W końcu po trzech miesiącach znaleźliśmy ją zamurowaną w piwnicy jednego z przyjaciół ojca Montiniego. Z wielkim żalem skonstatowaliśmy, że od chwili ukrycia ksiąg piwnica była kilkakrotnie zatapiana przez powódź. Choć oba woluminy były pieczołowicie opakowane w ceratę, zawiniątko z Księgą Salamandry zostało nadgryzione przez szczury i większość oryginalnych runów zatarła wilgoć. Lecz opera przetrwała nie naruszona i niemal tak samo czytelna jak w dniu, kiedy Wagner odłożył pióro.

Mieliśmy w rękę środki do stworzenia rasy panów, o której Hitler zawsze marzył, rasy nieskażonej krwi istot nieśmiertelnych, które dzięki swej mądrości i sile zapanowałyby nad światem.

— Cóż zatem was powstrzymało? — zapytał Lloyd. Oczy Ottona powędrowały za brzęczącą w pokoju muchą plujką i koniuszek języka przesunął się po jego wargach.

— Wagner pozwolił sobie na wiele odstępstw od pierwotnej melodyki pieśni. Nie rozumiał jej doniosłości i, widzi pan, poczynił zmiany pod kątem swej opery. Odtworzenie oryginalnej muzyki obrzędu wymagało przepracowania opery nuta po nucie przez biegłych muzykologów i porównania jej z dziennikami Wagnera oraz tym, co udało się uratować z *Księgi Salamandry*. W przeciwnym razie nasze marzenie byłoby *totgeboren*, rozumie pan? Urodziłoby się bez życia.

Wstał z fotela. Zachwiał się nieco, jak gdyby brandy zaszumiała mu w głowie. Wydawał się wyższy niż przedtem, niby ogromny, szary jak popiół patyczak. Długonogi, wysoki i szczupły. Lloyd przyglądał mu się z obawą. On zaś podszedł do okna, gdzie plujka wściekle bzyząc rozbijała się o szybę.

— Nasza praca nie była jeszcze skończona, gdy do Berlina wkroczyli Rosjanie. Wraz z Hitlerem i tymi, co przy nim pozostali... Goebbelsem, Bormanem i resztą, znajdowałem się w *Führerbunker*. Na polecenie Hitlera w dalszym ciągu pracowałem z Helmwigie nad operą. Spaliliśmy cały transport czterdziestu polskich jeńców, lecz wciąż bez rezultatu. Wysunąłem teorię, że być może salamandry już na wstępie muszą być rasowo czyste, a więc spaliliśmy

żywcem dwóch ochotników z Hitlerjugend. Mimo to nie udało nam się uzyskać rozpaczliwie poszukiwanego rezultatu. Najzwyczajniej w świecie umarli w straszliwych męczarniach. Wreszcie w nocy 29 kwietnia, zaledwie kilka godzin przed nadejściem Rosjan, z narażeniem życia przedarł się do Berlina z południa mój asystent, Wernher von Hudde.

Powiedział, że raz jeszcze przestudiował papiery Johanna Juniusa i doszedł do wniosku, iż słowo *schar*, oznaczające tłum ludzi, jest w rzeczywistości niepoprawnie napisaną wersją słowa *schale*, które oznacza czarę. Tak więc zamiast: „Niezbędny jest tłum” Junius powiadał: „Niezbędna jest czara”. Von Hudde posłał czterech oficerów SS do berlińskiego domu wnuka Franza Liebera i dokładnie w przeddzień opanowania miasta przez Amerykanów znaleźli oni czarę... niewiarygodna rzecz... obrastającą kurzem w szafce kuchennej.

Teraz już — *endlich* — mieliśmy wszystko, co trzeba, lecz czasu było coraz mniej. Moja dzielna Helmwige na ochotnika zgłosiła się do spalenia, by udowodnić, że jest to bezpieczne. Szofer Hitlera, Erich Kempke, pojechał po sto litrów benzyny, dwóch esesmanów zaś wykopało dół w ogrodzie Kancelarii.

Przerwał na sekundę, by zagarnąć dłonią muchę plujkę. Podniósł ją i Lloyd usłyszał wściekle brzęczenie.

— Odśpiewaliśmy pieśń rytualną, a potem oblaliśmy Helmwige benzyną, ona zaś własnoręcznie podpaliła się za pomocą płonącego wiechcia. Zachowała milczenie. Nie wydała z siebie słowa protestu ani skargi. Wreszcie pieśń ognia poskutkowała. Jej dusza uniosła się wraz z dymem i mimo że ciało pozostało, jej duchowe jestestwo stało się salamandrą, stworzeniem z ducha i ognia. To był zdumiewający widok. To w dalszym ciągu jest zdumiewający widok. Ciało płonie, dym unosi się do góry. Początkowo salamandra jest tak niematerialna, że łatwo ją pomylić z cieniem, z kłębem dymu. Lecz gdy opada na ziemię i ochładza się, przyjmuje na siebie kształt, do którego była przyzwyczajona za życia. Hitler oglądał to na własne oczy i nie mógł się powstrzymać od łez.

Helmwige i ja razem z Martinem Bormanem uciekliśmy z *Führerbunker*, przy pomocy oficerów SS zdobyliśmy paszporty Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i przedostaliśmy się do Ameryki. Przybyliśmy do Nowego Orleanu na czas, by zdążyć na przesilenie letnie, i w pokoju hotelowym udało nam się dopełnić rytuału. Wówczas Helmwige stała się tym, czym jest dzisiaj. Żywym egzemplarzem rasy panów.

Otto trzymał pięść przy uchu, tak by móc słyszeć odgłosy rozpaczliwych wysiłków muchy plujki. Uśmiechnął się w oczekiwaniu drobnego poczęstunku, którym miał zamiar się uraczyć.

— A co z Hitlerem? — spytał Lloyd. — Gdy zobaczył, co się stało z Helmwige... nie

miał ochoty spróbować tego samemu?

Otto wymijająco wzruszył ramionami.

— Führer był oczywiście pod głębokim wrażeniem mojego osiągnięcia. Natychmiast powierzono mi kierownictwo wszystkich eksperymentów genetycznych i rasowych, z tymi prowadzonymi przez Mengele i von Horna włącznie. Oczywiście nie miało to już żadnego znaczenia. W owym czasie Rosjanie byli na Potsdamer Platz i Rzesza widomie chyliła się ku upadkowi. Hitler polecił mi opuścić Berlin wraz z Helmwige i młodym aryjskim chłopcem, którego wyhodował Mengele... ojcem młodzieńca, który obecnie występuje jako nasz służący.

— Lecz Hitler nie wpadł na pomysł samospalenia? — nie dawał spokoju Lloyd.

Otto odwrócił się i popatrzył nań spod zmrużonych powiek, jednak zaokrąglony cień abażura z woskowanego papieru sprawiał, iż Lloydowi trudno było dojrzeć, jaki ma wyraz twarzy.

Otto przez chwilę nie odzywał się ani słowem. Wreszcie odwrócił wzrok.

— To, co się stało z Führerem, na zawsze pozostanie tajemnicą — powiedział.

— Czy przemienił go pan w salamandrę? Otto potrząsnął głową.

— *Ich weiss nicht*. Jeśli Führer dopełnił rytuału, to stało się to wtedy, gdy mnie już nie było w *Führerbunker*. Ja, Helmwige i chłopiec opuściliśmy Berlin we wczesnych godzinach rannych trzydziestego kwietnia. Później tego samego dnia, owszem, ciało Hitlera zostało spalone, są na to świadectwa historyczne. Ale one nie precyzują, czy Führer został spalony, kiedy był jeszcze żywy, czy też już po śmierci. Ogólnie uważa się, że strzelił sobie w usta, lecz gdy jego ciało wynoszono z pokoju, głowę miał przykrytą kocem, zatem nikt spośród świadków nie może mieć całkowitej pewności.

— Lecz jeśli dopełnił rytuału...? Otto wzruszył ramionami.

— Jeśli dopełnił rytuału, to prawdopodobnie żyje gdzieś do tej pory. Lecz gdzie... kto to może wiedzieć?

Otworzył dłoń i podniósł muchę za nóżkę. Ze skupieniem człowieka szypułkującego rodzinę oberwał jej skrzydełka. Potem wrzucił szybko na język i trzymał przez chwilę w ustach, by poczuć jej drgania na swych policzkach. Wysał ją i połknął.

— Helmwige — rzekł — nastaw telewizję.

Najwidoczniej rozmowa dobiegła końca.

Przez chwilę oglądali *Jump Street 21*. Potem Otto przełączył na wieczorne wiadomości. Lloyd popatrzył na Kathleen, lecz żadne z nich nie mogło nic na to poradzić. Otto obejrzał

długi materiał o handlu heroiną w szkołach San Diego, marszcząc brwi i mruczając coś pod nosem. Wreszcie dziennik zajął się wiadomością o śmiertelnym wypadku detektywa z San Diego, sierżanta Houka oraz zniknięciu detektywa Gable'a i zastępcy szeryfa Bredero.

— Sierżant Houk i detektyw Gable wspomagali policję stanową w śledztwie prowadzonym w sprawie spalenia się trzynastu mężczyzn i kobiet w Parku Stanowym Pustyni Anza-Borrego... Podczas gdy śmierć sierżanta Houka wygląda na wypadek samochodowy, policja w dalszym ciągu nie potrafi wyjaśnić całkowitego zniknięcia detektywa Gable'a i zastępcy szeryfa Bredero... Porzucony wóz patrolowy zastępcy szeryfa Bredero znaleziony został w centrum handlowym Five Flags przy autostradzie 1-5 bez żadnych innych odcisków palców oprócz jego własnych...

— Niczego nie przeoczycie — zauważył Lloyd.

— Mam przygotowanie naukowe — rzekł Otto. — To zaś, co teraz robimy, jest zbyt doniosłe, by dopuścić jakikolwiek margines błędu.

— Nie boicie się, że policji uda się was wysledzić? Otto paznokciem kciuka wydłubał sobie coś czarnego spomiędzy zębów.

— Mówi pan do kogoś, kto uciekł z Berlina w ostatnich dniach hitlerowskiej Rzeszy — rzekł. — Mówi pan do człowieka, który odszukał operę ukrytą przed sześćdziesięciu laty i któremu udało się odtworzyć rytuał mistyczny, zapomniany od jedenastu wieków. A teraz... mam pracę do wykonania, muszę napisać kilka listów. Byłbym zobowiązany, gdybyście wraz z panią Kerwin udali się do swoich pokoi. I proszę, nie próbujcie opuszczać domu. Obecny tu młody człowiek otrzymał polecenie użycia w razie konieczności siły fizycznej, co zaś ja potrafię, sami widzieliście.

— Lecz pan nie jest jedną z tych salamander, prawda? — zapytała Kathleen. — Jak to się stało, że posiadał pan umiejętność sprowadzania płomieni?

Otto zamknął oczy. Milczał tak długo, że pomyśleli już, iż w ogóle nie ma zamiaru odpowiadać. Lecz wreszcie otworzył znów oczy.

— Dość już wam powiedziałem — odrzekł. — Pewne tajemnice muszą nimi pozostać. Jeszcze na łożu śmierci wspomnicie, że znaliście mnie kiedyś, i drzeć będziecie z bojaźni.

Lloyd odpalił:

— Może i mnie coś zatrzęsie, ale na pewno nie będzie to bojaźń.

Otto rzucił mu spojrzenie szybkie jak uderzenie biczem.

— Niech mnie pan nie wodzi na pokuszenie, panie Denman. Robi się zimno i jestem pewien, że wszyscy z radością powitaliby trochę ognia.

Młody człowiek bez słowa odprowadził ich do pokoi, przepuścił w drzwiach i pozamykał na klucz. Lloyd usiadł na swoim materacu, zszedł buty i runął na wznak, czując się wyczerpany, brudny i zszokowany, jak gdyby dopiero co przeszedł drobną, lecz nieprzyjemną w skutkach kraksę samochodową. Ręce bolały go i pomyślał, iż prawdopodobnie czas już na zmianę bandaży, lecz w tej chwili nic nie mógł na to poradzić. Jął obserwować kołyszące się na pochyłym suficie cienie liści juki. Tak wielu rzeczy wciąż jeszcze nie potrafił przyjąć do wiadomości, mimo że na własne uszy słyszał okrutne i lubieżne wyznania Ottona i na własne oczy widział, jaki potrafi on być bezlitosny.

Wszyscy ci ziemistoskórzy ludzie na podłodze w garażu — jak to możliwe, by naprawdę składali się z dymu i ducha, i niczego więcej? Jak to możliwe, by pieśń rytualna przekształciła agonię w ponowne narodziny? Jak to możliwe, by ktoś żył wiecznie? Przypomniał sobie leżącą tam Celię i jął zastanawiać się, o czym też ona sobie myśli, jeśli myśli w ogóle. Na drodze do Escondido powiedziała mu, że wciąż jeszcze go kocha. Lecz czy on mógł jeszcze ją kochać? Jak można kochać kogoś, kto umarł i powrócił pomiędzy żywych — kogoś, kto w gruncie rzeczy nie był już istotą cielesną? I wreszcie najtrudniejsze — jakże mógł zaakceptować jej powtórne wejście w jego życie, gdy z taką skwapliwością rzuciła się w objęcia takiej kreatury jak Otto — człowiek, który spalił żywcem tysiące niewinnych ludzi w dążeniu do zwariowanego ideału?

Za wszystkim, co Otto czynił, Lloyd wyczuwał przerażające dziedzictwo Trzeciej Rzeszy, zbliżające się niczym czarny, rozbrzmiewający bezgłośnym gromem lodowiec. Hitler obudził w ludzkim umyśle coś, czego działa i bomby, i czterdzieści pięć lat odbudowy gospodarczej zniszczyć nie było w stanie. Utrzymując, że jego Rzesza przetrwa tysiąc lat, miał rację. Gdyby zaś Ottonowi udało się poddać transformacji wszystkie te śpiące w garażu salamandry, tysiącletnia Rzesza trwałaby jeszcze dłużej. Zaciążyłaby nad ludzkością po wieczne czasy.

Lloyd czytał na temat wojny wiele książek i artykułów. Lecz do tej pory nigdy nie odczuł prawdziwego strachu przed wojną, strachu przed poddaniem swego życia woli obcego człowieka. Była to perspektywa o wiele bardziej niepokojąca, niżby kiedykolwiek przypuścił, i nagle zaczął pojmwować ludzi, którzy gotowi byli ryzykować życie dla politycznych swobód. Bez nich nasze istnienie po prostu nie miało sensu.

Zasnęła i niemal natychmiast przyśniła mu się znów Celia. Brodziła po szklistej zieleni łąki, pośród malowanych traw i bystrookich stokrotek, pod niebem koloru patyny. Stała nago na odległym nasypie, nie opodal brodatego i powykręcane płątana. Włosy miała w płomieniach, znad głowy zaś podnosił jej się pióropusz pomarańczowego ognia. Próbował

krzyknąć, lecz jego głos zabrzmiał tak nikle i niepozornie jak brzęczenie muchy w pięści Ottona. Chciał uciekać, lecz trawa była zbyt wysoka.

Przekręcono klucz w zamku. Otworzył oczy. Przez chwilę nie słyszał nic oprócz cykania owadów na podwórku i cichego tykotu zegarka. Już myślał, że dźwięk przekręcanego klucza tylko mu się przyśnił, lecz po chwili zaskrzypiały deski podłogi.

— Kto tam? — zapytał stanowczo, acz z bijącym sercem, przez cały czas zdając sobie sprawę, że ktokolwiek to był, i tak w żaden sposób nie jest w stanie się obronić. Bezimienny młody człowiek był bez wątpienia dostatecznie silny, by skrócić mu kark. Helmwige jednym dotknięciem mogła usmażyć go żywcem. Otto zaś potrafiłby samym tylko wzrokiem przemienić go w żywą bombę zapalającą.

Drzwi z wolna otwarły się. Leżał bez ruchu, choć napięte miał wszystkie ścięgna. Następna sekunda mijała tak wolno, że tymczasem świat zdążyłby się obrócić wokół własnej osi. Wreszcie pojawił się młodzieniec, stanął w otwartych drzwiach i przyglądał mu się.

— Czego chcesz? — zapytał go Lloyd.

— Przyszedłem zobaczyć, czy pan zasnął. — Głos młodego człowieka brzmiał łagodnie.

— Nim przyszedłeś, już spałem.

— Przepraszam. Chciałem pana o coś zapytać.

Lloyd podniósł się na łokciu. Przepraszający ton młodzieńca krańcowo odbijał od kostycznych przechwałek Ottona.

— Czy Otto wie, że tu jesteś? — zapytał Lloyd. Młody człowiek zerknął szybko za siebie, jak gdyby samo wspomnienie imienia mogło wywołać pojawienie się Ottona.

— Nie. Otto pracuje. On... — począł naśladować ręką ruchy wykonywane przy pisaniu — pisze, wie pan? Zawsze pisze.

— O co chcesz zapytać?

Młodzieniec zamknął za sobą drzwi i uklęknął obok materaca Lloyd'a. Choć taki muskularny, roztaczał wokół siebie aurę łagodności. Bardziej chłopiec niż dorosły mężczyzna. Niepewny siebie, niespokojny, nieoczekiwanie nieśmiały.

— Otto i Helmwige zawsze mnie nienawidzili. Zawsze mówili mi, że nie jestem niczym więcej jak tylko zwierzęciem. Rozumie pan, nienawidzili Mengele, gdyż przez cały czas, aż do samego końca, był on ulubieńcem Führera. Gadają o tym bez przerwy, jak gdyby to zdarzyło się dopiero wczoraj.

Lloyd nic nie odpowiedział czekając, aż młody człowiek dotrze do sedna.

— Nie mam nawet imienia. Nie mam nic — powiedział młodzieniec. — Zapytałem

Otona, jak mi na imię, on zaś odparł: „Jesteś nikim; nie zasługujesz na imię. Czy nadaję imiona kapuście, jajkom albo krzesłom?” Tak właśnie powiedział.

— Z pewnością widziałem już sympatyczniejsze osoby niż Otto — odrzekł Lloyd.

— Muszę wykonywać dla nich wszelkie prace, sprzątać, muszę robić wszystko. Helmwige spodziewa się po mnie, że będę się z nią kochał za każdym razem, kiedy tylko zapragnie. Powiedziała mi, że pracuję u nich za karę, gdyż tak wielu ludzi zginęło po to, bym ja mógł żyć. Stworzył mnie Josef Mengele i jest to moja pokuta za to, że zostałem stworzony.

— Nikt nie ponosi winy za własne istnienie.

— Mam ponosić winę za samego siebie.

— Bzdury! Urodziłeś się dlatego, że ktoś inny chciał, żebyś się urodził. Nie ma znaczenia, z jakiego powodu; ty nie przyłożyłeś do tego ręki. To nie twoja wina.

Młody człowiek podniósł głowę do góry tak wysoko, że światło z korytarza padło mu na twarz i załśniło w oczach jak krystaliczne szklane kulki, młodych, niewinnych i pełnych nadziei.

— Chciałem zapytać, czy nie zechciałby pan opuścić tego miejsca i zabrać mnie ze sobą.

Lloyd usiadł w pościeli.

— Masz zamiar pomóc nam uciec?

— Tylko jeśli sobie tego życzyście.

— Tylko jeśli sobie tego życzymy? Chyba żartujesz? Myślisz, że jesteśmy tutaj dlatego, że mamy ochotę na wcześniejsze wakacje? Jesteśmy tu, gdyż Otto zagroził, że spali nas żywcem.

Młodzieniec skinął głową.

— Robił to wiele razy z wieloma osobami. On się do tego nie przyznaje, ale palenie ludzi sprawia mu przyjemność.

— Ale ty jesteś gotów pomóc nam w ucieczce? Młody człowiek przytaknął.

— Bardzo wczesnym rankiem, kiedy Otto śpi najmocniej, przyjdę do pańskiego pokoju i wyprowadzę was stąd. Możemy zabrać samochód Otona. To na jakiś czas zahamuje pościg. Żaden inny samochód nie jest na chodzie.

— Co z Celią? — zapytał Lloyd. — Nic jej chyba nie zrobi, prawda? Nie skrzywdzi jej w żaden sposób?

Młodzieniec potrząsnął głową.

— Pańska Celia jest dla niego najważniejsza. Jedyne ona zna się na muzyce. W żadnym razie nie zrobi jej krzywdy.

— Jesteś tego pewien? Młody człowiek przytaknął.

— Słyszałem, jak rozmawiał z Helmwige. Mówił, że Celia jest jego wybawicielką... że wprost spadła mu z nieba. Widzi pan, gdy uciekali z Niemiec, stracili część swoich notatek i Celia była pierwszą znaną przez nich osobą, która była w stanie odegrać im tę muzykę.

— Zatem w porządku... umowa stoi — powiedział Lloyd. — Kiedy będziesz gotowy, obudź mnie i już nas nie ma.

Młodzieniec popatrzył na zegarek.

— Trzecia... to będzie najlepsza pora.

— Czy aby na pewno mogę ci wierzyć? — spytał Lloyd. Młody człowiek znów spuścił głowę.

— A przypuścimy, że nadałbym ci nazwisko? — zaproponował Lloyd. — Czy wówczas mógłbym ci zaufać?

— Nazwisko? — z niewiarą spytał młody człowiek.

— A tak, nazwisko. Twoje własne nazwisko i imię.

— W jaki sposób mógłbyś nadać mi nazwisko? — chciał wiedzieć młodzieniec. — Nie jesteś moim ojcem.

— Na miłość boską, nie muszę być twoim ojcem, żeby ci nadać nazwisko. Jak chcesz, żebym cię nazywał?

Młody człowiek wzruszył ramionami.

— Nie znam żadnych nazwisk.

— A zatem dobrze... będziemy nazywali cię Franklin, na pamiątkę Franklina Roosevelta. Co ty na to? Franklin Free, ponieważ od tej pory będziesz wolny.<sup>\*3</sup>

Młodzieniec przycisnął rękę do piersi.

— I mogę nim być? Tym nazwiskiem? Franklinem Free? Lloyd skinął głową.

— Możesz.

Lloyd nigdy w swoim życiu nie widział jeszcze nikogo tak szybko wyleczonego z braku poczucia własnej ważności. Franklin Free zadrżał, jakby z miejsca przybyło mu nowych sił, niby motyl wyłaniający się z poczwarki. Odetchnął głębiej i wciąż jeszcze klęcząc, wyprostował plecy.

— Mogę nim być? Franklinem Free?

— Już nim jesteś. Jesteś istotą ludzką, każda istota ludzka ma imię i nazwisko, a twoje brzmi Franklin Free.

---

<sup>3\*</sup> Free (ang.) — wolny.



Franklin wstał. Wydawało się, że nie wie, co ma z sobą począć. Miętko powtórzył zaklęcie:

— Nazwisko moje brzmi: wolny Franklin Free. Nazwisko moje brzmi: wolny Franklin Free.

Lloyd zerknął na zegarek.

— Słuchaj, Franklin... jest dobrze po jedenastej. Pozwól mi złapać jeszcze trochę snu. Jeśli planujesz, byśmy prysnęli stąd jutro o trzeciej nad ranem, wszyscy musimy być rześcy, czujni i gotowi na wszystko.

— Franklin — z nabożnym lękiem powtórzył Franklin. Chwytał dłoń Lloyda i uściśnął ją z bojaźliwą rezerwą

kogoś, kto najchętniej chwyciłby go w objęcia, lecz nie śmie.

— Franklin — powiedział. — Ładnie.

— Cieszę się, że ci się podoba — odparł Lloyd. Odczuwał autentyczne wzruszenie, większe, niż Franklin był to w stanie zrozumieć.

Wtedy właśnie usłyszeli wołającą z dołu Helmwigę:

— Kąpiel! Szybciej! Chcę moją kąpiel!

Świeżo upieczony Franklin po raz ostatni uściśnął dłoń Lloyda.

— Muszę już iść — powiedział. — Helmwigę mnie potrzebuje.

— Zobaczymy się o trzeciej — odparł Lloyd.

— Jeśli się to nie uda... — rzekł Franklin — jeśli nie zdołamy uciec...

— Zdołamy — uspokoił go Lloyd. — Nawet o tym nie myśl.

— Lecz gdyby się nie udało, jeśli nas spali...

— On nas nie spali, w porządku?

— Lecz gdyby jednak... chciałbym panu po prostu powiedzieć, że to, co mi pan dał... hm, jest więcej warte niż to, co kiedykolwiek dali mi Otto i Helmwigę. Nie oddałbym tego za skarby całego świata.

— Napuść mi wody! — wrzeszczała Helmwigę. Franklin podszedł do drzwi.

— O trzeciej — obiecał. Podniósł do góry klucz. — A żeby pokazać panu, że mówię poważnie... drzwi zostawiam otwarte.

Zawahał się i przygryzł wargę.

— Jeśli to zrobię... nie ucieknie pan beze mnie?

— Ja ci ufam — odparł Lloyd. — Nie sądzisz, że i ty możesz mi zaufać?

— Nie wiem — odpowiedział Franklin z nagłym wahaniem. Widać było, iż nie jest przyzwyczajony do samodzielnego podejmowania decyzji.

— Czy masz jakiś inny wybór, niż mi zaufać? — zasugerował Lloyd.

Franklin zastanowił się nad tym, po czym powiedział:

— Nie. Zdaje się, że nie.

Spróbował uśmiechnąć się do Lloyda zuchowato, po czym wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Lloyd czekał, aż usłyszy klucz obracający się w zamku, lecz na próżno. Franklin dotrzymał słowa. Tak czy inaczej, jutro będą wolni.

Usłyszał wodę spływającą ze zbiornika gorącej wody z odgłosem przytłumionego gromu. Potem kroki na schodach, skrzypienie desek na półpiętrze i Helmwige przemawiającą, jak gdyby była nieco wstawiona. Położył się nieruchomo na materacu. Rozmawiając o ucieczce, usiłował sprawiać wrażenie pewnego siebie, lecz bynajmniej nie był w pełni przekonany, czy Franklin jest dostatecznie bystry, by zdołać wyprowadzić ich z tego domu, ani czy Otto i Helmwige będą spać dość mocno, by pozwolić im odejść. Gdy raz im się uda wydostać poza zasięg rażenia ogniem Ottona, będą bezpieczni. Nie miał jednak zielonego pojęcia, ile ten zasięg w rzeczywistości wynosi. Niewykluczone, że Ottonowi wystarczy tylko usilnie pomyśleć, a wywoła pożar w sąsiednim hrabstwie albo w sąsiednim stanie, albo gdziekolwiek mu się spodoba na całym świecie. Jego talent sprowadzania ognia był jedyną tajemnicą, o której Otto absolutnie nie chciał dyskutować.

A jednak — Lloydowi przypomniało się, że kiedy Otto podpalał mu kierownicę, posunął się dwa lub trzy kroki, jak gdyby po to, żeby być bliżej. Gdy zaś gonił ich przed drogerią W Del Mar, jego ognista strzała była w stanie ścigać ich zaledwie na odległość dziesięciu–dwunastu metrów.

Gdyby tylko udało im się dać nogę z domu, sądził, iż byłiby prawdopodobnie bezpieczni. Wówczas jedyną rzeczą, którą musieliby zrobić, byłoby znaleźć jakieś zaciszne miejsce, by ukryć się i poczekać na przesilenie — aż Otto i Helmwige odprawią ceremonię transformacji — potem zaś uratować również Celię i Mike'a Kerwina.

Nic, czym należałoby się denerwować. Nic, z czym nie dałby sobie rady Lone Ranger oraz być może Brudny Harry. Lloyd ze względu na Ottona z prawdziwą rozkoszą by tego dokonał.

Po kilku minutach zsunął się z materaca i podszedł do drzwi. Nacisnął klamkę i stwierdził, że Franklin mówił prawdę. Były otwarte. Lloyd uchylił je o kilka centymetrów i począł nasłuchiwać. Na drugim końcu podestu stały otworem drzwi łazienki i słychać z nich było pluski i pomruki, a potem głos Helmwige:

— Delikatnie, delikatnie, *du bist so plump*.

Przez krótką chwilę wahał się, potem zaś otworzył drzwi szerzej i wysunął się na korytarz. Wyglądało na to, że Otto w dalszym ciągu jest na dole i pisze. Z salonu dochodziły wirujące dźwięki *Lotu Walkirii*, odtwarzane z magnetofonu nastawionego na cały regulator. Lloyd dosłyszał brzęk szkła, gdy Otto nalewał sobie kolejną porcję koniaku.

Wstrzymując oddech, podreptał na palcach do nie domkniętych drzwi łazienki. Ostrożnie przyłożył oko do szpary. Całe pomieszczenie było wypełnione parą o różnym zapachu. Ze swego miejsca mógł jedynie dojrzeć krawędź wielkiej wanny emaliowanej na biało, butelkę szamponu Vidal Sassoon i lśniącą różową krzywiznę, w której rozpoznał ramię Helmwige. Siedziała doń tyłem, podjął więc ryzyko wychylenia się i zajrzenia do łazienki.

Franklin klęczał obok wanny, nie mając na sobie nic oprócz białych szortów. Zwrócony był twarzą do drzwi i od razu zobaczył Lloyda. Zmarszczył brwi.

— Co...? — wymamrotał, lecz Lloyd gestem dłoni z miejsca uspokoił go, że wszystko jest w porządku i bynajmniej nie próbuje jeszcze uciekać.

Zresztą nawet gdyby, to i tak Franklin nie mógłby nic na to poradzić. Helmwige była nim zbyt zajęta. Mydlił jej plecy, ona zaś wodziła dłońmi w górę i w dół po jego muskularnych przedramionach i powtarzała:

— Mmmmmmmmm, tak już lepiej... delikatnie, delikatnie.

Lloyd przyglądał się, jak Franklin nabiera mydła na dłonie i poczyną je rozprowadzać po ogromnych piersiach Helmwige. Mokra skóra aż zapiszczała, gdy uchwycił mocno jej piersi i począł kręcić sutkami między palcem wskazującym a kciukiem. W dalszym ciągu pomrukiwała, pluskała się i wodziła dłońmi po jego ramionach.

— Mocniej, możesz robić to mocniej. Uszczypnij mnie! Lubię być szczypana! Ochhh...

Franklin spłukał jej piersi wielką naturalną gąbką. Potem włożył ramiona do wanny, tak by dłonie znalazły się pod jej zadem, i wyciągnął z wody jej biodra. Miała grube uda i duży brzuch, lecz jak na kobietę, która została unieśmiertelniona dobrze po czterdziestce, kształty jej wciąż jeszcze były ponętne,

— Powinieneś się upewnić, czy jestem zupełnie czysta — powiedziała Franklinowi.

— Dobrze — odpowiedział Franklin.

Głos miał pozbawiony jakichkolwiek emocji. Zerknął na Lloyda, lecz ten nie ruszał się z miejsca. Na dole walkirie dalej miały się i koziołkowały, choć sądząc po dźwięku ta część nagrania najbardziej ucierpiała przez lata nieomal codziennego odtwarzania.

Helmwige oburącz sięgnęła do swych ciemnoblond włosów łonowych i rozchyliła srom tak szeroko, jak tylko mogła, by Franklin mógł wsunąć namydlony palec do środka.

— *Och, höchst erfreulich* — zamruczała.

Franklin włożył palec i wyjął, ona zaś odrzuciła głowę do tyłu, jęknęła, i zagruchala niczym turkawka. Wówczas on włożył drugi palec i trzeci. Helmwige wciągnęła powietrze, plusnęła i otworzyła się jeszcze szerzej. W końcu, ciężko dysząc i oblewając się potem, Franklin zdołał włożyć do środka całą namydloną dłoń aż po nadgarstek.

Helmwige wydała z siebie niezwykle odgłos, brzmiący jak połączenie warczenia z głębokim oddechem, co nasunęło Lloydowi skojarzenie z lwem morskim. Gwałtownie chwyciła nadgarstek Franklina w obie dłonie. Wtem nagle zadrżała, zatrzęsła się i krzyknęła na głos. Woda w wannie zagotowała się, jak gdyby była pełna piranii. Zafascynowany i przerażony tym, co zobaczył, lecz dziwnie przy tym podniecony, Lloyd odwrócił się. Na palcach poszedł korytarzem z powrotem, póki nie natknął się na drzwi pokoju Kathleen. Franklin zostawił w nich klucz, wystarczyło więc go przekręcić, otworzyć drzwi i wślizgnąć się do środka.

Kathleen nie spała, siedziała na łóżku. Gdy wszedł do środka, włączyła lampkę, tani egzemplarz do zawieszania na meblach, z pękniętą plastikową osłoną.

— Lloyd? Co się dzieje? W jaki sposób się wydostałeś? Ktoś krzychał !

— Nie przejmuj się tym... to tylko Helmwige igrająca w kąpielni. Posłuchaj... kilka minut temu był u mnie w pokoju ten chłopak. Wygląda na to, że ma już potąd siedzenia tu z Ottonem i Helmwige i chce, żebyśmy wszyscy stąd zwiali.

— Masz na myśli ucieczkę? Czy sądzisz, że można mu zaufać?

— Nie widzę żadnego powodu, by tego nie zrobić. Nie jest może Albertem Einsteinem, ale ma wiele dobrych chęci. I nie ma żadnego interesu w tym, by nas wykołować, no nie?

— A co, jeśli Otto nas złapie? Spali nas żywcem!

— Nie jestem wcale pewien, czy i tak nie żywi takich zamiarów. Zdecydowany jest podjąć dzieło tam, gdzie zakończył je Hitler i, wierz mi, nie dopuści, by ktokolwiek mu w tym przeszkodził.

Kathleen odgarnęła dłonią włosy.

— Mimo to nigdy mu się nie uda, prawda? Prędzej czy później musi wytropić go policja.

Lloyd wzruszył ramionami.

— Nie byłbym tego taki pewny. Ma na swoje rozkazy ludzi, którzy samym spojrzeniem potrafią spalić człowieka... ludzi, którzy mogą żyć wiecznie. Jak można takiemu komuś stawić czoło? A iluż to chętnie się do niego przyłączy, gdy tylko zda sobie sprawę, że naprawdę mogą być nieśmiertelni? Oprócz tego jest jeszcze sam Otto, z którym też trzeba dać sobie radę. Sama widzisz, co zrobił z sierżantem Houkiem. Może to powtórzyć z każdym, kto

go będzie próbował zatrzymać. Jedno spojrzenie i robi się z ciebie ludzki hamburger.

Usłyszał hałas wody spuszczonej z wanny i głosy ludzkie.

— Posłuchaj... lepiej wróć do swojego pokoju. Plan jest taki, że wymkniemy się z domu o trzeciej nad ranem, gdy

Otto i Helmwige zasną na dobre. Franklin obudzi nas, gdybyśmy zaspali.

— Franklin? Sądziłam, że on nie ma żadnego imienia.

— Ochrciłem go. Ucieszył się jak zielony szczypiołek na wiosnę.

— Lloyd... czy ty naprawdę wierzysz, że uda nam się stąd uciec? To znaczy uciec bezpiecznie? Gdyby coś mi się przydarzyło... cóż, nie wiem, co by się stało z Tomem.

— Chciałabyś zostać? — spytał ją Lloyd. Kathleen potrząsnęła głową.

— To chyba stąd, że do tej pory nigdy nie byłam tak przerażona jak dzisiaj.

— Franklin powiedział mi, że Otto nie skrzywdziłby Celi, gdybym uciekł. Nie sądzę również, by skrzywdził twojego męża.

— Ten człowiek leżący w garażu, Lloyd... to nie Mike Kerwin — odparła Kathleen. — A przynajmniej to nie ten Mike Kerwin, którego poślubiłam. Tamten zginął w płomieniach w tym autobusie na pustyni.

Lloyd ujrzał, że w jej oczach błysnęły łzy. Nie mógł nie podziwiać jej hartu ducha i realizmu. On sam jeszcze nie pogodził się z faktem, że utracił Celię na zawsze. W jakiś sposób z disneyowskim optymizmem nie przestawał wierzyć, że Celia, którą miał nadzieję poślubić, wciąż jeszcze istnieje i że znów pojawi się taka sama jak przedtem i powie: „Prima aprilis!”

Lecz teraz już wiedział, że będzie zmuszony stawić czoło prawdzie. Celia spaliła się, odeszła. Stworzenie, które zajęło jej miejsce, było istotą uczynioną z ognia i czarów, istotą, której nigdy nie będzie mógł zaakceptować w swoim życiu. Nietrudno zrozumieć, dlaczego Celia przedłożyła młodzieńczą nieśmiertelność nad stopniowo postępujące kalectwo i przedwczesną śmierć. Lecz im więcej dowiadywał się o Ottonie i jego salamandrach, tym trudniej było mu pogodzić się z faktem, że Celia uznała za swoją jego teorię o rasie panów. Ta Celia, którą Lloyd kochał, nigdy nie przyjęłaby jednej minuty życia, które zostało kupione za cenę rozmyślnego spalenia tysięcy niewinnych ludzi.

Stracił zatem Celię, stracił ją na dobre. Dość było już na świecie obozów, komór gazowych, krematoriów.

Kathleen musiała zorientować się, co on czuje, gdyż objęła go ramionami i położyła głowę na jego piersi. Łzy spłynęły mu po policzkach i opadły w jej włosy niby gorące perły.

— Ćśśś, już po wszystkim — powiedziała. Lloyd wytarł dłonią oczy.

— Dziękuję — rzekł. — Wygląda na to, że stałem się ofiarą własnej brawury.

Pocałowała go w policzek.

— Do zobaczenia o trzeciej.

Lloyd podszedł do drzwi, przez chwilę nasłuchiwał, po czym je otworzył. Wrócił do swojego pokoju, cicho zamknął za sobą drzwi i położył się z powrotem na materacu.

Nie spodziewał się, by był w stanie zasnąć, toteż jął recytować teksty wszystkich piosenek rockowych, które mógł sobie tylko przypomnieć (*By the shore of Gitche Gumee, By the shining Big-Sea-Water...*), potem adresy ze swojego notesu z pełnymi numerami telefonicznymi i kodami pocztowymi, wreszcie wyniki Padresów z ostatnich trzech sezonów.

Zdał sobie sprawę, że już trzecia, dopiero wtedy, gdy poczuł, jak Franklin szarpie go za ramię i szepcze:

— Panie Denman? Niech się pan obudzi, panie Denman. Czas już iść.

Wpatrzył się w ciemność.

— Już trzecia rano? — zapytał. Usta miał obrzękłe, jakby wypchane watą. Usiadł na łóżku i przetarł oczy. — Boże. Śniło mi się, że jem kolację w lokalu Pan A.

— Chodźmy — szepnął Franklin. — Tak cicho, jak tylko pan potrafi. Otto śpi jak zabity, lecz Helmwige ma bardzo lekki sen.

Lloyd odchrząknął.

— Trudno się dziwić, po tym jak wieczorem bawiła się w wannie.

— Ona robi, co tylko chce i jak tylko chce — powiedział Franklin. — Czym ma się przejmować? Będzie żyła wiecznie. Jest nałogową morfinistką. Hermann Göring nakłonił ją do zażywania morfiny w czasie wojny. Lecz teraz bierze wszystkie narkotyki, jakie tylko można sobie wyobrazić. Uprawia seks z każdym, na kogo ma ochotę. Nie musi obawiać się AIDS. Brała udział we wszelkiego rodzaju aktach seksualnych, jakie tylko człowiek potrafi sobie wyobrazić, a także w kilku takich, jakich nie potrafi. Widziałem, jak uprawiała seks z dwoma psami, podczas kiedy Otto przyglądał się temu i pogryzał muchy.

— Chodźmy — powiedział Lloyd.

Niespecjalnie pragnął usłyszeć dalsze szczegóły. Wstał i uderzył głową o stromo spadający sufit. Zaklął o wiele siarczyściej, niż mu się to zdarzyło od lat, nie tyle dlatego, że go zabolalo; był po prostu spięty, zmęczony i wystraszony. W pewnym sensie Helmwige przerażała go bardziej niż Otto. Tamten był przynajmniej śmiertelny, można go było zabić. Lecz jak walczyć z kimś, kto zupełnie nie obawia się utraty własnego życia?

Franklin otworzył drzwi i wysunął się na korytarz, mając tuż za plecami Lloyda.

Przekradli się do pokoju Kathleen i Franklin cicho przekręcił klucz. Musiała usłyszeć ich szepty, gdyż czekała za drzwiami.

— Czy oni śpią? — szepnęła bezgłośnie.

Lloyd skinął głową i wziął ją za rękę.

Cicho i w zupełnym milczeniu stąpali na palcach po korytarzu, mijając wpółotwarte drzwi łazienki, potem zaś sypialnię Helmwige, do której drzwi stały otworem. W migającym świetle ekranu telewizyjnego widzieli nagą Helmwige rozwaloną na łożu pod baldachimem, z rozrzuconymi nogami i szeroko otwartymi ustami. Oddychała chrapliwie i nieregularnie, jak gdyby męczył ją nocny koszmar. W telewizji szedł *Pościg za cieniem* z Williamem Powellem i Myrną Loy.

Z niebywałą ostrożnością zeszli na dół. Franklin był taki ciężki, że deski trzeszczały pod nim, gdziekolwiek stąpnął, i Lloyd z każdym krokiem krzywił się w bolesnym grymasie.

Lecz w końcu dotarli do nie oświetlonego holu, a w domu wciąż panowała cisza. Franklin skinął na Lloyda i Kathleen, by podeszli bliżej.

— Jedyne, co musimy teraz zrobić, to wyjść frontowymi drzwiami, dojść do samochodu, wsiąść i odjechać. — Podniósł do góry kluczyki. — Zabrałem je z torebki Helmwige.

— Co z innymi samochodami? — zapytał Lloyd.

— Na chodzie jest tylko jeden, a ja spuściłem powietrze z opon.

— Gdzie Otto śpi? — szeptem zapytał Lloyd. — Nie usłyszysz, jak odjeżdżamy?

— Och, akurat by usłyszał! Co noc pracuje do pierwszej, drugiej w salonie, słuchając muzyki i popijając brandy. Potem kładzie się spać na kanapie, kompletnie ubrany. Nawet nie pofatyguje się umyć.

— Piękne dzięki — odparł Lloyd. — Właśnie został laureatem Nagrody Lloyda Denmana dla Człowieka Który Najprędzej Przyprawi Cię o Wymioty.

— W porządku, idziemy — rzekł Franklin. — Ale niech to będzie naprawdę szybko.

Zwolnił łańcuch u drzwi, a potem delikatnie odsunął rygle i drzwi frontowe otworzyły się z cichutkim skrzypieniem. Na dworze panowała ciemna noc, tak ciemna, jak tylko może być noc w południowej Kalifornii. Ledwie mogli odróżnić nikły odblask na dachu mercedesa Ottona.

— W porządku, idziemy! — szepnął Franklin. Razem zbiegli z ganku na podjazd i pokonali slalomem zaparkowane mercedesy. Kathleen zaczepiła kolanem o tylny zderzak 380SL.

— Cholera! — zasyczała, lecz już dopadli samochodu, otworzyli drzwiczki i wskoczyli

na wyściełane skórą siedzenia. Franklin włożył kluczyk do stacyjki, z rykiem zapalił silnik i włączył reflektory.

— O Boże, nie! — zawołała Kathleen w panice.

Reflektory w jednej chwili oświetliły szczupłą, nieprzejednaną sylwetkę Ottona zagradzającego im drogę, w koszulce z krótkim rękawkiem i szarych spodniach, z rękami założonymi na piersi i zwiędłymi ustami pomarszczonymi gniewem.

— Przejedź sukinsyna! — krzyknął Lloyd do Franklina. Lecz ten siedział za kierownicą zupełnie sparalizowany, wlepwszy oczy w Ottona. Został przez niego wyhodowany i wychowany. Otto panował nad jego wolą od momentu, gdy się urodził.

Starzec podszedł do drzwi samochodu i wyciągnął dłoń.

— Kluczyki, proszę — zażądał.



## Rozdział 18

— Franklin, jedź! — wrzasnął Lloyd i szarpnął dźwignią zmiany biegów.

Franklin spoglądał nań, jak gdyby go nie poznawał.

— Ja... co...?

— Jedź, Franklin, jedź, na miłość boską! Otto uciął:

— Nawet mi się nie waż!

Lecz odwołując się w tym krytycznym momencie do poczucia lojalności Franklina, miał Lloyd jedną jedyną przewagę, której Otto nie mógł sprostać. To on nadał Franklinowi imię.

— Jedź, Franklin, jedź! — wykrzyknął.

Franklin nacisnął do oporu pedał gazu i olbrzymi mercedes szarpnął i zarzucił, spod tylnych kół wyrzucając kamyki i piasek. Otto uczynił rozpaczliwy wysiłek, by wyciągnąć kluczyki ze stacyjki, lecz nie udało mu się ich dosięgnąć. Schwycił jednakże ręką za kierownicę i nie zwalniał uchwytu, tak że kiedy mercedes z rykiem silnika wypadł z podjazdu na ulicę, nadal ją trzymał, z początku biegnąc, potem zaś pozwalając się ciągnąć.

Jego biała twarz świeciła za szybą jadącego samochodu niczym zjawa. Na zakręcie w stronę Rancho Santa Fe osiągnęli blisko czterdziestkę i wciąż przyspieszali.

— *Du bist ein Verräter!* — wrzasnął na Franklina. — *Wo ist deinen Dankbarkeit?*

Franklin zaskomlął w przerażeniu, lecz Lloyd w dalszym ciągu na niego krzyczał:

— Nie zatrzymuj się! Nie zatrzymuj! Nic ci teraz nie może zrobić!

— *Verräter!* — wołał Otto. — *Schon bist du Tot!* Franklin gorączkowo kręcił kierownicą z boku na bok, usiłując rozerwać uchwyt Ottona, tak że samochód zataczał się z jednej strony jezdni na drugą, a opony chórem wydawały z siebie przeciągły pisk. Lecz Otto nie puszczał, choć jego buty wlokły się i obijały po asfalcie, sypiąc spod obcasów strumieniami iskier.

Kluczyli jasno oświetlonymi ulicami Rancho Santa Fe, a Otto wciąż jeszcze się trzymał. Co chwila spod kół mercedesa wydobywały się strugi ognia, lecz zarzucanie i kołysanie samochodu najwyraźniej utrudniało Ottonowi koncentrację.

— Ty zdrajco, zatrzymaj samochód! — dyszał do Franklina. — Zatrzymaj samochód albo zaraz cię zabiję!

— Lloyd! Tutaj! — krzyknęła Kathleen z tylnego siedzenia i podała mu do ręki jedną z samochodowych zapalniczek. Spiralny koniec żarzył się czerwonym blaskiem.

Bez wahania Lloyd przytknął zapalniczkę do grzbietu dłoni Ottona. Rozległo się

skwierczenie marszczącej się skóry i Otto wydał z siebie głęboki ryk oburzenia. Akurat w chwili gdy samochód zarzucił koło wejścia do Holiday Inn w Rancho Santa Fe, puścił kierownicę. Lloyd odwróciwszy się na siedzeniu ujrzał, jak Otto koziołkując przelatuje przez trójkątny skrawek zieleni, na przemian to rękoma, to nogami do przodu, niczym długonogi krawiec z *Pracowitej pszczołki*.

— Udało nam się! — wykrzyknął Franklin. — Udało nam się! Udało! Brawo dla nas!

Gdy pędem pokonywali następny zakręt, kierując się ku wybrzeżu, Lloyd nie spuszczał wzroku z Ottona. Sekundę wcześniej, nim trawnik znikł im z oczu, ujrzał, jak Otto staje na własnych nogach. Z przestraszaniem i rozczarowaniem zdał sobie sprawę, że nie jest on poważnie ranny. Kathleen obserwowała go również, gdyż wyraz jej twarzy, kiedy odwróciła się do niego, był ponury.

— On nam tego nie wybaczy — rzekła.

— Brawo dla nas! — powtarzał wciąż Franklin.

— Dobrze się spisałeś, Franklin — pochwalił go Lloyd.

— Pytanie tylko, dokąd się teraz udamy? — chciała wiedzieć Kathleen. — Może i powiodła nam się ucieczka, ale że Otto będzie nas ścigał, to pewne.

— Chciałbym tylko — odparł Lloyd — gdzieś przywarować do środy, póki nie dokonają tej transformacji. Wówczas przynajmniej będziemy mieli szansę odzyskania Celi i twojego męża. Zdaję sobie sprawę, że się zmienili. Dobrze wiem, że być może nie będziemy w stanie ich kiedykolwiek pokochać. Być może oni nie będą w stanie kiedykolwiek pokochać nas. Lecz musimy dać im tę ostatnią szansę. Nie mogą pozostać salamandrami. Słyszałaś, co rzekł Otto: są z gruntu nietrwale. Stanowią takie samo niebezpieczeństwo dla samych siebie, co dla innych ludzi.

— Może powinniśmy pojechać na wybrzeże i poszukać jakiegoś cichego hoteliku? — poddała Kathleen.

— Mam lepszy pomysł. Jedźmy do tej indiańskiej osady na pustyni Anza-Borrego. Mają tam do wynajęcia przyczepy campingowe, a to bodaj ostatnie miejsce, w którym Otto mógłby nas szukać. Potem, gdy tylko skończy się transformacja, możemy zabrać tego indiańskiego chłopca na policję.

— Po co?

— Jest naszym jedynym świadkiem. Tylko on może zeznać, że to śpiew Ottona słyszał, kiedy płonął autobus. Ot i po co! Jakich innych mamy świadków?

Kathleen wzruszyła ramionami.

— Chyba masz rację.

— Nie mogę wprost w to uwierzyć — rzekł Franklin. — Udało nam się, uciekliśmy!

— To wszystko dzięki tobie, bracie — odpowiedział mu Lloyd.

— Nigdy jeszcze nie widziałem Ottona w takim gniewie. — Franklin wyszczerzył zęby.

— No i dobrze, od razu poczułem się przez to lepiej. Jak gdyby nie dość był przerażający, kiedy się nie gniewa.

— Wiesz, że możemy teraz zadzwonić na policję — rzekła Kathleen. — Przynajmniej znaleźliby salamandry.

Lloyd potrząsnął głową.

— To by była masakra, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. I zaprzepaściłabyś ostatnią szansę ujrzenia znowu Mike'a.

Kathleen przyglądała się swemu odbiciu w przyciemnionej szybie.

— Nie jestem pewna, czy tego akurat pragnę.

— Hm — powiedział Lloyd. Wtem zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma w ręku zapalniczkę, i z krzywym uśmiechem oddał ją Kathleen. — Życie nie jest usłane różami, ale nie trzeba się poddawać słabości.

— Słabości? — odparła i w szybie ujrzała, że płacze. — Nie, nie ulegam słabości. Po prostu jestem trochę zmęczona.

— Czy dobrze się układało między tobą a Mikiem? — zapytał ją Lloyd.

Palcami otarła oczy.

— Zazwyczaj tak, póki nie poszedł na te badania.

— Teraz winisz się za to, że nie tęsknisz za nim tak bardzo, jak twoim zdaniem powinnaś?

Przytaknęła.

— Kłopot w tym, że nie potrafię tego wytłumaczyć Tomowi. Uwielbiał Mike'a, patrzył w niego jak w obrazek. Właściwie nie wiem, czy naprawdę odczuwam żal, czy też udaję go ze względu na Toma. Okropnie mi przykro.

— Wydaje mi się — odparł Lloyd — że wszyscy czują to samo, kiedy tracą bliską osobę. Pamiętam, jak to było, kiedy umarł mój dziadek. Byłem w rozpacz, a jednocześnie odczuwałem w pewnym sensie ulgę, że już nie muszę się o niego martwić. Nieomal się ucieszyłem ze względu na niego. Wszyscy się rodzimy i wszyscy musimy umrzeć. Sądzę, że w gruncie rzeczy nie ma żadnego powodu, byśmy nie mieli cieszyć się z obu tych wydarzeń.

— Helmwige nigdy nie umrze — rzekł Franklin.

— Dziwnie o tym pomyśleć, co? Aż ciarki przechodzą po plecach — powiedział Lloyd. — Ta kobieta wciąż będzie miała czterdzieści kilka lat, kiedy po nas nie będzie już ani widu,

ani słychu.

— Czy ona rzeczywiście nigdy nie umrze? — spytała Kathleen. — Nigdy, przenigdy? Czy nikt nie może jej zabić? A co się stanie, jeśli wpadnie pod samochód albo ktoś ją postrzeli czy coś takiego?

Kierując się na Solana Beach, przejeżdżali właśnie pod autostradą międzystanową.

— Skręć tutaj w lewo na autostradę — powiedział Lloyd. — Nim wyruszymy na pustynie, chciałbym w przelocie rzucić okiem na mój dom i w miarę możliwości zamienić kilka słów z Waldem.

Franklin z piskiem opon skręcił na rampę podjazdową. Lloyd popatrzył wstecz.

— Już w porządku, możesz teraz zwolnić. Nie chciałbym, żeby nas zatrzymali za przekroczenie przepisów drogowych, przynajmniej nie teraz.

— Przepraszam — powiedział Franklin. Lecz gdy wjechali na niemal pustą o tej porze 1–5, odezwał się: — Może ich zabić Himm.

— Kto? — zapytał Lloyd. — Kto może zabić kogo?

— Tych, którzy żyją wiecznie. Helmwige, każdego z nich. Może ich zabić Himm.

— Himm? Co to za jeden ten Himm i gdzie mieszka? Otto ci tego nie mówił?

Franklin potrząsnął głową.

— Ale słyszałem, jak mówił któregoś nocy Helmwige. To było wówczas, kiedy Celia zjawiła się po raz pierwszy. Powiedział: „Ona nic nie wie o Himmie, prawda? Nawet ciebie może zabić Himm, podobnie jak całą naszą rasę panów”.

Lloyd rzucił Kathleen szybkie, podekscytowane spojrzenie.

— Czy Otto nie mówił nic bliższego, kto to taki ten Himm?

— Nie — odparł Franklin. — Lecz pamiętam o tym dlatego, że powtarzał to kilkakrotnie, raz za razem, jak gdyby był tym naprawdę zdenerwowany.

Lloyd rozparł się na siedzeniu. Otto na wpół sugerował, że Hitler mógł poddać się transformacji, spaleni i unieśmiertelnieniu. Być może Himm to Hitler. Być może wciąż dzierżył nad swoimi zwolennikami absolutną władzę, tak samo jak podczas drugiej wojny światowej.

— Czy myślisz o tym samym co ja? — zapytał Kathleen.

— Nie wiem. A o czym ty myślisz?

Wyjaśnił, lecz widać było, że trudno jej w to uwierzyć.

— Jestem pewna, że Hitler nie żyje — powiedziała. — Czyż nie zidentyfikowali go na podstawie kartoteki jego dentysty?

— To nie ma żadnego znaczenia. Jego prawdziwe ciało jest martwe, to pewna. Tak

samo jak ciała Celi i Mike'a. Lecz co stało się z dymem i duszą, która uniosła się z tego ciała? Trudno uwierzyć, że Hitler widział, jak Helmwige przemienia się w salamandrę, i nie spróbował tej sztuczki samemu.

— Nawet szkoda o tym gadać — powiedziała Kathleen.

— Owszem, szkoda. Ale może taka jest prawda.

Pozostały jeszcze dwie godziny do świtu, kiedy Franklin, nie spiesząc się; przywiózł ich na North Torrey. Lloyd wysiadł z samochodu i wszedł na pochyły podjazd, a potem obszedł dom od tyłu. Kuchenne drzwi i okna były zabite deskami, a zamiast dachu nad kuchnią zawieszono były arkusze plastiku. W powietrzu wciąż unosił się przykry zapach dymu. Zajrzawszy przez jedno z bocznych okien, Lloyd stwierdził, że będzie musiał nie tylko przebudować kuchnię, lecz także powtórnie umeblować wnętrze niemal całego domu. A jednak jako były agent ubezpieczeniowy nie omieszkiał zadbać, by jego polisa od ognia miała odpowiednio szeroki zakres i była aktualna. Dzięki pieniądzom, które dostanie, będzie go stać nieomal na zrównanie z ziemią tego i zbudowanie od podstaw całkiem nowego domu. W pewnym sensie myśl ta zdawała mu się bardzo kusząca. Ten dom wywoływał w nim uporczywe wspomnienia o Celi i o ich wspólnych planach życiowych. Pomyśleli nawet o zasypaniu, podobnego do grobu dołu kompostowego, by przypadkiem nie wpadło do niego dziecko.

Lloyd szarpnął za klamkę frontowych drzwi, by upewnić się, że są dobrze zamknięte. Dom wydawał się dość dobrze zabezpieczony, okoliczni sąsiedzi zaś byli zbyt wścibscy, by trzeba było praktycznie liczyć się z możliwością włamania. Mój Boże, Kazowscy nie omieszkali nawet zauważyć, że raz wyniósł śmieci w nowej pizamie. „Widzieliśmy twoją nową pizamę, Lloyd. Pewnie od Ascota?”

Lloyd zakończył lustrację domu i wrócił do samochodu.

— Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie można by coś zjeść i napić się kawy? — spytała Kathleen. — Chyba niedługo zemdleję. Przez cały czas odbija mi się kapustą Helmwige.

— Oczywiście, możemy iść do restauracji — odparł Lloyd. — Przy okazji spotkam się z Waldem.

Gdy dojeżdżali do La Jolla, niebo poczęło się rozjaśniać. Lloyd czuł się zmęczony, lecz zarazem dziwnie odmieniony. W jakiś sposób silniejszy, jak gdyby wreszcie pogodził się z utratą domu i samospaleniem kobiety, którą kochał, i przygotowywał się, by stawić czoło wydarzeniom, które przynieść miał nowy dzień. Odwrócił się, by popatrzeć na Kathleen, jej zaś udało się przywołać na twarz uśmiech.

Waldo nie posiadał się z radości na widok Lloyda, lecz przerażony był jego stanem.

— Wygląda pan jak laureat konkursu na sobowtóra Mickeya Rourke'a — powiedział, przynosząc do stolika ogromny biały dzbanek kawy z ekspresu i stos dymiących bagietek. — Może zadzwonię po Louisa, by przyjechał i zrobił wam porządne śniadanie?

— Nie ma na to czasu — odpowiedział Lloyd. — Posłuchaj... musimy na kilka dni gdzieś przywarować. Nie będziemy daleko, ale nie mam zamiaru mówić ci, gdzie się udajemy, na wypadek gdyby pytał cię ktoś, kto nie uznaje odpowiedzi odmownych.

— Panie Denman, moje usta są zapieczętowane — zapewnił go Waldo.

— Jak idą interesy? — zapytał Lloyd.

Rozejrzał się po restauracji, po schludnie nakrytych stołach i lśniących kieliszkach i z jakiegoś powodu nie potrafił się już tym zachwycić. Przeciwnie, o klaustrofobię przyprawiła go pedanteria tego miejsca, gdzie ludzie więcej uwagi poświęcali *foie gras chaud poêlé aux blancs de poireaux* niż sensowi życia i wysiłkom, które większa część świata czyniła każdego dnia, by ledwie zachować wolność.

Waldo poczęstował Franklina bagietkami.

— Interesy idą świetnie. Chce pan obejrzeć księgi? Może wzrost dochodów nie jest już taki szybki, ale nie ma się czym martwić. Ludzie zawsze chętnie zjedzą kawałek dobrej i smacznie przyrządzonej ryby. Wie pan, co wczoraj czytałem? Ludzie mają takie duże mózgi dzięki temu, że jedzą ryby. Ci zaś, którzy ich nie jedzą, cofają się ewolucyjnie. Nie jesz ryb, skończysz jako małpolud.

Kathleen uśmiechnęła się z przymusem.

— Masz tu wspaniałego kierownika sali. Nigdy nie widziałam restauratora, który tak przejmowałby się Dar—winem.

— Gdzie to wyczytałeś, Waldo? — zapytał Lloyd.

— To prawda — maître nie dawał za wygraną. — Tak samo z ptakami. Były kiedyś stworzeniami lądowymi, ale potem zaczęły jeść rozgwiazdy, które niemal nie zawierały wapna. Ich kości stawały się coraz lżejsze i lżejsze, aż w końcu ptaki literalnie uleciały w powietrze.

— Czy to prawda? — zapytał zafascynowany Franklin. Waldo zerknął na Lloyda, przestraszony donośnym głosem młodzieńca.

Rozmawiali przez niemal godzinę. Na dworze weszło słońce i zatoczka La Jolla załśniła w porannej mgle bladym złotem. Lloyd poszedł do toalety umyć się i ogolić, podczas gdy Kathleen zadzwoniła do Lucy zapytać o Toma, Franklin zaś bezwstydnie pożerał kolejne

bagietki.

— Pański przyjaciel to ma dopiero apetyt — uśmiechnął się Waldo, chwytając Lloyda za rękę.

Lloyd z uśmiechem skinął głową.

— Niech pan posłucha — powiedział Waldo. — Nie wiem, w co się pan wpakował. Może chciałby pan, żebym wezwał gliny?

— Jeszcze nie — odparł Lloyd. — Wpierw muszę się zemścić.

— Zemścić się? — pociągnął nosem Waldo. — Nie wiem. Kiedyś myślałem o zemście. Myślałem o tym, żeby wrócić do Europy i poszukać ludzi, którzy zabili moją rodzinę. Zostać jednym z tych tropicieli hitlerowców, rozumie pan? Mógłbym ich wszystkich postawić przed sądem. Lecz koniec końcem, cóż ona jest warta, ta zachwalana zemsta? Niczego się przez nią nie zyskuje. Bynajmniej nie poprawia człowiekowi samopoczucia. I w końcu sprawia, że staje się on jeszcze gorszy od ludzi, których chciał ukarać.

— Być może — powiedział Lloyd i po raz ostatni uściśnął serdecznie dłoń Walda. Ten niski grubasek, który tak wiele dumy czerpał ze swojej pracy, miał tyle do ofiarowania światu, że ten prawdopodobnie nie miał tego gdzie wszystkiego pomieścić. — Czasami trzeba pomyśleć nie tylko o przeszłości, ale i o przyszłości.

Opuścili La Jolla kilka minut przed dziewiątą i skierowali się na wschód, prosto ku słońcu. Tym razem prowadził Lloyd, założywszy malutkie zielone szkła przeciwsłoneczne Ottona, które odkrył w schowku na rękawiczki.

— Boże, wyglądasz zupełnie jak hitlerowiec z *Poszukiwaczy zaginionej arki* — powiedziała Kathleen.

Franklin ułożył się wygodnie na tylnym siedzeniu i nim zaczęli wspinać się ku Santa Ysabel, już chrapał.

— Chcesz, żebym z tobą rozmawiała? — tłumiąc ziewnięcie, spytała Kathleen.

— Nie, jeśli wolałabyś się zdrzemnąć.

— Zmrużę tylko na chwilkę oczy, dobrze? I tak oto Lloyd pędził przez krzaczaste peryferie Stanowego Parku Anza-Borrego skradzionym mercedesem, z Kathleen na przednim siedzeniu, uderzając czołem w boczną szybę przy każdej nierówności nawierzchni, i Franklinem wyciągniętym z tyłu, chrapiącymi na dwa głosy. Lloyd krzywo uśmiechnął się na myśl, że powinna tu być z nimi Celia: mogłaby dokładnie określić tonację, w której chrapał Franklin, i być może nawet coś w niej zaśpiewać.

Celia była błyskotliwa, bystra i nieustannie tryskała humorem. Lloyd dostroił radio

mercedesa do stacji KFSD na fali 94,1 i złapał *Kol Nidrei* Brucha w wykonaniu Władimira Aszkenazego. To niesamowite: *Kol Nidrei* był zawsze ulubionym utworem Celi i Lloyd poczuł się tak, jak gdyby Celia próbowała się z nim skontaktować.

Przed nimi płonęła jasno pustynia, kraina wzgórz i nierealnych obrazów. Za nimi unosił się wysoko kurz. Lecz Lloyd nie czuł się ani smutny, ani samotny. Miał do wykonania pracę, której nikt inny na świecie nie mógł za niego wykonać i za którą (wedle wszelkiego prawdopodobieństwa) nikt mu nawet nie podziękuje. Nucił Bruchowi do wtóru i obserwował, jak kilometry tykają jednostajnie na liczniku mercedesa.

W porze wczesnego lunchu przejechali obok miejsca, gdzie spalił się autobus. Wrak został już stąd odholowany i po tym, co tu zaszło, nie pozostało ani śladu, nie licząc obwieszzonego zasuszonymi wieńcami i zwiędłymi kwiatami krzyża, który ktoś zaimprovizował z dwóch belek sufitowych z okopconego aluminium. Gdy go mijali, Kathleen wciąż jeszcze spała, a Lloyd nie chciał jej budzić. Pewne miejsca są warte zapamiętania, o innych zaś najlepiej zapomnieć.

Obudziła się dopiero, gdy zatrzymali się przed sklepem Tony'ego Expressa, i przez chwilę przyglądała się Lloydowi, jak gdyby nie wiedziała, kto to taki.

— Wiesz, miałam przedziwny sen. Śniło mi się, że wypłynęłam wraz z Mikiem na zatokę Baja. Ocean kołysał mnie w górę i w dół. To chyba przez ten samochód. — Lecz w następnej chwili zmarszczyła brwi i powiedziała: — Mike w tym śnie wyglądał tak dziwnie. Sprawiał wrażenie, jakby nie miał w ogóle oczu.

— Daj spokój — powiedział Lloyd i otworzył drzwiczki. — Chodźmy poszukać jakiegoś kąta do spania.

Tony'ego Expressa znaleźli w sklepie, siedzącego w cieniście półmroku i nawlekającego paciorki. Zważywszy na jego ślepotę, Tony Express pracował nadzwyczaj szybko, oddzielając palcami paciorki różniące się kolorami i fakturą, by migiem nawlec je na igłę, zupełnie jak kolekcjoner owadów. „Albo zjadacz much” — pomyślał Lloyd i skojarzenie to przez długi czas nie chciało odejść z jego świadomości; było niczym pociąg znikający na horyzoncie równiny.

— Jak się masz, Tony? — zapytał.

Niewidomy indiański chłopiec nie przestał przebierać paciorków.

— Dziękuję, w porządku. Robię to, w czym Indianie są Bezkonkurencyjni. *Walla-walla-walla*, naszyjniki pierwsza klasa i inny chłam.

— Dla mnie wygląda nieźle — rzekł Lloyd.

— Ohoho — odparował Tony Express. — Dla ciebie kozie bobki wyglądałyby nieźle,



gdyby je pomalować w kolorach amerykańskiej flagi.

— Pamiętasz mnie? — zapytał go Lloyd. Gdyż — Boże wszechmogący — jeśli by nie potrafił zapamiętać głosu Lloyda, to jak mógłby odszukać w pamięci głos człowieka, który wykrzykiwał „Junius! Junius!” do autobusu pełnego swych płonących uczniów?

— Pewnie, że wiem, kim jesteś, człowieku — odrzekł Tony Express. — Po co tu wróciłeś? Powiedziałem ci wszystko. Nic więcej nie wiem.

— Myślałem, że może byśmy mogli zatrzymać się tu rzeź jakiś czas.

— Używasz płynu po goleniu od Hugo Bossa i chciałbyś zatrzymać się tutaj?

— Poszukuję spokoju, to wszystko. Kilka dni odpoczynku od trudów życia *yuppie*.

— Nie uciekasz przed prawem?

— Oczywiście, że nie.

Tony Express nagle podniósł głowę.

— Co to za jeden, ten wielki facet, człowieku? Nie miałeś go przedtem ze sobą.

Lloyd, zaskoczony, odwrócił się do Franklina i wzruszył ramionami. Może Tony Express tylko żartował mówiąc, że jest niewidomy.

Lecz Tony Express niezwłocznie wyjaśnił:

— To tylko taki trick, człowieku. Mogę to tylko zrobić po południu, kiedy słońce zagląda do wnętrza sklepu. Czuję, jak mi zasłania ciepło.

— Przepraszam — powiedział Franklin ustępując do cienia.

— Nie przejmuj się tym, człowieku — powiedział Tony Express. Zręcznie zawiązał na supeł nawleczony przed chwilą naszyjnik i założył pokrywkę na wypełnione paciorkami pudełko od cygar.

— Obok naszej przyczepy stoi druga, pusta. Należy do Indianina nazywanego Ton Zuni. Nie jest żadnym cholernym Zuni, a już z pewnością nikt nie słyszał, by wydawał jakieś tony, ale tak to już jest. Możecie ją wynająć za dwadzieścia tygodniowo.

Zaprowadził ich na tyły sklepu, gdzie natychmiast z prowizorycznej budy, wykonanej ze skrzynki, wypadły dwa nakrapiane kundle z wybałuszonymi oczyma. Zatrzymały je w pędzie przymocowane do obroży łańcuchy, omal ich przy tym nie dławiąc.

— Nie zwracajcie na nie uwagi — powiedział Tony Express. — Jadają tylko przedstawiciele prawa i kuratorów dla nieletnich. Mają certyfikat Biura Ochrony Konsumenta.

Gdy przemykali się obok warczących i toczących pianę psów, Kathleen chwyciła Lloyda za rękę.

— To jedyna gwarancja, której nie chciałabym sprawdzać — powiedziała Tony’emu Expressowi.

Chłopiec otworzył wysoką drucianą furtkę w ogrodzeniu, cierpliwie poczekał, aż wejdą do środka, i poprowadził ich pomiędzy przyczepami z nonszalancją kogoś, kto świetnie się orientuje, dokąd chce dotrzeć. Omijał wykopane doły, sznury na bieliznę i przewrócone skrzynki po coca—coli. Pozdrowiał starców siedzących pod sfatygowanymi markizami na wyleniących fotelach. Odzywał się do kobiet i dzieci, a nawet powiedział: — Cześć, Geronimo! — do kota śpiącego wewnątrz zdartej opony.

— Aż trudno mi uwierzyć, że on jest niewidomy — zauważył Franklin.

— Na swój sposób on widzi więcej od nas — odparł Lloyd. — Jest także o wiele inteligentniejszy.

Tony Express nie odezwał się ani słowem, lecz podniósł do góry palec, by pokazać Lloydowi, że słyszał.

Wreszcie dotarli do przyczepy, wielkiej, krzywo stojącej i pomalowanej na zielono, z przerośniętymi skrzynkami okiennymi i rurą piecyka wystającą z okopconego dymem dachu. Tony Express otworzył im drzwi wejściowe i pozwolił zajrzeć do środka.

Wewnątrz było ponuro i panował wściekły upał, lecz nieomal pierwszą rzeczą, na którą się natknęli, był ogromny klimatyzator Westinghouse'a, wyglądający tak, jak gdyby poprzednio używano go do chłodzenia planetarium. Pozostała część przyczepy była zaskakująco czysta i schludna. Na stole stał wazon z zaszuszonymi kwiatami, domek na kółkach zaś składał się jeszcze z nienagannie czystej kuchenki i maleńkiej łazienki ze stojakiem pod umywalkę z politurowanego mahoniu w stylu wojny secesyjnej i emaliowaną wanną w kształcie nerki.

Lloyd podszedł do jednej ze znajdujących się w przyczepie półek i wybrał na chybił trafił tani egzemplarz książki.

— Wiersze Sterlinga Browna? — zapytał.

Tony Express zaśmiał się i zacytował:

*O Mamo Rainey*

*Drobna, cichutka,*

*Śpiewaj nam o nieszczęściach*

*I o naszych smutkach;*

*Opowiadaj o drogach,*

*Którymi pójść nam czas.*

Z uśmiechem dodał:

— Ton Zuni twardo stoi na gruncie emancypacji uciśnionych ludów, człowieku.

— Hm, a któż z nas nie stoi? — odparł Lloyd.

Tony Express obracał się stojąc na środku przyczepy, jak gdyby wszystkiemu się przyglądał. Może odbierał wibracje, może zapachy lub hałasy, wszystkie owe niuanse, których obdarzeni wzrokiem ludzie nie są w stanie dostrzec, nie mając dostatecznie wyostrzonych zmysłów.

— Podoba ci się tu, człowieku? Co o tym myślisz?

— Jest lepiej, niż mogłem przypuszczać. A już na pewno czyściej.

Tony Express przestał się obracać.

— Uważasz, że Indianie są brudni czy co? Lloydowi zrobiło się niewyraźnie.

— Nie, nie. Oczywiście, że nie. Chciałem przez to powiedzieć, że...

Tony Express machnął ręką, jak gdyby pokazując mu, że to nie ma znaczenia.

— Dwie dychy na stół, człowieku. Gotówką. Zepsuła się nam maszynka do kart kredytowych.

Lloyd wyciągnął z kieszeni dwudziestaka i wcisnął go Tony'emu Expressowi do ręki.

— Jest twoja — rzekł chłopiec. — Prąd płatny oddzielnie, zależnie od tego, z czego będziesz korzystał. W szafce powinny być czyste prześcieradła. Ton Zuni jest bardzo uważający. — Na przykład zawsze, kiedy obetnie paznokcie, zaraz zamiata dywan.

— Miło usłyszeć — odparł Lloyd.

Tony Express miał właśnie opuścić —przyczepę, kiedy przed sklepem zatrąbił samochód.

— Poczekajcie — powiedział, po czym zeskoczył ze schodów i pobiegł pomiędzy przyczepami. Lloyd wszedł do kuchenki i sprawdził, czy jest gaz i woda. Zasyczał gaz, a po krótkiej chwili astmatycznego rżenia popłynęła z kranu woda.

Kathleen usiadła na łóżku.

— Wiecie, zawsze człowiek wyobraża sobie te przyczepy jako coś gorszego od slumsów. A patrzcie tylko, jaka tu czystość. To chyba konieczność życia w małej przestrzeni narzuca taką dyscyplinę.

Wciąż jeszcze rozmawiali, gdy Franklin odsunął siatkę z drzwi wejściowych i wyjrzał na dwór.

— Chłopak wraca — powiedział. — Ma ze sobą dwóch policjantów.

— Co takiego? — zdziwił się Lloyd.

Odsunął z drugiej strony zasłonę i ujrzał, że Franklin ma rację. Tony Express powracał krętą dróżką pomiędzy przyczepami, za plecami mając tęgiego, rumianego na twarzy

funkcjonariusza Patrolu Drogowego, któremu towarzyszył drugi, szczuplejszy i ciemniejszy na twarzy, w modnych okularach przeciwsłonecznych i sztywno wyprasowanej koszuli.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytała Kathleen, gdy Lloyd pozwolił zasłonie opaść.

— Nic nie możemy zrobić — odrzekł Lloyd. — Jedyne iść w zaparte, to wszystko.

Nic nie mówiąc czekali, aż Tony Express i dwaj funkcjonariusze się zbliżą. Drzwi otworzyły się i przyczepa aż jęknęła i pochyliła się cała na bok, gdy sierżant Jim Griglak wdrapał się do środka, mając za plecami Rica Mufioza. Griglak przetoczył się do części mieszkalnej, trzymając swój szerokoskrzydły kapelusz przy piersi, jak gdyby składał wizytę kurtuazyjną jakimś przyjaciołom rodziny. Ric Munoz niezmordowanie żuł gumę, zapominając nawet zdjąć okulary przeciwsłoneczne.

— Sierżant Jim Griglak z Patrolu Drogowego — powiedział funkcjonariusz, choć Lloyd zdążył się sam tego domyślić. — Proszono nas o zatrzymanie mercedesa benza, którego opis odpowiada pojazdowi zaparkowanemu tam na drodze, i o aresztowanie jego pasażerów. Czy państwo są tymi pasażerami?

Lloyd potrząsnął głową.

— Nie wiem, o czym pan mówi, sierżancie. Nigdy w życiu nie miałem mercedesa benza. To skody Beverly Hills. Co o mnie, to uznaję tylko BMW.

Jim Griglak cierpliwie wziął głęboki oddech.

— Nie mówimy tu, proszę pana, o posiadaniu samochodu. Mówimy o kradzieży.

— W dalszym ciągu nie wiem, o co panu chodzi. Jeśli nie lubię mercedesów, to czemu miałbym jednego z nich ukraść?

— Czasami pierwszy z brzegu samochód jest lepszy niż żaden. — Jim Griglak objął wymownym spojrzeniem całą ich trójkę. — Nie zechcieliby państwo podać mi swoich nazwisk i celu pobytu tutaj?

— Jesteśmy grupą badaczy zagadnień etnicznych z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego. Jestem profesor Holden Caufield, a to moi asystenci. Zajmujemy się zestawianiem profili społecznych niewielkich izolowanych społeczności indiańskich, takich jak kolonia zamieszkująca te przyczepy.

Jim Griglak zamknął na chwilę oczy, jak gdyby odwołując się do niewyczerpanych rezerw cierpliwości. Wreszcie rzekł:

— Aresztuję was wszystkich troje na podstawie podejrzenia o kradzież samochodu. Ja też czytałem *Buszującego w zbożu*, profesorze Caufield. Szkoda, że nie wymyślił pan jakiegoś bardziej przekonującego pseudonimu, jak na przykład Bruce Wayne.

Pociągnął nosem i wyrecytował listę przysługujących im praw, po czym rzekł:

— Chodźmy. Spóźnię się przez was na lunch. Ric Mu ñoz dodał:

— Sierżant Griglak staje się bardzo nieprzyjemny, kiedy się spóźnia na lunch.

Nic nie mogli zrobić. Poprzedzani przez Tony'ego Expressa, opuścili po kolei przyczepę i drogą przez furtkę wrócili do sklepu, gdzie psy warczały, zanosiły się szczekaniem i rzucały się wściekle na łańcuchach.

— Piękne dzięki, kolego — Lloyd odezwał się do Tony'ego Expressa, gdy okrążali sklep. — Przypomnij mi, żebym ci się odwdzieczył za tę przysługę.

— Nic na to nie mogłem poradzić, człowieku — odparł chłopak. — Skoro tylko zobaczyli samochód, wiedzieli, że musicie być gdzieś w okolicy.

Lloyd powiedział:

— Facet, którego próbujemy złapać... ten, który mówił „Junius, Junius” podczas pożaru autobusu... Chciałbym, żebyś wiedział, że to jeden z najbrzydliwszych gadów chodzących na dwóch nogach po ziemi. A zatem mam nadzieję, że jeśli uda się nam to wyjaśnić i zdołamy go złapać, będziesz skłonny wystąpić i zidentyfikować jego głos.

— A co, jeśli tego nie zrobię?

— Wówczas on i jego przyjaciele zrobią z dzisiejszymi Amerykanami to samo, co wczorajsi Amerykanie zrobili z Indianami. *Capiche?* On i jego przyjaciele uważają, że są czymś w rodzaju rasy panów, rozumiesz, co mam przez to na myśli? Uważają, że świat do nich należy i że oni powinni nim rządzić. Słyszałeś kiedyś o Adolfie Hitlerze?

— Pewnie, że słyszałem. Mówiłem ci, że jestem nadmiernie wykształcony jak na chłopaka w moim wieku.

— No cóż, ten facet od Juniusa próbuje doprowadzić do końca sprawę, której nie udało się zakończyć Hitlerowi.

— Tutaj? W Kalifornii?

— A czemuż by nie? To jeden z najbogatszych i najbardziej wpływowych regionów na całym świecie. Tym, czym dziś żyje Kalifornia, jutro będzie żył cały świat.

— Może byście tak zamknęli jadaczki, co? — zawołał Jim Griglak. — Jeśli woli pan zachować milczenie, to niech pan zachowuje to pieprzone milczenie.

Tony Express pobladł na twarzy, jego oddech zaś stał się dziwnie płytki.

— Nic na to nie mogłem poradzić, człowieku. Widzieli już samochód.

Dotarli do szosy. Było gorąco jak w piecu i żar unosił się znad asfaltowej nawierzchni. Jim Griglak otworzył tylne drzwi wozu Patrolu Drogowego i lekkim skinieniem głowy nakazał Franklinowi wdrapać się do środka. Franklin zawahał się i sprawiał wrażenie niezdecydowanego.

— Dalej, kapuściana głowo, jedziemy podziwiać krajobraz — wyrąbał Jim Griglak.

Gdy ulokowali się na tylnym siedzeniu wozu patrolowego, Jim Griglak zamknął ich na klucz. Potem samochód wykręcił i z powrotem skierował się w stronę głównej autostrady, podczas gdy Tony Express stał opuszczony na poboczu szosy, przysłuchując się, jak odjeżdżają.

Ric Muñoz podniósł nadajnik krótkofalówki i zameldował do bazy, że wiozą trójkę podejrzanych o kradzież mercedesa Ottona Mandera. Prowadzący samochód Jim Griglak podśpiewywał sobie pod nosem i od czasu do czasu robił uwagi na temat mijanych krajobrazów, baseballu oraz głośno się zastanawiał, czy istnieje życie po przejściu na emeryturę. Wraz ze wszystkimi nużącymi szczegółami wdał się w tłumaczenie zagrania zwanego przerzutem Boudreau, z jakim mamy do czynienia, gdy kapitan drużyny, przeciwdziałając tendencji obrońcy do stałego odbijania piłek na prawą stronę, przerzuca wszystkich graczy w polu na prawo od pomocnika.

Lloyd, Kathleen i Franklin nie odzywali się ani słowem. Franklin był oszołomiony. Lloyd i Kathleen czuli zarówno fizyczne, jak i psychiczne wyczerpanie. Kołysanie samochodu zaczynało ich usypiać.

— Często chodziłem tą trala–lala... I po chodnikach tej trala–lala... Hej, nie opowiadałem ci tej historii o misiu Yogi, który dostał czek płatny na okaziciela?

— Nie jestem pewien — dzielnie odpowiedział Ric. Zaczynał tęsknić już do chwili, kiedy jego partner pójdzie na emeryturę.

Jim Griglak zachichotał.

— Powiedział: „Hej, zrobili błąd w moim nazwisku!”\*

Pokonali nie więcej niż dziesięć kilometrów rozżarzonej do białości pustyni, gdy Griglak nagle zaczął zwalniać. Zmiana szybkości niemal natychmiast rozbudziła Lloyda, który wyprostował się nagle na siedzeniu.

— Co to jest? Co się dzieje? — zapytał.

Lecz Jim Griglak nie odpowiadał. W zamian za to prowadził coraz wolniej i wolniej, spoglądając przed siebie, jak gdyby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Kathleen chwyciła Lloyda za ramię.

— Spójrz! — zawołała.

Lloyd zmienił pozycję i zmarszczył brwi, wypatrując pod słońce. To, co ujrzał, sprawiło, iż poczuł jednocześnie wesołość i zgrozę, jakby obudził się któregoś ranka i spostrzegł, że potrafi latać.

---

\* Miś Yogi — Yogi Bear, okaziciel — bearer.

— To być nie może — wyszeptał Jim Griglak.

— Ale możesz być pewny, że to jest — odrzekł Ric Muñoz, powracając echem do chwili, gdy znaleźli spalony autobus i wszystkich jego okropnie zwęglonych pasażerów.

Mniej niż trzydzieści metrów przed nimi na poboczu szosy stały dwie postacie. Jedną był starszy Indianin ubrany w dżinsy i czerwoną koszulę flanelową. Drugą stanowiła koścista, poszarpana przez wiatr sylwetka Tony'ego Expressa. W dłoni trzymał długi kij udekorowany skrawkami skóry i futra, ogonami wiewiórczymi i paciorkami, czyli kukłę tańca słońca, którą pokazywał im w sklepie, kiedy spotkali się za pierwszym razem.

Słońce odbijało się w szklach jego okularów. Nie okazywał lęku. Po prostu czekał. Jim Griglak zwolnił i wóz patrolowy począł się toczyć w żółwym tempie, a wreszcie stanął całkowicie, choć od szczuplutkiego niewidomego Pechangi z kijem obwieszonym szmatami dzieliło go jeszcze dobre dziesięć metrów.

Policjant zaciągnął hamulec ręczny i zgasił silnik. Pośród oślepiającego upału nagle zapanowała cisza.

— Co się stało? — wreszcie zapytał Lloyd.

Jim Griglak odwrócił się zza kierownicy i rzucił Lloydowi zbolące spojrzenie.

— Patrzy pan na niewidomego indiańskiego chłopca, który dopiero co, idąc pieszo przez teren pustynny w blisko pięćdziesięciostopniowym upale, wyprzedził samochód jadący z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. A pan pyta mnie, co się stało?

— Może ma brata — zasugerowała Kathleen bez większej nadziei. — Może zatelefonował do niego i poprosił, by na nas tu czekał... rozumie pan, udając, że to on.

Jim Griglak z wolna potrząsnął głową.

— To ten sam dzieciak. To ten sam dzieciak, który mniej niż piętnaście minut temu stał przed sklepem swojego ojca i patrzył, jak odjeżdżamy. Ric Muñoz zaśmiał się nerwowo.

— Daj spokój, sierżancie, co też pan mówi? Niejeden dzieciak mieszka w okolicy. A przy okazji... kim jest ten starszy gość obok niego? Musiał się pan pomylić, nie ma innej możliwości.

Lecz Jim Griglak był nieugięty.

— To ten sam pieprzony dzieciak, Muñoz, przysięgam na grób swojej matki. — Z powrotem odwrócił się do Lloyd, Kathleen i Franklina. — Nie ruszajcie się stąd — powiedział — zrozumiano? Zapamiętajcie sobie: nigdzie nie odchodzić!

Stękając wygramolił się z samochodu. Ric Muñoz wahał się przez chwilę, po czym odcepiał strzelbę z uchwytu na tablicy rozdzielczej i poszedł w ślad za nim, trzymając broń w pogotowiu. Lloyd obserwował, jak wolno zbliżają się do dwójki Indian: starca w

wyświechtanych dzinsach i młodego ślepcę z przepaską na czole, i przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Czuł się tak, jak gdyby oglądał wydarzenie o historycznej doniosłości.

— Czy to naprawdę on? — szepnęła Kathleen. — Wygląda identycznie!

— To nie może być on — odparł Lloyd. — W jaki sposób mógłby ktoś przebiec w niecałe dziesięć minut niemal dziesięć kilometrów i przybyć na to miejsce wcześniej od nas? Może i jest przedwcześnie rozwinięty, może nawet troszeczkę szalony, lecz jest istotą ludzką.

— A więc uważasz, że to jego sobowtór?

— To dużo bardziej sensowne, niż gdyby miał to być on sam!

— Ale przypuśćmy...

— Co takiego przypuśćmy?

— Nie wiem — odparła oszołomiona Kathleen. — Wydaje mi się tylko, że jeśli Otto jest w stanie palić ludzi i przywracać ich z powrotem do życia, to może są na tym świecie rzeczy, których zwykle wolimy nie zauważać.



## Rozdział 19

Jim Griglak zbliżył się do starego człowieka i chłopca z całą ostrożnością, jakiej nauczyły go lata pracy w Patrolu Drogowym. Obserwuj oczy. Uważaj na najlżejszy cień poruszenia. Obserwuj też dłonie. Oprócz starej, dobrej, noszonej po bożemu za pasem broni ręcznej istnieje jeszcze mnóstwo innych narzędzi, służących do okaleczania i zabijania. Noże, małokalibrowe pistolety, które wyskakują z rękawa, i cały ten szajs ninja, jak gwiazdy i łańcuchy.

Chłopiec stał z głową uniesioną nieco wyżej, niż trzymałaby ją osoba obdarzona wzrokiem, i z nieznacznie wyszczerzonymi zębami, poza tym jednak zachowywał się z dużą swobodą i pewnością siebie. Skrawki futra i zwierzęce ogony, które dekorowały jego kukłę tańca słońca, kołysały się bez przerwy w gorącym popołudniowym wietrze. Jim Griglak dojrzał na jej szczycie malutką, złośliwą twarzyczkę i postanowił nic a nic się tym nie przejmować.

Starzec natomiast miał wygląd niezmiernie dobroduszny, niczym jeden z tych jegomościów, jakich można zobaczyć na obiedzie dla emerytów, z którego dochód przeznaczony jest na cele dobroczynne. Jego twarz charakteryzował ów wyraźnie skórzasty wygląd, jakim odznaczają się tylko Indianie. Oczy miał napłynięto krwią i zasnuwane błoną, lecz uśmiechał się do siebie, zupełnie jak gdyby wszystko toczyło się dokładnie po jego myśli.

Jim Griglak zatrzymał się, pociągnął nosem, po czym wytarł go grzbietem dłoni.

— Jak tu się dostaliście? — zapytał bezceremonialnie.

— A jak ty się tu dostałeś? — odparł chłopiec z uśmiechem.

— Posłuchaj — powiedział Jim. — Nie próbuj się wykręcać. Chcę wiedzieć, jak się tu dostaliście.

— Tak samo jak i pan — rzekł starzec. — Poprzez powietrze, ogień, wiatr i wodę.

— Jak się pan nazywa? — zapytał Jim Griglak.

— John Tępy Nóż. A pan?

— Nie pański cholerny interes.

— Ciekawe — John Tępy Nóż skinął głową. — Jednakowoż nie bardzo mi się to podoba. Ma pan rodziców ateistów?

— Słuchaj pan — powiedział Jim Griglak. — Nie mam pojęcia, jak, do cholery, udało się wam dotrzeć tu tak szybko, chyba że macie ukryte za tą wydumą ferrari testarossa. Ale wiem jedno. W tej chwili wracacie obaj tam, skąd przyszliście, i trzymacie się z dala od spraw, w których nie macie żadnego pieprzonego interesu.

John Tępy Nóż odpowiedział:

— Moi rodzice zawsze uczyli mnie, bym zwracał się do każdego, nawet do swego wroga, z szacunkiem. Szacunek to siła, przyjacielu. Pogarda to słabość. Największą potęgą we wszechświecie jest uznanie jednej istoty ludzkiej dla mocy drugiej. Jedynie słabi poszukują w ludziach słabości.

— Jak się tu dostaliście tak szybko? — zapytał Ric Munoz. — Dajcie spokój, powiedzcie nam. Znacie jakiś tajny skrót czy co?

John Tępy Nóż z uśmiechem odwrócił się do chłopca.

— Przyjacielu, nie szliśmy wcale szybko. To wy poruszaliście się powoli. Spójrzcie na zegarek. Popatrzcie na pozycję słońca. W jaki sposób pokonanie zaledwie dziesięciu kilometrów zajęło wam aż sześć godzin?

Jim Griglak podniósł głowę i rozejrzał się. John Tępy Nóż miał rację. Wszystkie cienie w tajemniczy sposób przesunęły się z jednej strony świata na drugą. Wysoko ponad nimi niebo zaczęło się właśnie ściemniać. Zerknął na zegarek i ujrzał, że już prawie piąta. Całą drogę ze sklepu Tony'ego Expressa przebyli z najwyższą dopuszczalną prędkością, tymczasem z obliczeń wychodziło im nie więcej niż kilometr na godzinę. John Tępy Nóż i Tony Express mogli więc minąć ich spacerkiem, nie wyjmując nawet rąk z kieszeni.

— Ric — powiedział Jim Griglak przez zaciśnięte zęby — jaką masz, proszę cię, godzinę na zegarku?

— Prawie piątą, sierzancie.

— To zupełnie tak jak ja. I rozejrzyj się dookoła. Jest zdecydowanie piąta, nie ma co do tego dwóch zdań. Lecz i ty wiesz, i ja wiem, że po to, by przebyć dziesięć kilometrów z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, potrzeba mniej niż siedem minut. A znasz mnie i wiesz, że z miejsca wrzucam dziewięćdziesiątkę. Co więc, do cholery, się dzieje? Chciałbym to wiedzieć.

Niewidomy indiański chłopiec potrząsnął kukłą tańca słońca.

— Nie dysponujemy waszą siłą ognia, człowieku. Nigdy tego nie pragnęliśmy i nigdy nie zapragniemy. Ale to jest nasza ziemia i pozostanie na zawsze nasza. A zatem jeśli chcesz poruszać się powoli, wystarczy, że poprosisz ziemię, by cię powoli niosła. Nawet nie rozumiecie sensu słowa „podróżować”, nieprawdaż? Czemuż to pojęcie „podróżującego obserwatora” jest takie istotne? Kiedy podróżujesz, nie tylko ty przesuwasz się nad ziemią, to także ziemia przesuwa się pod tobą. Czas i przestrzeń mogą się rozszerzać i kurczyć, czyżbyście o tym nie wiedzieli? Po tym wszystkim, czego nauczył was Einstein? To nie fantazja ani magia. To fakt.

— Ile ty masz lat — spytał Jim Griglak.

— W lutym skończę trzynaście.

— Jezusie — rzekł Griglak. — Kiedy ja miałem trzynaście, rodzice uważali mnie za geniusza, bo potrafiłem wyrecytować z pamięci *Triumf Caseya*.

Ric Muñoz z niesmakiem wyjął z ust gumę, którą musiał żuć przez ponad sześć godzin.

— Myślałby kto, że przynajmniej nie będzie już miała smaku.

— Słuchajcie — Jim Griglak zwrócił się do Tony’ego Expressa i Johna Tępego Noża. — Nie wiem, jaki cholerny numer tu wycięliście, ale podpada to pod utrudnianie przedstawicielom prawa pełnienia obowiązków służbowych. Chwilowo nie mam miejsca w samochodzie, lecz ostrzegam, że prawdopodobnie czeka was areszt i że wrócę tu, gdy tylko odstawię tych podejrzanych do San Diego.

— To może panu zająć wiele godzin. — Uśmiechnął się John Tępy Nóż.

— Nie obchodzi mnie, ile pieprzonych godzin mi to zajmie — odpalił Jim Griglak. — Nie obchodzi mnie, choćby mi to miało zająć cały czas aż do pieprzonej emerytury. Wy, Indianie, chcieliście wykręcić mi jakiś pieprzony numer, a nikomu jeszcze nigdy nie uszło to na sucho.

— „Nigdy” to wynalazek białego człowieka — odpowiedział John Tępy Nóż. — Mój lud uznaje tylko „zawsze”.

— A więc zapamiętaj sobie na zawsze — odciął się Jim Griglak. — Nikt nie będzie mi robił żadnych numerów. Kapewu?

Kiwnął głową na Rica Muñoz.

— Chodźmy, Muñoz — rzekł. — Zaczynam być głodny. Odwrócił się, lecz ku swemu zdumieniu ujrzał, iż ich wóz patrolowy zniknął. Jak okiem sięgnąć, nie było nic oprócz pustej szosy.

Z wściekłością obrócił się w kierunku Tony’ego Expressa i Johna Tępego Noża, lecz obydwaj również zniknęli i droga była tak samo pusta przed nim jak i za nim. Odwrócił się i popatrzył na Rica Muñoz, ale wszystko, co ten był w stanie zrobić, to odpowiedzieć mu takim samym spojrzeniem.

— Gdzie oni się podzieli? — zapytał. — Widziałeś, jak odchodzili?

Ric Muñoz potrząsnął głową.

— Nic nie widziałem.

Jim Griglak stanął w samym środku pustyni Anza–Borrego i po raz pierwszy w całej swojej karierze wydał z siebie długi ryk zawodu i wściekłości.

Lloydowi, Kathleen i Franklinowi, oczekującym na tylnym siedzeniu rozgrzanego wozu patrolowego, wydawało się, że Tony Express i John Tępy Nóż po prostu obeszlili obu funkcjonariuszy Patrolu Drogowego i zostawili ich stojących na poboczu szosy.

John Tępy Nóż pochylił się z uśmiechem do okienka po stronie kierowcy.

— Jak pan sądzi, czy potrafi pan doprowadzić ten samochód z powrotem na parking z przyczepami? — zapytał Lloyd. — Potem mógłby pan zabrać swój wóz i ruszyć w dalszą drogę.

Lloyd wskazał oczyma Jima Griglaka i Rica Muñoza.

— A co z tymi dwoma? Raczej nie będą stać i machać chusteczkami, gdy będziemy odjeżdżać ich radiowozem?

John Tępy Nóż, niezrażony, nie przestał się uśmiechać.

— Przez najbliższą godzinę ci dwaj będą żyli w innym tempie niż my wszyscy. Do czasu gdy odzyskają normalną percepcję, nas już tu dawno nie będzie.

— Jak pan tego dokonał? — zapytała zdumiona Kathleen.

— Zapewne słyszała pani o Yaqui i ich umiejętności zmiany percepcji. To, co zrobiłem z naszymi przyjaciółmi z Patrolu Drogowego, to bardzo podobna procedura, wcale nie taka niezwykła ani trudna do wykonania.

Lloyd długo przyglądał się niepewnie Jimowi Griglakowi i Ricowi Munozowi, nim wreszcie otworzył samochód i wysiadł. Obaj policjanci pozostali na swoich miejscach, nawet nie odwróciwszy głów.

— To niewiarygodne — powiedział Lloyd do Johna Tępego Noża. — To najbardziej niesamowita rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

— A jak pan myśli, w jaki sposób Szalony Koń zdołał zająć z flanki generała Custer? — zapytał John Tępy Nóż. — Iluż to naocznych świadków twierdziło, że w jednej chwili Siuksowie byli na swoich miejscach, a w następnej już ich nie widziano. Ale oczywiście tam byli. Tylko po prostu Custer nie mógł ich zobaczyć. Lloyd usiadł za kierownicą.

— Podwieźć was — zapytał Johna Tępego Noża — czy wrócicie tą samą drogą, którą przybyliście?

— Dziękuję, chętnie się przejadę — odparł John Tępy Nóż. — Mogło wam się wydawać, że zjawiliśmy się tu szybko, tymczasem jednak musieliśmy w tym upale przejść dziesięć kilometrów na piechotę.

Tony Express ulokował się obok Lloyd, a John Tępy Nóż sztywno wsiadł za nim.

— Hej, człowieku, nie możemy włączyć syreny? — zapytał Tony Express, gdy Lloyd zapalił silnik i wykręcił.

— Nie zachowuj się jak dziecko — powiedział mu John Tępy Nóż.

Kathleen przechyliła się przez oparcie siedzenia.

— Co teraz zrobimy? — zapytała Lloyd. — Gdy tylko ci dwaj policjanci się obudzą, z miejsca pójda nas szukać na parkingu z przyczepami, nieprawdaż?

— Mój adwokat ma domek letniskowy przy brzegu w Del Mar — odparł Lloyd. — Zobaczę, czy przez kilka dni nie moglibyśmy z niego korzystać. Nie wydaje mi się, by Celia mogła mnie tam szukać.

— Powinniście wziąć ze sobą Tony'ego — powiedział John Tępy Nóż. — Opowiedział mi o waszej walce. Zna się na magii i potrafi używać kukły tańca słońca.

— Dlaczego pan z nami nie pojedzie? — spytał go Lloyd. John Tępy Nóż potrząsnął głową.

— Mój przyjacielu, jestem za stary. Dawno już minęły dni moich przygód.

— Tony? — zapytał Lloyd. Miał poważne wątpliwości co do wzięcia na siebie odpowiedzialności za dwunastoletniego niewidomego, zwłaszcza w chwili, gdy ścigał go ktoś tak niebezpieczny jak Otto Mander.

— Pewnie, że z wami pójdę, człowieku — zgodził się Tony. — Franklin może być moim gorylem, co, Franklin?

Franklin wyszczerzył zęby i skinął głową, choć wciąż jeszcze nie przyszedł do siebie po tym, co im się przytrafiło.

— Będę też twoimi oczyma. Ty będziesz od myślenia, a ja od patrzenia.

— Hm — odparł Tony, jak gdyby nie całkiem przekonany do tej umowy.

Pojechali z powrotem do sklepu Tony'ego, gdzie wciąż stał zaparkowany mercedes Ottona. John Tępy Nóż uściśnął im dłonie i życzył powodzenia.

— Gdybym był dużo młodszy, z chęcią pojechałbym z wami — rzekł. — Dziś mogę jedynie powtórzyć wam to, co wódz Cętkowany Wąż powiedział wojownikom Kri, gdy biali ludzie najechali na ich terytorium.

— Co to takiego? — zapytała Kathleen.

— Nie rozumiałaby pani języka Kri, lecz w dosłownym tłumaczeniu brzmi to: „Idźcie i nakopcie im zdrowo w dupę!”

Lloyd skorzystał w sklepie z telefonu, by zadzwonić do swojego adwokata, Dana Tabaresa. Lecz telefon dzwonił i dzwonił, a nikt nie podnosił słuchawki. Przez chwilę wahał się, a potem zadzwonił do Walda w restauracji.

— Waldo, to ja.

— Wszystko w porządku, panie Denman?

— W absolutnym. Ale muszę nieco zmienić swoje plany. Myślę o skorzystaniu przez kilka dni z domku letniskowego Dana Tabaresa w Del Mar. Kłopot w tym, że nie ma go w tej chwili w domu. Może mógłbyś zadzwonić do niego za jakąś godzinę i poprosić go, by zostawił klucze pod progiem, w tym samym miejscu co wtedy, kiedy Celia i ja... hm, w tym samym miejscu co przedtem.

— W porządku, panie Denman, zrobi się.

Gdy Lloyd odwiesił słuchawkę, Kathleen skorzystała z telefonu, by zadzwonić do siostry i porozmawiać z Tomem. Lloyd stał przed sklepem pośród długich cieni rzucanych przez zachodzące słońce i przyglądał się jej. Trudno byłoby się pomylić co do natury błysku, który zagościł w jej oczach, kiedy w końcu uzyskała połączenie. Lloyd odwrócił oczy i pomyślał o Celii i o dzieciach, których nigdy nie będą już mieli.

Pojawił się Tony Express, niosący w rękę torbę sportową Adidasa, wypchaną džinsami, koszulkami i majtkami o poszarzałym wyglądzie, które zapakował mu John Tępy Nóż. Na szyi wisiała mu zapasowa para tenisówek, na dodatek zaś wywijał włochatą i sfatygowaną kukłą tańca słońca. Oczy miał ukryte za ciemnymi okularami.

— Toczymy się stąd, człowieku? — chciał się dowiedzieć. Lloyd skinął głową.

— Tak mi się zdaje. Ale słuchaj uważnie. Jeśli zaczniesz robić choć trochę niebezpiecznie, wracasz tutaj pierwszym autobusem.

— Potrafię sam zadbać o własną skórę, człowieku — Tony Express wydał wargi. — Oprócz tego mam teraz własnego goryla, no nie?

Franklin wyszczerzył doń zęby.

— A jak! — powiedział.

Lloyd zaś podniósł oczy ku niebu i westchnął zastanawiając się, w co też się, do cholery, wpakował.

## Rozdział 20

Waldo poczekał z zamknięciem drzwi na Angie, ostatnią z wychodzących kelnerek, i dopilnował, by bezpiecznie wsiadła do corvetty swojego chłopaka. Zaraz potem przekręcił klucz w drzwiach, zaryglował je i odwrócił wywieszkę American Express z napisem: „Zamknięte”. Z powrotem przeszedł przez ciemną restaurację pomiędzy stołami nakrytymi świeżymi serwetkami i miękko połyskującymi sztućcami i otworzył rozsuwane drzwi, prowadzące na balkon.

Wokół niego migotały w ciepłych podmuchach nocy światełka La Jolla, a morze szumiało i fosforyzowało, uderzając o skały zatoczki. Udało mu się ocalić trzecią część butelki Barossa Yalley Cabernet Sauvignon przed towarzystwem starszych pań, które stały się zbyt rozchichotane, by mocją dokończyć, toteż nalał sobie kieliszek, oparł się o drewnianą poręcz i głęboko odetchnął oceanicznym powietrzem.

Chociaż nigdy by się nie ośmielił uzurpować sobie władzy Lloyda, zaczynał sobie cenić odpowiedzialność i satysfakcję płynącą z samodzielnego prowadzenia Bazy Rybnej. Udało mu się utrzymać lokal pełen życia i ruchu, dał też Louisowi wolną rękę w eksperymentowaniu z tuzinem nowych dań rybnych, z których przynajmniej jedno, skarp w ostrygach, odniosło wyraźny sukces.

Stał się także o wiele weselszy i bardziej towarzyski, a w miarę jak rosła jego pewność siebie, francuski akcent stawał się coraz mniej przesadzony — aż, jak zauważył Louis, praktycznie rzecz biorąc Waldo zaczął mówić po angielsku.

Pociągnął łyżeczek caberneta i posmakował go na języku. Nie był dostatecznie ochłodzony, lecz nie miało to znaczenia. Za bardzo cieszył się tą piękną nocą.

Zaledwie kilka minut stał na balkonie, gdy uświadomił sobie, że mewy krzyczą. Nigdy przedtem nie słyszał, by krzyczały po zmroku. Wyczuwał zakłócenia w powiewach wiatru i niepokój w kipieli przyboju. Wyprostował się i jął nasłuchiwać, pewny, iż ktoś woła go po imieniu.

— Waldo, nie biegaj za daleko; nie biegaj za szybko. Dziadek już idzie, Waldo, dziadek już idzie!

— Dziadku? — zapytał na głos. Potem potrząsnął głową i uśmiechnął się z własnej głupoty. Musi być rzeczywiście zmęczony, jeśli wyobraża sobie, że słyszy własnego dziadka.

— Dopij wino, pozamykaj lokal na noc i idź się przespać — powiedział sam do siebie, próbując upodobnić swój głos do głosu dziadka.

Odwrócił się i aż krzyknął zaskoczony. Potem potrząsnął głową. W ciemnym końcu

balkonu stała czarna postać o bladej twarzy i w ciemnych okularach. Stała bez ruchu, przyglądając mu się w milczeniu.

— Kim jesteś?! — wykrzyknął Waldo przez ściśnięte gardło. — To prywatna własność. Prywatna restauracja. Obcym wstęp wzbroniony.

Postać zrobiła krok do przodu i padło na nią przyćmione światło, które świeciło z restauracji przez wpólotwarte drzwi kuchenne.

— Nawet narzeczonej właściciela? — rzekła z uśmiechem na ziemistych wargach.

Waldo zadrżał i wydał z siebie przedziwny nosowy dźwięk, który brzmiał niczym hnajach! Postać postąpiła jeszcze bliżej, tak że Waldo zobaczył w jej szklach swe odbicie, w powietrzu zaś rozszedł się mocny zapach rozgrzanego metalu.

— Szukam Lloyda — powiedziała bardzo spokojnie.

Z przerażenia Waldo ledwie oddychał i czuł, jak jego serce to pędzi przed siebie na oślep, to znów tonie niczym miłośnik surfingu próbujący wypłynąć poza fale przyboju.

— Prześladuje mnie pani w koszmarach — powiedział jej. — Teraz śpię, a pani przysłała z mojego snu. Pani musi stąd odejść.

— Waldo — nalegała Celia — szukam Lloyda. Muszę go znaleźć, zanim będzie za późno.

Zbliżyła się o ułamek centymetra. Waldo krzyknął i podniósł rękę w obronnym geście.

— Musisz stąd odejść! Jesteś całkiem nieżywa! — Cofając się potknął się o jedno z krzesel i aby nie upaść, musiał schwycić się drewnianej poręczy. — Idź precz! Idź precz!

— Jak mogę być nieżywa, Waldo, jeśli widzisz mnie tu przed sobą na własne oczy?

Waldo wycofał się aż na sam skraj balkonu i jego plecy oparły się o barierkę. Rzucił za siebie szybkie spojrzenie i zobaczył tylko długi spad aż do betonowej ścieżki na dole.

— Boże, dopomóż mi! Boże, dopomóż! — wymamrotał. Celia odepchnęła na bok krzesło, które Waldo przewrócił, i ruszyła za nim. Zapach rozgrzanego metalu stał się jeszcze bardziej przenikliwy i Waldo począł kasłać.

— Czego chcesz? — zapytał. — Czego chcesz ode mnie? Jesteś martwa, czego ty możesz chcieć?

— Waldo, nie jestem martwa. To przecież ja, Celia.

— Ależ ty jesteś gorąca! Czuję to! Jesteś gorąca!

— Waldo, moje doczesne szczątki spłonęły, lecz moja dusza przeżyła. Nie musisz się o nią martwić. To w dalszym ciągu ja, wciąż ta sama Celia!

— Nie dotykaj mnie! — wrzasnął Waldo.

— Nie mam zamiaru cię dotykać.



— To czego chcesz?

Celia zdjęła ciemne okulary. W półmroku jej oczy wydały się Waldowi niezwykle ciemne. Bardziej jamy niż oczy. Otwory. Poczul, że mógłby przez nie zajrzeć prosto w czeluść jej głowy.

— Waldo... muszę tylko dowiedzieć się, gdzie jest Lloyd, to wszystko.

— Nie ma go w domu? — zapytał Waldo.

— Czy bierzesz mnie za idiotkę, Waldo? Obydwoje wiemy, że dom się spalił.

— Hm, nie wiedziałem — odparł Waldo. — Nic mi o tym nie mówił.

— Prowadzisz restaurację. Stoisz na straży radości i dumy jego życia. Musisz wiedzieć, gdzie on jest.

— Pani Williams... przysięgam... nie mam pojęcia. Celia odpięła rękawiczkę i zsunęła ją z dłoni. Schowała ją do kieszeni prochowca. Potem bez żadnego ostrzeżenia chwyciła Walda za rękę i ścisnęła ją mocno.

— Ejże! — wykrzyknął Waldo i szarpnął gwałtownie ręką, by się uwolnić. Lecz Celia nie ustępowała, jej palce zaś nie tylko trzymały mocno, ale i paliły żywym ogniem.

— Ejże, ty jesteś gorąca, parzysz mi rękę! — krzyczał Waldo. — Zostaw mnie, idź precz!

— Gdzie jest Lloyd, Waldo? Muszę to wiedzieć!

— Nie wiem, gdzie on jest. Przysięgam! Wyjechał i nie powiedział mi dokąd! Zrobił to celowo, na wypadek gdyby ktoś się dopytywał. Nie wiedziałem, że to ma być pani!

— Waldo... nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Lloyd jest bardzo ostrożnym człowiekiem, który nic nie pozostawia przypadkowi. Nie pozostawia przypadkowi swej restauracji, nie pozostawia przypadkowi swego domu, nie pozostawia przypadkowi swego życia. Lecz oto rzecz trudna do przewidzenia, Waldo. Oto odrobina improwizacji. Jeśli nie powiesz mi, gdzie on jest, mam zamiar cię spalić.

Dyszac Waldo usiłował wyrwać rękę z uścisku Celi, lecz nagle jej palce zajaśniały takim ogniem, że przepaliły skórę, mięśnie oraz ścięgna i spoiły ich dłonie. Waldo krzyknął z bólu i padł na kolana, lecz w dalszym ciągu nie mógł się wyrwać. „Boże, gdybym się uwolnił, to tylko wrywając sobie ramię!”

— Nie! Nie! Nie! — krzyczał, lecz wówczas Celia wolną ręką odpięła guziki płaszcza i ukazała się naga, ziemistoskóra, cuchnąca stopioną cyną. Obłoczek metalicznego dymu podniósł się spod wylotów jej płaszcza.

— Powiedz mi, gdzie on jest, Waldo — nalegała Celia. — Ja muszę wiedzieć!

— Nie wiem, ja nic nie wiem. Przysięgam na Boga, że nie wiem!

Lecz wtedy Celia ściągnęła zębami rękawiczkę z lewej ręki i położyła gołą dłoń na czubku łysiejącej głowy Walda. Rozległ się wściekły syk, łysina wzdęła się rumieńcem i pokryła pęcherzami. Spomiędzy palców Celi wydobyl się dym, Waldo zaś wydał rozpaczliwy okrzyk agonii i lęku.

Celia położyła temu kres w jednej chwili. Naciskając wtopionymi głęboko w wierzchołek jego głowy palcami, tak że Waldo nie mógł jej się wyrwać bez uniknięcia oskalpowania, rozplaszczyła jego twarz na swym nagim brzuchu. To stłumiło jego wycie na jakieś dwie, trzy sekundy. Pomiędzy piersiami Celi zakłębił się dym z płonącej twarzy Walda, ona zaś wciągnęła go w nozdrza z lubieżnym zadowoleniem.

— Czyż nie pragnąłeś zrobić tego ze mną, odkąd ujrzałeś mnie po raz pierwszy? — urągała mu.

Potem jęła pocierać jego twarzą w dół i w górę swego brzucha i pomiędzy udami, on zaś trzął się i dygotał we wszechogarniającej agonii. Było to jak pocieranie twarzą o płytę elektrycznej kuchenki. Z każdym pociągnięciem odrywało się coraz więcej pasemek spalonej skóry. Czuł, jak przypieka się jego nos. Policzki nieledwie zdawały się roztopiać jak wosk. Lecz Celia tarła i tarła, póki nos Walda nie poczał szczękać niczym kościany spust karabinu.

Ledwie mógł mówić. Twarz miał odartą ze skóry i pokrytą pęcherzami i nikt by go już nie rozpoznał, ani teraz, ani potem. Oczy wybałuszały się z zaczerwienionych oczodołów, nos był zaledwie skrętem spieczonej chrząstki z dwiema ogromnymi dziurami, wargi zaś spuchły do trzykrotnie większych rozmiarów. Dygotał w szoku, lecz Celia w dalszym ciągu go nie puszczała.

— Posłuchaj mnie, Waldo! Muszę dowiedzieć się, gdzie on jest!

Poczęła znów przyciągać jego twarz do siebie, lecz Waldo podniósł dłoń, by ją powstrzymać. Jego palce zaskwierczały w zetknięciu z potwornym żarem jej ud, lecz zbyt wiele już przeszedł, by móc jeszcze krzyżeć.

— D... domek letniskowy. Domek letniskowy Dana Tabaresa. W Del Mar.

— Dziękuję, Waldo — odrzekła Celia. — Dlaczego nie powiedziałeś mi tego od razu? Mogłeś sobie oszczędzić tylu cierpień!

Waldo spróbował wstać, lecz za bardzo się trzął. Celia stała przypatrując mu się, jej płaszcz zaś łagodnie trzepotał na nagim ciele, a skóra leciutko dymiła niczym metalowa brytfanna.

— Wiesz, jaki z tobą kłopot, Waldo? — spytała go Celia, choć prawdopodobnie nie mógł jej słyszeć. — Byłeś zawsze zbyt lojalny. Człowiek taki jak Lloyd potrzebuje ludzi, którzy kwestionowaliby jego władzę. Ludzi, którzy by go drażnili, którzy by go denerwowali.

Człowiekowi takiemu jak Lloyd nie należy zbyt łatwo ułatwiać życia. Inaczej cię wykorzystają i jeszcze zapomni za to zapłacić.

Z niemym uporem, pochylając głowę niczym raniony hipopotam, Waldo przesuwiał się na kolanach w jej kierunku. Zrobiła jeden krok w tył, potem drugi i wreszcie trzeci.

— Zabiję cię — zabuczał Waldo przez groteskowo rozdęte wargi. — Przysięgam na Boga, że cię zabiję!

Odepchnął na bok jedno z krzeseł, potem przewrócił stół.

— Czymkolwiek jesteś, mam zamiar cię zabić! Spróbował się podnieść, potknął się i całym ciężarem runął na nią. Zwaliała się na wznak i tam, gdzie jej dłoń dotknęła desek podłogi, wypaliła w drewnie czarne i gorzko pachnące odciski palców.

— Zabiję cię...! — powtórzył Waldo i uniósł wysoko nad głowę obydwie pięści, gotów spuścić je na jej twarz; kiedyś widział, jak jego ojciec zabijał w ten sposób wściekłego psa.

Lecz Celia przywarła doń ramionami oraz udami i powiedziała dziko:

— Śmiało, Waldo! Być może od początku było nam przeznaczone się pokochać! Takim specjalnym rodzajem miłości, co? Naprawdę gorącym!

Przycisnęła jego pokrytą pęcherzami twarz do swych nagich piersi, po czym zapaliła go niczym fajerwerk. Zawył, skręcił się i zaskrobał palcami o podłogę w poszukiwaniu czegokolwiek, co pozwoliłoby mu uciec. Zabębnił nogami o deski balkonu.

— Ratunku! Pomóżcie mi!

Lecz płomienie trawiły go tak szybko, jak gdyby odlany był ze stearyny.

Ból stał się tak nieznośny, że jakimś cudem udało mu się podnieść znów na kolana, a potem na nogi. Od stóp do głów spowijały go płomienie. Buty skwierczały i pryskały palącą się pastą.

Stanął przy poręczy, gdzie wiatr znad oceanu rozdmuchał na nim płomienie, które aż zaskowytały. Ból, w pierwszej chwili niewyobrażalny, począł się zmniejszać i wkrótce Waldo poczuł, że może tu stać w płomieniach, bynajmniej nie umierając. Mewy krzyczały, choć panowała ciemność. Był pewien, że słyszy głos dziadka z czasów, gdy razem spacerowali nad brzegiem morza.

— Nie przejmuj się, chłopcze. Wcale się nie bój. Teraz i ty potrafisz latać.

Płonąc wdrapał się na otaczającą balkon drewnianą barierkę i przez chwilę balansował na niej, podczas gdy płomienie rozpościerały się za nim na kształt monstrualnej peleryny. Otworzył usta, by zawołać dziadka, i spomiędzy warg trysnął mu ogień. Poczuł się, jak gdyby płonął zarówno od zewnątrz, jak i od środka.

— Potrafisz latać, Waldo. Potrafisz latać.

No i poleciał. Coraz dalej i dalej w ciemność, piętnaście ognistych metrów, póki z piorunowym hukiem płomienia i sykiem pary nie wylądował w wannie do masażu wodnych, znajdującej się o piętro niżej. Wannę zajmowali ortodonta o owłosionej piersi oraz rudowłosa kobieta, która nie była jego żoną. Właśnie z rozkoszą słuchali musujących w wannie bąbelków oraz nagrania Szóstej symfonii Beethovena, gdy płomienne pojawienie się Walda wyznaczyło moment, w którym jednocześnie i w mgnieniu oka małżeństwo ortodonty, jego romans, praktyka lekarska i zdrowie psychicznie legły w gruzach.

Piętro wyżej Celia przysłuchiwała się ich krzykom zgrozy i mamrotaniem. Potem zapięła rękawiczki i przez salę jadalną wyszła z restauracji. Przy krawężniku czekał na nią z zapalonym silnikiem mercedes 380SL o masce upstrzonej brudem i ptasimi odchodami. Za kierownicą, z ustami zasznurowanymi i dziwacznie wydętymi policzkami, siedział Otto.

— Del Mar — powiedziała Celia. — Ukrywają się w domku letniskowym jego adwokata. Wskażę ci drogę.

Otto skinął głową, nie odzywając się ani słowem.

— Nic ci nie jest? — spytała go Celia.

Otto znów skinął głową, po czym otworzył usta. Na języku kłębiło mu się dwadzieścia do trzydziestu błyszczących zielonoczarnych much plujek. Wszystkie były żywe, wszystkie próbowały się uwolnić, lecz ślina trzymała je na języku. Otto ponownie zamknął usta, po czym wyssał owady, pogryzł i połknął.

Po drodze do Del Mar Celia mówiła bardzo niewiele, jeśli nie liczyć: „To tu”, „Zwolnij” oraz „Uważaj na skrzyżowanie”. Zaczynała zdawać sobie sprawę, że być może samospalenie zmieniło ją bardziej, niż sądziła... i bardziej, niż wynikałoby to z Ottonowych obietnic. Wiedziała, że lubi Walda... niemal go kocha. Jednak nie czuła wyrzutów sumienia, spalając mu twarz. Nie czuła żalu, kiedy płonąc skoczył z balkonu. W istocie czuła coś niepokojącego i niebezpiecznego... przyjemność niemal seksualnej natury... będąc świadkiem przedśmiertnych konwulsji innej istoty ludzkiej.

Włożyła rękę pod płaszcz i wsunęła sobie dłoń między nogi. Wilgoć i ogień. Rozkosz i śmierć. Nie mogła już się doczekać odnalezienia Lloyda. Nie mogła się doczekać chwili, gdy go obejmie. Zadrzała na myśl o tym, co będą robić w noc przesilenia, gdy rok się będzie odmieniać, ogień płonąć i odrodzi się rasa panów.

Otto zerknął na nią kątem oka.

— *Was machst du*, Celia? — zapytał.

— Myślę. To wszystko.

— Spaliłaś Slonimsky'ego?

— Tak — odpowiedziała szeptem.

Otto grzbietem zwiędłej dłoni obtarł z warg resztki muszych skrzydełek.

— Tyle co do Żydów — zauważył. — Raz pozwoliliśmy im uciec. Drugi raz im się to nie uda.

Lloydowi udało się ustawić sfatygowaną antenę telewizyjną tak, by mogli obejrzeć nocne wiadomości. Przez większość programu twarz chińskiej prezenterki była intensywnie niebieska, z wijącym się zielonym wążkiem, lecz potrzebowali jedynie zrozumiałego dźwięku.

— ...funkcjonariusze Patrolu Drogowego zmuszeni byli dziś wieczorem przejść na piechotę dziesięć kilometrów przez Pustynny Park Stanowy Anza-Borrego, gdy ich wóz pożyczyci sobie dwaj mężczyźni i kobieta, zaarrestowani na podstawie oskarżenia o kradzież samochodu. Podejrzani opanowali pojazd Patrolu Drogowego, gdy funkcjonariusze na chwilę opuścili go celem przesłuchania dwóch autostopowiczów, i wykorzystali w celu powrotu na miejsce, gdzie zaparkowany był mercedes, który pierwotnie był powodem oskarżenia o kradzież...

— Autostopowicze! — parsknął Tony Express pogardliwie. — W dzisiejszych czasach nawet gliny nie mówią prawdy!

— A spodziewałeś się, że co powiedzą? — zapytał Lloyd. — „Zatrzymaliśmy się, by pogadać z tymi dwoma Indianami Pechanga, jednym trzynasto-, a drugim siedemdziesięcioletnim, gdyż wyprzedzili nas idąc piechotą, podczas gdy my jechaliśmy z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę”. A dajże tym biedakom spokój!

Urządzili się w domku Dana Tabaresa tak wygodnie, jak tylko się dało. Była to jedna z zaniedbanych nadbrzeżnych posesji, połączonych zapuszczoną boczną uliczką, na którą wychodziły zaplecza restauracji, sklepów i warsztatów samochodowych. Większość domków letniskowych należała do położonych daleko od morza hoteli, które się przechwalały, że dysponują czymś dla gości lubiących wypoczywać nad oceanem, lub do biznesmenów z centrum San Diego, którzy tak jak Dań Tabares zabierali tu gromady mężczyzn w średnim wieku na weekendy poświęcone łowieniu ryb oraz millerowskiemu piciu i drwieniu z miejscowych dojrzałych piękności.

Wielki, przesycony zapachem wilgoci salon umeblowany był sofami z pomalowanej na biało wikliny, wyściełanymi poduszkami z gąbki w bambusowe wzorki, i miał nieprzyjemne górne oświetlenie, w którym wszyscy wydawali się o wiele bardziej zmęczeni niż w rzeczywistości. Kuchnia, utrzymana w kolorach brązowym i pomarańczowym, chełpiła się

brudną kuchenką mikrofalową, elektrycznym otwieraczem do konserw inkrustowanym pociemniałym przez wieki sosem pomidorowym i staroświecką lodówką, zawierającą dwie butelki zwietrzałej wody sodowej oraz jakąś musującą substancję koloru khaki, która w swym poprzednim wcieleniu była prawdopodobnie kawałkiem wątrobianki.

Gdy tylko przyjechali, Lloyd i Kathleen udali się do najbliższego całonocnego sklepu kupić chleb, bekon, świeże jarzyny, brzoskwinie, pączki, herbatniki, kawę, tonik, czekoladę, butelkę wódki i whisky oraz inne produkty niezbędne do cywilizowanego życia.

W domku letniskowym nie było ani jednej rzeczy, która nie sprawiałaby wrażenia skazanej na wygnanie z głównej siedziby Dana Tabaresa, poczynając od popielniczki, a kończąc na podartym plakacie agencji handlu nieruchomościami, reklamującym tereny pod zabudowę Rancho Jamul: „Twoje miejsce... w tym kraju (widok obecny)”. Dwa pokoje ze składanymi łózkami były małe i nieprzytulne. Sypialnia główna pomalowana była na krzykliwy fiolet, nad łóżkiem zaś wisiała tandetna reprodukcja malowidła przedstawiającego dziewczynę w kapeluszu z szerokim rondem, stojącą nad brzegiem morskim, z podwiewaną do góry sukienką, tak że widać było jej goły tyłek.

Kathleen wyszła przed dom na ułożony z desek chodnik. Pół tuzina drewnianych stopni wiodło stąd na plażę. Przez chwilę stała, przysłuchując się uderzeniom fal.

Po wiadomościach Lloyd przyłączył się do niej.

— Mam nadzieję, że ci funkcjonariusze Patrolu Drogowego nie mają przez to zbyt wielu kłopotów — rzekł.

— Choćby i mieli, wszystko mi jedno — odparła Kathleen. Wiatr rozwiewał jej włosy. — Ten gruby był nieznośny, a ten młody zwyczajnie głupi.

— Przynieść ci świeżego drinka? — zapytał Lloyd. Potrząsnęła głową.

— Zaraz wchodzę do środka. Ocean zawsze napawa mnie lękiem. Ryczy jak głodne niedźwiedzie.

— Może powinnaś się trochę przespać? — zasugerował Lloyd. — Posłałem ci łóżko.

— A gdzie w takim razie ty będziesz spał?

— Na jednej z kanap. Potrząsnęła głową.

— Te kanapy są obrzydliwe. Cuchną piwem. Jestem pewna, że ty i ja możemy się wyspać w jednym łóżku, nie czyniąc przy tym nic niemoralnego.

Lloyd uśmiechnął się i przełknął whisky.

— To zależy od tego, co uważasz za niemoralne.

— Łatwo przekonasz się na własnej skórze.

Przez chwilę jeszcze stali na dworze kończąc drinki, zanim wrócili do środka. Tony

Express wziął prysznic, umył zęby i złożywszy schludnie ciemne okulary na nocnym stoliku, leżał już w łóżku. Jego białe jak mleko oczy wpatrywały się w sufit, a ręce były skrzyżowane na piersi.

Lloyd usiadł na brzeжку jego łóżka.

— Czy nigdy nie modlisz się przed snem? — zapytał.

— Nigdy — odparł Tony Express. — To dobre dla ptaków, człowiek u.

— Byłbyś zdumiony, jak często to pomaga, nawet, jeśli w to nie wierzysz.

— Cóż, może i jestem gotowy na wszystko, człowieku, ale nie aż do tego stopnia.

— Czy twój dziadek kiedykolwiek ci czytał?

— John Tępy Nóż? Człowieku, on nie umie czytać. Ale zna kilka całkiem niezłych historii o dawnych czasach, zanim jeszcze długie noże i inne obleśne blade twarze ukradły nasz kraj, zabrały nam nasze kobiety i zamieniły nasze święte miejsca w supermarkety. Lloyd uśmiechnął się.

— A co do ciebie mówi, zanim zgasi światło?

— Mówi zawsze: „Nie mam pojęcia, po jaką cholere to robię, przecież i tak tego nie widzisz”.

Lloyd wyciągnął dłoń i ujął Tony’ego Expressa za rękę.

— Niezły z ciebie numer, wiesz o tym?

— Tak, człowieku, wiem o tym.

Zgasiwszy tanią lampkę nocną, Lloyd zostawił Tony’ego Expressa samego i poszedł zobaczyć, co słyhać u Franklina, który leżał na łóżku ubrany od stóp do głów i wyglądał na bardzo spiętego.

— Wszystko w porządku? — zainteresował się Lloyd.

— Chyba tak. Czuję się dziwnie, to wszystko. Jestem jakiś rozdrażniony. Nie przywykłem, żeby być wolny.

— Będziesz miał na to dość czasu. Na pewno nie chcesz wrócić do Ottona i Helmwige? A może chcesz?

— Sam nie wiem. W dalszym ciągu nie czuję się w porządku.

— A co byś chciał, żeby cię przykuł do łóżka łańcuchem?

Franklin zerknął na niego, a potem odparł chrapliwie:

— Nie. To już nigdy się nie powtórzy. To było wtedy, kiedy nie miałem nazwiska, a oni kazali mi wierzyć, że wszystko, co złego zdarzyło się na świecie, było winą mojego ojca, ponieważ wyhodował go Josef Mengele. A skoro było winą mojego ojca, to tym samym i moją. — Przerwał na chwilę, po czym dodał: — W dalszym ciągu trudno mi uwierzyć, że tak

nie jest.

— Co sprawiło, że zmieniłeś na ten temat zdanie? Co spowodowało, że zdecydowałeś się uciec?

— Coś, co podsłuchałem z pańskiej rozmowy z Ottonem, gdy po raz pierwszy przyszedł pan do domu. On powiedział, że nie jestem nawet osobą, i usłyszałem przez okno, jak odpowiada pan z gniewem: „A czym, do cholery, jest, dwiema porcjami jaja na twardo?”

Lloyd nie mógł powstrzymać się od śmiechu, lecz Franklin był śmiertelnie poważny. W oczach miał łzy.

— Wtedy pierwszy raz ktoś powiedział, że jestem osobą, i pogniwał się na Ottona za to, że mówił, iż nie jestem.

— W porządku, dwie porcje — odrzekł Lloyd. — Najwyższy czas trochę pospać.

— Wie pan co? — powiedział Franklin. — Nigdy nie znałem swojego ojca, choć Helmwige pokazywała mi kilka zdjęć zrobionych po wojnie w Nowym Orleanie tuż po przyjeździe do Ameryki. Nie widziałem też nigdy swojej matki. Otto musiał kogoś wybrać. Nie wiem nawet kogo ani w jaki sposób.

— Nie miałaś przy sobie ojca, kiedy byłeś mały? Franklin potrząsnął głową.

— Podobnie jak matki. Nigdy nawet nie widziałem jej zdjęcia.

Lloyd nie znalazł słów, by na to odpowiedzieć. Zdążył już się przekonać, że Otto jest zimnokrwistym draniem, że zdolny jest do wszystkiego, by doprowadzić do narodzin swej rasy panów. Lecz sposób, w jaki zaaranżował poczęcie i wychowanie Franklina — nie dlatego, by chciał, ale dlatego, że tak zarządził Führer — sięgał poza granice wszelkiego ludzkiego okrucieństwa, jakie Lloyd mógł sobie wyobrazić. Sama myśl o dzieciństwie Franklina była wręcz nie do zniesienia — bezimiennym, pozbawionym miłości, pełnym bicia i wykorzystywania seksualnego. Fakt, że w jakiś sposób udało mu się przeżyć z nietkniętą psychiką, był cudem zasługującym na wszelkie modlitwy, nawet Tony’ego Expressa.

— Wie pan — rzekł Franklin — jak się wtedy bawiłem? Nie będzie się pan śmiać, prawda?

— Oczywiście, że nie. Powiedz.

— Bawiłem się, że mama i tata z serialu Flicka to moi prawdziwi rodzice. Gdy tylko pojawiali się w telewizji, wyłączałem fonię i rozmawiałem z nimi.

Lloyd położył Franklinowi rękę na ramieniu.

— Całe mnóstwo dzieciaków robi to samo, Franklin. Podobnie jak całe mnóstwo dorosłych.

Nagle przeniósł się w krainę własnego dzieciństwa, gdy leżał na brzuchu na wyleńiałym



brązowym dywanie przed czarno-białym telewizorem, oglądając galopującego po ekranie Duncana Renaldo. *Adios, amigos, do zobaczenia wkrótce!*

Zamknął za sobą drzwi do pokoju Franklina i wrócił do salonu. W programie nocnym szedł jakiś stary film; zgasił telewizor. Kathleen była już w sypialni: drzwi zostawiła otwarte na oścież, paliło się światło. Dochodził też zapach żelu do mycia się pod prysznicem. Podszedł do drzwi i zapukał.

— Napijesz się przed snem?

— Chętnie. Jeśli chcesz, możesz już wejść.

Z wahaniem uchylił drzwi i wszedł do środka. Poszwy były odchylone, poduszki wstrząśnięte. Kathleen stała przy umywalce w łazience, piorąc rajstopy. Miała na sobie pasiastą koszulę męską, którą znalazła, w szafie Dana Tabaresa.

— To mi przypomina pewien stary film z Clarkiem Gable'em — rzekł Lloyd. — Na pewno nie masz nic przeciwko temu, byśmy spali razem?

Powiesiła rajstopy na drucianym wieszaku i weszła do sypialni.

— To bardzo po dżentelmeńsku z twojej strony. Ale czy nie jesteś trochę zbyt pewny siebie?

— Co przez to rozumiesz?

— Czy nie jesteś trochę zbyt pewny siebie przyjmując, że mogłabym choćby pomyśleć o czymkolwiek innym poza spaniem?

Lloyd usiadł na brzegu łóżka i ściągnął buty.

— Przepraszam. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało w ten sposób. Zdaje się, jestem po prostu zmęczony.

Przemaszerował przez pokój do malutkiej łazienki i wszedł do wyłożonego różowymi kafelkami kojca prysznic. Odkręcił kurek i pozwolił, by przez długą chwilę woda tryskała prosto na jego twarz. W Bogu nadzieja, że uda mu się doprowadzić tę rzecz do końca i że kiedy nadejdzie ku temu odpowiedni czas, będzie wiedział, jak sobie poradzić z Ottonem i Helmwigie.

Jeszcze więcej dałby za to, by wiedzieć, jak ma sobie poradzić z Celią.

Wytarł się i ubrał w przepastne białe szorty oraz koszulkę bez rękawów z napisem głoszącym: „Włoskie Stowarzyszenia Ojców i Matek”. Nim wrócił do sypialni, rozsiewając wokół siebie zapach pasty do zębów, Kathleen leżała już w łóżku, czytając wiekowy egzemplarz „Reader's Digest”. Ułożył się obok niej. Była ciepła i poczuł zaskoczenie widząc, jak to przyjemnie znów położyć się u boku kobiety.

— Dobre? — zapytał, skinąwszy w kierunku magazynu. Potrząsnęła głową.

— Tak sobie. Jak to pilot po katastrofie samolotu czołgał się piętnaście kilometrów z urwaną nogą.

Złożył głowę na poduszce i przyjrzał się jej z uwagą.

— Naprawdę jesteś taka twarda, czy tylko chcesz na mnie sprawić takie wrażenie?

Złożyła „Reader’s Digest” i pozwoliła, by spadł na podłogę.

— Przez dwanaście lat żyłam z człowiekiem, co do którego nie miałam pewności, czy go kocham. Potem go straciłam. Oplakałam to, oczywiście, choć nie jestem pewna dlaczego. Być może płakałam nie nad nim, lecz nad sobą. Nad tymi wszystkimi latami, które mogłyby być lepsze, a nie były. Być może potrzeba było aż śmierci Mike’a, by mnie obudzić.

— Masz jeszcze Toma — rzekł Lloyd. Kathleen skinęła głową.

— Tak, masz rację, i nie wyrzekłabym się go za nic w świecie. Lecz gdybym nie spotkała Mike’a, Tom nigdy by się nie narodził. Miałabym jakieś inne dziecko z kimś innym.

— Nie wiem, czy wolno tak myśleć — odparł Lloyd.

— Cóż, może i nie — odrzekła śledząc palcem niewidzialny wzór na kołdrze. — Ale każdy ma prawo trochę sobie pogdybać, nie uważa sz?

— Chyba tak.

Lloyd zgasił światło i sypialnia zatoneła w ciemnościach. Kathleen pochyliła się nad nim i pocałowała go w policzek.

— Przyjemnych snów — powiedziała.

Był więcej niż świadomy ciężaru i ciepła jej piersi pod koszulą, lecz nawet nie próbował dopuścić do siebie myśli, by się z nią wiązać. Nie teraz, nie kiedy miał na głowie takie kłopoty.

— Dobranoc — odparł i odwrócił się na drugi bok.

Przez dłuższy czas nie zasypiał, leżąc i słuchając oddychania spoczywającej obok Kathleen i niedalekich odgłosów przyboju. Cały czas myślał o wierszu, który zacytował Tony Express:

*O Mamo Rainey*

*Drobna, cichutka,*

*Śpiewaj nam o nieszczęściach*

*I o naszych smutkach;*

*Opowiadaj o drogach,*

*Którymi pójść nam czas.*

Zasnął. Śniło mu się, że Celia się weń wpatruje stojąc nad jego łóżkiem, podczas gdy z ust i oczu wydobywa jej się ogień. Śniło mu się, że Celia przysuwa się bliżej, że pochyła się nad nim, że całuje go w policzek.

Otworzył oczy i okazało się, że to nie sen.

— Lloyd? — zapytała szeptem.

Leżał w absolutnym bezruchu, oblany potem i zeszywniały ze strachu.

— Lloyd, to ja, Celia.

W dalszym ciągu nie był w stanie nic odpowiedzieć ani się poruszyć. Jego umysł zwarł się mocno jak imadło, a zaciśniętych zębów nic nie byłoby w stanie rozewrzeć.

— Musisz z nami wrócić, Lloyd. To zbyt ważna sprawa. Do przesilenia jeszcze tylko jeden dzień... nie może się zdarzyć nic nieprzewidzianego.

Kathleen zamruczała coś przez sen i przewróciła się na drugi bok. Celia zerknęła na nią przez swe nieprzeniknione ciemne okulary.

— Tak szybko zdążyłeś mnie zdradzić? — zapytała. Lloyd podparł się na łokciu i odparł również szeptem:

— Odsuń się, dobrze? Stań trochę dalej. Pomówimy o tym w drugim pokoju.

Wysunął się z łóżka tak ostrożnie, jak tylko mógł, a potem cicho otworzył drzwi sypialni i przeszedł do salonu, mając tuż za plecami Celię. Wyczuwał ten gorący, metaliczny zapach, który go przerażał. Zamknął drzwi sypialni, by nie przeszkadzać Kathleen.

— *Guten Abend* — usłyszał głos, gdy zapalił światło. W jednym z bambusowych foteli, ze skrzyżowanymi nogami i twarzą ocienioną rondem kapelusza, siedział Otto. — *Sein T-shirt ist sehr amüsant.*

— Jak nas znaleźliście? — zapytał Lloyd. — Dlaczego, do cholery, nie możecie nas zostawić w spokoju?

— Niejaki Slonimsky powiedział nam, gdzie jesteście — odparł Otto skubiąc paznokciami strzępiącą się rafię, którą związany był jego fotel. — Był w najwyższym stopniu pomocny.

— Waldo? Waldo powiedział wam, gdzie jesteśmy? Nigdy w to nie uwierzę!

Otto wzruszył ramionami.

— Nie obeszło się bez drobnej perswazji. Niemniej... jak już mówiłem... okazał się w najwyższym stopniu pomocny.

— Jezu Chryste, jeśli zrobiliście coś Waldowi... spotkamy się choćby w piekle!

— Mój drogi panie Denman, prawdopodobnie spotkamy się w piekle tak czy owak.

— Celio — zapytał Lloyd. — Czy Waldowi nic się nie stało?

— Waldo czuje się świetnie, kochanie. Po prostu świetnie.

— Czy są tu wszyscy? — chciał wiedzieć Otto. — Pani Kerwin? Pomiot Mengelego?

— Zabiera nas pan z powrotem do Rancho Santa Fe?

— Nie mam wyboru, panie Denman. Jutro wieczorem w Teatrze Miejskim odbędzie się wielka Transformacja. Nie mogę pozwolić, byście narazili na niebezpieczeństwo mój wielki dzień... dzień, który kosztował mnie tyle lat przygotowań.

— Którą ma pan godzinę? — zapytał Lloyd.

— Trzy minuty po trzeciej — odpowiedział Otto. — Dlaczego pan pyta?

— Po prostu... w porządku, wracamy z wami do Rancho Santa Fe. Nie mamy innego wyjścia, prawda? Inaczej usmażycie nas żywcem?

— Zaczyna pan nie najgorzej pojmować sytuację — uśmiechnął się Otto.

— Pozwólcie tylko tym ludziom przespać się kilka godzin — prosił Lloyd. — Przeszli wszelkiego rodzaju stresy. Czemu nie mielibyście napić się kawy? Zaraz zaparzę, jeśli macie ochotę. Pojedziemy zaraz o ósmej, co wy na to? Ale nie budźcie ich jeszcze, a zwłaszcza chłopca.

Otto przemyślał to, po czym powiedział:

— Doskonale. Wcale się nie sprzeciwiam. Mnie samemu przydałaby się odrobina snu. Być może pan i pańska przyszła narzeczona potraficie wykorzystać ten czas na powtórne zapoznanie się ze sobą. W końcu przyszłość niedługo należeć będzie do was, *nicht wahr?*

Schylił się i rozsznurował wielkie buty z czarnymi wypustkami. Następnie położył obie stopy na stoliku do kawy. Skarpetki miał zmechacone, zrobione z cienkiej szarej wełny. Wyglądały, jak gdyby od czasów wojny prał je ręcznie w hotelowych umywalkach. Zaplótł palce i zamknął oczy.

Lloyd popatrzył na Celię, ubraną w czarny turban, ciemne okulary i prochowiec.

— I to wszystko? — zapytał. — Już śpi?

— Będzie teraz spał do siódmej — odparła. — Zasypia niemal natychmiast i śpi bardzo głęboko. Bez żadnych snów. Twierdzi, że ma to coś wspólnego z czymś, co przydarzyło mu się w czasie wojny.

— Przejdźmy do kuchni — poddał Lloyd.

Celia poszła przodem, lecz on pilnował się, by zachować dystans. Nie mógł znieść dziwnej ziemistości jej cery.

— Napijesz się? — zapytał. — Możesz pić?

Wzięła szklankę z suszarki obok zlewu i nalała sobie wody z kranu. Wypiła pełny

haust, nie zamykając ust i obserwując go z drwiącym wyrazem twarzy. Usłyszał, jak woda ostro zawrzała w jej żołądku. Ustami i nosem poszła para. Lloydowi drżała dłoń, gdy nalewał sobie dużą whisky.

— Szkoda, że nie powiedziałaś mi, co masz zamiar zrobić — rzekł. — Być może łatwiej by mi było to znieść. Być może mógłbym to nawet zrozumieć.

— Przepraszam cię, Lloyd — odparła. — Naprawdę bardzo mi przykro. Ale zawsze byłam kobietą, która nie potrafi nic oddać bez walki. I kiedy Otto obiecał mi, że będę żyła wiecznie... nigdy nie chorując, nigdy się nie starzejąc... cóż, zaczęłam już odczuwać skutki stwardnienia rozsianego. Widziałam, co się stało z Jacqueline DuPre. Nie chciałam, żeby to samo było ze mną.

— I uważasz, że lepiej być salamandrą? Sądzisz, że jesteś teraz naprawdę sobą?

— To moja dusza, Lloyd. Duch twojej Celi. Jestem nią w dalszym ciągu. I dalej cię kocham. W środku jes tem ta sama co zawsze.

Lloyd żywo potrząsnął głową.

— Celi, którą znałem, nie interesowała nieśmiertelność ani rasa panów, ani pomarszczeni ze starości Niemcy jedzący insekty.

— Lloyd, to nie tak! Powinieneś słyszeć Ottona, kiedy po raz pierwszy do mnie mówił! Byłam przerażona tym, co się ze mną dzieje, a on dał mi tyle nadziei! W jednej chwili miałam przed sobą przyszłość, i to nie tylko jedną, ale tysiąc przyszłości, które mogłam dzielić z tobą!

Lloyd przełknął whisky.

— Celio... ja nie zamierzam żyć wiecznie. Nawet nie chcę żyć wiecznie. Ja chcę się ożenić, prowadzić prosperującą restaurację, mieć dwójkę dzieci i zestarzeć się z godnością... Oto, czego pragnę. Nie chcę spalić się żywcem, by zostać potem jakimś hitlerowskim koszmarem.

— Jeśli nie chcesz, nie musisz żyć wiecznie — powiedziała Celia. — Ale nadal możesz mieć dziecko. W noc Transformacji, kiedy odśpiewane będą wszystkie pieśni i odmówione wszystkie słowa rytuału, znów stanę się ciałem, tak jak Helmwige. Nie ma powodu, byśmy ty i ja nie mogli zamieszkać razem, dokładnie tak jak to sobie zawsze planowaliśmy.

Lloyd wydał z siebie sarkastyczne stęknienie.

— O tak, z pewnością... gdy ja będę robił się coraz starszy, ty wciąż pozostaniesz młoda. A przy tym będziesz mogła spalić mnie na proszek, ile razy się na mnie rozzłościś. Już to widzę!

— Lloyd, kochanie... wcale nie musi tak być.

— A więc jak ma to być? I pomijając już wszystko inne, jak wyglądałyby nasze

dzieci? Połowa nieśmiertelnych, a połowa śmiertelnych? A jeśli tak, to która połowa?

— Ach... w tym cała rzecz — powiedziała Celia. — Prawdziwa rasa panów powstanie ostatecznie z potomstwa osób takich jak ja... które zostały spalone i przekształcone... oraz ich ludzkich kochanków. Dzieci te będą miały jednocześnie wszystkie cechy istot nieśmiertelnych oraz ludzkich. Nie rozumiesz? Oto dlaczego Otto nie chce cię puścić przed przesileniem... Pragnie, żebyśmy mieli dziecko... Ja pragnę, żebyśmy mieli dziecko... jedno z pierwszych z nowego, wiecznotrwałego rodu. Pradawna magia, współczesne ciało. Temu połączeniu nic się nie oprze, Lloyd.

— Cóż, *heil Hitler* — odparł Lloyd.

— Lloyd... ty nie rozumiesz. Nasze dziecko będzie nieomal święte! Cudowna magiczna istota, która zapanuje nad całym światem!

— Tak jak cudownymi i magicznymi istotami, które miały zapanować nad całym światem, byli ci z Hitlerjugend? Co, u licha ciężkiego, zrobił z tobą ten Otto, Celio?

— Pokazał mi przyszłość! — odpaliła Celia. — Pokazał mi ten zmurszały, chory, pełen zbrodni i strachu świat takim, jaki jest naprawdę, oraz pokazał mi przyszłość!

— Doprawdy? — zaripostował Lloyd. — Cóż, jest jedna rzecz, której nie udało mu się przewidzieć, a mianowicie to, że ty i ja nigdy nie będziemy mieli dzieci. Gdyż jeśli spodziewasz się, że kiedykolwiek jeszcze cię dotknę, droga pani, to bardzo się mylisz. Nie dotknąłbym cię teraz, choćbyś była ostatnią kobietą na tej całej cholernej planecie!

Celia na chwilę ucichła. Spuściła głowę, jak gdyby nad czymś się namyślając; nie miała oczu, które mogłyby ją wydać.

— Miałam nadzieję, że uda mi się cię przekonać — powiedziała wreszcie przez ściśnięte gardło, co sprawiło, że jej głos zabrzmiał niemal tak jak głos Celi, którą znał przedtem.

— Wierz mi — odparł Lloyd — nie ma w tym nic osobistego. Po prostu przypadkowo nie wierzę w żadne rasy panów. Podobnie jak nie wierzę w to, jakoby ludzie powinni żyć wiecznie. Cóż warto byłoby twoje życie, gdybyś nie była narażona na ryzyko jego utraty?

— Może zmienisz zdanie, kiedy dokona się Transformacja.

— Wątpię.

— Mimo to przyjdiesz, dobrze?

— Czy mam jakiś wybór?

— Odbędzie się w Teatrze Miejskim. Tysiąc jeden specjalnie zaproszonych gości. Muzyka w wykonaniu zespołu Opery San Diego.

Lloyd zmarszczył brwi.

— Macie tysiąc gości i muzykę w wykonaniu zespołu operowego? W jaki sposób, u diabła, udało ci się to załatwić? W operze wszyscy są przekonani, że od dawna nie żyjesz.

— To nie było trudne — odparła Celia. Jakies sześć miesięcy temu poprosiłam Dona Abramsa, kierownika produkcji, by pozwolił mi zorganizować wieczór opery postwagnerowskiej — wieczór utworów napisanych przez innych kompozytorów w hołdzie Wagnerowi. Zagrałam mu kilka fragmentów z *Juniusa* i oczywiście się zgodził. To coś wspaniałego, jedna z najdramatyczniej szych oper Wagnera... jego arcydzieło! A jeszcze większą siłę przekonywającą miało to, że udało mi się nawet uzyskać na ten cel dofinansowanie Fundacji Grammy Fisher.

Lecz oczywiście zespół opery jest w dalszym ciągu zupełnie nieświadomy, że ma zaśpiewać prawdziwą zaginioną operę samego Wagnera. Jedyni ludzie, którzy o tym wiedzą, to Otto, Helmwige i każde z nas, salamander. W punkcie kulminacyjnym opery, kiedy zespół śpiewa pieśń transformacji, pojawimy się na scenie.

Gdy zabrzmie kluczowa nuta tej pieśni, wszyscy staniemy się ciałem i narodzi się rasa panów. Pomyśl o tym!

— A co wtedy zrobi tysiąc jeden zaproszonych gości? Powstanie i zaśpiewa *Horst Wessel Lied*?

— Lloyd, kochanie — powiedziała Celia błagalnie. — To nie są faszystowskie Niemcy z lat trzydziestych. To współczesna Kalifornia. Otto zdaje sobie z tego sprawę. On nie próbuje wskrzesić Trzeciej Rzeszy, nic z tych rzeczy. On po prostu chce, by świat przeszedł w ręce ludzi, którzy mają dość siły i zdolności, by rządzić nim tak, jak powinno się rządzić. Pragnie położyć kres cierpieniom i okrucieństwu, narkomanii i biedzie.

Lloyd nalał sobie następnego drinka.

— Boże wszechmogący. Gdyby Wagner wiedział, co czyni!

— Ależ Wagner wiedział!

Lloyd przyniósł stółek barowy i usiadł.

— Otto jest pewien, że nie. Celia potrząsnęła głową.

— Z początku nie wiedział. Ale w końcu to odkrył. Będąc w Wenecji, odegrał Rytuał ognia z *Juniusa* młodemu studentowi muzykologii nazwiskiem Guido Castelnuovo, który pomagał mu w pisaniu libretta, a dwa dni później podpalił na sobie ubranie i zginął śmiercią samobójczą. Wagner, sądząc, że student nie żyje, bardzo się tym oczywiście zasmucił. Lecz w jakiś tydzień później Guido ponownie pojawił się na placu Świętego Marka, gdy Wagner zażywał przechadzki. Był salamandrą, tak jak ja teraz. Nim spłonął, ukraść jeden z amuletów Wagnera. Teraz prosił go, żeby zagrał dla niego muzykę transformacji, by mógł się stać

nieśmiertelny ciałem.

— I Wagner tę prośbę spełnił?

— Oczywiście... — odpowiedziała Celia — i to ze skutkiem. Lecz Wagner był tak przerażony tym, co się stało, że wyrzucił wszystkie pozostałe amulety i poprosił o pomoc sławnego księdza jezuitę, ojca Xawiera Montiniego, który był ekspertem w sprawach pogańskich obrzędów. Wyjawił on Wagnerowi, że jedyny sposób, w jaki może zapewnić spokój duszy Guida Castelnuovo, to napisać *Hymn pokutny*.

Hymn ten miał zawierać własną modlitwę Wagnera o przebaczenie oraz słynną runiczną pieśń, którą papież wysłał świętemu Augustynowi do Brytanii w 597 roku naszej ery. Augustyn potrzebował jej w celu zniszczenia nieśmiertelnych zwolenników krwiożerczego poganina zwanego Ethelfridem.

Tak też i Wagner uczynił... napisał Hymn pokutny. Potem zaprosił Guida Castelnuovo do swych apartamentów w Wenecji i tam mu go odegrał. Nikt się nigdy nie dowiedział, co się zdarzyło tej nocy, lecz nim minęła, jeden z pokoi został niemal doszczętnie strawiony przez pożar, Wagnera zaś znaleziono zmarłego na atak serca.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — Lloyd badawczo zapytał Celię.

Leciutko uśmiechnęła się doń ziemistymi wargami.

— Wszystko to figuruje w dziennikach i notatnikach ojca Montiniego, które znajdują się, ni mniej, ni więcej, tylko w bibliotece Uniwersytetu Bostońskiego. Wysłano je tam razem z całą stertą innej dziewiętnastowiecznej literatury jezuickiej w 1924 roku.

— W dwudziestym czwartym? A więc gdy Otto poszukiwał Juniusa w czasie wojny, w żaden sposób nie mógł ich znaleźć?

— Oczywiście, że nie. Lloyd zmrużył oczy.

— A więc nic nie wie o tym Hymnie pokutnymi

— Och, wie o nim z pewnością — powiedziała Celia. — Ale nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest on w moim posiadaniu. Był tam, gdzie ukrył go ojciec Montini razem z resztą opery.

Celia spiesznie zerknęła w kierunku drzwi do salonu, lecz oboje wiedzieli, że Otto w dalszym ciągu tkwi zatopiony w głębokim śnie pozbawionym marzeń.

— Dlaczego mu o tym nie powiedziałaś? — zapytał Lloyd i przez sekundę wydało mu się, że dostrzega przeblysłk dawnej Celi... tej, którą kiedyś kochał. Upartej, bystrej i zdecydowanej.

— Nie powiedziałam mu, ponieważ wiem, co by uczynił. Odebrałby to jako zagrożenie dla rasy panów i rękopis spalił. A ja uwielbiam Wagnera. Sam wiesz, że dla mnie spalić



jedyny egzemplarz hymnu Wagnera, napisanego własną ręką mistrza, byłoby czymś absolutnie niewybaczalnym. To byłoby tak jak spalić Monę Lisę.

— A więc schowałeś go w domu w fortepianie? — zapytał Lloyd. — I po to przyszedłeś tej nocy, kiedy się spaliłaś?

— Nie... — odpowiedziała Celia — pierwotnie przyszedłam po swój talizman salamandry. Zgubiłam go i nie wiedziałam gdzie. Otto powiedział, że muszę go mieć przy sobie w dniu ceremonii Transformacji. Pomyślałam, że mógł mi wpaść do wnętrza fortepianu, gdy chowałam w nim rękopis.

Lloyd przez długi czas milczał.

— Coś nie w porządku? — spytała Celia.

— Na miłość boską, Celio, powiedz mi, o co tu chodzi.

— Świat stanie się miejscem, gdzie żyje się lepiej, Lloyd. Uwierz mi.

— To ty spaliłaś Sylwię? — zapytał ją. Celia odwróciła oczy.

— Nie, nie spaliłam jej.

— Sylvia miała hymn. Ty chciałaś go odzyskać. Kto inny mógłby ją spalić?

— Poszłam po niego i ona mi go oddała. Nie mam pojęcia, co się z nią stało potem!

Lecz Lloyd nie popuszczał.

— Spaliłaś ją, Celio — powtórzył. — Osobiście zamieniłaś ją w popiół. Być może Otto ponosi odpowiedzialność za innych, lecz skoro on nie wie, że masz hymn, to spalenie Sylvii musi być twoją sprawką.

Celia była dziwnie podniecona. Mówiła szybko, wymijająco, niczym Joan Crawford zaprzeczająca, by kiedykolwiek podniosła rękę na swoje dzieci.

— Lloyd, przysięgam... nie było mi lekko. Spalić się... to nie taka prosta sprawa. Czy masz pojęcie, co to znaczy wydostać się poza obręb własnego ciała w postaci samej tylko duszy i dymu? Czułam się, jakbym wchodziła do wnętrza hutniczego pieca. Ból, paniczny strach, potworne wątpliwości. Przez cały czas zastanawiałam się, po co ja to robię? Po co?

— Celio — rzekł Lloyd — gdy tylko skończy się ceremonia Transformacji i Otto mi pozwoli, odchodzę. Nie chcę więcej słyszeć o rasie panów, nie chcę więcej słyszeć o twojej nieśmiertelności. Jeśli o mnie chodzi, to skończyliśmy ze sobą w chwili, gdy potarłaś zapalną, by się podpalić. W gruncie rzeczy koniec z nami nastąpił tego samego dnia, w którym zwróciłaś się o pomoc do Ottona zamiast do mnie. Ty mówisz mi o zaufaniu? Mój Boże! Lepiej powiedz coś o szczerości!

— Umiałbyś mnie wyleczyć ze stwardnienia rozsianego?

— Oczywiście, że bym nie umiał.

Celia zdjęła ciemne okulary i odsłoniła oczodoły czarne niczym najgorsze wspomnienia, czarne jak wnętrze aparatu fotograficznego.

— Mógłbyś być ze mną, wiesz o tym. Byłoby wspaniale, gdybyśmy byli razem.

— Już ci mówiłem, Celio. Nie pragnę żyć wiecznie. Nie jestem aż tak cholernie pyszny. Ani tak cholernie ważny. Rozumiesz? Ważny w obliczu ogólnego schematu wszechrzeczy.

— Znajdą się takich całe setki.

— Chyba nie zaproszona przez was widownia?

— A czemuż by nie?

— Macie zamiar namówić tysiąc ludzi, by się spalili? Jezus, Celio, wiedziałem, że to wszystko posuwa się zbyt daleko, lecz to, co teraz mówisz, jest czystym szaleństwem.

— Nie oczekujemy od nich, że sami się podpalą — odparła Celia. — Zwerbowanie tylu salamander zabrałoby zbyt wiele czasu. Możemy jednak zamiast nich podjąć tę decyzję. Będziemy mieć muzykę, oczywiście będziemy mieć czarę, która odegra rolę zbiorowego talizmanu, i spalimy ich... czy będą tego chcieli, czy nie.

— Masz zatem zamiar spalić tysiąc ludzi? Tysiąc? Tak jak w Oświęcimiu? Jak w Bergen–Belsen?

Celia potrząsnęła głową.

— Nie, wcale nie tak jak w Bergen–Belsen. Raczej jak w złotym wieku. Bo taki nareszcie nastaje.

— I wszyscy ci ludzie zostaną salamandrami? Tak samo jak ty?

— W pewnym sensie. Nie całkiem tak samo. Ponieważ spalimy ich wszystkich razem, w gromadzie, i ponieważ będą mieli na spółkę tylko jeden talizman, nie uzyskają niepodległej woli. Zostaną naszą armią, naszą służbą. Naszymi trutniami, salamandrami, które zamiast nas będą walczyć, które będą nam służyć. Każda rasa musi mieć swoich służących, Lloyd, nawet najpotężniejsza i najszlachetniejsza.

— Nie wierzę własnym uszom — odrzekł Lloyd. — I nie mogę uwierzyć, że właśnie ty mi to mówisz. Boże wszechmogący!

— Lloyd... bardzo ostrożnie dobieraliśmy widownię. Gdyby ci ludzie otrzymali możliwość dokonania wyboru, wierz mi, w większości chętnie zostaliby salamandrami. Rozumiesz, Otto dobierał ich osobiście. Zabrało mu to całe lata. Każdy musiał zostać sprawdzony na kilka sposobów. Trwało to tak długo, że niektórzy zdążyli umrzeć przed wysłaniem zaproszeń.

— Któż zatem ma przyjść? Celia skrzywiła się.

— Wierni wyznawcy, jak sądzę. Starzy Niemcy, młodzi nowobogacy. Prawicowi

intelektualiści. Naukowcy. Połowa Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego. Kilka osób z Instytutu Scrippsa. Wszyscy inteligentni, przystojni i postępowi.

— Żadnych Żydów?

— Lloyd! — Celia uśmiechnęła się z powątpiewaniem. — Nie starczyłoby miejsca dla wszystkich!

Lloyd dopił drinka i z przesadną ostrożnością odstawił kieliszek na suszarkę.

— Zdaje się, że to samo mówili, kiedy zeszyłem razem próbowali stworzyć rasę panów.

Wciąż jeszcze rozmawiali, gdy drzwi kuchenne otwarły się i pojawił się Franklin, wpychając koszulę w dzinsy i mrugając w świetle żarówki.

— Co się stało? — zapytał. — Słyszałem głosy. Celia z uśmiechem na ustach wyszła zza lodówki.

— Cześć, obudziłeś się? Grzeczny chłopiec. Za chwilę wszyscy wracamy do Rancho Santa Fe.

— On ma na imię Franklin. Celia zmarszczyła brwi.

— Co takiego?

— On ma na imię Franklin. Tak go nazwaliśmy. Franklin Free.

— Hm... obawiam się, że wcale nie taki wolny — powiedziała Celia. — Przynajmniej dopóki Otto nie powie inaczej.

Twarz Franklina wyciągnęła się.

— Lloyd, ja nie chcę wracać. Proszę cię, Lloyd, nie każ mi tam wracać.

— Posłuchaj, Franklin — odrzekł Lloyd. — Nie stało się nic złego. Wszystko się dobrze skończy. Może byś poszedł po swoją laleczkę? Idź po swoją laleczkę, a potem zastanowimy się nad odjazdem.

Franklin w pierwszej chwili wydawał się nie rozumieć, lecz zaraz potem wyszedł z kuchni i skierował się do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

— Biedny półgłówek — zauważyła Celia. — Zdaje się, że jest pełen dobrych chęci.

— Owszem, i ja tak sądzę — zgodził się Lloyd, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt ostro.

Czekali minutę lub dwie, nim usłyszeli miękkie szuranie kroków kierujących się z powrotem do kuchni. Zatrzymały się tuż za drzwiami i na długą chwilę zapanowała cisza. Celia odstąpiła niepewnie krok do tyłu.

— Dlaczego on po prostu nie wejdzie do środka? — zapytała.

— Może chce zrobić teatralne wejście — odpowiedział Lloyd.

Lecz drzwi uchyliły się spokojnie i bardzo powoli. Franklin wszedł z powrotem do

kuchni, tym razem dźwigając na plecach Tony'ego Expressa, który błyskał białkami oczu i ziewał rozespany, wymachując laleczką — kudłatą, udekorowaną paciorkami kukłą tańca słońca, z zagniewaną twarzyczką i wszystkimi swymi futrzanymi przywieszkami. Wydawało się, że Celia przypatruje się Franklinowi i Tony'emu Expressowi przez nie kończące się sekundy. Wreszcie guzik za guzikiem rozpięła prochowiec. Zatrzymała się i pozwoliła, by zsunął się na ziemię. Stała naprzeciw tej dwójki zupełnie naga, podczas gdy jej ziemista skóra poczęła ciemnieć i podnosić temperaturę. Wnet nad jej ramionami pokazał się dym.

— Na miłość boską, bądź ostrożny — Lloyd ostrzegł Franklina. — Nie pozwól, by cię dotknęła!

Kuchnię wypełnił drażniący nozdrza zapach intensywnie rozgrzanego metalu. Celia skradała się ku Franklinowi i Tony'emu Expressowi, przesuwając ręką po blacie kuchennym, a tam, gdzie go dotknęła, pozostawiała wypaloną głęboką bruzdę oraz gryzący dym laminatu i płyty pilśniowej.

Tony Express podniósł do góry kukłę tańca słońca, lecz Lloyd powiedział:

— Do tyłu, Franklin! Cofnij się! Bo spali cię żywcem na popiół!

Celia błyskawicznie odwróciła głowę i popatrzyła nań wyszczerzając zęby. Ściągnęła ciemne okulary i wówczas zobaczył ją tym, czym była naprawdę: stworzeniem zrodzonym z dymu i ognia. Obydwa puste oczodoły świeciły pomarańczowym płomieniem jak pochodnie, a pomiędzy zębów wydobywały się iskry.

## Rozdział 21

Lecz spośród nich wszystkich jeden jedyny Tony Express się nie bał. Nie widział Celi, choć doskonale ją słyszał, czuł jej ciepło i węchem wyczuwał dym topionego kwasu mrówkowego. Siedział na szerokich ramionach Franklina, podnosząc coraz wyżej kukłę tańca słońca i delikatnie nią potrząsając.

— *Weksa-dek!* — wyszeptał tonem łagodnego nalegania, jak gdyby do dziecka. — *Weksa-dek!* — Znow potrząsnął kukłą, ona zaś jęła bez końca grzechotać paciorkami i kośćmi.

Celia ruszyła w jego kierunku z na wpół uniesioną dłonią, lecz w następnej chwili zawahała się. Płomienie w dalszym ciągu tryskały jej z oczu i tęcze miedzianego żaru wciąż jeszcze pełzały po jej nagich plecach, lecz już znacznie wolniej.

Tony Express ponownie potrząsnął kukłą i zaintonował dziwnie łagodny rytm tak cicho, że Lloyd ledwie go słyszał. Przypominał mu dyszący oddech zwierzęcia, psa albo wilka, coś, co dochodzi zza pleców w środku nocy.

— *Weksit-patesk! Weksit-patesk! Na! Na! Weksit-patesk!*

Wreszcie Celia zamarła w całkowitym bezruchu i nawet z odległości ponad metra Lloyd wyczuwał, że stygnie. Tony Express ześlizgnął się z pleców Franklina i podszedłszy bliżej, położył dłoń na jej nagiej piersi.

— Widzicie? Już ostygła. Banalne.

— Jak to, u diabła, zrobiłeś? Jakaś magia Pechangów?

— Jeśli już o to chodzi, to Algonkinów. Ich towar jest starszy i lepiej pasuje do tej nordyckiej magii, rozumiesz o co mi chodzi? Niby o to, że Normanowie żyli w Ameryce na całe lata przed Chrystusem. Wiecie, że *weksa-dek* to po algonkińsku „robi się coraz goręcej”... a po nordycku „robi się coraz goręcej” to *vaeckser hed?* Rozumiecie, jak po angielsku *it's waxing hot*. Wszyscy w całym cholernym świecie zachodnim mówią tym samym językiem.

Lloyd powoli obszedł Celię i dotknął jej ramienia. Była już całkiem zimna i wydawała się na nic nie reagować.

— Czy ją też zahipnotyzowałeś?

Tony Express poszukał po omacku ręki Franklina.

— Zrobiłem z nią to samo, co z tymi policjantami. Obniżyłem jej życiowe jak-to-się-tam-nazywa, tak że żyje około stu razy wolniej. Dla niej my poruszamy się teraz po kuchni tak szybko, że nie może nas nawet zobaczyć.

— A co z Ottonem? — zapytał Lloyd.

— A kto to jest Otto?

— Otto to facet od Juniusa. Ten, który spalił autobus. Siedzi w drugim pokoju i śpi. A przynajmniej mam taką nadzieję.

— Czy on też jest gorący, tak jak ta tutaj?

— Nie, to istota śmiertelna. Lecz potrafi myślał rozniecać ogień. Jest cholernie niebezpieczny. Zobacz, co zrobił z moimi dłońmi.

— Potrafi myślał podpalać na odległość przedmioty?

— Właśnie.

— W takim razie sprawimy, by myślał nie o nas, lecz o czymś innym.

— Nie jestem pewien, czy wiem, o co ci chodzi. Tony Express ścisnął Lloyda za rękę.

— Idź i zobacz, Franklin — powiedział — czy Otto w dalszym ciągu śpi, dobrze?

Franklin z niepokojem popatrzył na Lloyda, jak gdyby chciał rzec: „A co się stanie, jeśli Otto się obudził i rozkaże mi zostać tam, gdzie jestem, a ja nie będę umiał go nie posłuchać?” Lecz Lloyd skinął głową i powiedział:

— Śmiało, Franklin, nic ci nie będzie. Jesteś Franklin, prawda?

— Pewnie, jestem Franklin.

Obszedł Celię, popatrując przy tym na nią w widomej obawie, czy aby znów nie powróci do życia i go nie spali. Lloyd istotnie widział, że Celia porusza się regularnie jak wskazówka zegara, lecz jej ruchy były tak rozciągnięte w czasie, iż przejście na drugi koniec kuchni zabrałoby jej cały dzień.

Franklin leciutko uchylił drzwi, by móc zajrzeć do salonu.

— On tu jest — zameldował chrapliwym głosem. — Wciąż jeszcze śpi.

— Kto nie ma matki, ten śpi jak zabity — zauważył Tony Express. Gdy Lloyd w odpowiedzi podniósł brwi, dodał: — Stare porzekadło Pechangów, człowieku. Nie pytaj mnie, co to znacz y.

— Teraz — powiedział Lloyd — gdy Otto nas wyśledził, będziemy musieli się stąd wynieść. Ceremonia Transformacji odbędzie się w Teatrze Miejskim jutro wieczorem. Wygląda na to, że Otto ma mnóstwo spraw do załatwienia i nie powinno być trudno zniknąć mu z oczu. Przede wszystkim muszę dostać się z powrotem do Escondido.

— Do Escondido? — zapytał Tony Express. — Dlaczego musisz tam wrócić?

Lloyd popatrzył na Celię. Nawet gdy tempo jej procesów metabolicznych było zredukowane do poziomu żółwia, wolał nie wspominać o Wagnerowskim Hymnie pokutnym pod samym jej nosem.

— Powiem ci później — odparł. — Tymczasem pozbierajmy do kupy nasze łachy i wynieśmy się stąd w cholerę.

Wziął Franklina za rękę i pokazał mu na migi, żeby poszedł spakować swoje rzeczy, a także rzeczy Tony’ego Expressa. Następnie cichutko wszedł do salonu i na paluszkach ruszył przez dywan tuż przed nosem śpiącego Ottona.

Otto miał głęboko zapadnięte oczy, usta leciutko otwarte i oddychał tak cicho, że równie dobrze mógł być martwy. Jedynie ledwo dostrzegalny tik mięśnia lewej dłoni wskazywał, iż wciąż jeszcze żyje. Lloyd minął go w odległości piętnastu centymetrów, krzywiąc się niemiłosiernie z powodu konieczności zachowania absolutnej ciszy.

Wszedł do sypialni. Pomimo wszystkich hałasów, jakie urządzali w kuchni, Kathleen wciąż jeszcze spała. Musiała być zupełnie wyczerpana tym wszystkim, co jej się ostatnio przydarzyło. Lloyd usiadł koło niej na łóżku i potrząsnął za ramię.

— Kathleen? Kathleen? Obudź się! Musimy się stąd zabierać.

Poruszyła się, potem przeczesła palcami włosy i odwróciła się na drugi bok.

— Kathleen, wstawaj, musimy już iść! W końcu podniosła się.

— Która to godzina? — wymamrotała.

— Niedługo będzie świtać. Otto nas znalazł. Jest tutaj. Musimy uciekać.

— Jest tutaj?

— Śpi, ale nie wiem, jak długo jeszcze to potrwa. Kathleen wyskoczyła z łóżka i podczas gdy Lloyd patrzył w inną stronę, ubrała się.

— Nic a nic nie słyszałam — przyznała się. — Musiałam się zupełnie wyłączyć. Znowu śnił mi się Mike.

— Spiesz się, jak tylko możesz — popędzał ją Lloyd. Gdy tylko była gotowa, wymknęli się z sypialni i jęli się skradać do wyjścia z salonu. Otto pozostał na tym samym miejscu oddychając cicho. Dopiero gdy dotarli do drzwi kuchennych, otworzyli oczy i zapytał:

— Pan się dokądś wybiera, pan ie Denman?

Lloyd zagryzł wargi.

„Cholera — pomyślał. — Już się prawie udało, a teraz ten sukinsyn musiał się obudzić”.

Wepchnął Kathleen przed sobą do kuchni i gorączkowo pokazał, że ma zawołać Tony’ego Expressa.

Usłyszał, jak Kathleen zawołała: „Ach!”, natknąwszy się w kuchni na Celię, lecz potem nastąpiła cisza.

Lloyd, zacierając ręce, z powrotem odwrócił się do Ottona i powiedział:

— Pakujemy się przed powrotem do Rancho Santa Fe, to wszystko.

— Czy jesteście już gotowi?

— No cóż, owszem, nieomal gotowi.

Otto niemal niedostrzegalnie się przeciągnął i Lloyd usłyszał trzeszczenie kręgów. Potem Otto wstał, włożył kapelusz i stanął, przypatrując się Lloydowi z wyrazem twarzy, którego ten w żaden sposób nie mógł sobie wytłumaczyć. Po części było w nim rozbawienie, po części okrucieństwo, po części zmęczenie latami powojennymi. Od upadku Berlina cała reszta dwudziestego wieku była, przynajmniej dla Ottona, jednym wielkim rozczarowaniem. Jedynie jutrzejsza Transformacja mogła mu je w jakiś sposób wynagrodzić. Jedynie odtworzenie rasy panów. Powiedział z roztargnieniem:

— Pomyślmy więc lepiej o wyjeździe. Macie tu jakieś jedzenie? Lepiej weźcie je ze sobą również.

Lloyd rzekł:

— Celia powiedziała mi o pańskich jutrzejszych planach...wszystko o transformacji.

— Ach, tak? A pan jak na to zareagował, panie Denman?

— Ja, yhm... cóż, sam pan wie, jak się początkowo poczułem. Ale sądzę, że zaczynam już widzieć w tym pewną logikę. Pan wie... rasa panów i tak dalej. W pierwszej chwili nie bardzo mi to przypadło do gustu. Zdaje się, sądziłem, że usiłuje pan odtworzyć faszystowskie Niemcy. Ale Celia wytłumaczyła mi, że tak nie jest. — Zawahał się i wrzucił ramionami. — I, yhm... powiedziała mi, że w dalszym ciągu ożemy mieć dziecko. W dalszym ciągu żyć razem, tak jak jnowaliśmy. To brzmi... no cóż, to brzmi atrakcyjnie, nieomal czarodziejsko.

Otto przysłuchiwał się temu z grymasem na twarzy.

— Usiłuje mi pan zatem powiedzieć, że zmienił zdanie? Że pomoże nam, zamiast przeszkadzać?

— Sądzę, że do tego się to sprowadza, owszem. — Szybko obejrzał się przez ramię. „Gdzie się, do cholery, podziewasz, Tony? Musimy stąd wiać!”

Otto z traskiem rozprostował palce.

— To będzie najwspanialsza uroczystość historii nowożytnej. Sam moment stworzenia nowej rasy półbogów! Mężczyzn i kobiet, którym z ochotą padnie pan do nóg.

— Och, jasna sprawa — powiedział Lloyd i w tej samej chwili drzwi kuchenne otworzyły się i do środka, lekko zboczywszy na lewo, wkroczył Tony Express, potrząsając trzymaną w dłoni kukłą tańca słońca.

— *Na! Na!* — wrzasnął na cały głos.

— To ten chłopiec? — spokojnie zapytał Otto.



— Eee, owszem — odparł Lloyd. — Jest nieco... w gorącej wodzie kąpany, tak trzeba by chyba to nazwać.

— Jest niewidomy.

— Owszem, jest niewidomy. Jest też Indianinem. Rodzice nazwali go Dziecko–Które–Spojrzało–W–Słońce. To miły chłopak. Pełen dobrych chęci.

Tony Express powoli zbliżał się z kocią miękkością w ruchach. Zatrzymał kukłę tańca słońca przed samą twarzą Ottona, począł nią bardzo, bardzo delikatnie potrząsać, tak że zawarczała głucho i groźnie niczym grzechotnik ukryty pod skałą.

— To ty jesteś tym facetem, człowieku — oświadczył.

— Jakim ja jestem facetem? — Otto zapytał Lloyda. Wydawało się, iż nie potrafi zwrócić się bezpośrednio do Tony'ego Expressa, jak gdyby ślepotą chłopca również i jego uczyniła głuchym i upośledzonym umysłowo. — O czym on mówi?

— Ty jesteś tym facetem, człowieku, który podpalił autobus na pustyni Anza–Borrego.

— A niby skąd on może wiedzieć takie rzeczy? — zapytał Otto z uśmiechem. — Przecież nie ma oczu.

— Rozpoznaję głosy, człowieku — odparł Tony Express. — Tak jak rozpoznałem twój. — Junius! To właśnie mówiłeś! Junius!

— Cóż... mam nadzieję, że zachowasz tę wiadomość dla siebie — odrzekł Otto.

— Dla przewodu sądowego, człowieku — poddał Tony Express.

— Nie wydaje mi się — powiedział Otto. Zaczynał się już złościć. — Skoro już wszyscy się wypaliliśmy, opuśćmy to miejsce i udajmy się na Paseo Delicias.

Tony Express potrząsnął kukłą tańca słońca.

— Nie, Ottonie — rzekł, a jego głos zabrzmiał dziwnie wysoko i słodko, niemal po kobiecemu. — My jedziemy, ale wy zostajecie.

— Dość tych bzdur! — warknął nań Otto. — Wsiądziecie teraz wszyscy do limuzyny i pojedziecie do Rancho Santa Fe. Celia i ja podążymy za wami wozem sportowym.

— Otto... nie po raz drugi — powiedział doń Tony Express owym czystym dziewczęcym głosikiem. Potrząsnął kukłą tańca słońca raz, drugi i trzeci.

Powietrze przed Ottonem poczęło gęstnieć i wirować na kształt wody. Potem stopniowo zaczęła wyłaniać się z niego jakaś postać: z początku mętna i ciemna, robiła się coraz jaśniejsza. Lloyd przyglądał się jej i dreszcz strachu przebiegł mu po plecach. Była to dziewczyna lat nie więcej niż piętnastu–szesnastu, z drugimi lśniąco blond włosami. Stała ze spuszczoną głową pomiędzy Ottonem a Tonym Expressem. Miała na sobie sukienkę bez rękawów z białą bluzeczką, białe skarpetki i czarne sznurowane buciki.

— Nie zostawiaj mnie znowu samej, Otto — powtórzył Tony Express i tym razem brzmiało to, jakby mówił stereofonicznie, dwoma nakładającymi się głosami. Otto przyglądał się zjawie dziewczyny zaszokowany i zafascynowany. Zdjął kapelusz i pochylił się, by móc ją lepiej widzieć.

— Gretchen? — zadrżał, — Czy to naprawdę Gretchen?

— Nie zostawiaj mnie znowu samej, Otto — błagała dziewczyna, choć w dalszym ciągu nie chciała podnieść głowy, by Otto mógł zobaczyć jej twarz. — Tak bardzo mnie skrzywdziłeś ostatnim razem... ale najgorsze było to, że zostawiłeś mnie samą.

Otto raz i drugi pogładził ją po włosach, które, mimo iż niemal niewidoczne, naładowały się elektrycznością i delikatnie potrzaskując, uniosły się ku jego dłoniom.

— Gretchen, musiałem cię zostawić... Jak mógłbym zabrać cię z sobą, kiedy byłaś nieżywa?

— Nienawidziłam tego rowu — skomliła Gretchen. — Tam było tak zimno, mokro i ciemno i cała byłam powiązana drutem. Dlaczego zostawiłeś mnie, Otto?

Tony Express odstąpił krok w tył, potem drugi i wreszcie trącił w łokieć Lloyda, którego uwagę do tego stopnia przykuła zjawa, wyczarowana przez Indianina, że aż stracił ochotę do wyjścia. Jednak Tony Express syknął nań:

— Chodź! Chodź! To już nie potrwa długo!

— Och, Otto, dlaczego tak bardzo mnie skrzywdziłeś? — Gretchen nie przestawała chlipać.

— Maleńka... byłaś taka piękna — odrzekł jej Otto bezbarwnym głosem. — Musiałem cię mieć. Musiałem wziąć wszystko to, co miałaś do zaofiarowania. Nawet w tym rowie, kiedy już nie żyłaś, z białą skórą umazaną czarnym błotem... nawet w tym rowie byłaś piękna. Ukłęknałem w tym rowie i nie dbając nic a nic o ubranie, wziąłem cię po raz ostatni.

— Czciliśmy cię, Otto — odparła Gretchen, gdy Lloyd z Tonym Expressem wymykali się do kuchni, delikatnie zamknawszy za sobą drzwi. — Szanowałam cię i wielbiłam. Byłeś dla mnie bardziej jak rycerz z dawnych czasów niż istniejący naprawdę mężczyzna.

Otto pochylił się do przodu i ucałował jej dłoń.

— Byłaś zawsze taka słodka, moja mała Gretchen. Lepszej śmierci nie mogłabyś sobie wymarzyć.

— Kanalia — powiedziała Gretchen.

Otto pomyślał, że się przesłyszał. Podniósł głowę.

— Co? Co takiego powiedziałaś?

— Powiedziałam: „kanalia”, to właśnie powiedziałam.

Gretchen pokazała mu podniesiony do góry i wyprostowany środkowy palec, a potem uniosła twarz, by mógł ją zobaczyć. Jej jedwabiste blond włosy poleciały do tyłu i ukazała się zza nich, szczerząc zęby, niewidoma i smągła twarz Tony'ego Expressa.

Otto stał sztywno i bardzo spokojnie. A więc to tak! *Die Zauberei!* Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Ameryka to również kraj czarnoksiężników. I cóż to była za magia! Oto dziewczyna, która padła ofiarą najokrutniejszego czynu, jaki popełnił w całym swoim życiu, zmaterializowała się na jego oczach i przemówiła doń, oskarżając go bez ogródek o wszystko, co jej uczynił! A przecież zostawił Gretchen w rowie pod Wuppertalem zimą 1943 roku i nie wiedział o tym nikt oprócz niego.

— To ci zabiło klina, co, człowieku? — Gretchen spytała go głosem Tony'ego Expressa.

Otto zawarczał i obnażył ze złości zęby. Podniósł obie ręce do czoła i jął się wpatrywać w tę drwiącą zjawę Gretchen z narastającą wściekłością.

— Nikt mi jeszcze nigdy czegoś takiego nie zrobił! I nie zrobi! Nigdy!

Rozległ się ogłuszający wybuch, błysnął płomień i zjawa eksplodowała Ottonowi tuż przed oczyma. Lecz w następnej chwili Otto krzyknął, przycisnął dłonie do skroni i zwałił się na dywan. Kukła tańca słońca sprowadziła ducha Gretchen z jego własnej pamięci i jedyne, co przez swój czyn osiągnął, to spalenie własnych komórek mózgowych. W rzeczy samej dokonał całkowitej kauteryzacji swych wspomnień o Gretchen i nigdy już nie miał sobie o niej przypomnieć.

Dygocząc leżał na podłodze jak połamany przez wichurę parasol. *Gott im Himmel*, co się z nim stało? Wiedział, że było to coś o doniosłym znaczeniu i dramatycznych konsekwencjach, ale dopiero po chwili domyślił się, co to miało znaczyć. Ktoś się z niego wyśmiewał. Ktoś sobie z niego drwił.

— Celia! — zawołał na cały głos. Podniósł się na kolana. — Celia, *wo bist du*, Celia?

Zawołał raz i drugi, lecz bez odpowiedzi. W końcu udało mu się dźwignąć na nogi i przytrzymując się mebli, dowlec do kuchni. Czuł się tak, jak gdyby ktoś dał mu po głowie obuchem siekiery. Pierwszy brzask, zagląający przez weneckie żaluzje do okien, przyprawił jego oczy o łzawienie.

Celia stała zaledwie o pół centymetra dalej od miejsca, gdzie Tony Express zatrzymał jej metabolizm. Otto podszedł do niej i patrząc jej prosto w oczy, zapytał:

— Celia, *was ist los?* Co oni ci zrobili? Dlaczego się nie poruszysz? Dlaczego nie przemówisz?

Lecz Celia pozostawała praktycznie w całkowitym bezruchu, z jedną ręką podniesioną

do góry i pustymi oczodołami rozszerzonymi ze zdumienia: zimny i szary posąg kobiety w odrapanej kuchni z widokiem na ocean.

— *Die Zauberei* — powtórzył z niesmakiem Otto sam do siebie. Indiańskie sztuczki, hokus–pokus. Ludzie, którzy zarazem istnieli i nie istnieli. Szamani, którzy przemieniali się w orły. Tricky i lustra. Piasek, który wlatuje do nieba, i chmury, z których nie chce spaść deszcz. Słyszał o tym, ale nigdy nie brał tego poważnie. Nie wziął tego poważnie i teraz. Wielkimi krokami zbliżał się dzień Transformacji, a wówczas magicy wszystkich kultur zobaczą, kto panuje nad królestwami umarłych, podobnie jak nad królestwami żywych.

Wciąż jeszcze stał z gniewnie zaciśniętymi pięściami na środku kuchni, gdy usłyszał na dworze pisk opon mercedesa. Zerwał deszczułki żaluzji na czas, by jeszcze zobaczyć, jak Lloyd w dzikim pośpiechu zawraca i kieruje się z powrotem ku głównej autostradzie pacyficznej. Ujrzał też, że uciekinierzy wypuścili powietrze z opon jego 380SL.

Rozgniewany, począł pełnymi garściami zgarniać z parapetu zdechłe muchy oraz ćmy i pakować je sobie do ust, połykając większą część bez gryzienia. Zakrztusił się szczególnie dużą porcją, gdy wtem Celia wyszła ze stanu zwolnionego metabolizmu i odwróciła się, spoglądając na niego.

Tony Express wraz ze swą kukłą tańca słońca musieli już odjechać zbyt daleko, by móc nad nią panować.

— Otto? — zapytała oszołomiona. — Co się stało, Ottonie?

Otto wypluł muchy, tak że pokryły drżącymi resztkami śliny jego policzek. Następnie uderzył Celię tak mocno w twarz, że aż obtarł sobie palec, na którym nosił sygnet.

— *Scheiss! Scheiss!* — wykrzyknął na cały głos.

— Otto... — powiedziała Celia drżącym głosem, podnosząc z podłogi prochowiec i zarzucając go na ramiona.

— Pierwsza rzecz, jakiej dokonamy po Transformacji, to zajmiemy się Indianami ze wszystkich rezerwatów i zrobimy z nimi porządek! *Versteh!*? Wykończymy ich!

## Rozdział 22

— Jest — powiedział Lloyd z ulgą, wyjmując kopertę z kieszeni drzwiczek swojego BMW. — *Hymn pokutny* Wagnera, dzięki uprzejmości ksero z Rosecrans Street.

Kathleen wzięła kartki do ręki i jęła je wertować z uwagą.

— Naprawdę wierzysz, że to może ich powstrzymać?

— Wyglądało na to, że Celia tak uważa. I pamiętaj, jak to Franklin podsłuchał Ottona mówiącego do Helmwige: „Tylko Himm może ich zniszczyć”. Sądzę, że Franklin prawdopodobnie pomylił nazwisko Himm ze słowem „hymn”.

— Hm, przypuszczam, że jeśli jedna pieśń obrzędowa może ich stworzyć, to druga może ich zniszczyć — powiedziała Kathleen, choć w głosie jej słyhać było nutę wątpliwości.

— Oczywiście, jest jeszcze problem odpowiedniej instrumentacji i wykonania — mówił Lloyd, gdy wracali do domu. — A i to jeszcze nie wszystko, bo hymn należy odegrać w ściśle określonym momencie po transformacji.

— Na pewno znasz jakichś muzyków z opery — poddała Kathleen.

— Pewnie... nie wiem tylko, ilu z nich jest członkami wesołej sekty religijnej Ottona... ani którzy z nich mogliby nas bezwiednie wydać. — Popatrzył na zegarek i rozejrzał się wokół domu Kathleen. — Również tutaj nie będziemy mogli pozostać zbyt długo... inaczej dopadnie nas policja albo Otto. Nigdy nie zaryzykowałbym twierdzenia, że stanowimy najmniej rzucający się w oczy kwartet, jaki kiedykolwiek widziałem. To znaczy uważam, że nie mamy zdolności stapiania się z tłumem, czyż nie tak?

Kathleen otworzyła frontowe drzwi i weszli do środka.

— Lucy! — zawołała. — Tom! Wróciliśmy!

Nie było odpowiedzi. Kathleen pobiegła na górę, żeby sprawdzić w sypialniach, lecz za chwilę była z powrotem.

— Nie ma tu ich. Musieli pojechać do moich rodziców. Podniosła słuchawkę i wystukała numer.

— Napijesz się kawy? — zapytał Lloyd.

— Oddam wszystko za łyceczek.

— Franklin? Tony? Może trochę soku pomarańczowego?

— Sprzedałbym własnego dziadka za lemoniadę korzenną — powiedział Tony Express.

— Człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak ją lubi, póki mu jej nie zabraknie.

Lloyd nakładał łyżeczką kawę do ekspresu, gdy do kuchni wróciła zaniepokojona Kathleen.

— Dzwoniłam do rodziców, ale tam nikt nie podnosi słuchawki.

— Nie przejmuj się tym — powiedział Lloyd. — Prawdopodobnie wyszli po zakupy albo do zoo.

— Dziwny dzień jak na zoo. Lloyd poklepał ją po ramieniu.

— Żyjemy w dziwnych czasach.

Mimo to począł sam odczuwać dziwny niepokój, gdy zadzwonił do Bazy Rybnej i Waldo nie podniósł słuchawki. Może było nieco za wcześnie, lecz gdy zadzwonił pod jego numer domowy, nie było go tam również. No i co z tego? Pewnie jest w drodze do La Jolla i utkwiał w jakimś korku na 1–5, jako że to godzina szczytu, lub być może pojechał do Embarcadero kupować łupacze.

Zaryzykowali pozostanie w domu Kathleen dość długo, by zjeść porządne śniadanie, złożone z jajek na posiekanej wołowej mielonce, choć Tony Express nie był specjalnym entuzjastą mielonki, gdyż, jak stwierdził, przypominała mu w smaku cegłę *adobe*.

Kathleen przez cały czas usiłowała dodzwonić się do rodziców, lecz w dalszym ciągu nikt nie podnosił słuchawki.

— Nie sądzisz, że coś mogło im się stać?

— A cóż by się stało? Twoi rodzice są wystarczająco dorośli, by wychodzić z domu bez pozwolenia, czyż nie tak?

Lecz Kathleen martwiła się dalej i nic nie mógł na to poradzić. Sam też się martwił, gdyż w Bazie Rybnej Waldo w dalszym ciągu nie podnosił słuchawki. Modlił się, by Celia i Otto nie posunęli się w swym przesłuchaniu zbyt daleko.

— Weźmiemy BMW — zdecydował Lloyd. — Wymienię tylko tablice rejestracyjne z twoim camarro, Kathleen. RYBKA trochę za bardzo zwraca na siebie uwagę. Franklin... nie zechciałbyś tego dla mnie zrobić?

— W garażu jest pełny zestaw kluczy — powiedziała Kathleen. — ‘Mikę zawsze utrzymywał swoje narzędzia w wielkim porządku. Bardzo porządny facet, z grubsza rzecz biorąc.

Choć było dopiero dwadzieścia po jedenastej, Lloyd nalał sobie szklaneczkę leczniczej whisky. Potem wrócił do telefonu i spróbował jeszcze raz zadzwonić do restauracji. Tym razem natychmiast podniesiono słuchawkę.

— Waldo? — zapytał Lloyd.

— A kto mówi? — odpowiedział pytaniem beznamiętny głos.

— Lloyd Denman. Jestem właścicielem Bazy Rybnej. Usiłuję się skontaktować z

Waldem Slonimskym. Kim pan jest? Co tam się dzieje?

— Jestem posterunkowy Tarrant, proszę pana. Obawiam się, że pan Slonimsky został ubiegłej nocy zabity. Zginął w płomieniach.

Lloyd otworzył usta, lecz nic nie powiedział. A więc Celia kłamała mówiąc, że nie zrobiła Waldowi krzywdy. Prawdopodobnie kłamała również przysięgając, że nie spaliła Sylvii Cuddy.

Ale Waldo, niech to diabli! Nie mógł znieść nawet myśli o jego utracie. Waldo był mu o wiele więcej niż przyjacielem. Był ostatnim pozostałym przy życiu członkiem rodziny, która w przyływie optymizmu i rozpaczony wysłała go do Ameryki, mając nadzieję, że ich nazwisko nie zaginie długo po tym, jak wszyscy zostaną spaleni i zapomniani.

Oczy zaszkliły mu się łzami. Mimo że posterunkowy Tarrant powtarzał wciąż: — Proszę pana? Czy pan mnie słyszy? — nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa i odłożył słuchawkę. Miał teraz zamiar zabić Ottona. Miał zamiar zabić Helmwige. Pragnienie zemsty, dostatecznie już silne z powodu tego, co Otto zrobił z Celią, wezbrało w nim teraz niczym ogromna czarna fala przyływu.

W zaciszu salonu, trzymając nogi na stoliku na gazety i słuchając w telewizji rysunkowych *Pogromców duchów*, Tony Express nagle podniósł głowę. Usłyszał coś — najcichsze z grzechotań. Była to kukła tańca słońca, specjalnie wyczulona na ludzką zemstę — *poproś o jaką chcesz zemstę, a ja sprawię, że będzie twoja*.

„Ale dlaczego właśnie teraz kukła nagle zagrzechotała?” — pomyślał Tony Express. Grzechotała jedynie wówczas, gdy podszedł do niej ktoś tak spragniony zemsty, że nie mógł jej się doczekać.

Wstał i po omacku poszukał drogi do drzwi saloniku. Usłyszał kroki.

— Kto tam? — zapytał.

— To ja, Lloyd — odparł zduszony głos. Bez chwili wahania Tony Express powiedział:

— Waldo nie żyje.

— Skąd o tym wiesz?

— Kukła wyczuwa twoją zemstę, człowieku. A sądząc z tego, co mówiłeś, była tylko jedna osoba, która cię dość obchodziła, byś z jej powodu odczuwał żądzę mordy. — Przerwał, po czym dodał: — Naprawdę bardzo mi przykro, człowieku. Wiem, jak wiele dla ciebie znaczył.

— Cóż, owszem — odpowiedział Lloyd, ledwie mogąc oddychać.

Lecz nim jeszcze Lloyd zdążył powiedzieć Kathleen o tym, co się stało, wrócił z garażu Franklin i Tony Express na podstawie jego szybkiego, chrapliwego oddechu od razu

zorientował się, że jest czymś poważnie zmartwiony.

— Lloyd — powiedział — czy mogę z tobą pomówić?

— Jeśli chodzi ci o tablice rejestracyjne, Franklin, to szkoda twojego trudu. Dopiero co usłyszałem, że ubiegłej nocy zmarł Waldo.

Franklin zmieszał się.

— Och, nie, to straszne. Jak myślisz, czy to Otto?

— Otto albo Celia, jedno z nich. Nie wiem które. Co za różnica? Oboje są jednakowo szaleni i niebezpieczni.

— Lloyd... — rozpoczął Franklin. Niepewnie popatrzył na Kathleen.

— O co chodzi? Daj spokój, czy to nie może poczekać? Franklin uparcie potrząsnął głową.

— Lepiej chodź sam zobaczyć.

Wyszli do garażu. Franklin zamknął uprzednio automatyczną bramę i teraz, nim ją otworzył, zapytał:

— Czy aby na pewno jesteś na to przygotowany?

— Otwieraj, na miłość boską — odrzekł Lloyd.

Nie wiedział, czego się ma spodziewać, lecz z pewnością nie spodziewał się trupa. Na środku betonowej podłogi siedziała wyprostowana postać, czarna i zwęglona. Była tak doszczętnie spalona, że nie sposób było powiedzieć, czy to mężczyzna, czy kobieta ani nawet czy to dorosły, czy dziecko. Można by zemdleć, gdyby szoku nieznacznie nie łagodził fakt, że nie miała ona żadnej tożsamości. Równie dobrze mógłby to być wykonany przez rzeźbiarza drewniany posąg, który ktoś .przewrotnie opalił od stóp do głów gazową zapalniczką.

Lloyd zbliżył się powoli do ciała i zastygł przed nim w bezruchu.

— Jak myślisz, kto to mógł być? — zapytał go Franklin. — Spójrz na ten garaż... wszystko pokryte jest sadzą.

Lloyd obszedł spalone zwłoki i przeciągnął palcem po opuszczanym dachu camarro Kathleen. Derma lepiła się od czarnych płatków popiołu i ludzkiego tłuszczu.

W tej chwili Kathleen pojawiła się za rogiem. Lloyd prosił Tony'ego Expressa, by ją zatrzymał w domu, lecz cóż niewidomy dwunastolatek może zrobić, by zapanować nad matką, która niepokoi się o swego jedyne syna.'

— Kathleen... — zaczął Lloyd, próbując zastąpić jej drogę.

— O mój Boże! — powiedziała z twarzą białą jak wosk. — Czy to...?

Lloyd chwycił ją za rękę, lecz zaraz się uwolniła.



— Kto to jest? — wydusiła z siebie. — Lloyd, kto to jest? Wówczas przeciąg, który właśnie powiał w garażu, przewrócił figurę, ta zaś upadła na ziemię z delikatnym trzaskiem. Jedno ze zwęglonych ramion odłamało się, ukazując cienki pierścionek z odbarwionego złota, wysadzany diamentami.

Bez jednego słowa Kathleen ukryła twarz w dłoniach. Przez chwilę stała dygocząc, a potem nieomal padła na ziemię. Lloyd z Franklinem musieli ją podtrzymać i zaprowadzić do domu.

— Lucy, o mój Boże, Lucy — powtarzała raz po raz wysokim, histerycznym głosem. — O mój Boże, Lucy.

Gdy znaleźli się w holu, stojąca tam kukła tańca słońca zagrzechotała złowieszczo.

Lloyd podał Kathleen tabletki walium, które po śmierci Mike'a przepisał jej doktor, i położył do łóżka. Trzy albo cztery razy schodziła na dół trzęsąc się i dygocząc, aż w końcu Lloyd poszedł na górę posiedzieć przy niej. Rozmawiał z nią i gładził po głowie, póki się nie uspokoiła.

Lloyd nalał sobie następnego drinka, a dla Tony'ego Expressa następną korzenną lemoniadę. Potem przez dłuższy czas stał wyglądając przez okno, podczas gdy chłopiec, nucąc sobie coś pod nosem, siedział obok niego.

— To musiała być Helmwige — powiedział wreszcie Lloyd.

— Pewnie — zgodził się Tony Express. — Celia i Otto pojechali nas szukać w jedną stronę, a Helmwige w drugą.

— Boże — rzekł Lloyd — toż ta biedna kobieta nie miała z tym nic wspólnego. Tak jak i Waldo. Bóg jeden wie, co się stało z Tomem.

— Jeśli już mamy być tacy dokładni, człowieku, to w gruncie rzeczy ja też nie miałem z tym nic wspólnego — powiedział Tony Express. — Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało jak skarga na niewdzięczność czy coś takiego.

— Przepraszam — rzekł Lloyd. — Zdaje się, że wszyscy ci niewinni ludzie padli ofiarą mojej prywatnej krucjaty.

— Nie martw się tym, człowieku — odpowiedział mu Tony Express. — Mój horoskop mówi, że w tym miesiącu dla odmiany zrobię coś naprawdę użytecznego.

— John Tępy Nóż stawia horoskopy?

— Nie, człowieku, „San Diego Tribune”.

Lloyd zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział:

— Nie mam pojęcia, co teraz, u licha ciężkiego, zrobimy. Byłeś doprawdy niezły,

powstrzymując Ottona i Celię dziś rano, lecz czy potrafiłbyś zrobić to samo jutro wieczorem w operze? To znaczy, jak daleko sięga twoja moc?

— Ujmijmy to tak — odparł Tony Express. — Nie potrafię wygrać dla ciebie nowej bitwy pod Little Big Horn. Kukła tańca słońca może dopomóc ci wyrzucić osobistą zemstę na kimś, kogo naprawdę nienawidzisz... tak jak spowolniła Celię, gdy groziła Franklinowi, i tak jak wykorzystwała ducha z głębi umysłu Ottona... ducha, który go naprawdę nienawidził... tylko po to, by go na chwilę powstrzymać.

Lecz nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek miał moc zabić za pomocą kukły tańca słońca człowieka. I z pewnością nie dałbym rady powstrzymać tysiąca ludzi ani nawet dziesięciu. Czas starej indiańskiej magii już minął, człowieku. Brała się ona z ziemi i z nieba, i z wody. Teraz ziemia jest cała zabudowana, niebo pocięte na kawałki przez samoloty, a już z pewnością nie napiłbyś się wody z rzeki.

Lloyd wziął do ręki Wagnerowskie libretto.

— A więc mam przez to rozumieć... że to jest nasza jedyna nadzieja?

— Wagner przywołał do życia te salamandry, człowieku. Tylko on może odesłać je tam, skąd przyszły.

— Ale kto mi to może odegrać? Jedyna znana mi osoba, która mogłaby to zrobić, nie żyje.

— Kto to był?

— Sylvia Cuddy. Pracowała w operze razem z Celią. Była prawie tak wielkim jak ona ekspertem od Wagnera. W gruncie rzeczy w niektórych sprawach była nawet lepsza.

— Opowiadałeś mi o niej. Uważasz, że to Celia ją spaliła? Lloyd skinął głową.

— Chciałbym teraz mieć ją przy sobie.

— Cóż, człowieku — pociągnął nosem Tony Express. — Może i da się to zrobić.

— O czym ty mówisz?

— Jeżeli Sylvia Cuddy cierpi męki piekielne dlatego, że spaliła ją Celia, to będzie teraz w cokolwiek mściwym nastroju, nie uważasz? A mamy tu do czynienia właśnie z zemstą. Każdy, kto zostaje niesłusznie wtrącony do piekła, może się uwolnić, wywierając zemstę na tym, kto go tam niezasłużenie wtrącił. Daj spokój, człowieku, to są powszechnie znane fakty. A jak myślisz, co to są upiory? Jak sądzisz, dlaczego jęczą i wyją? To duchy, które uważają, że nie powinny cierpieć w piekle, i szukają sukinsyna, który je tam wpakował.

— Czy ja dobrze rozumiem to, co mówisz? — zapytał Lloyd łagodnie. — Bo jeśli tak... to niech mnie Bóg ma w swej opiece!

— Podaj mi lalkę, człowieku — rzekł Tony Express, powstając z sofy i siadając po

turecku na dywanie. — Mam zamiar pokazać ci coś, czego nigdy nie zapomnisz.

Lloyd niechętnie podniósł kukłę tańca słońca i podał ją Tony'emu Expressowi. W jego rękach sprawiała wrażenie nieomal żywej, pulsując, nabrzmiewając i ustępując pod naciskiem, niczym wzwód mężczyzny dotknięty poprzez damskie futro z lisów.

— Mówisz, że Sylvia Cuddy? — spytał Tony Express.

— Właśnie — odparł Lloyd.

— A więc dobrze... chciałbym, żebyś z całej siły pomyślał o Sylvii Cuddy. Spróbuj sobie przypomnieć, jak wyglądała... gdzie mieszkała. Jej rzeczy. Brzmienie jej głosu. Wyobraź sobie, że w twojej głowie rzeczywiście stoi małe Sylvia Cuddy. Czy potrafisz to zrobić?

— Do diabła, w każdym razie mogę spróbować. Zamknął oczy.

— Daj spokój, człowieku — powiedział Tony Express — miej oczy otwarte. W jaki sposób mam ją zobaczyć, jeśli będziesz miał oczy zamknięte?

— Skąd wiedziałeś, że zamknąłem oczy?

— To typowe dla białych. Nie potrafią jednocześnie patrzeć i myśleć. To ich rozprasza.

— W porządku. Zrobię, co będę mógł.

Zwróceniu twarzami do siebie usiedli na dywanie, a światło słonecznego poranka padło pomiędzy nich niczym złota mgiełka. Tony Express nucił coś cichutko pod nosem, od czasu do czasu wymawiając słowa zupełnie niezrozumiałe dla Lloyda, lecz brzmiące tak, jak gdyby kryły w sobie jakieś znaczenie.

— *Nequet... mmm... nadtow—wompu... mmm... wejoo—suk...*

Jednocześnie delikatnie grzechotał kukłą tańca słońca.

Złośliwa twarzyczka na jej czubku skakała i tańczyła przed oczyma Lloyda jak w satyrycznym programie kukielkowym.

— *Wejoo—suk... mmm... wejoo—suk... mmm...*

Lloyd starał się jak mógł myśleć o Sylvii. O jej zaczesanych do tyłu włosach, różowych wargach i wielkich, supermodnych okularach. Potem pomyślał o jej szyi, z pierwszymi zwiastunami zmarszczek wieku średniego i ciężkim naszyjnikiem ze złota. Pomyślał o jej dłoniach, o jej bluzce w egzotyczne wzorki. Pomyślał o jej mieszkaniu i nieomal usłyszał jej głos: „Wiesz, taka jestem zmęczona mieszkaniem w tym domku dla liliputów. Jest tu tak cholernie ciasno, że z deski do prasowania mogę skakać na głowę prosto do toalety”.

— Myśl o niej — ponaglał go Tony Express. — Myśl o niej wyraźnie, człowieku, myśl o niej ze wszystkich sił!

— Widzę ją — rzekł Lloyd i rzeczywiście widział. Stała wewnątrz jego głowy jak

malusieńki obraz holograficzny księżniczki Lei w *Gwiezdnych wojnach*. Stała wewnątrz jego głowy, wyraźna, ostra i rzeczywista. — Spójrz na mnie — rzekł Tony Express. A może Lloyd tylko wyobraził sobie, że to powiedział. Lecz tak czy inaczej odwrócił się ku niemu i spojrzał mu w twarz, mając wciąż jeszcze przed oczyma jasny i ostry maleńki obrazek Sylvii.

Tony Express zdjął ciemne okulary. Lloyd ujrzał jego niewidzące, białe jak mleko oczy. Lecz w tej samej chwili poczuł, jak gdyby jakaś jasność została wyssana z jego własnych oczu; błyszczący obraz, który przyprawił go o oszołomienie.

Lecz mimo to Lloyd był w stanie dostrzec, że oczy Tony'ego Expressa zapłonęły matowym światłem, niczym czterdziestowatowe żarówki. W następnej chwili Tony odwrócił głowę i popatrzył w drugi koniec salonu.

Lloyd widział już dziś materializację dziewczyny imieniem Gretchen, którą Otto torturował i zabił. Była ona wyblakłym obrazkiem z dawno minionej przeszłości. Ale i tak zadrżał, kiedy przesycone światłem słonecznym powietrze w kącie salonu poczęło rozplýwać się i gęstnieć, po czym stopniowo jął się w nim pojawiać migotliwy zarys sylwetki kobiety. I to nie pierwszej lepszej kobiety. Gdy obraz stał się wyraźniejszy i bardziej kolorowy, ujrzał, że z całą pewnością jest to Sylvia Cuddy.

Nie miała w sobie więcej treści niż przezroczysty obraz zawieszony w powietrzu. Nadmiernie przejrzysta, o kolorach tak bladych — kości słoniowej, rózu i odcieni nefrytu — że Lloyd ledwie mógł je rozpoznać. Lecz mimo wszystko była to Sylvia: poruszała się, kręciła głową i spoglądała na Lloyda oczyma, których smutek sprawił, że poczuł się potwornie winny. W końcu, gdyby pochopnie nie pożyczył jej libretta Juniusa, wciąż jeszcze by żyła.

— Sylvia? — zawołał ją.

— ...Lloyd, co się... — jej głos przyplýwał i odpływał, jak gdyby słuchali go na samym skraju zakresu fal krótkich.

Lloyd powstał i wyszedł jej naprzeciw.

— Przepraszam cię, Sylvio. Tak mi przykro z powodu tego, co się stało.

— ... nie twoja wina, to ona...

— Sylvio... czy bardzo cierpisz? Sylvio, posłuchaj mnie! Czy bardzo cierpisz?

— ... bez przerwy ten dzień... codziennie ten dzień...

— Jaki dzień, Sylvio? — Stał teraz bardzo blisko, a jednak w dalszym ciągu była taka przezroczysta, że wydawało mu się, iż lada chwila obraz jej zniknie niczym tafelki kolorowej żelatyny rozpuszczające się w ciepłej wodzie.

— ...dzień śmierci mojego ojca... codziennie... tyle bólu... Tony Express stanął u

boku Lloyd.

— W piekle cierpi się największe męki, jakie kiedykolwiek przechodziło się za życia, raz za razem i dzień po dniu. Nie wiedziałeś o tym? To jest właśnie piekło. Wy, biali ludzie, nie macie o niczym pojęcia.

Lloyd zawahał się, nim wreszcie powiedział:

— Sylvio... to libretto, które dałem ci do przejrzania... libretto Wagnera... czy mogłabyś je zinstrumentować? Czy mogłabyś mi je zaśpiewać, żebym wiedział, jak powinno brzmieć?

— ...ie rozu...

— Podłóż pod nie melodię, naucz mnie, jak je zaśpiewać! To rozpaczliwie ważne! To hymn napisany przez Wagnera, by zniszczyć ludzi ognia... by odpokutować za stworzenie wszystkich salamander!

W końcu Sylvia poczęła kiwać głową, jak gdyby nareszcie pojęła, czego on od niej chce. Lloyd podszedł do pianina Kathleen, otworzył pokrywę i umieścił kartki rękopisu na podstawce do nut. Potem odwrócił się z powrotem do szklitego, falującego obrazu Sylvii i kiedy tak stał w blasku słońca, w jego oczach zakręciły się łzy.

— Spróbuj, Sylvio, proszę.

Przez następne dwie godziny byli świadkami niesamowitej, lecz pełnej uroku sceny. Obraz Sylvii usiadł przy pianinie, starannie kreśląc nuty ołówkiem, który zdawał się z własnej woli podskakiwać w powietrzu. Co jakiś czas odgrywała jakąś krótką frazę hymnu na pianinie i pokój rezonował, jak gdyby nuty były nadawane na wszystkich częstotliwościach we wszechświecie.

W końcu Sylvia oznajmiła, że skończyła; praca została wykonana: jej instrumentacja i aranżacja Hymnu pokutnego Wagnera jest tak bliska oryginału, jak tylko leży to w jej możliwościach.

Tony Express trącił Lloyda łokciem w żebra.

— Magnetofon — przypomniał mu.

— Och, oczywiście — powiedział Lloyd i nastawił sony Kathleen na nagrywanie.

Hymn był pełen pierwotnej potęgi i z ducha bardziej pogański niż chrześcijański. Lecz miał w sobie subtelnie dzikie piękno i wzbudził w Lloydzie uczucia, jakich nie doświadczał od lat.

*Przebacz pochodnie, które zapaliliśmy*

*Przebacz nam gniewy i złości.*

*Przebacz duszom, które ośmieliły się splanąć*

*W żarze ognia nieśmiertelności.*

Sylvia śpiewała słowa wysoko i czysto, tak wysoko i czysto, że nagle w drzwiach pojawił się Franklin i stał tam, wpatrując się w pianino jak zahipnotyzowany.

Hymn zamarł. Sylvia odwróciła się w stronę Lloyda i podniosła obie ręce do ust. Jej oczy były pełne miłości i żalu. Lecz przynajmniej miała teraz szansę uwolnienia się w swym życiu przyszłym od dojmującej rozpacz i cierpień.

— ...dzenia, Lloyd... pamiętaj, że ja...

Odeszła. Stronice libretta porwał nagły podmuch wiatru i rozrzucił po podłodze. Lloyd ukląkł i zebrał je z powrotem.

— Kto grał na pianinie? — zapytał ogłupiały Franklin.

— Nikogo nie widziałeś? — odparł Lloyd.

Franklin podszedł bliżej i zajrzał za pianino. Podniósł firanki i również za nie zajrzał. Potem całkiem zdezorientowany popatrzył na Lloyda.

— Czy to ty grałeś na pianinie?

— Nie — odrzekł Lloyd. — Nie widziałeś jej... tej kobiety w kwiecistej bluzce?

Bardzo powoli Franklin potrząsnął głową.

— Nie widziałem nikogo. Nikogo tu nie było.

Lloyd popatrzył z ukosa na Tony'ego Expressa, lecz ten wciąż jeszcze siedział po turecku na podłodze, z głową odrzuconą nieco w tył jak Stevie Wonder, kołysząc się na pośladkach i nucąc coś pod nosem. Lloyd czytał o bramach percepcji i niedosiężnych poziomach odmiennych rzeczywistości, na które od wieków potrafili się przenosić indiańscy szamani, lecz po raz pierwszy doświadczył tego w tak intensywny i emocjonalny sposób na własnej skórze. Jął się zastanawiać nad tym, kto tu właściwie kogo doświadczał, oraz nad tym, czy gdyby kiedykolwiek Tony Express odzyskał wzrok, cała reszta świata nie popadłaby przez to w ślepotę.

## Rozdział 23

— Muszę iść z wami — nalegała Kathleen. — Jeżeli oni mają Toma, to po prostu muszę.

— Zdajesz sobie sprawę, jakie to może być niebezpieczne? — powiedział Lloyd, choć od początku wiedział, że nie uda mu się przekonać jej, by została w domu.

— Wcale nie bardziej niebezpieczne niż pozostanie tutaj — sprzeciwiła się Kathleen. — Spójrz tylko, co zrobili z Lucy.

— W porządku — zgodził się Lloyd. Trudno było dyskutować.

Wczoraj zdecydowali się nie szukać innej kryjówki, gdyż wszyscy byli zmęczeni, Kathleen zaś wciąż jeszcze nie doszła do siebie po przeżytych szoku. W zamian za to każdy po kolei trzymał wartę, na wypadek gdyby Otto lub Helmwige przyszli tu ich śladem.

Lloydowi z największą trudnością udało się wyperswadować Kathleen wezwanie policji. W końcu Lucy została zamordowana i Tom zniknął, a nie było żadnej gwarancji, że ich hymn wywrze na salamandrach jakikolwiek efekt. Lloyd mógł się opierać w tej kwestii jedynie na słowach Celi... i na urywku rozmowy podsłuchanej przez Franklina. Było całkiem możliwe, że Celia go okłamała, tak samo jak w niemal wszystkich innych sprawach, i że Franklin po prostu opacznie zrozumiał słowa Ottona.

Pomimo to wzięli ze sobą dwie powielone kasety z Wagnerowskim hymnem — na wypadek gdyby jedna z nich została stracona lub przejęta — a ich plan polegał po prostu na nadaniu go przez system głośników Teatru Miejskiego na zakończenie spektaklu.

— Banalne, człowieku — zauważył Tony Express. — Wszystko, co musimy zrobić, to wparować na przedstawienie operowe, przeznaczone wyłącznie dla zaproszonych gości, uniknąć spalania żywcem, pomajstrować przy sprzęcie hi-fi salamander, dać nogę przed ich gniewem, uratować chłopca Kathleen, wezwać gliny, sprawić, by uwierzyły, że nie jesteśmy całkowicie trzepnięci — i bingo.

— W twoich ustach brzmi to rzeczywiście prosto — odparował Lloyd.

Zadzwoniwszy do Teatru Miejskiego, dowiedzieli się, że wieczór operowy zaczyna się o dziewiątej, a kończy o północy.

— Ale bardzo mi przykro, proszę pana, wstęp jest wyłącznie za zaproszeniami, a nie ma już wolnych miejsc.

Spędzili cały dzień na odpoczynku, chodzeniu z kąta w kąt i nerwowym oglądaniu telewizji. Lloyd oddałby wszystko za drinka, lecz postanowił oprzeć się pokusie. Usiadł w kuchni i przypatrując się, jak Kathleen robi dla wszystkich kanapki, popijał wodę mineralną

Perriera ze szklaneczki o brzegu obtoczonym w soli i z kawałkiem limony, co razem miało stanowić bezalkoholową tequilę.

Zdawało się, że Kathleen, odkąd odkryła w garażu spalone zwłoki siostry, straciła wiele ze swej defensywności. Pozostał jej jednak trzeźwy praktycyzm i skłonność do krycia się ze swymi uczuciami. Lecz gdy Lloyd przyglądał się jej w świetle popołudnia, w dalszym ciągu widział bijący od niej blask kobiecości. Te ruchy pełne gracji, ten łagodny i ponętny wyraz twarzy.

Nigdy do tej pory nie traktował żadnej kobiety jak przyjaciółki — nie kochanki, lecz sprzymierzeńca. Nigdy nie miał okazji cenić kobiety za to, że była sobą. Stanowiło to zaskakujące i zupełnie nowe doświadczenie, które, dziwna rzecz, sprawiło, że nie myślał już tyle o Celi ani o uczuciach, jakie niegdyś dla niej żywił.

Lloyda i Kathleen łączyła ta sama więź, jaka jednoczy mężczyzn udających się wspólnie na łowy. Oboje nienawidzili Ottona i Helmwige oraz ich rasy panów. Co więcej, oboje żywili tę samą potrzebę zemsty. Oboje łaknęli jej tak bardzo, że nieomal odczuwali ból fizyczny, jak przy głodzie narkotyków.

— Jak uważasz, czy Tom jest bezpieczny? — zapytała Kathleen krojąc ostatnią kanapkę.

Lloyd skinął głową.

— Jestem tego niemal całkowicie pewny. Otto nie może nas złapać, lecz ma zamiar zatrzymać Toma jako swoją polisę ubezpieczeniową, na wypadek gdybyśmy zaczęli mu bruździć.

— Co się stanie, jeśli rzeczywiście zaczniemy mu bruździć?

— Wówczas uczynię wszystko, co w mojej mocy, by Tom wyszedł z tego cały i zdrowy.

Kathleen przez chwilę nie odzywała się ani słowem, jak gdyby ważąc w głowie jakąś decyzję.

— W porządku — rzekła wreszcie — dzięki i za to. To chyba wszystko, co ktokolwiek byłby w stanie obiecać.

Jechali autostradą 1–5 na południe w stronę San Diego w nastrojach tak nerwowych, że prawie nie odzywali się do siebie. Lloyd nastawił na chwilę radio, lecz akurat Chris Rea śpiewał *Drogę do piekła*, więc zaraz zgasił. Oddałby wszystko za drinka, papierosa i pierwszy lepszy pretekst, by zawrócić do La Jolla. Lecz teraz było już na to za późno. Musiał troszczyć się o wiele innych ludzkich istnień poza swoim własnym. Nawet o Celi. A może właśnie o



nią bardziej niż o kogokolwiek innego, jako że to ją właśnie zawiódł.

A cóż by się stało, gdyby Ottonowa rasa panów powstała i poczęła narzucać swą wolę narodowi, którego normy moralne poczęły już chwiać się w posiadach?

„Boże — pomyślał Lloyd — nieraz już w życiu się bałem, lecz nigdy tak jak w tej chwili. Nigdy jeszcze nie odczuwałem lęku, że następnego dnia rano obudzę się i ujrzę Amerykę bezpowrotnie zmienioną”.

Minęli zjazd do Oceanarium i przed nimi poczęły wznosić się migoczące światła centrum San Diego. Tony Express przeżegnał się.

— Nie wiedziałam, że jesteś katolikiem — zauważyła Kathleen.

— Bo i nie jestem — odparł. — Ale sama wiesz, kobieto, że dobrze jest zabezpieczyć się we wszelki możliwy sposób.

Noc była upalna i bezwietrzna. Nie dochodził zapach oceanu, jedynie woń spalin, zatęchłych przewodów klimatyzacyjnych i papierosowego dymu. Na niebie nieomal fioletową łuną odbijały się światła wielkiego miasta. Lloyd zboczył na zjazd do Centrum Miejskiego, a potem na każdym rogu skręcał w lewo, póki nie dotarli do wjazdu do garażu Teatru Miejskiego.

Była dwudziesta trzydzieści pięć. Garaż był już wypełniony rzędami lśniących cadillaców, mercedesów i porsche'ów, a przed windami ustawiały się tłumy ludzi w wieczorowych strojach.

W powietrzu unosił się zapach importowanych papierosów, trunków i perfum.

— Czy wszystko w porządku? — zapytał Lloyd, gdy zaparkowali. — Nikt nie chce się wycofać?

— Daj spokój, Lloyd — powiedział Franklin, kładąc mu rękę na ramieniu. — Lepiej już chodźmy. Nie każ nam myśleć o wycofywaniu się.

Wysiedli z samochodu. Żeby się jakoś prezentować, musieli zrobić najazd na garderobę Mike'a. Lloyd był odeń nieco wyższy, toteż spodnie wieczorowego garnituru powiewały mu wokół kostek. Za to koszula leżała całkiem nieźle. Franklinowi udało się wcisnąć w błękitną kurtkę sportową od Yves St. Laurenta i w parę luźnych spodni, które na jego muskularnych nogach wyglądały jak natryśnięta warstwa matowoszarej farby. Tymczasem Tony Express wynalazł gdzieś pasujący nań czarny żakiet Kathleen. Natarł włosy żelem i zaczesał je w stylu Roberta De Niro.

Kathleen miała na sobie wieczorową suknię z czarnego aksamitu, z przypiętą do lewej piersi dużą diamentową broszką. Była zmęczona, a na jej policzkach nie pozostało ani śladu koloru, gdyż dopiero teraz zaczynała w pełni odczuwać skutki zniknięcia Toma i

makabrycznej kremacji siostry. Pomimo to Lloyd uważał, że wygląda bardzo ponętnie, i odczuwał dumę prowadząc ją pod rękę.

Po drodze do windy zauważył dwa czarne mikrobusy z lustrzanymi szybami, zaparkowane razem na szarym końcu garażu. Napis na ich burtach głosił: „Wypożyczalnia Autobusów Balboa”. O co zakład, że one również wynajęte zostały przez pana Ortala? Pan Jim Ortal — Imm—Ortal — Nieśmiertelny — świetny dowcip, Otto.

Zjechali windą do poziomu ulicy i skierowali się na lewo, do wejścia do Teatru Miejskiego. Było tam jasno i tłoczno, mimo że umundurowani porządkowi sprawdzali zaproszenia przy wszystkich drzwiach, a chodnik odgradzony był sznurem, by nikt przypadkowy nie dostał się do teatru.

— W jaki sposób, u licha, wejdziemy do środka? — zapytała Kathleen, osłoniwszy usta dłonią w czarnej rękawiczce, gdy zbliżyli się do drzwi.

Stojący za nią mężczyzna śmiał się głośno i mówił:

— Przyszła na plastykę nosa, a wyszła z nowymi wargami, nowymi uszami, nowymi pierściami i po kosztującym dwanaście tysięcy dolarów zabiegu odsysania tłuszczu.

— No cóż, Kurt, przyznaję, że jesteś dobrym sprzedawcą — odpowiedział jego towarzysz; — Może i nie potrafiłbyś przemodelować podwórzowego ustępu, ale bez wątpienia potrafisz sprzedawać.

Obydwaj roześmiali się głośno. Tony Express i Lloyd dotarli do drzwi, mając tuż za plecami Franklina z Kathleen. Strażnik był czarnoskórym grubasem z błyszczącą szpiczastą czapką wciśniętą głęboko na oczy.

— Proszę pokazać zaproszenia — rzekł podejrzliwym tonem.

Tony Express podniósł do góry kukłę tańca słońca i dwa razy nią potrząsnął.

— *Na, na'lwiiwi!* — rzekł ostro. Strażnik zmarszczył brwi.

— Co to niby ma znaczyć? — spytał. Zatem Tony potrząsnął nią raz jeszcze.

— *Na, nalwiiwi!*

Lloyd był pewien, że strażnik zaraz ich zawróci, lecz tu nastąpiło coś niesłychanego. Wydawało się, że powietrze przed oczyma strażnika ugięło się niczym w gabinecie luster wesołego miasteczka i niezależnie od tego, jak kręcił na boki głową, wyglądało na to, że nie może nic przez nie zobaczyć.

W końcu zwrócił się ku stojącym za nimi dwóm chirurgom plastycznym.

— W porządku, panowie. A co z waszymi zaproszeniami?

— Ależ pan nie sprawdził... — zaczął jeden z chirurgów, wskazując na Lloyda, Franklina, Kathleen i Tony'ego Expressa.

Strażnik ponownie na nich popatrzył, lecz powietrze wciąż ugięło się i dla Lloyda stało się oczywiste, że ich po prostu nie dostrzega. Tony Express w jakiś sposób użył swej władzy nad światłem i powietrzem, by zniekształcić pole widzenia strażnika.

— Szybciej, człowieku — popędzał go Tony Express. — To tylko taka sztuczka i nie potrwa dłużej niż minutę.

Razem utorowali sobie drogę przez zatłoczone kuluary, do góry po schodach i przez otwarte drzwi na widownię.

Teatr Miejski pomieścić mógł blisko dwa razy więcej ludzi, niż zaprosił Otto, a więc było mnóstwo wolnych foteli. Lloyd i Kathleen znaleźli sobie miejsca na parterze przy lewym wyjściu, podczas gdy Franklin i Tony udali się na stronę przeciwną. Kurtyna pozostawała opuszczona, lecz już pierwsze sekcje orkiestry rozpoczynały strojenie instrumentów. Ich uporczywe rzępolenie i fałszowanie nie wpływało korzystnie na dobrze już nadszarpnięte nerwy Lloyda.

Rozejrzał się po stopniowo wypełniającej się widowni. Gdyby nie wiedział, że każdy z widzów został osobiście wybrany przez Ottona pod kątem charakterystyki rasowej, poglądów politycznych oraz inteligencji, nie od razu zorientowałby się, iż nie było wśród nich Murzynów. Na sali znajdowało się kilku jasnoskórych Latynosów i garść Azjatów, lecz wszyscy sprawiali raczej wrażenie zamożnych i zasiedziałyh południowych Kalifornijczyków.

Pod skrzącymi się żyrandolami zajęło miejsca tysiąc jeden najświetlejszych i najlepiej prosperujących obywateli południowej Kalifornii: lekarzy, prawników, dentystów, księgowych, polityków. Choć jeszcze o tym nie wiedzieli, stanowili załążek przyszłej rasy panów.

— Jak myślisz, gdzie może być Tom? — zapytała Kathleen, rozglądając się niespokojnie.

— Jeśli Otto go ma, to jest tutaj — uspokoił ją Lloyd. — Pamiętaj, że jest zakładnikiem Ottona, na wypadek gdybyśmy chcieli mu wejść w paradę. — Pomimo że mówił z głębokim przekonaniem, bynajmniej nie był całkiem pewien, czy Otto przyprowadzi tu chłopca. Ani nawet tego, czy Tom jeszcze żyje.

— O Boże, nie daj mu zginąć — wyszeptała Kathleen. Z drugiego końca widowni Franklin pokazał Lloydowi pięść z podniesionym do góry kciukiem. Planowali przesiedzieć aż do drugiej przerwy, potem zaś Franklin i Tony Express mieli wślizgnąć się za kulisy, spróbować znaleźć Toma oraz zlokalizować sprzęt nagłaśniający. Gdy opera dojdzie do punktu kulminacyjnego, dołączą do nich Lloyd i Kathleen. Jeśli im się uda, odtworzą hymn, a

przy odrobinie szczęścia być może powiedzie im się ucieczka.

Nie był to może plan zbyt obiecujący, a podczas akcji na pewno znajdzie konieczność podejmowania dodatkowych decyzji, ale eks-pracodawca Lloyda, wiceprezes Trustu Morskiego z San Diego, zawsze powtarzał: „Jeżeli nie wiesz, od czego zacząć, to próbuj pieprzonej improwizacji”.

Rada ta doprowadziła Lloyda do rzucenia ubezpieczeń i otwarcia Bazy Rybnej. Miał nadzieję, że posłuży mu także dzisiaj, w noc przesilenia letniego, w noc czarodziejskiej Transformacji.

Kathleen chwyciła i uściśnęła jego dłoń.

— Śmiało, Lloyd — wyszeptała. — Bóg jest po naszej stronie.

Lloyd obdarzył ją bladym uśmiechem, usiłując wyglądać tak, jakby w to wierzył.

Wraz z wybiciem dziewiątej drzwi na widownię zostały zamknięte i Lloyd zauważył, że przy wszystkich stanęli porządkowi. Zaproszona publiczność mogła sądzić, iż zostali tam postawieni po to, by nie wpuszczać spóźnialskich, lecz Lloyd był najzupełniej pewien, że ich zadaniem było nikogo nie wypuszczać.

Stopniowo pogasły światła i umilkł gwar rozmów. Nadszedł ów pełen napięcia moment, gdy około tysiąca osób siedziało w zupełnym milczeniu, aż wreszcie kurtyna rozstąpiła się i na proscenium, nerwowo obciążając mankiety koszuli, pojawił się w białym fraku Otto Mander.

„Jak przedsiębiorca pogrzebowy — pomyślał Lloyd. — Jak anioł śmierci”.

Otto poprosił gestem o ciszę i czekał jeszcze długo, gdy już zapadła. Wreszcie przemówił:

— Dobry wieczór paniom, dobry wieczór panom. Wszyscy państwo otrzymaliście imienne zaproszenia na wieczór galowy poświęcony operom Wagnerowskim. Zostaliście wybrani, gdyż w was wszystkich Opera San Diego znajduje stałe oparcie. Dzięki temu, iż zarówno regularnie przybywacie na spektakle, jak i składacie ofiary pieniężne — stanowicie publiczność, która jest tu przyjmowana na specjalnych prawach.

Jak to zostało wyjaśnione w liście dołączonym do zaproszeń, dzisiejszy wieczór jest swego rodzaju premią... poprzez którą opera pragnie wyrazić wdzięczność za wasze poparcie.

Mam nadzieję, że dziś w nocy utworzymy ekskluzywne, doborowe towarzystwo wiernych zwolenników dzieł operowych Ryszarda Wagnera i podstawowych prawd, które były natchnieniem jego muzyki. Nie tylko dla naszej własnej przyjemności, rozumiecie państwo, ale i ku pamięci nieodżałowanej Celi Williams, która przez ostatnie sześć miesięcy

ciężko pracowała, by wieczór ten mógł dojść do skutku.

Rozległ się krótki grzmot oklasków, który jednak, gdy tylko Otto powtórnie podniósł rękę, natychmiast zamarł.

— Mam teraz zamiar oświadczyć, że wszyscy zostaliście tu zaproszeni pod fałszywym pozorem.

Ponownie gwar i sporadyczne śmiechy. Otto nieomal zdołał się uśmiechnąć. — Chcę przez to powiedzieć, że sądziliście, iż przybywacie tu dziś wieczór wysłuchać wyboru dzieł rozmaitych kompozytorów, napisanych w hołdzie Ryszardowi Wagnerowi. Jednakże... przybyliście tu wysłuchać kompletnej i do tej pory nieznannej opery Ryszarda Wagnera, jego ostatniej.

Przez widownię przeszedł niski pomruk podniecenia i zadowolenia z niespodzianki niby łamiący się na plaży długi grzywacz. Nawet członkowie orkiestry popatrzyli na siebie w zdumieniu i poczęli wściekle wertować partytury. Celia musiała dostarczyć im muzykę w postaci sprawiającej wrażenie kilku nie związanych ze sobą utworów, które jednakże razem tworzyły sprytnie pokawałkowaną operę.

Willard Bright, dyrygent, powstał i powiedział do Ottona coś, czego Lloyd nie dosłyszał. Lecz tamten odwrócił się ku orkiestrze i rzekł z promienną twarzą:

— Przeciwiczyliście to, *ja!* Wiecie, jak zagrać? No to będziecie wspaniali!

Dyrygent przez kilka minut konsultował się z orkiestrą, lecz żaden z muzyków nie wydawał się mieć jakichkolwiek zastrzeżeń. W gruncie rzeczy większość z nich aż paliła się do tego, by zacząć grać.

— A zatem — przemówił Otto — oto zaginione arcydzieło Ryszarda Wagnera *Junius*. Opracowała je i zaaranżowała nasza nieodżałowana przyjaciółka, pani Celia Williams, i jej też pamięci poświęcone będzie dzisiejsze prawykonanie. Choć bowiem ja sam odszukałem operę w Niemczech, to pani Williams sprawiła, że jej premiera doszła do skutku.

Rozległy się kolejne oklaski. Lloyd zauważył reportera w smokingu, opuszczającego miejsca dla prasy i udającego się do wyjścia. Jednak został on zawrócony przez jednego z porządkowych, gdy zaś próbował protestować, uciszono go sykaniem.

— Szczególnie dobrze się składa — mówił Otto — że dzisiejsza prapremiera *Juniusa* jest dedykowana pani Williams, ponieważ jej centralnym tematem jest nieśmier

telność, a ten wieczór sprawi, iż pani Williams stanie się nieśmiertelna. Opera opowiada o dziejach bawarskiego burmistrza, który w zamian za wieczny żywot zawarł pakt z siłami ciemności... o tym, jak spotkał się z niezrozumieniem swych współobywateli i został spalony na stosie... oraz o tym, jak zatriumfował nad śmiercią, a chwała i blask przybyły z krainy

mroku, by dać początek imperium, jakiego nigdy jeszcze nie widziano, lecz które wkrótce zapanuje na świecie!

Zamilkł na długą chwilę, po czym powiedział:

— Być może zapytacie, kim jest człowiek, który odnalazł operę i oto prezentuje ją wam dziś wieczór. Być może zapytacie, jak to się mogło stać tak po prostu, bez reklamy i bez sensacji.

Jestem jedynie niezależnym materialnie miłośnikiem muzyki, bez reszty oddanym twórczości Ryszarda Wagnera. Pragnąłem podzielić się tym unikatowym odkryciem nie z tymi, którzy doszukiwaliby się w nim sensacji, lecz z tymi, którzy potrafią słuchać muzyki, tymi, którzy już dowiedli swej troski o losy opery.

Jeszcze wczoraj prawie nikt nie wiedział nic o *Juniusie*. Jedynie historycy i specjaliści. Lecz dzisiejszy wieczór ujrzy *Juniusa* w pełnej chwale, a część tej chwały przypadnie i wam. Wasze nazwiska będą zapamiętane na zawsze.

Otto zszedł ze sceny. Zerwały się oklaski, jednak nie trwały zbyt długo, Otto podekscytował widownię, lecz również wprowadził ją w zakłopotanie.

Teraz powstał Willard Bright i zastukał batutą. Teatr stopniowo ucichł, nie licząc sporadycznych pokaszliwań. Nastąpiła chwila ciszy, podczas której świat zdawał się obracać wokół własnej osi.

Wreszcie — niczym zrywająca się burza — rozpoczęła się uwertura. Była dziksza i potężniejsza od wszystkich utworów Wagnera, jakie Lloyd do tej pory słyszał. Wbrew samemu sobie poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie, a serce bije w szybszym rytmie. Muzyka była pierwotna, zwalająca z nóg, nieokiełznana niczym podmuch huraganu. Publiczność, oszołomiona komplementami Ottona i faktem, że usłyszy prawykonanie zaginionej na całe lata opery, była podbita bez reszty.

Przez większą część uwertury widownia tonęła w ciemnościach, lecz nagle kurtyna uniosła się i jednocześnie kotły podjęły potoczysty, rozbrzmiewający echem, pierwotny rytm.

Przez scenę przedefilował stuosobowy chór mnichów, od stóp do głów okrytych czarnymi szatami, z kapturami na głowach, wprowadzając nieokreśloną atmosferę zagrożenia. Nieśli zapalone pochodnie i śpiewali ponurą niczym pienia żałobne, stale nawracającą pieśń.

*Kto dobił targu z Jego Szatańską Mością?*

*Kto wystawił na sprzedaż swą własną duszę?*

*Kto odwrócił się plecami od swego Boga?*

Chór przesuwiał się po scenie nie kończąc się ósemką, czarny i pozbawiony twarzy, szeleszcząc szatami po zakurzonych deskach. Pochodnie migotały w marszu, rzucając ogromne i niezwykle cienie na kulisy i widownię.

Pomimo lęku, pomimo nienawiści do Ottona i wszystkiego, czego ów próbował dokonać, opera wydała się Lloydowi ogromnie poruszająca i pełna niepokoju. Zawierała w sobie wszystkie elementy hitlerowskiego wiecu: ciemność, pochodnie, flagi, symbole... oraz monotonną pieśń triumfu, która kołysała się niczym ocean nocą.

*Kto posiadał tajemnicę wiecznego żywota?*

*Kto okiełznał śmierć?*

*Kto okiełznał śmierć — śmierć — śmierć — śmierć?*

Obróciwszy się ku widowni, Lloyd ujrzał, że publiczność była urzeczona — muzyką, śpiewem, pochodniami, dudnieniem bębnow. Ich brzmienie przywoływało najgłębsze lęki, pobudzało wszystkie niepokoje i uprzedzenia patrzących. Była to muzyka wojenna, muzyka bitewna, wściekła i nie znająca litości. Dawała symfoniczny wyraz wszystkim ich nienawiściom.

Pojawił się Junius, blady mężczyzna, odziany w szkarłatną szatę, z takimże piórkiem przy kapeluszu. Barytonem zaśpiewał długą arię o poszukiwaniu nieśmiertelności.

*Dlaczego ludzie mają się rodzić,*

*Jeśli i tak umrą?*

*Jakież sens tkwi w nauce tak wielu arkanów,*

*Jeśli i tak trzeba zabrać je ze sobą do grobu?*

Teraz muzyka poczęła się nieco dłużyć, zarazem stając się dziwnie niesamowita. Brzmiała jak nocne odgłosy morza lub jak gdyby ktoś raz za razem powtarzał szeptem jakieś niezrozumiałe słowa. Nastrój w teatrze zaczynał się subtelnie zmieniać i niejeden widz obejrzał się za siebie, jak gdyby bojąc się kogoś lub czegoś, co kryło się za jego plecami.

Lloyd począł mieć to samo wrażenie. Nigdy przedtem nie czuł nic takiego w teatrze. Lecz koniec końcem, kiedy siedzi się w ciemnościach twarzą do sceny, skąd można wiedzieć, co dzieje się za plecami? Spróbował oprzeć się pokusie obejrzenia się, lecz w końcu nie mógł już wytrzymać i ujrzał wpatrzony w siebie poblądłe oblicze matrony w wieczorowej sukni ze złotej lamy.

— Ćśś! — zgromiła go, choć nie wypowiedział ani słowa.

Pod koniec pierwszego aktu *Juniusa* na balkonie w głębi sceny pojawiła się postać odziana w szary zawój, z ogromną, oprawną w skórę księgą pod pachą. Sam Junius zaś padł na kolana i jął błagać postać, by dała mu księgę wraz ze wszystkimi zawartymi w niej magicznymi arkanami.

Figura w szarym zawoju wysokim altem odpowiedziała Juniusowi:

*Księga ta zawiera tajemnice życia i ognia,  
Księga ta zawiera sekret najmroczniejszego ludzkiego pragnienia,  
Lecz kiedy ją otworzysz i przeczytasz treść,  
Strzeż się! Gdyż ceną wiecznego życia jest wieczne cierpienie.*

Stopniowo tło rozświetlały jeden po drugim reflektory i Lloyd wreszcie dostrzegł bawarski zamek obudowany skomplikowanym systemem wieżyczek, ruchomych przypór i zwisających balkonów. Choć były one tylko namalowane, w fakcie, że okna na wszystkich balkonach i murach były zakryte okiennicami, kryło się coś ponurego. Lloyd nawiedziło uczucie, iż wolałby, by okiennice pozostały zamknięte, na wypadek gdyby znajdowało się za nimi coś nazbyt przerażającego.

W gruncie rzeczy w miarę jak przybywało światła, dekoracje stawały się coraz bardziej przerażające — nie tylko dlatego, że były takie potężne i przytłaczające, lecz dlatego, iż nabierały pozorów niesamowitej rzeczywistości. Lloyd odwrócił się do Kathleen i popatrzawszy na mocno zaciśnięte dłonie i jasno oświetloną bijącym ze sceny światłem twarz, zrozumiał, że jest w równym stopniu zahipnotyzowana.

— Kathleen — rzekł, ona zaś wzięła go za rękę, nie odrywając jednak oczu od sceny.

— Zauważyłeś? — wyszeptwała. — Nie widać ich twarzy. Ani twarzy chóru, ani nikogo z solistów. Jedynie Juniusa.

Muzyka robiła się coraz to głośniejsza i bardziej natarczywa, niczym potężniejący odgłos milionów stóp przemierzających niezdojane pustynie. Coraz trudniej było rozróżnić Lloydowi, co jest realne — widownia i publiczność czy też wieże i zamki Wagnerowskiej Bawarii. Czuł się tak, jak gdyby spędził w tym obwarowanym murami obronnymi mieście całe życie, ukrywając się za jego zamkniętymi okiennicami, wdrapując się na strome schody, spoglądając w oszołomieniu z jego wież i wieżyczek na malowane chmury, które wiecznie płynęły po niebie i nigdy nie mogły j dopłynąć.

A przez cały ten czas gromkie głosy chóru wyśpiewywały temat:



*Chwała! Czystość! Siła i moc!*

Lloyd czuł, jak gdyby świat się otwierał, jak gdyby otwierał się sufit, jak gdyby wszystko, w co kiedykolwiek wierzył, wysypywało się w ciemność niczym koziołkujący w powietrzu grzesznicy w którejś ze średniowiecznych wizji piekła.

*Chwała! Chwała! Czystość! Czystość! Siła i moc!*

Pierwszy akt orkiestra zakończyła ogłuszającym finale na rogi i bębny, na tle których chór skandował natarczywy temat: Chwała! Czystość! Siła i moc! — raz za razem i raz za razem, póki Lloyd nie usłyszał, że część widowni skanduje go wraz z nim.

— *Chwała! Czystość! Siła i moc!*

„Boże — pomyślał. — Jak łatwo zacząć to jeszcze raz od początku!”

Na zakończenie pierwszego aktu widownię ogarnęło gorączkowe podniecenie. Wszyscy powstali z miejsc i zgotowali zespołowi opery nie kończącą się owację, która w miarę trwania zdawała się raczej rosnąć niż maleć. Drugi akt rozpoczął się długą spokojną sekwencją, osadzoną w górach Bawarii o zmierzchu. W świetlistej scenerii dominował przyćmiony błękit, przez który głos śpiewającej wiodącą partię sopranową Elois Steiger wydawał się prześlizgiwać z chłodem, który przejmował Lloyda do szpiku kości.

*Widziałam na własne oczy*

*Spacerujących po ulicach zmarłych,*

*Zmarłych stukających do okien*

*Dziecinnego pokoju, bez słowa*

*Czekających na mnie na każdym rogu.*

Stopniowo aria przemieniła się w następną pieśń, niską, pulsującą, która poddała Lloydowi myśl o bębnie wybijającym wioślarzom rytm na galerach lub na długich łodziach wikingów. Miał niepokojące przeczucie, że jest to preludium do *Rytuału ognia*, magicznej pieśni, która przygotowywała przyszłe salamandry do oddania się na pastwę płomieni.

I rzeczywiście. Góry Bawarii usunęły się, by zrobić miejsce dla obozu barbarzyńców, w którego centrum płonęło ogromne ognisko. Efekt ten osiągnięto za pomocą migających świateł i fruujących skrawków pergaminu, jednakże obsłudze sceny udało się zachować właściwy stopień nasycenia żywym, hipnotyzującym światłem. Chór pojawił się i rozpoczął pieśń, która usunęła w cień wszystko, co do tej pory zaśpiewali Elois Steiger i Robert Kupka, baryton grający rolę czarnoksięskiego burmistrza Johanna Juniusa.

Lloyd przesunął wzrokiem po linii chóru. Śpiewacy mieli na sobie szare mnisie habity, ich twarze zaś były częściowo ukryte w cieniu. Lecz był pewny, że jako czwartą od lewej udało mu się rozpoznać Celię. Trącił łokciem Kathleen.

— Czy nie widzisz tam Mike’a? — zapytał. — Gdzieś pośród chóru?

Kathleen podniosła do oczu teatralną lornetkę i uważnie zlustrowała scenę.

— Jest — powiedziała wreszcie. — Wydaje mi się, że to on... ten wysoki tuż przy ognisku.

Oboje oglądali pozostałą część drugiego aktu z lękiem i ciekawością. Lloyd zerknął na zegarek. Do północy pozostało tylko czterdzieści minut. Czterdzieści minut do zakończenia ostatniego aktu Wagnerowskiej opery i rozpoczęcia pierwszego aktu historii rasy panów.

Gdy scena przy ognisku dobiegła obfitującego w bębny, mocno stonowanego zakończenia, Lloyd pochylił się i przez cały rząd przesłał Franklinowi znak, że już pora na niego. Tamten skinął głową i gdy tylko publiczność powstała, by wyjść na ostatnią przerwę, wraz z Tonym Expressem zniknął w tłumie.

Choć publiczności nie broniono wstępu do barów Teatru Miejskiego, gdzie podawano koktajle z szampana, to jednak Lloyd zauważył, że wszystkie wyjścia na ulicę są pozamykane i strzeżone. Razem z Kathleen stanęli w kącie, nie odzywając j się do siebie ani słowem, lecz wsłuchując się w otaczający ich zgiełk.

— ...stwierdza coś, czego ty nigdy nie mógłbyś wyrazić w druku bez tego, żeby ci ktoś nie przylepił etykiety bigota...

— ...jest głośna, to rzecz pewna, i bardzo germańska. Ale cóż to za muzyka! Czy zdajesz sobie sprawę, jaki to przywilej wysłuchać tej muzyki prezentowanej po raz pierwszy...

— ...mam dziwne uczucie... jak gdybym gdzieś to już słyszał, ale nie potrafię sobie przypomnieć gdzie...

Lloyd wziął Kathleen za rękę i razem powrócili na swoje miejsca.

— Słyszałeś ich? — zapytała Kathleen. — To już się dzieje w tej chwili.

— Wiem — zgodził się Lloyd. — Jeszcze raz od początku Trzecia Rzesza, I to tu, w południowej Kalifornii.

— Boję się — powiedziała Kathleen. Pochylił się i pocałował ją.

— Chcesz znać prawdę? — zapytał. — Ja również.

Gdy publiczność powróciła, by obejrzeć ostatni akt, na widowni zapanowało

gorączkowe podniecenie. W jakiś sposób rozeszła się pogłoska, że ostatnia aria jest wprost niewiarygodnie wspaniała; że dzisiejszy wieczór z pewnością przejdzie w przyszłych dziesięcioleciach do legendy opery światowej. „Owej nocy, gdy po raz pierwszy wystawiono publicznie *Juniusa...*” „Owej nocy, kiedy to Elois Steiger śpiewając fortissimo wzięła górę a, na co publiczność odpowiedziała okrzykami, że coś takiego jest w ogóle niemożliwe...”

Lloyd zakwalifikował tę pogłoskę jako to, czym była w samej rzeczy —jako propagandę. Jako sposób pobudzenia do jeszcze większego podniecenia publiczności, która już była zmęczona, podekscytowana i gotowa nieomal na wszystko.

Kurtyna odsłoniła stojące pod bezlitosnym niebem megalityczne miasto Ariów. Migotały błyskawice i biły pioruny.

Unisono zawodziły rogi. Następnie chór, w napierśnikach, ciężkich hełmach i dzierząc w dłoniach włócznie, maszerował w prawo i w lewo po przekątnej sceny.

*Maszerujemy ku przyszłości...*

*Wydamy wojnę dekadencji i gnuśności,*

*Niczym czarna wichura popędzimy przez świat.*

Muzyka stawała się coraz głośniejsza, chór zawodził i grzmiał na całe gardło. Lloyd zerknął na zegarek i stwierdził, że już tylko kilka minut zostało do północy, momentu kulminacyjnego transformacji. Chór stanął półkolem, trzymając się za ręce i skandując:

*Burza! Burza! Burza! Burza!*

Elois Steiger wyszła na środek sceny, mając na sobie długą czarną pelerynę i czarny hełm z rogami. Kilku widzów powstało w niemym podziwieniu i nikt nie próbował nawet usadzić ich z powrotem. Zagrzmiały bębny, aż się zatrzęsała widownia.

*Oto jest chwila naszej transformacji!* — zaśpiewała solistka głosem potężnym jak orkan. — *Oto jest chwila, gdy ludzie stają się bogami!*

*Burza! Burza! Burza! Burza!* — skandował chór, z każdym słowem podnosząc do góry złączone dłonie.

Kobiety na widowni piszczały. Niektórzy mężczyźni tupali nogami do taktu, inni stali z otwartymi ustami, nie wierząc własnym oczom i uszom, podczas gdy Elois Steiger sięgała kresu możliwości operowych środków wyrazu. Dźwięki orkiestry zmyły ich wszystkich w odmęt niczym rozbitków czepiających się tratwy ratunkowej.

*Oto jest chwila naszego triumfu! Oto jest chwila, gdy wszyscy legną u naszych stóp!*

Elois zawisła przez moment w przedostatnim es. Orkiestra nagle ucichła, na widowni zapanowała ‘ cisza. Błyskawica zatańczyła na malowanym niebie i dało się słyszeć stłumione buczenie elektrycznych kontaktów. Tylko tyle. Kathleen ścisnęła dłoń Lloyda, choć żadne z nich nie było w gruncie rzeczy pewne, czego się powinni spodziewać.

I właśnie wtedy usłyszeli dźwięk, który nie przypominał w niczym głosu ludzkiego. Brzmiał jak jakiś jeszcze nie wynaleziony, niewyobrażalny instrument. Widownię przeszedł dreszcz przerażenia, jako że coś takiego słyszy się tylko raz w życiu — i oto ten moment nadszedł.

Dźwięk rozszerzał się i rozchodził coraz dalej, narastał i potężniał. Elois Steiger, powiewając czarną peleryną, rozpostarła szeroko ramiona i odrzuciwszy głowę do tyłu, wydała z siebie a, które wypełniło teatr odgłosem atomowej eksplozji, ogłuszająco i osłepiająco, coraz szerzej i szerzej, coraz głośniej i głośniej, aż Lloyd poczuł, iż lada chwila zawali się na nich sklepienie budynku.

Lecz czekało ich jeszcze więcej wrażeń. Gdy tylko nuta wybrzmiała — w owej pełnej oszołomienia luce, która zwykle następuje przed ogłuszającym aplauzem publiczności — chór zrzucił peleryny i ukazał publiczności swą nagość, świecąc metaliczną szarością skór salamander. Śpiewacy podnieśli w górę złączone dłonie i wykrzyknęli jednym głosem:

*Chwała! Czystość! Moc!*

Cały teatr się zatrzęsł. Kawały tynku poodpadały z sufitu, cała zaś bateria reflektorów runęła i roztrzaskała się na scenie. Ktoś krzyknął: — Trzęsienie ziemi! — i jęk grozy przebiegł przez widownię. Lecz już w następnej chwili widzowie ujrzeli, że to nie trzęsienie ziemi. Była to moc, która falami przebiegała przez chór; posępne karmazynowe światło, które pulsując, poprzez ramiona i dłonie przechodziło od jednego śpiewaka do drugiego, póki wszyscy nie zaczęli błyszczeć jak rozpalone do czerwoności węgle.

Publiczność powstała i przyglądała im się w oszołomieniu, lecz Lloyd i Kathleen wiedzieli, co się dzieje. Oto najbardziej starożytna z pogańskich mocy przekształcała ich nietrwałe ciała z dymu i ducha w coś przypominającego ciało człowieka — w ciało boga. Ci mieli stać się rodzicami rasy panów.

Stopniowo światło zamierało i dym się ulatniał. Widownia pozostała w osłupiałej ciszy. Niektórzy łkali. Nie rozumieli, że potężne emocje, rozbudzone przez operę, nie były przeznaczone dla nich, lecz dla Ottonowych salamander. Oni zaś pozostali podnieceni, lecz zupełnie zdezorientowani i niezdolni do zrozumienia tego, czego właśnie byli świadkami.

— Teraz — mruknął Lloyd. — Teraz, Franklin... hymn, na miłość boską! Hymn!

Lecz nie rozległ się żaden hymn. Zamiast tego kurtyna wolno i w zupełnej ciszy opadła,

a na proscenium powtórnie pojawił się Otto. W podniesionej dłoni niósł małą miseczkę z matowego złota, którą niczym sztukmistrz przed wykonaniem nowego i skomplikowanego triku zaprezentował najpierw jednej, a potem drugiej stronie widowni.

— Usiądźcie, proszę, usiądźcie — rzekł i publiczność stopniowo jęła zajmować miejsca. Poczekał, aż zapanowała całkowita cisza, i wówczas zabrał głos: — Z pewnością nie wiecie, czego takiego byliście świadkami; jeszcze nie wiecie. Była to Transformacja, przekształcenie ognia w ciało, niematerialnej duszy w nieśmiertelną istotę, która pod boską postacią będzie istnieć na Ziemi.

Wy także tak jak oni możecie zostać bogami. Prawdę mówiąc, dlatego właśnie was wybrałem. Wy, wszyscy tu obecni, możecie wziąć udział w rytuale ognia i stać się przywódcami ludzkości, jakich świat jeszcze nie widział.

Nikt nie odezwał się ani słowem. Nikt nie odważył się mu zaprzeczyć. Nikt nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć.

— Sami o tym nie wiecie — kontynuował Otto — lecz pieśń rytualna w akcie pierwszym przygotowała was wszystkich do tego, co teraz nastąpi. Nie umrzecie od tego, tak jak nie umarli mężczyźni i kobiety z mego chóru. Zostaniecie tylko przekształceni, gdy nastąpi właściwy moment, w takie same jak oni przepyszne istoty.

Otto ponownie podniósł do góry misę, teraz jednak w jej wnętrzu pojawił się drżący ognik nikłego światła.

— Oto czara, w której Poncjusz Piłat umył ręce, wydawszy Żydom Jezusa Chrystusa — mówił. — Oto talizman symbolizujący tych wszystkich, którzy odmawiają dźwigania na swoich barkach brzemienia obowiązków, i tych wszystkich, którzy zdradzają wielkich i dobrych.

— Mój Boże — szepnął do Kathleen Lloyd. — Musimy się stąd wydostać! Czy wiesz, co on chce zrobić?

— Co? Co takiego? — zapytała Kathleen, w dalszym ciągu odurzona finałem opery.

— Salamandry! — syknął na nią Lloyd. — Wybrał tych ludzi, by zostali salamandrami! Oto jego rasa panów! Ma zamiar spalić cały ten cholerny teatr!

W chwili gdy to mówił, z tylnych rzędów dał się słyszeć piskliwy okrzyk zdumienia. Lloyd odwrócił się i ujrzał, że głowa jednego z mężczyzn zajęła się ogniem i poczęła wściekle płonąć. Siedząca obok niego kobieta usiłowała stłumić ogień za pomocą futrzanej etoli, lecz w następnej chwili również buchnęła ogniem. Z przerażającą szybkością, niczym stojące w szeregu świece, jeden od drugiego zapalali się wszyscy ludzie w tym rzędzie, a potem w następnym i jeszcze następnym.

— W nogi! — Lloyd wrzasnął do Kathleen i popchnął ją w kierunku wyjścia.

Na drodze stanął im porządkowy, lecz wyglądał na równie zaszokowanego widokiem ognia co oni i Lloyd odepchnął go na bok, po czym kopnięciem otworzył drzwi, nim ów miał czas ich powstrzymać. Strażnik obrócił się i krzyknął: — Ejże! — lecz wówczas przednie rzędy buchnęły ogniem i objęła go swym zasięgiem rycząca ognista kula przegrzanego powietrza, która zdarła mu twarz jak zapustową maskę.

Lloyd i Kathleen pobiegli długim korytarzem, potem schodami do góry, póki nie znaleźli się przed drzwiami z tabliczką: „Biura — Wstęp wzbroniony”. Były zamknięte, lecz Lloyd wyważył je trzema potężnymi kopniakami i wpadły do środka na beżową wykładzinę podłogi biura. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowały się drzwi, które z pewnością wiodły za kulisy.

— Szybciej — ponaglał Lloyd Kathleen. — Musimy odtworzyć ten hymn!

Przemknęli przez następny długi korytarz, wbiegli po schodach, by wreszcie wpaść w wahadłowe drzwi i znaleźć się w półmroku zaplecza sceny pośród zastawek i rekwizytów, tekturowych drzew, pozłacanych tronów i zwojów lin. W pobliżu nie było nikogo, weszli więc ostrożnie za dekoracje w poszukiwaniu konsoly nagłośnienia.

— Posłuchaj — powiedziała Kathleen chwytając Lloyd'a za rękę. — Słysząc alarm przeciwpożarowy.

Zatrzymał się i jął nasłuchiwać.

— Pewnie. Ale żadnych krzyków. Zauważyłaś? Nikt nie krzyczy. Nawet nie usiłują się wydostać.

W nozdrzach czuli zapach dymu i żaru oraz niepodobny do niczego innego swąd spalonego ludzkiego ciała. Jednak nie licząc dalekich dzwonek alarmowych, wszędzie panował niesamowity spokój. Jeśli przekradać się dalej pod osłoną bawarskich szczytów i niespodziewanie znaleźli się na scenie, tylko częściowo ukryci za czymś, co miało przedstawiać kępę olch.

Śpiewacy stali teraz ustawieni w koło, ciągle nadzy, ich ciała jednak utraciły dotychczasowy ziemisty odcień. Mieli też oczy, takie same jak Helmwige: wyblakłe, błyszczące i nienaturalnie spokojne, oczy ludzi, którzy nigdy nie zadrzą z obawy o swoje życie. Otto stał na zewnątrz kręgu, w dalszym ciągu twarzą zwrócony do wi downi.

Teatr stanowił najokropniejszy widok, jaki Lloyd kiedykolwiek oglądał. Poprzez gęstą zasłonę dymu z ludzkich szczątków można było dojrzeć, że wszyscy spośród tysiąca zaproszonych gości spalili się i nadal się tłąc, siedzieli rozparci na swoich fotelach. Uśmiechy rozciągały się ponad osmalonymi zębami. Klejnoty powtapiały się w zwęglone szyje.

Wszędzie, gdzie tylko spojrzął, siedziały sztywne i okopcone ciała. Tu i ówdzie, wciąż jeszcze kapiąc ogniem, tliła się czyjaś peruka lub żarzyła się torebka z lakierowanej skóry.

Lloyd nigdy nie mógł zrozumieć, w jaki sposób tworzy się salamandra, teraz natomiast ujrzał to na własne oczy, i to nie raz, lecz wiele, wiele razy. Działo się to w zupełnej ciszy i było na wskroś niesamowite. W ciągu ostatniego tygodnia widział wiele nadprzyrodzonych zdarzeń, lecz żadne nie mogło się z tym równać.

W pierwszym rzędzie leżał na fotelu krępy mężczyzna. Znad spalonego ciała unosił się dym, który wydawał się kłębić i gęstnieć nad jego głową. Gdy tak odpływał coraz wyżej i wyżej w kierunku sufitu, stopniowo nabierał ludzkich kształtów, aż osiągnął punkt, w którym znów zaczął opadać, póki nie dosięgnął podłogi. Pieśń rytualna wymieszała dym z ulatującą duszą, tak że nie mogła ona opuścić pola ziemskiej grawitacji, a co za tym idzie, straciła swoje miejsce w niebie.

Na tyłach zadymionej widowni coraz więcej i więcej salamander spadało w zupełnej ciszy miękko niczym poduszki na ziemię i gromadziło się, w milczeniu oglądając swe spalone ciała.

Otto odwrócił się z triumfem do chóru, otwierając szeroko swe żółte oczy.

— Rozpoczęło się! — wykrzyknął. — Rozpoczęło! Oto i największa transformacja ze wszystkich!

Chór rozstąpił się, by zrobić mu miejsce w środku kręgu. Otto stał tam przez chwilę, przyglądając się z podziwem.

— Wy, moi nieśmiertelni! Moja raso panów! Rodzice bogów!

Obchodził krąg, po kolei kładąc każdemu rękę na ramieniu.

— Macie teraz swoją armię, armię salamander... służących, towarzyszy... i ci spośród nich, którzy będą wam wiernie służyć, mogą przy następnym przesileniu zostać przekształceni tak samo jak wy, jeśli tak zadecydujecie. Oni są waszą SA, waszym wyborowym korpusem oddziałów uderzeniowych, i będą wam posłuszni, gdyż wszyscy pragną nieśmiertelności. Nie musicie obawiać się oporu... nie można was zabić, nie możecie umrzeć. Jesteście najpotężniejsi spośród wszystkich istot żyjących na Ziemi.

Nie zaprzestawał wędrówki po okręgu.

— Wszyscy macie śmiertelnych partnerów, z którymi możecie spłodzić po jednym dziecku... dzieci owe będą podstawą naszej przyszłości, będą półbogami.

Zatrzymał się przy Celii oraz Mike'u Kerwinie i położył im dłonie na ramionach.

— Ty, niestety, masz partnera, który pozwolił, by podejrzenia pokonały miłość... Podobnie jak ty, Mike. Lecz dla was mam dwoje specjalnych partnerów. Partnerów, z

którymi mieć potomstwo to więcej niż honor.

Ponownie rozejrzał się i wciągnął długi, suchy oddech.

— A teraz... — rzekł — talizmany, proszę. Śpiewacy podnieśli w górę wszystkie swe czternaście amuletów. Otto wziął należący do Celi i położył go sobie na języku. Pozostała trzynastka rozpoczęła śpiewy.

— Co się teraz dzieje? — zapytała Kathleen. Przyciskała do ust chusteczkę, by powstrzymać kaszel. — Co on robi?

W miarę jak śpiew stawał się coraz głośniejszy i bardziej piskliwy, Otto, o dziwo, wydawał się coraz wyższy. Lloyd przetarł zażawione od dymu oczy i popatrzył raz jeszcze. Lecz istotnie tak było. Otto rósł coraz wyżej i wyżej, póki nie osiągnął przeszło dwóch i pół metra wzrostu. Wyszczuplał przy tym i stał się z sylwetki podobny do owada. Uśmiechał się, rozglądając się z wysoka po scenie, a jego żółte źrenice jaśniały triumfującą wściekłością.

Nagle wierzchołek jego czaszki rozstąpił się, a skóra zeszła z niej niczym gumowa rękawiczka. Pod spodem Lloyd ujrzał lśniąco czernią kości i żółte skośne oczy, martwe i wyrachowane jak u chimery.

Teraz rozdarła się skóra na grzbiecie Ottona i wychynął spod niej las czarnych kręgow. Chór salamander, bynajmniej nie przerażony, podnosił dłonie do góry i śpiewał jeszcze głośniej.

— Uczyniłem to, po co mnie wezwano — rzekł Otto kraczącym i chrapliwym głosem, który z ledwością już przypominał głos człowieka. — Na nowo powołałem do życia rasę panów. Teraz już mogę powrócić.

Kathleen ścisnęła Lloyda za rękę.

— Lloyd... on nie jest nawet... Lloyd! To jest jakiś...! O mój Boże! Co to jest, Lloyd? Co to jest?

Lloyd odstał do tyłu.

— Cokolwiek by to było, musimy odtworzyć ten hymn... Gdy tylko to się skończy, wszyscy ci ludzie rozejdą się w swoją stronę i nigdy ich nie zdołamy powstrzymać!

Wycofali się ze sceny z powrotem za dekoracje. Po drugiej stronie były schodki, zakończone drzwiami z napisem: „Nagrywanie — Proszę zachować ciszę”. Oświetlone okienko wychodziło na scenę.

— To jest właśnie to — powiedział Lloyd. — Idź za mną, tylko, na miłość boską, rozglądaj się na wszystkie strony.

Wspięli się na schody tak cicho, jak tylko potrafili. Stopnie skrzypiały, lecz chóralny śpiew był tak głośny, że nikt nie mógłby ich usłyszeć. Na środku kręgu monstrualny gad, w



którego powoli przekształcał się Otto, kiwał się, kłapał paszczką i wydawał z siebie chrapliwe dźwięki towarzyszące oddychaniu. Lloyd rzucił nań jedno szybkie spojrzenie i postanowił nigdy więcej na to coś nie patrzeć. Czarne szpony wyrzynały się poprzez skórę palców Ottona.

Ostrożnie przekręcił gałkę w drzwiach dźwiękoszczelnego pomieszczenia. Wewnątrz czuć było zapach rozgrzanego sprzętu elektronicznego. Wyjął z kieszeni kasetę i wszedł do środka, skinąwszy głową Kathleen, by szła za nim.

— Muszę tylko znaleźć magnetofon kasetowy — powiedział, rzuciwszy okiem na rzędy przełączników i światełek na konsolecie. — Dlaczego nie mają tu walkmana, jak normalni ludzie?

Odnalazł magnetofon i właśnie próbował włożyć kasetę, gdy wtem drzwi ponownie rozwarły się z trzaskiem. Do środka wpadł Franklin, trzymając za rękę Tony'ego Expressa. Tuż za nimi weszła Helmwige, płonąca mrocznym gniewem, wraz z Tomem. Ubrana była w obcisły kostium z czarnej skóry, obcięty niemożliwie wysoko na udach, oraz czarne buty z cholewami, zachodzące powyżej kolan. Ciągnęła za sobą Toma w stalowej obroży. Jego szyja była obtarta do krwi, a oczy czerwone od płaczu.

— Tom! — zawołała Kathleen. — Ty suko, puść go!

— Puścić go? Obedrę go żywcem ze skóry i zjem na śniadanie, jeśli się nie zamkniesz! Ty, Denman! Wyjmij tę kasetę i daj mi ją! Lloyd popatrzył na Franklina i Tony'ego Expressa.

— Próbowaliśmy, Lloyd — rzekł Franklin. — Naprawdę próbowaliśmy. Ale ona powiedziała, że zabije chłopca, jeśli nie oddamy jej kasety.

— Tony? — ostrożnie zapytał Lloyd, co miało znaczyć: „Co z twoją kukłą tańca słońca?”

— Nie miałem odwagi... Potrafiłbym spowolnić jej ruchy, ale ona mogłaby spalić go szybciej, niż ja byłbym zdolny ją powstrzymać. Przepraszam.

— Kasetą, Denman — powiedziała Helmwige — albo na waszych oczach spalę tego chłopca na popiół, tak jak spaliłam jego ciotkę.

— Lloyd... — poprosiła z aniepokojona Kathleen.

— Zdaje się nie mam wyboru — odrzekł. Wyjrzał przez okienko kabiny dźwiękoszczelnej i ujrzał, że na środku sceny kołysze się coś czarnego i błyszczącego. Otto zrzucał ludzką powierzchowność i powracał do swej naturalnej postaci. Śpiew chóru był tu przytłumiony do szmeru, lecz Lloyd słyszał, iż nabiera tonów histerycznych.

Wyciągnął kasetę w stronę Helmwige, zaledwie pięć–dziesięć centymetrów poza

zasięgiem jej palców.

— Co to takiego? — zapytał ją. — To coś? — skinął głową w kierunku Ottona.

Helmwige uśmiechnęła się.

— Otto? Przed wojną był studentem w Salzburgu. Lecz jak widzicie, odkrył sposób, jak zostać nie tylko uczonym, ale i geniuszem. Dobił targu z czymś z krainy ciemności, z czym... nie wiadomo. Pozwolił tej istocie żyć w swoim ciele, póki nie uda mu się przejść do historii. Teraz mu się to udało i to coś odchodzi z powrotem tam, skąd przyszło.

Lloyd zdrzął. Potem bez ostrzeżenia zatoczył łuk prawym ramieniem i zadał Helmwige cios prosto w twarz. Ta zatoczyła się do tyłu, straciła równowagę i uderzyła bokiem o konsolę. Lecz już w następnej chwili była z powrotemi otwartą dłonią trzepnęła Lloyda po głowie tak mocno, że aż poleciał na ścianę.

— Głupiec! — plunęła nań.

Spróbował się podnieść, lecz kopnęła go w zębra, a potem w brzuch. Jednakże w tej samej chwili Franklin chwycił ją wpół i zamknął w swym niedźwiedzim uścisku. Jednocześnie wyrwał jej z rąk łańcuch, na którym trzymała Toma, i odrzucił w kąt.

— Lloyd! — wrzasnął. — Nastaw hymn! Kathleen! Tom! Tony! Uciekajcie!

— Ty kretynie! — plunęła Helmwige. — Wiesz, co mogę z tobą zrobić!

— Lloyd! — grzmiał Franklin. — Kaset! Ogłuszony, kaszląc i brocząc krwią, Lloyd stanął na nogach. Podniósł z ziemi kasetę i zatrzaskał komorę magnetofonu.

Kathleen zawahała się w drzwiach, lecz Franklin krzyknął:

— Uciekaj! Uciekaj!

— Dummling Mengelego! — zaskrzeczała Helmwige. Lecz Franklin trzymał ją mocno w swym niedźwiedzim uścisku, przyciskając ręce do boków, aż twarz jej poczerwieniała z wściekłości i wysiłku.

Szybko jęła podnosić temperaturę swego ciała. Franklin stęknął, lecz wziął głęboki oddech i nie zwolnił uchwytu. Lloyd nacisnął klawisz uruchamiający magnetofon i po sekundzie lub dwóch usłyszał szum taśmy.

Helmwige stawała się coraz gorętsza. Jej skórzany kostium począł się kurczyć i tlić, jednak dalej podnosiła swą temperaturę. Z twarzy Franklina strugami spływał pot, musiał zagryźć zęby, lecz w dalszym ciągu nie puszczał Helmwige, mimo że dym począł mu się unosić ze spalonej koszuli, a skóra na piersiach i udach jęła pokrywać się pęc herzami.

— Aaaaaach! — zawył Franklin, gdy ciało Helmwige zaczęło wypalać mu zakończenia nerwów.

— Ty głupcze! Ty żalorny głupcze! — syknęła nań Helmwige. — Jesteś niczym! Jesteś

nikim i nigdy nie byłeś niczym innym!

Nagle z głośników systemu informacyjnego teatru wydobyły się pierwsze tony Wagnerowskiego *Hymnu pokutnego*. W dole na scenie długa i chuda czarna istota zachwiała się i odwróciła do tyłu głowę. Chór najwidoczniej z początku nie słyszał hymnu, lecz po chwili dwoje lub troje spośród śpiewaków poczęło się rozglądać i marszczyć brwi.

— Jesteś niczym! — wściekała się Helmwige. — Jesteś nicością bez nazwiska i imienia!

— O Boże! — wykrzyknął Franklin. — O Boże, dopomóż mi! Jestem Franklin! Jestem Franklin Free! Jestem Franklin Free!

Widownię Teatru Miejskiego wypełniła równa, spokojna i mocna gra na pianinie zmarłej Sylvii Cuddy. Przez jedną mrozącą krew w żyłach chwilę Lloyd myślał, że hymn nie odniesie skutku i wszyscy zginą. Lecz Helmwige nagle oblała się żarem, świecąc niczym obłok magnezji, i oboje z Franklinem jęli przekrzykiwać się we wspólnej agonii.

Wewnątrz dźwiękoszczelnej kabiny rozległa się rozrywająca bębenki w uszach eksplozja i Helmwige opadła na ziemię pod postacią srebrzystego popiołu i poszarzałych kości. Franklin przewrócił się na podłogę, z początku wijąc się w drgawkach, by później leć w bezruchu.

Lloyd szarpnięciem otworzył drzwi kabiny i stanął na szczycie schodków. Członkowie chóru jeden po drugim zajmowali się ogniem, płonąc jasno niczym pochodnie i nie pozostawiając po sobie na scenie niczego oprócz smug popiołu. Lloyd przez chwilę przyglądał się Celi zatykającej uszy rękoma, lecz w następnej chwili jej widok zasłonił mu Mike Kerwin, który zapłonął jasno jak spadająca kometa.

Na środku sceny czarna i lśniąca istota opadła na deski i leżała, złowieszczo dygocząc. Kiedy ujrzała Lloyd, jej żółte oczy załśniły nienawiścią tak lodowatą, że aż musiał się odwrócić.

— Bądź pewny, że wrócę — zachrypiał pod jego adresem stwór. — Gdy tylko pochwycę duszę śmiertelnika, który potrafi zmienić bieg ludzkiej historii, powrócę na pewno.

Po policzkach Lloyda pociekły łzy. Cóż mógł powiedzieć w obliczu takiego zła?

Z okropnym kłapnięciem stwór, razem ze swymi kręgami, szponami i ogonem, wślizgnął się w szparę pomiędzy deskami i zniknął z pola widzenia. Lloyd odszedł w kąt sceny i zwymiotował samą gorącą śliną.

Rozejrzał się po widowni. Spalone zwłoki tysiąca najlepiej prosperujących mieszkańców willowych dzielnic południowej Kalifornii były zwęglone nie do rozpoznania. Po salamandrach nie pozostało ani śladu. Były przecież nietrwałe, jak twierdził Otto, zanim

jeszcze przemienił się w jakąś czarną istotę z piekła rodem. Lloyd stanął w przejściu między rzędami i w miejscu, gdzie się wszystkie salamandry zebrały, ujrzał głębokie ślady wypalone na parkiecie.

Kathleen zeszła ze sceny i zbliżyła się doń. Była podniecona wskutek szoku, lecz w ręku niosła czarę — misę, w której Poncjusz Piłat umył ręce, by pozbyć się odpowiedzialności za ukrzyżowanie Chrystusa, misę, którą salamandry posłużyły się w próbie zyskania nieśmiertelności. Czara była pogięta, sfatygowana i prawie w jednej trzeciej niekompletna.

— Proszę — powiedziała.

Lloyd wziął ją do ręki, obrócił w palcach, a potem wzruszył ramionami.

— Jedyne, co można z tym zrobić, to wziąć nad zatokę La Jolla i wrzucić do oceanu.

— Dziękuję ci za wszystko — rzekła Kathleen. — Tyle tylko potrafisz powiedzieć.

— Wiem — odparł Lloyd i uściśnął jej dłoń.

Był już przy samym wyjściu, gdy wpadł przez nie pierwszy strażak, wyrąbawszy sobie przejście przez zamknięte drzwi toporem. Rzucił jedno spojrzenie na widownię, drugie na Lloyd'a i powiedział:

— Jezusie!

W klitce hotelu El Cajon na przedmieściu ponad pięćdziesięcioletni mężczyzna w brunatnej koszuli, z założonymi rękoma, tkwił milcząc przed telewizorem. Po drugiej stronie pokoju siedziała ciemnowłosa kobieta i spoglądała nań z niepokojem.

— No i zawiódł — odezwał się w końcu mężczyzna.

— Nie wiemy jeszcze, dlaczego ani co się stało — odrzekła kobieta.

Mężczyzna wstał i podszedł do okna. Rozsunął brudne firanki i wyjrzał na ulicę.

— Nieważne dlaczego. Nieważne, co się stało. Zawsze nas zawodzą. Zawsze wystawiają nas do wiatru. „Będziesz mógł być ojcem — mówił. — Mam już kobietę dla ciebie. I mężczyznę dla Evy”.

— Co zamierzasz teraz robić? — spytał a kobieta.

— Co robić? — odparł. — Zacznę od początku, natürlich. Dysponuję nieograniczonym czasem.

Gdy w przyczepie Tona Zuni zadzwonił telefon, Lloyd akurat grał w karty z Johnem Tępym Nożem.

— Orzeł — ty idziesz odebrać, reszka — niech dzwoni dalej — poddał Lloyd.

Nawet na nią nie patrząc, John Tępy Nóż brzęknął wydobytą spod paznokcia dużego

palca ćwierćdolarówką. Podrzucił ją na grzbiecie pomarszczonej i upstrzonej plamami wątrobianymi dłoni; wypadła reszka. Stęknął z rozbawienia i wrzucił monetę do starej metalowej miseczki, którą Lloyd przywiózł z sobą do przyczepy.

— Powiniennem już się nauczyć, by nie grać z tobą o wysokie stawki — poskarżył się Lloyd i zwałókl z kozetki, by podnieść słuchawkę.

— Z nikim nie powinieneś grać o wysokie stawki — odparł John Tępy Nóż. — Grasz jak kobieta.

— Pocałuj mnie w dupę — odrzekł Lloyd, akurat gdy dziewczęcy głos powiedział:

— Halo?

— O, cześć, słucham. To jest, przepraszam.

— Czy to pan Denman? Dzwoniłam do pańskiej restauracji rybnej, lecz tam mi powiedziano, że pan sprzedał interes i wyprowadził się.

— No cóż, to prawda. Jestem w tej chwili na pustyni i robię sobie urlop. To się nazywa zbierać się do kupy. Czym mogę pani służyć?

— Pan mnie prawdopodobnie nie pamięta, lecz nazywam się Lawreign. Pracuję przy stoisku z pamiątkami na „Gwieździe Indii”.

— Ależ skąd, pamiętam panią. Pani jest tą ładną dziewczyną.

— Dziękuję! Ale w gruncie rzeczy dzwonię dlatego, że pan prosił mnie, bym uważała na kobietę w prochowcu, żółtej chustce na głowie i ciemnych okularach.

— No cóż, to prawda, oczywiście, ale...

— Ona przedwczoraj tu była.

Delikatne uczucie strachu prześlizgnęło się po plecach Lloyda niczym kot o zimnym futrze.

— Niech pani to powtórzy.

— Była tu przedwczoraj i kupiła rzeźbiony kawałek kości. Nawet dość drogi. Powiedziała, że ma zamiar wysłać to komuś w prezencie, a więc zapakowaliśmy go i tak dalej.

— W jaki sposób zapłaciła? Kartą kredytową? Czekałem? Czy podała nazwisko?

— Nie, zapłaciła gotówką. Ale to była piękna sztuka. Cała wygrawerowana w syreny i trytony, z napisem: „Twoja po wieczne czasy”.

— Dokładnie z tymi słowami?

— Właśnie.

— Lawreign, mam u pani dług — rzekł Lloyd i nim zdążyła powiedzieć coś więcej, odłożył słuchawkę. Przez dłuższy czas stał w zamyśleniu, zakrywszy dłonią usta, po czym

powiedział do Johna Tępego Noża: — Zglądałeś ostatnio do skrzynki?

Indianin popatrzył nań wilgotnymi oczyma.

— Przepraszam, zawsze zapominam. Odkąd Tony poszedł mieszkać u tej twojej Kathleen... hm, on zawsze to robił.

— Będę za minutkę — powiedział Lloyd. Otworzył drzwi, zszedł po schodkach i przespacerował się, klucząc pośród zaparkowanych przyczep. Choć było już dobrze po siódmej, wieczór wciąż jeszcze był suchy i upalny, a w powietrzu unosiła się woń kaktusów mesquite.

Z początku szedł wolnym krokiem, lecz gdy począł zbliżać się do skrzynki pocztowej, ruszył biegiem. Nim jeszcze zdążył otworzyć drucianą furtkę, zobaczył, że coś jest w środku.